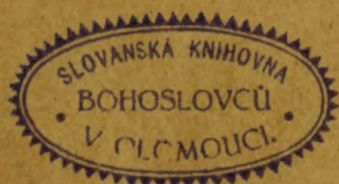
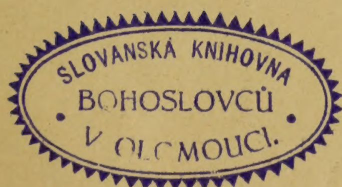



SLOVANSKÁ KNIHOVNA
BOHOSLOVCŮ
V OLOMOUCI.

PRZEGLĄD

POWSZECHNY.



PRZEGLĄD

POWSZECHNY.



BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

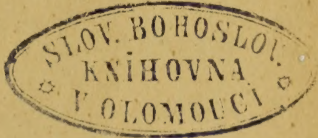


ROK DZIEWIĘTNASTY. — TOM LXXVI.



PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1902.





KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1902.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Str.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z piśmiennictw obcych.

Zapiski bibliograficzne.

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

LISTOPAD.

GRUDZIEŃ.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. JAN PAWELSKI T. J.

CZYNNIKI ROZDZIAŁU I SPÓJNI

W DZISIEJSZEM SPOŁECZENSTWIE[1].

Wielki helleński mędrzec, rodem z Akragas w Sycylii, sławny Empedokles, wyraził już przed 24 wiekami przekonanie, że cały bieg zjawisk we wszechświecie polega na ciągłem rozłączaniu się i ponownem łączeniu pierwiastków i że istnieją dwie siły, t. j. miłość i nienawiść, które w wieczystem po sobie następstwie tę spójnię i ten rozdział powodują. Nie mam tu wcale zamiaru wdawać się w rozbiór głębszego symbolicznego znaczenia takiego zapatrywania lub wykazywać jego przyrodniczo-filozoficzną doniosłość, pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę, że w zastosowaniu do ludzkiego społeczeństwa tkwi w poglądzie Empedoklesa istotnie głęboka prawda. Rozważając bowiem cały bieg dziejów ludzkiego rodu w świetle porównawczych metod, nietrudno jest dostrzedz, że wszelki społeczny i kulturalny postęp odbywa się wśród nieustającej walki dwu sprzecznych uczuciowych prądów, tudzież odpowiadających im dwojakiego rodzaju dążności, z których jedne ludzi, narody różne społeczne grupy między sobą różnią, rozdzielają, do wzajemnej podniecają nienawiści i walki, drugie zaś znowu ich ku sobie zbliżają, węzłami wzajemnego współczucia łączą i do

[1] Wykład wypowiedziany w języku niemieckim w dniu 24 września 1902 r. na dorocznem publicznem zebraniu austryackiego Towarzystwa Leona w Bregencyi.

wspólnych wysileń kierują. Już na najniższych nawet stopniach kultury można dopatrzeć się u ludzi śladów wzajemnego zbliżania się i skupiania. Nie jest zaiste prawdziwą owa od czasów Hobbesa tak popularna teorya, usiłująca dowodzić, że najpierwotniejszym stanem ludzkiego na ziemi istnienia była walka wszystkich przeciwko wszystkim *(bellum omnium contra omnes)*. Tego rodzaju stan, jeżeli się gdziekolwiek na kuli ziemskiej pojawił, był wszędzie następstwem upadku i zwyrodnienia, nigdy zaś nie mógł on być stanem pierwotnym. Ażeby człowiek mógł wogóle poczuć się człowiekiem, to już musiały u niego działać społeczne uczucia, które różne jednostki wspólnymi obejmowały węzły. Nawet w prawach przyrody uzasadnione związki rodzinne, dalej wspólność mowy, wreszcie wspólne religijne wierzenia, dzięki którym różne zwyczaje i obyczaje zyskiwały cechę świętości, to wszystko łączyło ludzi między sobą nawet na stopniach — błędnie tak nazywanej — pierwotnej dzikości. Choćbyśmy się zgodzili — *dato et non concesso* — na zdanie niektórych najnowszych socyologów, usiłujących wykazać, że *horda* była najpierwotniejszą formą ludzkiego uspołecznienia, to i tak musielibyśmy przyznać, że już tam wśród tej *hordy* działały jakieś skupiające siły, które jej istnienie umożliwiały. Z drugiej jednak znowu strony jest także prawdą, że gdziekolwiek tylko występuje człowiek w zbiorowych grupach, tam pojawiają się zaraz i czynniki rozdziału. W walce o warunki do życia niezbędne, w walce o światło, powietrze, wodę lub pożywienie rozwija się samolubstwo, chciwość i dążność, aby dać uczuć słabszemu własną przewagę, ażeby dla siebie zabrać jak najwięcej, dla drugich nic nie pozostawiając. W takichto dopiero warunkach nastają czasy walki wszystkich przeciwko wszystkim, które są zawsze objawem upadku i rozluźnienia się różnych społecznych grup. Otóż tu możemy wypowiedzieć przekonanie, że cała tajemnica dziejowego postępu polega na utrzymaniu możliwie jak największej równowagi między obiema wyżej wymienionemi sprzecznemi dążnościami. Możnaby nawet jakoby rodzaj socyologicznego prawa postawić twierdzenie, że prawdziwy społeczny i kulturalny postęp okazuje się tylko tam możliwym, gdzie po-

tęgi rozdziału i spójni w należytej utrzymują się równowadze. Którakolwiek z nich przeważy ostatecznie nad drugą i jej działanie albo stanowczo osłabi lub nawet całkowicie zniszczy, wówczas już koniec z wszelkim dalszym wśród takiej społecznej grupy postępem. Przeważą dążności rozdziału, zwycięży samolubstwo, a zaraz zjawi się widmo powszechnej anarchii, współżycie ludzi stanie się nieznośnem, przyjdzie rozkład i upadek. Przeważą znowu na odwrót czynniki zjednoczenia i spójni, to doprowadzą powoli do zaniku wszelkiej między ludźmi różnorodności, podciągną wszystkie dusze pod jakąś jedną przeciętną miarę, osobistość ludzka pod działaniem jednego wspólnego strychulca zmaleje, a w takich warunkach rozpocznie się martwota i tężenie, które jest zawsze cechą starzejących się i ku upadkowi chylących się kultur. Tam społeczne formy w najdrobniejszych nawet szczegółach stają się jakąś twardą i nieubłaganą koniecznością, obejmują jakoby żelaznemi kleszczami każdą jednostkę. Jeżeli jakaś z zewnątrz pochodząca siła tego rodzaju więzów przemocą nie rozerwie, to mogą takie prawie zamartwiałe społeczne grupy żyć a raczej wegetować nawet tysiące lat. Częstokroć zaś zdarza się, że zewnętrzne czynniki martwoty nie przemogą, że zwycięzcy ulegną biernej sile zwyciężonych i sami w martwotę popadną. W taki sposób zastygły niegdyś przed tysiącami lat zestarzałe kultury, jak np. egipska lub chaldejska i zaginęły wśród ciągłych najazdów i przewrotów, podczas gdy inne znowu, np. indyjska lub chińska, wegetują do dzisiejszego dnia. W ich zastygłych formach tkwi olbrzymia, bierny opór stawiająca siła. Wielkie masy tych ludów, tak się wżyły, tak zrosły ze swoją niewolą, że gdyby je nawet ktoś chciał wyzwolić, one do życia w innych warunkach niezdolne. Tylko gdzie różnorodność i wspólność, gdzie czynniki rozdziału i spójni wzajemnie się równoważą, tylko tam społeczne życie rozwija się i kwitnie. Niestety rzadkie to a nawet bardzo rzadkie są w dziejach ludzkości chwile, w którychby taka idealna równowaga w pełnej występowała sile, w którychby wielkie bogactwo czynników dało ułożyć się w potężną jedność i do wspólnej doprowadzić harmonii. Jeżeli zaś przyjdzie istotnie coś podo-

bnego do skutku, a to wówczas dzieje wspaniały przedstawią widok. Nic wznioślejszego nad takie czasy! Badając je i rozważając, może największy pesymista odzyskać wiarę w ludzkość i w jej wyższe przeznaczenie.

Zerwanie się wszystkich helleńskich plemion do wspólnej z perską nawałą walki — oto przykład takich czasów. Majestat tego przedziwnego dziejowego dramatu opromienia najświetniej ta właśnie okoliczność, że wówczas tyle rozmaitych wśród Greków istniejących sprzeczności dało się ująć w harmonię, że różnorodność nie tylko nie szkodziła, ale przeciwnie, pomagała do tem wydatniejszego wysiłku. Drugą taką niemniej wzniosłą chwilą były czasy wojen krzyżowych. Surowe, na poły jeszcze dzikie i ciągle wzajemnie zwalczające się ludy ówczesnej Europy zdobyły się, dzięki niesłychanej gorącości religijnych uczuć, na wspólne wysiłki tak idealne, a z takim wykonywane poświęceniem, że wrażenia nawet bezskuteczny wynik walk zatrzeć nie zdołał. Gdzie zaś takie zharmonizowanie społecznych różnorodności do skutku dojdzie, tam hojna spotyka społeczeństwo nagroda. Jako następstwo bowiem podjętych wysiłków objawi się taki rozkwit kultury, taki wzlot duchowego życia do wyżyn przedtem niedoścignionych, iż budzi to nie tylko podziw późniejszych pokoleń, ale staje się nadto dla nich nigdy nie wysychającą krynicą corazto nowych duchowych podniet. Ruch umysłowy w piątym wieku przed Chr. — oto nagroda wymierzona Grekom za to wszystko, czego w walce przeciw Persom dokonali, umysłowe zaś życie wieku trzynastego po Chr. było znowu dla ludów Europy nagrodą za to, czego w wojnach krzyżowych pragnęły i do czego zmierzały.

Jeżeli z takiej perspektywy spojrzymy na obecne nasze stosunki, nasunie się nam oczywiście pytanie: A więc jakże teraz wśród nas stoją sprawy z tymi podwójnymi w duszach ludzkich grającymi czynnikami? Odpowiedź na takie pytanie nie jest zaiste łatwą, a to ze względu na dwojakie przyczyny: po pierwsze, społeczeństwo nasze przedstawia obraz bardzo zamącony, powtóre, my przecież wśród niego żyjemy, do niego należymy, wydobycie zatem wszystkich charakterystycznych cech

musi być z niemałemi połączone trudnościami. Spróbuję jednak dokonać krótkiej i pobieżnej analizy, a może powiedzie mi się następnie wskazać choćby tylko w przybliżeniu prawdziwą syntezę.

Nasze dzisiejsze europejskie, tak zwane nowożytne społeczeństwo zaczęło wytwarzać się w początkach szesnastego wieku, wyraźniejsze zaś formy nadała mu dopiero francuska rewolucya i wiek dziewiętnasty. Organizacya średniowiecznego społeczeństwa polegała na zespoleniu form germańskiego feudalizmu z ideałami chrześcijaństwa. Feudalna hierarchia obejmowała wszystkie grupy społeczne, Kościół zaś był tym wielkim powszechnym regulatorem wszystkich tak różniczkujących jak skupiających dążności. Od płacy robotnika począwszy, a na stosunkach królów i książąt między sobą skończywszy, we wszystko Kościół wglądał, wszędzie swój wpływ kojący i ożywczy wywierał. Powoli jednakże siły i dążności odśrodkowe zaczęły przeważać. Najpierwej objawiło się to w wielkiej polityce; już pod koniec wojen krzyżowych zaczęli panujący kierować się w polityce zasadami antychrześcijańskiemi, ulegając wyłącznie samolubnym popędom. Nareszcie już przy końcu piętnastego wieku przyszło do zupełnego zerwania między dążnościami politycznemi a zasadami chrześcijaństwa. Teorye polityczne Machiavellego są najlepszym takiego stanu rzeczy wyrazem. Samolubne, wyłącznie własnym interesem kierujące się państwo, panujący żadnej wyższej nad sobą nie uznający mocy prócz własnej woli, oto pierwsze nowożytne formacye. Za polityką przeniosły się dążności odśrodkowe na religię, polityka zapragnęła zrobić z niej własne narzędzie, wybuchnęła reformacya, anarchia w stosunkach politycznych dobiegła do szczytu i zaczęła w dalszym ciągu wnikać w stosunki gospodarczo-społeczne. Stan średni i miasta zaczęły powoli rozsadzać formy średniowiecznej organizacyi, panujący, potrzebujący pieniędzy, im pomagali w nadziei, że im bardziej różnice społeczne się zatrą, tem łatwiej przyjdzie im rządzić. Od początków więc szesnastego wieku dokonywa się następujący proces: Swoboda jednostki powoli zwiększa się, zmniejsza się zaś opieka różnych

grup społecznych nad nią, jednostka staje się wolniejszą, ale żyć jej na świecie coraz trudniej, budzi się więc gospodarcze samolubstwo i chęć gromadzenia zasobów bez względu na sposoby; jak w polityce tak i w życiu zarobkowem zaczyna obowiązywać zasada, że cel uświęca środki.

Teoryę samolubstwa w zastosowaniu do polityki rozwinął Machiavelli, w XVII wieku rozszerzyli ją Hobbes i Spinoza do zasad etyki i bytu społecznego wogóle, wreszcie Adam Smith oparł na niej pierwszy system społecznego gospodarstwa. Tak wzrastały powoli dążności odśrodkowe, wkońcu francuska rewolucya zwolniła jednostkę od wszelkich więzów dawniejszych organizacyi z wyjątkiem tylko organizacyi państwowej, równocześnie jednakże pozostawiła ją całkowicie własnym losom. Społeczeństwo zmieniło się w bezkształtną masę wolnych atomów, mogących wprawdzie poruszać się swobodnie, ale z drugiej strony zmuszonych do srogiej walki o byt. W początkach XIX wieku, gdy się wielki rozwój ekonomiczny dopiero rozpoczynał, a ludności było znacznie mniej, szło to jeszcze jakoś łatwiej, powoli jednakże życie dla ludzi zaczęło stawać się coraz cięższem i coraz trudniejszem. Obok tego wzrastały także ciągłe potrzeby, przykład drugich podniecał do używania, tak, że wkońcu namiętne samolubstwo najszersze ogarnęło warstwy. W naszych czasach przeważna, ogromna większość ludzi myśli tylko o sobie i rozważa, skądby wziąć środków na to wszystko, co im do życia potrzebne. Jednostka odwraca się więc od drugich jednostek, uważając je za swoich wrogów. Każdemu, dla kogo walka o życie staje się ciężką, wydaje się, że gdyby mu inni nie zawadzali, byłoby mu na świecie lepiej.

Zaraz w najbliższym związku z tem stoi drugi czynnik ludzi rozdzielający, t. j. nienawiść i zazdrość klasowa. Mają one dwojaką przyczynę, pierwszej należy szukać w niezmiernie smutnych stosunkach zarobkowych przeważnej liczby ludności, drugiej w rozrzutności i chęci używania wśród bogaczy, którzy swoje olbrzymie nieraz gospodarcze zasoby w sposób najbezmyślniejszy zużywają lub trwonią. Gdy biedny zarobnik lub jeszcze biedniejszy dyurnista, któremu płaca nie wystarcza nawet

na jakie takie własnych dzieci wyżywienie, spostrzega bogaczy rozpartych we wspaniałych powozach, gdy słyszy o zbytku panującym w ich mieszkaniach, o ich ucztach i innych tym podobnych nadużyciach, to czyż można się nawet tak dalece dziwić, że uczucie zazdrości weźmie u niego ostatecznie górę i że zacznie nienawidzić całe warstwy społeczne, nie dlatego, aby mu należące do nich jednostki coś złego zrobiły — bynajmniej! On nienawidzi ich, bo jemu źle się dzieje.

W związku z tymi indywidualnymi i klasowymi objawami stoją oczywiście także interesy państwowe. Ponieważ w dzisiejszych czasach ludność bierze udział w rządach przez swoich wybranych posłów, a więc współzawodnictwo klas, wytwarzających i spożywających, przenosi się także na państwa i ich rządy. Każde państwo radeby na rzecz swojej ludności zyskać jak najwięcej ze szkodą państwa drugiego, każde chciałoby wszystko mieć tylko dla siebie. Rządzący usiłują ciągle tylko rozszerzać się i jak najwięcej pod swoje panowanie zagarnąć obszarów, ulegają bowiem temu dziwnie błędnemu złudzeniu, że im więcej posiędą ziemi, tem większą będzie ich potęga, a ludność znajdzie nowe warunki do dalszego bogacenia się. Jeden z najnowszych socyologów określił tę chciwość ziemi u dzisiejszych państw jako groźną społeczną chorobę, oznaczając ją dowcipnie mianem *kilometritis* [1]. Następstwem podobnego stanu rzeczy jest wzajemna zazdrość i współzawodnictwo państw między sobą, które patrzą na siebie argusowemi oczami i tylko się wzajemnie szpiegują. Taka zazdrość za pośrednictwem dzienników udziela się także ludności, tak, że ludność jednego państwa żywi różne niechęci do ludności innego, dlaczego zaś takie względem siebie mają uprzedzenia, tego sami nieraz dobrze nie wiedzą.

Powyższa uwaga prowadzi nas do rozważenia najgwałtowniejszej w dzisiejszych czasach i najsmutniejszej namiętności, która, rzecz dziwna, ciągle się wzmaga i do rozłamu między ludźmi i różnemi społecznemi grupami najwięcej się przyczynia, t. j. do narodowej próżności i drażliwości.

---

[1] I. Novicow: *La federation de l'Europe*. Paris. 1901.

Między wieloma drogocennymi skarbami, w które Wszechmocny Stwórca duszę ludzką wyposażył, jednym ze szlachetniejszych jest narodowe uczucie. Czuć się w zupełnej jedności z wielką grupą ludzi, z którymi dzieli się wspólne plemienne pochodzenie, wspólną mowę, jednakie dziejowe tradycye i ten sam obyczaj, kochać miłością gorącą i bezinteresowną to wszystko, co owej grupie przeszłość w tysiącznych przekazała wspomnieniach, kochać ten kawałek ziemi rodzinnej ze wszystkiem, co go pokrywa, czy to piękne, czy tęskne, czy wesołe; te wszystkie bory i pola, te góry i wody za swoje uważać, czyż nie jest to jedno ze szlachetniejszych uczuć ludzkich? Ale i to uczucie, jeżeli zwyrodnieje, zmienia się w najszpetniejszą karykaturę i w obłęd najstraszliwszy. Jeżeli członkowie jakiegoś narodu zamiast kochać i wysoko nosić sztandar własnych narodowych tradycyi, wżyją się w złudzenie, jakoby ich narodowość była wyższą i doskonalszą nad inne i posiadała jakąś szczególniejszą wartość, podczas gdy inne narody są podrzędniejsze, niejako na to przeznaczone, aby w walce o byt tamtej, lepszej, za pole do zdobyczy służyły; jeżeli jakiś naród to wszystko, co sam kocha i ceni, drugiemu odbiera, a nadto ma mu za złe, że ten drugi tego sobie odebrać nie pozwala, jeżeli jeden człowiek z nienawiścią i pogardą patrzy na swojego bliźniego pomimo, że ten mu nic złego nie zrobił, dlatego tylko, iż do znienawidzonego należy narodu, wówczas wytwarzają się prawdziwie okropne między ludźmi stosunki. A musimy niestety z ubolewaniem stwierdzić, że narodowa próżność i przecenianie własnej narodowości na niekorzyść innych wzmogły się znacznie wśród narodów europejskich, szczególnie w ostatnich lat dziesiątkach.

Tak przedstawiają się nam w najogólniejszych zarysach dążności rozdzielające i odpychające ludzi od siebie; zobaczmy teraz, jakieto siły działają znowu w przeciwnym kierunku.

Rozwój nowożytnego społeczeństwa, niszcząc wszelkie dawne formy gospodarczego życia i gospodarczej wytwórczości, doprowadził wkońcu do tego, że jednostka stała się pastwą wolnego współzawodnictwa. Skasowano cechy, zniszczono mnó-

stwo innych związków, w których członkowie tych samych zawodów wspierali się wzajemnie czy to w imię religijnych ideałów czy w interesie zawodu, na to miejsce zaś nie postawiono nic prócz bardzo nieuchwytnej i bardzo luźnej prawno-państwowej opieki, która dopuszczała jednak do jak najdalej idącego gnębienia jednostek, aby to tylko odbywało się w formach legalnych. W takich warunkach znajdujące się „wolne atomy“ zaczęły same we własnym interesie skupiać się i łączyć. Rozpoczynają się czasy stowarzyszania się w celach gospodarczych i finansowych, oto pierwsze objawy nowych skupień. Powstają różne formy stowarzyszającego się kapitału, obok nich zaś, a raczej przeciwko nim niemniej rozmaite formy stowarzyszającej się pracy. Stają więc naprzeciw siebie dwojakiego rodzaju organizacye, jedne posiadających i zużywających dochody z nagromadzonych dóbr, drugie pracujących. Te organizacye, dokonane w imię samolubstwa, posiadają zupełnie taki sam charakter jak dzisiejsze państwowe organizmy, mają bowiem na celu zapewnienie sobie jak największej przewagi nad drugiemi.

Jeżeli polityka nowożytnych państw stała się anarchiczną, to niemniej anarchicznem stało się zachowanie potęg finansowych. Tak samo zaś, jak są próby, aby wyjść z politycznej anarchii, tak pojawiają się też usiłowania, aby i gospodarczej anarchii jakiś położyć kres. Niestety, tak jedne jak i drugie usiłowania dokonywują się znowu w imię samolubstwa i dlatego na bardzo kruchych spoczywają podstawach. Czy chodzi o sojusze między państwami, czy o wielkie finansowo-przemysłowe kartele, to w obu tych wypadkach paktujące strony myślą tylko o zapewnieniu dla siebie jak największych korzyści. Czyż można więc takim organizacyom rokować jakąkolwiek dłuższą trwałość, czy można przypuszczać, że one zrównoważą działanie sił odśrodkowych? A przecież poczucie wspólności interesów objawia się coraz wyraźniej u dzisiejszych ludzi. Poczucie takie narzuca się nieraz ogółowi z nieubłaganą koniecznością. Wybuchnie gdzieś węglowe bezrobocie, zaraz brak węgla daje się weznaki, finansowe przesilenia budzą wszędzie niepokój, pieniądz drożeje, chowa się, to zaś dalekie nieraz nawet odczuwają za-

kątki. Otóż tego rodzaju wypadki muszą oczywiście rozniecać wśród ludzi poczucie powszechnej zależności interesów, a więc także i poczucie wzajemnej spójni. To wszystko stało się możliwem tylko dzięki nadzwyczajnemu rozwojowi systemu komunikacyi, który obecnie już całą objął ziemię. Nasze pojęcia o czasie i przestrzeni uległy najzupełniejszemu przeobrażeniu, olbrzymia kula ziemska skurczyła się i stała się w wyobrażeniach naszych wcale niewielką. Dzisiaj, aby całą objechać ziemię, potrzeba mniej czasu, aniżeli niegdyś na podróż do Madrytu lub nawet Paryża. O każdej porze roku możemy mieć na zawołanie płody ze wszystkich stref i stron świata. W związku z tem stoi niesłychany rozwój dziennikarstwa. Każdy może dzięki dziennikom wytwarzać sobie obraz o całym rodzie ludzkim i śledzić z dnia na dzień wszystkie jego przeobrażenia. Taki stan rzeczy musi wzmacniać poczucie wspólności i ludzi zbliżać. Dzięki kolejom wzmogła się także znacznie chęć do podróży, codziennie odbywa się na całym świecie wielka wędrówka ludów, rośnie też ciekawość i chęć poznawania wszystkiego, co tylko na ziemi się znajduje.

Również państwa i rządy przyczyniają się pomimo woli do rozbudzania poczucia wspólności. Śledzą się one wprawdzie zazdrosnem okiem i szpiegują, ale przecież silniejszą od samolubstwa i uczucia zazdrości jest obawa przed następstwami wzajemnych sporów i wojny. Co za dziwna ironia dziejów, olbrzymie u wszystkich państw do wojny przygotowania i gorączkowo prowadzone techniczne udoskonalenia wszelkich rodzajów broni uczyniły wojnę niemożliwą! Zyskuje więc coraz więcej gruntu myśl międzynarodowych sądów rozjemczych. Konferencya w Hadze była pomimo pozornej bezpłodności jednak ważnym krokiem na drodze do wzajemnego zbliżenia się państw i do usunięcia kiedyś w przyszłości owej w międzynarodowych stosunkach anarchii. Co się tyczy strony gospodarczej, to niestety na tem polu nic jeszcze końca anarchii nie zapowiada. Chyba może kiedyś w przyszłości dopiero podjęta na nowo myśl organizacyi zawodów, tudzież międzynarodowe uregulowanie sprawy kartelów z jednej, a spraw robotniczych z dru-

giej strony doprowadzi i na tem polu do jakiegoś trwalszego zbliżenia ludzi i warstw społecznych ku sobie.

O wiele dalej od polityki i gospodarstwa zaszły już w tym kierunku umiejętności i nauki. Nauka jest wspólnym całej ludzkości skarbem, ona wszystkim zarówno służy, nad wszystkimi dobroczynną rozciąga opiekę, dary swoje hojną rozdzielając ręką. To też podziw i wdzięczność dla wielkich uczonych jest powszechną bez względu na narodową przynależność. Nie każda wprawdzie nauka jest czystą, szlachetną i od wszelakiej stronniczości wolną, ale jednak są takie dziedziny, w których panuje i nastrój wznioślejszy i przedmiotowość spokojna i pogodna; są przecież uczeni, którzy zdala od wszelkich walk i namiętności pracują tylko dla prawdy i dla dobra całego ludzkiego społeczeństwa. Istnieją już także powszechne międzynarodowe organizacye umiejętnej pracy, które ciągle rozszerzają się i wzrastają. Wszak posiadamy już poważny szereg międzynarodowych umiejętnych instytucyi, one wszystkie z natury rzeczy służą poczuciu wspólności między ludźmi. Wspólne europejskie pomiary geograficznych długości i szerokości, międzynarodowa komisya dla miar i wag, powszechna telegraficzna służba dla oznaczania pogody, badania dotyczące trzęsień ziemi, dalej międzynarodowe badania mórz, różne archeologiczne wyprawy, wreszcie tworząca się właśnie wielka federacya wszystkich naukowych towarzystw i akademii, to są wysiłki, które z natury rzeczy pomagają do powszechnego zbliżenia się ludzi i do braterstwa. Objawia się też w piękny nieraz sposób wzrastające poczucie wspólności. Zdarzy się jakaś straszna katastrofa, czy to pożar teatru w Wiedniu, czy trzęsienie ziemi w Lublanie lub na Martynice, czy rzeź Armeńczyków, zaraz ze wszystkich stron świata sypią się hojne dary, odzywają się litościwe serca, czułe na nędze w imię ogólno-ludzkich ideałów. Nie zbywa więc także, jak widzimy, na dążnościach, spójnię między ludźmi wytwarzających, nie zbywa nawet na wysiłkach, których celem objąć całą ludzkość i połączyć wszystkie jej narody, warstwy i stany węzłami wspólnej miłości i braterstwa.

Ale jeżeli teraz zrobimy bilans i zestawimy wszystkie te

siły, które ludzi zbliżają, z tem wszystkiem, co ich rozdziela i do wzajemnej walki podnieca, to musimy przyjść do przekonania, że niestety czynniki nienawiści silniejszymi są od czynników spójni i miłości. Dążności odśrodkowe i siły odpychające występują pomimo wszystkiego energiczniej, a skutki ich działania są o wiele wyraźniejsze. Samolubstwo ciągle wzrasta wobec coraz cięższej walki o utrzymanie życia, poczucie zaś ekonomicznej wspólności, uznawane w teoryi, w praktyce jest przecież jeszcze bardzo słabe. Zawiści klasowe rozjątrzyły się w sposób niezwykły. Próżność narodowa i chęć gnębienia jednych narodów przez drugie nie tylko nie osłabła, ale raczej wzmaga się bezustannie. Nie na wiele przydaje się fakt wzajemnego zbliżania się ludzi przez podróże, najdrobniejsze nawet plemionka i narodziki zasklepiają się w sobie, a im są słabsze, z tem większą patrzą na resztę świata niechęcią, Ludzie unikają wzajemnej wymiany zdania, gdyż obawiają się brutalnych wybuchów namiętności, życie towarzyskie ustaje, nawet parlamenty budzą już wstręt i obrzydzenie, każdy poszturkiwany na wszystkie strony przez drugich zasklepia się w sobie. Terroryzm dziennikarski napawa wszystkich obawą i niepokojem, większość własnemi tylko hypnotyzuje się myślami, każdy czyta tylko to, co mu dogadza, stąd wielka ciasnota poglądów. Dodajmy do tego rozstrój nerwowy, który rozwija się u wielkiej liczby jednostek skutkiem niehygienicznego życia, a będziemy mieli wcale niewesoły obraz tego, co się naokoło nas dzieje. Czyż czynniki spójni i miłości zdołają to wszystko przełamać? Na początku zeszłego wieku nie było ani tych komunikacyi, co teraz, ludzie znali się o wiele mniej, o takiej jak dzisiaj organizacyi czy to handlu czy przemysłu nikt jeszcze nawet nie marzył, umiejętności stały o wiele niżej, a jednak braterstwo ludów a nawet wzajemna przyjaźń i przychylność ludzka były znacznie większe. W ciągu zaś stu lat ziemia skurczyła się, ludzie zbliżyli się niesłychanie ku sobie, umysł badawczy poczynił iście zdumiewające zdobycze, a jednak suma wzajemnych nienawiści spotęgowała się i wzrosła. Czyż to nie daje do myślenia?

Jeżeli więc ludzkość ma zatrzymać się na drodze do rozstroju i anarchii, to jednak byłoby niezbędnem, aby dążnościom ludzi kojarzącym przyszła z pomocą jeszcze jakaś potężniejsza siła, którąby przeważyła szalę na korzyść czynników ludzi ku sobie zbliżających, a w takich warunkach mogłoby się nawet to wszystko, co jest różnorodne, mogłyby pierwiastki społeczeństwo różnicujące stać się bardzo zbawiennymi. Taką siłą mogłaby stać się tylko jakaś wielka i wzniosła idea, zdolna do rozbudzenia nader silnych a wszystko ogarniających uczuć. Ani idea interesu ani pragnienie dobrobytu taką siłą być nie może, gdyż one więcej ludzi dzielą, niż łączą, Komunikacye, nauka, dziennikarstwo okazują się jednak za słabemi, skoro pomimo ich ciągłego rozwoju działanie sił odśrodkowych wzrosło. Greków do obrony wobec Persów zespoliła wielka idea i wielka promieniejąca z niej miłość, tak samo i wojny krzyżowe zjednoczyły różnorodne żywioły w imię przywiązania i miłości do wielkich, świętych a powszechnych ideałów i teraz więc byłby potrzebny jakiś czynnik, któryby na dusze, na uczucia podziałał, te uczucia uszlachetuił i pogłębił. Gdzież więc szukać takiej idei? Czy może tkwi ona w socyalizmie? Wszak zapowiada socyalizm taką organizacyę społeczną, w której mają zniknąć wszelkie odśrodkowe dążności, wszyscy mają się połączyć we wspólnej pracy na rachunek ogółu, który będzie równocześnie obejmował rachunek każdej jednostki z osobna. Nie należę do ludzi, którzyby na ruch socyalistyczny ze stronniczego patrzyli stanowiska, uznaję nawet jego żywotność, jako działania skierowanego przeciw rozpanoszonemu społecznemu samolubstwu i przeciw gospodarczej anarchii. Ale przecież zdaje mi się, że socyalizm zharmonizowania różnorodności przeprowadzić nie zdoła, on albo wszelką różnorodność zniszczy, a całe społeczeństwo ujmie w karby jednostajnej, przymusowej organizacyi, w takim zaś wypadku rozpocznie się starość i tężenie naszej kultury, albo też ulegnie i pójdzie w służbę dzisiejszych państw. Socyalizmowi jednej brakuje rzeczy, brakuje mu religii! Skoro już wszystko urządził i podzielił, zapytany, co dalej? musi odpowiedzieć

sam sobie, jak Pankracy: „O myśli moja czyż nie zdołasz siebie łudzić, jak łudzisz drugich!“

Tylko religia odpowiada na pytanie, co dalej, ona jedna więc ma na tyle siły, aby ludzi, przy zachowaniu różnorodności, skupić. Wobec śmierci i Boga wszyscy są równi! Wobec zaś myśli o przyszłych losach duszy po śmierci, czemżeż są wszelkie życia tego drobiazgi? Nie każda jednakże religia może spełnić posłannictwo ostatecznego skojarzenia ludzi między sobą. Istniały przecież już w starożytności i istnieją dzisiaj jeszcze religie, które nienawiści podniecają, a różnice klasowe utrzymują nawet po śmierci. Dzieła prawdziwego zjednoczenia ludzkości może dokonać tylko ta religia, która już raz takiego dokonała cudu, uczy bowiem, że wszyscy ludzie są dziećmi jednego Ojca i jedną wspólną mają ojczyznę, a tą jest religia chrześcijańska. Niestety, chrześcijaństwo wskutek ułomności ludzkiej uległo w niektórych swoich częściach również działaniu sił odśrodkowych. Pierwotnie jednolite, rozpadło się następnie na szereg wyznań, z których niejedne nienawidzą się wzajemnie, czyż mogłyby więc one dokonać dzieła miłości i zjednoczenia? Chyba nigdy! Zjednoczenie ludzkości pod wpływem religijnej idei jest możliwe nie przez różnorodne wyznania, lecz tylko pod sztandarem jednej, wielkiej, wspólnej a powszechnej religijnej organizacyi. Prawdziwą spójnią dla ludzkości może stać się tylko religia nie zaś różnorodne religie. Znam tylko jedną na całej kuli ziemskiej religię, która posiada wszelkie po temu warunki, aby spełnić takie wobec ludzkości posłannictwo. Religią tą jest religia chrześcijańsko-katolicka, ujęta w organizm powszechnego katolickiego Kościoła. Tylko katolicyzm posiada na tyle jedności i siły, że może zawsze pozostać religią, a nie rozpaść się na religijne wyznania. Z drugiej zaś znowu strony tylko Kościół katolicki pozostawia każdemu wolność w pielęgnowaniu innych duchowych skarbów. Katolicyzm jest jedyną światową religią, która nie bierze wszystkich narodów pod jeden strychulec, która nawet odrębności popiera, usiłując tylko zharmonizować je na tle powszechno-ludzkich przeznaczeń. Wszystkie inne religie albo równają umysły i do jednego obniżają poziomu,

jak np. mahometanizm lub z chrześcijańskich wyznań prawosławie, albo też są one za słabe, aby jednolitemi pozostać religiami, rozpadają się więc i różniczkują na mnóstwo wyznań. Do takich religii należy buddaizm a także protestantyzm, o którym dzisiaj można już śmiało powiedzieć, że *quot capita tot religiones*. A więc tylko katolicyzm posiada przymioty, które go uzdalniają do przeważenia szali i do utrzymania równowagi między tem, co ludzi łączy. Co tu mówię, to nie jest frazes. Katolicyzm nie jest jakimś jeszcze niewypróbowanym czynnikiem, to nie idea, która ma dopiero okazać, co potrafi. On już zdał dziejowy egzamin! Już dwa razy świat podbił i zjednoczył i to w stokroć gorszych warunkach, niż dzisiejsze. Najpierwej przeobraził do gruntu i zjednoczył starożytny świat pogański, następnie zaś pokierował niesfornymi ludami feudalnej Europy. Prawda, że później sam przez czas jakiś uległ odśrodkowemu działaniu, ale teraz kto może pozostać obojętnym na widok, jaki przedstawia Kościół katolicki i katolicyzm!

Na początku zeszłego stulecia jeszcze słaby i poniżony, przedmiot szyderstw nawet ze strony tych, którzy się do jego sług zaliczali, przedstawia się obecnie Kościół katolicki jako potężna, 250 milionów członków licząca społeczna grupa, zgodna i najzupełniej jednolita. Proszę pokazać mi państwo, które liczyłoby 250 milionów poddanych, a mogło utrzymać się bez wojska, bez policyi, tylko dobrą i zgodną wolą jednostek. Podczas gdy wszystkie inne religie przedstawiają widok do najwyższego stopnia chaotyczny, podczas gdy prawosławie utrzymuje tylko siła rządu, a protestantyzm prawie już nie zasługuje na nazwę religii, to w katolicyzmie panuje jedność i zgoda. Proszę nie dać się zwieść takiemi sztuczkami, jak np. ruch „p r e c z z R z y m e m“, to zjawiska, które siłę i potęgę katolicyzmu niezbicie stwierdzają. Katolicy sami mogą śmiało zawołać: precz z letnimi i obojętnymi, idźcie sobie gdzieindziej, my was nie potrzebujemy. Wszak przybytek dzieci katolickich wyrównywa prawie codziennie to, co ruch pod hasłem „precz z Rzymem“ do tego czasu Kościołowi odebrał. Katolicyzm, jeżeli ma spełnić swoje wobec ludzkości posłannictwo, potrzebuje jak największej jedności

i zgody, potrzebuje również płomiennych uczuć i pełnego energii działania; dla obojętnych więc miejsca tu niema, niech idą, zdałoby się nawet jeszcze gruntowniejsze oczyszczenie. Ruch społeczny w Kościele również potężnieje i rośnie, także i ruch naukowy katolicki zaczyna w coraz wyższym stopniu powszechną na siebie zwracać uwagę. Zaniedbali katolicy w poprzednich wiekach uprawę nauki, przestali być, czem byli prawie aż do końca XVI wieku i zeszli pod tym względem wobec protestantów i przedstawicieli wolnej myśli na drugi plan, zaczęto więc stawiać katolicyzm na równi z obskurantyzmem; obecnie już się to skończyło.

Nadeszły więc teraz istotnie w dziejach nowoczesnego społeczeństwa czasy przełomu, albo wezmą górę bardzo teraz silne i wzmocnione siły odśrodkowe, a wówczas Europa przechyli się do upadku, zacznie się powolny rozstrój i zanik, albo też pierwiastki spójni, wsparte przez katolicyzm, przemogą i zdołają utrzymać pełną harmonii wśród różnorodnych dążeń równowagę, a w takim razie zmierzamy do epoki najwspanialszego duchowego rozkwitu, jakiego ludzkość z pewnością nigdy jeszcze nie zaznała.

Czują to doskonale wrogowie Kościoła, że ten wielki rozkwit przyszłości, który mógłby przewyższyć wszystko, na co patrzał czy wiek V-ty przed Chr., czy XIII-ty po Chr., jest możliwy tylko pod sztandarem katolickiej idei, dlatego też tak srodze na Kościół się zawzięli. Powiadają sobie bardzo słusznie, albo teraz musimy go zgnębić, albo sami zginiemy. Wszędzie więc szykują swoje szeregi i wiodą je do ostatecznego na Kościół ataku. Przekonali się, że praca naukowa sama nie wystarcza. Wezwali na pomoc nauki przyrodnicze, wezwali krytykę historyczną, daremnie, jakoś ludzie wierzyć im nie skorzy, cokolwiek rozłożą, to po jakimś czasie głębszy krytycyzm złoży na nowo. Wydali wrogowie przeciw katolicyzmowi także polityczne hasła, zawzięli się, aby katolikom odbierać szkoły, aby tamować katolicki ruch społeczny. Sypią się na Kościół papierowe gromy w formie grubych dzieł i cienkich broszur, spadają nań pociski w formie najrozmaitszych rządowych ukazów,

ale Kościół wytrzyma to wszystko, walka robi go coraz silniejszym, coraz potężniejszym i bardziej w sobie skupionym i zwartym. Niepokój więc i zamieszanie wśród wrogów widoczne, herezyi potrzebaby im w Kościele, odstępstwa lub schizmy — a tu ani rusz! A więc gdy jakaś gmina na Korsyce oświadcza, że występuje z Kościoła, bo się przekonała (szkoda, że dopiero teraz), że katolicyzm jest w niezgodzie z nauką, podnosi się zaraz okrzyk tryumfu. Faktów jednak takich niestety tak mało, że aż wstyd, a więc do bajek i plotek się biorą, wmawiają w katolików angielskich np. lub amerykańskich, że oni radziby się od Rzymu oderwać, że im to rzymskie jarzmo cięży i t. d. To wszystko, jak powiedziałem, dowodzi tylko, jak wielki w obozie przeciwników niepokój.

Chwila zatem, w której obecnie żyjemy, pełną jest naprężenia, pełną dramatycznej grozy, któż może już dzisiaj powiedzieć, jak się sprawy w dalszym toku dziejów obrócą? Czy może zwyciężą siły odśrodkowe, czy Europa popadnie w stan anarchii i powolnego marazmu? A może przeważą siły skupiające i katolickie?

Aby jednak ta ostatnia możliwość spełnić się mogła, muszą do tego przyczynić się przedewszystkiem katolicy, nie folgując sobie w znoju i pracy. Dla tak wielkiej idei warto zaiste nieść i życie w ofierze. Ale to nie dosyć, katolicy muszą także nauczyć się patrzeć naprzód przed siebie. Nowożytnymi musimy stać się ludźmi, nowożytne odczuwać potrzeby. Do trzynastego wieku wracać jest rzeczą bezwzględnie już niemożliwą. Bieg dziejów wstecz się nie cofa. Starajmy się raczej dla nowożytnych czasów z XX wieku zrobić to, czem dla średnich wieków był wiek XIII. Nie potrzeba nam wojen krzyżowych, duchowy bój pod hasłem krzyża na całym można dzisiaj prowadzić świecie. Wszystko, cokolwiek ludzi łączy i spaja, niechaj nam będzie sprzymierzeńcem, a więc tak dobrze organizacya gospodarczo-społeczna, jak techniczne wynalazki i komunikacye, zarówno oświata, jak nauka. Czasy feudalizmu już się nie wrócą i niech nas Bóg od tego chroni, aby się wróciły. Niema bliższych sobie

idei jak chrześcijaństwo i demokracya. Potrzeba tylko, aby demokracya stała się chrześcijańską, a zaraz odśrodkowe siły w niej się zrównoważą.

Skoro nowożytnymi katolicy staną się ludźmi, skoro sztandar doczesnego postępu w swoje ujmą ręce, zaraz okaże się, że słusznie nazwał racyonalista Harnack katolicki Kościół „zawsze starym i ciągle nowym“. Takim będąc istotnie, oby stał się wkrótce całą ludzkość jednoczącym czynnikiem.

Prof. Dr. Maurycy Straszewski.



NOWA POWIEŚĆ ROSYJSKA.

I. MAKSYM GORKIJ.

I.

Rozgłos. Życie.

„Z ludowej toni wypłynął na wierzch utalentowany pisarz i wnet podbił czytającą Rosyę. Mówię o Gorkim: książki jego rozchodzą się z niesłychaną szybkością, imię jego mknie lotem z ust do ust w milionowych zakątkach, gdzie tylko tli się życie umysłowe. Od Petersburga do Tyflisu i od Warszawy do Władywostoku niezawodnie znajdą się wszędy namiętni wielbiciele tego nowego talentu: rozprawiają o nim, gorące toczą spory“...[1].

Tak rozpoczyna studyum jeden ze stu krytyków rosyjskich, którzy jednomyślnie okrzyknęli niezwykły talent w powieściopisarzu, różniąc się chyba w rozbiorze szczegółowych znamion. Podobno pierwszy Amfiteatrow (Old Gentleman) w krótkiej notatce na łamach *Nowego wremieni* miał odwagę wróżyć Gorkiemu sławę Antoniego Czechowa. Drugi M. Protopopow w *Ruskiej Myśli* w 1895 uznał szczery talent u autora *Czełkasza,* wydanego właśnie w jednem z czasopism. Ale z chwilą zbiorowego wydania rozsypanych po pismach opowiadań, wszyscy celniejsi krytycy rosyjscy zabierali głos, entuzyastycznie chwaląc zalety, oględnie mówiąc o niedostatkach. M. Michałowskij stwierdza,

[1] M. Mieńszykow w art. p. t. „Nadobny cynizm“.

że twórczość Gorkiego dostarcza czytelnikowi rozkoszy artystycznej, że można go nie tylko czytać, lecz odczytywać i że pozostanie on w literaturze, choćby nic więcej nie napisał[1]. A. Wołyński widzi w talencie jego potęgę, rozum badawczy, zdolny nie tylko do rozwoju, ale do wnikania w głębokie sprzeczności życia, zdolny do wzlotu ponad nie i do płomiennych porywów ku wzniosłemu pięknu[2]. T. Batiuszkow porównywa Gorkiego z nowellistami Włoch i Francyi z XV i XVI wieku i uważa w nim głównie artyzm formy, odtwarzającej do złudzenia wiernie życie[3]. Nawet surowy i nieprzejednany W. Burenin godzi się na to, że Gorkij ma talent żywy i oryginalny, że zakres zjawisk — acz nierozległy — odtwarza w oświetleniu wyraźnem, niepozbawionem poezyi[4]. Za nimi legion studyów, rozbiorów, porównań i zestawień, wielbiących, pełnych zachwytu i uniesienia.

„Gorkij i idee jego nowych powieści" Oboleńskiego, „Gorkij i Łomonosów" W. Bariatyńskiego, „Maxym Gorkij i Pieczerskij" Wolfa, „Roztęskniony talent", „Nadobny cynizm" i t. d. i t. d. — różni krytycy w mnogich miesięcznikach i tygodnikach wciąż piszą o tym powieściopisarzu, wyszukując coraz inne jego zalety. Niemniej łakomie pochłania i publiczność rosyjska utwory swego ulubieńca.

W 1899 roku w Petersburgu Gorkij wystąpił na wieczorku literackim; zaledwie pojawił się na estradzie, zerwała się burza oklasków i okrzyków, długo nie milknących. W kwietniu następnego roku artystka Jaworska urządziła wieczór muzykalno-literacki, na którym produkowano wyłącznie utwory Gorkiego lub o Gorkim. Kiedy już ustały owacye na cześć artystów lub literatów, dały się słyszeć burzliwe okrzyki i wołania: „telegram posłać!" Wnet ułożono go i publiczność wraz z tymi, którzy uroczysty wieczór inscenizowali, połączyła się w gorąco odczutych wyrazach hołdu i wdzięczności za podniosłe chwile...

---

[1] *Ruskie Bogactwo* 1898, nr. 10, str. 56.
[2] Wołyński: „Walka o idealizm". Petsbg. 1900, str. 344 i d.
[3] „Szkice i notatki krytyczne". Petsbg. 1900, str. 145 i d.
[4] *Nowoje wremia* 1900, nr. 8654.

Jeszcze wymowniej świadczy wydawnictwo dzieł jego. W przeciągu paru lat ostatnich rozeszło się w samej Rosyi sto jedenaście tysięcy tomów, a w tej chwili pięciotomowe wydanie *Znania* całkowicie wyczerpane, tak, że wydawcy ledwo z drukiem nadążyć mogą zapotrzebowaniom. Rozważmy. Pierwszy swój utwór: *Makar Czudra* pisał Gorkij w 1892. W przeciągu zatem lat dziesięciu wysunął się na czoło pisarzy rosyjskich, pozyskał tam setki tysięcy czytelników, zdobył taki rozgłos w Europie i Ameryce, że go tłumaczą na wszystkie języki, rozwarł dziełami swemi wrota petersburskiej akademii, słowem osiągnął to, na co nawet wielkie talenty życie łożą. On zaś ledwie że dopełnił lat trzydziestu życia. Urodził się 14 marca 1869 r. w Niżnim Nowgorodzie w rodzinie farbiarza Kaszirina, jako syn jego córki i tapicera Pieszkowa. Ojciec rychło umarł, matka powtórnie wyszła zamąż i oddała chłopca familii dziadka, właściciela domów i fabryki, człeka bogatego i pobożnego. Tam nauczył się czytać. Gdy atoli dziadek zbankrutował, rodzina kazała chłopcu uczyć się szewstwa. Odtąd, t. j. od 9 roku życia jakaś moc niezgłębiona pędzi go po świecie: wciąż zmienia miejsca pobytu, zmienia zajęcia i rodzaje zarobkowania. Zbiegłszy od szewca, służy u rysownika, u malarza ikon świętych, uczy się kucharstwa na parostatku, gdzie rozmiłowywa się w lekturze. Nauczycielem jego staje się kucharz Michał Smury, były podoficer gwardyi, człowiek bajecznej siły, prostak i dziwak. Woził ze sobą kufer książek i zapalał do ich czytania.

Odtąd Gorkij — jak pisze sam w swej biografii — poczuł „okrutną chciwość nauki". Piętnastoletni chłopiec jedzie do Kazania i pragnie wstąpić do uniwersytetu. Nie ma czem jednak opłacić swej żądzy wiedzy i znów staje się chłopcem piekarskim z miesięczną pensyą trzech rubli. Nie ostał się i tutaj: kolejno był drwalem, ogrodniczkiem, tragarzem, sprzedawał jabłka, służył jako stróż kolejowy, nosił kwas bawarski, nareszcie znalazł przytułek jako pisarz u Aleksandra Łanina, tego samego adwokata, któremu poświęcił pierwszy tom dzieł swoich. Był to po Smurym drugi opiekun i nauczyciel powieściopisarza. Skończyły się na pozór lata włóczęgi, lata piekącej nędzy tak doku-

czliwej, że w 1888 nie mógł znieść życia i postrzelił się, co go uwolniło od służby w wojsku, gdzie — jak pisał — „dziurawych nie potrzebują“. Łanin nie długo opiekował się Gorkim. Wprawdzie Gorkij wyznaje: „wpływ jego na moje wykształcenie był nieskończenie wielki. Jest to nader szlachetny człowiek, któremu najwięcej zawdzięczam;“ pomimo tego w 1892 roku spotykamy młodzieńca w Tyflisie przy ślusarskiej pracy w kolejowych warsztatach. Tam w dzienniku *Kaukaz* wyszedł *Makar Czudra*. W rok potem autor tej powiastki wrócił do Nowgorodu i zapoznał się ze sławnym twórcą „Ślepego grajka“, Korolenką, który wprowadził debiutanta do literatury. Nie minęły trzy lata, a były szewczyk, były piekarz, ogrodnik, drwal, przekupień, ślusarz, stróż, kucharczyk, włóczęga, bosiak, bez systematycznych studyów, bez pisarskiej rutyny — zdobywa sobie rozgłos, bogactwo, imię szerokie, jak szeroka jego ojczyzna.

„Napisz pan — chełpi się w liście do Gorodeckiego — koniecznie napisz: jego — Gorkiego uczył pisać Korolenko, a jeżeli Gorkij mało sobie odeń przyswoił, to winien on sam, Gorkij. Pisz pan: pierwszym nauczycielem Gorkiego był żołnierz-kucharz Smury, drugim adwokat Łanin, trzecim Aleksander Kalużny, człowiek wyrzucony poza nawias społeczeństwa, czwartym Korolenko“...

Czem się to stało? Jaki czarodziejski talizman zamknął szczęśliwy pisarz w karty swych książek, że tak mu otworem stanęły serca i głowy? Przyczyn powodzenia bardzo dużo. Jedną z nich jest dogodna chwila nastroju umysłowego w Rosyi. Kipi tam obecnie walka pomiędzy ludowcami a marksistami, walka na razie akademicka, staczana w klubach, towarzystwach, salach odczytowych, zgromadzeniach, artykułach i książkach. Powieści Gorkiego stanowią jakoby żywą, drgającą siłą i potężnym wyrazem illustracyę wywodów i jednej i drugiej partyi. Ludowcy odkryli tego pisarza i wskazując figury jego włóczęgów, obwiniają przemysłowy kapitał, który wczorajszego rolnika zamienia we włóczęgę i bosiaka. Marksiści w chwaleniu i zachwycie prześcignęli ludowców; oni w Gorkim widzą geniusza, otwierającego nową epokę: jego bohaterowie to potężny zastęp ludzi nieza-

dowolonych, ludzi najwyżej ceniących wolność osobistą, gotowych na upartą i nieprzejednaną walkę z nędznem społeczeństwem burżuazyjnem... Ale i trzecia warstwa — intelligencya i szlachta uważa Gorkiego również za swego apostoła. Krytyk *Graždanina* i *Moskowskich Wiedomstiej* mówi: „P. Gorkij wydaje mi się jedynym i nieuznanym dotąd na Rusi apostołem miłości bliźniego, a to wzniosłe przeznaczenie poczyta mu się za zasługę, gdy stanie się wielkim twórcą duchowego ozdrowienia narodu“ i t. d. Książęcy organ schlebia więc, pragnąc tym sposobem młodą siłę sobie zjednać zawczasu. Chwila walk i antagonizmów ostro występujących podatną jest tedy dla autorskiego rozgłosu pisarza z proletaryatu. Ale nietylko w tem tkwi tajemnica sławy. Gorkij w całym szeregu powieści maluje typ *bosiaka-brodiagi, złotorotca,* jak go nazywa, w jego różnorodnem przeobrażaniu się pośród rozległych stepów południa i zachodu, w ludnych miastach portowych, w ustronnych wioskach, na bezrobociu, przy krwawym trudzie, w szynku, w domach rozpusty, wśród chłodu i głodu, przy zbrodni i w bohaterskich niemal czynach — słowem, w najrozmaitszych momentach życia. Jest to ulubiony człowiek Gorkiego. Sam on doświadczał tego losu. Gorzkie owoce życia tak długo i w takiej bujności spożywane, bardzo subtelna, bystra spostrzegawczość, doskonała pamięć, dar plastycznej wyobraźni, rozum pogłębiony lata trwającą lekturą i rozmyślaniem, uczuciowość dość silna, by mogła przeniknąć się cierpieniem i rozkoszą mnogiej rzeszy, a nadewszystko wewnętrzny, nie dający się niczem uśpić, przymus tworzenia ludzi, scen, propagowania własnych myśli, posiewu i apostolstwa na rozległe obszary dusz i serc: — te to motywa zrobiły Gorkiego niezwykłym pisarzem, usiłującym narodowi wskazać nową warstwę społeczną.

„Trzeba być dziecięciem cywilizowanej sfery społeczeństwa, aby znaleźć w sobie siłę spędzenia w niej całego życia, aby nie zapragnąć choć raz uciec z zaciśniętego koła uprawnionych przez obyczaj drobnych jadowitych fałszów, od chorobliwych ambicyi, sekciarstwa myśli, wszelakiej obłudy, słowem z owej ziębiącej uczucie i zwyrodniającej duszę czczej kręta-

niny. Jam się urodził i wyrósł poza tą sferą i skutkiem tego nie mogę jej kultury w wielkich dozach chłonąć; wnet zjawia się u mnie nieodzowna potrzeba rozsadzenia obręczy i odświeżenia się. Na wsi prawie tak samo nieznośnie duszno i smutno, jak śród intelligencyi. Najlepiej pogrążyć się w miejskie rynsztoki, gdzie choć błotnisto, ale wszystko tak proste i szczere, że bardzo zajmuje, bardzo krzepi i nie wymaga żadnych środków oprócz dobrych wytrwałych nóg“ [1]. Temi słowy tłumaczy autor i siebie i swych bohaterów; można atoli bez nadzwyczajnej przesady popęd włóczęgowski uznać za rys narodowy. „Włóczęgostwem żyła Ruś długo po czasach, kiedy się zwarła w mocarstwo; włóczęgi rozszerzały jej granice i broniły jej niepodległości wobec natłoku koczujących hord ze Wschodu i Południa; włóczęgi kolonizowały Północ, zdobyły Sybir, zaludniły Don i Ural wtedy, kiedy jeszcze wyraz nie miał właściwego znaczenia. Włóczęgostwo — owa rdzenna właściwość narodu — jako wolne przejście z jednej ziemi do drugiej, żyje i dziś u ludu na wszystkich drogach, aczkolwiek zmieniły się normy i odcienie“ [2]. Gorkij w swych dziełach usilnie dąży do tego, aby wskazać włóczęgów, jako osobną warstwę, nie tai on jednak, że są to ludzie łaknący i spragnieni, bardzo źli, choć wcale nie głupi. Jacy są w istocie — niech mówią przykłady.

II.

Bohaterowie [3].

Jedną z pierwszych prób sportretowania *brodiagi* był napisany w r. 1873 *Emelian Pilaj*. W trzech wiorstach od Odessy dwaj ludzie głodni, bez zarobku leżą na piasku nadmorskim,

---

[1] II, 51. Wszędzie cytuję pięciotomowe wydanie dzieł Gorkiego, dokonane przez Towarzystwo „Wiedza“ (Znanie). Petersburg. 1901.

[2] S. Maxymow: „Katorga i Sybir“, t. II, str. 195.

[3] Różnego rodzaju i rozmaitych odcieni włóczęgów maluje Gorkij w opowiadaniach: *Makar Czudra*, *Emelian Pilaj*, *Archip i Lenka*, *Czełkasz*, *Starucha Izergil*, *Odnażdy osieniu* („Raz jesienią“), *Oszibka* („Omyłka“), *Moj sputnik* („Mój towarzysz podróży“), *Dieło z zastiożkami* („Sprawa klamerek“),

a fala, zalewając wybrzeża z miękkim pluskiem, muska ich bose i brudne stopy. Mają wędrować za robotą, gdzie się sól dobywa. Ci dwaj: to sam Maxym i Emelian. Ostatni nielada filozof i marzyciel.

— Ech, żeby tak teraz morze wyrzuciło z tysiąc rubelków. Zarazbym założył szynk, ciebie zrobił pomocnikiem, sobie urządził pod szynkwasem legowisko i wprost z beczułki przeprowadził rurkę do gęby. Jak się zechce zaczerpnąć u źródła rozkoszy, krzyczę: Maxym, odkręcaj kurek — i gul, gul, gul... Łykaj, Emelianku! Dobra nasza, niech licho porwie. A chłopa, czarnoziemnego pana — uuu! grab i odzieraj ze skóry! wykręcaj go na nice!

— Cóżeśto taki surowy — upomina Maxym — nie widzisz, że i chłop głód cierpi?

— Co? Głód cierpi? Dobrze mu tak. Albo to ja nie głodny? Ja, bratku, od urodzenia głodny, a przecie Pismo św. nic o tem nie pisze. Taak! Głodny on — dlaczego? Nieurodzaj? U niego nieurodzaj przedewszystkiem we łbie, a potem dopiero w polu. Czemu to w innych krajach niema nieurodzaju? Bo tam głowy nie do pozłoty — tam myślą. Tam, bratku, deszcz da się odłożyć do jutra, gdy go dziś nie trzeba i słońce można przykryć, jeśli nazbyt piecze. A u nas jakie sposoby? Ot — same głupstwa. Ach, gdyby tak tysiąc rubelków...

Spotkali oni w drodze do Oczakowa czabanów, którzy opłacili się tytoniem, słoniną, chlebem, a wówczas, podjadłszy do sytości, rozgadał się Emelian na dobre. Nie miał on skrupułów. „Groszowitego człeka po łepetynie gruchnąć — rzecz przyjemna, zwłaszcza jeśli się to urządzi roztropnie“ — tak zaczął swą gawędę, a gdy go Maxym ofuknął: — „ot, nie plótłbyś niedorzeczności“ — dodał: „to się z pewnością zrobi, wierz memu su-

---

Na płotach („Na galarach“), *26 i odna* („Dwudziestu sześciu i jedna“), *Konowałow, Suprugi Orłowy* („Małżonkowie Orłowy“), *Bywszie ludi* („Byli ludzie“), *Towariszczi* („Towarzysze“), *W stiepi* („W stepie“), *Malwa, Zazubrina, Kain i Artem, Drużki,* („Przyjaciele“), *Prochodimiec* („Wędrowiec“). Omawiam tylko utwory i postaci najcelniejsze a zarazem niezbędne do charakterystyki.

mieniu. 47 lat mam, a dwadzieścia suszę sobie głowę nad tą operacyą". Raz był już blizki celu. Służył w składach drzewa w Połtawie i ukradł kilkadziesiąt rubli. Odsiedział karę w rotach aresztanckich i włóczył się po mieście, aż znalazł przytułek w szynku złodziejskiego pasera, który mu nastręczył robotę. Kupiec Obojmow wraca wózkiem co tydzień z pieniędzmi przez rzekę Worskłę sam jeden. Miewa przy sobie zwykle parę tysięcy. Sprawa łatwa i pewna. Pilaj kupił dwunastofuntowy drążek żelazny i październikową nocą zapadł w gęstwinie koło popsutego mostu, przez który kupiec musiał jechać stępa. Przyczaił się i zdawało się, że pójdzie gładko: stuk! i basta! Aż tu słucha — od miasta ktoś idzie i płacze. Głos kobiecy zbliża się, zbliża, wreszcie z przeraźliwym jękiem jakaś kobieta pada na brzegu rzeki tuż koło niego. On cichuteńko leży, a ona zawodzi... Zrobiło mu się jakoś tak dziwnie koło serca, a wtem księżyc bladem światłem oblał kobietę i Pilaj ujrzał małe dziewczę szesnostoletnie, przystojnie ubrane, ładne... To zepsuło plan, rozrzewniło go, uczyniło opiekunem panienki...

Nie pamiętam, gdzie powiedział Goethe: „Szkoda wielka, że natura zrobiła z ciebie jedno indywiduum, bo z tego materyału można było wykroić dwóch ludzi: uczciwego człowieka i łotra". Otóż w każdym łotrzyku Gorkiego tkwi kawał uczciwego lub dzielnego człowieka, w każdym bądź jedna bądź też druga właściwość bierze górę. Przykładem takiego rozdwojenia jest *Czełkasz.* Nowellę tę wydrukował w r. 1895 Korolenko w swem pismie *Russkoje bogactwo;* krytyka zaliczyła utwór do najlepszych dzieł Gorkiego. W istocie czyta się go z tchem zapartym od początku do końca. Bohaterem stary, szczwany wilk, zajadły pijaczysko, odważny, sprytny złodziej Griszka Czełkasz. Był bosy, w starych wytartych spodniach, koszuli w strzępach, okrywających ruchliwe, suche, kanciaste kości, obciągnięte brunatną skórą. Długi, w sobie zwarty, kroczył zwolna po kamiennych płytach handlowego portu i zwracając swój garbaty drapieżny nos w różne strony, połyskiwał zimnem spojrzeniem szarych oczu, wypatrując kogoś wśród robotników. Bure wąsy, gęste i długie, wciąż drgały jak u kota, a ręce skrzyżowane z tyłu

pocierały się nerwowo krzywymi i chwytnymi palcami. Tu nawet śród setek figur — jak on obdartych, bosych i ostrych — zwracał od razu uwagę podobieństwem do stepowego sępa, drapieżnym wyglądem i chodem takim, jakby wciąż na cel brał — z pozoru posuwistym i spokojnym, w istocie czujnym i podnieconym na kształt lotu drapieżca.

Griszka właśnie upatrzył nocną wyprawę po łup bogaty i szukał pomocnika. Wreszcie ujrzał na ulicy młodego wieśniaka, obok którego spoczywała kosa: wracał z sianokosów do domu na wieś. Chłop miał bary szerokie, był rudy, z twarzą ogorzałą i dużemi, niebieskiemi oczami, które spoglądały dobrodusznie i z ufnością. Czełkasz zawiódł go do szynku, nakarmił, upoił, obiecał suty zarobek — i ciemną nocą we dwóch popłynęli łódką ku okrętom kupieckim. Czełkasz — złodziej i cynik — kochał morze. Kipiąca, nerwowa natura, chciwa wrażeń, nigdy nie przesyciła się ciemnym bezmiarem bezkreśnym, wolnym i potężnym... Na morzu powstawało w nim zawsze jakieś szerokie, ciepłe uczucie, ogarniało duszę i oczyszczało ją od życiowego kału. On cenił to i lubił czuć się lepszym tu, pośród wody i powietrza, gdzie dumy o życiu i życie samo tracą — pierwsze ostrość, drugie cenę. Nocami nad morzem w dal rozpływał się miękki poszum sennego oddechu, a ten nieujęty szmer wlewał w duszę ludzką ukojenie i pieszczotliwie przygładzając zgubne porywy, budził w niej potężne rojenia... (I, 87).

Dopłynęli do okrętu, Griszka chwycił się za coś, dźwignął w górę i znikł. Niebawem z okrętu spuścił w łódkę dwie wielkie sztuki jedwabiu po 500 rubli każda. Z powrotem był moment dramatyczny, kiedy straż cłowa poczęła rzucać po morzu długie smugi elektrycznego światła. Jak olbrzymi błękitnawy miecz siekało ono ciemnie, kładło się na toni i wtedy z głębin na chwilę powstawały czarne, milczące, osnute zwiewnym całunem nocnej mgły okręty. Minęli i to szczęśliwie, a Czełkasz poweselał i rozgadał się. W stwardniałej duszy włóczęgi, który już jedenaście lat żył po złodziejsku, odżyły wspomnienia młodości. Czuł się owianym kojącą strugą rodzinnego powietrza, które doń przywiało i miłe słowa matki i poważną mowę ojca,

mnóstwo zapomnianych dźwięków i soczystą woń roli, spulchnionej i pokrytej szmaragdowym jedwabiem ozimej runi... Czuł się z goryczą zgnębionym, upadłym, nędznym i samotnym, wyrwanym i wyrzuconym na zawsze z tej kolei życia, w której tworzyła się krew, płynąca w jego żyłach (I, 101).

Dotarli szczęśliwie do brzegu, oddali łup Żydom, Czełkasz dostał 540 rubli i ofiarował 40 z nich chłopu. Żądnemu pieniędzy Gawryle zapałały oczy na widok tęczówek. Naraz rzucił się do nóg Griszki i błagał z płaczem o wszystkie pieniądze. Czełkasz słuchał błagań, patrzał z pogardą na chłopa, wreszcie cisnął mu w twarz paczkę pieniędzy. — „Masz, psie! Żryj!... Sam miałem ci dać więcej, tylko czekałem: poprosi czy nie. A on — ech, nędzarz! Czy to się godzi upokarzać tak dla grosza? Chciwe dyabły! Za kopiejkę duszę zaprzeda"...

I czuł, że on, złodziej, opryszek bez domu i łomu, nigdy nie stanie się tak nikczemnie chciwym — a to napawało go uznaniem własnej swobody i dzielności.

Kiedy atoli głupowaty Gawryła wygadał się, że chciał Czełkasza zabić, Griszka poskoczył, obalił chłopa, rozdarł koszulę, dobył pieniądze i poszedł spokojnie. Ale Gawryła okrągłym kamieniem tak go w skroń ugodził, że padł we krwi na piasek. Przerażony chłop pomknął w step, ale za pół godziny wrócił i przekonawszy się, że Czełkasz żyje, padł mu do nóg z prośbą o darowanie winy. Griszka znowu wyjął pieniądze, setkę odjął dla siebie, a 440 rubli przemocą wtłoczył Gawryle.— Bierz, bierz! Nie bój się. Nie wstydź się, żeś mało nie zabił człowieka. Za takich, jak ja, nikt do odpowiedzialności nie pociągnie. Jeszcze podziękują, jak się dowiedzą.

— A darujesz mi? — pytał śród łez Gawryła.

— Bracie — odrzekł Czełkasz — za co? Niema za co. Dziś ty mnie, jutro ja ciebie...

Gorkij usilnie stara się otoczyć Griszkę nimbem wyższości. Natura tego robotniczego pasorzyta, przeżarta do dna przez rdzę życia, miewa pozornie niekiedy na krótkie mgnienia złotawe przebłyski szlachetności wobec biernej, nikczemnej i pożądliwej natury wieśniaka. Ale Czełkasz wzgardził pieniędzmi

łatwo nabytemi, a Gawryła z pewnością więcej wycierpiał męki strachu; jeżeli się w pół godziny przez kradzież pozyskuje znaczną kwotę i w jedną noc puszcza z dymem, to zrzeczenie się jej nie wynika ze wzniosłej ofiarności lub altruizmu, nie bywa też wypadkową jakichś szlachetnych składników duszy. O ile tedy podłość Czełkasza nie podlega wątpliwości, o tyle bohaterstwo jego na kruchych opiera się podwalinach — i obie figury, zjednoczone przypadkowo w działaniu występnem — etycznie warte są siebie... Natomiast sprytem, przebiegłością i pomysłowością w podstępach, spokojem i przytomnością umysłu, zwinnością muszkułów, odwagą wprost zuchwałą, płynną i rozsądną wymową Griszka ogromnie przewyższa chłopa. Jest w nim także właściwy *brodiagom* Gorkiego rys smętku i melancholii, skłonność do rozmyślania na temat przeklętych zagadnień, jak je sam Gorkij mianuje. Czują wyższość duchowego swego ustroju, zdaliby się na coś, a są na kształt śmiecia wyrzuceni ze społeczeństwa. Rodzi się w nich i burzy niedokwas jakiś, gorycz mętna i niezdrowa, jakaś złość i głucha nienawiść ku ludziom i życiu. Rozerwali pęta, idą wedle woli po szerokich rozłogach, a mimo całego zamiłowania wolności i swobody ruchów, zapadają co raz w odmęt jakiejkolwiek rozpusty i żują, bez końca żują pytanie: czemu życie tak złe, czemu oni nieszczęśliwi? A w istocie oni nieszczęśliwi dlatego, bo przy swej żądzy swobody są największymi niewolnikami własnego poniżenia.

Oto typowa figura włóczęgi — Konowałów (I, 1—67). Wziął ją Gorkij z czasów swej praktyki u piekarza i wyrzeźbił z upodobaniem. Konowałów był w kostiumie szczerego *bosiaka* — w czerwonej koszuli brudnej i podartej, w szerokich płóciennych szarawarach, na jednej nodze miał resztki kalosza, na drugiej skórzany trzewik. Lniane włosy skołtunione a w nich słomki, drzazgi, papierki, to samo w pysznej rudej brodzie, która niby rozwinięty wachlarz zakrywała szerokie piersi. Podłużną, bladą, zmęczoną twarz oświetlały oczy błękitne, wielkie, smętne. Białe wargi uśmiechały się, jakby mówiły: Taki już jestem... Nie wińcie mnie.

Konowałow miał siłę potężną, znał robotę jak mistrz; lubił pracę, martwił się, gdy się źle piekło albo ciasto nie rosło, lżył właściciela za wilgotną mąkę, a cieszył się, jeżeli się z pieca wyjmowało bochenki ładne, krągłe, wyrośnięte, rumiane, z cienką i chrupką skórką. Niekiedy jednak porywała go tęsknica, „taka tęsknica, że żyć nie mogę; jakbym sam tylko był na świecie, a zresztą żadnej żywej duszy“. Wówczas pił na umór. Konowałow słuchał z zachwytem, gdy mu Maxym odczytywał różne historye, a wtedy rozmyślał na swój sposób o ludziach i rzeczach — i chwalił autorów.

„Rozumieją oni więcej, niż inni i wskazują różne braki. Oto ja np. czem jestem? Bosiakiem, golcem... pijaczyną i człowiekiem przepadłym. Życie moje nie ma usprawiedliwienia. Po co żyję na ziemi i komu jestem potrzebny? Ani kąta własnego ani żony ani dzieci... Żyję i tęsknię... Za czem? Nie wiadomo. Tak, jakby matka wydała mnie na świat bez czegoś, co dla człeka nieodzowne. Niema we mnie dążenia ku czemuś, niema iskry w duszy, siły... słowem brak we mnie jakiejś cząstki duszy. Żyję i tej cząstki szukam i tęsknię, a czem ona jest, nie wiem“ (II, 20). Wówczas Gorkij mówił mu o warunkach bytu śród otoczenia, o nierówności stanów, o ludziach, jako ofiarach życia i o ludziach, jako jego kapłanach. On nie winien, że jest takim; on — jako fakt — zupełnie logiczny i uwarunkowany długim rzędem przesłanek z wieków minionych. Jest tedy smutną ofiarą warunków, istotą z natury równoprawną, jeno przeciągłym rzędem dziejowych krzywd ściągniętą na poziom socyalnego zera. Skrzywdzili go — i koniec. Konowałow słuchał, słuchał, a na pytanie, czy zgadza się z wywodem, odrzekł:

„Co do mnie — rzecz inna... Któż winien, że ja piję? Paweł, brat mój, nie pije, ma własną piekarnię. A ja pracuję nie gorzej odeń, jednak jestem włóczęgą i pijakiem... Wszakżeśmy dzieci jednej matki, on nawet młodszy odemnie. Zatem we mnie samym coś niedobrego się dzieje. Sam powiadasz, że ludzie są jednacy: urodzi się, pożyje, ile wypada i umiera... A mnie inna miara... Nie tylko nawet mnie, nas takich wielu. Dla nas trzebaby osobnej miary, praw odmiennych, surowych

praw, żeby nas tępiły. Nie przynosimy żadnej korzyści, a zajmujemy miejsce. Któż winien, żeśmy tacy? Samiśmy winni. Dlatego brak nam chęci do życia i siebie za nic mamy...“

Przez ten rys zagłady i potępiania siebie różnił się Konowałow od reszty włóczęgów, którzy winili i uskarżali się na świat, niepowodzenia swoje przypisywali losowi, złym ludziom i t. d. Czasami jak Czełkasz rozmarzał się i wpatrywał godzinami w niebo. Przyrodę kochał głęboką miłością, którą okazywał dziwny blask jego oczu i jakiś cichy, ukojony nastrój. Utrzymywał, że ciąży nad nim przekleństwo pijaństwa i włóczęgi. Wiedział doskonale, ilekroć przybliżała się godzina upadku. Czuł się nieszczęśliwym, pomimo tego rzucał pracę, dom, szedł do szynku, pił bez pamięci, aż przepił wszystko do koszuli — a wówczas ruszał w świat... Wkońcu powiesił się skutkiem melancholii.

Toń duszy jednaka u Konowałowa i Czełkasza. Poczucie znikczemnienia i bezużyteczności w życiu, poczucie samotności dokuczliwej, zdatność robocza niepowszednia, marzycielskość, umiłowanie przyrody, nieustanny niepokój, który pędzi człowieka, jak jesienny wicher liść strącony z drzewa — wszystko u obu jednakie. Czełkasz złodziej, zły i występny jak Emelian; Konowałow dobroduszny i względnie uczciwy, zatem lepszy.

Postać, której Gorkij poświęcił tyle uwagi, dobyta z głębi sfery dotąd niezbadanej w całej przerażającej swej rozciągłości, ma już jednak prototypy w literaturze powszechnej [1] i rosyjskiej. Turgeniew w utworze „Zrozpaczony“ *(Otczajannyj)*, Dostojewski w „Zapiskach z martwego domu“, Melszin w wielu powieściach *(Koniec Szełajskoj tiurmy, Pasynki żyźni)*, Lewitow, Glieb Uspienski, Mamin-Sibiriàk, Sieroszewski i inni malowali nieraz *brodiag* występnych, dyszących nienawiścią i żądzą zemsty na tych, których uważali za sprawców. Lew Tołstoj natomiast zauważył u ludzi ubogich w „Potędze ciemnoty“, „Panu i słudze“ albo „Zmartwychwstaniu“ wybitny rys bierności, niesprze-

[1] We francuskiej np. *La Chemineau,* drame p. Jean Richepin lub *Les soliloques du pauvre* p. Jean Rectus.

ciwiania się złu, a przytem skłonność do melancholii, smętek i tęsknotę, jak u Konowałowa. Temu brak popędu zbrodniczego, brak egoizmu, który rad odsuwa od siebie wszelką odpowiedzialność, zwala ją na innych i opancerza duszę rdzawą goryczą przeciw światu i życiu.

Ze wskazanych powyżej odmian *bosiaków* Emelian — choć na bezrobociu — jest jednak robotnikiem, Czełkasz zawodowym złodziejem, Konowałow piekarzem; śród bohaterów Gorkiego Archip żebrze i kradnie, dwudziestu sześciu pracuje w piekarni, Orłow szyje buty, Sieriożka (Malwa) służy u przedsiębiorcy rybołostwa i t. d.

Są jednak odmiany *złotorotców* prawie nic nie czyniących, jeno pogrążonych w przetrawianiu własnej nędzy, znikczemnienia i złości ku życiu.

Wśród takiego grona przebywał Gorkij w Kazaniu, w domu noclegowym dymisyonowanego rotmistrza Arystyda Kuwałdy i sceny z tego okresu maluje w opowiadaniu „Byli ludzie“ (II, 154). Dom ten stanowiła obszerna, posępna nora, oświetlona słabo małemi okienkami. Ściany z niebielonej cegły wyglądały czarno od kopciu, pułap z dna barek również do czarności zakopcony. W środku mieścił się wielki piec z paleniskiem, a naokoło pieca i wzdłuż ścian szły tapczany z kupkami łachmanów zamiast pościeli. Ściany czuć było dymem, od podłogi wiało wilgocią, tapczany wydawały woń potu i gnijących strzępów. Kuwałda dzień spędzał w krześle przed swem noclegowiskiem albo też w szynku naprzeciw domu kupca Pietunnikowa: tam jadł obiad i pijał wódkę. Był to szeroki w plecach, wysoki człek z ospowatą, opuchniętą od pijaństwa twarzą, okoloną brudno-żółtą brodą. Oczy miał duże, siwe, zuchwale — wesołe; mówił basem z charkotaniem w krtani i prawie zawsze w zębach tkwiła mu niemiecka porcelanowa fajka z giętkim cybuchem. Kiedy był zły, nozdrza garbatego, jasno-czerwonego nosa rozdymały się, wargi drgały, obnażając dwa rzędy wilczych, żółtych zębów. Był to wódz: koło niego gromadziła się cała szajka: jedni tworzyli stałą załogę, inni bywali czas jakiś, potem znikali i powracali znowu.

Drugie po rotmistrzu miejsce zajmował nauczyciel. Wykładał niegdyś w jakimś instytucie, ale skutkiem „pewnej historyi“ wydalono go; służył potem w kantorze garbarskim, skąd też musiał ustąpić; pełnił obowiązek bibliotekarza w prywatnej książnicy, następnie próbował kilku profesyi, nareszcie został pomocnikiem adwokata, zaczął pić i skończył na przytułku rotmistrza. Miał najlepsze serce w gronie. Czasami zbierał koło siebie uliczną dziatwę, kupował bułki, jaja, jabłka, orzechy, szedł z gromadą małego ludku w pole, ku rzece, tam się rozkładali obozem, najpierw chciwie pożerali łakocie, a potem zabawa. Chuda, szczupła a długa figura nauczyciela kurczyła się wśród małych stworzeń, które nie uznawały w nim powagi, nazywały go po prostu Filipem, wiły się jak piskorze, potrącały go, skakały mu na grzbiet, klepały po łysinie, chwytały za nos... On milczał, jakby się bał, że słowa mogą je zbrukać... Spędzał tak kilka godzin, a potem w zamyśleniu wracał do szynku i upijał się do niepamięci.

Ponieważ był reporterem gazetki, przynosił ją gronu noclegowemu i wtedy schodzili się wszyscy do wspólnej lektury.

Szedł gruby jak beczka Alexy Simcow, były leśniczy, obecnie przekupień zapałek, atramentu, czernidła na buty i lichych cytryn. Wyłaził z kąta Łukasz Martianow, zwany „Koniec“, który utrzymywał się grą w „rzemyczek“, „w trzy listki“, „w bankówkę“ i inne sztuczki równie dowcipne, lecz prześladowane przez policyę. Ociężale układał swe ogromne, nieraz srodze zbite cielsko na trawie, błyskał czarnemi oczkami i wyciągając rękę do butelki, pytał ochrypłym basem: — Można?

Zjawiał się mechanik Paweł Sołncew, trzydziestoletni suchotnik. Lewy bok miał przebity w bójce, a twarz żółta i ostra jak u lisa wciąż krzywiła się złośliwym uśmiechem. Cienkie wargi obnażały dwa rzędy czarnych, zniszczonych chorobą zębów, a łachmany na wązkich i kościstych barkach wisiały jak na manekinie. Przezwano go Ogryzek. Handlował on szczotkami łaziebnemi własnego wyrobu.

Wychodził dalej wysoki, zezowaty, tajemniczej przeszłości człowiek, nieśmiały i milczący, trzykrotnie karany za kradzieże.

Zwali go Półtora Tarasa, gdyż był o pół wzrostu wyższy od swego przyjaciela dyakona, wypędzonego za pijaństwo i rozpustę. Exdyakon, niziutki, gruby, z wypukłą piersią i krągłą kudłatą głową, dziwnie zręcznie tańczył i jeszcze dziwniej opowiadał plugawstwa. Bohaterami bajek jego bywali święci, królowie, książęta, generałowie; słuchając tych bajek, nawet załoga noclegowego domu z obrzydzeniem pluła i wytrzeszczała oczy w zdumieniu nad wyobraźnią exdyakona, który, mrużąc oczy, malował zimno bezwstydne i plugawe przygody.

Jednolitej akcyi w opowiadaniu brak; natomiast rysy potrzebne do charakterystyki osób zebrane obficie, zręcznie i dobrze uwydatniają figury. Kuwałda sam określa własne położenie w społeczeństwie. „Jam — człowiek były. Mnie wyrzucono na śmiecie — to znaczy, żem wolny od wszelkich pęt i więzów... Pluję na wszystko! Moim obowiązkiem jest odrzucić w kąt wszystką starzyznę... wszystkie względy i wszystkie wykrętasy etyki w stosunku do ludzi, żyjących w dosycie i darzących mię pogardą za to, żem w sytości i stroju im nie dorósł... Jam powinien wzbudzić w sobie coś nowego, coś takiego, żeby panowie w guście Judy Pietunnikowa, mijając mnie, czuli zimny dreszcz w wątróbce“... (II, 198). Bezdenna pogarda dla normalnych ludzi, poczucie swej wyższości umysłowej pomimo łachmanów i poniżenia — cechuje każdego ze zgrai i dziwnie zabarwia mowę, myśli, cały strój ich życia. Raz któryś ze złotorotców nazwał Kuwałdę „orłem na swojem stanowisku“. — Co to znaczy na swojem stanowisku — ofuknął rotmistrz. Nikt nie zna swego właściwego stanowiska w życiu i każdy z nas pcha łeb do cudzego chomonta. Miejsce Judy Pietunnikowa w katorżnych robotach, a on się śród białego dnia przechadza po mieście i chce nawet podobno stawiać fabrykę. Nasz nauczyciel powinien być koło ładnej baby pośród tuzina dzieciaków, a on tarza się w szynku... Życie tasuje nas jak karty i tylko przypadkowo na krótką chwilę trafiamy na właściwe miejsce“.

Pozbyć się nalotu etyki obyczajowej społeczeństwa, stać się groźbą i postrachem dla przeciętników — oto marzenie by-

łych ludzi. Nie jestże to marzeniem i nadludzi w rodzaju bohaterów Przybyszewskiego? Dla tego ostatniego również ciężarem są więzy etyki i pragnie być *jenseits von Gut und Böse.* U filozofa Kuwałdy w duszy kipi kłąb pytań przeklętych, nie daje mu tchnąć swobodnie, tłoczy się do głowy, wywołuje całe dyatryby, których esencya ohydnie jakaś marna i licha. „Nadejdzie chwila — i pomrzemy nie gorzej od innych. Jak żyjemy — to głupstwo. Ale umrzemy jak wszyscy. W tem — cel życia, wierzcie słowu memu. Bo człowiek żyje, aby umrzeć. I umiera. A jeżeli rzecz się tak ma, czy nie wszystko jedno, od czego umiera i jak żył? Martianow — mam racyę? Napijmy się więc jeszcze... i jeszcze, dopóki życia starczy" (II, 223).

Kiedy nakoniec całą tę szajkę rozpędzają, niektórzy jej członkowie martwią się o swój przytułek na przyszłość. Rotmistrz idzie do kozy, Martianow ma kogokolwiek zabić, byle się dostać do katorgi i t. p. Najmniej niepokoi się o byt swój siwowłosy starzec Simcow, gdyż ladacznica Riedka od dawna go wzywa, by żył z nią: ona go tedy weźmie na swe utrzymanie.

Życie karczemne, więzienia, domy rozpusty, to zwyczajny teren działalności bohaterów Gorkiego; cynizm, gotowość do krwawych bójek, złość, nałogowe pijaństwo — to ich dusza w dniach powszednich i świątecznych. Ale prawie nigdzie indziej niema takiego obnażenia zgnilizny duchowej, jak u byłych ludzi. Ostrość zepsucia Pilaja lub Czełkasza łagodzi się widokami czystej przyrody, morza, umiłowaniem czegoś, co zwykle drogie bywa sercom prawym. Konowałow znów ma rys jakiejś melancholijnej dobroduszności i łagodności. Ci zaś należą do najgorszych: w norze obrzydliwej żyją, niby to szukają prawdy, niby to dążą do zaprowadzenia wymiaru sprawiedliwości na ziemi, w gruncie sceptycyzm, zgnuśnienie, absolutna niezdolność do produkcyjnej pracy wyżarły w nich wszelkie poczucie wspólności z resztą świata i wyrzuciły poza stosunki: stoją oni istotnie *jenseits von Gut und Böse*[1]. Będę miał sposobność zająć

[1] Jeden z rosyjskich wielbicieli, Ignatow, w artykule „Filozofia włó-

się w dalszym ciągu filozofią autora i wskażę źródło bankructwa moralnego bohaterów; w tej chwili chodzi mi głównie o stwierdzenie głównych podwalin, na których opiera się duchowość tego słoju społeczeństwa.

Cynizm posuwa się jeszcze dalej w przedstawieniu dwóch figur, którym Gorkij poświęcił osobne opowiadania. Jedną jest Artem (III, 121—179), drugą Promtow (III, 191—237). Pierwszy trudni się takim samym przemysłem jak dopiero co wspomniany starzec Simcow. Jest to niezwykle piękny dwudziestopięcioletni atleta na Szychanie, przedmieściu jakiegoś portowego miasta. Kolos z głową ocienioną wijącymi się kruczymi splotami. Miękkie pukle w kapryśnych zwojach sypały mu się na czoło aż do cudnych aksamitnych brwi i wielkich czarnych oczu podłużnych i wiecznie powleczonych jakiemś połyskliwem zamgleniem. Nos prosty, klasycznie kształtny, usta purpurowe soczyste, okryte gęstym, czarnym wąsem. Szeroki w piersiach, wysoki i zgrabny, był postrachem mężczyzn. Nic nie robił: służył za pieniądze kobietom, które słały doń poselstwa i wabiły na schadzki. Od czasu do czasu Artem, leniwie grzejący się za miastem na słońcu, zstępował w ulicę: wtedy przewracał stragany, obalał i potrącał ludzi, rozsypywał i rozrzucał nagromadzone zapasy żywności, słowem — jak gdyby mścił się za coś...

Uchodziło mu to, bo miał potężną siłę. Raz siedmiu tęgich zuchów chciało go ugiąć i dać mu nauczkę: dwaj zapłacili mu za to bardzo drogo, inni lżej, ale mu nic nie zrobili. Innym razem mężowie-kramarze wynajęli rzeźnika, który nieraz pokonywał siłaczy cyrkowych, aby zatłukł Artema na śmierć. Artem wytrącił mu rękę ze stawu i ciosem p o d d u s z ę rozciągnął go na miejscu bez czucia. Nareszcie raz w nocy dopadli pijanego i zbili prawie na śmierć. Wtedy to uleczył go zimnymi

---

częgostwa“ mówi, że „postaci Gorkiego zewnętrznie brudne, niechlujne, pijane i brutalne, że jednak ta zewnętrzna brzydota nagradza się ich dążeniem do dobrego, do istotnej moralności, do większej sprawiedliwości, do troski o wyrugowanie zła w życiu. Czynią one tedy wrażenie perły, która upadła w kupę nawozu“. Jest to tendencyjne przeistoczenie prawdy albo zdumiewająca ślepota.

okładami Żydek Kain i doznawał odtąd czułej opieki Artema. Jakie uczucia kierowały Artemem w czasie owych występów niszczycielskich? Może była to zemsta ze strony człowieka pól i lasów; może czuł on, że miasto zaraża jego ciało i duszę swym jadem i zmagał się z fatalną przemocą, która go trawiła. Tak czy owak, gruba, bezwstydna natura wstrętna jest i pełna obrzydzenia w bezwstydzie swoim.

Emelian Pilaj, Czełkasz, Konowałow, Arystyd Kuwałda z towarzyszami, Artem: — każdy cokolwiek odmienny w rysunku, każdy z własną fizyognomïą, a wszyscy namiętnie rozmyślający nad życiem, niezadowoleni z wytrącenia swego za koło sfery, wszyscy wyrośli o głowę ponad przeciętność i pospolitość. Każdy prawie ma duszę o tyle skomplikowaną, że nosi w niej pierwiastki stanu poprzedniego; każdy prawie o tyle wszędy znajdzie się na swojem miejscu, że nigdzie miejsca własnego na długo zagrzać nie może. Są to mniejsi lub więksi egoiści, wyrośli na tle kultu siły [1]. Gorkij sympatyzuje ze swymi bohaterami: lubi w nich niezależność, indywidualizm, usposobienie krytyczne i sceptyczne, lubi pogardę, jaką darzą inne stany, nadewszystko atoli lubi siłę.

Czytelnik odczuwa, że im ostrzej, dosadniej, złośliwiej który z bosiaków traktuje ład społeczny, tem go czulej autor traktuje. Najbezecniejszy w tym względzie niezawodnie Promtow.

(C. d. n.).

Antoni Mazanowski.

---

[1] Jeden z bohaterów mniejszych, Szarko, w opowiadaniu „Mój towarzysz“ mówi, że „kto silny, ten sam dla siebie stanowi prawo“ (Кто силенъ, тотъ самъ себѣ законъ). W innem opowiadaniu taki epizod. Padł byk w wąwóz i złamał obie nogi. Leżał i jęczał. Zbiegł się lud i słuchał jęczenia. Przyszedł Maciej kowal i młotem dobił byka. To samo stosować radzi Jarosławcew do ludzi i dodaje: Moralne to czy niemoralne? W każdym razie to silne, przedewszystkiem silne, a przez to samo moralne i dobre (I, 165, „Omyłka“).

HISTORYCZNE ZAĆMIENIA W ŚWIETLE ERY BIBLIJNEJ.

Niejeden z dziejopisów starożytnych wspomina o różnych zaćmieniach słońca albo księżyca, przydatnych dla chronologa, żeby ustawić w porządku czasów wypadki wiekopomne. Ale żaden z owych pisarzy nie zostawił całozbioru dziejów ludzkich; każdy ułożył tylko urywek z wielkiej księgi dziejów, bez związku z jej innemi częściami. Stąd też i wspominane przez nich zaćmienia nie tworzą jednolitego ciągu wskazówek dla chronologa; wymagają jeszcze długiej pracy, któraby uzupełniła między nimi ogromne braki i nawiązała wzmianki dziejopisarskie do spisu zaćmień, obliczonych w tablicach astronomicznych. Na tem polu pracy zdobył dziś najwybitniejsze stanowisko Ginzel; nie szczędził sił i trudu, aby wydoskonalić dzieło swojego poprzednika, von Oppolzera, i ustawić historyczne zaćmienia zgodnie ze stanem księżyca, obliczonym według zasad najnowszej astronomii. Ale ani Ginzel nie zdołał wyjaśnić wszystkich świadectw dziejopisarzy starożytnych: nie na każde zaćmienie, przez nich wspomniane, znalazł miejsce stanowczo pewne w kolei stuleci; zwłaszcza dla zagadek nierozwiązanych jeszcze w chronologii biblijnej nie zyskał światła albo wcale, albo dostatecznie jasnego.

Łatwo też było zawczasu przepowiedzieć, że chronologia w żadnej tablicy astronomicznej nie znajdzie wielu zaćmień starożytnych, bo szuka ich w świetle ery dyonizyańskiej ciągle, pomimo niewątpliwego już błędu tej ery, więc albo za blizko

o kilka lat, albo za daleko ich szuka: wychodzi ciągle z zasady, że rok 754-ty Rzymu odpowiadał pierwszemu u Dyonizego, czyli upływał w 1902 lata przed obecnym rokiem 1902-m ery przyjętej. Tymczasem ten właśnie odstęp czasu między nami a rzeczonym rokiem Rzymu, już prawie przez wszystkich badaczy jednogłośnie odrzucony, stanowczo albo zanadto zbliża, albo zbyt oddala od nas i całą dobę przedchrześcijańską i każdą datę zaćmienia, wyrażoną w latach od założenia Rzymu. Na tę pomyłkę naszej ery nie zważa chronologia; nie dziw, że przy latach w złem świetle wypatrzonych, nie można znaleźć zaćmień historycznych z doby przedchrześcijańskiej.

Prócz pomyłki, popełnionej przez ślepą wiarę w erę Dyonizego, pod innym także względem chronologia łatwowiernie poszła za przewodnikiem, który wprowadził w ciemny zamęt lata doby przedchrześcijańskiej. Ciemna ta kraina, jak zgodnie utrzymują liczni pisarze — za jedynego przewodnika po zawiłych ścieżkach obrała sobie Ptolomeusza z jego spisem władców starożytnych i zaćmień za czasu ich rządu. Powaga Ptolomeusza, obalona na polu czysto astronomicznem dzięki naszemu Toruńczykowi, w dziedzinie chronologii jednak przemawiała do wielu umysłów, póki najnowsi znawcy ze Seyfarthem na czele nie zadali jej ciosów śmiertelnych.

Ptolomeusz w swoim spisie władców i w datach zaćmień używał lat ery Nabonasara, o której liczba świadków dostateczna[1] twierdzi, że jej rok 724-ty nastał 29-go sierpnia po czterech latach rządów Augusta w Egipcie, więc w roku 728-ym Rzymu. Stąd wypada początek roku 748-go Nabonassara w dniu 23-m sierpnia 752-go roku Rzymu, w którymto roku podanie starochrześcijańskie wraz z martyrologium rzymskiem stawia Narodzenie Chrystusa, a era dyonizyańska liczy rok swój ósmy: zatem rok 723—724 Nabonassara upływał w roku 16-ym ery przyjętej, a nie w 24-m, jak oczywiście mylnie twierdzą zwolennicy Dyonizego wbrew wszystkim badaczom.

Nadto po dowodach Seyfartha nie można już wątpić, że

[1] Pétau: *De doctr. temporum*, x, 73.

także przy poprzednich latach, przed 724-m Nabonasara, Ptolomeusz błądził w swoim opisie władców, więc że daty zaćmień, oparte na tym spisie, na różne sposoby w różnych wiekach odbiegać muszą od zaćmień, obliczonych w tablicach astronomicznych.

Darmo Kopernik usuwał Ptolomeusza z naczelnego stanowiska w astronomii i darmo wskazywał, że era dyonizyańska wprowadza nas w błąd, bo rok jej 34-ty ani żaden z najbliższych nie posiada znamion roku śmierci Chrystusowej. Darmo nauka prawie cała jednym głosem odrzuciła erę, obliczoną sprzecznie z własnym opisem epoki chrześcijaństwa. Bez względu na głos takich powag i oczywiste przeciwieństwo między arytmetycznym początkiem ery a jej epoką, zwolennicy Dyonizego poszukują daremnie zaćmień historycznych w latach, w których astronomia ich nie zdołała pokazać.

Na ciemną zagadkę niemało światła rzucić mogą świadkowie, odsądzeni przed wiekami od głosu w tej sprawie za to, że nie mogli swojego świadectwa pogodzić z Ptolomeuszem. Świadkowie ci, to Żydzi ze swoją erą biblijną, godną osobliwej uwagi dla niespodziewanej zgody z astronomią, nie z tą ptolomejską, która ich potępiła, ale z astronomią zbudowaną przez Kopernika.

Żydzi liczą — jak każdy kalendarz świadczy — swój rok 5662-gi obecnie w r. 1902-im dyonizyańskim do jesieni, a od jesieni zaczynają rok 5663-ci. Najdokładniej zdaje sprawę z tych lat Sefer Olam i wykłada, że pierwszy rok żydowski trwał przez nieokreślony przeciąg czasu podzielony w księdze rodzaju u Mojżesza na trzy doby pierwsze stworzenia, w których powstała ziemia, światło, sucha i morze, świat roślinny i wszystkie pokłady geologiczne z epoki węgla. Trzy tedy doby pierwsze stanowią okresy czasu nieoznaczone niczem i objęte przez Żydów ryczałtową nazwą „roku zamętu“, albo pierwszego roku, po którym dopiero nastąpiła doba czwarta stworzenia z początkiem roku drugiego: w tejto epoce powstał już porządek stały lat zależnych od słońca, miesięcy zależnych od księżyca i dni o 24-ch godzinach. Epokę tę porządku stałych czasów Żydzi

zgodnie ze starożytnymi chrześcijanami określali trzema piętnami: czwartym dniem tygodnia, liczonym pomiędzy wieczorem wtorkowym a popołudniem środowem, pierwszym dniem roku, liczonego odkąd słońce wschodziło w znaku równonocni wiosennej, i nakoniec pierwszym dniem miesiąca, oznaczonego przez księżyc w nowiu. Chrześcijańskich pisarzy jako świadków w tej sprawie wspominają kilkudziesięciu egzegeci, jak Tirini, Torniellus, Ascanius Martinengus, Molina, Genebrardus, Clavios, Delrio, a Lapide, Salianus i inni.

Odtąd popłynęły lata, wypisane w Biblii najwyraźniej aż do Daryusza wtórego, którego rok rządów drugi wypada 3350-ym według Żydów; potem upłynęło podług Daniela i zgodnego już z nim Ptolomesza 418 lat do roku 752-go Rzymu: mamy tedy 3768 lat podług Żydów od Adama do Narodzenia Chrystusa; następnych lat 1894 według ery starochrześcijańskiej prowadzą nas obecnie do roku 5662-go od Adama.

Epokę ery żydowskiej brali zawsze wszyscy, którzy o niej wiedzieli, za jeden szczegół ze skarbnicy prawd, przekazywanych odwiecznie z ojca na syna przez cały ciąg dziejów Starego Zakonu; w tej mierze nie było sporu ani przed Ptolomeuszem ani po nim; spór cały powstał o to, czy Biblia żydowska podaje właściwą liczbę lat na przeciąg doby przedchrześcijańskiej. Walkę w tej mierze Ptolomeusz wywołał przez niedokładną liczbę dni, którą podał na czas obiegu ziemi koło słońca i księżyca koło ziemi. Aleksandryjczycy, zaufani w wywodach astronoma, wpadli na myśl bardzo zrozumiałą u ludzi nauki: zapytali się, czy astronomia istotnie znajduje epokową środę z nowiem podczas równonocni w roku, wskazanym przez Żydów. Aby to sprawdzić, przynajmniej przybliżoną liczbą, wystarczy użyć pierwszego lepszego zaćmienia i dnia równonocnego w jakim bądź roku. Wiedząc, w którym dniu tygodnia słońce przeszło przez znak równonocny w danym roku, i znając liczbę dni w roku przeciętnym, łatwo obliczyć dzień tygodnia podczas równonocni przeszłorocznej i coraz dalszych aż do drugiego roku żydowskiego. Znając także liczbę dni w przeciętnym obrocie księżyca koło ziemi, nietrudno obliczyć, ile księżyc nowiów

przebył w ciągu tylu dni, ile ich mamy od danego zaćmienia słońca do poszukiwanej epoki. Oczywiście do tych wyników, choćby przybliżonych, potrzeba użyć dokładniejszych liczb, niż Aleksandryjczycy użyli za Ptolomeusza: zatem wynik ich pracy wypadł najzupełniej dla nich nieszczęśliwie; zamiast znaleźć epokę w lat 3758 przed naszą erą, znaleźli ledwo w 5492 lat przed erą dyonizyańską środę z nowiem podczas równonocni. Nawet dzisiejsza astronomia nie zabiera głosu, aby rozstrzygnąć coś stanowczego o dniu równonocnym i nowiu przed tylu tysiącami lat, ile wyliczyli Aleksandryjczycy; ale powaga Ptolomeusza kazała im uważać ten wynik za niewątpliwy i odrzucić liczbę lat żydowską jako oczywiście sprzeczną ze zdobyczami astronomii. A hebrajska Biblia podaje lata, które, zliczone najprostszym sposobem, tworzą właśnie liczbę, przechowaną w erze żydowskiej: więc Aleksandryjczycy odrzucili razem z żydowską erą także spis lat w hebrajskiej Biblii, a raczej powiększali w tym spisie lata tak, że z nich zebrali liczbę 5492 lat od epoki, potrzebną według astronomii ptolomejskiej.

Otóż z upadkiem powagi Ptolomeusza powinien upaść także przesąd przeciw chronologii żydowskiej i spisowi lat w ich Biblii; wypada zawrócić z drogi wytkniętej przez Aleksandryjczyków i zapytać się nowszej astronomii, ile lat upłynęło np w r. 1812-m od epoki, oznaczonej środą, nowiem i równonocnią [1].

---

[1] Otóż rocznik astronomiczny pierwszy lepszy np. *Astronomisches Jahrbuch für das Jahr 1812* wystarczy tu, bo wyznacza w roku 1812-m równonocnię wiosenną dnia 20-go marca o godzinie 6-tej wieczorem 18 minut 18 sekund czasu berlińskiego (str. 77); tenże rocznik podaje zaćmienie słońca, którego środek wypadł 13-go marca o godz. 7-ej rano 2 min. 30 sek. tegoż czasu (str. 84), to znaczy, że nów, — w chwili zaćmienia — poprzedził równonocnię o 7 dni 11 godz. 15 min. 48 sek., czyli o 7·469 305 dni. Z tymi dniami równonocni i zaćmienia rok nasz 1812-y a 5572-gi według Żydów nastąpił w w 5570 lat po ich roku 2-gim. Możemy tedy za Le Verrier przyjąć liczbę 5570-ciu lat zwrotnikowych równą 5570 × 365·242 199 65... dni = 2 034 399·052 05... dni. Ta liczba mieści 68 891 miesięcy synodycznych o 29·530 588 721... dniach a nadto 7·264 43... dni, to znaczy, że 5570 lat posuwa księżyc o drogę 7·264 43... dni naprzód przed słońce, a 5570 lat ubiega do końca w roku 1812-ym, kiedy równonocnia wypadła w 7·469 305 dni po nowiu, więc przed 5570-ciu latami równonocnia wypadła po nowiu 7·469...

Różne astronomiczne drogi nowożytne prowadzą do jednego dnia: środy, równonocni wiosennej i nowiu w lat 5570 przed rokiem 1812; uwalniają tedy erę żydowską od zarzutu, podniesionego w imię Ptolomeusza, i nadają tej erze piętno wszelkiego prawdopodobieństwa i rzeczywistej powagi. Zupełnie odrzucić trzeba obawę, czy nie przypadkiem era ta liczy lat właśnie tyle między swoją epoką a wziętem pod uwagę zaćmieniem i równonocnią, ile wskazuje nowoczesna nauka: nikt nigdy nie zgadnie przypadkiem stanu słońca i księżyca na niebie w oznaczonym dniu przed tysiącami lat. Kto tylko zna Żydów, nieruchomych w swojej miłości odwiecznych podań, ten nic innego powiedzieć nie może, tylko przyznać, iż widocznie Żydzi przez nieprzerwany ciąg świadków od roku 2-go przechowali pamięć swojej epoki i wytrwali przy niej niezłomnie, mimo zarzutów od czasów Ptolomeusza, że ich era wobec astronomii nie posiada żadnej powagi.

Wniosek ten każe teraz spojrzeć na Biblią i na ten jej spis lat z kilkudziesięciu wieków, na który Żydzi wskazują z jednem zawsze słowem na ustach: w Torze znajdziecie wszystkie lata naszej ery podane dokładnie — zliczcie je, a dosta-

---

— 7·264... = 0·204... dni, czyli w parę godzin po nowiu: więc pierwszy dzień wiosny wypadł razem z nowiem.

Dalej liczba dni od równonocni w roku żydowskim 2-im do równonocni w roku 1812-ym (5572-m), czyli liczba 2 034 399·052... dni zawiera 290 628 tygodni całych i 3·052... dni, czyli równonocnia w roku 1812-ym wypadła w 3·052... dni tygodnia później, niż w roku 2-im żydowskim; a wypadła w roku 1812-ym późno wieczorem w piątek, więc wypadała w roku 2-im wieczorem we wtorek, czyli w ciągu doby środowej podług żydowskiego początku doby od zachodu słońca.

Mamy tedy istotnie w roku 2-im wszystkie trzy znamiona epoki: środę, równonocnię i nów razem.

Powyższe liczby prowadzą do wyniku tylko przybliżonego co do dalszych miejsc dziesiętnych: więc nie zdołają wcale oznaczyć dokładnie minuty ani nawet godziny równonocni i nowiu w roku 2-im: ale tu zupełnie wystarczy znać dzień, który pozostaje pewnym mimo wątpliwych minut i godzin.

Prócz powyższej drogi, możne użyć także innych: dokładniejszej, którą łatwo znaleźć za pomocą tablic Largeteau, albo krótszej, opartej na ilościach kalendograficznych prof. Karlińskiego.

niecie naszą liczbę lat od początku świata do dziś dnia. Czytelnik, który nie ma Biblii pod ręką, znajdzie spis jej lat w załączonej tablicy. (Na końcu artykułu, po str. 58).

Układ tablicy, może nie odrazu dla czytelnika zrozumiały, wymaga kilka słów wykładu.

Pod napisem „Księga, rozdział i wiersz“ wymienia tablica miejsca z Biblii, które zawierają daty; księgi Mojżesza wyrażone głoskami Mo., Sędziów Sędz, królewskie Kr., Jeremiasza Jer., Daniela Dan., Ezdrasza Ezdr., Zacharyasza Zach., Olympiady Olymp. Znak ⊙ wyraża tu słońce w znaku równonocni wiosennej, a przed datą znak tenże wyraża tu zaćmienie słońca; znak ☾ wyraża tu księżyc w nowiu, a przed datą znak tenże wyraża tu zaćmienie księżyca; znak ☿ wyraża środę, a ♀ piątek. Indykcye oznaczone głoskami Indict. z dwiema liczbami, z których pierwsza w nawiasie oznacza porządek piętnastoleci, druga rok w biegu każdego piętnastolecia.

Pod napisem „Świadectwo o wypadku...“ tablica mieści następstwo patryarchów, sędziów i królów żydowskich, chaldejskich, perskich i greckich w Egipcie, aż do Augusta cesarza, za którego w roku 42-gim przyszedł na świat Chrystus. Liczba przydana do każdego nazwiska oznacza rok, w którym patryarchowie rodzili synów albo władcy kończyli rządy.

Imię Jezus ΙΗΣ stoi przy roku urodzenia Pana, przy roku 30-m Jego wieku i przy roku Jego śmierci, oznaczonej krzyżykiem †.

Pod napisem „Rok porządkowy...“ tablica podaje porządkową liczbę lat w erze dyonizyańskiej, oznaczonych przecinkiem przed rokiem 0, a do których prowadzą liczby z poprzedniego nagłówka. Do tychto właśnie lat nie umieli dojść Aleksandryjczycy i ich następcy, bo dodają daty biblijne według zasad arytmetyki książkowej, chociaż Biblia sama wskazuje, że ściąga swoje liczby według tej arytmetyki pospolitej, jaką słyszymy codzień w potocznej rozmowie, tak w naszym języku, jak w innych.

Aby zdać sprawę z prostej arytmetyki, której używa Biblia, wystarczy zauważyć, że pospolicie nie odróżniają ludzie, zwła-

szcza prości, liczb głównych od porządkowych i jednakowo mówią np. o trzech dniach, czy mają na myśli trzy już dni całe, czy tylko trzeci dzień zaczęty po całych dopiero dwóch: więc nie zawsze wiemy, co kto myśli, kiedy w poniedziałek mówi, że przyjdzie za trzy dni; jedni po tych słowach przychodzą już na trzeci dzień zaczęty we środę, inni czekają na trzy dni skończone i przychodzą we czwartek. To samo mamy w zwrotach z innych języków: *dans huit jours* znaczy ściśle *le huitième jour* i t. p. Chociaż te liczby brzmią same przez się dwuznacznie, ogół zupełnie poprawnie dodaje je albo odciąga jedne od drugich: z dwóch *huitaines de jours* dostaje *une quinzaine,* słowem w sumie odrzuca dnie porozpoczynane, a zbiera tylko pokończone, czyli opuszcza tę jedynkę w wyniku, którą przy dodajnikach wymieniał wprawdzie, ale tylko pozornie, bo używał liczby głównej zamiast porządkowej.

Każdy z nas mógł tego doświadczyć, że poza słuchalnią matematyki w codziennych stosunkach najwygodniej każdemu tej arytmetyki pospolitej używać, kto zwłaszcza nie chce czasu tracić z prostaczkiem przez arytmetykę książkową. Czy tę wygodę mieli na oku pisarze biblijni, czy też inaczej nie umieli liczyć sami, to sprawa podrzędna: dość, że najwyraźniej używają arytmetyki pospolitej, kiedy wypisują naprzód pojedyncze lata a potem ich sumę: raz po raz liczba ściągnięta odpowiada zupełnie owej *quinzaine,* otrzymanej z dwóch *huitaines.* Aleksandryjczycy na tę zasadę pospolite nie zwracają uwagi i w liczbach biblijnych wątek tracą nawet tam, gdzie wcale ich poprawiać nie chcą: dodać je chcą a nie umieją. Np. czytamy, że Noe miał 500 lat, kiedy zrodził Sema, a przy potopie liczył lat 600: zaczętych czy skończonych? w drugim razie Sem liczył przy potopie lat 100 całych, w pierwszym rok 100-tny zaczęty. Na to pytanie dalej odpowiada pisarz biblijny szczegółem, że Sem miał 100 lat, kiedy zrodził Arphaksada „we dwie lecie“ po potopie; miał tedy Sem rok 100-ny zaczęty przy potopie, a 100 całych przy narodzinach Arphaksada w drugim po potopie roku, wyrażonym także w Biblii liczbą główną zamiast porządkowej. Aleksandryjczycy tej arytmetyki nie rozumieli i liczyli Semowi

100 lat całych przy potopie, a zatem nie wiedzieli, na który rok zapisać urodziny Arphaksada: przy stu latach Sema było za wcześnie o dwa lata, bo wypadało na rok potopu, a nie „we dwa lecie“ potem; we dwa lata po potopie było o dwa lata za późno, bo wypadało przy stu i dwu latach Sema a nie przy stu.

Z tej samej przyczyny Aleksandryjczycy ledwo nie wszyscy nie umieli znaleźć lat na rządy królów izraelskich, współczesnych z judzkimi; jeden tylko Euzebiusz śmielszy nie dał za wygraną, ale ponadodawał takie lata, że każdego musiał odstręczyć od pracy z niemożliwymi wynikami. Na zasadzie arytmetyki pospolitej wszystkie wyniki płyną zupełnie możebnie. Np. w roku 17-m Jozafata w Jerozolimie znajdujemy początek rządów Ocharyasza w Samaryi, a ich koniec po dwu latach: znowu nie po dwu całych, bo upłynęły już w roku 18-m Jozafata. Albo znajdujemy początek Joasa w roku 7-m Jehu, a koniec ich w roku 28-m; ileż lat panował? Najpierwotniejszym sposobem zliczone lata od roku 6-go: 7-y, 8-y, 9-y i t. d. aż do 28-go dają 23 liczby porządkowe: pisarz biblijny zapisał 23 lata na rządy Joasa. Takich wypadków spotykamy mnóstwo.

Ta arytmetyka nie tylko z pojedynczych dodajników wyprowadza na swój sposób sumę, ale daje także po sobie poznać, że ściąga sumy pojedyncze do ogólnej na tej samej zasadzie: słowem ta zasada, stale w Biblii stosowana do sum wyraźnie podawanych, każe w całym toku biblijnych dziejów szukać chronologii na tej samej drodze: tak też pododawane w tablicy daty biblijne dają przy roku drugim Daryusza wtórego rok 3350-y żydowski a ,410-ty przed erą dyonizyańską.

Wypada tu zauważyć, że rękopisy Biblii nam znane podają w dwóch miejscach liczbę oczywiście zmyloną, a podobną w swoich znakach do innej, której wymaga właśnie tok dziejów i następstwo dat wyraźnie podanych gdzieindziej.

Jedną z tych liczb znajdujemy przy opisie rządów Jeroboama wtórego, zaczętych w 15-m roku Amazyasza judzkiego. W następnym roku, — 2-m Jeroboama a 16-m Amazyasza — powstała między tymi królami wojna, zakończona porażką Amazyasza, przeciw któremu zaraz wybuchł rokosz w Jerozolimie.

Spiskowcy zmusili Amazyasza do ucieczki do Lachis, na jego miejsce królem obrali syna jego Ozyasza, a samego Amazyasza nakoniec zgładzili w roku 29-ym od początku jego rządów. Amazyasz przed wrogami ukryty w Lachis oczywiście nie mógł rządzić krajem w ostatnich latach przed śmiercią, więc syn jego, obrany królem przez rokoszan, musiał za życia ojca objąć rządy i to około drugiego roku Jeroboama, bo w jego roku 41-im liczył już 38 lat rządów. Otóż tu czytamy liczbę niewątpliwie sprzeczną z całym tokiem dziejów i dat poprzednich: mianowicie Ozyasz miał nastąpić po ojcu w roku 26-m Jeroboama, zamiast w roku 2-m, który tu wypada. Ale liczba 26, niewątpliwie tu zmylona, ma po żydowsku znak: *kaf* i *zajn* כ״ו, podobny do dwójki porządkowej: *beth* z grubym przecinkiem ב׳. Podobieństwo znaków zbyt wyraźnie uderza, aby nie prowadzić do wniosku, że zamiast niemożebnego tu roku 26-go pierwotnie napisano rok 2-gi.

Również z Achazem widzimy oczywistą pomyłkę, bo ten król po ojcu swoim nastąpił w roku 17-m króla Fakee izraelskiego, który po roku swoim 20-m oddał władzę Ozeaszowi: więc w roku 3-m Ozeasza Achaz liczył rok 6-y rządów przy swojej śmierci, a nie 16-y, jak obecnie czytamy. Tu także zamiana przecinka grubego ’ na *jod* י wyjaśnia pomyłkę w datach oczywistą.

Za czyste niepodobieństwo trzebaby uważać, żeby w przeciągu kilkudziesięciu wieków liczne odpisy Biblii nie pomieszały nigdzie dwóch znaków podobnych; podziwiać chyba trzeba natężoną pracę pisarzy, ktorzy ledwo w dwóch wypadkach zostawili oczywisty ślad nieuwagi na podobieństwo znaków. Tablica w obu razach podaje liczbę zgodną z tokiem opisu, zamiast niewątpliwie mylnej.

Na tle uzyskanej tym sposobem chronologii dochodzimy do miejsca, gdzie spotykamy Ptolomeusza ze setką mniej więcej lat, przez które zawikłał chronologię najgorzej. Dotyczy to odstępu czasu między Cyrusem a Daryuszem wtórym, o którym Ptolomeusz zupełnie inaczej po wiekach pisze, niż Żydzi; ci świadkowie wypadków współcześni albo naoczni donoszą, że:

1) Nabuchodonozor w roku 1-m rządów swoich a 4-m Joakima zdobył po raz pierwszy Jerozolimę i uprowadził pierwszą część narodu do niewoli babilońskiej, między nimi Daniela z towarzyszami [1].

2) Nabuchodonozor w roku 19-m rządów swoich zdobył po raz ostatni Jerozolimę, zburzył ją do szczętu wraz ze świątynią i uprowadził ostatnią część narodu do niewoli [2].

3) Cyrus w roku 1-m rządów perskich nad Babilonem uwolnił Żydów z niewoli siedmdziesięcioletniej [3].

4) Żydzi z niewoli wrócili do Jerozolimy i zaczęli ją odbudowywać, ale nieprzyjaciele ich „rozproszyli radę ich po wszystkie dni Cyrusa, za królestwa Assuera, y za dni Artakserksa. Zaniechana iest tedy robota domu pańskiego w Jerusalem y nie budowano aż do roku wtórego królestwa Dariusza króla perskiego. A Eggeusz Prorok y Zachariasz syn Addo prorokowali" wówczas [4].

Słowem, według świadków ówczesnych w Biblii: od początku niewoli 1-go roku Nabuchodonozora do końca niewoli 1-go roku Cyrusa upłynęło lat 70 i tyleż lat upłynęło od upadku świątyni w roku 19-m Nabuchodonozora do jej budowy w roku 2-im Daryusza, następcy Artakserksa. To wskazuje, że 2-gi rok Daryusza wtórego wypadł 19-ym rokiem królestwa perskiego według żydowskich pisarzy ówczesnych.

---

[1] 4 Kr. XXIV, 1: „Przyciągnął Nabuchodonozor król babiloński i stał mu się Ioakim niewolnikiem przez trzy lata". Dan. I, 1: „Roku 3-go królestwa Ioakima króla iudzkiego przyszedł Nabuchodonozor król babiloński do Ieruzalem y obległ ie. Y dał Pan w ręce iego Ioakima... Byli tedy (jeńcami) między nimi z synów iudzkich Daniel, Ananiasz, Misael y Asariasz..," Jer. XXV, 1: „Roku czwartego Ioakima syna Ioziaszowego króla iudzkiego (ten iest pierwszy rok Nabuchodonozora króla babilońskiego)...

[2] 4 Kr. XXV.

[3] II Paralip. XXXIV, 20: „Ieśli kto miecza uszedł, zagnany do Babilonu służył królowi y synom iego, aż rozkazował król perski... aż się dokonało 70 lat... roku 1-go Cyrusa".

[4] I Ezdr. IV, V. Zacharyasz prorok w roku 2-gim Daryusza świadczy (I, 12): „Panie zastępów, pókić ty się nie zlituiesz nad Ieruzalem y nad miasty iudzkiemi, na któreś się rozgniewał? iuż siedmdziesiąty rok iest".

A według Ptolomeusza, późniejszego po wypadkach o 6 wieków z górą:

1) Wprawdzie od 1-go roku Nabuchodonozora (144-go Nabonassara) do 1-go roku Cyrusa (210-go Nabonassara) upłynęło lat blisko 70 (66),

2) ale od 19-go roku Nabuchodonozora (162-go Nab.) do 2-go roku Daryusza wtórego (326-go Nab.) upłynęło lat 164, blisko o całe stulecie więcej niż według Żydów,

3) więc 2-gi rok Daryusza wtórego wypada 117-m rokiem królestwa perskiego według Ptolomeusza, zamiast być 19-m.

Czy lepiej Ptolomeusz, czy Żydzi sami w niewoli i po powrocie z niej lepiej wiedzieli i opisali, jak długo przyszło im czekać po upadku Jerozolimy na budowę nowej świątyni? Trudno na pierwszy rzut oka nie widzieć wszelkiego prawdopodobieństwa, że na wiarę tu więcej zasługują Żydzi, niż Ptolomeusz. Ale w sprawie nader doniosłej dla chronologii perskiej i greckiej wypada nie poprzestawać na odpowiedzi jednej, pomimo jej prawdopodobieństwa. Szczęśliwie tu można wezwać astronomię na pomoc i zapytać się, czy biblijna chronologia nie wyznacza nam daty jakich zaćmień zgodnie z nowożytną astronomią, czy też chronologia oparta na Ptolomeuszu w tej przynajmniej mierze posiada jakąś przewagę nad biblijną?

Biblia sama nie wymienia wprost żadnych zaćmień, ale wymienia królów chaldejskich, współczesnych z żydowskimi, a pomniki klinowe podają nam kilka zaćmień za rządu owych królów chaldejskich: więc nie trudno nam wyliczyć, na które lata biblijnej chronologii zaćmienia te wypadają.

Najdokładniejszą chwilę styczną dziejów żydowskich z assyryjskimi znajdujemy w ks. 4 Kr. XVIII 13 przy opisie wyprawy Sancheryba na Egipt i Palestynę w roku 14-m Ezechiasza. Król ten panował od roku ,612-go, więc jego rok 14-y wypadał w roku ,599-ym. Wyprawę Sancheryba obszernie opisują pomniki klinowe u Eberh. Schradera: *Die Keilinschr. u. d. Bibel* 1883 str. 286—317, chociaż nie wymieniają wyraźnie roku rządów Sanheryba w czasie tej wyprawy, ale ją liczą za trzecią: i ten szczegół wystarcza, bo pomniki z czwartego roku Sanhe-

ryba mówią dopiero o drugiej wyprawie, a z 6-go wspominają o trzeciej, jako jednej z ostatnich i mówią już o następnej, czwartej. Zatem Schrader słusznie wnosi, że to 5-y rok Sanheryba odpowiada 14-mu Ezechiasza, więc ,599-mu biblijnej ery.

Na podstawie tej daty można ustawić lata rządu królów chaldejskich, znanych z pomników klinowych, przy współczesnych królach żydowskich. Tą drogą przejść możemy lat 62 od 5-go roku Sanheryba do 9-go roku Asurdanila assyryjskiego, 18-go Ozyasza a ,661-go ery biblijnej, na który to rok znajdujemy w piśmie klinowem u Schradera str. 485 wzmiankę o zaćmieniu słońca w miesiącu Siwan, trzecim w kalendarzu chaldejskim. Kalendarz ten zaczynał miesiące z pierwszym dniem księżyca widzialnego po nowiu, a rok z pierwszym miesiącem równonocni wiosennej. Równonocnia ta wypadła w roku ,661-m (według przybliżonych tablic Guinnessa) dnia 28-go marca juliańskiego; najbliższy nów wypadł 11-go kwietnia: więc na drugi albo trzeci dzień później z księżycem widzialnym po nowiu zaczęli Assyryjczycy miesiąc Nizan i nowy swój rok. Do tegoż miesiąca należał jeszcze następny nów astronomiczny 11-go maja, po którym nastąpił drugi miesiąc, Ijar, i obejmował jeszcze nów czerwcowy; po nowiu w czerwcu nastąpił Siwan i dobiegał do końca w dzień nowiu astronomicznego 9-go lipca, kiedy nastąpiło zaćmienie, w piśmie klinowem wymienione. Znajdujemy istotnie u von Oppolzera w nr. 1293 pod datą ,661-go roku 9-go lipca zaćmienie słońca o godzinie 5-ej minut 19·5 średniego czasu greenw., więc po godzinie 8-ej rano w Babilonie, oddalonym o 45°; krzywę środkowości tego zaćmienia zaczyna v. Opp. właśnie od 45°: słowem, chronologia biblijna wyznacza datę zaćmienia, znalezioną przez astronomów ścisłym rachunkiem.

Zamiast tego zaćmienia chronologia oparta na Ptolomeuszu podaje wcześniejsze o całe stulecie, z roku ,762-go 15-go czerwca, a nie uważa, że nów podczas tego zaćmienia wypadł dopiero trzecim po równonocni 29-go marca, więc należał jeszcze do miesiąca Ijar, a dopiero 16-go albo 17-go czerwca nastąpił pierwszy dzień Siwan.

Inny napis, przechowywany w muzeum carogrodzkiem

(Lersch), wspomina o zaćmieniu księżyca 15-go Sabat za króla Samasukina, któremu liczą 20 lat rządów od roku 44-go po 5-m Sancheryba, co prowadzi drogą wskazaną wyżej na rok ,565-y ery biblijnej. Sabat, jedenasty miesiąc assyryjski, wypada po nowiu jedenastym — licząc od równonocni wiosennej wówczas 27-go marca — więc odpowiada naszemu lutemu, jak słusznie uważają wszyscy tłumacze owego napisu. Między rokiem ,565-m a ,546-m von Opp. daje tylko dwa zaćmienia w lutym: jedno niestosowne, w roku ,551-m 9-go lutego, bo nastąpiło dopiero po dziesiątym nowiu, drugie zupełnie odpowiednie, 20-go lut. roku ,560-go o 16 minut po północy czasu gr., nastąpiło po nowiu z zaćmieniem słońca (u v. Oppolzera nr. 1551) 5-go lut. rano, więc w nocy z 6-go na 7-y lutego można już było widzieć nowy księżyc, a 20-y lutego odpowiada 15-mu Sabat.

Zamiast tego zaćmienia Ptolomejczycy znajdują znowu wcześniejsze o 100 lat z górą, w roku 663-im 17-go lutego, ale nieszczęśliwe, bo tuż po niem nastąpiło zaćmienie słońca 5-go marca (nr. 1287 von Opp.), więc poprzedni nów wypadł dnia 28+5—29=4 lutego, zatem 17-go lutego upływał dopiero po nowiu dzień 14-y a nie 15-y księżyca widzialnego.

Donioślejsze światło na dzieje pada z trzeciego zaćmienia, zapisanego w pomniku klinowym (Lersch) na listopad roku, w którym Cyrus zdobył Babilon, więc 426-go według biblijnej ery. Znajdujemy je pod tym rokiem (nr. 1884 u von Opp.) 15-go listopada po godz. 12-ej w południe czasu gr.; jego krzywa środkowości przeszła przez Amerykę i Afrykę pod równikiem i doszła do 53⁰.

Ptolomejczycy podają zamiast tego zaćmienia wcześniejsze o sto kilkadziesiąt lat (nr. 1608 u v. Opp.) z roku ,538-go 23-go listopada o godz. 5 minut 37·5 zrana czasu gr.; jego krzywa środkowości od 30⁰ poszła pod równikiem przez Afrykę i Australię, ale słońce w Babilonie prawie już zeszło zaćmione i to nie całkowicie, więc w listopadzie trudno na takie zaćmienie zwrócić uwagę i zapisywać je w rocznikach jako wypadek pamiętny. Znowu tedy Ptolomejczycy nie mogą przeważyć szali za sobą przeciw erze biblijnej.

4*

To zaćmienie Cyrusowe pomaga nam znaleźć rok zaćmienia, przepowiedzianego przez Thalesa i wspomnianego u Herodota w opisie bitwy między Medami Cyaksara i Lydami Alyata, ojca Krezusowego. Bitwa ta miała mieć miejsce w lat około 60 przed Cyrusem i upadkiem Babilonu, więc około roku ,486-go ery biblijnej. Otóż znajdujemy wybitne zaćmienie całkowite (nr. 1735 u v. Opp.) roku ,487-go 1-go września o godz. 6-ej rano, minut 7·2 czasu gr.; jego krzywa środkowości przeszła właśnie przez Azyę Mniejszą. Przed środkiem tego zaćmienia około godziny 9-ej rano w Azyi bitwa miała czas już zawrzeć, a noc niespodziana musiała przerazić wojska.

Thales miał przepowiedzieć to zaćmienie, oparty na znanej zasadzie, że co 18 lat juliańskich i 10—11 dni, zaćmienia zwykle wracają. Otóż przed zaćmieniem z roku ,487-go upłynęły trzy powyższe okresy (Sarosy), czyli 54 lata i 32 dni, kiedy wypadło całkowite zaćmienie (nr. 1559 u von Opp.) w roku ,541, 31-go lipca o godz. 7 rano, min. 14·6 czasu gr.; jego krzywa środkowości przeszła przez Egipt i Arabię: więc mógł Thales w świetle powyższej zasady obliczyć ze zaćmienia w roku ,541-go następne na rok ,487-y.

Zamiast tego ostatniego zaćmienia zwolennicy Ptolomeusza długo daremnie szukali innego, jak świadczy Pétau *(Doctr. Temp.* X, 1), który nakoniec bardzo ich zadowolnił, kiedy znalazł zaćmienie pierścieniowe (nr. 1459 u von Opp.) z roku ,596 9-go lipca o godz. 5, minut 16·2 czasu gr., ale nie zwrócił uwagi na to, że słońce w Azyi Mniejszej zaszło prawie już zaćmione i to nie całkowicie, więc jeszcze czasu nie było żeby wrzała już walka zacięta przed zaćmieniem, które nie mogło wojsk zbyt przerazić mrokiem na słońcu przysłonionem jakby gęstemi chmurami.

Wszystkie te zaćmienia wypadają w lat około stu bliżej nas podług chronologii żydowskiej niż podług Ptolomeusza, który dla swoich lat wcale nie może nic stanowczego u von Oppolzera znaleźć w trzech wypadkach, a w jednym znajduje coś mniej stosownego, niż pokazują w swojej erze Żydzi. Więc astronomiczne tablice, jak przemawiają za Żydami w sprawie

ich świadectwa o środzie epokowej, tak samo podnoszą głos za świadectwem Żydów o czasie budowy ich świątyni; jak nie potrzebujemy z astronomią ptolemejską dodawać kilkunastu wieków do żydowskiej liczby lat od rzeczonej epoki, tak nie potrzebujemy oddalać od siebie o sto lat Cyrusa z poprzednikami jego i zaćmieniami z ich czasu, których astronomia tam nie widzi, gdzie pokazuje chronologia ptolemejska.

Ze sprawą tych zaćmień dawnych, przy których Ptolemeusz odbiega od astronomii nowożytnej, w blizkim związku stoją zaćmienia, naszych czasów już bliższe, których data według Ptolemeusza wnosi ośmioletnią zamieszkę do chronologii, ale już nie z winy Ptolemeusza.

W pierwszym rzędzie stoi zaćmienie podczas bitwy pod Arbelą, przekazane nam przez Pliniusza (II. 70) i Plutarcha (Ἀλεξ.), jako widzialne w miesiącu Boedromionie (sierpień — wrzesień; Lersch 62, 63) o godzinie drugiej po północy w Azyi, w Sycylii po wschodzie księżyca. Według ery biblijnej, Aleksander umarł w roku ‚312-m, więc na bitwę pod Arbelą, w lat siedm pierwej, wypada rok ‚319. Znajdujemy rzeczywiście (nr. 1368 u v. Opp.) zaćmienie księżyca w roku ‚319-m 20-go sierpnia o godz. 21-ej (9 wiecz.) minut 6 czasu gr., więc po północy pod Arbelą, gdzie jego koniec wypadł po drugiej godzinie w nocy, a początek nastąpił po wschodzie księżyca w Sycylii.

Zamiast tego zaćmienia Ptolemejczycy podają wcześniejsze o 11 lat (nr. 1352 u v. Opp.) z roku ‚330 20-go września o godzinie 18 (5-ej wiecz.) minut 22 czasu gr., więc o godz. 9-ej pod Arbelą, gdzie jego koniec wypadł przed północą, a początek przed wschodem księżyca w Sycylii.

Z zaćmienia w roku ‚319 płyną doniosłe następstwa dla chronologii:

Śmierć Aleksandra w roku 312-m poprzedza 752-gi rok Rzymu a 8-y ery dyonizyańskiej o lat 320; w tyle też lat przed Narodzeniem Chrystusa odkrył Champollion śmierć Aleksandra, która tedy przypada na rok ‚432-gi Rzymu. Zatem era grecka czyli Seleucydów istotnie sięga śmierci Aleksandra, licząc lat 312 przed erą dyonizyańską, a nie pochodzi od roku, w którym

Seleukos odebrał swoją stolicę z rąk innego wodza. W czyim ręku kiedy była która stolica w ciągu wojen po śmierci Aleksandra, to nie może obchodzić świata na tyle, aby cała Azya od tego wypadku zaczęła liczyć lata nowej ery. Ale początek greckich rządów ze śmiercią Aleksandra zmienił dość stosunki, żeby mógł stanowić epokę w dziejach Azyi.

Zwolennicy Dyonizego umieścili rok 754-y Rzymu przy 1-ym jego ery, a śmierć Aleksandra przy 430-m Rzymu, o dwa lata za wcześnie, jak dowodnie wykazuje Seyforth. Stąd im wypadła śmierć Aleksandra w 324 lat przed erą dyonizyańską i zmusiła ich szukać bitwy pod Arbelą przy zaćmieniu z roku ,330-go, choć to zaćmienie widocznie nie odpowiada świadectwom źródeł.

Zatem zaćmienie z roku ,319-go, wysoce zgodne ze źródłami, potwierdza prawdę, że zwolennicy Dyonizego pooddalali od nas lata Nabonasara, więc powyznaczali datom egipskim u Ptolomeusza lata przeciętnie o ósemkę za wczesne.

Również wiele wrzawy narobił spór o zaćmienie księżyca krótko przed śmiercią Heroda (u Józefa Flawiusza Staroż. XVII, 6—8), która nastąpiła (Ideler II, 392 podług Megileth Thonit) siódmego Kislew, więc w jesieni. Zaśmienia takiego szuka era dyonizyańska nie od lat tylko, ale od paru wieków daremnie; tymczasem starochrześcijańska era znajduje wszystko zgodnie z Flawiuszem: u von Oppolzera nr. 1884 zaćmienie w nocy 27/IX roku 14-go, widzialne w Palestynie: więc w 6 lat po Narodzeniu Chrystusa Pana.

Niemało też kłopotu sprawił Tacyt (Ann. I, 28) zaćmieniem z końca zimy pierwszego roku Tyberyusza; sprawę jasno rozwiązaje era starochrześcijańska przez zaćmienie u von Oppol. nr. 1898 w nocy z 13-go na 14-ty marca roku 24-go, widzialne w Pannonii, więc w roku 16-ym Chrystusa, który liczył 30 lat wieku w roku 15-ym Tyberyusza.

Także zwątpili chronolodzy o zaćmieniu (Lersch. 124) przy śmierci Nerwy 27-go stycznia, jak obliczają 851-m Rzymu, a 98-ym ery dyonizyańskiej, w którymto roku żadnego zaćmienia nie znajdują. Tymczasem ośmioletnia pomyłka Dyonizego

zdaje sprawę z tego i innych dziejowych świadectw, inaczej niezrozumiałych.

Pomyłka ta pociąga za sobą następstwa przypadkiem tylko takie, że łatwo przeoczy je badacz nawet bardzo ścisły. Przypadkiem 8 lat juliańskich i jeden miesiąc dają liczbę dni, po których księżyc dość dokładnie wraca na poprzednie swoje stanowisko względem gwiazd, ekliptyki, słońca i ziemi; to samo zachodzi po 100 latach juliańskich i miesiącu z górą, a nakoniec po 108 latach i 65 dniach wraca 6 Sarosów, a z niemi bardzo wiele zaćmień. Stąd data starożytnego zaćmienia, oddalona od nas zbyt o lat ośm albo sto, przybliża inne zaćmienie do nas zbytecznie o miesiąc prawie; przypisuje księżycowi o miesiąc później i bliżej nas to stanowisko, na jakiem był o miesiąc dawniej. Otóż w przeciągu miesiąca synodycznego o 29·530 589 dniach księżyc odbył cały swój obrót syderyczny o 27·321 661 dniach i nadto 2·208928 dni nowego obrotu, więc miał przed miesiącem długość mniejszą, niż po upływie miesiąca, odpowiednią drodze 2·208 928 dni, to znaczy 1·296 000 $\times$ 2·208 928 : 27·321 661 = 1269 000 : 0·080 848 = 104 780", albo okrągłą liczbą: 100.100". Stąd zwolennicy Dyonizego przy przenoszeniu dat Ptolemeusza na juliańskie, oddalając od nas o ośm lat jedne zaćmienia a o miesiąc zbliżając inne, przypisali przy tem księżycowi jego długość z przed miesiąca, czyli o 100 000" mniejszą od właściwej. Tak oznaczyli stan księżyca z przed wieków mniej więcej — 19-tu, w ciągu których liczymy dni 693 975 czyli 693 975 : 27·321 661 = 25 400 obrotów syderycznych księżyca: okrągło 25 000. Nie przypuszczając pomyłki w swojem przenoszeniu dat egipskich na juliańskie, szukali w księżycu przyczyny, dla czego w ciągu 25 000 obrotów odbył o 100 000" mniej drogi, niż powinien, skoro kończy swój przeciętny obrót w 27·321 661 dniach. Wypadł stąd wniosek, że księżyc tylko teraz kończy swój obrót w rzeczonej liczbie dni, a dawniej odbywał ruch powolniej. Gdyby można było rozłożyć 100 000" jednostajnie na 25 000 obrotów, możnaby powiedzieć, że księżyc w każdym obrocie późniejszym o 4" więcej drogi robi, niż w poprzednim. Ale z półtora stulecia ostatniego dokładne zapiski astronomi-

czne nie pozwalają twierdzić, jakoby księżyc jednostajnie za każdym obrotem późniejszym przyśpieszał drogę o 4": więc został tylko wniosek, że przyśpiesza drogę, ale niejednostajnie, że obecnie inaczej, niż dawniej. Nietrudno znaleźć postęp geometryczny, według którego można rozłożyć te przyśpieszenia tak stosownie na różne wieki, żeby ostateczna ich suma wydała liczbę upatrzoną. Tym sposobem została usunięta trudność; księżyc przyśpieszonym ruchem odbywa obrót około ziemi, chociaż wszystkie ciała niebieskie odbywają swoje obroty ruchem przeciętnie jednostajnym [1].

Astronomowie, ufając datom obrońców ery przyjętej, przystali na ich myśl o przyśpieszonym ruchu księżyca, chociaż niektórzy tak ją przedstawiają, jakby niechętnie musieli ją wprowadzić [2].

Stądto pochodzi, że zaćmienia Ptolemeusza z jego czasów i czasów Hipparcha, odniesione do ery biblijnej, poprzedzają o miesiąc synodyczny datę, obliczoną na podstawie ery Dyonizego; jego zwolennicy dodali tu ośm lat zbytnich; a zaćmienia z czasów chaldelskich poprzedzają o dwa miesiące a raz nawet o trzy datę obliczoną na podstawie spisu królów i ery Dyoni-

[1] Podobnież miesiąc drakoniczny i anomalistyczny upływa przed końcem synodycznego: więc położenie apsyd i węzłów ulega zmianie po synodycznym miesiącu; przenosząc zaćmienie o miesiąc, musiano znaleźć niestosowne położenie absyd i węzłów; poradzono sobie z tem podobnie jak z ruchem obrotowym księżyca.

[2] Littrow np. pisze o ruchach księżyca (*Popul. Astron.* I Band, 2 Buch, II Cap.: Störungen des Mondes): „Die Bestimmungen dieser Bewegungen waren aber besonderen Schwierigkeiten unterworfen. Verglich man z. B. die neuesten Mondsbeobachtungen mit denen, welche Bradley um die Mitte des vorigen Jahrhunderts angestellt hatte, so fand man eine andere Bewegung der Absiden und der Knoten, als wenn man die neuesten Beobachtungen mit denen der Griechen und der Chaldäer verband. Eine genauere Untersuchung zeigte endlich, dass diese beiden Bewegungen selbst nicht constant sind, sondern dass ihre Grösse mit der Folge der Jahre sich änderte. Ja dieselbe Änderung bemerkte man sogar an der mittleren Bewegung des Mondes selbst, indem die Dauer seiner siderischen Revolution für die verschiedenen Jahrhunderte verschieden gefunden wurde: eine sehr befremdende Erscheinung, da bisher gerade dieses Element, die siderische Umlaufszeit, bei allen Planeten als durchaus constant und für alle Zeiten unveränderlich gefunden wurde".

zego zarazem; tu sam Ptolomeusz dodał jakąś setkę lat, więc zostawił bliżej nas zaćmienia o dwa miesiące późniejsze.

Po dziele pomnikowem, dokonanem przez von Oppolzera, jego pomocnik Ginzel zwrócił uwagę na różne dziejowe świadectwa o zaćmieniach, których nie mógł dość stosownie oznaczyć podług von Oppolzera, zasiadł tedy do nowej pracy, aby wydoskonalić teoryę ruchu księżyca i lepiej ją zgodzić z zabytkami wiedzy doświadczalnej. Von Oppolzer uznał pracę Ginzla za postęp rzeczywisty, choć już nie miał czasu skorzystać z niej dla dzieła własnego; jednak w przedmowie (str. III) wspomniał o dziele Ginzla, jako o dowodzie, „dass die von mir in den Syzygien-Tafeln angeführten empirischen Correctionen noch erheblicher Verbesserungen fähig seien“.

Ale Ginzel przy tych poprawkach nie miał na względzie biblijnej ery żydowskiej, która odpowiada jednak astronomii znacznie dokładniej, niż wskazówki oparte na Ptolomeuszu wraz z erą dyonizyańską; może tablice „jeszcze zdolne wydoskonalać się znacznie w poprawkach doświadczalnych“ znajdą zawodowego badacza, który skorzysta z chronologii żydowskiej i złoży przed światem naukowym nowy dowód, że Biblia świadczy o prawdzie zgodnie z rzetelnemi zdobyczami astronomii.

Cały powyższy przebieg dowodów dotyczy tylko jednej jedynej strony rozpraw, toczonych w mnóstwie pism o chronologię biblijną. Niezliczone te rozprawy poruszają rzecz i rozbierają jej zagadkowe szczegóły ze strony bądź czysto egzegetycznej, bądź archeologicznej, nawet geologicznie i antropologicznie, albo w świetle starożytnych dziejów Egiptu i Chin roztrząsają chronologię biblijną, — ale najmniej w tych pracach znajduje dla siebie miejsca głos astronomii, zarówno jak w sporach toczonych o rok Narodzenia Chrystusa i Jego Śmierci. Jak przy poprzednio umieszczanych w *Przeglądzie* rozprawach o erze starochrześcijańskiej, tak w niniejszej pracy szło o tę właśnie stronę prawdy, na którą astronomia rzuca światło godne większej uwagi, niż zwykle znajduje. Czemś niezwykle ciekawem jest widok zgody między nowszą astronomi a świadectwem

Żydów o równonocni, nowiu i środzie w roku ,3758-m, świadectwem odrzuconem przez ptolemejską astronomię, która naprowadziła Aleksandryjczyków na zasadę o początku świata w roku ,5492-m. Na tej zasadzie Aleksandryjczycy opierali wniosek, że Biblia musiała pierwotnie podawać lat 5492 przed erą chrześcijańską a nie 3760, a że to Żydzi poprzerabiali lata patryarchom i przyśpieszyli każdemu rok, w którym rodził syna, aby za ich przykładem młodziej zawierać małżeństwo: że stąd Żydzi dostali liczbę lat od Adama do Chrystusa za krótką, więc trzeba każdemu patryarsze dodać setkę lat wieku, nim zrodził syna, i tym sposobem wrócić do liczby 5492 lat przed erą chrześcijańską, zgodnych z astronomią. Cały ten wniosek aleksandryjski upaść musi, wraz z ich zasadą, wobec głosu astronomii nowożytnej, która potwierdza świadectwo żydowskie o stanie nieba w roku ,3758-m. Odpada tedy ze sporów egzegetycznych cała sprawa er greckich i wieku patryarchów, wynaleziona pod wpływem pomyłki w astronomii ptolemejskiej.

Poparta przez astronomię era biblijna podług Żydów i Wulgaty służy nawzajem odpowiedzią na zagadki co do różnych zaćmień dziejowych, na które brakuje odpowiedzi chronologom, związanym wątpliwą powagą Ptolemeusza i niezdolną pogodzić świadectwa dziejopisów ze zdobyczami astronomii najnowszej [1].

Wywody niniejsze poprzestają tylko na wniosku, że zgoda żydowskiej chronologii biblijnej z astronomią zastanowić powinna badaczów, którzy na drogach innych i z innych stron szukają światła w sprawie ciemnej od wieków. Żadna gałąź wiedzy związanej z chronologią nie przemawia językiem równie ścisłym, jak liczby astronomiczne. Jeżeli astronomia świadczy o niezwykłem prawdopodobieństwie chronologii biblijnej, tedy mogą jej badacze mniej tracić nadziei, że przecie dojdą do prawdy stanowczej i sprawę kiedyś wyświetlą wszechstronnie.

Ks. K. Czaykowski.

---

[1] Zauważyć tu wydada, że w świetle arytmetyki pospolitej otrzymana chronologia biblijna nie dostarcza jeszcze wszystkich bez wyjątku dat niewątpliwych. Ale ostateczna ich suma uderza przez swoją zgodę z dzisiejszą nauką.

CHRONOLOGIA BIBLIJNA PODŁUG ŻYDÓW I WULGATY.

1

Księga, rozdział i wiersz świadectwa	Świadectwo o wypadku i jego czasie	Rok porządkowy: od początku	przed naszą erą
1 Mo. 1, 14 . .	☾ ♀ ♃ 1 .	1	,3759
„ 5, 3 . . .	Adam 130 .	131	,3629
„ „ 6 . .	Set 105 .	235	,3525
„ „ 9 . . .	Enos 90 .	324	,3436
„ „ 12 . . .	Kainan 70 .	393	,3367
„ „ 15 . .	Malaleel 65 .	457	,3303
„ „ 18 . . .	Jared 162 .	618	,3142
„ „ 21 . .	Henoch 65 .	682	,3078
„ „ 25 . .	Mathusal. 187 .	868	,2892
„ „ 28 . . .	Lamech 182 .	1049	,2711
„ 11, 10 . . .	Noe 500 .	1548	,2212
„ 5, 32 . . .	„ 600 .	1647	,2113
„ 11, 10 . .	Sem 100 .	1648	,2112
„ „ 12 . . .	Arphax. 35 .	1682	,2078
„ „ 14 . . .	Sale 30 .	1711	,2049
„ „ 16 . . .	Heber 34 .	1744	,2016
„ „ 18 . . .	Phaleg 30 .	1773	,1987
„ „ 20 . . .	Rew 32 .	1804	,1956
„ „ 22 . . .	Sarug 30 .	1833	,1927
„ „ 24 . . .	Nachor 29 .	1861	,1899
„ „ 26 . . .	Thare 70 .	1930	,1830
„ 12, 4 . . .	Abram 70 .	1999	,1761
„ 21, 5 . . .	„ 100 .	2028	,1732
„ 25, 26 . . .	Izaak 60 .	2087	,1673
„ 47, 9 . . .	Jakób 130 .	2217	,1543
2 Mo. 6, 16 . . .	Lewi † 137 .		
„ „ 18 . . .	Kaat † 133 .		
„ „ 20 . . .	Amram † 137 .		
„ 7, 7 . . .	Mojżesz 80 .	2428	,1332
5 Mo. 2, 14 . . .	„ 118 .	2465	,1295
„ 14, 23 . . .	„ 120 .	2467	,1293
Joz. 24, 34 . . .	Jozue, Starsi 52 .	2518	,1242
Sędz. 3, 8—3, 9	Hus 8; — Othoni 40 .	2557	,1203
„ „ 14—„ 30	Egl. 18; — Aod. Samg. 80 .	2636	,1124
„ 4, 3—5, 32	Jab. 20; Bar. Deb. 40 .	2675	,1085
„ 6, 1—8, 28	Mad. 7; — Ged. 40 .	2714	,1046
„ 9, 22 . . .	Abimel. 3 .	2716	,1044
„ 10, 2 . . .	Thola 23 .	2738	,1022
„ „ 3 . . .	Jair 22 .	2759	,1001
„ 12, 7-11, 26	Jephte 6 .	2764	,996
„ „ 9 . . .	Abesa 7 .	2770	,990
„ „ 11 . . .	Ahial 10 .	2779	,981
„ „ 13 . . .	Abdon 8 .	2786	,974
„ 13, 1-15, 71	Phil. 40; Sams. 20 .	2805	,955
1 Kr. 4, 18 . . .	Heli 40 .	2844	,916
„ 7, 2 . .	Samuel 20 .	2863	,897
„ 13, 1 . . .	Saul 2 .	2864	,896
3 Kr. 2, 1 . . .	Dawid 40 .	2903	,857
„ 6, 1 . . .	Salomon 4 .	2906	,854

(2 Mo. 12, 40: 430) — (300) — (480)

2

Księga, rozdział i wiersz świadectwa	Świadectwo o wypadku i jego czasie	Rok porządkowy: od początku	przed naszą erą
3 Kr. 11, 42 .	Salomon 40 .	2942	,818
„ 14, 21 . .	Jerobo. 18; — Roboa. 17 . . .	2958	,802
„ 15, 2—9 .	„ 20; — Asa 3 .	2960	,800
„ „ 25 .	„ 22; — Asa 2 . . .	2961	,799
„ „ 35 .	Nadab. 2; „ 3	2962	,798
„ 16, 8 .	Baasa 24; „ 26 .	2985	,775
„ „ 15 .	Ela 2; — „ 27	2986	,774
„ „ 23 .	Amri 6; — „ 31	2990	,770
„ . 28	„ 12; — „ 38 . .	2996	,764
„ 22, 41 . .	Achab 1; — „ 41	2999	,761
	„ 12; — Salman. 4; — Karkar. .		,753
„ „ 52 . .	„ 22; Josaph 17	3015	,745
4 Kr. 3, 1 .	Ochos. 2; — „ 18 (U. C. 0)	3016	,744
„ 8, 16 .	Joram 5; — „ 25	3020	,740
„ 9, 5 . .	Jehu hetman; — Salmanass. 18 . .		,739
„ „ 29 . .	Joram 11; — Joram 8	3026	,734
„ 8, 25	„ 12; — Ochosi. 1	„	„
„ 11, 3 .	Jehu 7; — Atalia 6 .	3031	,729
„ 13, 1 .	„ 28; Joas 23 . .	3052	,708
„ „ 10 . .	Joachaz. 17; — „ 37 .	3066	,694
„ 14, 1 . . .	Joas. 2; — „ 40	3067	,693
„ „ 23 . .	„ 16; — Amasi. 15	3081	,679
„ 15, 1 . . .	Jerobo. 2; — Osias 1 . .	3082	,678
☾ Siwan	Asurdanil 9; — „ 18		,661
	Nabonass. 1		,645
4 Kr. 15, 8 .	Jerobo. 41; — Osias 38 . .	3119	,641
„ „ 13 . . .	Zach. Sell.; — „ 39	3119	,641
	Tigl. Pil. 9; — „ 46	3124	,636
„ „ 23 . . .	Manah. 10; — „ 50	3128	,632
„ „ 27 .	Faceia 2; — „ 52 . . .	3129	,631
„ „ 32 .	Fakee 2; „ „	„	„
☾ 22/IV .	Marduc. 1; Joathan 12	3140	,620
☾ 11/IV . .	„ 2; „ 13 . . .	3141	,619
☾ 5/X . . .	„ „; — „ „ . . .	„	„
4 Kr. 16, 1 . . .	Fakee 17; — „ 16	3144	,616
„ 15, 30 17, 1	„ 20; — Achaz. 2	3146	,614
„ 18, 1 .	Osee 3; „ 6 . .	3148	,612
„ „ 10 .	„ 9; — Ezech. 6 . .	3153	,607
„ „ 13 . . .	Saucheri 5; „ 14	3161	,599
„ 21, 1 . .	„ 29	3176	,584
☾ 15 Sabat . . .	Sama Suk. 5; — Manass. 25	3200	,560
4 Kr. 21, 19 .	„ 55 . . .	3230	,530
„ 22, 1 .	Amon 2	3231	,529
☾ 24/VI . . .	Nabopalas 5; Josias 10 . .	2240	,520
4 Kr. 23, 30 .	„ 31	3261	,499
„ „ 36 . .	Joachaz 0·25 . .	„	„
Jer. 25, Dan 1 .	Nabuchod. 1; — Joak Eli 3 . .	3263	,497
4 Kr. 24, 6 .	„ 8; — „ 11 . . .	3271	,489
„ 8, 12 . .	„ 8; Jech. Jo 0·25 .	„	.

3

Księga, rozdział i wiersz świadectwa	Świadectwo o wypadku i jego czasie	Rok porządkowy: od początku	przed naszą erą
☾ 1/IX	Nabuchod 11; — Cyaxar Alyet. . . .	3273	,487
4 Kr. 25, 8 . . .	„ 19; — Sed. Mat. 11 . . .	3281	,479
Dan. 5, 30	„ 20; — Baltazar 1	3282	,478
„ 8, 1 .	„ 22, „ 3 .	3284	,476
„ 9, 2	„ 23; — Dar. Med. 1	3285	,475
4 Kr. 25, 27 . . .	„ 43; — Jech. Jo 36 . . .	3305	,455
. „ „ .	Evilmero. 1; — „ 37	3306	,454
1 Esdr. 1, 1 . . .	. Cyrus 1 . .	3334	,426
„ 4, 6 . .	Assuer		
„ „ 7	Artaxerx.		
„ „ 24 .	Darius . . .		
Zach. 1, 12 . .	„ 2 .	3350	,410
	„ 19 . . .	3367	,393
	Artaxerx 46 . . .	3413	,347
	Och 21	3434	,326
	Arog 2	3436	,324
	Darius 4	3440	,320
☾ 20/VIII .	Alexand. 1	3441	,319
	„ 8; Olymp 111, 3 . .	3448	,312
	Philipp. 7	3454	,306
	Alexand 12	3466	,294
	Lagi 20	3486	,274
	Philad. 38	3524	,236
	Euerg. 25	3549	,211
	Philop. 17	3566	,196
	Epiph 24	3590	,170
	Philom 35	3624	,136
	Euerg 29	3653	,107
	Soter 36	3689	,71
	Dyonis 29	3718	,42
	Cleopatra 9; — August 1	3727	,33
Indict. (i) 4 . . .	„ 2 . . .	3728	,32
	„ 22 „ 14	3740	,20
☾ 13/III	„ 31	3757	,3
Indict. (iii) IIII .	„ 35	3761	1
	Quirin rect. „ 40	3766	6
Dan. 9, 29; Olymp. 194, 3;	ΙΗΣ ΧΡ „ 42 (U. C. 752)	3768	8
Indict. (iii) .cII .	„ 43	3769	9
☾ 27/IX	„ 48	3774	14
	„ 57	3783	23
☾ 14/III . .	Tiberius 1	3784	24
	Pilat „ 14	3797	37
	ΙΗΣ 30 „ 15	3798	38
Olymp 202, 4 . .	ΙΗΣ † ⊙ ☾ ♀ „ 19	3802	42
Obecny rok w starochrześcijańsk erze Abissin. 1894 . .		5662	1902

Do artykułu „Historyczne zaćmienia w świetle ery biblijnej“ (po str. 58).

NAJNOWSZA POWIEŚĆ BOURGETA.

(Dokończenie).

Rozmowa toczy się około istoty chrześcijaństwa.

— Wszystko, co jest dobrego w Ewangelii — mówi Cremieu-Dax — już się znajduje w Proroctwach. Reszta jest adoptacyą do świata grecko-rzymskiego. Gnostyczna kompilacya, przypisywana Janowi, jest najwyraźniejszym typem podobnej przeróbki. Jeśli jest co pewnego w nauce, to fakt, że „chrześcijaństwo jest tylko spolityzowanym judaizmem".

— Wierzę w Pana Jezusa, — rzekł ksiądz — więc nie mogę zgodzić się z panem.

— A to tem słuszniej, — wtrącił Jan, który w swym stanie rozdrażnienia nie mógł znieść cierpliwie apodyktycznego tonu przyjaciela — że nauka nie ma nic wspólnego z tą hipotezą o 4-ej Ewangelii. Nauka znaczy tyle, co badanie krytyczne. A to co nam powiada? Że już w II wieku św. Ireneusz uważał tę Ewangelię za autentyczną; mówi dalej, że Ireneusz znał św. Polikarpa a Polikarp Apostoła Jana, czego dowodem jest, że Polikarp przybył do Rzymu około r. 154 omówić sprawę świąt Wielkanocnych z papieżem Anicetem i przynieść mu świadectwo Jana. Jakiem prawem chcielibyśmy wiedzieć lepiej od współczesnych i wiadomość stwierdzoną zastąpić wprost osobistem mniemaniem?

Ksiądz popatrzał zdziwiony na niespodziewanego poplecznika:

— Bądź co bądź — rzekł, zwrócony do Cremieu-Daxa — czy pan uznajesz czy nie autentyczność czwartej Ewangelii, musisz pan przyznać, iż jej duch, równie jak i poprzednich, doprowadza do trzech wspaniałych określeń, tworzących hasło rzeczypospolitej: Wolność, Równość, Braterstwo.

— Śmiem być innego zdania — przerwał znów Jan. — Nie jestem teologiem, ale czytałem pilnie Ewangelię i naukę jej streściłbym w trzech wyrazach wręcz przeciwnych hasłu, które się tak księdzu podoba, a mnie się wydaje wprost nierozsądnem. Moje trzy wyrazy to: Karność, Hierarchia, Miłość bliźniego.

— Niema sprzeczności między obu programami — rzekł ksiądz.

— Dla księdza nie — odparł Jan — bo uznajesz Kościół, a z nim rzymski ustrój, przeniesiony w sferę duchową, ale dla tych, którzy go nie uznają, pierwsze z tych dwóch haseł przedstawia anarchię z jej okropnymi skutkami. Zresztą dosyć ich dzisiaj widzimy...

— Proszę nie uważać na gadanie Monnerona, on lubi paradoksy! — zawołał Cremieu-Dax, niemniej od księdza zdziwiony słowami Jana i zaniepokojony jego rozstrojem, pod którym domyślał się zmartwienia. Głównie jednak chodziło mu o swoje idee. Wciągnął ks. Chanuta w tę atmosferę socyalizmu w nadziei nawrócenia go do własnych teoryi i sądził słusznie, że najgorszą ku temu przeszkodą będzie widok niezgody między członkami Unii. — Zresztą — dodał łagodniej — jest to dowodem, że w naszem stowarzyszeniu każda forma myśli ma wolny wstęp...

— A tolerancya ta — rzekł ksiądz — czyż nie jest jeszcze dowodem, że Rewolucya godzi się z chrystyanizmem, gdy pozostaje wierną swym pierwiastkom!?

— Odpowiem, jak ksiądz przed chwilą — odparł Cremieu-Dax. — Zgadzam się na pańskie zdanie z tą zmianą, że chrystyanizm godzi się zawsze z Rewolucyą, gdy jest wierny swoim pierwiastkom, a ten pierwiastek to, jak mówiłem, wypełnienie Proroctw...

— Ja zaś — wtrącił znów Jan — powracam do krytyki

historycznej, o której wciąż prawicie, a potem, gdy ją przychodzi brać w rachubę, tłumaczycie ją, jak się któremu podoba... Tak lub nie, czyż jest faktem, że przez ośmnaście wieków chrystyanizm utrzymywał społeczeństwo ludzkie w stanie nawskróś żywotnym? Czy nie jest faktem, że za każdym razem co słabnął, jak we Włoszech podczas Odrodzenia, lub we Francyi przed stu laty, moralna spójnia również osłabła, a człowiek poniżył się? Biorąc jeszcze Francyę, czy nie jest faktem, że najświetniejsze jej epoki dziejowe, wiek XIII i wiek XVII były też czasem, gdzie pod św. Ludwikiem i pod Ludwikiem XIII była najgłębiej i najszczerzej katolicką? Czy nie jest faktem, że od r. 1789 miotamy się, nie mogąc nic zbudować, w nieudolności związanej z antyfizycznemi teoryami Rewolucyi? Nie, chrystyanizm nie stoi na tej samej zasadzie, co ta Rewolucya. Jego zasada jest jej przeciwną, a doświadczenie dowiodło, iż ta z zasad jest prawdziwą, t. j. zgodną z naturą rzeczy, której użycie zawsze wywoływało zdrowie. Tamta zaś — nie!

— Mówisz pan o faktach — zauważył ksiądz — więc pozwól się zapytać, czem byłbyś sam, gdyby nie Rewolucya?

— Byłbym chłopem — odparł Jan, którego wszystkie bóle naraz się zbudziły — byłbym człowiekiem podpartym przez tradycye, obyczaj ojców, przez ziemię, w której leżą ich kości! Byłbym członkiem rodziny trwałej... Toż one trwały, nasze rody ziemiańskie i zasługiwały na tę trwałość przez cnotę. A potem cierpliwie, zwolna wznosiły się do stanu mieszczańskiego, a wreszcie do szlachectwa. Wtedy mówiono, iż rodzina musi się wprzódy dorobić fortuny, aby, gdy wyższego stopnia dosięgnie, pracować już tylko dla kraju!... Wszystko to spaczyło się za Ludwika XIV i XV — należało je w 1789 naprawić, a natomiast wszystko zniszczono...

I Jan mówił dalej, przechodząc do kwestyi żydowskiej, skąd o mało z Salomonem nie przyszło do gorzkich słów. Widząc to, ksiądz przerwał im, mówiąc:

— Różnicie się mniej w zdaniu, niż wam się zdaje...

„Każdy kapłan, — dodaje autor — choćby najbardziej podległy złudzeniom, jest wielce domyślnym, dlatego po prostu, że

spowiada“... I tu ks. Chanut odgadł, że na dnie rozdrażnienia obu młodzieńców kryło się cierpienie, że jednego ból tkwił w brakach rodziny, drugiego w losie jego narodu: „Obaj pragniecie królestwa Bożego, skoro wzdychacie za ładem społecznym, tylko że pan widzisz jego narzędzie w rodzinie, pan zaś w jednostkach... Mojem rzemiosłem jest służba dusz, a można pełnić ją wszędzie, nawet w socyalistycznej restauracyi, przynosząc słowa spokoju i zgody“...

Czas już był na prelekcyę, więc wstali i poszli razem. Zaledwie jednak przebyli próg domu Unii, poznali, że Riouffol w ostatnich dniach nie próżnował. Sień i schody pełne były robotników i studentów, wśród których dwaj komitetowi, eskortujący księdza, musieli się przedzierać, witani tu i ówdzie szemraniem lub grubą obelgą na karb prelegenta. Inne jednak głosy wołały: Brawo przeciwnik! Hańba tym, co go znieważają! Precz! Precz! — Potem ktoś zażądał pieśni *La Carmagnole* i wnet ohydny śpiew rozległ się po całym budynku. Sala konferencyjna napełniała się szybko, a t. zw. komisarze, odróżniający się medalem na piersi, krzątali się rozpaczliwie, usiłując przywrócić porządek. Na widok Cremieu-Daxa przybiegli doń jak do wodza:

— To umyślnie sporządzona heca! — zawołał jeden z nich.

— Damy jej rady — odrzekł spokojnie. — Byleby ksiądz dobrodziej nie dał się zniechęcić przez te dzikie bestye!

— Dlatego jestem tutaj, że są dzikiemi — rzekł ksiądz.

— Użyłem niestosownego wyrazu — poprawił spiesznie Cremieu-Dax. — Wymknął mi się, bo posiadam nerwy, jak zresztą wszyscy. Chciałem powiedzieć: tych otumanionych... Bo są otumanieni i wiem przez kogo. Ale cóż począć bez ludu? Wszystko w nim jest krańcowe i to właśnie jego wielkość stanowi. Czy już komitetowi przyszli? — dodał, zwrócony do jednego z komisarzy.

— Tylko Rumesnila brak.

— Szkoda. Mamy już tylko pięć minut, a z nieco trudną publiką należy być akuratnym. Zresztą — jak nie przyjdzie, to się obejdziemy.

— Nie przyjdzie zdrajca — pomyślał Jan. — Nie spotkam

go aż jutro. Tylko jeżeli go nie będzie, to po co ja tu będę siedział? Ot, jeszcze te pięć minut poczekam. — I poszedł za Cremieu-Daxem i księdzem do pokoju zwanego szumnie izbą radną, kędy wraz z innymi członkami oczekiwał Riouffol. Twarz jego wydawała się jeszcze żółciejszą, rysy dziwaczniejszymi; hałas poprzedzający bachanalię, której był reżyserem, wywoływał na nich wyraz dzikiej radości, zwiększony jeszcze w chwili, gdy się ukazał ksiądz Chanut wraz ze swymi przewodnikami. Zmieszał się wszakże, widząc, że Cremieu-Dax, którego na tem samem miejscu zelżył, zbliża się doń z wyciągniętą dłonią. Nigdy młody Żyd nie złożył tak wielkiego poświęcenia na ołtarzu swych zasad!

— A teraz — rzekł — przedstawiam wam naszego gościa, księdza Chanut. Słyszycie, że się gotuje na manifestacyę. Czy mam wam przypomnieć, żeśmy wszyscy podpisali artykuł ustawy, obowiązujący nas pod rygorem dymisyi do ścisłej solidarności w łonie komitetu? Czy który z was pragnie dać obecnie dymisyę? Jeżeli tak — będzie mógł wziąć udział w nieprzyjaznej manifestacyi. Jeżeli nie — jest obowiązany mocą swego podpisu do pracowania wraz z nami nad stłumieniem jej.

Wszyscy umilkli. Tak Riouffol, jak trzymający jego stronę przyszły literat i elektro-technik zapomnieli o regulaminie; teraz czuli, że jeśli ustąpią, Cremieu-Dax pozostanie w Unii absolutnym panem. Ten zaś mówił dalej:

— A zatem zgoda? Skoro jednak Rumesnila niema, trzeba wybrać innego przewodniczącego. I to zaraz, bo hałas się wzmaga. Za dziesięć minut już nie będzie go można uciszyć — słuchajcie!

Śpiew zaczęty w sieni brzmiał teraz na górze; przez drzwi dochodziły wyraźnie bluźniercze wyrazy najohydniejszej strofy.

— Głosujmy — rzekł protestant Bobetière. — Czas już z tem skończyć.

— Głosujmy — powtórzył Jan, patrzący pomimo własnych bied z politowaniem na księdza, który stał cicho w rogu izby, rzekomo zajęty oglądaniem przepysznej fotografii zdjętej z arcydzieła jednego z mistrzów włoskich. Obraz ten odbijał równie jaskrawo od otoczenia, jak sama postać kapłana, który zresztą

nie widział go wcale. „Czyż na widok huraganu nienawiści, wznieconego jego przyjściem pomiędzy wrogów, zrozumiał daremność swego wysiłku i błędność swej polityki? Czy przeciwnie, składał w głębi serca ofiarę z tej przeciwności. Temu, z którego ofiarą dusza jego łączyła się codziennie w chwili konsekracyi? *Qui pridie quam pateretur accepit panem in sanctas ac venerabiles manus Suas...* Msza — to dalszy ciąg Golgoty. Dla kapłana odprawienie jej zrana, to zaskarbienie sobie na cały dzień siły nadprzyrodzonej wobec cierpienia. Odblask owej wewnętrznej jasności rozjaśniał obecnie oblicze nieużytecznego, choć szczerego apostoła. Nieużytecznego? Nie. Prawo natury, nie dozwalające na utratę żadnego atomu siły fizycznej, jest odbiciem takiegoż samego prawa w dziedzinie moralnej, to też w tej chwili męczeństwo kapłana demokraty wywierało tuż obok niego swe działanie mistyczne. Przyszedł, by głosić Ewangelię biednym ludziom, odartym z chrześcijaństwa, dzięki niegodziwej robocie ostatniej ćwierci wieku. Ci zbłąkani nie mieli mu dozwolić jednego zdania w całości wygłosić; natomiast jego godność pełna słodyczy i smutku, jego skromność pełna łagodności i powagi, jednem słowem, jego pobożność nie miała pozostać bez skutku. Brat Julii Monneron, przebywający właśnie chwile tak bolesne, odbierał od tego biednego księdza, tak naiwnego w swych poglądach społecznych, a tak godnego podziwu swem męstwem, nową a uderzającą naukę o potędze głębokiej wiary. Istniała moc, którą widział jasno cielesnemi oczyma: moc pociechy i dobroczynności, moc światła i niezwalczonej pewności. Cremieu-Dax posiadał także wiarę, ale widocznie błędną i niepłodną, nie wytrzymującą probierza rzeczywistości: stwierdzały to dochodzące wrzaski, niemniej jak wielkie jego wysiłki, dążące do mizernego celu“...

Gdy Jan zawołał: głosujmy! — Cremieu-Dax szepnął coś jemu i Bobetièrowi do ucha, zaczem po oddaniu głosów okazało się, że przewodniczącym obrany był Riouffol. Przychodziło mu zadać sobie samemu kłam wobec manifestującego tłumu, który tu ściągnął i podniecił.

— Riouffol jest prezesem — mówił Cremieu-Dax. — Jeżli łaska, Księże Dobrodzieju, możemy wejść. Riouffol...

Introligator powstał. W długiej jego twarzy znać było gwałtowną walkę, w oczach namiętny ból. Spoglądał na Cremieu-Daxa, Bobetièra i Jana z gniewem graniczącym z wściekłością. Pięść jego uderzyła w stół tak silnie, że się zatrząsł, a papiery wzleciały:

— Macie, czegoście chcieli, panowie intelligencya — wojnę! Udało ci się Cremieu-Dax — doszedłeś do celu!... Zmuszasz mnie do wyboru pomiędzy Unią Tołstoja a mojem socyalistycznem sumieniem... Nie poprowadzę tego zwodziciela — wskazywał na księdza wciąż zaciśniętą pięścią — do tych poczciwych ludzi — wskazywał na salę pełną zgiełku i wrzasku — Składam dymisyę. Cóż, jesteś kontent? Ale Unia z tego zdechnie. Zresztą tem lepiej — odnajdziemy się... Do widzenia Bobetière! Twoi ojcowie, których popi szczuli dragonami, byliby z ciebie radzi! Albo nasi, Monneronie, którzy odrabiali pańszczyznę dla panów duchownych... A co do ciebie... — Podszedł do Salomona z wejrzeniem najdzikszej nienawiści i podniósł dłoń. Cofnął się jednak przed wyrazem równie strasznego lecz powściągniętego gniewu. Wyszedł; za nim, złożywszy również dymisyę i raz jeszcze na księdza bryzgnąwszy swym jadem, wynieśli się dwaj towarzysze. Pozostający odetchnęli swobodniej. Na sali od chwili ukazania się Riouffola było cicho, z czego korzystając Cremieu-Dax, wciąż zaufany w swoją moc nad tłumem, otwarł drzwi na estradę.

„Było istotnie coś wielkiego w ukazaniu się na owej wązkiej trybunie tego wątłego księdza w towarzystwie trzech studentów wobec dwustu kilkudziesięciu słuchaczy, których dwie trzecie dopiero co objawiło niechęć zjadliwą przez swój śpiew godny ludożerców. Gdy weszli, stronnicy ich klasnęli w dłonie, na co wraz ozwały się krzyki protestu. Jan, wchodząc ostatni, ujrzał w twardem świetle gazowem same wykrzywione twarze, usta otwarte do wrzasku, oczy obłąkane wściekłością. I to *pandemonium* nosiło nazwę Unii Tołstoja! Karą dla wielkiego rosyjskiego pisarza, zamienionego przez obłęd pychy w apostoła anarchii, był sam fakt, że jego imię, wsławione pismami go-

dnemi Balzac'a (!) mogło posłużyć za szyld podobnym zebraniom"...

Cremieu-Dax tymczasem, stojąc za stołem przewodniczącego, poruszał rozpaczliwie dzwonkiem, wołając, co sił starczyło: Towarzysze! Towarzysze! — Ale głos jego i głos dzwonka tonęły wśród ogłuszającej wrzawy, z której wydobywały się tu i ówdzie pojedyncze wyrazy. Powietrze już i tak duszne, pełne było zwierzęcych wyziewów, a ponad wszystkiem górował ostatni wiersz strasznego hymnu śmierci.

Pour s'affranchir le seul moyen
C'est la guerre au Prétorien,
Dynamite et pétrole
Pour le vautour qui vole
Et aux puissants — la bombe!

Z tego zgiełku wiał taki wiatr wojny domowej, że sam Jan dał się pociągnąć. Ujrzawszy pod ścianą Riouffola, kierującego mową, wzrokiem i gestem tą piekielną saturnalią, począł krzyczeć: „Precz z Riouffolem! On nie należy do Unii! Nie ma prawa tu być! Precz! Precz!" — gdy naraz uczuł się silnie schwyconym za ramię. Odwróciwszy się, poznał starego sługę Rumesnila.

— Mam list dla pana — rzekł z cicha. — Niech pan idzie; jest powóz na dole. Rzecz bardzo ważna...

Jan, zapominając o wszystkiem, zeskoczył z estrady i dostawszy się do izby radnej, przeczytał: „Julia ranna; trzeba zaraz przyjść po nią i odwieźć do domu. Ja nie mogę. Doktór powie resztę. Ale prędko... R."

Klienci Unii Tołstoja mogli teraz do woli objawiać swój brutalny idyotyzm. Jan nie słyszał nic, zapomniał gdzie się znajduje.

— Doktór jest w powozie? — zapytał.

— Tak jest — brzmiała odpowiedź. — Pan Dr. Graux.

Nazwisko to było Janowi znane. Dr. Graux w długiej swojej karyerze zebrał — nie europejską sławę lub magnacką fortunę, ale sporą wiązkę zasług. Był to lekarz i dawny przyjaciel rodziny Rumesnila, „Graux z Lourdes", jak go z powodu jego

pobożności przezywał Adhemar, nie szczędzący mu zazwyczaj swych żartów. „W Paryżu istniał jeden tylko doktór, będący praktykującym katolikiem — mawiał sprytnie do Jana — i matka moja musiała go się uczepić! Co nie przeszkodziło, że w obecnej ciężkiej biedzie wolał do tego chrześcijanina się udać, niż do innych lekarzy, chociażby socyalistów, jak np. Bobetièra. Wybór ten stał się przypadkowo dla Monnerona miłosiernym uczynkiem. Zawsze kwestyami religijnemi zajęty Jan, spotkawszy poprzedniej zimy Dra Graux u Rumesnila, miał z nim rozmowę poważną, po jakiej zwykle pozostaje pewna łączność duchowa między rozmawiającymi. Nazajutrz, dla dopełnienia swej tezy, doktór posłał mu był świeżo wyszłą broszurę o życiu jednego ze swych kolegów, Dra Clermont. To imię jednego z uczniów Wielkiego Potaina[1] należałoby od zapomnienia ocalić, nie tylko dlatego, że był to człowiek sprawiedliwy w całem znaczeniu pięknego słowa, ale dlatego też, iż ów pokorny pracownik napisał na łożu śmierci medytacyę, w broszurze tej zamieszczoną, a zawierającą jedno z najwznioślejszych zdań, jakie kiedykolwiek ręka ludzka skreśliła: J a k ż e b y ś m y u p a d l i b e z s z l a c h e t n e g o c i e r p i e n i a? — Myśl przecudna, którą odtąd Jan sobie często powtarzał, zrazu wprawdzie tylko z literackim podziwem, nie domyślając się, iż przyjaciel tego, co ją napisał, będzie wmieszany w najsroższy ból jego młodości. Dziś, gdy mu służący oznajmił obecność Dra Graux w oczekującej doróżce, Janowi nie przyszedł na myśl ten szczegół, ale wspomnienie lekarza było dlań z tak wzniosłemi myślami złączone, iż poczuł pewną ulgę, dowiedziawszy się, iż z nim a nie z kim innym będzie miał do czynienia“... Zresztą nie było czasu na zastanowienie. Przedarłszy się przez tłum wrzeszczący na korytarzu i schodach, nie słysząc grubych obelg rzucanych mu po drodze, zbiegł na ulicę i wskoczył do powozu.

---

[1] Sam Dr Potain, zmarły przed niedawnemi laty, nazywany był „świętym“ przez bliższych i dalszych znajomych. Wiemy z własnego doświadczenia, jak znaczne polepszenie w trudnej do wyleczenia chorobie składał na karb Opatrzności a nie własnej zasługi.

— Czy moja siostra tylko ranna? — spytał, spoglądając bystro w lekarza.

— Tylko ranna, daję panu słowo honoru. Usiłowała się zabić. Adhemar chciał jej broń wyrwać, rewolwer wystrzelił i roztrzaskał mu lewą dłoń. Nie miał już siły przeszkodzić. Sądzę jednak, że niebezpieczeństwa niema. Straciła dużo krwi, ale rana jest powierzchowna.

Oblicze lekarza zazwyczaj wesołe i dzielne, było dziś chmurne i blade, a przecież skroń jego siwym okolona włosem przywykła do schylania się nad wszelkim rodzajem nędz, przyjmowania przeróżnych zwierzeń. Dziś bowiem miał przed sobą nędzę wyjątkowo bolesną. Daremnie szukał słów na ulżenie boleści siedzącego przy nim młodzieńca. Znał go nie tyle z owej dawnej rozmowy, ile z entuzyastycznych pochwał Adhemara, zakończonych jak zwykle żartem: „Mam nadzieję, że nie będziemy się zbyt często widywać, zarazbyś pan próbował nawrócić go do dewocyi, a on i tak już nadto dąży ku temu"... Słowa te przyszły na myśl p. Graux w chwili, gdy powóz mijał kościół św. Franciszka Xawerego i postanowił w tych chwilach strasznego wzburzenia potrącić o owe religijne dążności. Tak więc słowa jego stały się nowem do tylu poprzednich dodanem wezwaniem, jednym ze znaków mnożących się wokoło młodzieńca, by przyśpieszyć jego dotarcie do tajemniczej mety, ku której dusza jego zdążała"... Tu autor wpada znów nieco w jansenizm, nie uznając dostatecznie działania łaski w sercu człowieka, a przeceniając własne jego działanie. Pisze bowiem, że „istotny cud moralny, zwany nawróceniem, bywa najczęściej dziełem całego szeregu drobnych wydarzeń, wynikłych z własnego naszego usposobienia". Gdyby np. p. Ferrand nie był znał nostalgii chrześcijańskich Monnerona, nie byłby mu wypisał na kopercie zdania św. Augustyna, które się dlań stało źródłem rozmyślań. Gdyby nie taż sama, wszędzie obecna nostalgia, Jan nie byłby zrozumiał cichego bohaterstwa księdza Chanut. Gdyby jej nie był objawił przed Rumesnilem, Dr. Graux, nie znając jej, nie byłby do niego przemówił tonem używanym przez p. Ferrand. Owe piętrzenia się kolejnych wrażeń dokonywują co pra-

wda wielkich dzieł wewnętrznych, ale też są pierwotnie jego wynikiem. Pascal powiada: Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie nie posiadał; a Goethe: Nie można przyjąć w siebie tego, czego się nie posiada. W temto znaczeniu wiara staje się cnotą, bo jest osobistem a skrytem nakierowaniem woli, wtedy nawet, gdy zewnętrzne okoliczności zdają się nas prowadzić tam, gdziebyśmy sami nie doszli. Okoliczności te atoli nie byłyby zaszły, gdybyśmy ich własnem naszem przysposobieniem nie ukształtowali. Nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele w nich mamy czynnego udziału: dlatego wydają nam się ostrzeżeniem i dziwem"... Miałoby się ochotę zapytać, kto wlał w duszę Jana ową chrześcijańską nostalgię, która całego nawrócenia była przyczyną, a na dumne zdania Goethego drugiem odpowiedzieć pytaniem: „Cóż masz, czegobyś nie odebrał?"

„Pozostaw zemstę Bogu" — rzekł do Jana lekarz, wstępując w próg najętego osobno mieszkania, gdzie przed paru godzinami rozegrała się tragiczna scena, a gdzie obecnie Julia leżała cicha, biała ale przytomna. Zostawszy z nią sam na sam, Jan dopiero dowiedział się całej prawdy, którą Adhemar przez resztę uczucia rycerskości przed lekarzem ukrywał. Biedna dziewczyna, widząc się zdradzoną, miotała się w rozpaczy, chciała chwilami zakończyć życie i w tym celu wzięła do kieszeni rewolwer. Potem znów inne napadły ją myśli; zapragnęła raz jeszcze z Rumesnilem się widzieć. Zamiast rozrzewnienia wszakże wszczęła się kłótnia: Antoni, którego złodziejstwa i kłamstwa wyszły nareszcie na jaw w całej swej pełni, napisał był do Adhemara z oznajmieniem, iż wyjeżdża do Ameryki, gdzie na podwalinę znacznego interesu potrzebuje 50.000 fr. „Skoro mi je przyślesz — dodawał — odbierzesz w zamian kilka listów, o których posiadanie zapewne dbasz". Rumesnil, nie wiedząc, że Antoni wykradł był jego listy od siostry, oskarżył ją w twarz o wspólnictwo w szantażu, czem Julia oburzona strzeliła doń, widząc zaś, że padł, mniemała, że zabity i skierowała broń przeciw sobie. Adhemar, podniósłszy się, odzyskał dość sił, by się dowlec do ludzi, posłać po lekarza i — co go najwięcej kosztować musiało — napisać ową kartkę do Jana. Obecnie na-

leżało pomyśleć o uprzedzeniu rodziców i przewiezieniu chorej, nie do ich domu, bo na samą myśl o tem truchlała, ale do poblizkiego szpitala. Z tem jednak czekać było trzeba do rana, a tymczasem Dr Graux podjął się jeszcze poselstwa do Monneronów, gdzie, wywoławszy ojca, opowiedział mu, iż córka została na ulicy postrzeloną przez obłąkanego, że stan nie jest groźny, ale że dopiero rano będą mogli rodzice odwiedzić ją kolejno w szpitalu....

Jan został sam przy siostrze nareszcie uśpionej. Noc już była głęboka, dokoła ruch miejski uciszał się stopniowo, a w duszy jego odsłaniały się coraz wyraźniejsze czeluści nieszczęścia, których zgiełk wrażeń tego strasznego wieczoru dotąd nie dozwalał mu zgłębić. Widział konieczność zmuszenia nareszcie ojca do spojrzenia w twarz rzeczywistości. Zbyt drogo już kosztowało ich wzajemne milczenie!... Widział brata zbrodniarzem i siostrę zgubioną, a wskutek ich win gasnącą ostatnią iskierkę nadziei jego własnego szczęścia! Toż nie mógł, zamilczając hańbę rodzinną, iść oświadczyć ojcu Brygidy: Zostaję katolikiem — nazwij mnie twym synem! Nie mógł też hańby wyjawiać — a więc skończyło się z jego snem miłości, z tem małżeństwem, o którem myśl rozświecała mu zmroki goryczy!... „Godziny nocne mijały wśród rozdzierających rozmyślań, zaostrzonych brakiem snu i znużenia, a pomiędzy nimi w zbolałej duszy dokonywała się praca nawrócenia, ów niepojęty przewrót w całej istocie, najwymowniej określony przez Doktora Łaski, gdy przytoczywszy wiersz Ewangelii: ‚Jezus i jawnogrzesznica pozostali' — dodaje — sami naprzeciw siebie — *miseria et misericordia.* Tak!... skoro w sobie nie czujemy już nic okrom nędzy, wtedy okazuje się miłosierdzie Boże, jeśliśmy za niem tęsknili i męczyli się oddaleniem jego, boć jedynie ta tęsknota przyciąga je! Oschłość, która w duszy Jana czyniła z wiary, jak mówił, martwe prawdopodobieństwo, miękła i topniała w czasie tej nocy czuwania. Po raz pierwszy może nie opierał się działaniu Bożemu, tylekroć już zaczętemu daremnie a dziś wyrażającemu się wołaniem o pociechę, której nie mógł się ani od drugich ani od siebie spodziewać. Nie wstrzymywało go już

żadne rozumowanie, żaden chorobliwy skrupuł, jak np. trapiąca go poprzednio myśl, że poza potrzebą wiary kryło się pragnienie małżeństwa z ukochaną. Jego wola rozbita i zwalczona poddawała się niepojętej potędze, z której początek wziął wszechświat a z nim i serce nasze. Jan czuł tę potęgę żywą, skoro w niej życie nasze się nurza; rozumną, skoro myśl w niej się poczyna; litościwą, skoro od niej litość pochodzi... I przyszła chwila, gdzie owej nocy siostra zbudzona ujrzała go klęczącego przy łożu, z czołem opartem o krwią splamione płótno. Jan modlił się... Była to niejasna, nieudolna modlitwa, podobna pierwszemu kwileniu niemowlęcia. Toż ten cywilizowany człowiek wychowany był na barbarzyńcę przez ojca, którego bałwochwalstwo własnego sądu spychało w rzeczach tyczących się duszy do umysłowego poziomu dzikich. Owa prośba o pomoc z góry była przecież modlitwą, pierwszą, jaką którykolwiek z Monneronów odprawił od chwili, gdzie dzisiejszy profesor, zerwawszy z pojęciami i obyczajem ojców, poszedł był założyć swoją niefortunną rodzinę. Julia, zachowująca jeszcze dumny nihilizm edukacyi ojcowskiej w pośród tradycyi, kędy szał jej buntu ją wtrącił, wpadła w zdumienie na widok objawu tak niezwykłego w jej otoczeniu, że się aż fantastycznym wydawał. Przez mimowolne uszanowanie a zarazem i czułość dla brata, który jeden zrozumiał poniekąd jej serce, została nieruchomą i nawet zamknęła oczy, by mu nie pokazać, że go tak ujrzała, nie strącając pyłka z rodzących się uczuć, których ta klęcząca postawa była pierwszym nieśmiałym symbolem!

„Czy modlitwa — jak uczy wiara — jest zaczerpnięciem istotnej siły u nieskończonego Źródła wszelkiej miłości i woli, czy też, według psychologów współczesnych, skutki jej tłumaczą się prostem działaniem autosuggestyi — pewnem jest, iż umacnia, że w dziwny sposób naciąga struny naszej energii duchowej. Daje nam niespodziewaną dla nas samych moc wytrzymałości. Tak było i z Janem Monneron, gdy po tak przepędzonej nocy znalazł się o dziesiątej z rana naprzeciw ojca w rodzicielskim domu". Znalazł go powracającego z liceum, gdzie z żołnierską obowiązkowością przez dwie godziny wypytywał uczniów i wy-

kładał, jak gdyby nie miał duszy rozbitej dwoma równocześnie ciosami: niewątpliwą już hańbą Antoniego i przypadkowem, jak mniemał, zranieniem córki. To ostatnie wszakże znikało wobec boleści nad zbrodnią starszego syna. Stary profesor, pomimo łez żony, wypędził go z domu, byłby wolał widzieć go na marach... „W takiem usposobieniu ujrzał go Jan, wchodząc do gabinetu, gdzie przed paru dniami czytali razem wiersze Eschylosa o pięknej Helenie, ‚o duszy pogodnej, jak cicha przestrzeń fal‘ i wiersz o Menelausie osamotnionym wśród pięknych posągów, nie mających oczu, by patrzeć i pocieszać. Najwspanialsze książki wielkich mistrzów wydają nam się jak te posągi, kiedy gwałtownie cierpimy. Im też brak głosu, aby przemówić, brak słów, aby dotrzeć do serca. Nieszczęsny humanista przebywał chwile, kędy czar literacki istnieć przestaje. Czy go jeszcze kiedy odnajdzie?... Czy zdoła jeszcze między sobą a swoim losem zaciągnąć cudną zasłonę greckiej i łacińskiej poezyi, ‚zamknąć moralnie oczy‘, jak to był o nim Jan Ferrandowi powiedział?“ — Niestety jemu teraz przypadło te biedne oczy otworzyć na nowe nieszczęście, jemu, który był dotąd stałą ojca pociechą... A przecież musiał: ojciec był głową rodziny, jemu przystało postanawiać i działać. Jan tedy krótko a dobitnie wypowiedział całą prawdę o siostrze. Słuchając, twarz Monnerona zmieniała się stopniowo jakby pod wpływem tortury, a potem ból wylał się w słowach, jak potok niosący zdumienie, rozpacz, gniew i oburzenie bez granic:

— Nie znam jej! — mówił. — Nie chcę jej znać. Niech tu nie wraca, bo ją wypędzę, jak wypędziłem jej brata. Zakażę matce jej widywać. Zakazuję i tobie — słyszysz?...

A potem znowu żal brał górę nad gniewem:

— Czyż zasłużyłem na takie nieszczęście? Pracowałem nad siły, odmawiałem sobie wszystkiego — dla moich dzieci. Nie miałem w życiu nic prócz tych dzieci i żony, a teraz dwoje straciłem — i to jak! Raczej ich widzieć pod ziemią!“

Niedawno jeszcze Jan obawiał się najlżejszem słówkiem zamącić swobodę umysłu u ojca. Dziś, wszedłszy z nim na drogę

szczerości, nie mógł już i nie chciał się wstrzymać. Bez namysłu, niemal instynktem rzucił się na obronę siostry:

— Nie mów tak, ojcze! — zawołał. — Nie mów, że ją wypędzisz, że jej nie chcesz widzieć, iż ją opuścisz... Nawet i jego... Nie masz prawa tak czynić — jesteś ich ojcem! Nawet gdyby byli gorzej zrobili, nie powinieneś ich rzucać, jego — na dalsze kradzieże a może i gorzej, a ją na dno rozpaczy... Nie! tego chcieć nie możesz!... Przysięgam ci — wołał stanowczo a cicho, lecz ze spuszczonemi oczyma, bo czuł śmiałość i wagę słów swoich — to niesprawiedliwie!

— Niesprawiedliwie — powtórzył jeszcze gwałtowniej Monneron. — Istotnie jestem niesprawiedliwy. Dla sprawiedliwości byłbym powinien prosić p. Berthier, by Antoniego zaskarżył przed sądem! Toż co dnia zasądzają biedaków, którzy nie mieli wychowania, widzieli same najgorsze przykłady, a nie zawinili tyle, co on — on, któremu oszczędzone były wszelkie pokusy!... A Julia — jakąż czułością była otoczona! Jaką opieką!

— Czyś tego pewien? — przerwał Jan, a widząc gniewne zdziwienie ojca, dodał: — Chciałem powiedzieć, że ci się zdawało, iż się nią opiekujesz, że ją zasłaniasz tak, jak mniemałeś, że Antoniego zasłaniasz... To nie twoja wina, ale teraz przyznać musisz, żeś ich charakteru nie przejrzał, boś nie przypuszczał, aby byli zdolni do tego, co zrobili!... Ich jedyną, ale istotną wymówką jest, że byli wystawieni na niebezpieczeństwa, przeciw którym nie mieli ochrony w nikim, nawet w tobie, boś tych niebezpieczeństw nie widział i widzieć nie mógł. To los naszej rodziny tak sprawił... Jesteśmy wykorzenieni, nie mamy punktu oparcia. Nie możesz temu zaradzić. Antoni był chowany w liceum, on ubogi z chłopcami bogatymi. Otarł się o zbytek bardzo wcześnie i o zabawy, a to podziałało na niego tem silniej, że w domu było ubogo. Wziął rozpustę za życie szerokie a brudne, wystawność ladacznicy za arystokracyę. Julia znów czytała za wiele i za wcześnie. Książki rozbudziły w niej chęć wrażeń, przy których karyera nauczycielki wydała się jej nieznośną. Żyli pomiędzy dwoma światami: światem zaparcia i pracy a światem używania i rozwoju. Pokusa była zbyt silna... Błagam cię

ojcze, nie potępiaj ich od razu, rozbierz w myśli ich usposobienia, a potem sądź.

— A ty? a ja? — rzekł ojciec — a inne demokratyczne rodziny wyrosłe z zasług jednego ze swych członków czyż nie są także między tymi dwoma światami? Właśnie dlatego, że wyszli z dołu, od roli, powinni byli wdzięcznymi być ojcu, który ich podniósł! A zamiast tego hańbią moją siwiznę. A gdyby się o ich niegodziwości dowiedział świat... Ot, byłaby gratka dla naszych wrogów! O tem także nie pomyśleli, a przecież wiedzą, jak kocham wspaniałe grono, do którego należę! I ty chcesz, abym ich wyrozumiał?... A co do tych nowych teoryi o ludziach przesadzonych, wykorzenionych i t. p., to wszystko głupstwo. Istota ludzka to rozum, sumienie i wola. Rozum mówi każdemu zarówno, co jest jego obowiązkiem. Sumienie ostrzega go, czy i jak go wypełnia, wola służy jednako do spełniania go lub niespełniania. Poza tem są tylko czcze słowa, wymyślone przez filozofów z czasów dekadencyi, aby zamącić to, co jest jasnem i prostem. To dobre dla kazuistów i dla Jezuitów. Szukasz wymówek dla brata i siostry, bo jesteś poczciwy — nie mają żadnej, żadnej, żadnej!

— Tu nie chodzi ani o uniwersytet mój ojcze ani o rzeczpospolitą ani o Jezuitów, ale o wielkie prawo społeczne, zawsze prawdziwe: niepodobna zmienić otoczenia, przechodząc z jednej klasy społeczeństwa do drugiej, bez zmian i zamąceń głębokich w całej istocie człowieka, a ty pomyśl — jeszcześ się chłopem urodził. Ciebie jednak i mnie uratowało zamiłowanie do rzeczy umysłowych — to jest szczęście ale nie zasługa. Ale cóżby się z nas było stało, gdyby nas usposobienie nasze było ciągnęło jak Antoniego ku rozkoszom materyalnym lub do wrażeń sentymentalnych jak Julię?... Mówisz, że mieli rozum i sumienie, aby ich powstrzymać, ale czy sądzisz istotnie, że to są dość skuteczne hamulce? Rozum... ależ rozum to nie żaden zakon, żadna doktryna. To jest rozwinięcie zmysłu krytycznego i nic więcej. A zmysł krytyczny gdy raz rozkiełznamy, kędyż się zatrzyma? Rozmawiałem ostatnimi czasy z Antonim i z Julią. Znalazłem u obojga podobny stan umysłowy: zwątpienie abso-

lutne, zasadnicze względem wszystkich zasad, względem złego i dobrego, obowiązku i zbrodni i nie miałem im nic do odpowiedzenia. Zapomocą samego rozumu można wszystko usprawiedliwić i wszystko zniweczyć, skoro odkąd świat światem, wszystko się nicuje argumentami równie silnymi po obu stronach...

— Do czego zmierzasz tymi sofizmatami? — zapytał Monneron dziwnie surowo — Zdawałoby się, że masz coś do zarzucenia wychowaniu, jakie wam dałem? Przed paru dniami, gdym ci mówił o solidarności jako o wielkiej regule etyki, odpowiedziałeś: a w imię czego? Dziś bronisz występnego brata i siostry, dając mi do zrozumienia, żem im nie dał steru na życie, bo sam rozum nie starczy... Wytłumacz się jasno: czy mi wymawiasz, żem was wychował swobodnie, bez kłamstwa, oszczędzając wam walk, przez które musiałem sam przechodzić, by moją myśl oswobodzić? Czyż chcesz mnie czynić odpowiedzialnym choćby w setnej części za szaleństwa tych dwojga dlatego, że np. nie uczyniłem z nich katolików, ja, który uważam wszystkie religie, a zwłaszcza tę, za złudzenia lub oszukaństwa? Jeżeli to masz na myśli — mów jasno, a jeżeli nie, przestań ich bronić. Albo oni są winni, albo ja. Śmiej to ojcu powiedzieć w oczy!

— O mój ojcze — odparł Jan łagodnie — skądże miałbym prawo cię sądzić lub czynić cię odpowiedzialnym za podobną hańbę? Nie twoja wina, żeś im nie dał wiary, której nie miałeś. Myślałeś, żeś dobrze w tem czynił... Ty sam nie potrzebowałeś życia religijnego, aby uczciwym pozostać. Myślałeś, że wiara nie jest potrzebną, albo raczej ty masz swoją wiarę, skoro wierzysz w Sprawiedliwość tak, jak się wierzy w Objawienie. Myślałeś, że to nam wystarczy... O jedno tylko śmiem cię poprosić, to jest, abyś sobie zdał sprawę, iż nie posiadając tej wiary, która ciebie wspierała, pozostali bez żadnego oparcia. Inna wiara, może pokorniejsza, byłaby ich wspomogła. Zwłaszcza Julię, która miała serce czułe i słabe i była tak mało stworzona do atmosfery negacyi, która ją zdusiła!... Sprawiedliwość to jest pojęcie, to jest abstrakcya... Im było potrzeba — zawahał się chwilę,

ale pod nakazującem spojrzeniem Monnerona dokończył — tak, im było potrzeba Boga!

Pomiędzy ojcem a synem nastało milczenie. Jan stał przerażony słowami, które wymówił. Obawiał się, że wynik ich będzie wręcz pragnieniom jego przeciwny. Twarz profesora skurczyła się jeszcze bardziej, źrenice ostrzej błysnęły. Przeciwnie jednak oczekiwaniu syna, głos jego, gdy przemówił, był niemal spokojny. Rozmowa ta była mu niewymownie przykrą, to też pragnął ją zakończyć czemś stanowczem, nie podlegającem dyskusyi.

— Mówiłem ci nieraz — wyrzekł nareszcie, — że nie dałem was ochrzcić przez wzgląd na wasze sumienie, abyście, gdy wyrośniecie, mogli swobodnie obrać wasze *credo*. Sposób, w jaki mówiłeś, dowodzi, iż masz ochotę wybrać odmienne od mojego. Może już je wybrałeś? Z tego dla mnie wynika, że nic nie przeszkadzało Antoniemu i Julii ten sam zrobić wybór. Ich nihilizm — skoro utrzymujesz, iż wynieśli nihilizm z pojęć, z których ja coś wręcz przeciwnego wyniosłem — ich nihilizm zatem nie jest usprawiedliwieniem ich występków. Te występki, powtarzam, nie mają żadnych wymówek — pamiętaj, że dziś mówimy o nich po raz ostatni. Zrobię dla nich, co mi sumienie nakaże. Julia jest kobietą i chwilowo niezdolną utrzymać się własnemi siłami. Będę jej płacił pensyę, a potem niech myśli o sobie. Antoni nie dostanie nic; niech pracuje lub zaciągnie się do wojska... Jest jednak jeszcze jeden punkt. Te 5000 fr., które oddał do banku w miejsce skradzionych — przypuszczam, że ich nie wygrał, ale od kogoś pożyczył.

— Istotnie, pożyczył je od... Rumesnila.

— Od... Dobrze! Trzeba je zaraz zapłacić. Już nadto jednego dnia...

— Już zapłacone przezemnie. To samo pomyślałem co ty...

— Mój ty szlachetny chłopcze! Ale skąd je wziąłeś? To przecież znaczna suma, więcej niż połowa mojej pensyi!

— Pożyczyłem je sam — odrzekł Jan, rumieniąc się żywo — ..od pana Ferrand.

Nazwisko to w ustach syna było nowym ciosem dla Józefa

Monneron. Oprócz bowiem antagonizmu społeczno-religijnego, do którego się przed sobą przyznawał, stawała jeszcze między nim a bogatym kolegą skryta a potężna zapora zazdrości. Zazdrościł mu wszystkiego, nad czego brakiem we własnym bolał żywocie; a więc harmonii w stosunkach rodzinnych, harmonii między zajęciami umysłowemi a ogólnem tłem życia, swobody w pracy nie dla chleba ale dla idei... Różnice zdań pomimo mimowolnego podziwu zamienione w niechęć, wyrosły do rozmiarów nienawiści sekciarskiej a zarazem kastowej — oczywiście po jednej tylko stronie, bo Ferrand uczuwał dla towarzysza lat młodych dużo uznania i więcej jeszcze litości. Dziś, po wyznaniu Jana, Monneron pomyślał z goryczą, iż nie dwoje ale troje dzieci utracił, skoro i ukochany syn odbiegł go tak daleko, zbliżając się do jego przeciwnika. Ból ten chwilowo przemógł wszystkie inne, pod jego wpływem nawet surowość względem Julii stopniała. Nazajutrz rano już stał nad nią w szpitalu i tulił do piersi zbolałą twarzyczkę. Chciał ją wziąć od razu do domu, lecz Julia broniła się:

— Nie mogę! Mogłoby to przeszkodzić małżeństwu Jana, a tak — niech chociaż on będzie szczęśliwym!

— A z kimże ma Jan się żenić?

— Z Brygidą Ferrand!

Teraz już stary filolog nie ma chwili spokoju, aż dotrze do swego wroga i, zwracając pożyczone pieniądze, rzuci mu zapytanie — jakiem prawem ukradł mu syna? Jak śmiał w szale prozelityzmu przynęcić romantycznego chłopca nadzieją miłego związku? Pełen gniewu zatem wybiera się do ataku; wzburzenie jego wszakże powoli stygnie pod wpływem prawości i dobroci Ferranda. Ten, sam wzburzony, na zarzuty przez ojca czynione Janowi, opowiada, jak dzielny chłopiec chciał przez miłość synowską szczęścia swego się wyrzec i jak on sam, postawiwszy mu zrazu za warunek przyjęcie katolickiej wiary, ulitował się potem nad smutkiem córki i boleścią młodzieńca i podał do Rzymu prośbę o pozwolenie na ślub z bezwyznaniowcem. Poczciwy profesor nie wie dotąd, iż dyspensa już nie jest potrzebną... Monneron wszakże widzi jeszcze przeszkodę: toż sama

uczciwość nie dozwala mu przed stanowczą decyzyą zataić świeżych nieszczęść i wstydów rodzinnych: na to zaś, miasto światowego lekceważenia lub surowości katońskiej, słyszy z ust chrześcijanina same słowa pociechy.

Podczas, gdy obaj ojcowie omawiają przyjaźnie przyszłość swoich dzieci, inny epizod francuskiej wojny domowej odbywa się między jej dwoma przedstawicielami z młodszego pokolenia. Cremieu-Dax, zaniepokojony o Jana, przyszedł się o niego dowiedzieć, a zarazem umówić o reorganizowaniu na tych samych podstawach nieszczęsnej Unii Tołstoja, rozbitej onegdajszego wieczora. Toż nie chcąc już postawić na swojem, ale przynajmniej księdza wyprowadzić bez szwanku, musiał siły policyjnej zażądać! Jan wszakże oświadcza mu wręcz swoją zmianę przekonań:

— Myślałem, że jestem socyalistą, a nie jestem nim, byłem stronnikiem Rewolucyi, a dziś nie jestem; wierzyłem ślepo we wszczepione mi od dzieciństwa zasady — dziś wydają mi się z gruntu błędnemi. Sądziłem, że jest niezwalczona sprzeczność między religią a wiedzą — dziś widzę między niemi absolutną łączność. Myślałem, że demokracya zgadza się z wiedzą — dziś widzę w demokracyi zwyrodnienie i wsteczność... Nie wiemy sami, czem jest społeczeństwo, więc nie możemy się rwać do jego reformy.

— Rozumowanie podłej trwożliwości — przerwał Cremieu-Dax. — Powinniśmy dążyć do większej sprawiedliwości i to jak najprędzej.

— Rozumowanie pychy, prowadzące wprost do anarchii — odparł Jan. — Co to jest sprawiedliwość? To, co sam uznajesz za słuszne. Od stu lat każdy w tym kraju czyni się sędzią społeczeństwa w imię tego, co nazywa swojem sumieniem, a co w rzeczywistości jest tylko własną jego namiętnością. To jest powód konania Francyi.

— Więc chcesz zachować społeczeństwo jakie jest, ze wszystkiemi jego niegodziwościami?

— Chcę je traktować tak, jak fizyologia uczy nas traktować ciało żywe — zapomocą doświadczenia. Mamy doświadczenie

stworzone przez naturę, a tem jest tradycya we wszystkich swoich formach: mamy ojczyznę — uznajmy ją; rodzinę — uznajmy ją; religię...

— Dokończ! — przerwał Cremieu-Dax z niezwykłą gwałtownością — i śmiej dowodzić, że winieneś być katolikiem z ramienia wiedzy.

— Z ramienia wiedzy? Czemu nie! — odrzekł Jan. — Z tą różnicą, że wiara, nie będąc geometryą lub chemią, nie da się wykazać. Nie tylko jednak wiedza się jej nie sprzeciwia, ale wskazuje na nią jako na najrozsądniejsze rozwiązanie wszechrzeczy. Do tego zdania przystałem i ja. Tak jest — i głos jego stał się bardziej jeszcze stanowczym. — Postanowiłem zostać katolikiem takim, jakimi byli wszyscy moi od wieków. Chcę się głęboko w prawdziwą Francyę zanurzyć. Nie mogę żyć bez moich zmarłych... Odnalazłem ich wiarę i nie dam jej zaginąć.

— Ich wiarę! — zawołał Cremieu-Dax — Zostać katolikiem? Ty? Nie mów mi tego. Nie — to niemożliwe. Nie zostaje się katolikiem z taką głową jak twoja.

— Z moją głową przecież stałem się katolikiem — wyrzekł Jan — i pozostanę nim.

— Skoro tak jest — odparł, powstając, założyciel Unii Tołstoja — nie mam już co robić u ciebie. Przeszedłeś na przeciwną stronę barykady — nie znamy się.

— Chcesz zerwać ze mną? — zawołał żywo Jan.

— Uprzedzam cię tylko — odrzekł Salomon z goryczą, w której drgało coś innego niż rewolucyjna namiętność, uczucie najskrytsze i najdotkliwsze duszy żydowskiej, groza moralnego *ghetto*... — Będziesz się wstydził naszej przyjaźni. Wolę sobie tego widoku oszczędzić choćby przez cześć dla naszej młodości. Bądź zdrów.

— Skoro tak rzeczy bierzesz — rzekł Jan wzburzony — bądź zdrów.

Nagłem zerwaniem z przyjacielem tak drogim, a którego dziką nietolerancyę po raz pierwszy zmierzył, Jan uczuł się nad miarę biednym. Toż dla miłości ojca poświęcił nadzieję szczęścia, potem dla swych przekonań postradał miłość ojca, a teraz tracił

przywiązanie lat młodych. Była to wszakże ostatnia kropla goryczy — gdy ją wysączył, już kielich był pusty. Natomiast pierwsza pociecha przyszła mu niespodziewanie od tegoż samego Cremieu-Daxa, który po kwadransie powrócił:

— Nie mogę się z tobą rozstać w ten sposób — rzekł. — Musimy sobie podać ręce. Nie gniewaj się — byłem tak gwałtowny przed chwilą, bo też zanadto mnie to zmartwiło.

— Ale czemu? — pytał Jan. — Czyż nie możemy zostać przyjaciółmi, mając odrębne pojęcia?

— Nie — odrzekł Cremieu-Dax z głębokim smutkiem. — Można zachować wzajemnie przyjazne obejście, ale nasz stary *Conciones* mówi słusznie: *Idem velle, idem nolle, ea demum amicitia est.* Niema przyjaźni, niema rodziny bez wspólności w wierze. Tę mieliśmy, a już jej nie mamy. Nie można rozkazywać swym myślom... Walka między Jerozolimą a Rzymem nie od dziś się zaczęła: datuje się od Tytusa i bitwy dokoła świątyni... Nie możemy być przyjaciółmi — toż walczymy w armiach przeciwnych, ja z jednej strony, ty z drugiej. Ale pomimo wszystkiego, przyrzeknij, że nigdy o mnie nie zapomnisz zupełnie...

— Przyrzekam, że ci będę zawsze przyjacielem — nawet pomimo ciebie — rzekł Monneron. Młody Żyd potrząsł głową. W oczach jego przeleciała niewymowna żałość, ból wieczystego wygnańca, dowodzącego samemu swemu istnieniu, że już się proroctwa spełniły, choć on wciąż czeka ich spełnienia...“

W godzinę potem Jan pełen wdzięczności dla ojca, który wierny swym obietnicom tak na ślub z Brygidą, jak i na jawne wyznanie wiary chrześcijańskiej pozwalał — śpieszył ku swemu szczęściu do domu Ferranda. Stary filolog zaś zasiadł z lulką i Aischylosem w ręku w swym cichym pokoju. Teraz on z kolei czuł się nieskończenie samotnym. Czuł, że cały trud jego żywota z nim zstąpi do grobu, że jest na zawsze oddzielonym od syna, że żadne z dzieci nie będzie, według słów Elektry, jego c h w a l e b n y m p o m n i k i e m. I po raz pierwszy poczuł wątpliwość co do przekonań, według których ukształtował swe życie. — „Czyżbym się omylił?“ zapytał głośno, a gdy sumienie oddało mu świadectwo, że zawsze był w dobrej wierze, podniósł skroń

i pomyślał z niejaką pociechą: „Nie, nie jestem z nim rozłączony. Jeżelim się omylił, to przynajmniej służyłem mu za doświadczenie.“

Bourget kończył swą książkę w maju 1902 r. Pisząc ją, pracował jak żołnierz, sypiący okopy w przededniu ataku wroga. Dziś walka wybuchnęła i wre. Temu przeszkodzić nie mógł. Ale co mógł, to zrobił: pomógł do umocnienia warowni serc, stojących dziś jak żywy wał między bronią niewiary a Krzyżem. Możnaby z punktu literackiego niektóre zastrzeżenia co do książki Bourgeta uczynić: zarzucić np. zbyt długie rozpisanie się przy końcu lub częste przerywanie akcyi dla wygłaszania poważnych zdań; możnaby też zaznaczyć zbytnie upoetyzowanie bankierskiego syna, bawiącego się w demagoga — wszystko to jednak nie psuje całości. Może sporo czasu upłynąć, zanim republikańska Francya, wydająca więcej Monneronów aniżeli Ferrandów, zdobędzie się na powieść podobnej wartości.

I. Wodzicka.



ISTOTA NOWSZEJ HISTORYOGRAFII.

(Dokończenie).

Przeciwnicy Lamprechta mogliby nam może zarzucić, że przez określenie historyi, jako wiedzy ogólnych, typowych zjawisk, niesłusznie za wiedzę nie poczytujemy badań szczegółowych i historyczno-artystycznego przedstawienia zdarzeń dziejowych. Z tego samego źródła mógłby wypłynąć zarzut, że mieszamy pojęcie historyi z pojęciem filozofii historyi, polityki i socyologii. Nie wystarczy odpowiedź, że historya powodowana myślą filozoficzną nie jest jeszcze filozofią historyi. Najwznioślejszy bowiem cel rozwojowej historyi, jakeśmy przedtem powiedzieli, wyżej sięga. Zadaniem tego rodzaju historyi jest pogląd na ogół. Z tem większą chęcią o tem mówimy, że zdaniem naszem właśnie na tym punkcie brak jasnych pojęć o rzeczy. Zarówno przeciwnicy filozofii historyi, Dilthey[1] na przykład i w ostatnich czasach Helmolt[2], jak nowsi socyologowie[3], gardzący historyą wszystko omawiającą, a także i ci uczeni, którzy uważają filozofię historyi za dział[4] historyi, wszyscy ci, jak się zdaje, nie rozróżniają niektórych zupełnie odrębnych od siebie rzeczy. Jeżeli ktoś pisze historyę rozwoju w najściślejszem tego słowa znaczeniu, a nie uwzględnia zarazem jej ogólnie uznanych

---

[1] *Einleitung in die Geisteswissenschaften*, I tom.

[2] *Weltgeschichte*, I, na str. 3—16 (Kohler).

[3] Gumplowicz, Bourdeau i inni.

[4] Np. Wundt (*Philos. Studien* 1888, tom IV na str. 6 i nast.) i Barth (*Die Philosophie der Gesch. als Sociologie*, I na str. 8—13 i 364 i nast.).

praw, opartych na częstem porównywaniu zjawisk podobnych i jednakowych wszystkich czasów i ludów, nigdy nie przedstawi wszechstronnego umotywowania danego wypadku i zawikłanego związku rozwoju zdarzenia w całej pełni prawdy i we wszystko obejmującym całokształcie.

Jeżeli badania historyczne postąpią w tym kierunku, to prawa w ten sposób poznane wpłyną na całe przedstawienie rzeczy. Wciąganie jednak tych praw do historyi, jako apryorystyczne zaciekanie się w metafizycznych badaniach byłoby tylko nieprawnem wmieszaniem się w budowę filozoficznej historyi. Również nie należy łączyć w jeden system praw wyrosłych na gruncie wcale niehistorycznych hypotez, celem obrazowego uzasadnienia tychże praw przez fakty same. Toby było filozofią historyi, a względnie socyologii i polityki. Przeciwnie, prawa te należy sobie tworzyć krok za krokiem na gruncie historycznym, polegać na nich i uznawać je za źródło i przyczynę zjawisk indywidualnych, zrozumieć wreszcie i przedstawić jako żywą i żyjącą historyę. Z badań historycznych powoli wynikają one same i tworzą się niejako przed oczyma historyka. Ponieważ „koniecznie wymagać trzeba, aby historyk miał zwróconą uwagę na ogół, nie powinien go sobie naprzód już wymyślać, jak filozof... ale podczas badań szczegółowych okaże mu się droga, którą postępuje rozwój świata w ogólnym poglądzie“ [1].

W ten sposób odłączamy pojęcie historyi z jej najbliższym przedmiotem od pojęcia filozofii historyi, socyologii i innych gałęzi wiedzy, których przedmiotem człowiek. Po usiłowaniu Pawła Bartha, aby złączyć [2] najszczytniejsze zadania historyi z zadaniami socyologii i filozofii historyi, już nie wystarczają dowody Bernheima [3], uzasadniające powyższe rozróżnienie pojęć.

---

[1] Ranke: *Weltgeschichte* (Ed. Dove) IX, na str. X. *(Aus dem Nachlass Rankes; Handschrift der 30-er Jahre).*

[2] *Die Philosophie der Geschichte als Sociologie* I na str. 1—13 i na str. 364.

[3] *Lehrbuch der hist. Methode* na str. 67—99. Omawiając dzieło Bartha wcale nie podaje Bernheim nowych dowodów na poparcie swego zdania (por. *Hist. Vierteljahr. Schr.* II, 1899. — *Deutsche Zeitschr. für Gesch.-Wiss.* 10, na str. 374 i nast).

Według zdania Bartha, przedmiotem historyi są społeczeństwa ludzkie i ich stany zmienne[1]. Historya bierze pod uwagę „nie jednostkę jako taką, lecz tylko o tyle, o ile jej życie albo jest typem innych, albo na życie innych ma wpływ przeważny“[2]. „Napoleon I tylko dlatego zajmuje historyę, ponieważ częściowo urzeczywistnił, częściowo stworzył ideały i pragnienia większej części Francuzów“[3]. Podobnie jak między filozofią nauk przyrodniczych i samą wiedzą nauk przyrodniczych, tak między historyą i filozofią historyi jest tylko różnica stopni. „Odróżniają się od siebie tylko stopniem uogólnienia swych twierdzeń“[4]. Historya zajmuje się szczegółami, „filozofia historyi szuka tego, co zbiorowe, ogólne; jest wiedzą w wyższym stopniu pojętą“[5]. Tak określona filozofia historyi utożsamia się z najdoskonalszą znajomością spraw społecznych, z najdoskonalszą socyologią[6]. Za spór o słowa tylko uważamy kwestyę, czy różnica między filozofią historyi a historyą w najwyższym stopniu rozwiniętą jest różnicą istotną, czy tylko stopniową. Być może, że ścisłą granicę między rozmaitemi gałęziami wiedzy zdoła pociągnąć[7] wyższy lub niższy stopień uogólnienia, czyli

---

[1] Na innem miejscu, na str. 4.

[2] Na inn. miej., na str. 2. Zdanie to zawiera wiele prawdy i niekoniecznie wynikają z niego następstwa, podane przez Bartha. Przekonywają nas o tem wyrażenia podobne Droysena, nie będącego wcale stronnikiem Bartha (por. Droysen: *Grundriss der Historik,* § 41—44, na str. 21—24).

[3] Na inn. miej., na str. 2; por. str. 213 i nast.

[4] Na inn. miej., na str. 9.

[5] Na inn. miej., na str. 9.

[6] Na inn. miej., na str. 10 i nast. Widocznie Barth nie zna dzieła na punkcie teoretycznych poglądów tak podobnego do swego. Jest niem N. Karejewa: *Ossnownije woprossy filozofij istorij. Kritika istoriossofitscheskich idej i opyt nautschnoi istorij istoritscheskago progressa* („Zasadnicze kwestye filozofii historyi. Krytyka historyozoficznych pojęć i próbka postawienia naukowej teoryi postępu historycznego) 2 tomy, Moskwa. 1883.

[7] Żaden chyba uczony nowszych czasów z taką gruntownością nie opracował bardzo zawiłej kwestyi niezależności od siebie pojedynczych gałęzi wiedzy, jak właśnie Scholastycy. Porów. np. Cosmus Alamannus: *Summa Philosophiae,* (S. Thomae), wyd. Ehrle i Felchlin-Beringer I, 1, Q. XXVIII—XXXV. — *Collegium Complutense Philosophicum in Dialecticam* (1629), Disp. XIX; na str. 397 i nast,; *Commentarii Collegii Conimbricensis in univ. Dialecticam Aristotel.* (1611), II, in lib. I Arist. de poster. resol., cap. VII—XXV;

ta odrębna droga, którą powstała przynajmniej część tych ogólnych sądów. A chociaż jednostka o tyle tylko była przedmiotem historyi, o ile bierze udział w życiu społecznem, to jednak z tego nie wynika wcale on nieuzasadniony *quasi* dogmat Bartha, że przedmiotem dziejów jest tylko całe społeczeństwo lub zbiór jednostek. Chcąc dobrze zrozumieć przeważny wpływ jakiejś osobistości historycznej na całe społeczeństwo, trzeba koniecznie poznać o ile możności wszystkie jej indywidualne cechy. W ten sposób dokładne poznanie jednostki należeć będzie do zakresu wiedzy, będzie jej właściwym przedmiotem. Tezy Bartha nie uzasadni dowód, oparty na podobieństwie przedmiotu historyi z przedmiotem nauk przyrodniczych. Wprawdzie w tych ostatnich o tyle tylko wchodzi w grę jednostka, o ile się ją uważa [1] za przedstawicielkę i typ całego rodzaju, ale to pochodzi stąd, że tam jednostka nie ma tak rozstrzygającego wpływu na całą gromadę zwierząt. Inaczej ma się rzecz w historyi. Jeżeli się jednak rozszerzy zakres pojęcia historyi, rozszerzy się także należycie zakres działalności filozofii historyi, a wtedy nie będzie już obawy pomieszania jej z socyologią.

Zresztą nie byłoby wielkiem złem rozszerzenie pojęcia historyi, wciągnięcie weń niektórych gałęzi wiedzy, uważanych dotychczas za pomocnicze w historyi. Możnaby wtedy mówić o naukach historycznych. Tego jednak żądania nie stawiamy. Filozofia historyi, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie zajmuje się tylko niektóremi powszechnemi zasadami filozoficznemi, ale uogólnia rzecz, posługując się i przypuszczając wydoskonalone filozoficzne nauki, zasady poznawania, etykę, psychologię teodyceę, a nawet dogmaty wiary. Niezbędny również, istotny i trwały musi panować związek i łączność między socyologią

---

na str. 581—683. — Petri card. Pázmány: *Dialectica* (ed. Bognar, Opera omnia tom I) Disput. IV Q. I—III, na str. 558—588.

[1] Na inn. miej., na str. 2 i nast. Nie możemy usunąć sprzeczności, znajdującej się w dziele Bartha. Na str. 2 utrzymuje, że nauki przyrodnicze, podobnie jak historya „nie zajmują się jednostką, jako taką“, „jednostka nie jest przedmiotem nauk przyrodniczych“. A na str. 217 mówi, że „jednostka jako taka nie jest przedmiotem historyi, ale tylko przedmiotem nauk przyrodniczych“.

a zdobyczami i wnioskami filozofii moralnej. Znajomość politycznych stosunków, oparta na doświadczeniu i spostrzeżeniach, musi się posługiwać całym zasobem polityki filozoficznej. Tymczasem historya, zajmująca się ogólnym poglądem, znajduje swoje uogólnienie bezpośrednio w posiłkowaniu się najpowszechniejszemi zasadami filozoficznemi i socyalnemi, analizą i porównaniem zdarzeń dziejowych.

Natomiast nie można nazwać filozofią nauk przyrodniczych tej nauki o przyrodzie, która zajmuje się prawami ogólnemi, jednością i związkiem sił natury, która wywodzi poszczególne zjawiska z praw ogólnych i na nie się wciąż odwołuje. Coś podobnego trzeba powiedzieć o historyi.

Musimy uwzględnić znakomitą myśl J. Baersta, którą możemy przyjąć, choć nie w znaczeniu wyłącznem, w jakiem ją autor przedstawił. „Dla historyi obfitym w skutki i wpływowym nie jest sam typ, powszechność sama w sobie, lecz ich jakoby wcielenie we właściwych kształtach i zjawiskach“ [1]. Innemi słowy, ogół, powszechność i z tego także względu wchodzi w historyę, że to, co jest poszczególne i indywidualne, uważa się za objaw ogólnego prawa. Nie powinno się tylko tej powszechności pojmować tak, jak H. Rickert [2], albo W. Windelband [3]; wtedy bowiem znówby zupełnie zniknęła.

Na razie najwyższy stopień krytycznie rozwijającej historyi jest dla nas tylko upragnionym ideałem. Zapytujemy jednak, czy historya w znaczeniu potocznem jest wiedzą w ścisłem znaczeniu? Lamprecht i inni, jak np. Barth, zdają się odpowiadać przecząco, bo opierają się (jak i Paweł Fournier) [4] na

---

[1] *Die universalhistorische Auffassung in ihrer besonderen Anwendung auf die Geschichte des Alterthums* w *Hist. Zeitschr.* 83 N. F. 47, 1899; na str. 204.

[2] *Die Grenzen der naturwissenschaftlichen Begriffsbildung*, I, 1896, np. na str. 72 i nast., 236 i n., 250 i n.

[3] *Geschichte und Naturwissenschaft.* Strass. Rekt. Rod. 1894. Zdaje nam się, że o indywidualności i powszechności można znaleźć piękne myśli w Chr. Seignobos: *Introduction aux études historiques* (Langlois et Seignobos) 1898, na str. 204.

[4] *A propos d'une Introduction aux études historiques* w *Revue des Quest. hist.*, 64 N. F. 20 1898, na str. 159 i nast.; zwł. na str. 165—172.

zasadzie: *non est scientia nisi de universalibus*. Może i na tę trudność znajdzie się wystarczająca odpowiedź, gdy ustalimy rozdział odrębnych od siebie pojęć. Liczne badania danego zjawiska dają nam jakąś jego znajomość, poznanie całego rozwoju i związku z innemi zdarzeniami. Jest to pewna wiadomość, pewna mniej lub więcej znacząca zdobycz umysłu ludzkiego, nie jest to jednak wiedzą w najściślejszem tego słowa znaczeniu, dopóki się z tych wszystkich wyników badań nie utworzy całego szeregu (krytycznych) sądów o danem zjawisku, dopóki się nie zmierza do utworzenia wreszcie sądu ogólnego, powszechnego. Prace jednak podjęte w celu osiągnięcia wyników tych badań szczegółowych są pracami ściśle naukowemi, ponieważ zasadzają się na zdaniach ogólnych. Z tej samej przyczyny przedmiotowe przedstawienie zdarzeń historycznych, ujęte jako całość, w swoim rozwoju, budowie i istności jest wiedzą w najwłaściwszem tego słowa znaczeniu. Jest ono owocem ściśle naukowej pracy.

A więc, aby uznać historyę za gałąź wiedzy w ścisłem znaczeniu, nie trzeba koniecznie brać na uwagę historyi w najdoskonalszym jej stopniu ani jej pojęcia jednoczyć z pojęciem filozofii historyi. W tym samym celu nie trzeba również rozszerzać pojęcia wiedzy, przyznając jej dalszy zakres, niżby należało, albo wreszcie uważać, w znaczeniu pozytywistów, utworzenie praw historycznych za nieodzowne i główne zadanie historyka. Niewłaściwem rozszerzeniem pojęcia wiedzy byłoby podniesienie badań szczegółowych do godności ściśle naukowego czynu. Pocóż usiłować popierać wiedzę historyczną takimi półśrodkami? Poco znajomość i poznanie uważać za równoznaczne z wiedzą ścisłą?

Kwestye, dotyczące praw historycznych i stanowiska historyka względem nich, są bardzo zagmatwane, zawiłe [1]. Nie

---

[1] Znane nam zapatrywania, dotyczące praw historycznych, są w większej części błędnemi lub zupełnie niewystarczającemi. Nic nie znaczą takie wywody, jakie podaje np. B. Breysig: *Über Entwicklungsgeschichte* (2 wyd. *Deutsche Zeitschr. für Geschichtswiss.* (miesięcz.) N. F. I, 1896/7); na str. 161 i n., na 193 i n, 1:9 i n. Lepsze myśli zawierają dzieła Bartha, Lazarusa,

będziemy się kusili o ich rozwikłanie, ale tylko postaramy się cokolwiek rozjaśnić rzecz całą, nie utrzymując wcale, że nowe uwagi podajemy. Przedewszystkiem zupełnie bez podstawy zastosowuje się *a priori* ścisłe pojęcie mechanicznego prawa do rozwoju ludzkości i społeczeństwa. Również niewłaściwie postępuje ten, kto z upodobania do pewnego systemu filozoficznego poucza o pewnych sposobach myślenia, zmuszających nas do całkowitego przyjęcia przyczyn w jednakowy sposób działających. W tem właśnie okazuje się niezbędny brak niezależności od przypuszczeń. Studyujmy tylko życie ludów, państw, rozwój socyalny, ekonomiczny, historyę prawa i konstytucyi, a przekonamy się, że z podobnych przyczyn powstały podobne działania. Gdzie zachodzi tylko podobieństwo, tam nie należy upatrywać równości. Są także ogólne, ściśle naukowe prawa podobieństw. Jeżeli podobne przyczyny wywołały rozmaite skutki, badać należy nieznaczne odcienie różnic, a wtedy dojdziemy do szerszych a powszechnych zasad. Jeżeli następnie nie będzie się uważało prawdopodobieństwa za pewność i nie będzie się przypuszczało tego, czego właśnie trzeba dowieść — że, mianowicie, każda przyczyna, tuż przed swoją działalnością rozważana, tylko w jednym kierunku działać może — wtedy te wyniki badań rozszerzą zakres historyi i dadzą jej możność udzielenia rozległych poglądów.

Zjawiska, dotyczące całych mas, nie są, jakeśmy zauważyli, wyłącznem, jedynem źródłem ogólnych wniosków. Wzajemne stosunki niektórych bardzo wybitnych charakterów względem społeczeństwa, w którem żyją, dostarczą wielu rozległych punktów widzenia, przydatnych do wydania sądu tak o jednostce, jak o całych ludach i ich zależności od wodzów i panujących. Z tych badań i rozumowań wytworzyć sobie będzie można oznaczone prawa, które spowodują większy lub mniejszy

---

Wundta, Stiuwesa, Simmelsa i zbiorowe P. Hinneberga: *Die philosophischen Grundlagen der Geschichtswissenschaft (Hist. Zeitschr.)* LXIII, N. F. 27, 1889, na str. 18 i n.; w tych jednak tylko częściach, w których się opierają nie na systemach filozoficznych, ale na zdrowym rozumie. Na zdaniu Hinneberga polega O. Lorenz i L. Ranke, na str. 339 i nast.

stopień pewności, stosownie do natury i istoty działających przyczyn i według możności zbadania tychże[1]. Wiele znajomości rzeczy zaczerpnąć można ze studyów nad myślami i skłonnościami, które wybitne jednostki jużto odziedziczyły, jużto zapożyczyły z warunków otoczenia i wymagań swego wieku w przeciwieństwie do idei i motywów działania, które to jednostki jużto odrzuciły, jużto powzięły niezależnie od zewnętrznych wpływów. Na wynikające stąd bogactwo zaczerpniętych myśli zwraca uwagę p. Hinneberg i po nim Ottokar Lorenz. Zapomocą systemu porównawczego z pewnością i tu dojść możemy do poznania prawd ogólnych i typowych, prawd nadzwyczaj doniosłych.

Do poznania praw historycznych bardzo pomódz może uważne badanie praw językowych. I na tem także polu wiedza językowa podaje niewzruszone prawa, a poszczególne zjawiska ujmuje w pewne stałe i ogólne formy. Jeżeli jednak przejdziemy z teoryi i zasad ogólnych do praktyki i zastosowania, przekonamy się, że wielką część poszczególnych zjawisk językowych w nauce o głoskach i zdaniach tak zwanym analogiom[2] przypisać należy. Te analogie często jakby przypadkowo wyłaniają się z poszczególnego jakiegoś wypadku. Pomimo że ta sprawa dość jest trudną, musimy nad tem cokolwiek się zastanowić, ponieważ przez to zyskamy jaśniejszy pogląd, jak przez porównania z innemi fizycznemi prawami[3].

---

[1] Słuszne w tej mierze, choć nie dość wszechstronne, jak mniemamy, wypowiedział zdanie I. Baerst na kilku miejscach swej rozprawy: *Die universalhistorische Auffassung in ihrer besonderen Anwendung auf die Geschichte des Alterthums* w *Hist. Zeitschr.* 83, nr. 47, 1899; na str. 193 i nast., zwłaszcza na str. 197 i 198; 200 i nast.

[2] Mówimy tu o „analogii“ w znaczeniu przyjętem przez t. zw. młodych gramatyków. Nie tylko dokładnie, ale nawet w przybliżeniu nie możemy tu podawać dotyczących dzieł i całej teoryi. Ważniejsze teoretyczne opracowania aż do r 1891 i bardzo jasne rozwinięcie systemu neo-gramatyków znaleźć można w dziele Abbé A. Lepitre: *Les Néo-grammairiens d'Allemagne* (Compte rendu du Congrès scientifique international des catholiques. Paris. 1—6 Avril 1891. Sixième section, Philologie; na str. 5—23). Do oryentowania się porównaj Giesswein Alex: *Die Hauptprobleme der Sprachwissenschaft in ihrer Beziehungen zur Theologie, Philosophie und Anthropologie.* 1892,

[3] Następujące rezultaty podaliśmy według badań Brugmana i G. Meyera.

W greckim np. języku tworzy się *locativus* i *instrumentalis* przez dodanie ι — εσσι. Jeżeli słowo samo kończy się na — εσ, a oznaczenie dotyczącego przypadku polega na dodaniu — σι, zakończeniem słowa było oczywiście — εσσι, w czem εσ należy do pierwiastka a nie do końcówki, np. γένεσ—σι. Otóż znaleźć można formy takie, jak πόδ—εσσι, νεκύ—εσσι, θυγατέρ—εσσι i t. d. Otóż bezowocnemi są wszystkie usiłowania, aby tego rodzaju formy sprowadzić do prawidłowej genezy. Nie są one niczem innem, tylko utworem analogii na podstawie mylnego sądu. Pochodzą zaś z tematów na ς, z form takich jak np. γένεσσι; w zwyczaj już weszło uważać — εσσι za końcówkę oznaczającą przypadek i stąd poczęto tworzyć podług poczucia podobne formy. Znaną jest również akkomodacya stosowania przymiotników żeńskiego rodzaju t. zw. A — deklinacyi w 2-im przypadku liczby mnogiej do akcentu przym. rodz. męskiego. Stąd powstaje nawet w żeńskim rodzaju φίλων zamiast prawidłowego φιλῶν. I ta forma pochodzi oczywiście z niektórych przypadków, w których wogóle akcent był na ostatniej zgłosce i stąd w drugim przypadku liczby mnogiej obu rodzajów pozostał oxytonon. W zwyczaj już weszło używanie tego samego akcentu w rodzaju męskim i żeńskim, a to przeniosło się na wszystkie podobne wypadki.

Nie są wcale rzadkością takie twory analogii. Wciąż się je spotyka obok innych form, które stosują się zupełnie do reguł.

Do takich form, przez analogię utworzonych, przynajmniej z wszelkiem prawdopodobieństwem zaliczyć należy krótkie „α“ końcowe w ἀλήθεια, γλῶσσα, μάχαιρα, zastosowane do analogii 4-go przypadku: ἀργυρᾶ zamiast — ῆ według analogii tematów na α; ἁπλῆ zamiast — ῶ analogia użyta na to, aby ocalić właściwą rodzajowi przyczepkę *(suffix)*. To „ν“ w ἡγεμών dostało się przecież z innych przypadków do pierwszego a „ντ“ do przypadku λέων tylko ze względu na podobieństwo pierwszego przypadku z innym tematem na ντ. Długie „α“ w wyrazie πᾶν jest utworem podobieństwa do πᾶρ. Beockie i tessalskie imiona własne, kończące się na κλέαρ, powstały na podstawie analogii do

czwartego przypadku κλέα. Wpływowi pierwszego przypadku przypisać należy utworzenie się czwartego przypadku, jak Αἴαν, ἅπαν (!!) ὅλον; do tematów na „ω“ stosuje się 'Απόλλω, Ποσειδῶ.

W liczbie mnogiej pierwiastków kończących się na „α“ wszystko niemal tworzy się na podstawie analogii. Jeżeli przejrzymy z uwagą twory analogii w całej składni, stosunek ścisłych praw do analogii okaże się nam w nowem świetle. Ale to zadanie jeszcze nie rozwiązane. Bez wątpienia i analogię przypisać należy pewnym psychologicznym przyczynom, nadzwyczaj zawikłanym, rzadko jednoznacznym. Stąd trzeba postępować tu z największą ostrożnością.

Zanim się ustali jakąś ścisłą metodę, według której będzie można pewne wnioski wysnuwać z wytworów analogii, wiele jeszcze rzeczy pozostanie niepewnych, wiele dowolnie przyjętych. Oto źródło różnorodności zdań w nauce języków. Naszym celem było tylko przypomnieć je, bo one naturalnie wywierają przemożniejszy jeszcze wpływ na prawa historyczne. Podobnie jak w rozwoju języków najpowszechniejsze zjawiska wystąpiły przez analogiczne nawiązanie do pojedynczych szczegółów, tak samo w życiu społeczeństw i ludów pojedyncze i często jakby przypadkowe zdarzenia wplotły się i przerwały regularny rozwój i zapanowały nad dalszym przebiegiem rzeczy. Zasadzie przyczynowości podporządkować należy i te twory analogii. Uwzględniając wszystkie te możliwe wypadki, można słusznie twierdzić, że istnieją prawa, które dadzą się wywieść z historyi. To jest, podobnym albo też jednakowym przyczynom w życiu społeczeństw, ludów i państw, w determinacyi własnej samychże jednostek odpowiadają podobne lub jednakowe skutki, którym, stosownie do natury przyczyn, przyznać będzie można większy lub mniejszy stopień pewności, a czasem nawet bezwzględną pewność. Takie prawa nie ograniczają się tylko na ogólnikach lub zdaniach banalnych. Jeżeli się np. udowodni na podstawie licznych wypadków, w jaki sposób niektóre niedość wyraźne i jasne zapatrywania prawne przechodzą w ogólne przekonanie całego ludu i stają się prawem zwyczajowem, jak później systematycznie się ustalają, rozwijają praktykę, zmieniają, wpły-

wają na życie narodu, na wyrobienie lub spaczenie sumienia, wtedy zdobędzie się najobfitsze skarby wiadomości historycznych.

Żadne wprawdzie historyczne prawo nie wyjaśni, w jakito sposób doszło do tego, że Filip podniósł Macedonię do godności władczyni wszystkich państw greckich lub, że Aleksander podjął się prowadzenia tak potężnych wojen. Dokładne jednak porównawcze studyum przypuszczeń politycznych i społecznych, które powodowały wybitnymi mężami stanu i zdobywcami, daje poznać daleko sięgające wzajemne wpływy jednostek, ich czasów i stosunków. Ta wzajemna działalność, ujęta w pewne prawa, wyrabia pogląd historyczny, przydatny do wydania sądu o podobnych analogicznych stosunkach, prowadzi do ważnych odkryć na polu historyi i pomaga do zbadania ogólno-ludzkich motywów, które przesuwają się i wpływają przez cały przeciąg rozwoju wypadków. Kto w tem spodziewa się więcej jeszcze znaleźć i zdobyć, ten daje się powodować wyobraźnią; kto zaś oczekuje tylko mniejszych rezultatów, ten ścieśnia zakres wiedzy historycznej.

Niektórzy badacze, zgadzający się z nami, jak się zdaje, co do istoty rzeczy, odpowiadają przecież przecząco na pytanie, czy są jakieś prawa historyczne? Takie jest np. zdanie przytoczonego wyżej historyka rosyjskiego N. Karejewa. Słowa „prawo“ używa on w ścisłem znaczeniu nauk przyrodniczych; wobec tego cała sprawa kończy się tylko na sporze o słowa, o nazwę [1]. Jeżeli kto nie chce przyznać rozwiniętym przez nas typowym, powszechnym zjawiskom nazwy „prawa“, temu odpowiadamy, że bez trudności zrzekamy się tego sposobu oznaczenia rzeczy, który skądinąd łatwo wywołać może nieporozumienie.

Poznanie jednak, że są takie prawa, nie jest jeszcze metodą. Musi ono jeszcze rozszerzyć, udoskonalić metodę, na tem polu winna metoda postępować naprzód? Atoli tę metodę trzeba dopiero znaleźć, utworzyć jej prawa, bo one mają uzupełnić to,

---

[1] Porówn. także E. Müllera: *Ist die Geschichte eine Wissenschaft?* (*Hist. Jahrbuch* XXIII, 1902, na str. 7—21).

cośmy dotąd poznali i przygotowali sobie. Tak więc Lamprecht opracowywał swoją rozprawę, zanim utworzono prawa porównywania typowych zjawisk i zanim sam jasno z niemi się zapoznał.

Obecnie zachodzi pytanie, jak należy postępować, chcąc podnieść historyę na najwyższy stopień krytyczno-rozwojowy? Co w tej metodzie uznać trzeba za istotnie nowe?

Nie będziemy na nowo wspominali o powszechnie znanych postępach na polu znajomości źródeł i krytyki. Poprzestaniemy na ocenie kilku pierwiastków interpretacyi (tłumaczenia), zazwyczaj uważanych za rzeczywistą zdobycz nowszych czasów. Breysig w rozprawie o historyi rozwojowej, którą pojmuje jednostronnie, w znaczeniu przyjętem przez Lamprechta, uważa porównawczy system za „środek techniczny“. „System porównawczy, który obecnie rozszerza się na wszystkie kraje i który szuka zarazem analogii i przeciwieństw przed sobą i za sobą, najprędzej doprowadzi do uchwycenia charakterystycznych rysów historycznego zjawiska i do zbadania jego istoty. To samo porównanie, które za sobą odkrywa początkowe stany każdego szeregu stopniowego rozwoju, dostarczy także poznania historycznej przyczynowości związku wszystkich zdarzeń, o ile to tylko jest dostępne dla nas śmiertelników[1]. Rzeczywiście porównanie jest dobrym, przedmiotowym środkiem. Nie jest jednak środkiem uniwersalnym, jak wielu „nowszych“ prawdopodobnie przyjmuje; raczej, opierając się już na całej naukowej metodzie, dodaje ono do niej tylko jeden pierwiastek. Tym środkiem, jak już mówiliśmy, można się posługiwać dopiero po dokładnem sformułowaniu praw, według których wchodzi on w użycie. Postawienie tutaj zasady jest dlatego niezbędnie koniecznem, ponieważ już od przeszło pół wieku praktykowano porównanie bez metody i systemu i w ten sposób porównywanie, skądinąd nieuprawnione wcale i nieuzasadnione, zyskało pewną podstawę, na której utrzymać się usiłuje, jak gdyby na prawie przedawnienia.

---

[1] *Über Entwicklungsgeschichte* II, w *Deutsche Zeitschr. für Geschichtswiss.* (mies.) N. F. I, 1896/7, na str. 210.

Przedmiotowemu pierwiastkowi porównania odpowiada podmiotowy. Prawność i płodność tego ostatniego stoi w pewnym stosunku do trafnie oznaczonego pola działalności systemu porównawczego.

Jeżeli się z całego tego sporu i walki uczonych wyciągnie uzasadnione wnioski, okaże się, że względną nowością w metodzie jest rozwój historycznego zmysłu i całego szeregu sądów, czego w poprzednich wiekach nie znajdziemy w tak wielkim zakresie, z taką jasnością i bogactwem rozmaitych relacyi. Siedzibą tego historycznego zmysłu jest umysł pojmujący i wyciągający wnioski nie zaś wyobraźnia. Ten zmysł jest głównym i twórczym pierwiastkiem historyi.

Z uszczerbkiem jasności i przejrzystości miesza się często zmysł historyczny z władzą umysłową, którą nazywają nastrojem historycznym. Sądzimy, że słowo to nie jest dobrze dobrane. Nastrój historyczny — jeżeli rozumie się tę nazwę we właściwem znaczeniu — oddaje wprawdzie dziejopisarzowi niespożyte usługi, przypisać go jednak należy raczej wyobraźni i pewnemu psychologicznemu taktowi w użyciu przypuszczeń i kombinacyi i znajduje swe zastosowanie tylko w bardzo ograniczonej liczbie wypadków.

Z niezwykłą jasnością pojęć określa ten historyczny zmysł de Smedt w znakomitem swem dziele *Principes de la Critique historique* (1883, str. 44):

„Notre esprit se fortifie peu à peu, non seulement par l'habitude de la réflexion, mais aussi par la somme de connaissances qu'il acquiert et même par l'expérience des erreurs dans lesquelles il est tombé. A une certaine période de son développement, il peut distinguer nettement d'un coup d'oeuil ce qu'il n'aurait pu apercevoir naguère que très imparfaitement et après un laborieux examen".

Następnie dowodzi, że także umysł ludzki, w znaczeniu zbiorowem, podobną postępuje drogą. Jeżeli już jakąś kwestyę rozjaśni się pod każdym względem, zbada każdy jej szczegół, to pojmie ją każdy, nawet uposażony miernemi zdolnościami, podczas gdy przedtem zrozumienie jej nawet dla najwybitniejszych talentów przedstawiało trudności nie do przezwyciężenia. Nie

wystarczą same już liczne i nowe składniki, potrzebne do wydania sądu o rzeczy; przez ćwiczenie częste musi umysł sam na pewnem polu wejść na właściwą sobie drogę i kierunek, które jakby dziedzictwem wciąż się rozszerzają.

Kilka tych przytoczonych zdań i myśli de Smedt'a więcej zawierają prawdy, niż całe stronnice dzieł niektórych uczonych, którzy próbują wyjaśnić te same zdarzenia zapomocą niepewnych hypotez. Nie mamy tu przed sobą powiększenia siły umysłu, ale wyćwiczenie ducha na pewnem określonem polu pracy naukowej. Na innem polu można wtedy zmniejszyć te ćwiczenia.

Za zdobycz więc naszych czasów uważać musimy wzrost zmysłu i łatwości w dokładnych, ścisłych badaniach. Z drugiej jednak strony w obecnych czasach daleko mniejszą jest swoboda i pewność w używaniu spekulacyi (rozumowań), niż dawniej.

Ponieważ wydoskonalenie historycznego zmysłu zależne jest od ćwiczenia i doświadczenia, słusznie przeto powątpiewać można, czy może tu być mowa o jakiejś istotnie nowej, metodycznej zdobyczy.

Zresztą krytycznie rozwijająca się historya wypłynęła z tych samych źródeł, z których powstało i utrzymuje się porównanie i zmysł historyczny.

Ks. Stanisław Dunin-Borkowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Skarbczyk poezyi chińskiej. *Józef Jankowski.* Warszawa. 1902.

Dla p. Kisielewskiego Szekspir, Goethe, Sofokles, to nędzota w porównaniu z teatrem japońskim; dla p. Jasińskiego Matejko to karzeł wobec Hokusai (czy jak tam już tego geniusza przezywają). P. Jankowski wprawdzie nie porównywa (przyciąga tylko trochę Baudelaire'a i Verlain'a), ale zato powiada o poezyi chińskiej, co następuje:

„To, co cechuje chińską poezyę, jest istotnie wielkiem świadectwem wobec trybunału prawdziwej sztuki — zarówno pod względem wyrazu duszy, jak i jej gatunku — na przestrzeni ziemskiego bytowania. Jakże ta dusza — sama przez się — jest mądrą, cichą, doświadczoną, jaki przedziwny uśmiech doświadczenia posiada, uśmiech smutny, choć nie sarkający, uśmiech, w którym zda się cała zagadka tkwi ziemskiego stworzenia, zagadka — ujęta i nie szamotana, bowiem na niej, jako na odczuciu, dola ziemska poległa. Dusza ta — ugatunkowana wielotysiącoletniem wsiąkaniem tej zagadki, otwartemi dla niej drogami, bez zawarowywania jej przestrzeni balastem kultury praktycznej, kultury odurzającej, kultury dla istotnego poznania całkiem sprzecznej i bezużytecznej. Kładła więc się na tę duszę, jak warstwy mchu szczerego, z całem bogactwem swego świata naturalnego, nie zgładzana, nie tamowana, nie paczona przez nędzny rozum ludzki — jedynie w imię swych natchnień i instynktów przyrodzonych — jako na glebę pokorną i wyrozumiałą — aż wreszcie wykwitła cudownym kwiatem paproci“.

O szczęśliwi nasi ojcowie i dziadkowie, którym Hegel wydawał się ciemnym i niezrozumiałym!

Prawdopodobnie, nawet z pewnością jestem barbarzyńcą i dlategoto nie mogę się dość nadziwić tym panom, którzy piszą o teatrze japońskim na podstawie tego, że widzieli taniec Sady Yacco, albo piszą głębokie impresye o poezyi chińskiej, znając trochę przekładów francuskich.

Ale zazdroszcząc im laurów, myślę i ja rozpisać się o poezyi chińskiej, znając ją ze zbiorku p. Jankowskiego i z kilku utworów, drukowanych niegdyś w *Życiu* (jeżeli mi pamięć dopisuje).

Tylko:

Tylko chciałbym się jej przypatrzyć trochę trzeźwiej, spokojniej, bez „bzika" japońskiego czy chińskiego, a nadewszystko: — szczerzej; nie zakrywać oczu na piękności, dlatego że to obce, egzotyczne, że to jaskrawo odbija od naszych form i pojęć, ale też nie wmawiać w siebie zachwytów, nastrojów i rozmodleń, których nie mają także ci, którzy je wmawiają w czytelnika.

Właściwie nie możemy tu mówić o poezyi chińskiej, tylko o tem, jak się ona przedstawia w zbiorku p. Jankowskiego i jakie nam ten zbiorek nasuwa myśli i uwagi.

„Czytałem niegdyś wiersz poety chińskiego. Opowiadał w nim ów poeta, jak znalazł się raz samotny w gospodzie; księżyc ślizgał się po podłodze izby, a serce poety zdjął ciężki żal i opanowała je tęsknota.

„Po wielu latach, w podróży, znalazłem się samotny w gospodzie; księżyc ślizgał się po podłodze izby; a w sercu mojem zapanował żal i tęsknota. I przypomniały mi się słowa chińskiego poety, zrozumiałem, że dusza ludzka wszędzie jest ta sama i wyciągnąłem w duchu rękę do poety nieznanego i nazwałem go bratem".

Jest to treść jednego z piękniejszych wierszy Vrchlickiego. Ten wiersz przychodzi na myśl, gdy się przegląda „Skarbczyk poezyi chińskiej". Szukamy w tej poezyi niczego innego, tylko duszy ludzkiej, tej, która jest wszędzie jednaka, wszędzie jednakowo odczuwa ból i radość, wszędzie jest odbiciem absolutu. Istota poezyi i jej treść będzie po wszystkie czasy i we wszystkich krajach ta sama. Z tego stanowiska rozważane wiersze, zawarte w „Skarbczyku", są nam zupełnie jasne i zrozumiałe, nie wydają się czemś niezwyczajnem. I są istotnie piękne, czy poeta opisuje „porcelanowy pawilonik", w którym druhowie sączą butelki i piszą wiersze, a który odbija się w lustrzanej fali jeziora i w fali tej takoż

druhowie siedzą w błyszczącej odzieży, pełni dystynkcyi i pełni szyku, w porcelanowym pawiloniku: wszyscy — do góry nogami; czy też młody poeta marzy o ukochanej, która mieszka z tamtej strony jeziora; czy cieszy się, że gdy ogień pochłonął jego dom, znalazł schronienie w sercu ukochanej; czy chwali wesołym głosem pijaństwo, ale za wesołością słychać łzy i żal; czy zamiast pisać wiersze, idzie w pole, gdzie dolina skrzy się w słońcu, gdzie na prawo las szmaragdowy, na lewo śnieżny pas gór; czy daje śliczny nastrojowy obrazek: co niepokoi serca dziewcząt; czy opiewa miłość młodego cesarza, który porzuca mądry wiec mandarynów, skoro zoczył cesarzową — i t. d. — wszystkoto są wiersze z niezwykłym wdziękiem pisane, ze świeżością uczucia czy wrażenia, wszystkie dają nam chwile prawdziwego artystycznego używania. Nie widać z nich wprawdzie tego, co pan Jankowski widzi w poezyi chińskiej wogóle: „jakże ta dusza jest mądrą, cichą, doświadczoną, jaki przedziwny uśmiech posiada, uśmiech, w którym zda się cała zagadka tkwi ziemskiego stworzenia“ i t. d., — ale przedewszystkiem w „Skarbczyku“ dominują dwa tony: miłość i tęsknota — i te rzeczywiście oddane są z prześliczną delikatnością i wdziękiem.

Poza ogólno-ludzką treścią, jednakową po wszystkie czasy i po wszystkich miejscach, jest jednakże coś, co znowu, wprost przeciwnie, wszędzie jest różne. Istota duszy będzie ta sama, ale różnym będzie sposób, w jaki się ta dusza na zewnątrz objawia. To forma — forma w najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu, to znaczy nie tylko to, co zwykle nazywamy formami poetyckiemi lub prozaickiemi, ale cały sposób wyrażania myśli i uczuć, język, jego zwroty, pojęcia i obrazy. Cała egzotyczność polega tylko na tej egzotyczności formy. I tego także szukamy w poezyi np. chińskiej, tobyśmy pragnęli znaleźć w „Skarbczyku“, to nas zaciekawia i pociąga.

Otóż tego niema zupełnie w „Skarbczyku“ pana Jankowskiego. Wiersze tu zawarte wydawca ubrał w rymy, czem je już ogromnie zeuropeizował. Wyglądają one wskutek tego jak Chińczyk przebrany w suknie europejskie, pozbawiony warkocza. To już odbiera wrażenie pierwotnej, naturalnej „chińskości“. Ale to jeszcze mało. Wyobraźmy sobie takiego przebranego Chińczyka, jak myśli i mówi zupełnie po europejsku; jego formy myślenia i mówienia nie są jego własne ale obce, europejskie. Wtedy już wrażenie rodzimości jego będzie u nas minimalne; poznamy w nim Chińczyka zaledwie po twarzy, po żółtej barwie skóry, po skośnych oczach. Otóż zupełnie to samo stało się

z wierszami chińskimi, przełożonymi przez p. Jankowskiego. Wszystkie obrazy, wszystkie zwroty, przenośnie, porównania: wszystkie są tak nasze, tak europejskie, że gdyby nie imię autora Li-taj-pe albo Cze-ci, gdyby nie jakiś drobny a czysto zewnętrzny szczegół, przypominający nam, że rzecz się dzieje w Chinach, mielibyśmy kompletnie wrażenie poematu zupełnie europejskiego. Tak np. wiersz „Nad białą kartą", gdyby nie zwrot o tuszu, który schnie na pędzelku, mógłby cały wyjść z pod pióra poety europejskiego; inne utwory nawet takich nie mają szczegółów („Prośba", „Pochwała pijaństwa", „Przed nocą" i inne). Wrażenie egzotyczności jest zatarte w stopniu zbyt wysokim, poezyi „chińskiej" nie znać niemal zupełnie. Zapewne, że nie wszystko da się przetłumaczyć i oddać zupełnie wiernie, ale też nie należało wpadać w drugą ostateczność.

Nie daje nam tedy „Skarbczyk" pojęcia prawdziwego o poezyi chińskiej, nie są też wystarczające uwagi podane we wstępie. Rzecz cała traktowana jest raczej jako zabawka. Pomimo tego jednakże jest bardzo ciekawa i interesująca. Byle naturalnie nie przesadzać, nie wynosić tej poezyi ponad całą poezyę europejską, bo i takie same rzeczy i masę daleko większych i piękniejszych posiada każda literatura.

Stanisław Dobrzycki.

Emigracya polska. *Lubomir Gadon.* Tom I str. 228, tom II str. 343, tom III str. 373. Kraków. Spółka Wydawn. 1901—1902.

Już niejednokrotnie spotykamy się z tem nazwiskiem w piśmiennictwie naszem. Włodzimierz Gadon, stryj autora, marszałek szlachty powiatu telszewskiego, następnie prezes powstania w tym powiecie i emigrant z r. 1831, wydał w Paryżu 1835 r. o reformie Izraelitów polskich, a nadto w 1839 r. Statystykę Księstwa żmudzkiego; Michał zaś Gadon, także stryj autora, równie marszałek szlachty telszewskiej, opisał powiat telszewski, co wyszło w Wilnie w 1839 r.; wszystkie te dzieła należą teraz do rzadkości bibliograficznych, dlatego też wspominamy o nich. Lubomir Gadon (kandydat nauk dyplomatycznych uniwersytetu niegdyś dorpackiego, 1852—56, a na ostatnich sejmikach — wyborach — naszych w Kownie, w grudniu 1858 r. wybrany przez szlachtę Ks. żmudzkiego asesorem do izby kryminalnej) dał się już poznać zaszczytnie z prac swoich na polu literackiem, jako autor „Rzutu oka na 50-letnie koleje Tow. hist.-lit. paryskiego", „Przejścia Polaków przez Niemcy po r. 1831", „Życia Polaków we Francyi", o „Adamie

Czartoryskim po powstaniu 1831 r.“, wielu artykułów treści politycznej w *Correspondance du Nord-Est* i t. d.

Długo mieszkając w Paryżu, od r. 1864—1899, jako sekretarz Władysława Czartoryskiego, sekretarz Towarzystwa historyczno-literackiego, dyrektor Biblioteki polskiej w stolicy Francyi, p. Gadon od dawna gromadził materyały do historyi naszej emigracyi, wertował wszystkie ważniejsze publikacye w tej materyi, z tradycyi i osobistych stosunków zebrał mnóstwo wiadomości o emigrantach, a obdarzony krytycznym zmysłem i spostrzegawczem okiem, mógł śmiało przystąpić do dzieła zamierzonego i został historyografem smutnej lecz ważnej doby naszego porozbiorowego, męczeńskiego żywota, dziejów emigracyi polskiej, krwawej pracy bez sławy, cierpień bez nadziei ugruntowanej, mrzonkami zaprawionej...

Czytając to dzieło, doznaje się bardzo przykrego i smutnego wrażenia: ustawiczne walki i szamotanie się stronnictw, targanie się na dobre imię współbraci, tęsknota za krajem nieszczęśliwych tułaczy, często z nędzą walczących, ciężkim żalem gniotą duszę czytelnika i rodzą gorzkie rozmyślania. Autor, chociaż poważa emigracyę i bywa często dla niej wyrozumiałym, zna i potępia jej wady, a sąd jego o niej wogóle jest rozważny, prawdziwy, spokojny i sprawiedliwy. W tych trzech tomach dużych nie mamy właściwie historyi zakończonej emigracyi polskiej, ale tylko dzieje trzech lat pierwszych, w ciągu których autor przedstawia wyczerpująco życie emigracyi, powstanie komitetów, różnych towarzystw, zaznacza dobitnie wszelkie nieszczęśliwe dysonanse, zatruwające harmonię wspólnych wspomnień i zawiedzionych nadziei.

Tom pierwszy składa się z dwóch działów: pochód wychodźców z Polski do Francyi z opisem entuzyazmu i owacyi, które spotykały w drodze naszych emigrantów (str. 7—98); a drugi zatytułowany „Emigracya w całości“ (str. 99—224), w którym opisany początkowy pobyt we Francyi emigrantów i wszelkie temu towarzyszące okoliczności.

W drugim tomie ciąg dalszy poprzedniego działu, obejmujący sporych 18 rozdziałów; mamy tu wiadomości o rodzinie Czartoryskich, różnych innych emigrantach (Chopin, Słowacki. ks. Praniewicz, Bem Zaliwski i t. d.), o zgromadzeniach w „Taranie“ zebrano dużo różnych szczegółów, o pierwszych zgromadzeniach emigranckich we Francyi, komitecie centralnym, postępowaniu Prusaków z Polakami emigrującymi z zaboru rosyjskiego, o komitecie lelewelowskim; są ciekawe rzeczy o sejmie a raczej o jego członkach na emigracyi, o przybyciu

Adama Czartoryskiego do Paryża i jego działalności, o wyprawie Zaliwskiego; pertraktacye króla belgijskiego i Don Pedra z emigracyą również uwzględnione wyczerpująco zostały; lord Dudley Stuart, Fergusson, Palmerston, mityngi w Londynie i pobyt tam Niemcewicza nie uszły uwagi autora, który poświęcił temu parę rozdziałów; obchód trzeciej rocznicy (zamącony) listopadowej i przybycie Polaków z Hawru, Portsmouthu i Harwichu — kończą tom drugi.

W trzecim tomie, w pięciu rozdziałach, dokończenie „Emigracyi w całości"; przedstawiona tu działalność generała Dwernickiego na emigracyi, Worcella, apostazya Gurowskiego, czynności towarzystwa demokratycznego; opisana bardzo szczegółowo opozycya przeciw Adamowi Czartoryskiemu, podane owe smutnej pamięci adresy, skierowane ku temu, aby zohydzić tego zacnego męża i gorliwego patryotę, którego odsądzono od czci i wiary w tej właśnie chwili, gdy rząd rosyjski skonfiskował mu wszystkie olbrzymie majątki i na śmierć go skazał... Z przykrością dowiadujemy się, że Bohdan Zaleski, ten nasz serdeczny ukraiński słowik, należał także do liczby tych, co podpisali adres uwłaczający dobrej a zasłużonej sławie Adama Czartoryskiego...

Następnie w tym tomie mamy dokładne sprawozdanie z t. zw. zakładów, *dépots,* w których rząd francuski internował wojskowych tułaczy naszych (str. 109—280).

Potem, w pięciu rozdziałach, podany ogólny rzut oka na emigracyę naszą, gdzie znajdujemy wiele bardzo trafnych uwag, głębokich spostrzeżeń psychologicznej i historycznej natury; wolnomularstwo, węglarstwo, a z drugiej strony rozbudzenie ducha religijnego i „bractwo służby narodowej" z Bohdanem Jańskim, naturalnie także nie były zapomniane i gruntownie ocenione (str. 231—299).

Nakoniec w dodatkach (str. 299—345) jest kilka ważnych bardzo rzeczy, a nadewszystko korespondencya Lelewela z Pietkiewiczem i Zwierkowskim (str. 324—345), zawierająca niemało nowych, nieznanych szczegółów; uczony historyk i profesor niegdyś wileński wygląda tu bardzo niedodatnio, ale już temu szanowny autor nie winien... Wydrukowany tu także adres „zakładów" do Adama Czartoryskiego, ustawy towarzystwa demokratycznego polskiego, odezwa Zaliwskiego do Galicyan, niektóre głosy z powodu aktu przeciw Czartoryskiemu, odpowiedź Czartoryskiego Zakładom i t. p. Indeks osób porządnie i starannie bardzo sporządzony i dwadzieścia rycin udatnych (generałowie niektórzy z r. 1831, Mickiewicz, Kajsiewicz, Mochnacki,

Anna Czartoryska, Semenenko i inni) zdobi to piękne i pożyteczne wydawnictwo o emigracyi, jakiego dotąd nie mieliśmy.

Jużeśmy to pierwej zaznaczyli, że szanowny autor nagromadził tu taką masę szczegółów, tyle nam nowych o emigracyi rzeczy powiedział, że dzieło jego zostanie na zawsze pomnikowem. Szkoda tylko wielka, niepowetowana, że bardzo mało w tem wszystkiem materyału biograficznego.

Autor sam znał bardzo dużo osób osobiście, ze słyszenia wiedział dokładnie o wszystkich dawnych wybitniejszych osobistościach na emigracyi (wreszcie będąc tam na miejscu, mógł zebrać łatwo biograficzne wiadomości), ale pomimo tego wszystkiego nie dzieli się z nami tego rodzaju swojemi wiadomościami! Często z trudnością można się dowiedzieć, o kim mowa, jeżeli tego nazwiska kilka jest osobistości. Sam autor wiedział o tem dobrze, starsze generacye znały jeszcze te osoby, ale młodsi zgoła nie będą się mogli dokładnie poinformować, jeżeli śladu drukowanego nie zostanie.

Kończąc to pobieżne, a może niedokładne zupełnie sprawozdanie, niech mi wolno będzie szanownemu autorowi, czcigodnemu dorpaczaninowi, wyrazić szczere i należne podziękowanie za to, że, korzystając z całą sumiennością i ścisłością naukową z obfitego materyału i ze źródeł niełatwo dostępnych, zestawił rezultaty swoich badań w cennej pracy, którą wszystkim najgoręcej polecamy.

Wołyniak.

Rozporządzenie wszystkich ministerstw, dotyczące pomocniczego personalu kancelaryjnego przy państwowych władzach i urzędach. Przełożył i objaśnił *Dr. Zdzisław Słuszkiewicz.* Złoczów. 1902.

Władze i urzędy państwowe zatrudniają obok właściwych urzędników, których stosunki są dokładnie unormowane, jeszcze cały, nieraz bardzo znaczny szereg pracowników, spełniających niższe czynności biurowe, znanych pod najrozmaitszemi nazwami: kalkulantów, manipulantów, dyetaryuszy i t. d. Stosunki osobiste tych właśnie pracowników, dotychczas nieuregulowane wcale lub regulowane przez liczne a dorywcze rozporządzenia, normuje i określa niniejsze rozporządzenie, wydane przez wszystkie ministerstwa austryackie z d. 19 lipca 1902 r., a ogłoszone w numerze 145 Dziennika ustaw państwowych.

Rozporządzenie to składa się z 42 paragrafów, rozpadających się na dwie części; pierwsza traktuje wogóle o stosunkach pracowników, druga mówi o zakładzie zaopatrzenia. Pracowników tych dzieli rozpo-

rządzenie na dwie kategorye: pomocników kancelaryjnych i pomocniczych pracowników kancelaryjnych. W sposób wyczerpujący i dokładny określa ono warunki wymagane do uzyskania posady pomocnika kancelaryjnego, reguluje jego pobory. Te ostatnie poruszają się w obrębie granicy 75 do 150 ewentualnie 160 koron na miesiąc, a to zależnie od lat służby tudzież od miejsca urzędowania (ze względu na drożyznę). Dalej określa rozporządzenie sposób odbywania służby wojskowej, obowiązki pomocników i postępowanie dyscyplinarne. Zauważyć należy, że stosunek tych pracowników do władzy państwowej nie jest stałym, władza może każdego czasu wypowiedzieć pracownikowi zajęcie nawet bez podania powodów. Czas wypowiedzenia wynosi dla władzy 3 względnie 6 miesięcy, stosownie do lat służby. Pomocnik kancelaryjny zatem może być usuniętym bez podania powodów nawet po dwudziestu latach służby. Swoją drogą znajduje on ratunek w zakładzie zaopatrzenia, do którego musi należeć. Pracownik sam może wypowiedzieć ten stosunek na jeden miesiąc wprzód.

Do drugiej kategoryi, do t. zw. kancelaryjnych pracowników pomocniczych, stosują się po większej części te same przepisy, które mają zastosowanie do pomocników kancelaryjnych. Ich stanowisko jest niższe; tamci, jakkolwiek również niestali, otrzymują płacę miesięczną, ci są przyjmowani na pewien czas tylko, w razie potrzeby i otrzymują wynagrodzenie dzienne w granicy od 2 koron 20 halerzy do 3 koron. Umowa o wynagrodzenie niższe jest nieważną. Czas choroby, przez który pracownik może nie uczęszczać do biura, nie tracąc jednak posady i płacy, wynosi trzy miesiące, wypowiedzenie 14 dni.

Rozdział drugi rozporządzenia normuje zaopatrzenie, jakie się należy niezdolnym do pracy pracownikom, wdowom i sierotom po nich. Każdy musi należeć do tego zakładu, jednak tylko pomocnik kancelaryjny, nie zaś kancelaryjny pracownik pomocniczy. Fundusz składa się z wkładek uczestników, z kar pieniężnych i innych źródeł. Każdy uczestnik płaci 3% swej miesięcznej pensyi, administracya państwowa płaci również taką samą sumę za każdego uczestnika. Prawo do zaopatrzenia zyskuje się po latach dziesięciu, w razie choroby lub skaleczenia już po latach pięciu. Rozporządzenie określa dokładnie prawo wdów i sierot. Zarząd zakładu zaopatrzenia należy do ministerstwa skarbu, u jego boku znajduje się wydział, złożony z przewodniczącego, jego zastępcy i 12 członków, mianowanych przez ministerstwo z grona osób interesowanych na lat pięć. Wydział ten wykonywa nadzór nad zarządem funduszów, sprawowanym przez ministerstwo.

Taką jest w głównych zarysach treść tego nowego rozporządzenia. Znaczenie jego polega na tem, że określiło i unormowało stosunki pracowników, dotychczas wcale nieuregulowane lub uregulowane niedokładnie. Już przez to samo przyczyni się ono do podniesienia społecznego tego stanu. Ponadto zawiera rozporządzenie to postanowienia, mające wyraźnie na oku cel społeczny. Tak np. cały rozdział o zakładzie zaopatrzenia pomocników, zwłaszcza zaś przepis, że każdy musi do tego zakładu należeć, dalej przepis o czasie trwania choroby, o urlopach, o wypowiedzeniu służby, o tem, że umowa o niższe wynagrodzenie dzienne jest nieważną, dowodzą niewątpliwie, że rząd kierował się w tej mierze myślą przyjścia w pomoc temu stanowi. Niewątpliwie też to rozporządzenie wywrze dodatni wpływ na całą tę klasę ludzi.

Rozporządzenie przetłumaczył dr. Zdzisław Słuszkiewicz, znany z podobnych prac na tem polu. Tłumaczenie jest dobre i wierne, zastosowane w zupełności do potrzeb języka polskiego. Na jedno tylko chciałbym zwrócić uwagę. P. Słuszkiewicz przetłumaczył wyraz niemiecki: *Kanzeleihilfsarbeiter* na: kancelaryjny robotnik pomocniczy. Nie sądzę, aby całkiem trafnie. Wyraz: robotnik, zrósł się w języku polskim tak dalece z pojęciem człowieka pracującego fizycznie, że trudno tem mianem określać ludzi, zajętych pracą biurową, choćby ta praca polegała na mechanicznem tylko przepisywaniu. Dlatego sądzę, że odpowiedniejszym byłby wyraz: pracownik, zwłaszcza, że tłumaczenie pozostanie wiernem, gdyż *Arbeit* = praca. Tłumaczenie, zaopatrzone w liczne objaśnienia i uwagi, wyszło nakładem znanej i ruchliwej firmy księgarskiej Zukerkandla w Złoczowie, jako pierwszy tomik taniego wydawnictwa austryackich ustaw państwowych i krajowych. Dotychczas zawodowi prawnicy w Galicyi musieli się posługiwać wydawnictwami albo niemieckiemi, albo polskiemi wprawdzie, ale stosunkowo drogiemi. Cierpiała na tem zwłaszcza młodzież akademicka. Każdy tomik nowego wydawnictwa ma zawierać odrębną całość, składającą się z wiernego przekładu, względnie autentycznego tekstu ustawy i krótkich objaśnień. Myśl to bardzo praktyczna, dlatego życzymy nowemu wydawnictwu jak najpomyślniejszego rozwoju.

Dr. Przemysław Dąbkowski.



Z piśmiennictw obcych.

Die deutschen Universitäten und das Universitätsstudium. *Friedrich Paulsen.* Berlin (A. Asher). 1902 (Str. XII i 575).

Fryderyk Paulsen, profesor filozofii w berlińskim uniwersytecie, należy do rzadkich wśród dzisiejszych Prusaków umysłów; odznacza się bowiem trzeźwym, przedmiotowym i względnie nawet, jak na pruskiego protestanta, sprawiedliwym o rzeczach sądem. Sławnym przecież stał się ustęp o zakonie Jezuitów, pomieszczony w jego znakomitem dziele *Geschichte des gelehrten Unterrichtes* [1], w którem oceniwszy w sposób spokojny a dla zakonu pochlebny jego działalność, tak kończy: „Dlaczego ja to wszystko podnoszę? Dlatego, gdyż gniewa mnie i boli, że ciągle muszę słuchać, jak tępe, filisterskie dusze, które całe życie tylko zmysłowych szukały wygód, lub ambitni karyerowicze, którzy o tem tylko myślą, aby przypodobać się mocarzom państwowym lub ludowym, obwiniają o chciwość i pychę mężów, którzy z poświęceniem wszelkich osobistych interesów żyli tylko dla idei".

Miał też prof. Paulsen za ten ustęp o Jezuitach dosyć do wycierpienia. Pewnego rodzaju umiarkowanie przebija się również w jego przed rokiem wydanem polemicznem dziełku p. t. *Philosophia militans* [2], skierowanem przeciw rzekomemu klerykalizmowi i naturalizmowi, atakuje on tu wprawdzie katolickich filozofów Hertlinga i Willmana, w niejednym ustępie objawia wielką istoty katolicyzmu nieznajomość, ale przecież pozostaje trzeźwym, zastrzega się przeciw szowinizmowi i oświadcza, że zawsze gotów jest uznać wszystko, co dobre, prawdziwe i dzielne. Podczas gdy więc przeważna większość pruskich Niemców wpadła dzisiaj w formalny szał narodowy i ze swoim gadatliwym władcą na czele tańczą około germańskiego bożyszcza jakiegoś bakchijskiego tańca, wrzeszcząc ciągle: „biada słabym i uciśnionym", to Paulsen jest jednym z tych, którzy do orgii nie należą. Oczywiście, że takiego człowieka prace muszą wzbudzać zajęcie. Z niemałą też skwapliwością wziąłem do ręki jego najnowsze dzieło, wyszłe świeżo w Berlinie pod tytułem: *Die deutschen Universitäten und das Universitätsstudium*, albowiem charakterystyka i zdanie o niemieckich uniwersyteckich stosunkach, wyszłe z pod pióra znakomitego dzisiaj i gło-

[1] Wyszło w drugiem wydaniu w Lipsku 1896 w dwóch tomach.
[2] Wyszło w Berlinie u Reuthera w r. 1901.

śnego berlińskiego profesora, który ma tak silną głowę i tyle charakteru, że pozostał trzeźwym, to przecież rzecz godna uwagi. Dla mnie osobiście dzieło Paulsena przedstawiało tem większy interes, gdyż sam pracuję już od paru lat nad dziełem, w którem powszechno-dziejowy rozwój najwyższych szkół od czasów starożytnych aż do obecnej chwili przedstawić zamierzyłem. Nie zawiodłem się też wcale w oczekiwaniach i wyznaję otwarcie, że doczytałem książkę do samego końca z wielką korzyścią, a zamknąłem ją ze szczerem i prawdziwem zadowoleniem. Bo czyż można w dzisiejszych czasach wśród tak rozhukanych namiętności, wśród tylu stronniczych rozterek, wśród tej walki wszystkich przeciwko wszystkim, doznać większej przyjemności nad tę, jakiej się doznaje, przestając z człowiekiem, który zachował spokój i nie popadł w stronniczość nawet w sądach o tej grupie społecznej, do której sam należy i o zawodzie, któremu własne poświęcił życie. Oczywiście, że nie należy jednak od takiego autora wymagać wszystkiego; i on jest człowiekiem, i on Niemcem z początków XX wieku, a więc i u niego znajdzie się wiele takich zapatrywań, na które nawet umysł Paulsenowi pokrewny, ale nie będący ani Prusakiem ani protestantem, nigdy się nie zgodzi. Przypatrzmy się więc nieco dokładniej tej ciekawej i zajmującej książce.

Całe dzieło Paulsena — spory tom o blizko sześciuset stronicach, poświęcony uczącej się niemieckiej młodzieży — obejmuje obok przedmowy i wstępu, pięć ksiąg. W przedmowie powołuje się autor na zdanie Wawrzyńca Steina, sławnego niegdyś wiedeńskiego profesora, który już przed kilku dziesiątkami lat narzekał na wielkie ubóstwo literatury dotyczącej uniwersytetów, pomimo ich pierwszorzędnej dla narodu niemieckiego doniosłości, radby więc Paulsen lukę zapełnić i trzeźwo przedstawić, do czego się w tym zakresie obecnie doszło.

We wstępie wskazuje dalej na trzy główne typy wszelkich uniwersyteckich urządzeń, t. j. na typ angielski, francuski i niemiecki. Cechą pierwszego — to korporacyjna autonomia, jego celem głębsze ogólne wykształcenie; cechą drugiego zależność zupełna od rządu — celem wykształcenie fachowo-naukowe. Wreszcie trzeci typ niemiecki zajmuje stanowisko pośrednie. Istota uniwersytetu niemieckiego polega na tem, że „jest równocześnie pracownią dla umiejętnych badań i zakładem dla najwyższej w umiejętnościach nauki, a to zarówno w kierunku ogólnym, jak i fachowym".

Charakterystyka taka typu trzeciego jest niewątpliwie prawdziwą, zastrzedz się jednakże musimy na tem miejscu co do nazwy tego typu.

Autor nasz nie ma prawa nazywać go niemieckim. Pierwej jeszcze aniżeli w Niemczech wyrobił on się we Włoszech, a prawie równocześnie z Niemcami u nas w Polsce. Kto wie nawet, czyby się nam nie należało pierwszeństwo. W chwili bowiem, gdy u nas komisya edukacyjna przekształcała nasz Jagielloński i wileński uniwersytet na zupełnie nowożytne zakłady, nadając im ów podwójny charakter, to w Niemczech stosunki były jeszcze do najwyższego stopnia zacofane i zaledwo w Halli i w Getyndze cośkolwiek ruszać się zaczynało. Przypominam również, że gdy w roku 1809 powstał wielki berliński uniwersytet, wówczas w całej pełni zakwitł był już i działał uniwersytet wileński. Gdyby Paulsen znał historyę włoskich i polskich uniwersytetów, jestem prawie pewny, że zgodziłby się na inną tego trzeciego typu nazwę. Należałoby mu bowiem dać miano typu środkowoeuropejskiego.

Pięć ksiąg Paulsenowskiego dzieła zajmuje się następującymi przedmiotami: Pierwsza księga jest szkicem historycznym; druga przedstawia obecne urządzenia niemieckich uniwersytetów, przyczem są także uwzględnione austryackie stosunki, a więc i nas to blizko dotyczy; trzecia zajmuje się nauczycielami i nauką; czwarta studentami; wreszcie piąta rozpatruje szczegółowo szereg zagadnień, odnoszących się do każdego z czterech wydziałów z osobna; mamy tu więc poruszone nieledwo wszystkie sprawy, które się z bytem, rozwojem i działaniem dzisiejszych wszechnic wiążą, wszędzie zaś krytyka wolna od ducha kastowości i usiłująca utrzymać należytą miarę między dwoma ostatecznościami, t. j. między zaśniedziałym konserwatyzmem z jednej, a zbytnią pochopnością do niewypróbowanych reform z drugiej strony.

Pouczającym jest szkic historyczny (księga pierwsza), o tych rzeczach bowiem wie się bardzo mało. Jeszcze co do średniowiecznych uniwersytetów, to dzieje ich rozjaśnili w ostatnich czasach i w pewną ujęli syntezę Denifle i Rashdall, ale zato w historyi uniwersytetów od czasów Odrodzenia zupełny jeszcze panuje chaos, z którego, jak dotąd, nikt wybrnąć nie spróbował. Posiadamy wprawdzie mnóstwo monografii o poszczególnych uniwersytetach, prawie każdy ma już swoją historyę nie tylko napisaną, ale nawet wydrukowaną, ogólnej jednak syntezy na tle dziejów cywilizacyi z czasów od połowy szesnastego wieku do końca dziewiętnastego nikt jeszcze dokonać nie spróbował. Tem cenniejszy też jest szkic Paulsena, jakkolwiek dotyczy tylko samych Niemców.

W historyi powstawania niemieckich uniwersytetów wyróżnia

Paulsen dwie fazy; pierwszą w drugiej połowie XIV wieku, drugą przy końcu XV i w początkach XVI. Do pierwszej fazy należą Praga (oczywiście, jakżeby też Niemiec mógł nie zaliczyć pragskiej wszechnicy do niemieckich, dzieje się to zaś wbrew dziejowej prawdzie, pierwotny bowiem pragski uniwersytet miał przeważnie słowiański charakter, a już i to dobrze, że nas przynajmniej nie zaliczył do rzędu niemieckich), dalej Wiedeń (1365), Heidelberg (1386), Kolonia (1388), Erfurt (1392), wreszcie Lipsk (1409); do drugiej Gryfia, Fryburg, Bazylea i kilka jeszcze innych. Co mówi o urządzeniach tych średniowiecznych uniwersytetów, jest wogóle słuszne i prawdziwe, ale to wszystko dosyć powszechnie znane. Dla charakterystyki autora wypada tylko podnieść jego zdanie o średniowiecznym systemie nauki i o dysputach. Paulsen nazywa średniowieczne dysputy znakomitym środkiem do utrwalenia zdobytej wiedzy i do należytego wyćwiczenia się w jej użyciu (str. 29). Dysputy wytwarzały rodzaj naukowego pogotowia, ćwiczyły w szybkiem i pewnem ujmowaniu cudzych myśli i ich stosunku do własnych. Dzisiejszy uczony spuszcza się na książki w wielu takich rzeczach, które średniowieczny miał ciągle w pamięci. To też niełatwo można w dzisiejszych czasach napotkać zdolność do rozprawienia się od razu z miejsca twarzą w twarz z cudzemi myślami. Do żywego ujęcia nauki dysputy z pewnością więcej się przyczyniały aniżeli dzisiejsze nieme, samotne powtarzanie i recytowanie przy egzaminach. Dla nas jednak, powiada Paulsen, dysputy stały się niemożliwe, gdyż nauka nie polega już na dyskusyi, ale na badaniu i rozpatrywaniu faktów... Pomijając tę racyę, bo i tam nauka nie polegała na samem gadaniu, kto wie, czyby się nie przydało zastrzyknąć dzisiejszym metodom pewnej porcyjki średniowiecznych sposobów. Gdyby dzisiejsi uczeni umieli nie tylko znakomicie badać, ale także o badaniach swoich jasno rozprawiać, to kto wie, czyby nie wyniknęły z tego wielkie dla nauki korzyści, choćby tylko przez usuwanie mnóstwa nieporozumień i wzajemnych uprzedzeń, które nieraz podobne do olbrzymich barykad stoją w drodze prawdziwemu postępowi.

Od początku XVI wieku wyróżnia Paulsen cztery dalsze w rozwoju niemieckich uniwersytetów okresy. Pierwszy z nich obejmuje czasy Odrodzenia i Reformacyi. Ruch Odrodzenia wywarł na uniwersyteckie stosunki wpływ nader zbawienny, rozbudziły się pragnienia poetycko-literackie, zaczął się zwrot do rzeczywistości, to zaś musiało oddziałać orzeźwiająco na umysły znużone jednym kierunkiem umysłowej

pracy. Gorzej o wiele rzeczy stoją z Reformacyą. Paulsen musi przyznać, że oddziałała na uniwersytety w sposób bardzo niekorzystny, powtarza nawet zdanie Erazma z Rotterdamu, który narzekał, że gdzie luteranizm panuje, tam nauki giną zupełnie. Pomimo wszystkiego jednak przypisuje nasz autor Melanchtonowi zasługę, że oświata protestancka stanęła w Niemczech wyżej od katolickiej, gdyż onto miał nawrócić do humanizmu.

Że pogląd taki z prawdą nie całkiem zgodny, przyzna każdy gruntowniejszy znawca dziejów umysłowych XVI wieku, który nie patrzy na nie przez wyłącznie protestanckie okulary. Zresztą jakże wyjaśnić wielki upadek uniwersytetów i zupełne uniwersyteckiego życia w Niemczech zdziczenie zaraz w następnym okresie, t. j. w wieku XVII-tym? Gdyby nie Reformacya, która zniszczyła wszystko, co tylko humanizm zrobił dobrego, nigdyby do tego nie było przyszło. Wiek XVII to czasy terytoryalno-konfesyjnych uniwersytetów, jak je Paulsen nazywa, a zarazem czasy najsmutniejsze; każdy panujący pragnie posiadać na swoim obszarze uniwersytet, przedewszystkiem ze względu na teologię, którą każdy chciałby mieć nauczaną według własnego widzimisię. Zbuntowani teologowie, gardzący powagą Kościoła, dostali się teraz z deszczu pod rynnę i musieli słuchać poleceń pierwszego lepszego książątka; zaczynają się czasy zupełnej zależności nauczycieli od rządów, czego nigdy przedtem nie było, swoboda średniowiecznego uniwersyteckiego życia zniszczona. Smutny zaiste przedstawiały obraz uniwersytety niemieckie w XVII wieku. Paulsen krótko ale wymownie tak go kreśli: „Akademicka nauka, pozbawiona związku z rzeczywistością i poruszającemi nią ideami, ujęta w niewolnicze karby statutowej organizacyi, system nauczania przestarzały, do tego przybywa zdziczenie całego życia, studenci tylko piją i biją się, brutalność i bestyalstwo, oto treść tego życia, profesorowie nierzadko w takiem samem nurzają się błocie“ (str. 50). Polecam ten obrazek wszystkim, którzy narzekają na upadek katolickiej nauki w XVII wieku lub na upadek naszego w tym czasie uniwersytetu. Paulsen jest do tego stopnia bezstronny, że przytacza na str. 51 nawet zdanie szwedzkiej królowej Krystyny o ówczesnych niemieckich uczonych, która, pisząc do kardynała Azzolino w Rzymie, tak się między innemi o nich wyraża: „Już lepiej nawet być kacerzem aniżeli Niemcem, gdyż kacerz zawsze jeszcze może zostać katolikiem, ale bydlę nigdy nie zmądrzeje. Przeklęty kraj i te głupie bydlęta, które rodzi. Zapewniam Waszą

Dostojność, że między wszystkiemi zwierzętami na świecie niema mniej do człowieka podobnego od Niemca".

Dopiero w trzecim okresie, t. j. w wieku XVIII zaczęły się stosunki na niemieckich uniwersytetach cokolwiek poprawiać. Powstaje Halla i Getynga (1737). Paulsen wielkie znaczenie przypisuje wszechnicy w Halli jako, zdaniem jego, pierwszej, prawdziwie nowożytnej. Pogląd taki jest zrozumiały, jeżeli zważymy, że Hallę założyli Hohenzollerny, nam się jednak wydaje, że pierwszą próbą nowożytnego uniwersytetu była pod angielskim wpływem założona Getynga. Zmiany, jakie się w systemie uniwersyteckiej nauki w XVIII wieku powoli przygotowały, ujmuje Paulsen w następujące główne punkty (str. 59): 1) Miejsce filozofii scholastycznej zastępuje nowożytna; 2) przyjmuje się zasada swobody w badaniu i w nauczaniu; 3) systematyczny wykład usuwa niewolnicze objaśnianie tekstów; 4) dysputy zanikają, tworzą się pierwsze uniwersyteckie seminarya; 5) język narodowy usuwa z wykładu łacinę. Na takiejto podstawie przygotowywa się wielki rozwój uniwersytetów w wieku XIX.

Pierwszym w Niemczech na wielką skalę pomyślanym uniwersytetem w duchu zupełnie nowym był uniwersytet berliński, założony w roku 1809; oprócz niego powstały jeszcze w Niemczech w XIX w. uniwersytety we Wrocławiu (1811), w Bonn (1818), w Monachium (1826), wreszcie jako ostatnie dzieło zeszłego wieku, wymienia Paulsen Strassburg (1872); o Czerniowcach wcale nie wspomina.

Charakterystyka rozwoju uniwersyteckich stosunków w w. XIX jest u Paulsena może trochę za pobieżna, ale niewątpliwie sprawiedliwa. Słusznie podnosi on, że Niemcy dobrze zrobiły, że nie poszły śladami rewolucyjnej Francyi. Niemcy i Francya to dwa systemy w zakresie organizacyi najwyższego nauczania, powodzenie oddało niewątpliwie palmę pierwszeństwa systemowi niemieckiemu. We Francyi okazały się następujące skutki: „Centralizacya nauki w Paryżu, wyjałowienie prowincyi, zniszczenie wydziału filozoficznego, przemiana wszechnic na techniczne państwowe zakłady z szablonową nauką, natomiast w Niemczech mnóstwo kwitnących i samodzielnie rozwijających się siedzib umiejętnego badania i naukowe życie w całym rozszerzone kraju" (str. 65). Wszystko prawda, ale jednak nie przeszkodziło to Francyi wydawać w ciągu XIX wieku największych światowych uczonych i świetnych pisarzy, którzy w formie przedstawienia Niemców prześcignęli.

Nad dalszym tokiem dziejowego szkicu u Paulsena nie będę już

dalej się rozwodził, odsyłając czytelnika do dzieła samego; wspomnę jeszcze tylko krótko, że za najwybitniejszą cechę uniwersyteckiego rozwoju w XIX wieku uważa Paulsen wspaniały rozrost wydziałów filozoficznego i medycznego wraz ze wzrostem badawczych instytutów i seminaryów. Przyznaje jednak wkońcu otwarcie, że obecnie daje się w Niemczech odczuwać co do uniwersytetów pewne rozczarowanie. „Umiejętność nie nasyca poznawczego głodu“ (str. 82), tak narzeka wielu. Czyżby miało zapowiadać się bankructwo nauki? Albo jest to może tylko objaw tęsknoty za myślami, tęsknoty za filozofią, w coraz wyższym objawiającej się stopniu? Gdyby Paulsen nie był tem, czem jednak pomimo wszystkiego być nie przestał, t. j. protestancko-pruskim racyonalistą, toby dostrzegł także inne, jeszcze głębsze przyczyny tej tęsknoty i tego niezadowolenia z nauki pomimo wszystkich jej tak wspaniałych, tak niezaprzeczonych tryumfów. Ale trudno, cóż robić, najtrzeźwiejszy nawet umysł, skoro mu wychowanie od najmłodszych lat nałoży okulary, mnóstwa nie dojrzy rzeczy.

Drugą księgę poświęcił Paulsen obecnym uniwersyteckim urządzeniom, tudzież stanowisku uniwersytetów w życiu publicznem. Omawia najpierwej stosunek uniwersytetów do państwa. Średniowieczne wszechnice były zupełnie swobodne i od państwa niezależne, państwowymi zakładami zrobiła je dopiero Reformacya. Ponieważ w XVII wieku panujący był także najwyższym wychowawcą swoich poddanych, udzielał przeto także nauczycielom wskazówek i nakazywał im sposób uczenia. Dopiero XIX wiek sprowadził znowu zupełną zmianę.

Dokonał się tu rozwój w dwu zupełnie odwrotnych kierunkach. Z jednej strony wzrosły znacznie wydatki państwowe na uniwersyteckie cele, z drugiej strony wzrosła ich wewnętrzna samodzielność i swoboda (str. 88), obecnie zaś mają one charakter wolnych korporacyi uczonych. Profesorowie sami wybierają swoją władzę, a grona profesorów posiadają wielki, prawie stanowczy wpływ na obsadzanie posad, ciała akademickie uzupełniają się jakby jakieś bractwa przez rodzaj kooptacyi (str. 95). Profesor otrzymuje wprawdzie jakby rodzaj nauczycielskiego zlecenia, ale tak ogólnego, że może je sobie tłumaczyć, jak mu się podoba, zresztą jest w nauczaniu zupełnie niezależny, nikt nie ma prawa wtrącać się do jego nauki ani go nadzorować. Ministerstwa oświaty wykonywują wprawdzie rodzaj nadzoru nad profesorami, ale dotyczy on tylko prawie wyłącznie zewnętrznego porządku. Słusznie przeto powiada Paulsen, że nauka uniwersytecka nigdy takiej

nie używała swobody jak obecnie (str. 98). Słowa te szczególnie co do Prus należy przyjmować *cum grano salis*, znamy przecież wypadki, że docentom w Prusiech odbierano *veniam legendi* z powodu, że głosili nauki rządowi nieprzyjemne.

Należy także zwrócić uwagę na odwrotną stronę medalu, t. j., że w Niemczech nacisk i kontrolę rządów zastąpiła nierzadko tyrania klik i poszczególnych jednostek. Sieci ich intryg i wpływów są nieraz tak rozprzestrzenione, że najzdolniejszego nieraz człowieka nigdzie nie dopuszczą do katedry, jeżeli im się nie podda. Wszakże czytaliśmy w dziennikach, co się niedawno działo w Bawaryi, nawet minister musiał ustąpić przed wszechpotężną kliką profesorów. Swoboda więc i niezależność jest bardzo drogocennym skarbem, zdałoby się jednak, aby niemieccy profesorowie także na wewnątrz między sobą stali się niezależniejszymi, aby byli więcej na cudze zdanie i stanowisko wyrozumiałymi, wówczas dopiero uniwersytecka swoboda zaczęłaby prawdziwie błogie wydawać owoce.

Co do sprawy czesnego, to Paulsen oświadcza się stanowczo przeciw jego zniesieniu, jego stanowisko jest dla mnie zrozumiałe, podzielać go jednak nie mogę. Dzięki Bogu, że my w Austryi pozbyliśmy się nareszcie tego obrzydliwego systemu, który z profesora robił rodzaj prywatnie najmującego się bakałarza, a z katedr lepsze lub gorsze synekury, bez względu nieraz na wartość nauki i nauczania. Paulsen przytacza szereg argumentów za utrzymaniem czesnego (str. 117—123), mnie jednak żaden z nich nie przekonał. Dlaczegoby przy przeprowadzeniu wyłącznego systemu płac miała ucierpieć swoboda nauczania, tego nie rozumiem. Wolność nauki na uniwersytetach, jeżeli jest poręczona w konstytucyi, to pozostanie i bez czesnego, zresztą ona zależy od każdego profesora z osobna, każdy przecież bierze od państwa płacę za to, że naucza, a nie za to, jak i według jakich zasad naucza, cóż mi więc może przeszkodzić być wolnym? Raczej czesne krępuje wolność, tam bowiem gdzie uczęszczają na pewne wykłady wielkie liczby słuchaczy lub gdzie istnieje współzawodnictwo te same przedmioty wykładających profesorów, tam nieraz może profesor ze względu na dochód czuć się zależnym od uczniów. Zupełnie mylnem jest zdanie Paulsena, jeżeli twierdzi, że stosunek profesora do uczniów jest przy opłacie czesnego swobodniejszy i mniej urzędowy. Rzecz ma się zupełnie przeciwnie, dopiero skutkiem usunięcia czesnego może stosunek ucznia do profesora oprzeć się na wyłącznie idealnych podstawach. Nie rozumiem także, dlaczego miałaby ucierpieć na tem in-

stytucya docentów prywatnych (str. 119). Są to przecież w łonie uniwersyteckiej korporacyi przez nią dopuszczeni a przez ministerstwo potwierdzeni nauczyciele prywatni, którzy mogą też zachować prawo do pobierania opłaty od uczniów. Tak jest w Austryi; instytucya docentów tu po zniesieniu czesnego dla profesorów nie tylko nie straciła, ale przeciwnie zyskała. Dawniej mógł niejeden profesor obawiać się, że mu docent dochód odbierze, teraz takie nizkie pobudki stały się zupełnie niemożliwe. Czyż to nie jest wielką dla nauki zdobyczą?

Społeczeństwo, płacąc podatki, ma prawo żądać od państwa, aby, zapewniwszy profesorom uniwersytetów zupełną wolność w nauczaniu i w badaniu, płaciło ich tak, iżby oni mogli z całą wewnętrzną swobodą poświęcać się swoim zawodowym pracom. Kto ma myśl przygnębioną lub rozerwaną, kto musi się troszczyć o chleb codzienny i łamać sobie głowę nad tem, skąd go wziąć, ten w naukach swobodnie pracować nie może. Wszelka umiejętna praca wymaga tak wielkich wysiłków duchowych, takiego wewnętrznego skupienia, że przy trosce i przy różnych rozerwanych zajęciach produkcyjną ona nie będzie. Takie czesne, jakie jeszcze dzisiaj w Niemczech niektórzy pobierają profesorowie (kwoty idą w dziesiątki tysięcy marek), może tylko podniecać chciwość i prowadzić do życia nad stan, a to także z pewnością na korzyść nauki nie wychodzi. Ja idę dalej i wyrażam przekonanie, że opłata czesnego nawet na rzecz rządu powinna być zniesioną. Nauka powinna być bezpłatną! Przecież rodzice płacą podatki i to bardzo wysokie i bardzo różnorodne, dzisiejszy uczeń będzie kiedyś także siłą podatkową, im więcej zaś nauczy się, im pójdzie wyżej, tem większe będzie także płacił podatki, a więc odda z lichwą to, co jego nauka kosztowała, dlaczegóż żądać jeszcze od niego opłaty za naukę? Jestem głęboko przekonany, że przyjdzie i przyjść musi kiedyś do zupełnego zniesienia czesnego, jeżeli już dzisiaj praca w instytutach i seminaryach jest bezpłatną, to oczywiście przyjdzie także kolej na zniesienie opłat za wykłady, które i tak schodzą powoli na drugi plan.

Bardzo godnym uwagi jest ustęp, który poświęca Paulsen sprawie udzielania profesorom uniwersytetów różnych tytułów i orderów; tu przedstawia on się nam w pełnem świetle, jako spokojny i na prawdziwie wyższem stanowisku stojący myśliciel. Dekoracye, tytuły, nobilitacye, wszystkie tego rodzaju wymysły wtargnęły do akademickiego świata w wieku XVIII. Wprawdzie u nas w Polsce już w XVI wieku nadali królowie profesorom krakowskiej wszechnicy prawo do

szlachectwa, ale to było co innego, to było odszczególnienie całego stanu i podniesienie go na najwyższy stopień społecznej hierarchii. Dzisiejsze odznaczenia dotyczą wyłącznie osób, a rzecz dziwna, rozrozdzielanie ich między profesorów i gonitwa za niemi wzmogła się niesłychanie w XIX stuleciu, w tym wieku równości i demokracyi. Paulsen wyznaje szczerze (str. 123), że nie byłoby dla uniwersytetów ze stratą, gdyby te wszystkie odznaczenia były pozostały w ich zakresie pierwotnym, tam, gdzie powstały, t. j. w zastosowaniu do świata wojskowego, biurokratycznego i dyplomatycznego. Tam mają one swoją dobrą racyę, w świecie nauki jednak w gruncie rzeczy dla nich miejsca niema. Na możliwy zarzut, że odznaczenia profesorów mogą dotyczyć przecież ich naukowych zasług, odpowiada Paulsen bardzo dowcipnie, że państwo podobnie jak dyabeł nic darmo nie świadczy, jeżeli zaś mierzy się zasługi naukowe tą samą miarą, co wojskowe i polityczne, to muszą tamte bardzo stracić na wartości. Ja, z mojej strony podzielając najzupełniej zapatrywanie Paulsena, pozwolę sobie tylko dodać, że gonitwa za rządowemi odznaczeniami, szczególnie między niemieckimi profesorami tak powszechna, dziwnie nieraz odbija od wielkiej ich naukowej powagi. Czyżby to miało dowodzić, że nie odczuwają tych najwznioślejszych rozkoszy, których dostarcza nauka sama, lecz potrzeba im do pracy ubocznych jeszcze podniet? Kto na prawdę pokosztował tego, co się naukową nazywa pracą, kto w pracowniach podsłuchiwał tajemniczych szeptów przyrody i jej zagadki rozjaśniał lub kto wśród nocnej ciszy samotny przebywał w towarzystwie najpotężniejszych duchowych mocarzy ludzkości, w czyim umyśle rodziły się naraz i błyskały nowe myśli, oświecając nagle na wzór świetnych gwiazd dalekie widnokręgi, taki zaiste na rządowe odznaczenia nie będzie chyba łakomy. Że to nieraz trochę zabawnie wygląda, gdy się czyta o tym lub owym uczonym, że został kawalerem orderu czwartej klasy, żółtego smoka lub zielonej gwiazdy, to nie ulega wątpliwości, wszelkie kawalerstwa i dworactwa chyba nie bardzo do nauki się nadają. Ale z drugiej strony należy przyznać, że są przecież także odznaczenia godne mężów nauki, do takich należą np. wybór na najwyższe akademickie godności, powoływanie do uczonych towarzystw, nadawanie honorowych doktoratów, z rządowych zaś odznaczeń np. taki austryacko-węgierski medal *pro litteris et artibus* lub powoływanie uczonych do wyższych izb czy senatów. Jeżeli przewodnią ideą izb wyższych ma być, aby skupiały wszystkie najbardziej wyborowe umysły jakiegoś państwa, to tam zaiste uczonych nie powinno brakować, po-

winni oni tam zarządzać, nie aby brać udział w czynnej polityce, lecz aby swoje zdanie naukowe w sprawach politycznych wypowiadać. Gdyby kogokolwiek powyższe moje uwagi o orderach miały zgorszyć, to powiem mu razem z Paulsenem, niechaj zemści się na ich autorze, powołując się na znaną bajkę o lisie i kwaśnych winogronach, ja nie mam nic przeciw temu. Wiem, że mojemi uwagami nikogo od starania się o tytuły lub ordery nie powstrzymam, nie zależy mi też wcale na tem, proszę tylko, aby mi mojego zapatrywania nie brano za złe.

Stosunkowi uniwersytetów do społeczeństwa poświęca Paulsen osobny rozdział drugiej księgi. Istnienie uniwersytetów wywodzi z niezbędnych społecznych potrzeb, mówi dalej o oddzieleniu się uniwersytetów i akademii technicznych, nadmieniając zupełnie słusznie, że odrębność ta jest tylko zewnętrzną i że nic nie stoi na przeszkodzie łączeniu się tych najwyższych zakładów w jedną uniwersytecką całość, jak to zresztą już gdzieniegdzie, np. w Belgii, się dokonało. Co do studyum kobiet na uniwersytetach, to nie jest Paulsen jego wielkim zwolennikiem. Z jego prusko-niemieckiego stanowiska jest to do pewnego stopnia zrozumiałe, u nas np. są zupełnie inne potrzeby. Położenie naszego narodu wymaga, abyśmy mieli jak najwięcej wysoko wykształconych kobiet. Zaiste przyszłych naszych pokoleń rządy nie wychowają na Polaków, któż ich więc wychowa jeżeli nie nasze kobiety?

Zato jest Paulsen gorącym zwolennikiem rozszerzenia uniwersyteckiej nauki na szerokie warstwy ludu. Z zapałem podnosi, że urządzanie ludowych uniwersyteckich kursów, to krok bardzo doniosły w rozwoju niemieckich wszechnic. Oto złote jego słowa (str. 148): „Odosobnienie i obojętność między ludem a umiejętnością, to stan niezdrowy i niebezpieczny“. A zaraz dalej: „Uczoność, która straciła czucie z duchowem życiem ogółu, straci wkońcu także poczucie tego, co istotną posiada wartość, wkońcu przecież ostatecznie wszelka umiejętność jest na to, aby życiu służyła“. Słowom tym z całego serca przyklasnąć tylko możemy, aby i u nas wyrobiło się nareszcie i rozpowszechniło przekonanie, że niesienie oświaty i popularyzowanie wiedzy wśród szerokich warstw, to także jedno z zadań prawdziwych mężów nauki i to jedno z zadań najwznioślejszych. Niech uczeni nie sądzą, że im to jakąkolwiek sprawi ujmę, dobrym popularyzatorem potrafi być tylko mistrz w swoim fachu, na powierzchownym i niedouczonym szybko słuchacze się poznają, gdyż nikt nie będzie go rozumiał: Z wszelką kastowością należy raz wreszcie wszędzie skończyć a więc także i w dziedzinie nauki.

Stanowisku społecznemu ludzi na uniwersytetach wykształconych poświęca Paulsen dalsze uwagi. Powiada (str. 154), że zbytni natłok do tak zwanych uczonych zawodów rozpoczął się dopiero w XIX w., przedtem musiały rządy raczej zwabiać nie zaś kandydatów odstręczać. Przyczyn tego zjawiska upatruje we wzroście powagi uniwersyteckiego wykształcenia i w chęci zdobywania posad rządowych, zapewniających stały dochód. Niebezpieczeństwa takiego stanu rzeczy Paulsen widzi, ale lekarstwa na to nie podaje żadnego. Bo zaiste rzecz to niełatwa! Należałoby podnosić znaczenie zawodów rolniczych i przemysłowych, tudzież wartość i powagę pracy w rzemiośle, jakże zaś to robić tam, gdzie rolnictwo i przemysł w zupełnym znajdują się zastoju lub upadku? Mówiąc o natłoku młodzieży na uniwersytetach, podaje Paulsen niektóre zajmujące daty, wykazuje, że aż do końca XVIII wieku większość uczniów pochodziła z ubogich warstw, XIX wiek zaś zmusza do usuwania biedaków, dotyczy to może Niemców, u nas jest inaczej; właśnie nasza uboga młodzież najwięcej garnie się do nauki. Napływ na poszczególne wydziały podlega w Niemczech bardzo znacznym zmianom, zdaniem jednak Paulsena, można w całym ruchu XIX stulecia dopatrzeć się pewnego ogólnego prawa, a mianowicie: liczba teologów stale zmniejsza się, natomiast wzrasta umiarkowanie liczba prawników, podczas gdy liczba medyków i filozofów powiększyła się nagle i bardzo znacznie, co do medyków, to w ostatnich latach można stwierdzić wszędzie zmniejszanie się napływu. Czegóż to dowodzi? Oczywiście ubożenia średniego stanu, który coraz mniej może sobie pozwalać na zbytek osobnych lekarskich wizyt i szuka bezpłatnej porady, z drugiej zaś znowu strony dowodzi, że każdy woli poświęcać się zawodom o pewnym stałym dochodzie. Ponieważ w ostatnich latach wszędzie byt nauczycieli znacznie poprawiono, a także i stanowisko nauczyciela zyskało na powadze, a więc do tego zawodu chętnie się garną.

Stosunkowi uniwersytetów do Kościoła poświęcony jest trzeci rozdział drugiej księgi. Co mówi Paulsen o protestantyzmie, jest zajmujące, ale dla nas obojętne, dlatego ten ustęp pomijam, natomiast dla nas szczególnie godnym uwagi jest ustęp o katolicko-teologicznych wydziałach. Tu z przyjemnością możemy stwierdzić, że Paulsen, jakkolwiek istotę katolicyzmu pojmuje błędnie, to jednak w znacznej części wolny jest od powszechnych dzisiaj w Niemczach uprzedzeń. Oświadcza się więc stanowczo za utrzymaniem katolickich teologicznych wydziałów na uniwersytetach, niesłusznie tylko uważa Jezuitów za wrogów tych wydziałów. Tak nie jest. Zakon Jezuitów nie pragnie wcale

usunięcia teologii z uniwersytetów. Nie łudźmy się — pisze Paulsen — katolicyzm nie zamarł i nie zamiera w Niemczech; kto tak mniema, tego bolesne spotka rozczarowanie, a więc taki znakomity czynnik w naszem narodowem życiu powinien mieć miejsce w uniwersytetach (str. 186). Katolicyzm nie jest dla nas wcale nieszczęściem, przeciwnie, Kościół narodowy i cezaropapizm miałby dla Niemiec jak najgorsze następstwa; „byt katolicyzmu jest dla niemieckiego państwa gwarancyą wolności“ (str. 187). I na katolickich wydziałach jest miejsce dla samoistnego myślenia i dla umiejętnej pracy. Jeżeli im zaś kto zarzuca, że w nauce są skrępowane zewnętrzną powagą, to autor zwraca uwagę, że także i na prawniczych wydziałach opiera się nauczanie w znacznej części na ustawach. Tak odzywa się sprawiedliwy i spokojny filozof, który z katolicyzmem nigdy nic wspólnego nie miał.

Jest natomiast Paulsen stanowczym przeciwnikiem osobnych katolickich uniwersytetów. Na jego wywody odpowiem mu krótko parę słów: Wiem o tem dobrze, że osobna katolicka fizyka lub chemia istnieć nie może, słusznie w nauce powinna panować jak największa przedmiotowość i wolność, ale cóż na to poradzić, jeżeli na bardzo wielu niemieckich uniwersytetach przedstawiciele tak zwanej niezależnej nauki lubują się w szkalowaniu katolicyzmu i są względem niego do najwyższego stopnia stronniczymi; czyż rodzice nie mają prawa chronić od tego swoich dzieci? czy nie mają prawa starać się, aby istniały zakłady, których celem nie będzie odbieranie katolickiej młodzieży jej wiary? Niechaj tylko wszyscy protestanccy racyonaliści będą wobec katolicyzmu tak sprawiedliwi jak Paulsen, a zmniejszy się potrzeba zakładania w Niemczech osobnych katolickich uniwersytetów. Wielkie w Niemczech wywołało w swoim czasie zgorszenie, że rząd na niektórych uniwersytetach poobsadzał katedry filozofii i historyi podwójnie: katolikiem i protestantem. I to uważa Paulsen za słuszne, gdyż katolicka ludność ma prawo żądać, aby jej z katolickiego stanowiska podawano obraz dziejów; zupełna przedmiotowość jest tu niemożliwa; historya z różnych punktów widzenia musi rozmaicie wyglądać (str. 192). Na zakończenie całej drugiej księgi wspomina także Paulsen o przewadze żywiołu żydowskiego na uniwersytetach niemieckich i tak kończy: „Że stoimy tu wobec bardzo trudnego i doniosłego zagadnienia, to musi przyznać nawet i taki, który wcale antysemitą nie jest. Gdyby uczone zawody pozostawiono całkowicie wolnemu współzawodnictwu, to zdaje się, że powoli przeszłyby one, jeżeli nie w formie monopolu, to jednak faktycznie w ręce ludności żydow-

skiej, posiadającej przewagę dobrobytu, energii i wytrwałości. Że takiego stanu rzeczy nie zniósłby żaden europejski naród, że odczuwałby go jak panowanie obcego żywiołu i że starałby się przemocą strząsnąć z siebie taką niewolę, któż może o tem wątpić? A więc nie można w czambuł potępić ruchu w przeciwnym kierunku“ (str. 200).

W trzeciej księdze jest mowa o uniwersyteckim nauczycielu i nauce. Ideał nauczyciela kreśli Paulsen w następujący sposób: „Profesor uniwersytetu ma według niemieckich zapatrywań stanowisko podwójne, jest równocześnie uczonym badaczem i nauczycielem. Powinien więc być z jednej strony samoistnym myślicielem i mistrzem w badadaniu, z drugiej zaś znowu strony powinien być nauczycielem zdolnym do wpajania uczniom umiejętnego ducha“. Nawiązując więc do oświadczenia Katona, że dobry mówca jest to: *vir bonus dicendi peritus*, powiada: „Dobry uniwersytecki nauczyciel, to mąż uczciwy, który uczniom swoim przedstawia obraz wolnego i wspaniałomyślnego usposobienia, który w dusze ich wpaja miłość prawdy, niezależny sposób myślenia, tudzież szlachetną a wolną od pychy i próżności skromność“ (str. 204). Piękny to niewątpliwie ideał, niestety w Niemczech niezbyt rozpowszechniony. Wszystko, co mówi dalej o wykładach, o ćwiczeniach w seminaryach, o niebezpieczeństwach ciasnej, fachowej specyalizacyi, to wszystko bardzo prawdziwe, rozumne i godne przeczytania, rozwodzić się jednak nad tem już nie mogę ze względu, że sprawozdanie moje i tak zbyt wielkie przybrało rozmiary. Wspomnę więc tylko krótko o rozdziale, w którym mowa o wolności nauczania. Drogocenny to skarb, tylko nie należy go nadużywać. W teologii np. nie może być mowy o absolutnej wolności, tu wolność musi doprowadzić do anarchii, otóż tego Paulsen nie widzi i wyrzuca katolickiemu Kościołowi zasadę absolutnej nauczycielskiej powagi. Otóż tu widocznie rzeczy nie rozumie. Kościół żąda koniecznie, aby, kto jest z przekonania katolickim teologiem, uczył na prawdę katolickiej nauki, o tem zaś, co jest katolickie, rozstrzyga ostatecznie Kościół; kto się zaś jego orzeczeniu nie chce poddać, to już jego rzecz, tylko niech nie żąda wówczas, aby mu powierzano nauczanie katolickiej teologii; trudno przecież, aby Kościół katolicki poszedł tak daleko, jak idzie obecnie protestantyzm, który dopuszcza nawet profesorów teologii zaprzeczających istnieniu Boga. Ciekawym bardzo, coby też rządy niemieckie pomimo wszelkiej wolności nauczania mówiły na profesorów prawa, którzyby dowodzili uczniom, że wszelkie np. prawo karne, to głupstwo i że zbrodniarzy wcale nie powinno się ani sądzić ani zamykać. Ja myślę, żeby się z takim

profesorem jednak prędko uwinięto. Profesorem prawa karnego będzie tylko taki, kto z przekonania jego potrzebę uznaje, profesorem zaś katolickiej teologii taki, kto z przekonania jest katolikiem, kto nim nie jest, może być czem chce, ale śmiesznem jest żądać od Kościoła, aby mu powierzał nauczanie katolickiej teologii.

Co do filozofii, to tu rzeczy mają się już inaczej; tu może panować zupełna wolność, myli się jednak Paulsen, jeżeli mniema, że polecanie przez Kościół filozofii św. Tomasza oznacza krępowanie filozofów katolickich. Ależ wcale nie! polecenie takie nie krępuje bynajmniej wolności badania. Oczywiście, że kto w swojem filozofowaniu dojdzie do zaprzeczenia podstaw Kościoła i chrześcijaństwa, niechże taki nie żąda, aby go za chrześcijańskiego uznawano filozofa i powierzano np. wykład filozofii dla kandydatów na księży. To wszystko są pewne ograniczenia wolności, wynikające z natury rzeczy i najprostszą wskazane logiką. Dziwna rzecz, że tylu jest nawet znakomitych uczonych, którzy tego czy nie chcą czy nie mogą zrozumieć. Oczywisty to dowód, że uczucie nienawiści silniejsze jest od logiki. A teraz poświęćmy parę słów ustępowi, w którym Paulsen rozważa stosunek profesorów uniwersytetu do polityki i do politycznego życia; ustęp to i dla nas bardzo aktualny. Paulsen oświadcza się przeciw udziałowi profesorów w czynnej polityce. Powołując się na zdanie Kanta, tak je wyjaśnia: „Profesorowie i ludzie nauki nie powinni robić polityki, ale powinni wytwarzać sobie własne myśli o państwie i prawie; jest to rzeczą wielce pożądaną, aby politycy na te ich myśli zważali“ (str. 325). I ja na takie zapatrywanie najzupełniej się godzę; czynna polityka nie jest rzeczą profesorów, kto zaś czuje do niej powołanie, niech, spróbowawszy, porzuci profesurę. Bardzo to rzadka rzecz, aby profesor był dobrym politykiem. Z kilku wyjątków zaś proszę nie tworzyć reguły. Ponieważ profesorowie z natury ich zawodu muszą mieć wprawę w mówieniu, a więc w parlamentach łatwo im się odznaczyć i wziąć górę nad nieporadną masą posłów, którzy, zerkając oczami ku pulpitom, napisane mowy wystękują stenografom do ucha. Jednak z tego, że ktoś jest dobrym mowcą, nie wynika wcale, aby musiał być także dobrym politykiem. Czyż nie mamy na to przykładów, że można być bardzo dobrym fachowym uczonym, można nawet napisać cenione jedno lub drugie dzieło, a w czynnej polityce okazać się zupełnym niedołęgą? „Polityka panie majster to nie smoła i nie klajster“. Polityka panie profesorze to nie teoretyczny traktat, tu potrzebną jest śmiała stanowczość, szybkość w działaniu, energia woli,

tu trzeba nieraz po gospodarsku naprzód przewidywać, czasem słyszeć, jak trawa rośnie, nieraz być praktycznym oportunistą. Takich przymiotów uczony teoretyk posiadać nie może, a jeżeli je posiada, to słusznie mówi Paulsen, będzie lichym uczonym. Teoretyk nie ma do czynienia z kształtującymi się stosunkami, lecz z pojęciami o nich, nie z rzeczywistością lecz z teoryą. Badacz, który postępuje jak oportunista, który co do zasad ulega osobnym czy rzeczowym wpływom, który daje się odwodzić od własnych konsekwencyi i dla świętego spokoju wchodzi w kompromisy, czyli krótko mówiąc, badacz, który postępuje jak polityk, traci prawo do szacunku. Teorya robi człowieka do polityki bardzo niezgrabnym, polityka zaś traci na teoryi. Ideały niech wskazuje uczony teoretyk, polityk zaś niech się z nimi zapoznaje i niechaj je urzeczywistnić się stara. Teorya powinna wskazywać drogę, praktyka za nią postępować. Aby się zdolność do jednego i do drugiego działania w jednej połączyły osobie, to wypadek niezmiernie rzadki.

Paulsen nie podziela także — i to słusznie — zapatrywania, aby uniwersytety miały za zadanie wychowywać młodzież w tym lub owym kierunku. Niechże Pan Bóg broni od takiej misyi! Jakże piękne są słowa Paulsena, gdy mówi, że uniwersytety powinny przedewszystkiem pielęgnować powszechno-ludzkie i ogólne ideały. „Przesadny nacyonalizm“ — pisze na str. 331 — „grozi poważnemi ludom Europy niebezpieczeństwy, pod jego wpływem mogą one zatracić uczucie dla prawdziwie ludzkich dóbr. Nacyonalizm do ostateczności doprowadzony niszczy sumienie tak moralne jak logiczne — sprawiedliwość i niesprawiedliwość — dobro i zło — prawda i kłamstwo — tracą właściwe znaczenia: co, gdy inni czynią, nazywa się haniebnem i nieludzkiem, to samo w tej samej chwili zaleca się własnemu narodowi, aby stosował wobec obcego narodu“. O Niemcy, czegoż wy na takie słowa nie chcecie zważać! Wszak to wasze odzywa się sumienie! Ma prawo zaiste powiedzieć Paulsen, że uniwersytety powinny być niejako publicznem sumieniem narodu.

Pozostają nam jeszcze do krótkiego omówienia ostatnie dwie księgi. W czwartej zajmuje się Paulsen uczniami i ich uczeniem się. Nasz autor nie jest obojętny na niebezpieczeństwa akademickiej wolności, a jednak broni jej wymownie, tak samo jak i wolności w słuchaniu wykładów. Faktem jest, że pewna liczba uczniów używa wolności na to, aby nic nie robić. Obmyśliwano zatem różne środki, aby złemu zaradzić. Paulsen wszystkim sprzeciwia się, bo, jak

pisze — nie doprowadzą do celu. Jedynie obowiązkowy udział w seminaryjnych ćwiczeniach i to nie w każdym kursie tylko w niektórych uważałby za odpowiedni środek. Zresztą wszelki przymus na nic się nie przyda, a naukę tylko więcej obrzydzi. Zaiste przytoczone przez Paulsena na str. 375—380 doświadczenia, porobione z przymusem u nas w Austryi i gdzieindziej, nie są zbyt zachęcające. Jeszcze nikt nie wymyślił systemu, któryby ze wszystkich studentów zrobił ludzi rozumnych, pilnych i cnotliwych. Niech tylko profesorowie przyświecają przykładem obowiązkowości i pracy, niech własnym zapałem budzą miłość do nauki wśród młodzieży, a napewno będzie lepiej. Jest także mowa o nadużyciach w skracaniu kursów tak z początku jak i z końca, ale temu to już chyba nietylko uczniowie winni. Długie i liczne wakacye nie byłyby w gruncie rzeczy złe, gdyby młodzież ich także, choćby częściowo, do umiarkowanej pracy użyła.

Niestety, tak nie jest; winne zaś temu także i uniwersyteckie urządzenia. Niech instytuty i biblioteki pozostaną podczas wakacyi otwarte, a znajdzie się wielu, którzy chętnie będą pracowali. Co do wykładów, to krótka a intensywna praca jest niewątpliwie lepszą od długiego ich rozwlekania. Paulsen radzi także niemieckim studentom zmieniać uniwersytety, a szczególnie radzi im wyjeżdżać za granicę, gdyż byłby to najlepszy środek na ich w narodowych sprawach zawziętość i zarozumiałość. Cel nauki określa Paulsen w następujący sposób; student ma trojakie do spełnienia zadanie: 1) uczyć się, 2) badać, 3) filozofować; to znaczy, ma wchłonąć i przyswoić sobie istniejącą wiedzę, ma na pewnym jakimś punkcie sięgnąć do gruntu lub iść dalej, ma to, czego się nauczył, w harmonijną ująć całość i na ogólnych oprzeć ideach. Środkami do tych celów są wykłady, ćwiczenia i książki. Co do wykładów, to wartości ich Paulsen zbytnio nie przecenia, przed dogmatyzmem przestrzega, uczeń powinien sam myśleć, wykład niechaj go tylko do tego podnieca, krytyczna refleksya to prawo studenta, on jest słuchaczem, nie uczniem (str. 397), przy pisaniu wykładów zaleca tylko ich samodzielne streszczanie, szczególny zaś nacisk kładzie na ćwiczenia, w nich upatrując przyszłość uniwersyteckiej nauki. W ćwiczeniach doświadczony mistrz stawia uczniom zadania, uczniowie we wspólnej pracy poznają własne siły i uzyskują w pracy kierunek, którego im zwykle z początku brakuje. Samouk najczęściej bywa zarozumiały i swojej wiedzy niepewny. Od małych prac należy rozpoczynać a strzedz się zbytniego czytania; „do istoty naukowej rozprawy nie należy wcale przeczytanie wszystkiego, co o tym

przedmiocie kiedykolwiek napisano“ (str. 403). Bardzo ważną także rolę przypisuje Paulsen naukowym stowarzyszeniom młodzieży.

Najgoręcej zalecam młodym ustęp o naukowej literaturze i o czytaniu książek, str. 403—410, są to złote rady, niechaj je każdy młody dobrze w pamięć sobie wbije, a nie będzie daremnie się błąkał i czasu tracił; bardzo cennym jest także ustęp o filozoficznem wykształceniu (str. 415—418), tudzież o planie studyów i porządku w pracy (str. 418—426). Rozdział o egzaminach pomijam, jakkolwiek także bardzo godny uwagi, i przechodzę do rozdziału o studentach i polityce.

Paulsen jest zdania, że czynny udział studentów w politycznem życiu należy do objawów chorobliwych, „wskazuje to na fakt, że państwo i kierujący w niem mężowie nie czynią zadosyć instynktowym pragnieniom duszy narodu“ (str. 453). Młodzież ma natchnienia, ma idealizm, ale brakuje jej doświadczenia do kierowania sprawami, w normalnych przeto warunkach nie jest rzeczą studentów robić politykę, lecz uczyć się, tudzież politykę i życie polityczne studyować. Ani student ani profesor nie powinni być ciasnymi stronnikami tej lub owej politycznej partyi. Kto poświęca się badaniu prawdy, może głos swój oddawać partyi, ale nigdy swojego sądu i zdania (str. 457). Student powinien mieć na wszystkie strony otwarte oczy, natomiast w pracy społecznej niech udział bierze; tu zaś należą: szerzenie oświaty, praca w dobroczynnych zakładach i t. d.; rzeczą dojrzałej młodzieży jest dopomagać, aby coraz bardziej zmniejszał się ten wielki rozłam między ludem a wykształconemi warstwami, który wiek XIX wytworzył (str. 463). Oświadcza się dalej Paulsen za budową akademickich domów, wielkie przypisując im znaczenie, dla niemieckich zaś burszenszaftów nie jest zbyt korzystnie usposobiony, szczególnie bardzo razi go uprawianie gorszącej pijatyki.

A teraz pozostaje nam jeszcze ostatnia księga, zajmująca się poszczególnymi wydziałami; parę słów tylko jej poświęcimy.

Paulsen stanowczo broni potrzeby wydziałów teologicznych. „Mylą się — powiada — ci, którzy mniemają, że teologia jest nauką o rzeczach, o których my nic nie wiemy, albo których wcale niema“ (str. 495). Teologia jest wiedzą o czemś rzeczywistem, a mianowicie o religii. Broni nawet dogmatycznej teologii, dowodząc, że właśnie dzisiejsza wiedza pozostawia znacznie rozszerzone miejsce dla wiary. Potrzeba teologicznych wydziałów wynika ze społecznej potrzeby umiejętnie wykształconego duchowieństwa. Dlatego, że są niektórzy ludzie bez religijnych potrzeb, z tego nie wynika, aby nikt ich nie miał.

Duchowny potrzebuje wielkiej duchowej siły i głębokiego wszechstronnego wykształcenia. Powinien on mieć przystęp do wszystkiego, co porusza myślami teraźniejszości, powinien rozumieć wszystkie pytania i wszystkie wątpliwości, dlatego powinien on coś wiedzieć o dzisiejszych naukach przyrodniczych, o dzisiejszej historycznej krytyce, o zagadnieniach społecznych, sama teologiczna uczoność dzisiaj już nie wystarczy.

W rozdziale o wydziałach prawniczych porusza sprawę nauki prawa rzymskiego, bez której, prawda, obejść się nie można, musi ona jednak przestać być punktem wyjścia wszelkiej nauki prawa wogóle. Wszędzie już wysuwają nauki prawne socyologiczny punkt widzenia na pierwszy plan w przeciwieństwie do dawnego czysto formalistycznego i historycznego stanowiska.

Omawia wreszcie Paulsen różnicę między sędzią a politycznym urzędnikiem, dalej między teoryą a praktyką prawa.

Co do wydziałów medycznych, to wskazuje na wielki rozwój ich w XIX wieku, żąda od lekarzy głębszego filozoficznego wykształcenia, powołując się na zdanie starożytnych, że „filozoficzny lekarz podobny jest do dobroczynnego bóstwa“, wypomina więc lekarzom ich dzisiejszą fachową ciasnotę, dodając wkońcu, że znakomity lekarz to nie tylko technik mistrzowski, ale także dobry i współczujący człowiek.

Największym przy końcu jest rozdział o filozoficznych wydziałach; nic dziwnego, tu bowiem najwięcej nastręcza się pytań do rozwagi. Wydziały filozoficzne były niegdyś szkołą przygotowawczą dla innych wydziałów a szczególnie dla teologii, obecnie mają one potrójny charakter; są: 1) zakładami dla umiejętnego badania w zakresie nauk matematyczno-przyrodniczych i historyczno-społecznych; 2) ogólną naukową szkołą przygotowawczą dla innych wydziałów; 3) szkołą zawodową dla nauczycieli szkół średnich. Pierwszy punkt sprawił, że wydziały filozoficzne wysunęły się na pierwsze miejsce w XIX wieku. Jednakże ten olbrzymi ich wzrost na szerokość posiada także niebezpieczeństwa. Uwaga, zwrócona na tysiące drobiazgów, osłabiła skłonność do wielkich myśli i ogólnych idei, ogrom szczegółów staje się tak wielkim, że nikt go ani ująć ani przejrzeć już nie zdoła, ilość umiejętnych i źródłowych publikacyi wzrasta tak, że np. historyk i historya już w tem ogromnie dusi się i tonie. Co z tego wszystkiego wyniknie? Może przyjdzie nowe pokolenie, które zstrząśnie z siebie to wszystko, tak samo jak w czasach Odrodzenia? A może przyjdzie teraz znowu pora na filozoficzne spekulacye? Dzisiaj na te wszystkie pytania odpowiedź trudna! to jedno jest już faktem, że ulgi i syn-

tezy umysły w każdym kierunku gwałtownie potrzebują. Że zaś ruch naukowy ku temu się zwraca, to dowodzi wielkiej jego żywotności.

Drugiem zadaniem filozoficznego wydziału jest: stać się ogólnonaukową szkołą przygotowawczą dla innych wydziałów, a to w trojakim kierunku; przyrodniczym (dla wydz. medycznego), historycznym (dla wydz. praw) i filozoficznym (dla wszystkich wydziałów). Najwięcej miejsca poświęca Paulsen filozofii. Zadaniem jej dać ogólne podstawy do poglądu na świat i na życie, ale na tem polu obecnie wszystko dopiero w rozwoju i w tworzeniu, myśli o rzeczach najwyższych rozchodzą się we wszystkich możliwych kierunkach, im ktoś głośniej na wszystko wymyśla, tem chętniej słuchają go, nauka zaś filozofii jest obecnie najmniej jednolicie zorganizowaną. Zmienić to wszystko naraz trudno, ale słusznie powiada Paulsen, że może być lepiej, jeżeli nauczyciele filozofii zamiast gonić za oryginalnością, będą pilniej szukali między sobą punktów stycznych. Trzeciem wreszcie zadaniem wydziałów filozoficznych jest zawodowe przygotowywanie nauczycieli. Paulsen przemawia przeciw wszelkiej dydaktycznej tresurze na uniwersytetach, a więc także przeciw katedrom pedagogii, mojem zdaniem niesłusznie, gdyż pedagogia może być tak samo przedmiotem umiejętnego traktowania na uniwersytetach, jak każda inna nauka stosowana. Że oświadcza się przeciw osobnym katedrom fachowym, przykrojonym do potrzeb kandydatów nauczycielskich, na to piszę się w zupełności. Dobry uczony będzie zarazem najlepiej przygotowywał nauczycieli. Byłoby dobrze, aby ustęp o nauczycielskim zawodzie (str. 545—554) czytali wszyscy do niego kandydaci.

Ostatni rozdział piątej księgi omawia jedność uniwersytetu. Tu najważniejszemi są następujące słowa: „Odosobnione szkoły fachowe nie mają żadnego własnego ducha, zakres jest za mały, widnokrąg za ciasny, zależność za wielka, tylko na uniwersytetach może wytwarzać się ta wymiana ogólnych idei, która jako ożywcze tchnienie nadaje korporacyi jej istotność, utrzymując w niej, jakoby w żyjącej istocie, samozachowawczy popęd“ (str. 561).

Na tych też słowach kończę moje i tak już dosyć długie uwagi; żegnając się zaś z dziełem, które z wielką odczytałem korzyścią, polecam je — z poczynionemi naturalnie zastrzeżeniami — każdemu, kto śledzi rozwój dzisiejszej umysłowości, polecam szczególnie młodzieży, niechaj czyta tę bardzo rozumną książkę, niech się oryentuje według niej i niech się uczy patrzeć na świat tak spokojnie, jak jej autor.

M. Straszewski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Studya estetyczne. *Ks. Karol Niedziałkowski.* Tom I. (Biblioteka dzieł chrześcijańskich).

Osnowa 3 rozpraw, zawartych w I tomie „Studyów estetycznych“, to teza, że w sztuce powinien tkwić pierwiastek moralny, nie w tem znaczeniu, by dzieło sztuki miało moralizować, lecz że nie powinno nigdy obrażać uczuć moralnych widzów czy czytelników. Stąd zwalcza autor hasło „sztuka dla sztuki“. Dwie z omawianych rozpraw nie są nowością literacką, a to „Naleciałości renesansowe w sztuce religijnej“ i „Nagość w sztuce pod względem etycznym i estetycznym“. Były one już poprzednio drukowane i teraz w zbiorowem wydaniu „Studyów“ dla całości się znalazły. Nową jest pierwsza z pomieszczonych rozpraw „Czy można określić sztukę“. Czcigodny autor zwraca tu uwagę czytelnika na pracę Stanisława Witkiewicza: „Juliusz Kossak“, w której pod koniec poruszona jest kwestya, co trzeba rozumieć przez sztukę, jaki jej zakres i cele. I zbijając po kolei zapatrywania Witkiewicza, dochodzi do wniosku, że dziedzina sztuki, to piękno we wszelkich swych przejawach, a sama sztuka piękna, to możność tworzenia rzeczy pięknych. A jej treść? Treść jej podaje autor wedle starej, ale prawdziwej zawsze formuły, piękno, dobro, prawda, wykazując, że w tej trójcy pojęć mieści się cały zakres sztuki, bo to pojęcie bardzo szerokie, wypełniające całą treść natury człowieka. Oto synteza pojęć estetycznych autora, synteza, której zastosowanie do pojedynczych przypadków mamy w dwóch przytoczonych już rozprawach, stanowiących dalszy ciąg I-go tomu „Studyów“. *A. B.*

Upiory. Powieść z roku 1863. Przez autora „Historyi dwóch lat“.

Powieść ta z epoki powstania styczniowego, ale przybrana dla omylenia cenzury rosyjskiej w szatę hiszpańską. Imiona osób i miejscowości podane z końcówkami i brzmieniem hiszpańskiem, dla obeznanego z wypadkami tego okresu bez pomocy nawet dołączonego słowniczka dość wyraźnie wskazują, o kim i o czem mowa. Poznała się na tej maskaradzie i cenzura, choć nieco za późno, gdy już część dzieła ukazała się w druku.

Wypadki opisane w powieści rozgrywają się na tle warszawskiem. Mamy tu przedstawiony rząd narodowy, walki i przeciwieństwa, frakcye i różnorodne prądy nurtujące w jego łonie. Ogólnymi tylko rysami naszkicowano sylwetki naczelników wojennych, pułkownika Chmielińskiego i jenerała Bosaka.

Tło historyczne zajmuje przeważną część powieści. Poza tem akcya bardzo słaba i tak uboga w treść, że trudno uważać to dzieło za powieść historyczną. Jest to raczej szkic historyczny, ubrany dla użytku czytelników polskich, zniewolonych liczyć się z cenzurą rosyjską, w formę powieści i w maskę stosunków hiszpańskich. Postać bohatera powieści, porucznika Walerego, przedstawia się bardzo blado. Polegać chyba musimy na samych zapewnieniach autora, dotyczących obrotności i energii, szlachetności i męstwa boha-

tera, w czynach bowiem nie ujawniają się te zalety. Przeciwnie, wbrew zamiarom autora uwydatnia się w charakterystyce porucznika chwiejność i uległość wobec nawet tego rodzaju istot, jak Adolfina. Przemytnik Hasan jest nawet dla nas, utworami nowszej literatury przyzwyczajonych już do tajemniczości, niedomówień i domyślników, psychologiczną zagadką; nie posiadamy środków nie tylko już do zupełnego wykrycia, ale ani nawet do uchylenia rąbka zasłony, pokrywającej szczelnie jego działalność. To już chyba jest nadużywaniem ciekawości czytelnika. Najtrafniej i najprawdziwiej odmalowana jest postać wachmistrza Burczymuchy: postać ta tryska prawdą i życiem. Zakończenie melodramatycznie efektowne.

A. B.

Komentarz do I pieśni Iliady. Napisał *Dr. Marcin Sas.* Kraków. 1902.

Prawdziwą przysługę oddał prof. Marcin Sas pedagogom i uczącej się młodzieży wydaniem powyższego komentarza. Ułatwi on nauczycielom filologii przygotowanie się do szkoły, a młodzieży, rozpoczynającej pochód po rozległym obszarze poezyi greckiej, prawdziwą sprawi ulgę, odejmując mozolną pracę nad słownikami. W komentarzu tym znajdujemy objaśnienia językowe i gramatyczne każdego wiersza, różnice między dyalektem jońskim a mową attycką, znaczenia wyrazów, wreszcie objaśnienia mitologiczne, historyczne i t. d., wszystko to, co pospolicie w języku szkolnym zwie się „realia“. Dużo wiedzy, jeszcze więcej pracy i to żmudnej i drobiazgowej włożył autor w to dziełko. W interesie kół, zajmujących się studyami filologicznemi życzyćby sobie tylko należało, by autor w ten sposób zaopatrzył objaśnieniami swemi całą Iliadę, tem bardziej, że w naszej nauce nieliczne są tylko tego rodzaju wydawnictwa, a potrzeba ich coraz bardziej daje się odczuwać.

A. B.

Życie i prace X. Józefa Rogalińskiego. Część pierwsza. Napisał *Franciszek Chłapowski.* Poznań. 1902.

Do rozjaśnienia i pogłębienia szczegółów w dziejach naszej oświaty przyczynić się może dzieło, którego część pierwszą mamy przed sobą. Zajmuje się tu autor osobą i działalnością ks. Józefa Rogalińskiego, Jezuity, profesora matematyki i astronomii, założyciela obserwatoryum astronomicznego w Poznaniu, autora obszernego dzieła „Doświadczenia skutków rzeczy pod zmysły podpadających“. Choć główny owoc działalności ks. Rogalińskiego, obserwatoryum astronomiczne, upadło, choć jego „Doświadczenia skutków“ spoczywają w pyle niepamięci, wspomnienie jednego z nielicznych u nas w minionych wiekach adeptów nauk ścisłych rzucić może nieco światła na dzieje polskiej wiedzy. *A. B.*

Goffred abo Jeruzalem wyzwolona *Torquatta Tassa.* Przekładania *Piotra Kochanowskiego.* Tom I. Wydał Dr. Lucyan Rydel. Kraków. 1902.

Nakładem Akademii umiejętności ma wyjść całość przekładów Piotra Kochanowskiego, t. j. przekład „Jerozolimy wyzwolonej“ Tassa i Ariostowskiego *Orlando furioso.* Wydawnictwo ma obejmować 8 tomów, z których 2 zajmie Tasso, dalsze pięć Ariosto, ósmy zaś będzie poświęcony monografii o Piotrze Kochanowskim. Dotąd wyszedł tylko tom I, obejmujący 10 pieśni „Jero-

zolimy wyzwolonej“, poprzedzony krótkim wstępem o życiu i działalności Tassa. Wydawca zachował tu pisownię oryginalnego wydania, dokonanego przez tłumacza. Jak widać z przedmowy, uczynił to po długim namyśle, uważając, że przez zmodernizowanie, rytmika, rymy i język utraciłyby wiele ze swej pierwotnej wartości. Chociaż te względy usprawiedliwiają poniekąd archaizm pisowni, sądzimy jednak, że czytelnicy lepiejby może przyjęli nowe wydawnictwo, gdyby, o ile możności, bez szkody dla całości artystycznej, dało się tę pisownię zbliżyć do dzisiejszej. W przeważnej części takie uprzystępnienie przeprowadzićby można, choćby nawet ze szkodą jednostajności pisowni. *A. B.*

O pojedynkach. *Kazimierz Chłapowski.* Poznań. 1902.

Po kilku ostatnich nieszczęśliwych wypadkach kwestya pojedynków stanęła na porządku dziennym i z różnych stron dają się słyszeć żądania, aby ją ostatecznie rozwiązać. Wobec tej aktualności kwestyi i coraz bardziej wzmagającego się prądu antypojedynkowego, na czasie jest broszurka p. Kazimierza Chłapowskiego, rzucająca kilka uwag o pojedynkach ze stanowiska religii, zdrowego poczucia honoru i rozumu. Jest to właściwie przedruk rozprawy tego autora: „W sprawie pojedynków w armii“, drukowanej w r. 1900 w *Przeglądzie polskim* i mowy przezeń wygłoszonej na ten temat na wiecu katolickim we Lwowie w r. 1896. Jako środek przeciw pojedynkom podaje autor obok taktu i delikatności w obcowaniu z innymi, pozwalającej uniknąć przedewszystkiem wielu nieporozumień i zwad, sądy honorowe z władzą moralną. W tym celu należy tak usposobić opinię publiczną, aby poddała się wyrokom tych sądów bez zastrzeżeń.

A. B.

Bibliografia jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego. *Dr. Wiktor Hahn.* Lwów. 1901 (Str. 52).

Jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego, obchodzony w r. 1900, wywołał cały szereg naukowych i belletrystycznych dzieł i wydawnictw, sprawił w naszem piśmiennictwie ruch, jakiego dotychczas u nas nie było. Żaden rok ubiegłego ani poprzedzających stuleci pod względem produkcyi literackiej, ilości i jakości prac nie może się mierzyć z rokiem jubileuszowym, tak wspaniale zamykającym XIX stulecie...

Dorobek więc naukowy i literacki tego roku zasługiwał z wielu względów na zregestrowanie. Nie czekaliśmy na nie zbyt długo. Oto bowiem już w zeszłym roku Dr. Wiktor Hahn dał nam „Bibliografię jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego“. Jest to nader dokładny i sumienny spis dzieł i wydawnictw, w ten lub inny sposób związanych z wspomnianym obchodem jubileuszowym. Skrzętnie zebrany materyał bibliograficzny podzielił autor na trzy działy: 1) wydawnictwa Akademii Jagiellońskiej, 2) dzieła poświęcone Uniwersytetowi Jagiellońskiemu i 3) najważniejsze opisy obchodu jubileuszowego. W spis ten, zawierający ogółem 312 numerów, weszły nie tylko rzeczy osobno wydane, lecz i artykuły z czasopism. Recenzye dzieł, które się pojawiły w roku 1900 i 1901 aż do końca kwietnia, są tam także uwzględnione. Pracę tę zamyka abecadłowy spis autorów.

H. Ul.

O krzyżactwie i o znaczeniu bitwy pod Grunwaldem (15 lipca 1410). Napisał *Karol Wróblewski*. Stryj. 1902.

Dziełko to popularne w całem tego słowa znaczeniu. Powstało pod wpływem chwili rocznicy bitwy grunwaldzkiej, obchodzonej tak uroczyście w całym kraju.

Ułożone jest metodą katechetyczną, w formie pytań i odpowiedzi. W ten sposób przedstawionem jest powstanie Zakonu krzyżackiego, jego rozwój, wprowadzenie do Polski, stosunek do Polski i Litwy, działalność Zakonu, przyjęcie chrztu przez Litwę i unia z Polską, a wreszcie najobszerniej określony stosunek Krzyżaków do Jagiełły i Witolda, wynikające stąd spory i wreszcie wojnę, zakończoną zwycięską dla Polski i Litwy bitwą pod Grunwaldem. Następnie omawia autor pokrótce dalsze losy Zakonu. Kończy alluzyą do obecnych stosunków politycznych.

Jako broszurka popularna, ma dziełko to znaczną wartość, zwłaszcza w naszem piśmiennictwie, tak ubogiem w tego rodzaju prace.

A. B.

O miłości ojczyzny ze stanowiska katolickiego. *X. X.* Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. Poznań. 1902 (Str. 67).

Autor podzielił swą pracę na cztery rozdziały, w których zastanawia się po kolei nad znaczeniem wyrazu „ojczyzna", obowiązkiem miłowania ojczyzny, nad tem, jaką powinna być miłość ojczyzny i wreszcie nad sposobami miłowania ojczyzny.

Nie jest to praca teoretyczna o ogólnym zakresie, ale dotyczy samych tylko Polaków, głównie pod zaborem pruskim i na pierwszem miejscu zajmuje się stroną praktyczną miłości ojczyzny na tle obecnych naszych warunków. Jako zaletę podnieść należy jasne zrozumienie i przedłożenie naszych potrzeb i obowiązków; autor nie poprzestaje na ogólnikach, ale zstępuje do życia codziennego, poucza, czego w niem unikać, o co się starać. Szkoda tylko, że za mało ciepła, polotu w tak powabnej materyi, że język choć nie błędny ale słaby. Jedną jeszcze wadę wytknąć należy. Autor zamierzał przedstawić miłość ojczyzny ze stanowiska katolickiego — w takim jednak razie powinien był uwzględnić i zaznaczyć jej wartość jako cnoty i to cnoty nadprzyrodzonej, określić jej stosunek do miłości teologicznej, porównać z miłością rodziców, a z drugiej strony dobitniej zaznaczyć nierozum i szkodliwość zawiści plemiennej. Wtedy autor odpowiedziałby głównemu założeniu, miłość ojczyzny wystąpiłaby w całym swym blasku i powabie, jaśniej zrozumielibyśmy naturalny obowiązek i popęd do miłowania ojczyzny.

M. B.

Arcydzieła polskich i obcych pisarzy. Tom 8: Adam Mickiewicz. Pan Tadeusz. Opracował dla użytku szkolnego *Piotr Chmielowski*.

Ukazuje się już ósmy tom komentarzy do arcydzieł polskich i obcych pisarzy, wydawanych nakładem księgarni Feliksa Westa. Myśl w założeniu bardzo szczęśliwa, a i wykonanie nie pozostawia nic do życzenia. „Pana Tadeusza" opracował Piotr Chmielowski. Imię to daje już rękojmię dobroci dzieła. Przy całej swej zwięzłości, wskazanej względami na ograniczony czas młodzieży szkolnej, komentarz Chmielowskiego na 60 stronach zgromadził wszystko, co dotychczasowa nauka o „Panu

Tadeuszu“ powiedzieć była w stanie. Wszystkie pytania, mogące się nasunąć przy rozbiorze „Pana Tadeusza“, znajdują tu w krótkiej formie odpowiedź.

Omawia więc nastrój poety w okresie tworzenia, genezę, układ i charakterystykę osób, wkońcu ogólną ocenę. Obok tego zaopatrzył autor swoje dziełko w objaśnienia rzeczowe i dodał nie drukowany w wydaniu popularnem „Macierzy“ wstęp „O czem tu dumać na paryskim bruku“. *A. B.*

Dramat. Akt wierszowany. *Juliusz German*.

Utwór to zbyt rozbujałej, niczem nie skrępowanej wyobraźni. Widać tu duchowy wpływ Przybyszewskiego, ale wpływ tu tylko stron ujemnych. Autor przyswoił sobie tylko wady Przybyszewskiego, jego niezdrowe myśli i pojęcia, jego usterki w pojęciu i wykonaniu. Osnową jest stara historya niewiary małżeńskiej, ale przedstawiona bez psychologicznego pogłębienia i uzasadnienia, brak tu wszelkiej logiki i konsekwencyi w następstwie myśli i wypadków. Wszystkich sprzeczności wykazać niepodobna, urosłaby bowiem broszura objętości takiej przynajmniej, jak sam dotyczący utwór. A jeżeli dodamy do tego pomysły akcesoryjne, tego „ktosia“, którym jest „bojaźń przed światem nieznanym i strach wpatrzonych w siebie ludzkich myśli“, wprowadzoną następnie, nie wiadomo w jakim celu, choć dobrą zresztą w malowidle figurę Pierrota, to dojdziemy do przekonania, że lepiejby może było, gdyby „Dramat“ nie ukazał się na światło dzienne, gdyby pozostał w tece autora, jako zabytek pierwszych prób stylistycznych i poetycznych. *A. B.*

Wnętrze. *Maurycy Maeterlinck*. Tłumaczył *Zygmunt Sarnecki*.

Dramat powyższy, to zestawienie kontrastów. Spokojna i zadowolona ciszą domowego ogniska rodzina nie przeczuwa wcale, że niedaleko za oknami rozgrywa się dramat, który zburzy tę pogodę, wniesie ból i nieszczęście. Córka tych spokojnie przy kominku siedzących rodziców, wyjechawszy widocznie gdzieś w podróż, utonęła w drodze i oto zbliża się do tego domu stary przyjaciel, śpieszy i wyprzedza tłum, niosący zwłoki umarłej, by ostrożnie oznajmić wieść hiobową. Widok spokoju rodziny przeraża go, odbiera stanowczość, skłania do odwlekania chwili, zamącić mającej tę pogodę. Wpatruje się w oświecone okna domu, śledzi ruchy zebranych, a tu tłum coraz bliżej, można odróżnić płacz współczujących i szmer rozmów. Wreszcie starzec wchodzi, ale i ten wszedłszy, waha się, mówi długo, nim wreszcie uderza gromem, zwiastując wieść bolesną. Rozpacz ogólna, tylko małe dziecię śpi dalej spokojnie.

Rzecz krótka sama w sobie, treści niewiele. Ale kontrast na początku zaznaczony, wahanie się starca, zajmujące największą część utworu, odmalowane tak prawdziwie, tak serdecznie i boleśnie, że pochłania całą uwagę czytelnika. To też przyswojenie tego dramatu naszej literaturze nie jest dla niej bez korzyści. Może on nauczyć, pokazać, jak malować wnętrze dusz, docierać do tajników serca i z tych uczuć stworzyć dramat piękny, pełen wartości, choć pozbawiony akcyi zewnętrznej. *A. B.*

Wrażenia z gór. *Stanisław Drohojowski*. Kraków. 1902.

„Wrażenia z gór“, tytuł wielce

obiecujący. Góry, które natchnęły tylu wieszczów, od Mickiewicza zacząwszy, wzbogaciły poezyę tylu skarbami, może i lutnię młodego poety nastroją wdziękami godnymi swych wspaniałości. Spodziewamy się poezyi, pięknych obrazów, jeżeli już nie myśli czystszych i wyższych od szarego *niveau* powszedniego życia. Czyśmy się zawiedli? Sądzę, że tak.

Znajdujemy szereg utworów banalnych treścią, często bez żadnej myśli, o formie również wymuszonej, a co najmniej niepoetycznej, niepięknej. Poeta często nie zdaje sobie sprawy, co chce czytelnikowi powiedzieć. Za przykład posłużyć może np. wiersz „Ulubione kwiaty". Widzimy w nim zebranie kilkudziesięciu słów, kilka niepowiązanych ze sobą myśli i obrazów i zakończenie, nie wiążące się zupełnie z całością. Skąd nagle poeta przeszedł do swoich wspomnień, skąd wzięły się „kwiaty jabłoni i skalne kwiaty", trudno zwykłemu czytelnikowi odgadnąć. Toż samo możnaby powiedzieć o wierszu „Nowość", „Watra", „Nad poziomy", „Zajście księżyca", „Biedny uczeń" i kilku innych. Gdzie poeta znów uderza w wysoki diapazon, tam myśli, słowa, rytm, wogóle wszystko, co składa się na utwór poetyczny, wypowiada mu posłuszeństwo; wychodzi wbrew jego intencyi wiersz, mogący służyć chyba za przykład typowy dla wykazywania, jak tworzyć się nie powinno. Prostota, o którą w wielu utworach poeta się stara. zawodzi: bije wprost w oczy, że poeta ton ten przybrać usiłuje, a stąd brak tego, co prostotę cechować powinno, brak naturalności. Dla przykładu przytoczymy urywek z wiersza „Sobótka":

Watrę kołem otoczono,
Dumkę górską zanucono,
Każdy młodzian walny zuch,
Ponad watry skaczą w dwóch.

Pomijam tu już drobny zresztą zarzut, jak zupełnie niewłaściwe używanie wyrazów specyficznie lokalnych, sposób zupełnie nieodpowiedni. Wprowadzając obrazek z życia ludu górskiego, mówiąc przez usta tamtejszego wieśniaka, posługiwać się można wyrazami, których w codziennem życiu używa. Choć i na to bez zastrzeżeń zezwolić nie można. Ale, jeśli poeta sam, czy kreśląc jakiś obraz przyrody, czy opowiadając scenę z życia własnego lub otoczenia, w którem się obraca, posługuje się wyrazami, których bez dołączonego słownika zrozumieć nie można, dowodzi to chyba, że dobranie słowa odpowiadającego myśli, którą chce wyrazić, nie przychodzi mu z łatwością, że słów tych ma zapas mały.

Wzbogacanie mowy codziennej nowostworzonymi czy spopularyzowanymi, jeśli wolno tak się wyrazić, wyrazami poczytać można za zasługę: ale czy w tym wypadku poeta może sobie rościć prawo do słabej choćby wdzięczności, śmiemy wyrazić pewne powątpiewanie.

A. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

ROSYJSKI POGLĄD NA STANOWISKO PETERSBURGA WZGLĘDEM RZYMU.

Przed niedawnym czasem prasa w słowiańszczyźnie zachodniej zwróciła uwagę na kilka numerów *Przedświtu*, który na miejscu naczelnem umieszczał przekład rosyjskiego pisma pod nagłówkiem „Tajne instrukcye dla Czertkowa". Chwilowa uwaga u czytelników, przelotny okrzyk grozy u jednych dziennikarzy, u drugich uśmiech z łatwowiernych towarzyszy po piórze, którzy wątpliwemi pogłoskami przerażają czytelnika w skwarnej porze letniej... po tem wszystkiem głucha cisza: ot i wszystko, co sprawił między Słowianami na Zachodzie przekład rosyjskiego pisma.

Małowiernych czytelników nie zaspokoiły słowa, iż rzekome instrukcye pochodzą ze źródła zupełnie pewnego i że pismo ręczy za ich autentyczność. Takiemi słowami niejeden w Europie dziennik na śniadanie przyniesie niezwykłe wieści, a na wieczór je odwoła; skwarne miesiące sprzyjają wszelakim pogłoskom. A po rozważnem piśmiennictwie katolickiem nikt nie mógł oczekiwać kroku takiego, jak chluba ze znalezionych tajemnic przeciwnika. Kto przypadkiem podsłuchał albo przeczytał zapiskę o przygotowanej na siebie zdradzie nieprzyjaciela i to nieprzyjaciela tego rodzaju, ten nie trąbi po

rogach ulic, że baczniejszem okiem odtąd zacznie uważać na niebezpieczeństwo. Z tego powodu od razu trudno było czytelnikom wierzyć, że widzą rzeczywiste instrukcye ministra dla Czertkowa. Zwłaszcza zachodni czytelnicy z wątpliwością spoglądali na przekład rosyjskiego pisma i poddawali w niem zarówno treść całą jak każde słowo pod ścisły rozbiór, aby urobić sobie własny sąd o jego prawdopodobieństwie.

Rozbiór ten wypadł niepomyślnie dla rzekomych instrukcyi. Treść ich wręcz nie dozwala przypuścić, żeby pogląd tak głęboko filozoficzny mógł pochodzić od ministra Sypiagina, bo jego wszystkie przypisy, rozkazy i nawet postępki objawiały umysł zakuty w kajdany prawideł i zwyczajów ustalonych w wyższym świecie czynowniczym. Prócz treści poglądów, także ich szata kazała z wątpliwością spoglądać na nie, bo, przynajmniej w przekładzie polskim, wyrazy brzmiały tak niestosownie, że czytelnik bez namysłu mówił: Nie! zupełnie inaczej wyrażałby myśli każdy minister, a najpierw Sypiagin w tajnem piśmie do naczelnika kraju[1].

Zalegla tedy cisza nad niemogącą długo trapić, bo niezrozumiałą zagadką.

SPRAWIEDLIWOŚĆ U PETERSBURSKIEGO RZĄDU.

Do tej zagadki *Przedświt* dostarczył jakiegoś klucza przez słówka, umieszczone na nieznacznem miejscu we wstępie do „tajnych instrukcyi". Aby zauważyć ten klucz, trzeba wiedzieć, jak to Europejczykowi trudno przełożyć na swój język pismo ułożone w czynowniczym języku rosyjskim. Odrębną barwę posiada ten język, dobraną do pojęć właściwych duszy czynowniczej, nieznaną w językach europejskich ani nawet w rosyjskim potocznym albo książkowym. Polski

[1] Wystarczy tu przytoczyć *Politik* 1 Jul. Hauptblatt: „Wir haben die angeblichen Instruktionen gelesen und hiebei viele Momente gefunden, die uns an ihrer Echthei zweifeln lassen. So heisst es z. B. in der Instruktion, die ‚Brutalitaet Gurko's sei zu vermeiden' — ein Passus, der uns in einer ‚Instruktion' der russischen Regierung absolut unmöglich scheint und deutlich auf ein ‚Fabrikat' hinweist. Ebenso unmöglich ist der weitere Passus, dass dort, ‚wo die Gewaltanwendung gar zu sehr empören würde, Gerechtigkeit anzuwenden sei'".

przekład z języka czynowniczego wymagałby zupełnej swobody w doborze wyrazów, aby opisać dobitnie myśl urzędową, ale straciłby powagę wiernego przekładu. Może z tego powodu *Przedświt* obrał niewolniczo wierny obraz języka pierwotnego: dosłownie oddawał rosyjskie wyrazy polskimi i przez to użył gdzieniegdzie zwrotów, które wyglądają po polsku zagadkowo.

Tak np. wyraz rosyjski *sprawiedliwo*, przełożony przez polski wyraz „sprawiedliwie“, ściągnął najwięcej zarzutów przeciw ustępowi, który po wzmiance o niemożliwej zgodzie rządu z biskupami, dalej wywodzi:

W przekładzie:

To jednak nie wykluczało konieczności i pożytku sprawiedliwie przyjmować takie objawy, które nie przynoszą nam korzyści, podsycają rozgoryczenie i podtrzymują niezadowolenie.

Pierwotnie:

Это не исключало однако необходимости и пользы справедливо относится къ такимъ явленіямъ, которыя не приносятъ намъ пользы, питаютъ раздраженіе и поддерживаютъ недовольство.

Z tego tu ustępu niejeden czytelnik wysnuł zarzut przeciw prawdopodobieństwu pisma tajnego, bo w niem rząd niejako wyznaje, że nie pozwala na wymiar sprawiedliwości, chyba tam, gdzie ucisk przyniósłby niepożądane owoce!

Zarzut ten może dotyczyć niezrozumiałego przekładu, ale nie ustępu pierwotnego, który mówi nie o sprawiedliwości względem polskich biskupów ani nie o sprawiedliwości po europejsku pojętej, tylko o stosunku czynowników wyższych względem niższych, których zapał potrzebuje drogowskazu w księdze ustaw, aby bezpiecznie wykonał myśl rządową.

Czynownicza sprawiedliwość polega na wypełnionej ślepo głosce ustawy, literze *Swoda zakonow*. Do cnoty wyższej ponad sprawiedliwość, do jakiegoś może rodzaju świętości, należy postępek nie nakazany wyraźnie, tylko natchnięty miłością księgi ustaw, duchem *Swoda zakonow*. Do rzędu czynów nagannych, popełnionych z ludzkiej słabości, karygodnych w czynowniczem pojęciu, należy postępek natchnięty miłością bliźniego a nie księgi ustaw, duchem nie *Swoda zakonow* lecz sprawiedliwości, rozumianej po europejsku. Pojąć te odcienia myśli łatwo w wielu

sprawach sądowych, np. kiedy sędziowie w sprawie krożańskiej mieli dać wyrok na katolików, którzy Kościoła swojego bronili przed gubernatorem. Sędziowie mogli trojako sprawę rozstrzygać. Albo naprzód mogli uważać Kościół za coś świętszego, niż wola gubernatora i obronę Kościoła za obowiązek świętszy, niż posłuszeństwo gubernatorowi; w takim razie sędziowie uznaliby postępek oskarżonych za czyn słuszny i uwolniliby ich, jako niewinnych; Europa wraz z Rosyą nieurzędową nazwałaby taki wyrok sprawiedliwym, sędziów uznałaby mężami zasad; czynownicza Rosya poczytałaby taki wyrok za czyn występny, jako niezgodny z głoską księgi ustaw, sędziów wygnałaby na Sybir. Albo dalej sędziowie mogli uważać wolę gubernatora za świętszą od wszystkiego na świecie, prócz jednego samodzierżcy, więc za świętszą od Kościoła; w takim razie uznaliby obronę Kościoła przeciwko świętym porywom gubernatora za świętokradztwo niewątpliwe, mniej ciężkie chyba od oporu przeciw samodzierżcy i skazać mogą oskarżonych na śmierć pod rózgami; czynownicza Rosya nazwałaby taki wyrok sprawiedliwym, jako ślepo wierny księdze ustaw. Albo nakoniec sędziowie mogli w duchu ustaw uznać wolę samodzierżcy za najświętszą nadewszystko i u jego stóp przed majestatem najpoddaniej złożyć prośbę, że oskarżeni, chociaż zasłużyli przedmiotowo na karę za opór władzy, przecie podmiotowo mogli działać w dobrej wierze, iż bronią Kościoła; takim wyrokiem istotnie sędziowie rozwiązali sprawę.

Czynownicza Rosya z zachwytem spoglądała na nadsprawiedliwy wyrok, natchnięty duchem *Swoda zakonow,* które leżą w pyle pod stopą majestatu.

To znaczy sprawiedliwość u petersburskiego czynownictwa.

Na tle tego pojęcia widocznie ustęp powyższy wyraża myśl zupełnie właściwą w języku czynowniczym: rosyjski wyraz „sprawiedliwość“ znaczy tu po polsku: „przedmiotowo, ściśle podług księgi ustaw w przeciwieństwie do dróg i środków administracyjnych; dokładnie według wyraźnej głoski prawa, a nie według osobistych poglądów i wykładów ducha ustawy“. Duch ustawy walczy na zabój z Kościołem, jako z wrogiem stanow-

czo skazanym na zagładę; głoska ustawy nie wypowiada tej wojny wyraźnie. W duchu ustawy postępowali niektórzy czynownicy, kiedy ścieśniali biskupów nawet tam, gdzie za sobą nie mieli wyraźnego przepisu prawnego. Rząd w tych postępkach nie widzi nic nagannego, nic — jak to rozumiemy po polsku albo po europejsku — niesprawiedliwego; przyznaje tym czynownikom, że z biskupami niemożliwa ugoda, walka konieczna. Ale duch ustawy i zapał do walki na zabój nie wyklucza rozwagi i stanowiska ściśle umiarkowanego księgą praw. Przeszkoda do szybkiego i całkowitego zwycięstwa nie wyklucza zdobyczy powolnych, częściowych, a stałych, otrzymywanych środkami nieadministracyjnymi, tylko prawowitymi na mocy ustaw. Słowem, mimo niezbędnej potrzeby walki, rząd może i musi zachować podmiotowe stanowisko i ująć w karby środków prawnych te objawy zapału u czynowników, które bez pożytku dla państwa wstrząsają ospałych katolików, wywołują u nich skargę na ucisk. Zatem rosyjski zwrot: *sprawiedliwo otnositsa k takim jawleniam...*, w dosłownym przekładzie „sprawiedliwie przyjmować takie objawy...", nie wyraził myśli wiernie i stąd wyglądał podejrzanie, a stosowniej brzmiałby w słowach: „podmiotowo i ze stanowiska głoski prawa zachowywać się wobec takich objawów".

POUFNE ZWIERZENIA PRZED CZERTKOWEM.

Również niewłaściwe światło pada na całą treść poufnego pisma z powodu nagłówka, który zupełnie niestosownie przedstawia je jako instrukcye. Minister udziela instrukcyi, rozporządzeń albo przepisów podrzędnym czynownikom, a zaufanemu naczelnikowi kraju powierza tylko zamiary rządu, przestaje z nim jak z równym i poufale zdaje sprawę z zasadniczej myśli i środków, stosowanych dotychczas z różnym skutkiem; nie wydaje rozporządzeń ani żadnego rodzaju rozkazów, zwykle zwanych instrukcyami, tylko po przyjacielsku uświadamia o stanie spraw, służy informacyami, spisać może poufne zwierzenia. Gdyby to pismo nie nosiło nagłówka „tajne instrukcye..." tylko stosowniejszy, np. „poufne zwierzenia",

wtedy uniknęłoby wielu zarzutów i przedstawiłoby sprawę wcale zrozumiałą.

Dzienniki na widok „instrukcyi“ pojęły istotnie, że rząd powziął nowe zamysły, że naczelnikowi kraju zaleca zasady hurkowskie w nowy zupełnie sposób stosować, że każe odtąd uważać zagładę katolicyzmu za kres zabiegów, że znalazł nową broń przeciw Kościołowi: obłudną zgodę, do której dąży, aby uśpić Rzym i jego zwolenników. Wobec rzekomej zmiany w zamysłach rządu, czasopisma szukały w instrukcyach jakiegoś opisu nowych dróg i środków prześladowczych: nie znalazły nic wybitnie nowego, nic zasadniczo szczególnego. „Instrukcye“ wyglądały blado i sucho, zimno po wstępnych uwagach *Przedświtu*, pisanych w podnieconym nastroju. Stąd powstał domysł, że cała sprawa, ogłoszona w skwarnych miesiącach, nie zasługuje uwagi większej, niż opisy wszelakich dziwów, zwykle w tej porze zmyślanych.

Tymczasem rosyjskie pismo przedstawia językiem zastosowanym do dzisiejszych stosunków odwieczną myśl wschodniego cezaryzmu, którą z dziejów Kościoła znaliśmy od dawna, jedni głębiej, drudzy powierzchowniej, dziś politycy z pożytkiem ją przeczytają w bardzo treściwej zapisce przenikliwego czynownika dla powiernika myśli urzędowych, którego zapoznaje z przebiegiem i rozwojem państwowej myśli rosyjskiej.

POŻYTEK Z OGŁOSZONEJ POLITYKI PETERSBURSKIEJ WZGLĘDEM RZYMU.

Z pożytkiem przeczytać to mogą niejedni politycy, — tacy, którym można cicho do rąk wsunąć znalezione pismo; dla nich ogłaszać w dzienniku tego pisma nie trzeba i zdradzać przed światem, że północni mężowie stanu źle chowają swoje tajemnice. Nie myślało o tem dziennikarstwo, że ogłosiło poufne zwierzenia na pożytek zwłaszcza Petersburga, przestrzegając go tem samem, żeby lepiej opatrzył swoje zamki; — dziennikarstwo upatrzyło pożytek ogólny w tem, iż może dać podwójną naukę: jedną krzewicielom patryotyzmu bez zasad katolickich, drugą ugodowcom na wzór nieboszczyka Wentwort-Łubieńskiego albo hrabiego Moszyńskiego.

Niestety, pożytku z nauki *Przedświtu* nie zdołają upatrzyć dla siebie ci, którzy chcą u nas uprawiać patryotyzm bez katolicyzmu, — bo nie dostrzegą w poufnem piśmie tej myśli przewodniej, z której dziennikarstwo wywiodło swoją naukę. Podług dzienników czytamy w tem piśmie niepodejrzane, — bo z ust wroga — świadectwo, że polskość i katolicyzm w zespoleniu stanowią siłę niepokonaną, że zatem rząd usiłuje te dwie życiodajne podwaliny polskiego narodu i ducha rozerwać i rozdzielić, by je zwalczyć stopniowo jedną po drugiej, że tedy nam należy polskości bronić w imieniu katolicyzmu i że katolicyzm jednocześnie jest najważniejszą dla wroga przeszkodą do zgładzenia wszystkiego, co polskie. Tę myśl wytyczną wyczytał w zwierzeniach rządu dziennik niejeden; ale nie każdy równie łatwo wyczyta to samo: inna treść przewodnia prędzej czytelnikowi wpada w oczy, — treść daleko głębsza i donioślejsza nawet, niż sama myśl o polskości zespolonej z katolicyzmem. Wzmiankę o polskości nieodłącznej od katolicyzmu wyraził czynownik rosyjski, ale jako pogląd nie własny, tylko pojęcia biskupów. Prócz tej wzmianki nie rozwija pismo czynownicze ani poglądu żadnego ani śladu żadnego świadectwa o węzłach polskości z katolicyznem, o nieprzełamanej potędze obu tych życiodajnych żywiołów, o środkach walki przeciw nim i wprost nawet nie wspomina o polskości więcej jak raz i to nie w związku z katolicyzmem, tylko w przeciwieństwie do niego. O niezwyciężonym kościele wspomina jako o pojęciu papieża. Słowem, jak można było wyczytać tę myśl przewodnią, którą dzienniki widzą w poufnem piśmie, — to niech sam chyba czytelnik osądzi, kiedy ma przed oczyma owo pismo albo przynajmniej całkowitą treść jego.

TREŚĆ POGLĄDÓW CZYNOWNICZYCH. We wstępie[1] czynownik przypomina zasady Milutyna o zagładzie kościoła w Polsce, — jako podstawę całej pracy, prowadzonej w Petersburgu przeciw Rzymowi. Na-

[1] Przedświt 147, szpalta pierwsza.

stępnie[1] wynurza myśl, że katolicyzm, chociażby nie w samej istocie swojej, przecie w swoim ustroju stanowi uznanego przez Rosyę wroga. Zatem czynownik opisuje naprzód ogólnie obraz stoczonej dotąd walki z tym wrogiem i jej wynik.

Wtłoczyliśmy, — ciągnie dalej — ustrój kościoła w kluby ściśle dostowane, które już nie popuszczą, a poddają każdego z osobna księdza surowej władzy świeckiej i to w takim stopniu, w jakim żadne państwo nie nałożyło wędzideł na kościół. Otóż w tych klubach kościół polski w ogóle bezwładny i bezczynny przestał walczyć: ogromna większość duchowieństwa pogodziła się ze swojem położeniem osobistem; masa katolickiej ludności czuje się pod religijnym względem wogóle zadowoloną, prawie nie uciskaną. Słowem, walka doprowadziła do tego wogóle wyniku, że Kościół w Polsce, jako wróg pozbawiony swobody ruchu i chęci do walki, przestał Rosyę niepokoić. Już inny wróg zasługuje na główną uwagę: to polskość.

Po tej jedynej na jednem tylko miejscu w całem piśmie wzmiance o polskości, czynownik[2] wymienia parę pomyłek, niezręcznie popełnionych w ciągu walki, bo wywoływały czasem miejscowy wybuch fanatyzmu religijnego, — ocucały sennie usposobionego ducha katolickiego. Do takich pomyłek należą przypisy, nerwowo i bez czasu do namysłu wydawane, w ostatnich chwilach rządów Górki.

Czynownik roztrząsa zwłasza dwa powody takich wybuchów fanatyzmu[3]: mianowicie zabroniony księżom wyjazd z parafii i utrudniony dla nich dostęp do nauki religii w ludowej szkole. Oba te objawy ucisku kościelnego utrudniają spokojny rozwój pracy państwowej; zwłaszcza drugi przeszkadza rządowi bliżej badać i w danym razie usuwać księdza, który w szkole wyjawiłby podejrzane poglądy.

Także ducha katolickiego fanatyzuje[4] widok uporczywych Unitów. Im prędzej po-unickie miejscowości będą wydzielone

---

[1] Tamże szpalta trzecia.
[2] Tamże szpalta trzecia.
[3] Tamże 148.
[4] Tamże 149 szpalta pierwsza.

na osobną dzielnicę, gdzie nacisk padnie przedewszystkiem na potrzeby prawosławia, tem prościej pójdzie dzieło z katolicyzmem w pozostałych częściach Polski.

Ruchowi litewskiemu rząd nie potrzebuje w łonie duchowieństwa przeszkadzać ani odbierać ludowi litewskich książek, głoskami łacińskiemi tłoczonych.

Nakoniec czynownik wynurza dość niespodziany pogląd na rządowe stosunki z biskupami w Polsce i z Papieżem [1]. Myśl ta wygląda naszym dziennikom zbyt obelżywą dla czcigodnych naszych pasterzy i Leona XIII, aby ją całą dosłownie przełożyć. Ale ten wzgląd czci dla Głowy Kościoła i jego książąt nie pozwala zapomnieć, że przecież w poufnych zwierzeniach czytamy sąd osobisty Rosyi czynowniczej, zapatrzonej na wszystko przez szkła pochlebne dla nauczycieli o władzy prawosławia nad światem. Z taką nadzieją w duszy, czynownik uważa, że wypada spoglądać ozięble na wyższe duchowieństwo polskie, które miarkuje się i zacina w działalności, czuje się związanem i jakby zbytecznem, skutkiem stosunków zawartych przez rząd wprost z Rzymem.

Nasi polscy biskupi, — uważa czynownik — tają niezadowolenie z Papieża i jego sekretarza Stanu, który tak jawnie przyjaźni się z Rosyą. Nie zdołają oddzielić polskości, ściśle zrozumianej, od katolicyzmu i wypatrują odstępstwo od watykańskich tradycyi. Watykan wierzy, że katolicyzmu w Polsce nie skruszymy i nie kusimy się o to, stąd zupełna możliwość porządkować z nami sprawy, dotyczące Polski, gotowość, by wpływać w życzliwym dla nas duchu, w nadziei na naszą siłę i znaczenie w przyszłości.

W domówieniu czynownik dochodzi do wniosku [2], że, prócz niewielu częściowych pomyłek i zboczeń, polityka rządowa względem katolicyzmu rokuje najlepsze nadzieje. Powinniśmy zdobywać dalsze zwycięstwa, podtrzymując dobre stosunki z Głową rzymskiego Kościoła, póki nam sprzyjają w Watykanie.

---

[1] Tamże szpalta druga.

[2] Tamże ostatni ustęp.

Tyle napisał czynowik w poufnych zwierzeniach: treściwie zdał sprawę z walki przeciw-kościelnej, którą chlubnie mianuje zwycięską i przewiduje dalsze wygrane; najmniejszem słowem nie potrącił o myśl, jakoby w jego oczach polskość i katolicyzm w zespoleniu stanowiły siłę niepokonaną.

Mimo bacznej uwagi patryota polski, pozbawiony wiary katolickiej, nie wyczyta w całem piśmie śladu świadectwa, że polskości należy nam bronić w interesie katolicyzmu i że katolicyzm jednoczecześnie jest najważniejszą dla wroga przeszkodą do zagłady polskości.

OSOBISTA NIEWOLA KAŻDEGO KSIĘDZA W POLSCE.

Zupełnie inne świadectwo z pod pióra czynownika wypłynęło dla stanu Kościoła w Polsce: świadectwo zanadto okropne, żebyśmy chcieli wierzyć, że w niem niema przesady, ale musimy spojrzeć na nie z uwagą. Czynownik widzi Kościół katolicki w drodze do istotnego upadku, w stanie ledwo na zewnątrz lepszym jeszcze od stanu cerkwi prawosławnej.

Państwo rosyjskie spogląda na Wschodni Kościół nie jako na Boże dzieło, tylko jak na świecki urząd: przez kilka wieków władyków i popów przerobiło u siebie na usłużne narzędzia rządu, zamknęło wpływ i powagę Cerkwi w obrębie jej ścian i kopuł podczas nabożeństwa, odbiera jej potęgę słowa Bożego i zagradza przed nią pole duszpasterstwa.

Kościół Wschodni, dziś już strącony na stanowisko urzędu państwowego, przystał na niewolę i zdołał ocalić ledwo łupinę bez jądra, powierzchowne obrzędy bez ducha żywotnego, zewnętrzny pozór tej potęgi, w jakiej błyszczał za Bazylich i Złotoustych. W takąto niewolę państwo rosyjskie teraz prowadzi katolickich księży. Nie przesadził czynownik w opisie środków, którymi rząd wtłoczył każdego księdza z osobna w kluby szczelnie zamknięte. Przy opisie tych środków czynownik okazał w sobie nie sprawozdawcę zwykłego, ale umysł przenikliwego badacza: rozumie naprzód, że siły duszpasterskie, nie zwiększane wraz z coraz większą liczbą owieczek, wydają pracę coraz mniej wpływową, aż wkońcu poprzestają na pożytku po-

wierzchownym i już nie wnikają do głębi w potrzeby dusz. Liczba kościołów, raz na zawsze ustanowiona przed dziesiątkami lat dla ówczesnej liczby katolików, — dziś nie pomieści ludności prawie podwojonej, księża na zewnętrzną posługę obrzędową rozpraszają dwa razy więcej sił, dwa razy mniej skupiają je w pracy wewnętrznej nad postępkiem dusz w cnocie". Zachowaliśmy określoną liczbę stanowisk katolickiego Kościoła", — z chlubą donosi czynownik; te słowa pokazują już miliony katolików, którzy w dzień święty na Mszę nie chodzą; bo w przepełnionym kościele nie znajdą już miejsca, milion drugi i trzeci nie dostąpi do proboszcza przeciążonego pracą, chyba na chwilę podejdzie do niego z dzieckiem do chrztu, z prośbą o ślub albo o pogrzeb dla nieboszczyka, który w katolickiej Polsce żył i umarł usunięty z pod duchowego wpływu Kościoła.

Wobec takiego braku księży i kościołów społeczeństwo katolickie musi albo dziczeć w nieuctwie co do prawd wiary i obowiązków chrześcijańskich, albo żądać od księży gorliwych, żeby każdy z nich pracował za kilku. Ale gorliwa praca duchowieństwa udaremniałaby zamiary rządu, więc z jego strony spotyka przeszkodę na każdym kroku. Zatem przenikliwy czynownik widzi duchowieństwo bezustannie krępowane w swoim wpływie katolickim, ciągle zależne od władzy państwowej. Rząd wie dokładnie, co ksiądz o której godzinie robi, kogo u siebie przyjmuje, do kogo z domu wychodzi. Który ksiądz nie poprzestaje na czysto obrzędowej pracy w kościele, który z kazalnicy wymowniej porywa dusze do czynów katolickich, który w rozmowach wywiera wpływ na społeczeństwo i gromadzi koło siebie ludzi dzielniejszych, ten przy sobie ma domowego dozorcę w osobie stróża kamienicy, w zakrystyi czuje na sobie zdradzieckie oko przekupionej służby kościelnej: ten nie obiecuje po sobie nic pożądanego dla rządu i jako niepewny, nie pełen nadziei dla państwa, wisi na posadzie do czasu; pierwsza wymówka zrobiona organiście, iż na czas nie przyszedł do kościoła, pierwszy nocleg odmówiony włóczędze nasłanemu przez władzę, wystarczy do mściwych skarg na księdza, do śledztw i kar, a wkońcu do straty posady.

Na taką niewolę w obowiązkach duszpasterskich skazane duchowieństwo musiałoby płonąć całe duchem prawie męczenników, musiałoby ze seminaryów wychodzić wyćwiczone w bohaterskich cnotach, jeżeli ma wbrew rządowi podtrzymywać w Polsce żywot katolicki. Tymczasem rozliczne sidła czyhają na księdza, aby nie męczeńskiego ducha w nim wyrobić, tylko bywalca w świecie, oddanego grze, dowcipnego przy toastach, zabawnego w płochem towarzystwie. Ze seminaryum duchownego niełatwo wyjdzie kleryk zdolny rządowi zawadzać w jego zamiarach przeciwkościelnych: surowy nadzór, nad młodzieżą duchowną roztoczony, sprawia, że rząd zna jej ducha, a na wylot bada tych, których do stanu kapłańskiego pociągnęła nie żądza stanowisk i zaszczytów, tylko szczery głos Boży: tych czeka egzamin z rosyjskiego języka, na którym przepaść musi każdy, kogo rząd nie zechce przepuścić; a bez tego egzaminu nikt nie dostanie posady duszpasterskiej.

O tej tedy zapewnionej dla rządu niemocy duchowieństwa czynownik z chlubą wspomina, kiedy wymienia środki dla niej obmyślone zręcznie: „Postawiliśmy całą obsadę duchowieństwa od wikarego do biskupa w nieprzerwaną zależność od państwowej władzy w sprawie naznaczania na obowiązki, w wypłacie utrzymania, w korzystaniu z mieszkań, nieruchomych dóbr i kościelnych dochodów, ustanowiliśmy nadzór nad składem uczniów po duchownych seminaryach, nad wykładami w nich i wprowadziliśmy rosyjski język we wszystkie urzędowe stosunki duchowieństwa“.

WIĘZIENNY SPOKÓJ KOŚCIOŁA POLSKIEGO.

Po opisie tej niewoli duszpasterzy w Królestwie, czynownik z nich zadowolony wydaje świadectwo dla nich zarówno, jak dla ich owieczek korzystne w oczach rządu, w naszych haniebne — jeżeli prawdziwe... pogodzili się z niewolą, poprzestają na zewnętrznej służbie obrzędowej, nie czują potrzeby duszpasterstwa, dość im zupełnie objawiać wiarę w postach i pielgrzymkach odpustowych, bez wnętrznego ducha kościelnego i cnót chrześcijańskich wytrzymać mogą i żyć spokojnie...

Jeżeli czynownik świadczy prawdę o zgodzie Kościoła pol-

skiego na ten stan martwoty, wtedy żywotną siłę Kościół w Królestwie postradał, wymawia ustami skład wiary katolickiej jak wschodnia cerkiew powtarza ustami skład wiary nicejski, ale zarówno dziś łaciński Kościół, jak dawniej Cerkiew grecka pod mocą samodzierżcy, spadły na stanowisko podwładnych państwu urzędów, straciły ducha i istnieją tylko po to, aby w miarach przepisanych przez władzę świecką zaspokajać lud ciemny w jego wyznaniowych popędach.

Czy prawdę czynownik napisał?

Może tylko poczytał za upadek ducha ten spokój więzienny, w którym duchowieństwo polskie poprzestaje na obowiązkach wyznaczonych przez rząd, a więcej nie działa dlatego, bo nie może, a nie dlatego, iżby nie chciało?

Tę możliwość powinien był czynownik bardzo uwzględnić. W każdym razie, staje przed nami straszne widmo, choćby w tej chwili była to tylko dalsza meta dążeń rosyjskich.

Ks. Konstanty Czaykowski.

Synod dyecezyalny w Przemyślu.

Nie ocena faktu, bo na nią dziś, przed wydaniem aktów, jeszcze zawcześnie, ale kilka myśli i wrażeń naocznego świadka.

Od lat 140 nie było w żadnej z 20 dyecezyi polskich synodu; żaden też z dziesięciu tysięcy kapłanów polskich nie był świadkiem ani członkiem tego uroczystego zgromadzenia kleru dyecezyalnego, które według przepisów kanonicznych zwołuje biskup w celu naradzenia się i postanowienia o sprawach dyecezyę obchodzących. *Iniuria temporum* się to stało, że w kraju naszym nie używano przez tak długi czas jednego z bardzo skutecznych środków, jakie Kościół od najdawniejszych wieków praktykował dla duchownego dobra kleru i wiernych.

Synod dyecezyalny był i jest jednym ze środków, za pomocą którego Kościół do swego główniejszego celu zmierza, wzmacniając siły walczących jednostek, przestrzegając przed największym obecnym wrogiem lub wskazując odpowiednią nań broń i dlatego biskup, przypominając swoje i zgromadzonych kapłanów posłannictwo, tak się do

nich słowami pontyfikału odzywa: „Najdroższi Bracia i Kapłani Pańscy, wy jesteście współpracownikami naszego urzędu. My, chociaż niegodni, zajmujemy miejsce Aarona, wy zaś miejsce Eleazara i Ithamara. My sprawujemy urząd dwunastu apostołów, wy na na wzór siedemdziesięciu dwu uczniów postawieni jesteście. My jesteśmy pasterzami waszymi, wy zaś pasterzami dusz powierzonych waszej opiece. My za was zdać musimy sprawę Najwyższemu Pasterzowi naszemu, Jezusowi Chrystusowi, wy za lud, który wam zlecono. Dlatego najmilsi bracia, baczcie na niebezpieczeństwo wasze. Upominamy was zatem i zaklinamy, jak bracia, abyście to, co wam polecimy, zachowali w pamięci i w czyn wprowadzić usiłowali". A na innem miejscu taż księga liturgiczna bliżej określa cel synodalnego zgromadzenia: „Wypada to, co dotyczy obowiązków kościelnych i powinności kapłańskich, jako też kanonicznych uchwał, a co z powodu rozlicznych zajęć, albo dla naszej i dla innych opieszałości nie było tak całkowicie, jak należy, zachowane, za zgodą wszystkich rozważyć i w obecności waszej przeczytać, aby to, co wypada na lepsze poprawić, przy Bożej pomocy było przeprowadzone. Jeśliby się zaś komu jakie zarządzenie nie podobało, niech to skromnie i łaskawie przedłoży, tem bardziej, że wszystko, co na tym zjeździe synodalnym postanowione lub przywrócone będzie, bez wszelkiego oporu, w świętej zgodzie i jedności ma być przez wszystkich pilnie przestrzegane i zachowywane w celu pomnożenia wiecznej szczęśliwości wszystkich".

W Polsce najdawniejszym synodem, o którym wspominają historycy, był synod dyecezyalny w Krakowie, zwołany w r. 1320 przez 25-go biskupa krakowskiego, Nankera. Biskup ten zaraz po wstąpieniu na stolicę biskupią ogłosił zgromadzonemu duchowieństwu statuta [1]. Ostatni synod dyecezyalny polski odbył się we Lwowie w r. 1765 za arcybiskupa Sierakowskiego. Zamieszki i stosunki polityczne w tej cząstce Kościoła, którą jest nasza ojczyzna, nie pozwalały pasterzom naszym przez tak długi czas zwoływać synodów, ale prawo o zwoływaniu synodów i dalej obowiązuje i jest tak jak i dawniej dla Kościoła bardzo pożyteczne. Niedawno odbył się synod ruski we Lwowie. Poza granicami naszej ziemi, gdzie tylko to możliwe, biskupi synody zwołują. W nowszych czasach słyszeliśmy o synodzie w Aix 1884, w Marburgu 1896, w Pistoi 1897 i w 1900 w Brixen. Dekret pap. Innocentego III o zwoływaniu synodu odnowił Sobór Trydencki (r. 2,

---

[1] Encykl. Kość. Nanker, t. xv, str. 478.

ses. 24), a kanonista Santi[1] mówi, że św. Kongr. Konc. zachęca biskupów, gdy w Rzymie zdają sprawę z duchownego stanu swoich dyecezyi, aby zwoływali synody, kiedy tego duchowna potrzeba dyecezyi wymagać będzie.

Potrzeba duchowna i dobro największej[2] z czterech galicyjskich dyecezyi wymagało tego i w tym też celu Najprzew. ks. Biskup Pelczar powrócił do dawnej kościelnej praktyki, zwołując synod w Przemyślu na d. 18 sierpnia b. r. Kiedy 13 stycznia 1901 r. ujmował w swą rękę laskę pasterską 63-ci z kolei pasterz dyecezyi przemyskiej, to w pełnej ognia i apostolskiej gorliwości przemowie między innemi zapowiedział[3]: „Dla pogłębienia wiedzy będziemy wydawać pismo dyecezyalne p. t. *Kronika dyecezyi przemyskiej*, utworzymy bibliotekę dyecezyalną i założymy muzeum dyecezyalne... Świadom trudów i cierpień kapłańskich, chcę współpracownikom moim służyć każdej chwili radą czy pomocą i razem z nimi pot wylewać. Pragnę jak najczęściej stykać się z duchowieństwem dyecezyalnem, przysparzać mu czci i wpływu, umacniać w niem jedność, pomnażać jego szeregi i już teraz myślę o zbudowaniu domu dyecezyalnego i seminaryum dla chłopców, ukończeniu restauracyi katedry,... zwołaniu synodu“[4].

Dwa lata nie upłynęły, a za słowami nastąpiły czyny; wszystko, co gorliwy Arcypasterz zapowiedział i czego pragnął, przyszło do skutku.

Zwołanie synodu po tak długiej przerwie było rzeczą niełatwą, gdyż trzeba było działać w tej sprawie, opierając się tylko na teoryi i przepisach bez doświadczenia, bez blizkich wzorów i przykładów. Najprz. ks. Biskup Pelczar podjął się tego tak trudnego dzieła widać pomny na korzyści, jakie w sprawowaniu swego urzędu pasterskiego sam i całe jego duchowieństwo odniesie, a mianowicie, że, poznając ze sprawozdań kapłanów swoją dyecezyę, może z większą świadomością i z głębszem zrozumieniem rozporządzenia obmyśleć, a następnie z większą powagą je wydawać[5].

Pierwszem dalszem przygotowaniem do synodu była kongregacya XX. Dziekanów, odbyta d. 10 kwietnia 1901 r. W sprawozdaniu z tej

---

[1] Jus can nr. 176.

[2] Dyec. przem. ob. łac. liczy w 26 dekanatach 1 073 561 wiernych; 532 kapłanów świeckich i 133 kap. zak. Schem. dyec. przem. 1902 r.

[3] *Kronika dyec. przem.* rocz. I, str. 11.

[4] Ostatni synod w dyec. przem. odbył się w Brzozowie 1723 r.

[5] Bargilliat Prael. iur. can. t. I, nr. 589.

kongregacyi czytam między innemi wniosek następujący ks. Biskupa: [1] „A więc w Imię Boże na koniec sierpnia 1902 r. zwołam synod dyecezyalny dla naradzenia się w kwestyach dyscyplinarnych, pasterskich i religijno-społecznych, a niebawem utworzę parę osobnych komisyi, do których kilku ks. dziekanów jako referentów zaproszę. Proszę zarazem omawiać ważniejsze sprawy na najbliższych kongregacyach dekanalnych i stawiać odnośne wnioski“.

Następnie w październiku roku zeszłego utworzył ksiądz biskup kongregacyę przygotowawczą, która 5 i 12 października odbyła swe posiedzenia. Na naradach tej kongregacyi ułożono 10 tytułów przyszłych statutów synodalnych i wybrano z pośród kapłanów referentów, którzyby wszechstronnie każdą kwestyę opracowali. Trzy komisye, w skład których wchodzili kapłani znani z gruntownej nauki, doświadczenia i gorliwości, miały rozdzielone do opracowania 78 rozdziałów. W styczniu następnie b. r. odbywały te komisye przedsynodalne wspólne posiedzenia i obrady pod przewodnictwem Najprzew. ks. Biskupa i całej kapituły. Zebrawszy w ten sposób materyał statutów, jedzie ks. biskup do Rzymu, gdzie przez kilka tygodni pracuje i porządkuje przyszłe dekreta. Wróciwszy od grobu św. Piotra, 20-go marca ogłasza na posiedzeniu listę urzędników synodu. Wreszcie 1 maja wydaje ks. biskup *Indictionem Synodi dioecesanae Deo favente diebus 19, 20, 21, 22, mensis Augusti anni 1902 Premisliae celebrandae,* zaczynającą się od słów: *Misericordia Dei.*

I na głos wodza ściągają się walczący żołnierze z różnych posterunków do głównego obozu — do starej katedry przemyskiej. Prezbiteryum katedralne bardzo pięknie odrestaurowane i ozdobione, wspaniale trzema elektrycznymi pająkami oświecone, ledwie pomieścić mogło może po raz pierwszy tak liczny zastęp kapłanów. Prócz kilku chorych i usprawiedliwionych, wszyscy wezwani przybyli i około 350 kapłanów powtarzało codziennie za swym pasterzem tę wspaniałą synodalną modlitwę z pontyfikału: „Oto jesteśmy, Duchu Święty, a choć nas mnogość grzechów naszych wstrzymywała, jesteśmy tu w Imię Twoje osobiście zgromadzeni. Przyjdź do nas, wspieraj nas, racz wnijść w serca nasze. Poucz nas, co czynić, pokaż dokąd iść, sprawuj, co czynić mamy. Ty sam natchnij i sprawuj nasze myśli, który sam jeden z Bogiem Ojcem i Synem imię masz sławne: nie dopuść, abyśmy mieli być burzycielami sprawiedliwości, Ty, który prawość umiłowałeś nade-

[1] *Kron. dyec. przem.*, str. 175.

wszystko, nie dopuść, aby zło nieświadomości nami kierowało, niech nas stronniczość nie nachyla bardziej na tę, niż na ową stronę ani wzgląd prywatnej korzyści lub wzgląd na osoby sądu nam nie psuje; ale połącz nas skutecznie przez łaskę Swoją, abyśmy byli w sobie jedno i w niczem z drogi prawdy nie zboczyli, jak zgromadziliśmy się w Imię Twoje, tak by nam we wszystkich sprawach przyświecała sprawiedliwość z łaskawością złączona, aby w tem życiu myśl nasza nie zboczyła od myśli Twojej, a w przyszłości, byśmy dostąpili za prawe czyny nagrody wiecznej [1].

Prócz sesyi uroczystych, dokładnie przez pontyfikał określonych, na które zbierał się cały kler synodalny codziennie w katedrze, odbywały się jeszcze w kościele OO. Franciszkanów tak zwane zgromadzenia ogólne *(congregationes generales)*, na tychto zebraniach po przeczytaniu dekretów dana bywała każdemu z uczestników wolność głosu, o ile tylko na to czas pozwalał. Na jednem z tych zgromadzeń odczytał Najprzew. Ks. Biskup Pelczar telegram z błogosławieństwem dla synodu od Ojca św. a także od Najprzew. Ks. Arcybiskupa Bilczewskiego.

Na Synodzie wprawdzie nie zmienia się, jak mówi ks. biskup Aichner, opierając się na bulli Piusa VI *Auctorem fidei*, stosunek kleru do biskupa, lecz ten sam pozostaje, stąd sam tylko biskup jest na takiem zebraniu sędzią i on sam tylko może ustanawiać prawa i ogłaszać [2]. Jednakże dyskusye umiejętnie prowadzone, w których tylu światłych i doświadczonych duszpasterzy wypowiada swe zdanie z powagą i spokojem, tylko prawdzie właściwym, niemało się przyczyniają do rozjaśnienia najbardziej piekących w naszych czasach kwesyi dyscypliny i taktyki kościelnej. Pracowano też na synodzie z nadzwyczajną intenzywnością. Niektóre sesye z dyskusyami trwały przeszło 4 godziny, a u ich końca sam ksiądz biskup Pelczar z zadziwiającą bystrością sądu, przytomnością umysłu, z wielką łagodnością i energią rozwiązywał trudności i wątpliwości wyjaśniał i przebieg całej dyskusyi streszczał.

O dziewięciu konferencyach rekollekcyjnych, które z okazyi synodu wygłosił ksiądz biskup, wystarczy chyba tylko to dodać, że je

---

[1] Umyślnie przytaczam tekst tej modlitwy nieznanej, aby zwrócić uwagę na skarby, jakie posiadamy w naszej liturgii i w ceremoniach synodalnych.

[2] *Ius Canon.* p. 465.

wypowiedział autor „Życia duchownego“ i „Ascetyki kapłańskiej“, jeden z najznakomitszych tegoczesnych kaznodziejów polskich i długoletni profesor teologii pasterskiej na uniwersytecie krakowskim.

Dekreta synodu będą ogłoszone drukiem i około Nowego Roku pewno z wielką ciekawością weźmie je do ręki każdy kapłan polski. Prócz ogólnych zasad z teologii moralnej, pastoralnej i kanonów, które zostały zastosowane do aktualnych potrzeb obecnego czasu i miejscowych okoliczności, ujrzymy tam statuta z dziedziny socyalnej, szkolnictwa, katechizacyi, stowarzyszeń katolickich, a wszystko w myśl ostatnich encyklik Ojca św.

W piątek dnia 22 sierpnia po przepisanej konkluzyi synodu ofiarował Najdost. Pasterz opiecę Najsł. Serca Pana Jezusa całą swą dyecezyę, duchowieństwo i wiernych. I rozjechali się żołnierze Chrystusa Pana na dawne posterunki obrony Kościoła z gorliwością do poświęceń, z zapałem do walki, z otuchą i nadzieją w sercu, przepełnieni wdzięcznością dla swego wodza. Jeśli kiedy to właśnie w naszych czasach, kiedy wszystko się łączy i solidaryzuje przez wiece i zgromadzenia, prawo kościelne o synodach ma tem większe i donioślejsze zastosowanie, gdyż skupia i spaja duchowieństwo z biskupem, a siły i gorliwość wielu zwraca w jednym kierunku. Dawne sobory nazywały synod [1] — *salus ecclesiae, terror hostium eius et fidei catholicae stabilimentum.*

Wspaniały przebieg synodu przemyskiego budzi uzasadnioną nadzieję, że spotęguje on życie kościelne, swawolę wrogów ukróci i wiarę, najdroższy skarb narodu naszego, ożywi i wzmocni.

Ks. T. Bzowski.

Drugi kongres międzynarodowy we Fryburgu ku czci Matki Bożej.

Znane są słowa Napoleona I, że do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy, t. j.: 1) pieniędzy, 2) pieniędzy i 3) pieniędzy.

Do tej walki, jaką toczy Kościół w sprawie szerzenia Królestwa Bożego na ziemi, *unum est necessarium,* a tem jest modlitwa. W tej walce obrady nad kwestyami czysto strategicznemi należą do wieców

[1] Bened. XIV. *De Synodo* l. I, c. II, n. 2.

ogólnych katolickich, do kongresów uczonych, archeologów, dzieł dobroczynnych, socyologów i t. p. Sprawa zaś pomnożenia tego skarbu w Kościele, jakim jest bezpośrednia cześć Boża i nieodłączna od niej modlitwa, jest przedmiotem głównym kongresów eucharystycznych i maryjskich. Wprawdzie i te ostatnie zebrania nie zamykają oczu na kwestye życia praktycznego, ale zawsze już traktują je tylko w związku i na tle czci Eucharystyi lub Matki Bożej.

O jednym z nich mamy właśnie mówić, t. j. o kongresie ku czci Matki Bożej, świeżo we Fryburgu szwajcarskim zakończonym. Zanim opowiemy pokrótce o jego pracach, przypatrzmy się wprzód jego fizyognomii ogólnej.

I.

Dwa lata właśnie upływają, kiedy w Lyonie, szczycącym się słusznie nazwą: *la ville de Marie,* zebrał się międzynarodowy kongres ku czci Matki Bożej, jako zakończenie XIX wieku, co tyle dowodów Jej łaski i opieki doznał. Wśród uchwał kongresu ostatnia wyrażała życzenie, aby ono zebranie było początkiem tego rodzaju kongresów, mających się w pewnych odstępach czasu zgromadzać. Jakoż wykonano tę uchwałę prędzej, niźli się zrazu spodziewano, bo kiedy niektórzy kongresiści lyońscy sądzili, iż się nie spotkają aż w roku 1904, jako w pięćdziesiątą rocznicę ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia, to tymczasem stało się to już w roku bieżącym we Fryburgu szwajcarskim. Pierwsza inicyatywa do zwołania międzynarodowego kongresu pojawiła się w tygodniku *La Voix de Marie,* wychodzącym od października z. r. w Blois, a poświęconym wszelkim sprawom odnoszącym się do szerzenia czci Matki Bożej. Wybrano rok bieżący dlatego, iż w nim rozpoczął się dwudziesty piąty rok Pontyfikatu Leona XIII, tak wielce w szerzeniu czci Matki Najśw. zasłużonego, a na miejsce zebrania się kongresu oznaczono Fryburg szwajcarski, który właśnie w tym czasie miał święcić siedmiowiekową rocznicę istnienia w nim kościoła Najśw. Maryi Panny, a nadto jako miasto katolickie, siedziba uniwersytetu, prawie na granicy kilku narodowości położone, jak wraz nadaje się na miejsce do zebrań międzynarodowych, poświęconych modlitwie i nauce. I trzeba przyznać, że i Fryburg i rząd jego kantonu zrozumiał dobrze swoje zadanie, biorąc żywy udział w uroczystościach, które opisujemy i dokładając starania, by przebieg ich był pełen spokoju i powagi. Już na kilka dni przed otwarciem kongresu rozpoczęto przyozdabianie gmachów rządowych, domów, którego rezultat

przyniósł zaszczyt uczuciom katolickim i estetycznym mieszkańców Fryburga. Oprócz różnobarwnych wystaw kwiatowych, które zresztą tak często się we Fryburgu napotyka, jednym z głównych motywów w ozdobieniu domów były bardzo gustowne a różnobarwne festony jużto z zieleni, jużto z materyi o barwach Matki Bożej (biało-niebieskiej), papieskich (biało-żółtej), kantonu fryburskiego (biało-czarnej), Szwajcaryi (biało-czerwonej). I to nie tylko po ulicach głównych, któremi przeciągały procesye, ale i po oddalonych częściach miasta, po mieszkaniach ludności uboższej, wszędzie widać było świąteczny nastrój; snadź podzielano zdanie owego średniowiecznego rzeźbiarza, co na zapytanie, dlaczego tak starannie wykonuje rzeźbę, której zapewne nikt nie dojrzy, odpowiedział: „Ale ją Bóg zobaczy".

Przybrane w ten sposób ku czci Matki Bożej miasto, otwarło swe bramy na przyjęcie uczestników kongresu, co nie tylko z różnych krajów i narodów, ale literalnie z różnych części świata przybyli. A więc w gronie episkopatu prócz biskupów szwajcarskich widzimy dostojną postać J. E. Ks. Arcybiskupa Symona, otoczoną urokiem przebytej walki w obronie praw Kościoła, dalej sędziwego arcybiskupa z Bourges, ks. Piotra-Pawła Servonnet, którego fizyognomia przypomina nieco ś. p. kard. Dunajewskiego, a równocześnie trzech stosunkowo młodych biskupów; są to: ks. Hugo Mac-Sherry, Irlandczyk, wikaryusz apost. z Przylądku Dobrej Nadziei, ks. Karol Pietropaoli, biskup z Trivento (w król. neapolit.), i ks. Józef Sedfaoni, nie mający jeszcze lat 40, a już rok siódmy biskupem w Minieh, obrządku koptyjskiego. Bawi on tu z jednym z kapłanów swego obrządku: obaj twarzy bardzo śniadej, z czarną brodą, na sutannach mają obszerne płaszcze z rękawami i kołpaki czarne. Biskup swego nie zdejmuje nawet i podczas posiedzeń, a jest on tem bardziej charakterystyczny, że spływa zeń z tyłu długi czarny welon. Z grona obecnych biskupów, nie mogąc wszystkich wymienić (było ich ogółem 14), wspomnijmy jeszcze biskupa z Meksyku, ks. Józefa-Maryę-Ignacego Montes De Oca y Obregon, oraz biskupa z Jass, O. Dominika Jaquet, który jako Franciszkanin nosi sutannę i mantolet barwy popielatej. Z Rzymu przybył zastępca sekretarza brewiów (którym bywa zwykle jeden z kardynałów), ks. Prałat Marini, którego wymowę ożywioną gestykulacyą prawdziwie włoską mieliśmy nieraz sposobność podziwiać.

Z kongresistów obecnych ma sławę bardziej niż europejską uczony staruszek, O. Augustyn Lehmkuhl, zarówno skromny i niepozorny, jak i królewicz saski, ks. Maks, prof. liturgiki w uniwersytecie

fryburgskim. Czy rzeczywiście było dwadzieścia jeden narodowości reprezentowanych, jakto jedno z czasopism podawało, trudno obliczyć, nie mając listy kongresistów w ręku; ale bądź co bądź, liczba ich była znaczną, a pewne wyobrażenie w tej mierze może dać okoliczność, że w hotelu *Suisse* siadało codziennie przy stole obok siebie dziewięć osób, należących do sześciu różnych narodowości. Z Polaków, oprócz J. E. ks. Arcybiskupa Symona znajdują się: ks. Jan Siemieński (zamieszkały obecnie we Francyi), O. Stefan Bratkowski T. J., O. Adolf Lachmann T. J., hr. Tyszkiewiczowa, delegaci Kongregacyi maryańskich: p. Jan Piotrowski i podpisany, nadto kilka osób z zaboru rosyjskiego.

W poniedziałek, d. 18 sierpnia, na znak rozpoczęcia kongresu, o g. 7 wieczór odezwały się harmonijnym dźwiękiem dzwony wszystkich kościołów fryburgskich, a rzesze uczestników kongresu pospieszyły na I uroczyste ogólne Zgromadzenie. Naprzód odczytano *breve* papieskie, pochwalające myśl zwołania kongresu i nadające jego uczestnikom odpusty, poczem pasterz miejscowy, i jako taki prezes kongresu, JMC. ksiądz Józef Deruaz, biskup lozański i genewski zabrał głos, by podziękować Bogu za doprowadzenie myśli zwołania kongresu do skutku, Stolicy św. za jej życzliwość, a określiwszy cel zebrania, pobłogosławił jego uczestników i ich prace. Po tem przemówieniu powitał przybyłych prezes komitetu organizacyjnego, królewicz saski, ks. Maks. Mimo iż ma lat przeszło trzydzieści, wygląda raczej na młodego kleryka, a skromnością swą, pokorą i prostotą każdego od razu potrafi sobie ująć. Ujął też wszystkich swoją przemową; witając przybyłe narodowości, zwrócił się do Polski jako tej, *qui était toujours la fille fidéle de Marie*. Posiedzenie to pierwsze zakończyła mowa ks. Guyot'a, redaktora wspomnianego tygodnika *la Voix de Marie*, który jako prezes sekcyi francusko-belgijskiej, najliczniejszej podobno ze wszystkich, przypomniał bardzo wymownie wdzięczność, jaką mają Francuzi dla Fryburga za gościnność udzieloną ich żołnierzom czasu wojny pruskiej i do tego nawiązał podziękowanie za obecne przyjęcie kongresistów. Po uchwaleniu telegramu do papieża, obecni przeszli do sąsiedniego kościoła N. Panny Maryi, gdzie ks. Jacquet, biskup z Jass, wyłożył wymownie z kazalnicy, jak dni kongresu powinny być poświęcone modlitwie i naukowym rozprawom, poczem arcybiskup z Bourges udzielił błogosławieństwa Przen. Sakramentu, a illuminacya zewnętrzna kościoła zakończyła ten pierwszy wieczór.

II.

Kongres fryburgski składał się z czterech części integralnych: z posiedzeń sekcyjnych, z przemówień wybitnych mowców, z nabożeństw i z wystawy książek i dzieł sztuki, mających związek z czcią Matki Bożej; o każdym z tych działów słów kilka.

Prace nadesłane na kongres, t. z. referaty, stosownie do tego w jakim języku były zredagowane, rozdzielono pomiędzy trzy sekcye: francuską, niemiecką i włoską. A że do odczytania przeznaczono 154 prac, z których 92 było w języku francuskim, 48 w niemieckim a 14 we włoskim, przeto, by w krótkim stosunkowo czasie, bo w ciągu trzech posiedzeń, można było pokonać tak ogromny materyał,, sekcya francuska podzieliła się na pięć oddziałów, a sekcya niemiecka na dwa. Dogmatyka, liturgika, historya sztuki, historya czci Matki Bożej w różnych dyecezyach i narodach, różne praktyki pobożne oraz zagadnienia niektóre o kwestyi społecznej na tle czci Maryi — oto tło poszczególnych referatów. Mimo to każda z sekcyi miała swoje pewne właściwości. I tak w sekcyi niemieckiej wszystkie te kwestye były mniej więcej równomiernie przedstawione, w sekcyi francuskiej przeważały prace, odnoszące się bezpośrednio do sposobu czci Matki Bożej, szerzenia pobożnych praktyk, wreszcie w sekcyi włoskiej wbrew przepisowi regulaminu, który wykluczał dyskusyę nad odczytami, zaraz po pierwszym referacie rozwinęła się tak ożywiona rozprawa, że aż dwa posiedzenia zajęła. Rozchodziło się tutaj o sprawę, której załatwienia narody, zwłaszcza romańskie, coraz bardziej się domagają: ogłoszenia nauki o Wniebowzięciu Matki Bożej, jako dogmatu wiary. Kwestya ta była omawiana we wszystkich trzech sekcyach, ale dyskusya najdłuższa była we włoskiej, złożonej przeważnie z duchownych.

Oprócz posiedzeń trzech sekcyi był jeszcze osobny t. zw. *Sodalentag*, złożony wyłącznie z Kongregacyonistów z Niemiec i Austryi, zaszczycony obecnością J. E. Ks. Arcybiskupa Symona, a na który przybyli także Kongregacyoniści polscy. Przewodniczył ks. Mehler z Ratysbony, który, kreśląc wzór sodalisa na osobie Piotra Kanizyusza, wspomniał o Jego słowach, że „wyjeżdżając z Polski, zostawia w niej swe serce". Następnie apostoł Wiednia, ks. Wiktor Kolb, którego słuchając, doskonale się pojmuje, iż on swą wymową musi tłumy porywać, mówił o wpływie religijnym i społecznym Kongregacyi; inni mowcy poruszali kwestye w związku z działalnością Kongregacyi będące, jak np. O. Izydor, Kapucyn z Altötting (miejsce łaskami słynne

w Bawaryi), o stosunku jej do prasy, O. Rösler, Redemptorysta, o wpływie czci Matki Bożej na umoralnienie społeczeństwa. W imieniu polskich Kongregacyi przemawiali: O. Stefan Bratkowski, zdając sprawę z ich prac i p. Jan Piotrowski, przynosząc pozdrowienie od akademickiej Kongregacyi w Krakowie. Tak te przemówienia, jak i cały wogóle udział Polaków w kongresie był z wielkiem uznaniem i bardzo serdecznie przyjęty. Kiedy w jednem z biur sekcyi francuskiej miał ks. kan. Guesset z Wersalu rzecz o arcybractwie *Notre-Dame des Armées*, którego celem wpływ moralny na żołnierzy, prezes biura, kan. Pillet, widząc obecnego na sali O. Bratkowskiego, zwrócił się do niego z prośbą, by opowiedział o opiece religijnej nad wojskiem austryackiem. — Referatów nadesłanych z Polski słuchano, jak to zauważyliśmy, z wielkiem zajęciem, a autora jednego z nich proszono, by pozwolił swą rzecz, skoro ta ukaże się w aktach kongresu, przedrukować w jednem z czasopism francuskich. Prac autorów polskich ogółem było sześć; w języku francuskim nadesłali: ks. Augustyn Błachut, kan. reg. lat.: „Nieznany czciciel Matki Bożej w Polsce w XV wieku“ (Stanisław Kazimierczyk), hr. Helena Mycielska: „O kongregacyach Dzieci Maryi w Polsce“, hr. Karol Scipio: „O kongregacyach Sodalisów Maryańskich w Polsce“, niżej podpisany: „Królowie polscy — rycerze Matki Bożej“. W języku niemieckim czytał „O ślubach Jana Kazimierza“ ks. Jan Siemieński, a w języku włoskim nadesłał O. Jędrzej Styła, podprzeor OO. Augustyanów w Krakowie: „O zjawieniu się N. Maryi Panny w Licheniu, dyecezyi kujawskiej“.

Z mowców, którzy uświetnili kongres swym darem słowa, prócz wspomnianego O. Kolba i Coubé (o którym później), przytoczmy choćby tylko dwóch, t. j. kanonika Lémanna i prałata Dadolle. Pierwszy z nich wraz ze swym bratem jest konwertytą z żydowstwa. Obaj bracia, dziś już podeszli wiekiem, są kanonikami i mieszkają w Lyonie. Mowa jednego z nich, określająca niejako filozofię kongresu naszego, na wskróś była przejęta tchnieniem biblijnem, a stosunki obecne żywo przedstawiała obrazami na tle Pisma św. Konferencya znowu ks. prałata Dadolle, rektora uniwersytetu w Lyonie, to typ akademickiego panegiryku (w dobrem tego słowa znaczeniu), w którym nie tyle chodzi, by słuchacza przekonać (gdyż mowca z góry wie, że audytoryum jego zapatrywanie podziela), ale celem mowy jest niektóre fakty uwydatnić i zwrócić na nie uwagę ogółu, przyczem treść i forma walczą z sobą o pierwszeństwo. Po pięknem określeniu, na czem polega działalność

apostolska w Kościele, dał jej obraz ks. Dadolle na życiu i pracach bł. Kanizyusza, nie zapominając o jego w Krakowie pobycie.

Nabożeństwem rozpoczynał się i kończył każdy dzień kongresu, ale specyalnie służbie Bożej poświęcono środę dnia 20 sierpnia i zaproszono do udziału ludność z obu dyecezyi złączonych: genewskiej i lozańskiej. Rano dnia tego miała być uroczysta Msza św. na Wielkim Placu, ale deszcz ulewny i burza przeszkodziły temu, zaczem nabożeństwo odbyło się po kościołach. O godzinie 1 w południe niebo zachmurzone ciągle i deszcz pada. Mimo to tłumy już przybyły na plac przed kollegiatą N. Maryi Panny, wyznaczony na punkt zborny, a komitet organizacyjny uchwala rozpoczęcie procesyi. Na znak tego daje się słyszeć salwa armatnia, a odgłos dzwonów swym harmonijnym dźwiękiem wstrząsa fale powietrza. W tej samej chwili, w ciągu kilku minut, rozsuwają się chmury, pogodny promień słoneczny oblewa firmament luzurowy, ulice na stokach gór położone osychają i przeciąga przez ulice miasta niezmierzona procesya z udziałem władz rządowych. Na końcu niosą srebrną statuę Matki Bożej, należącą do Kongregacyi t. zw. łacińskiej we Fryburgu, najstarszej na świecie. Z przed ołtarza ustawionego pod olbrzymią akacyą na Wielkim Placu przemawia O. Thiriet ze Zgrom. Oblatów Niepokal. Pocz po francusku, potem biskup z Coir po niemiecku i prałat Marini po włosku. Po odśpiewaniu *Magnificat*, episkopat obecny udziela błogosławieństwa około dwudziestotysięcznej rzeszy. Wieczorem tego dnia Fryburg, zawsze piękny swem położeniem malowniczem i pobożnością mieszkańców, przedstawiał jeden z tych widoków, jakie się częściej widzi na obrazach lub w wyobraźni, niżeli w rzeczywistości. O godzinie 8 wieczorem szeregi nieprzejrzane kongresistów (każdy ze świecą gorejącą w ręku), śpiewając *Ave maris stella* i odmawiając głośno Różaniec, udały się w procesyi na stromą górę nad miastem, na której się wznosi kaplica na kształt domku Loretańskiego zbudowana. Wyjście procesyi dało hasło do rozpoczęcia illuminacyi ogólnej, artystycznie pięknej z powodu, że nie ograniczono się do palenia świec stearynowych w oknach, co jednostajne sprawia wrażenie, ale okna oświetlono latarniami weneckiemi o najrozmaitszych barwach i kształtach. Ponad miastem widniała z dala gwiazda olbrzymia elektryczna ze szczytu gotyckiej wieży św. Mikołaja, symbol Tej, ku której czci z odległych stron świata tłumy wiernych przybyły do Fryburga.

Ostatniego dnia po południu na ogólnem zebraniu jeden z organizatorów kongresu, msgr. Guyot w słowach bardzo wymownych

i dowcipnych, które w innym nie francuskim języku nie zrobiłyby tego efektu, dziękował przybyłym narodowościom za ich udział a prałatom za zaszczycenie kongresu swą obecnością. Zapowiedział także projekt osobnej międzynarodowej instytucyi Rycerzy Maryi, którzyby się starali o wykonanie uchwał kongresu; instytucya ta jednak wymaga poprzedniego zatwierdzenia Stolicy św. Po ogłoszeniu nagród przyznanych wystawcom, zebrani pośpieszyli na plac, by zająć jak najlepsze miejsce, z któregoby mogli usłyszeć jednego z koryfeuszów wymowy współczesnej kościelnej, O. Stefana Coubé. Wzrostu średniego, rysów twarzy drobnych ale energicznych, głos ma może nie tyle dźwięczny ile wyraźny. O królowaniu N. Maryi Panny mówił przez 50 minut, które dla słuchaczy zdają się jedną chwilą, w końcu z całą otwartością, powagą i energią występuje przeciw temu, czego istotą jest sprzeciwianie się panowaniu powagi Bożej — co jest wstydem i hańbą rodzaju ludzkiego, przeciw wolnomularstwu. Kaznodzieja już zeszedł z ambony, kiedy obecni wsłuchiwali się jeszcze w myśli w echo jego słów, pełnych niezwykłej siły i uroku. Mowa ta była wstępem do ostatniej ceremonii kongresu, do koronacyi statuy alabastrowej N. Maryi Panny, umieszczonej nad wiekim ołtarzem w kollegiacie Matki Bożej, Królowej całego świata. Na ten obrzęd zezwolił Ojciec św. w brewe osobnem z dnia 12 sierpnia, upoważniając do tego biskupa Łozanny i Genewy lub innego pasterza. Uroczyste *Te Deum* zakończyło te piękne dni.

Jeszcze słowo o wspomnianej już wystawie. Była ona prawdziwą niespodzianką, gdyż nie przypuszczaliśmy, że zobaczymy tyle drogocennych przedmiotów, tak gustownie ułożonych i tylko należy żałować, że trwała tak krótko i to właśnie czasu prac i zebrań kongresowych, co utrudniało ogromnie jej zwiedzenie. Ani cząstki niepodobna wymienić, wspomnijmy tylko: imponującą kollekcyę ks. Michała Pagès, proboszcza z dyecezyi wersalskiej, zawierającą 6000 obrazków; *Magnificat* w 150 językach; broszury, obrazki i piękne medale, nadesłane przez zarząd bazyliki w La Salette; zbiory tworzące *Musée Marial* w Lyonie (powstałe po kongresie z r. 1900); witrynę pp. Penin et Poncet, rytowników papieskich z Lyonu, której medale (jest także i medal Matki Bożej Częstochowskiej) odznaczają sią delikatnością rysunku i roboty, wreszcie — *signum temporis* — album z kartkami pocztowemi, ozdobionemi wizerunkami N. Maryi Panny. Z Polski nadesłał: O. Wacław Kapucyn swe cenne dzieło „O obrazach cudownych N. M. P. Polsce“, księgarnia katolicka Miłkowskiego swe wydawnictwa, toż samo ks.

Józef Adamczyk, p. Jan Wielicki, redakcya kwartalnika *Sodalis Marianus,* p. Franciszek Bartynowski kilka dzieł ze swej biblioteki. Wystawców polskich spotkała zaszczytna nagroda, dziwiono się jednak, że więcej okazów nie nadesłano. Na drugi raz trzeba będzie osobiste zaproszenia do wystawców wysyłać.

Jest projekt założenia we Fryburgu akademii maryologicznej międzynarodowej; rząd ofiarowuje pomieszczenie na bibliotekę i zbiory, a autorowie i wydawcy katoliccy świata całego są proszeni o nadsyłanie po egzemplarzu swych wydawnictw. Sądzimy, że i Polacy pospieszą z innymi.

Tak minęły te dni wspaniałe, piękne i urocze, ale sądzimy, że niezupełnie minęły. Wynik kongresu ocenić będzie można, sądząc z wykonania jego uchwał, które wraz z pracami nadesłanemi do Fryburga ukażą się w pierwszych miesiącach roku przyszłego. Dziś jednak już można powiedzieć, iż niepodobna, by ta manifestacya międzynarodowa nie przyczyniła się do pomnożenia czci Królowej świata całego i nie była dobrą wróżbą w tym kierunku dla nowego stulecia. Pięknie też się wyraził w swej konferencyi kan. Lémann, że kongres międzynarodowy we Fryburgu był życzeniem dnia dobrego, jakie sobie w poranku XX wieku katolicy świata całego nawzajem złożyli.

Maryan Bartynowski.



Druk ukończono 30 września 1902 r.

PO STREJKU ŻNIWIARZY.

Zapiska z podróży.

...Błyskawiczny pociąg niesie mię dalej. Znikają przedemną okolice, pokryte pracowitym Mazurem, który na chudej glebie kończy zbiór jarzyny, albo z pieśnią na ustach idzie w pole, albo pługiem już przewraca piaszczyste skiby pod zasiew przyszłorocznej pszenicy. Coraz żyźniejsza, tłustsza, czarniejsza ziemia już leży przedemną, ale pracy na niej coraz mniej widać: o uprawie roli pod oziminę jeszcze niema mowy, coraz więcej kóp zboża dopiero świeżo zżętego czeka jeszcze na zwózkę do stodół i gumien; bezczynny naród opuścił tu ręce i cicho, z jakimś błyskiem żalu w oczach, ale czasem także ze złośliwym uśmiechem na zaciętych ustach spogląda na glebę... głucho słuch jej głosu, co daremnie woła o pośpiech do pracy, bo już przymrozki zapowiadają blizką zimę, a roboty jeszcze na miesiąc albo dwa...

Daremnie urodzajna gleba woła i wołała od połowy lipca o żniwiarzy i robotników na czarnoziemiu podolskim, daremnie na cerkiewkach i kościółkach krzyże błyszczały, przypominały polskie i ruskie słowa biskupów, że sprawiedliwą ma być płaca robotnika, że prawo Boże przez pracę każe zdobywać człowiekowi chleb a nie marnować plonów ziemi, dziwnie obfitych w tym roku; już ani przyrodzony głos o potrzebie pracy, ani głos posłuszeństwa dla książąt Kościoła, nic nie mogło przemówić do obojętnych na prawo obowiązku...

Huczy para w lokomotywie, targa wozami: w coraz i coraz bogatszą krainę mię niesie, w kraj coraz smutniejszy, gdzie bracia jedni w drugich godzą bronią obosieczną — chatom i dworom gotują w najurodzajniejszym roku głód...

Dość tego widoku, co bez słów narzeka i cichym jękiem wyrzuca ziemi, że niepotrzebnie tego roku obciążyła setnem ziarnem kłosy złote... Słońce oblewa jeszcze rozkosznem światłem żółte łany, choć już stada szpaków przeczuwają jesień i wzlatują na szafirowe niebo, wypatrują, którędy po niem wiedzie szlak południowy do krajów cieplejszych. Ochocza przyroda jeszcze nie zmieniła stroju letniego: czerstwa i zdrowa, chciałaby żywo pląsać na wesołym odżynku, ale od jej krasy martwo odbija smutna pustka na bezludnych obszarach... Żal oczu na ten widok: lepiej gdzieś na najbliższej stacyi przerwać błyskawiczną jazdę, pójść między ludzi, posłuchać co mówią, może co weselszego powiedzą, może nawet sprawdzą ten domysł, na który ten i ów wpadał między nami w Krakowie. Czytaliśmy opisy strejku, widzieliśmy wskutek niego rozdartą przepaść między dwoma obozami, przeczuwaliśmy grozę dalszej walki coraz zajadlejszej, a mimo tego chcieliśmy upatrzeć jakiś promyczek nadziei, jakąś wskazówkę, że tylko jednostki pragną wojny a nie całe warstwy narodu, że oba plemiona, zamieszkałe na Podolu, posiadają zbyt wielu światłych i zacnych, zbyt wiele wspólnych węzłów i zalet i potrzeb, aby nie mogły nawiązać między sobą lepszych stosunków. Więc pójdę między jednych i drugich, podsłucham, jak im serca biją... może jakie chrześcijańskie tętno wspólne przygłuszy przesądy, odnowi zgodę...

I właśnie pociąg dojeżdża do znajomego miasteczka. Po chwili kolejowy posługacz znosi za mną rzeczy do poczekalni i obiecuje poszukać gdzieś we wsi koni do dawnego mojego towarzysza ze szkolnej ławki.

— Jakto? — pytam się — trzeba aż we wsi szukać koni? Przed stacyą nie czekają na pociąg wózki czy podwody?

— Dziś szabas — usłyszałem w odpowiedzi — więc niema Żydków z wózkami.

— A czemuż tylko Żydzi odwożą z kolei przyjezdnych? Czy nie mogą chrześcijanie zarabiać na podwodach?

— A pocóż mają odbierać zarobek Żydom?

Ta odpowiedź tak dostatecznie mię przekonała, że dłużej nie rozprawiałem, tylko prosiłem posługacza, żeby poszedł szukać koni, aż wtem inny posługacz, — który sam zauważył mój kłopot, — uprzejmie doniósł, że jakiś obywatel właśnie zajeżdża na kolej i pewno swoich koni pożyczy mi chętnie. Zdziwiony pewną nadzieją posługacza zacząłem mówić, że obywatel mnie obcemu przecież zaraz koni nie pożyczy, że ani nie śmiem nawet o to prosić, kiedy już szlachcic, uwiadomiony o wszystkiem, bardzo grzecznie zaprosił mię na swoją bryczkę. Posługacz, który nie proszony tak mi drogę ułatwił, zdumiony spojrzał na pieniądze, któremi chciałem jego pomoc wynagrodzić: „wszak podróżnemu trzeba drogę pokazać“ — odpowiedział i datku długo wziąć nie chciał.

Cóż to za dziwny naród! Szlachcic nie proszony na własną bryczkę wsadza, wyrobnik za święty obowiązek poczytuje wybawić z kłopotu, chłop na kolej nie podwozi, aby Żydom zarobku nie uszczuplać: jacyż tu zbrodniarze podżegli ten naród do domowej rozterki?...

Umyśliłem zaraz w tej mierze badać woźnicę i wszedłem z nim w rozmowę:

— A u was czy była zmowa między ludźmi, żeby nie iść do roboty na dworskim łanie?

— Zmowy nijakiej nie było.

— I robili ludzie na dworskiem?

— Nie zaraz poszli robić na pańskiem i na księżowskiem ale potem zaczęli.

— A czemu nie zaczęli od razu?

— Bo był strejk.

— Strejk był, nie zmowa?

— Kto się miał zmawiać i poco nie miał robić? Przyszli jacyś ze świata i kazali chłopom zacząć strejk: nie dali robić.

— A co mówili, dlaczego nie dają robić?

— Bo nie wolno, a kto pójdzie do roboty, temu cesarz

kazał chatę podpalić, bo już z Węgier idzie wojsko pilnować prawa cesarskiego.

— A jak panowie zrobili, że potem ludzie szli do roboty?

— Jacy panowie? u nas niema panów, tylko jeden, u którego służę.

— A u kogóż był strejk?

— U Żydów, co trzymają folwarki.

— To u was sami Żydzi trzymają folwarki?

— Wszędzie okolicami Żydzi; jeszcze tylko jedna pani trzyma dzierżawę u pana — tu wymienił nazwisko obywatela, do którego jechałem.

— Więc jakże Żydzi namówili ludzi do roboty?

— A jakże Żyd nie namówi chłopa do czego chce!

— A lud nie spostrzega, że Żyd dla niego nie szuka pożytku tylko dla siebie?

— Ta chłop uważuje, co Żydzi na swoją stronę ciągną, ale mówi: niechajta! To i Żydzi muszą zarobić! Więc szedł na łan Żydowski.

— A Żydzi po strejku lepiej płacą?

— Gdzie który ani nie płaci lepiej ani nie obiecywał, a gdzie który to i obiecał.

— Obiecał, ale nie dał więcej, niż pierwej?

— Albo dał więcej albo tyla, co wprzódy albo mniej.

— Czemu mniej?

— Bo wódka będzie tańsza, to chłopu pieniędzy nie trza.

— I ludzie przystali na dawną zapłatę albo na mniejszą?

— U panów, to nie przystaliby, ale u Żyda tego i tego, to i poszli robić po dawnemu.

— Więc u Żydów niektórzy ludzie nie zyskali nic na strejku?

— Nigdzie nic nie zyskali!

— Przecież inni więcej teraz płacą?

— Ale ludzie więcej teraz pieniędzy potrzebują.

— Dlaczego?

— Bo więcej wódki piją.

— A wódka nie tanieje?

— Jak prędko wypiją tę, co jest, to zaraz będzie tańsza.

Umilkłem na tę odpowiedź... Tyle ludzie zarobili na strejku, ile przepili! Ten wynik ich sporu i ich zwycięstwa nad Żydami, taka przewaga żydowskich folwarków, ta ich potęga zdolna wmówić w lud, co chce: wszystko to pogrążało mię w smutnych myślach, kiedy zajechaliśmy przed pusty dworek mojego kolegi. Nikt przez chwilę nie wychodził, aż z ogrodu wybiegła jakaś panienka.

— Czy pan Władysław .... w domu?

— Niema pana dziedzica w domu ani nikogo; wszyscy pojechali na pogrzeb dziedzica sąsiedniej wsi.

— Jakto? umarł pan Kaźmierz ....? czy może kto inny tam już gospodarował?

— Pan Kaźmierz tam gospodarzył, ale podczas strejku z jakąś babą miał przeprawę przez to, że usłyszał od niej okropne przezwiska, zaczął ją strasznie łajać, dostał krwiotoku i we dwa tygodnie już nie żył. Na jego pogrzeb pojechali wszyscy ze dworu i prosili tatusia, żeby trochę zazierał, więc tatuś mię tu przysłał pilnować gospodarstwa.

— A gdzież tatuś?

— Tu zaraz przy dworze mieszka w szkole, bo jest profesorem.

— A zaprowadzisz mię do tatusia?

— Proszę.

Musiałem u nauczyciela szukać gościnnego przytułku i prosić o pomoc, aby znaleźć konie na powrót do pociągu, który miał przechodzić za trzy godziny; zwłaszcza poznać pragnąłem nauczyciela, aby usłyszeć jego sąd o strejku miejscowym,

Po chwili za przewodniczką wszedłem do szkoły i znalazłem uprzejmego mężczyznę, wiekiem już nieco przygarbionego, który poznawszy moją przygodę, zaraz kazał słudze pójść szukać koni na kolej a mnie gościnnie zaprosił na rozmowę i podwieczorek. Zawstydzony, iż będąc obcym śmiałem wejść do niego z tyloma prośbami, zostałem uspokojony słowami i wyrazem twarzy, która mówiła dobitnie: gość w dom, Bóg w dom. Rozmowa zeszła z powodu pogrzebu pana Kaźmierza bardzo prędko na przyczynę jego choroby: strejk.

Nauczyciel uderzył mię spokojem, z jakim oceniał stosunki: widział dokładnie ich grozę a odważnie spoglądał na niebezpieczeństwo.

— Wina zatargu — mówił — spada w samej okolicy na bardzo małą część dworów i na bardzo nieznaczną cząsteczkę włościan. Mówię, co widzę od kilkudziesięciu lat; po dworach prawie wszędzie przygotowywałem paniczów albo panienki na egzamin wstępny do pensyi albo gimnazyów. Lud znać oczywiście mogę dość dobrze, bo zawsze przez szkołę przechodzi jego część poważna.

— Więc nie wszystkie dzieci — zapytałem się — chodzą do szkoły?

— Nie na wszystkie mam miejsce w szkole, bo żydowskie dzieci wypychają nasze.

— Co to znaczy?

— Żydzi dowodzą, że dla ich dzieci musi być miejsce, bo dziś nauka potrzebna Żydom: z nich dzisiaj wychodzą najwięksi ludzie; a co zbędzie ławek, to dla naszych dzieci; więc mam teraz w szkole Żydków czterdziestu, chrześcijan dwudziestu pięciu.

Rozmowę przerwała nam nowina, że sługa nigdzie nie może znaleźć koni: chrześcijanie przez pięć dni pracują u Żydów, tylko w sobotę mogą obrabiać własne pole; wszystkie stajnie u mieszczan puste. Gościnny nauczyciel wyprowadził stąd wniosek, żebym pozostał u niego aż do powrotu Władysława, a jeszcze w nocy zdążę na inny pociąg. Ale to zbyt plątało moje zamiary, więc więcej służby pobiegło jeszcze szukać koni.

Wróciliśmy do rozmowy. Nauczyciel ciągnął dalej:

— Przecie znam dość tutejszy lud i widzę w nim tyle poczciwego serca, że ogół nie chciał strejku ani nie myślał o żadnej borbie z dworami. Z dalszych wsi przyszła pogłoska, że tam strejk; przejechali przez naszą okolicę jacyś pankowie, potwierdzili pogłoskę, w karczmie krótko poszeptali z pijakami naprzód, a potem słychać, że rozdawali gromadzie jakieś pieniądze, że zaraz w nocy zwoływali schadzki i narady, że na

drugi dzień ludzie stanęli na łanie, ale do roboty iść nie chcieli, chyba za szósty snop.

— A ileż przedtem brali?

Ojciec i córka wymieniali mi różne wsie, gdzie nieliczni panowie albo księża dawali od dziewiątego snopa do dwunastego, a Żydzi jedenasty albo mniej, gdzieniegdzie ledwo czternasty.

— A teraz wszyscy jednakowo płacą?

— Gdzież tam! Kto przed strejkiem najlepiej płacił, ten przyczynił teraz najwięcej i najprędzej, a najdłużej nie mógł przekonać ludzi, że tego dość. Ludzie nie szli robić panom, póki nie wrócili do zgody z Żydami, chociaż wymogli na nich najmniej. Nim poszli do panów, wypadła niedziela; w cerkwi ksiądz im wyrzucał, że u nieochrzczonych już pracują za mniej, a jeszcze u panów nie chcą za więcej. Chłopi obruszeni zaczęli wychodzić z cerkwi, za nimi baby i dzieci...

— Więc ksiądz — przerwałem — do roboty ich wzywał i posłuchu nie znalazł?

— Został prawie sam w cerkwi, jak nigdy nie bywało ani w bóżnicy u Żydów.

— Ale przecież potem ludzie wrócili do roboty wszędzie: kto ich nakłonił?

— Wrócili, ale dopiero po odjeździe podżegaczów, i to nie zaraz każdy. Kto prędzej przepuścił w karczmie pieniądze, tego prędzej żona wypędziła na zarobek do dworu pańskiego. Kto dłużej pił albo potem spał, temu później rozum wrócił.

— Więc kobiety nie chciały strejku, tylko mężczyźni?

— Nikt nie chciał właściwie od początku, tylko groźby i wódka zawracały głowy, ale po paru dniach ciekawe baby już wiedziały, że panowie mało sobie robią ze strejku, a sprowadzają żniwiarki albo Mazurów i Huculów: więc narobiły hałasu po gromadzie, że ją przybłędy durzyli, że choćby całej wsi nie stało, pan sobie bez niej da radę spokojnie, a gdyby panów zabrakło, przy zarobku u samych Żydów po dworach długo wieś nie wyżyje, bo Żyd i po strejku gorzej płaci, niż wielu panów przed strejkiem.

— I babski rozum przekonał chłopów?

— Jeden pojął, drugi nie pojął, co baba wywodzi, ale krzyku od rana do nocy nie wytrzymał w chałupie: wolał już na łanie żąć.

Tu znowu ktoś ze służby przybiegł powiedzieć, że nigdzie koni niema dotychczas, że już mało czasu do odjazdu pociągu: niech jeszcze kto gdzieindziej pójdzie szukać. Nauczyciel zawołał: kto żyw, niech szuka! — i dalej opowiadał:

— Tak ze strony ludu wielu było zbałamuconych, ale ledwo kilku złych zawiniło, iż posłuchali namowy przyjezdnych, a może przyjęli od nich pieniądze. Po stronie dworów nie mogę w najbliższem sąsiedztwie upatrzyć wyzysku; o płacach niskich słyszę, zwłaszcza po folwarkach żydowskich w dalszych stąd okolicach. Ale wina jednostek zwykle rośnie na ogólną w ustach wichrzycieli. Nie w wyzysku powszechnym, ale w czem innem widzę błąd u okolicznej szlachty: zawinili, iż żyją za daleko od chaty, iż nie oceniają wielu wrodzonych zalet chłopa podolskiego, iż zostawiają lud bezbronny przed wpływami złych żywiołów miejscowych albo przejezdnych. Tego błędu nie mogę taić, ale co do samego strejku, co do jakichś krzywd, to nie przyznam nic ogólnie... Dobrego dużo w dworach, mało winy w chatach: niebezpieczeństwo grozi od podżegaczy; ono wielkie, ale większy Pan Bóg, co chroni niewinnych...

Spojrzałem na szczerą twarz tego Podolaka, wsłuchany w słowa, które opisywały piękne oznaki poczciwego serca u ludu wiejskiego, i oczyszczały od winy zarówno chaty jak dwór, aż wtem zaturkotało na podwórzu: poczciwa służba ściągnęła mi właśnie jakiegoś mieszczanina z wózkiem, przez parę godzin biegali za końmi; ochoczo to spełnili jako obowiązek względem podróżnego. Serdecznie pożegnany przez gospodarza, usłyszałem jeszcze ostatnie słowa: „proszę przecie spóźnić się na kolej i do nas wracać!“

...Już nowu ciągną mię drobne koniki podolskiego mieszczanina pomiędzy bogatemi łanami. Ale w rozmowę z woźnicą nie wchodzę, aby nie odrywać jego uwagi od rozpędzonych koni, na których pośpiechu bardzo mi zależy... Wolę tedy zbie-

rać w myśli usłyszane dotychczas szczegóły, które budzą otuchę, wtem mieszczanin batem pokaże mi na widnokręgu równiny i wzgórki pod Zbarażem, odwróci głowę i krótko doda: „To pole bitwy, co o niej pan Sienkiewicz pisze!“ — i znów podciął rozpędzone koniki...

Pole dawnej bitwy... walka dzisiejsza... mieszczanin... Sienkiewicz... minione wieki, kiedy Polska płonęła ogniem — i mieczem na tych polach, jak na pomniku, ryła niezatarte głoski... obecna chwila, kiedy tyle dobrych żywiołów w tym kraju marnieje z winy garstki zagorzalców... I w dawnych wiekach tylko garstka rozjątrzyła młodszych braci słowami: należycie do ciała rzeczypospolitej, ale jak paznogcie i włosy, które trzeba ucinać... I przez tę garstkę iluż na tem polu padło z tatarskiej strzały tych, co niczyjej łzy nie przelali a skoczyli na koń bronić miłej ojczyzny przed zagładą! I ocalili ją przed upadkiem... czerpali do boju męstwo w słowach, któremi ich prawnuk wyraził pogodę ducha wobec grozy dzisiejszej: „niebezpieczeństwo wielkie, ale większy Pan Bóg, co chroni niewinnych!“

Ale i ten nauczyciel wyrzuca brak węzłów między dumnym dworem a chatą: z braku stosunków między nimi korzysta podziemna robota, co sieje straszną rozterkę, z rozterki korzysta Żyd... dawniej tylko w karczmie, dziś już i we dworze...

Wtem już stacya o sto kilkadziesiąt kroków: już świszczy lokomotywa... czy na przyjazd pociągu, czy na jego odjazd?

Chwilę jeszcze pędzą cwałem spienione konięta: z za dworca bucha para, sapie lokomotywa... pociąg sunie, rwie naprzód, znika za wzgórzem...

Poczciwy mieszczanin na siebie bierze całą winę, iż nie dojechał... przeprasza; nasuwa różne rady, aby mię gdzieś odstawić, aż następny pociąg nadejdzie; wspomina wkońcu o niedalekiem sąsiedztwie pana Bronisława, także życzliwego mi obywatela.

— Doskonaleby to wstąpić do niego — mówię — ale jeżeli i on na pogrzebie?

Nie czekając dłużej, gospodarz bez mojej prośby biegnie z wózka do kilku ludzi, co ścieżką szli z kolei, i zasięga od nich

języka o panu Bronisławie: wraca z nowiną, że możemy do niego jechać, bo z domu nie wyjeżdżał.

Wolnym kłusem konięta wiozą mnie dalej. Swobodnie mogę już urządzić interview z mieszczaninem. Ten nie tyle lubi sam opowiadać, ile mnie zapytywać o pogłoskach, rozniesionych między lud przez podżegaczy; słyszał wiele, bo często wozi ludzi ze wsi do sądu w miasteczku. Ale nie wie, co sądzić o wieści, że panowie wyrzucili ze szkół we Lwowie setki i setki uczniów chłopskiego stanu, że rodzice musieli ich wysłać do dalekich krajów, ale nie długo mogli ich tam utrzymywać, więc już z powodu kolendy na Boże Narodzenie obchodzili wsie i po dworach, po probostwach i chatach zbierali składki kolędowe, które szły na wygnańców; z biedą ledwo ich utrzymali do lata. Teraz nie mogą podołać ciężarom: trzeba, żeby dwory odpokutowały za winę panów i krzywdę młodzieży włościańskiej.

Nie wie dalej mieszczanin, czy już na tem koniec, co było, i czy przy ziemniakach nie wrócą ludzie do strejku, bo jeszcze nie wszystkie dwory uczuły zemstę; słychać, że najwięcej mają na strejku stracić panowie, co mogli przeszkodzić we Lwowie krzywdzie uczniów, a nie chcieli; „słychać, — ciągnął — że pana Badeniego bardzo hańbili w polu, pana Cieleckiego zniszczyć chcą za wniosek w sejmie przeciw Proświcie, panu namiestnikowi ciężko dokuczyli w Grzymałowie i Suszczynie, pana Gołuchowskiego w Strusowie chcą... ale gawędzę, a tu już dwór“ — dodał i na parobka zawołał: „Czy pan dziedzic doma?“

W domu był na moją pociechę, a nadto właśnie u siebie gościł kilka osób, jakby dla mnie zebranych, bo wszyscy przebyli u siebie strejki, choć jeszcze bez przepraw burzliwszych i krwawych.

Po poglądach osób nie wmieszanych w sprawę, po rozmowach z prostym chłopem, z nauczycielem i z mieszczaninem zaczynam w domu staropolskiego szlachcica słyszeć poglądy jego gości z towarzystwa bliższego mi pod względem społecznym, ale jakoś mi na razie przychodzi myśl, jakbym z dalszymi i bardziej obcymi zaczynał rozmowę, jakbym nieufnem uchem miał przyjmować ich sądy u strejku, bo czyż szlachta

polska bezstronnie przedstawi ruch chłopski i przeważnie, albo nawet prawie bez wyjątku, ruski?

Najmilszy zawód mię spotkał.

Wprawdzie ci i owi po części okazali, że ruch ten obszedł ich zbyt boleśnie, aby chcieli dalej popierać w czem bądź rozwój ludu, ale nawet ci nie objawiali ani śladu zamiarów wrogich, tylko potakiwali któremuś, co zapowiadał, że odtąd już poprzestanie na obowiązku ścisłym, zimno i grzecznie mówić będzie z każdym, ale zamknie serce i kieszeń.

— Co zyskali — dorzucił inny — nasi chłopomani na braterstwie z chatą? Kto najbardziej popuszczał cugle w swojej wsi, ten najtrudniej ją poskromił przy strejku... Np. pan S...wski w N...owie w niedzielę jeszcze sypnął tysiącami na Cerkiew, w poniedziałek miał już strejk, i to jeden z najgorszych.

— Co do mnie — dodał były powstaniec — za ich wolność i za naszą chwyciłem broń; potem przez czterdzieści blisko lat wierzyłem im, wszędzie broniłem ich i przykładałem rękę ciągle do pożytecznej dla nich pracy, w rozmowie zawsze z nimi używałem ich języka. Dziś zawiodła mię nadzieja, że ścisnę u nich dłoń wdzięczną: niech radzą sobie sami, kiedy z nami nie chcą.

— Niewdzięczny to naród — powtórzył pierwszy.

— Nie taję, — dorzucił młody magnat — że myślę podobnie: właśnie przed paru dniami dostałem list od księdza ...., na który już nie wiem, co odpowiem — i pokazał nam, co do niego pisze znany mi proboszcz, mianowicie do niego przychodzi z prośbą, bo wie, ile razy od niego doznali już zapomóg inni księża przy budowie cerkwi, że ich świadectwem o jego hojnej ręce ośmielony przedstawia także potrzeby swojej parafii i t. d.— Wyznają, — kończył pan — że winni nam niejedno; proszą o więcej; czy dać im, kiedy tylu ich niewdzięcznych chce nas zgubić?

Szczęściem ktoś pospieszył z uwagą, że tego właśnie księdza zna z bardzo dodatniej strony, że w jego sercu pewnie nie powstała myśl o naszej zgubie, choć oczywiście czuje się Rusinem, a nie Polakiem.

Nadspodziewanie żywo poparła tę uwagę znaczniejsza część

towarzystwa. „Jak można — mówili — uogólniać winę garstki burzycieli? Co dziwnego, że ciemny naród poszedł na lep bredni o cesarskim patencie, o wolnych lasach i pastwiskach, o przeznaczonym dla nich szóstym snopie?“

Po stronie obrońców ludu stanął sędziwy starzec, marszałek szlachty, na którego sąd magnat zdał sprawę odpowiedzi na prośbę o zapomogę dla cerkwi:

— Gdybym panu radził odmawiać pomocy dla całego ludu za winę jednostek, gdybym komu pozwalał rozciągać na całą warstwę społeczeństwa karę, na jaką wyjątki zasługują: wtedy musiałbym przyznać, że mądrze podżegacze działali. I wśród nas, nietylko między Żydami, spotkać można zapłatę stanowczo za niską za pracę robotnika: gdzieniegdzie widziałem na własne oczy krzywdy ludu prawdziwe; tam jako stary i zaszczycony wyborem szlachty, niejedno już dawno mówiłem lekkomyślnemu obywatelowi w cztery oczy, ale darmo; dopiero teraz przez strejk lud tam odzyskał swoje prawo i zaczął żyć w znośnych stosunkach. I z tychto wyjątków, przez nas potępianych, kiedy na nas wszystkich rozciągają przewrotowcy nazwę zdzierców: przez potwarz krzywdzą wielu niewinnych. Naodwrót, dla przelewu krwi i rozbojów, sprawionych przez burzycieli, poczytywać za wrogów cały lud, cofać rękę z pomocą dla całej warstwy społecznej albo całego narodu: to myśl mściwa, która przylecieć może wśród wiru namiętnej walki, ale nie przyznałbym łatwo, że szlachetne pobudki poparłyby ten poryw.

— Duma narodowa — zauważył powstaniec — usuwa nas od stosunków z niewdzięcznym ludem.

— Przeciwnie śmiem sądzić — mówiła któraś obywatelka do hojnego istotnie magnata — że pan, choćby z dumy narodowej działał, a nie ze świętszych pobudek, powinien spełniać coraz więcej próśb podobnych o zapomogę dla Cerkwi, póki pan w ludzie prostackim nie wzbudzi podziwu wymowniejszemi dowodami wspaniałomyślnego serca. Żeby z tego posiewu plon zeszedł już przed naszemi oczyma, żeby nawet już nasi synowie doznali za to wdzięcznego serca od ludu, za prawdopodobne tego wcale nie uważam; ale odwrócić rękę z pomocą dla cerkwi,

którą pan może tak samo wesprzeć, jak wspierał tyle innych dotychczas: to uważam tylko za pogróżkę, której pan nie spełni, bo zemsty niema w krwi.

— I pani tak sądzi, chociaż miała u siebie ostrzejszy strejk, jaskrawszy dowód niewdzięcznego ludu, niż ktobądź z nas? — odparł magnat.

— Właśnie dlatego mówię, bo ta przygoda przekonała mię nowym dowodem o prostactwie ludu, w który łożyć powinniśmy tyle pracy duchowej, tyle środków pieniężnych, na ile każdego z nas stać, aby wychować w nim wdzięcznych braci, obywateli świadomych obowiązku, a nie czerń, wodzoną na pasku podżegaczy.

— W jakiż sposób strejk panią o tem przekonał?

„Rządca mój na wybuch zmowy między chłopami wpadł w gniew nieposkromiony; ledwo ustał na miejscu, nim konia dwóch fornali osiodłało; wołał, że batami trzeba pędzić to bydło do roboty, że mądrze w pułtawszczyźnie dziesiątkowali hajdamaków, lepszej rady na nich niema; opatrzył rewolwer, skoczył na konia i znikł cwałem. Służba się śmiała ukradkiem. Po chwili wpada pobereżnik z rozkazem od rządcy, żeby do niego szli z dworu parobcy, ilu ich jest, najprędzej. Nim skończył mówić, już nie widział nikogo przed sobą; pierzchli wszyscy, każdy w inny kąt, aby rozkazu nie słuchać. Cisza zaległa we dworze; wtem hałas doleciał z łanu... to rósł wrzask, to ustawał... aż tu tętnią kopyta za bramą: co koń wyskoczy, wlatuje ekonom, szuka ludzi. ‚Po co? — pytam się — czy dworscy mają żąć?‘ — ‚Musi nas być więcej przy panu rządcy, bo lada chwila przyjdzie do bitki: już grożą, że krew popłynie‘.

„Co mi do głowy nagle przychodzi, kiedy to słyszę, to wszyscy nazywają szaleństwem; ale wolno państwu wyśmiać hreczkosiejkę. Tyle pamiętam, że mówię do ekonoma: „proszę wejść na chwilę odpocząć, a mnie konia odstąpić“, i chwytam za uzdę. Ekonom, nim stanął na ziemi, już odgadł, co zamyślam. Wytrzeszczył oczy: „co? jaśnie pani dziedziczka sama na tę wojnę konno myśli jechać? — zawołał — ależ zaraz zaprzęgnę powóz i powiozę...“ — „Niema czasu“ — powiedziałam już z sio-

dła, i pocwałowałam na przełaj, skąd wrzask dochodził. Dopadam do łanu za gościńcem, skąd już kilkunastu ludzi rozbiera kupę kamieni potłuczonych, żeby zdaleka ciskać w rządcę, bo jego rewolwer wstrzymywał przed nim gotową do napadu gromadę.

„Na mój widok stanęli wszyscy jakby osłupieni, wlepili oczy we mnie. Zabawił mię ich podziw. Z mimowolnym śmiechem zapytałam się: „cóżto, ludzie?... nie możecie się dziś porozumieć z panem rządcą?“ Jakiś szmer i mruk powstał. Mówię: „Niechże zrozumiem was; niechże jeden mówi wyraźnie, a nie gromada cała razem — albo może pan rządca wyjaśni, o co idzie?“ Rządca przed chwilą jeszcze siny z gniewu, na mój niespodziany widok zaczął odsapywać, jakby tłumił już przestrach nagły o moje bezpieczeństwo, i ledwo po namyśle odpowiedział, że narażam życie nieoględnie pośród hołoty, co niema dla mnie sumienia, nie chce dla mnie pracować, chyba za szósty snop. Na to mówię do rządcy głośno: „Dla mnieżto pan potrzebuje ich pracy, a czyż dla nich samych nie potrzebny zarobek?“ i zaraz do nich wołam: „kto po dawnemu chce odemnie zarobku w żniwa, pomocy na przednowek, opieki w przygodzie, tego na robotę przyjmuję, wspomogę po dawnemu i bez porady nie zostawię w potrzebie. Kto chce odemnie więcej, niż mnie stać, tego nie wzbogacę z krzywdą własną i dzieci swoich, dla niego nie mam roboty: niech wraca choćby cała wieś z moich łanów każdy do swojej zagrody bez zarobku odemnie. Nie moja strata, że straci choćby cała wieś u mnie robotę i pomoc; nie moja wina, że bez gniewu dla was dam zarobić chleb cudzym ludziom, kiedy wy, swoi, sami nie rozumiecie, że nie dwór was potrzebuje, tylko wy dworu‘“.

— Cóż oni na to? — spytałem.

„Nie odrazu pojęli wszyscy, co się stało. Nie wiem, skąd ja głupia, miałam wtenczas rozum, żeby powtórzyć im to wyraźniej drugi raz. Mówiłam, choć rządca sapał, bladł i czerwieniał; szepnęłam, żeby pojechał do dworu i przysłał po mnie powóz“.

— Więc pani została sama przed gromadą?

„Sama zostałam, bo za rządcą wszyscy dworscy uciekli. Zeskoczyłam z konia; czekałam, aż ludzie wkońcu jedni drugim wyrażą po swojemu, że ich nie myślę łajać i zmuszać do roboty. Nakoniec podeszło ich kilku bliżej, zdjęli czapki, za nimi wszyscy inni, i zaczęli śmiało, choć dość już grzecznie:

— Czy doprawdy pani dziedziczka sprowadzi cudzych ludzi na żniwo?

— A czy nie powiedziałam, co zrobię, jeżeli nie przyjdziecie na zarobek?

— Ta to tak, ale to może wielmożna pani dziedziczka zrobić inaczej.

— A czy nie dotrzymałam słowa, kiedy obiecałam tobie, Wasylu, drzewa na chatę po pożarze, tobie Horpyno mleka dla dziecka, albo kiedy zapowiedziałam, że ciebie Sofijko z dworu napędzę, jeżeli nie przestaniesz pić? Czy u mnie bywało, żebym łamała słowo?

— Ta to ne buwało.

— Więc chcecie odemnie wszystkiego po dawnemu? to kończmy po zgodzie; nie chcecie? to wam wola wasza, a mnie moja; jak mówię, tak słowa nie cofam.

„Nim odpowiedzieli, powóz nadjechał. Siadłam i chwileczkę czekałam, co poczną. Stali jak nieporadne dzieci...

„Z powrotem do domu zaraz wysłałam telegram do znajomego zarządcy majątków księcia ...., żeby mi natychmiast koleją przysłał ilu może robotników. Przyjechali w nocy i rano stanęli na łanie. Wójt z radnymi już czekali na mnie.

— Czego jeszcze chcecie?

— Ta na robotę chce iść gromada...

— Mam już robotników.

— Ta to tak...

— Więc was nie potrzebuję.

— Ta to tak...

— Kiedy tak, to czegóż wam trzeba?

— Ta zarobku na zimę.

— Ależ teraz nie odbiorę zarobku tym ludziom, co już zaczęli żąć!

— Ale my swoi, my wsze robili.

— Czemuż nie chcieliście wczoraj? Czemu zbieraliście kamienie na pana rządcę? Czemu żądaliście płacy niesprawiedliwej?

„Milczeli. Powtórzyłam pytanie. Najstarszy wystąpił przed innych i zaczął:

— Niech wielmożna pani dziedziczka pozwoli, żebym prosił za gromadą. Gromada nie winna. Przyjechali jacyś, niech ich z przeproszeniem..., powiedzieli, że nam krzywda, że cesarz każe inaczej, że w niemieckich krajach ludzie zdobyli prawa, że tam przy fabrykach na dwa miesiące ludzie przestają robić, aż pan im ustąpi, że tu na roli panowie przez tydzień nie wytrzymają bez robotnika w żniwo, że dadzą nam szósty snop, lasy i pastwiska. Nie wiedzieliśmy, czy wierzyć. Uwierzyliśmy, kiedy nam na stół wyliczyli sto pięćdziesiąt papierków, żebyśmy mieli skąd żyć, nim wielmożna pani dziedziczka ustąpi. Widno, co niemiecki pan dwa miesiące myśli, i szuka cudzych ludzi, i nie ma nikogo, aż sam nie przeprosi swoich, a polski pan na drugi dzień nikogo nie potrzebuje prosić, bo już my musimy przepraszać. Niech wielmożna pani dziedziczka przebaczy i przyjmie także swoją wieś do roboty, bo starczy łanów dla cudzych i dla nas. A jeszcze prosimy o radę, co mamy zrobić z temi pieniędzmi, co zostały u wójta na strejk nasz? Prosimy o robotę wielmożną panią dziedziczkę, to nie możemy tych pieniędzy brać; co z nimi robić?

„Kiedy starzec to mówił, wójt podawał mi półtora setki, złożonej u nich na wojnę ze mną...“

Obecni wydawali różne sądy o wypadku. Nie słuchałem ich. Siedziałem pod oknem wpatrzony w niebo gwiaździste, zasłuchany w słowa o tym rządcy, który chciał na wzór gubernatora dziesiątkować chłopów, o tej śmiałej jeździe na pierwszym lepszym koniu, która powstrzymała ręce gotowe do brabratobójstwa, o tych przeprosinach, zakończonych ufną prośbą o radę, co robić z pieniędzmi za strejk... Więcej słuchać w tej chwili nie mogłem, co mówią ludzie...

Już na wschodnim nieboskłonie wschodziły kosy, na lewo wysoko świeciła kwoczka, a z innej strony zachodził dyszel od

wozu. Jaśniały gdzieindziej gwiazdy o nazwach greckich bohaterów... Cefeusz tam błyszczał, tam Perseusz, z boku migał Kastor z Polluksem... A wszystkie gwiazdy mówiły mi o pokoju... bo dziwnież jasne, czyste, pogodne to niebo podolskie wieczorem! tuż prawie nad samym widnokręgiem te ognie z nieba mrugają, iskrzą się złotem!

I cóż ci Słowianie upatrzyli w swojem gospodarstwie, że z niego aż na niebo zanieśli nazwiska dla gwiazd?... Czemuż im waśń straszna gubi to gospodarstwo najdroższe?...

I czemuż owi Grecy swoich bohaterów uwieczniali nazwą gwiazdozbiorów? Czy tak mało mieli bohaterskich nazwisk, że im kilku gwiazd starczyło? O! nam brak gwiazdozbiorów, kiedy chcemy każdą z osobna bohaterską duszę u nas upamiętnić napisem złocistym na niebieskich szafirach. Ta odważna pani z domu o hetmańskiem nazwisku, kiedy w zawody z wichrem w środek niebezpieczeństw pędziła, aby nie dopuścić do rozlewu krwi: czy ona tylko jedna na tych kresach opanowywała swoim spokojem wzburzone żywioły? Ten przez nią podbity tłum, co jej wyznaje swoją winę ciemnoty i rzuca do jej nóg zapłatę judaszowskiego spisku: czy oni jedni w swojej prostocie równie szlachetni i godni podziwu? Czyż godniejszy gwiazdy Antynous? Czy kosztem takiej wartości moralnej godzi się przeprowadzać choćby najponętniejsze pomysły polityczne czy społeczne? Czy doświadczenie nie świadczy, że z upadkiem moralnym przepada i najlepszy ustrój zewnętrzny?

Ach, co to za szał: nieść w te dusze jad, który pali i rwie tych ludzi do bratobójczej walki aż do przelewu krwi!

I na miejscu, gdzie ta krew płynęła, byłem w parę dni później, w innym już powiecie, dokąd mię wiózł znajomy kanonik.

Z bryczki na powóz, z wagonu na wózek przesiadałem się prawie codzień przez parę tygodni, aby objechać jak najwięcej pobojowiska, nad którem dzieje nakreśliły jakąś stronicę smutną, nie podpisaną niczyjem nazwiskiem.

Niebo podolskie rzadkim w tym roku uśmiechem słońca okrasiło szafir nademną, równiny i wzgórza dokoła. Czy to już istotnie minęła burza w sercach? Czy to już spokój wrócił mię-

dzy dworem i chatą, i dlatego słońce tak wesoło igra swojemi snopami światła? Rozigrało się to światło, jak rzadko kiedy na niebie północnem... Nigdzie ani chmurki nad nami... a skądsiś tyle złota w błękicie, tyle połysków ametystowych, tyle odcieni barw między zenitem a krańcami widnokręgu... tam topaz przeziera barwą ciemną, tam skądsiś rubin przegląda, już zalewa pół ćwierci nieba, sinieje nagle a za chwilę żółknie... a tu już inna barwa i co chwila inna... lato całe chowało gdzieś swoje blaski i rozsypało je dopiero z początkiem jesieni... czy to już koniec słoty na świecie, a początek długiej pogody? czy koniec walki i zemsty?

— Co to? — pytam się kanonika, który nagle zaczął wpatrywać się w jakieś opłotki przy gościńcu, obrzuconym kamieniami.

— To miejsce walki i na tych kamieniach jeszcze czernieje krew ludzka...

— Więc tu zmowa przybrała już takie rozmiary?

— Doszła do bitwy, do gradu kamieni sypanych z poza tych płotów na robotników z innej wsi, do strzałów żandarmeryi w ich obronie.

— A czy ksiądz kanonik mógł dojść, kto tu podburzał i dlaczego, kto prowadził do bitwy, kto wpłynął na zgodę ostatecznie?

— Sądy wykryły sprawców tutejszego strejku, ale nie zdołały im wykazać winy w napadzie na przychodnich robotników, więc tylko uczestników napadu mogły karać, jako winnych gwałtu publicznego, a podżegaczy do strejku puściły wolno, bo każdemu wolno myśleć o poprawie swojego zarobku i drugich po tego nakłaniać, byle nie odpędzali robotników od pracy gwałtem i przemocą.

— Słowem ciemny lud, narzędzie ślepe skrytej ręki, przez nią pchnięty do rozruchów, poniósł karę, a sama ręka uszła sądu bezpiecznie?

— Tak, bo sprawcy strejku podnieśli na swoją obronę ślepotę ludu i twierdzili, że chłop w swojej ciemnocie i gorączkowym nastroju sam poszedł za daleko, a pierwotna zmowa miała poprzestać na prawowitych środkach do poprawy własnego zarobku.

— Ależ ta ich obrona może coś znaczyć tylko wobec świeckiej księgi ustaw, a nie wobec etycznego rozumu, bo wichrzyciele pojmują, że lud raz zwrócony na ślizką drogę nie zdoła stanąć u krawędzi, poza którą zacznie rozbijać i nie skończy aż w kajdanach przed sądem.

— Tu w mojej parafii nie skończył jeszcze lud swojej pokuty na tem, że stracił kilkunastu ojców rodziny, zamkniętych w kaźni za udział w bitwie z żandarmami. Tutaj gromada straciła tysiące i tysiące koron na strejku.

— W jaki sposób?

— Przez sześć tygodni stało tu wojsko i policzyło sobie po 60 koron za dzienne utrzymanie; gromadzie przyśle egzekutora na sumę od dwóch do trzech tysięcy. Nadto bezrobocie trwało w dwóch folwarkach przez siedm tygodni; wydarło u ludu znowu tysiące koron zarobku, bo w obu folwarkach pracowały żniwiarki. Nakoniec w trzecim folwarku znowu wywołała tyle żalu do podżegaczy, że ci pewno tu nie staną krokiem więcej: lud ukamienowałby ich bez sądu.

— Dlaczego?

„W tym trzecim folwarku mieszka wdowa, rodem Krakowianka, jednemu Bogu ducha winna, jeżeli ma jaką winę, ale wobec ludu zasłużona i otaczana czcią aż do niedawna powszechną. Lud za zbrodnię sobie poczytywałby jeszcze przed kilku tygodniami nieprzychylne słowo o tej szlachciance, która na jego potrzeby łoży, oby nie nad siły, bo dla młodszej braci otwiera zawsze i serce i kieszeń, chociaż w tej kieszeni ledwo nie widać już dna. Dwóch synów wychowuje w zakładzie bardzo dobrym, ale nie bardzo tanim dla właścicielki kilkuset morgów; za dziesięcioletnią Andzię płaci dobrze nauczycielce, która ją przygotowuje co roku do egzaminu z odznaczeniem w szkole rządowej; po sądach straciła już setki, jeżeli nie tysiące, bo wdowę każdy zły sąsiad zarwie i szarpnie, a zapozwany znajdzie obrońców i świadków, że co zagrabił, to jego było z ojca i dziada. Mimo to ani ubogi ani chory ani cerkiew nie doznała odmowy na prośbę o pomoc; na kapliczkę dla włościan łacińskiego obrządku oddała część pola i kamieniołom, dodała gotówki dla

robotników. Wdzięczny lud ją uwielbiał; witał, jak rodzone dzieci, jej synów, kiedy wracali ze szkół; zwłaszcza dzieci wiejskie kochały Andzię i z podziwem szły za nią, kiedy doglądała gospodarstwa w zastępstwie matki albo z braćmi jechała konno i celnym strzałem godziła w jastrzębia, co zataczał koła nad drobiem wiejskich gospodyń. Zacna matka nieodrodnych dzieci bez najmniejszej obawy słyszała o strejku, który wybuchł w innych powiatach i groźnie podchodził do wsi tutejszej. Mówiła: „liczę na wdzięczne serca u ludu". Ale w tej gminie dwa inne folwarki należą do majętnego pana, który przeciw sobie silnie oburzał przywódców strejku; z pradziadów ruskich ruskie nazwisko nosi a niedostatecznie popiera ruską sprawę co do szkół, wszechnicy i na innych polach. Jak ma popierać, posłem nie będąc i dla braku zdrowia żyjąc albo samotnie w domu albo daleko w kąpielach? Tego nie wyjaśniali ludowi wichrzyciele, tylko zabronili iść do niego na żniwa; jednych zwiedli przy gorzałce, drugich przestraszyli ogniem i kijem. Groźby wywołały popłoch; ani do folwarków pana ani do dworku wdowy nikt ze wsi nie śmiał iść na zarobek, przynajmniej w biały dzień; o zmroku biegli z prośbą o jakąś robotę w zakrytem miejscu albo w ogrodzie, aby nikt ich nie widział, bo ubiją ich albo podpalą.

„Majątek pana, prócz dwóch folwarków w mojej parafii, obejmuje jeszcze innych kilkanaście. Jego zarządca mógł sprostać zmowie żniwiarzy: puścił na pole kilkanaście żniwiarek, obsaczył łany wojskiem przeciw chłopom, gotowym przeszkadzać robocie. Wdowa tych środków pozbawiona, widziała przed sobą klęskę. Lud raz porwany hasłem strejku, szedł zapamiętały dalej, nie odróżniał krzywdzicieli od dobrodziei, nieprzyjaciół albo oziębłych od obrońców i opiekunów; wszystkim wołał: dawajcie szósty snop, lasy i pastwiska. Wdowa, niezdolna opamiętać podżegaczy, którzy jej własnego wózka i koni pozwalali sobie używać do rozjazdów w burzycielskiej pracy, donosi mi nagle, że właśnie naszli ją przywódcy ruchu, aby na niej wymódz niemożliwe ustępstwa; że może zdołam, jako proboszcz, przemówić im do sumienia. Zjeżdżam zaraz, ale zastaję już tylko jednego, który siedząco przyjmuje mię z papierosem w ustach

i jako rzecznik gromady, przemawia w jej obronie przeciw wyzyskowi, chociaż ani na krztę nie zna miejscowych stosunków; ogólnikowo zarzuca nizką zapłatę, która tu właśnie od dawna ściągała z okolicy robotnika, jako jedna z najlepszych; wytyka zbytki w dworku, gdzie obywatelka nieraz za całą ucztę każe sobie i dzieciom podać skromną strawę czeladzi, bo w pracy niema nikt czasu ani jeść więcej ani gotować. Twardą walkę stoczyć musiałem ze sobą, aby zachować spokój wobec obelg, sypanych na mnie, na duchowieństwo i szlachtę całą bez wyjątku. Wszak niebezpieczeństwo wzorowej parafianki kazało mi cierpliwie szukać drogi do układów, aby odwrócić od niej klęskę zupełną; jednak po parogodzinnych targach nie zyskałem nic możliwego; musiałem zapowiedzieć, że obywatelka pierwszy raz w życiu odmówi zarobku ludziom swoim a rozwiąże sakiewkę dla cudzych.

— Co? — zawołał — pani śmiałaby usunąć swoich ludzi od zarobku? Któż jej do tego dał prawo? Czy to ty księże jej poradzisz, żeby żyła dla siebie i dbała o zysk tylko dla siebie z łanów? A gdzież te łany? Wszak we wsi leżą, więc gromada ma prawo żyć z nich a nie dopuszczać cudzych do zarobku w tej wsi!

— Takiego zagorzalca ani uśmierzyć nie mogłem ani dobrze pojąć jego pogróżek. Zrozumiałem je, kiedy w parę dni potem usłyszałem z daleka wrzask, strzały, jęki straszne, nakoniec niewyraźną prośbę struchlałego posłańca, który wpadł, żebym zaopatrzył rannych. Poszedłem w noc czarną... strugi deszczu obmywały ziemię z krwi, stepowy wicher boleśnie wył nad szałem bratobójczym... następny ranek zastał przerażonych uczestników bitwy: po naradzie pokornie szli przed dworek wdowy, aby nieśmiało błagać o udział w pracy przy robotnikach z innej wsi. Groza bratobójstwa ocuciła ich: jeszcze w nocy kazali wichrzycielom co tchu uciekać... miejscowy przywódca ruchu i podobno napadu stracił zmysły, odstawiony wkrótce do Kulparkowa".

Wbijam sobie w pamięć każde słowo opisu i żegnam kanonika, który cierpliwie słuchał obelg przewrotowca, ale niecier-

pliwie przerywa rozmowę, kiedy przy nim do mnie szlachta i chłopi mówią o jego dziennych i nocnych zabiegach podczas strejku, aby jak anioł pokoju godzić poważnionych. Żegnam ten powiat, gdzie również jak w poprzednim widzę tylu dzielnych i szlachetnych, tylu kochanych i Polaków i Rusinów... trzeba mi dalej iść, raz wyżej, raz niżej, do izb i na pokoje, pod strzechę probostw łacińskich i greckich.

Tam w izbie kilkunastu włościan ze mną rozmawia, tam widzę ich znacznie więcej, tam spotykam poobwiązywanych jeszcze po bitwie, którzy ze mną mówią: wszystkim burza ciężyła, pokoju pragną. W jednem miejscu tak cenią sobie odwiedziny i pogawędkę w Kółku rolniczem, że przed odjazdem moim przyszli dziękować...

Tam w jadalni szlachcic bawi całe towarzystwo i aż do rozpuku śmieszy zamaszystym opisem przygód swoich podczas strejku. Zaraz po wybuchu zapomniał jeść, pić i spać, tylko łajał, dowcipy sypał, głaskał, bił, częstował, płacił, śmiał się, fukał, groził, cztery żniwiarki kupił, trzy zepsuł, posyłał chorym lekarstwo, zdrowym cyrulika, żeby im krew puścił, babom sól, chłopom gorzałkę albo pozew, jak wypadło: dość, że w półtora dnia rozplątał ludziom wszystkie zagadki podżegaczy, odsapnął, zjadł za dwóch i spokojnie zasnął w salonie przy gościach, bo już pogodzony ze wsią zobaczył dwustu żniwiarzy na łanie.

Inny, zawiadomiony o wybuchu, z zimną krwią kazał sobie konia podać a parobkom za sobą jechać z pługami na łan pokryty zbożem, gdzie dwóch ekonomów nie umiało dać rady strejkowi. Przyjechał, usłyszał, że gromada żąda 6-go snopa i t. d., odpowiedział, że jeżeli gromada żąda od niego po prostu szaleństwa a nie żałuje zboża, które zmarnieje bez zarobku dla nich, to i jemu nie żal tegorocznego żniwa: niech lepiej zboże zaraz idzie do ziemi gnoić ją pod przyszłoroczny zbiór. Natychmiast parobcy zajechali pługami i zaczęli orać, a szlachcic wrócił do domu. Lud zdumiony spoglądał przez chwilę, jak z zagonu jednego po drugim nikło zboże w skibach, aż pożałował chleba, który marniał, i nim pługi zorały dwa morgi, już pędem posłowie szli do szlachcica mówić: „Zawsze dwór chacie potrzebniej-

szy, niż chata dworowi; już bardzo prosimy o robotę za dziesiąty snop".

Inny widzi nagle na dziedzińcu całą gromadę, którą prowadzi sam wójt a z nim czterech chłopów. Ci wchodzą do pokoju z pismem następnem:

Ugoda.

Ugoda między p. M... a między ludnością gm. Ł... w,

Bo od czasuw dawnych naród robił w żniwa w polu bez żadnej ugody, a więc dziś musimy się czymać jednej ręki i jednej zasady, i żądamy od Wgo Pana tak:

Jeżeli się Wny Pan może zdecydować ażeby nam dał za odrobę 8-mą kopę od każdego zbioru wtenczas możemy wychodzić do roboty.

A co się tyczy do roboty dziennej tj chłop ma pobierać 2 koron dziennie a dziewka lub baba 1 koronę 40 hel. również to sobie wymagamy od w-go Pana za tę płatę będziemy robić od wschodu do zachodu i żebyśmy nie mieli przy robocie żadnego nadużycia a co się tyczy do odpoczynku południa to wymagamy 2 godzin południa.

Otóż teraz wybieramy sobie czterech Komitetów, któży będą się godzić z Wnym Panem w Jak najlepszy sposób bez żadnej superdenacyi[1].

Wybrani Komitetów z ludności są

F..... K.....
T..... F.....
P..... L.....
S..... F.....[2]

Działo się w Ł..... w..,...
dnia 22. Lipca 1902

(Pieczęć gm. z kosą, sierpem i pługiem)

P..... K.....

Najmniej pokaźne słówko w całej ugodzie: wzmianka — „żebyśmy nie mieli przy robocie żadnego n a d u ż y c i a", — to samo wystarczało, że szlachcic przystać na nią nie mógł w za-

[1] Subordynacyi?
[2] Zaraz po strejku skończył samobójstwem.

den sposób, bo straciłby wszelkie prawo upominać za niesumienną robotę. Aby prędko załatwić sprawę, wyszedł do gromady i przed nią zagadnął komitetowych:

— A czemu tu napisano 8-y snop a nie 6-ty? Czemu nie napisano o lasach i pastwiskach? Czy o cesarskim patencie nie słyszeliście? Jak ułożyliście ugodę?

— A jeśli nam WPan chce dać wszystko podług cesarskiego patentu, to wszystkiego żądamy.

— A pewnie musi być, jak cesarz chce. Przynieśliście ten patent?

— Ta nie mamy...

— Gdzież jest?

— Ta u pana starosty.

— Więc nie traćmy czasu. Kto chce zaraz wziąć 10 koron, temu daję; niech siodła konia z mojej stajni i duchem leci do pana starosty; jak wróci z patentem dostanie sto koron i ułożymy ugodę podług woli cesarza; ale jeżeli patentu niema żadnego, to idźcie prędko po dawnemu na zarobek, nim sprowadzę innych żniwiarzy. Czy zgoda?

Kilkunastu ochotników na 10 koron zaraz a sto z powrotem krzyknęło: zgoda! za nimi inni. Oczywiście zawiedzeni w nadziejach patentu, spostrzegli, że potrzebują zarobku i poszli do żniwa.

Ochota, z jaką ci obywatele opowiadali o przebytych niebezpieczeństwach, nie zamyka im oczu na jego grozę, na napięte stosunki, które mogą na przyszłe żniwa wybuchnąć z jeszcze większą, niż w tym roku, szkodą dla obu warstw mieszkańców Podola. Słyszę rozmaite narady i przeróżne pomysły o środkach zaradczych przeciw możliwym klęskom. Ogół przypisuje ruch nieoględnemu spiskowi młodzieży, żądnej zemsty za niepomyślny dla niej obrót sprawy z wszechnicą we Lwowie; stąd wnoszą, że nad wszystkie środki skuteczniej podziała głos Książęcia Cerkwi, że sprowadzi lud wiejski z brzegu przepaści na drogę, na którą zejdzie do niego obywatelstwo, więc ustępstwa wzajemne i sprawiedliwiej ułożone stosunki wytrącą broń z ręku wichrzycieli.

Z taką otuchą zwracała oczy na księdza metropolitę zwłaszcza ruska część społeczeństwa podolskiego, — i ta w tej właśnie mierze nie objawiała przede mną owej różnicy poglądów, która, — jak słyszę, — ma ich pod innymi względami dzielić. Bywało, zajeżdżam do którego z nich, o którym mię przestrzegają: „Z nim ostrożnie, bo to radykał! Za słowo po polsku odczute i wymówione, pokaże drzwi!“ Chyba bardzo się zmienił, — myślę, — bo w nim dawniej znałem kapłana przedewszystkiem, który w Polaku szanował Polaka i żądał wzajemnej czci dla Rusina. Zajechałem. Na dziedzińcu u tego „radykała“ służba po polsku rozmawia, po polsku w przedpokoju pytają się o moje nazwisko i, choć tylko po rusku odpowiadam, proszą po polsku, żebym w saloniku albo w kancelaryi poczekał na księdza kanonika. Zdziwiony tytułem kanonika, słyszę, że nominacya przyszła pozawczoraj, oczywiście nie w nagrodę za radykalizm wzorowego księdza. Witam tedy nowego kanonika, dawnego znajomego, który po chwili przedstawia mię przybyłym innym księżom, jako takiego, przy którym wolno mówić otwarcie. Swoboda ułatwia rozmowę coraz poufalszą, słyszę niejedno, co boli Polaka; puszczam mimo uszu zarzuty, których nie wolno mi odpierać, bo nie moje to posłannictwo uprawiać politykę, albo odpierać nie chcę, bo mi wystarczy w tych słowach widzieć pieczęć szczerej rozmowy: tylko to i owo oczywiście muszę sprostować i otwarcie to mówię: znajduję posłuch chętny i widzę, że prawda oczywista spotyka tu wielki zasób dobrej woli, gotowej odrzucić przesądy. Rozmowa potrąca nieraz o księdza metropolitę: za każdym razem słyszę wyrazy serca przywiązanego wiernie do „chluby Cerkwi ruskiej“; polski Kościół takiego zwierzchnika — dosłownie powtarzam, — niech Rusinom zazdrości; jego wykład sprawy co do obrządku ruskiego w Brazylii, sprawy nad wszelki wyraz drażliwej, zaspokoił najczulsze serca ruskie, nawet ślepym otwierał oczy, chociaż może nie wszystkim...

Takim torem biegła żywa rozmowa na naszym „soborczyku“.

Czy inaczej mówili sobie otwarcie a serdecznie prawdę nasi przodkowie polscy, litewscy i ruscy, nim dokazali owego

cudu w dziejach: Unii lubelskiej? A czy nie na pobojowisku krwią zlanem, miłość zwyciężyła po brzeskich rozmowach? Albożjuż dzisiaj Pan Bóg pozwala wątpić, a nie żąda nadziei? Czyż darmo każe nam szukać w każdej sprawie zawiłej środków, co zapobiegną klęsce?

Cóż powiem więcej? Niech więcej mówią o sprawie obecnej zawodowi badacze stosunków społecznych: ich żmudna praca umiejętnie opisze zjawisko, które grozą przejęło świadków, wyśledzi jego przyczyny, poda środki zaradcze. Zapiska z przejazdu przez kilka powiatów nie wyczerpuje przedmiotu, może dostarczyć tylko paru uwag o objawach, które nie pozwalają upadać na duchu.

Żegnam Podole z lepszą otuchą w sercu, niż kiedy je witałem, bo zetknięty z dobremi stronami społeczeństwa, widzę wszędzie nić, która może wyprowadzić z krętych przepaści; wszak żadne wyjątkowe szczęście nie stawiało przede mną samych postaci niezwykłych, szczególnych, a przecie otarło mię o tylu szlachetnych. Słyszałem szept tego ducha zemsty, który zwykle w sercach pogańskich dyszał żądzą odwetu, a tylu narodom już przyniósł zagładę..., ale słyszałem też głośniejszą od poszeptów pogańskich wymowę wrodzonych cnót wspólnych wszystkim warstwom mieszkańców Podola, cnót zdolnych sprowadzić poróżnione obozy na tor obopólnych ustępstw i zgody. A najdonośniej ponad wszystkie szepty i głosy słyszałem, jak płynie równinami Podola pieśń jednej wiary, co przy wtórze organów w kościołach grzmi ze setek piersi po cerkwiach... Infuły przy mitrach stoją przed wzburzonymi umysłami z przestrogą, którą ta wiara podaje: każą nadzieję pokładać na prawie miłości, która wszystko zwycięża, kojarzy i na sprawiedliwych podstawach buduje swoje królestwo.

Ks. K. Czaykowski.

DWA OBOZY WE FRANCYI.

I. Obóz rządowy.

Z wyjątkiem chwilowych wstrząśnień i rychło przemijających zaburzeń społecznych, jak komuna paryska, aż do r. 1878 zasady konserwatywne kierowały polityką Francyi. Podstawą, na której opierał się po ten rok rząd francuski, pozostała jeszcze rodzina, wolność osobista, religia, właściwe pojęcie o ojczyźnie, o własności, wreszcie jedność społeczna i polityczna. Jakobinizm rewolucyjny należał do wspomnień tylko, do wygórowanych pragnień, dalekich od ziszczenia się w życiu. Nagle to, co było dotąd utopią, przechodzi w praktykę. Wojownicza polityka stronnictw sprawiła, że miejsce wolności osobistej zajęła wszechmoc rządu, popartego większością parlamentarną; silnej i tradycyjnej łączności rodziny przeciwstawia prawo Naquet rozwody i rozprzężenie w życiu rodzinnem; miejsce katolickiej jedności, co do zapatrywań ludu w rzeczach dotyczących sumienia, zastępuje Paweł Bert wpajaną przez świeckie szkoły ludowe doktryną tak zwanej cnoty obywatelskiej, wolność sumień zastąpiło prawo J. Ferry'ego jakimś nawpół luterskim duchem, przeważającym w sposobie wychowania w szkołach średnich i ludowych. Co gorsza, wszystkie od 20 lat po sobie następujące rządy zabrały się do dzieła umniejszenia działalności kleru i nie zauważyły wcale, że przez to równocześnie popierają stopniowy rozwój pewnego monarchicznego klerykalizmu, którego zamiary zupełnie obce są zamiarom Kościoła i które

na nowo narażają na dalsze prześladowanie sam Kościół przez to, że, choć nieprawnie, uważa się je jednak za jego latorośl, przejętą tymi samymi, co on zamiarami. Nakoniec, dzięki wszystkim tym nowym urządzeniom społecznym i politycznym, z tej rewolucyi wyradzają się powoli nowe zapatrywania społeczne; ich przedstawicielami są: anarchizm, socyalizm, kosmopolityzm, rewolucyjna humanitarność. Te stronnictwa i te zapatrywania zgotowały nakoniec panowanie zupełnie nowemu ustrojowi społecznemu, tak niepodobnemu do dawnego, zawzięcie opierającemu się wszelkiej zgodzie z zapatrywaniami i zasadami przeszłości.

Pogląd ten, nakreślony przez znającego stosunki swojej ojczyzny Francuza[1], jest dobrem tłem dla tej ostatniej fazy walki przeciwkościelnej, na którą obecnie patrzymy.

Gdy pamiętnego dnia 4 maja 1877 r. Gambetta swą ognistą, przeciwkościelną mowę zakończył słowami: *Le cléricalisme, c'est l'ennemi*, powstał w Izbie hr. de Mun i zażądał, aby rząd jasno określił swe polityczne stanowisko i wypowiedział otwarcie, czy hasłem jego jest pokój wewnętrzny i zewnętrzny, za którym się oświadczał ówczesny minister Jules Simon, czy też dopieroco wygłoszone słowa: „klerykalizm oto nieprzyjaciel“. Podobnie jak ówczesny rząd zręcznym manewrem starał się uchylić od stanowczej odpowiedzi, choć postępowanie jego aż nadto stwierdzało obranie dewizy Gambetty, tak samo i dzisiejszy, choć słowami Loubeta do wikaryusza generalnego w Valence wypowiedzianemi głosi politykę pokoju wewnętrznego i wzywa nawet do tego pomocy duchowieństwa, czynami wypowiada Kościołowi walkę do upadłego.

Zanim dojdziemy w tej sprawie do jakichś ogólniejszych wniosków, musimy wprzódy rozglądnąć się w otaczającej nas sytuacyi, w liczbach i faktach i odpowiedzieć na nasuwające się mimowoli pytanie — jakie są siły i środki walki obu stron walczących, Kościoła i rządu?

A najpierw rząd.

---

[1] Ch. Denis: *Annales de la phil. chrét.* 1902, VI, str. 339 i nast.

Z jakich zwolenników składają się jego roty? Nikomu nie jest już tajnem, — a ostatnie lata dostarczyły na to kilku dowodów bardzo silnych, — że od lat z górą 20-tu wszystkie projekty nowej walki przeciw Kościołowi wprzód uchwalone bywają we Francyi na zjazdach masońskich, zanim pojawią się na radzie ministrów i wreszcie w parlamencie. Każdy rząd francuski, wytaczający kampanię przeciwkościelną, mniej lub więcej pozostaje na służbie lóż. Obecnie aż ośmiu ministrów na ogólną cyfrę 12-tu należy do masonii. Pierwszą więc podporą obecnego rządu, a zarazem potężnym zastępem w obozie nieprzyjaciół Kościoła we Francyi jest wolnomularstwo, liczące z górą 25.000 członków, w znacznej liczbie wybitne w państwie i wpływowe zajmujących stanowiska. Ten pierwszy zastęp rządowego obozu mógłby samą swą nazwą dać nam już klucz do odgadnienia pobudek postępowania obecnego rządu i jego przyszłych, dotąd częściowo jeszcze ukrytych zamiarów.

Prócz masonii, jacyż są inni stronnicy rządowego obozu? A najpierw nasuwa się tu pytanie, dlaczego masonia i jej rząd nie prześladuje innych religii, jak żydowskiej i protestanckiej — jakby to konsekwentnie z właściwej jej nienawiści do wszelkiej religii wynikać powinno, — ale wypowiada prześladowczą wojnę samemu tylko obozowi katolickiemu? Posłuchajmy odpowiedzi, jaką daje jeden z orędowników idei wolnomularskich, wybitny przedstawiciel kierunku antyklerykalnego w r. 1883, P. Bert[1]: „Religii żydowskiej — mówi on — i protestanckiej nic nie mamy do zarzucenia. Pierwsza jest jakby świadectwem bardzo oddalonej przeszłości, bo z przed trzech tysięcy lat, jest tylko dziedzictwem, z pewnym pietyzmem zachowywanem przez obecnych jej wyznawców, którzy wyrzekli się już wszelkich pragnień panowania nad światem. Druga ma w gronie swych wiernych zaledwie czterdziestą część ogólnej liczby ludności Francyi, kieruje się zasadą swobody zdania w rzeczach wiary, a wynikający stąd rozdział protestantyzmu na liczne, odrębne od siebie sekty uwalnia nas od obawy przed jaką-

[1] *Un siècle de l'église de France*, par msgr. Baunard. Paris. 1901.

kolwiek wspólną a groźną dla bytu państwa akcyą". Owszem — zdaniem Berta — żydzi i protestanci, ofiary krwawych, średniowiecznych prześladowań, odznaczają się przywiązaniem i głębokim szacunkiem względem zasad rewolucyjnych. Żarliwy ten obrońca żydów i protestantów mógłby był jeszcze dodać, co niedość jasno przez słowo „zasady rewolucyjne" wyraził, to mianowicie, że wspólna nienawiść ku potężnemu i silnie zorganizowanemu Kościołowi katolickiemu silnie spaja i łączy obóz masoński z wyznawcami religii żydowskiej i protestanckiej [1]. To też dwa te wyznania dostarczają obozowi rządowemu nowego i to silnego żołnierza. O potędze żydowstwa we Francyi wymownego świadectwa dostarczyła choćby tylko sprawa Dreyfusa. Protestantyzm zaś francuski nie tylko dzierży poważną liczbę wybitniejszych urzędów państwowych, ale nadto liczy stosunkowo znacznie większą od katolików liczbę swych przedstawicieli w obu Izbach. Choć jest we Francyi 37 milionów katolików (nie wchodzimy na razie w to, jaki procent z imienia tylko), a protestantów tylko 650 000, przecież ci ostatni mają w Izbie niższej 70 mandatów, na ogólną liczbę 576 posłów, a w senacie 55 swoich przedstawicieli na 300. Trzech więc już potężnych a nie przebierających w środkach przeciwników liczy Kościół katolicki w obozie nieprzyjacielskim. Przystępuje do nich jeszcze czwarty, potężniejszy od dwóch ostatnich — to socyalizm.

Tak więc się nam przedstawia potęga i liczba wrogów Kościoła we Francyi, odrębnych od siebie na niejednym punkcie zapatrywań politycznych, ale zjednoczonych wspólną nienawiścią ku katolicyzmowi. Przypatrzmy się teraz programowi, środkom i sposobom walki.

Naturalnie, że bardziej fanatyczni stronnicy rządowego obozu stawiają już od razu bardzo daleko idące programy. I tak przed tygodniem obradujący kongres radykalno-socyalistyczny w Lyonie uchwalił między innemi: 1) wykreślenie z ustaw Rzeczypospolitej prawa Falloux i błędnej zasady swobody zgroma-

---

[1] Wyrazem tego usposobienia protestantów były uchwały obchodzonego przed czterema laty kongresu nantejskiego.

dzeń zakonnych w sprawie zakładania szkół i nauczycielstwa; 2) żadnemu stowarzyszeniu nieświeckiemu nie powinien parlament udzielać upoważnienia do otwarcia szkół; 3) z przysięgi składanej przez władze sądowe usunąć należy wszystko, co nie jest formą czysto świecką; powinno się zakazać wszystkich obchodów religijnych publicznych na ulicach; 4) konkordat ma być zniesiony, a budżet wyznań zupełnie usunięty; 5) zupełne oddzielenie Kościoła od państwa; 6) dzieci tylko wtenczas mogą brać udział w jakimkolwiek akcie czy funkcyi religijnej, jeżeli mogą się wykazać odpowiedniem, na piśmie udzielonem pozwoleniem rodziców; 7) wszyscy członkowie zgromadzeń zakonnych i kleru świeckiego tracą prawo głosowania przy wyborach, jako tacy, których wolność skrępowaną jest przez śluby, podobnie jak wolność żołnierzy przez karność wojskową.

Ale od tych marzeń na dalszą metę przejdźmy do rzeczywistych i już w czyn wprowadzonych środków i sposobów walki. Naprzód, postępowanie rządu w sprawie zniesionych już uchwałą zeszłoroczną zgromadzeń zakonnych. Nic nie pomogły taktowne przedstawienia wybitnych katolików, nic nie wskórały protesty prześladowanych, nic wreszcie głosy oburzenia ludu i tych biednych, których jedyną podporą były zakony. Zniesienie zakonów stało się bezprawnem prawem. Chodziło tylko o sposób wykonania. I tu nie trzeba być nawet katolikiem, wystarczy żywić na dnie serca choć odrobinę tych humanitarnych uczuć, które tak wysoko stawia sama masonia, ażeby być głęboko dotkniętym tym barbarzyńskim widokiem, jaki przedstawiały ostatnie wypadki we Francyi. O szczegółach tej egzekucyi rozpisywać się nie warto, bo rozpisywały się o tem niedawno dzienniki, a niektóre z tych szczegółów bardzo smutno świadczyły o humanitarnej i ucywilizowanej ludzkości wieku XX. Warto tylko przy tej sposobności wskazać te szczegóły tym, co niechętni Kościołowi, upatrują w stronie katolicyzmowi wrogiej tolerancyę i szerokie ludzkie uczucia.

Ale niedość na doraźnej egzekucyi. Ścigać, śledzić, czy jeszcze jakiś członek zniesionego zakonu nie pozostał na swej placówce — to dalszy krok usiłowań rządu. Wyrazem tego był

okólnik Combes'a, jako kierownika ministeryum wyznań, polecający biskupom natychmiastowe wydalenie Lazarystów lub Marystów, pracujących w seminaryach. Polecenie swoje stara się minister uzasadnić tem, że ci zakonnicy otrzymali upoważnienie rządu tylko do prac w misyach zagranicznych. Odtąd tylko kler świecki ma uczyć w seminaryach. Czy rozporządzenie to jest przynajmniej pozorem legalności osłonięte?

Combes, podobnie jak jego poprzednicy, ilekroć nowy podnosi zamach na prawa i swobodę Kościoła, lubi zasłaniać się konkordatem. W rzeczywistości jednak konkordat nie przyznaje mu tego prawa, skoro w dotyczącym § 11 upoważnia biskupów do swobodnego otwierania seminaryów, oświadczając tylko, że rząd nie obowiązuje się wyposażyć tych zakładów odpowiednimi dochodami. Nie mówi wcale, że rząd ma wybierać profesorów, ale owszem widocznie przyznaje to prawo biskupom, skoro ich osądzeniu i woli pozostawia otwieranie i uposażenie seminaryów.

W ostatnich tygodniach dowiadujemy się o nowem rozporządzeniu rządu. Pozostającym jeszcze w usłudze chorych w szpitalach zakonnicom zakazano zachęcać umierających do przyjęcia ostatnich Sakramentów św. lub przygotowywać ich do tego aktu. „Nie wolno chorym nawet słowem o tem wspomnieć“ dodaje dotyczące rozporządzenie. Wprawdzie ze sfer rządowych publicznie zaprzeczono szerzącym się pogłoskom, jakoby zakaz dotyczył zachowania się Siostr nawet wobec tych, którzy bez niczyjej zachęty sami żądają zaopatrzenia na drogę do wieczności, ale już sama okoliczność, że w tem rządowem zaprzeczeniu pominięto milczeniem rozgłoszone przez dzienniki francuskie, a przez nas przytoczone wszystkie inne punkta zakazu, przekonywująco stwierdza ich prawdziwość.

Po walce przeciw kongregacyom bezpośrednio następuje walka przeciw szkole chrześcijańskiej. Tak było w r. 1881, tak jest i teraz. Rząd w r. 1881 wznosi liczne bezwyznaniowe szkoły, a katolicy wprowadzają w czyn swoją dewizę: „Wszędzie, gdzie się wznosi szkoła ateistyczna, zaraz naprzeciw niej postawimy szkołę katolicką“. Z jakim skutkiem dokonali katolicy swego

dzieła, świadczą o tem podane przez nas niżej cyfry. Więc rząd dla skuteczniejszego poparcia swoich szkół przeprowadza w parlamencie uchwałę obowiązującą każdego nauczyciela do zaopatrzenia się wprzód w odpowiedni dyplom. Myślał, że w ten sposób usunie ze szkół zakonników i kler świecki, ponieważ ci nie potrafią lub nie zechcą zadośćuczynić temu obowiązkowi. Nowy zawód.

W chwili wniesienia powyższego prawa uczyło w szkołach 49 381 księży świeckich i członków zgromadzeń zakonnych. A statystyczne dane z lat ostatnich wskazują cyfrę 53 500 nauczycieli i nauczycielek, rekrutujących się z kleru świeckiego i zakonnego, a posiadających wszystkie warunki wymagane przez rząd do objęcia posady nauczycielskiej. Wymknął się więc z rąk powód prawny lub choćby tylko pretekst do usunięcia katolickich wychowawców. Ale rząd nie zraża się temi porażkami. Pojawia się nowy projekt odmówienia płacy nauczycielom i nauczycielkom szkół katolickich, następnie ograniczenia w uwolnieniu od służby wojskowej, przez dodany warunek dziesięcioletniej pracy na stanowisku nauczycielskiem. Nowa porażka. Liczba szkół katolickich i wychowawców zakonników wciąż rośnie, wciąż się wzmaga. Więc do projektu ustawy o stowarzyszeniach dodaje się ustawę szkolną ustanawiającą [1], „że nikt w Rzeczypospolitej żadnego urzędu nie może otrzymać, kto przez ostatnie trzy lata swego wykształcenia nie uczęszczał do szkół państwowych; a jeżeli uczeń należy do pensyonatu stojącego pod kierownictwem kongregacyi, musi wykazać, że kongregacya ta jest prawnie zatwierdzona". Tym razem jednak parlament się sprzeciwił [2], rząd znów przegrał sprawę. Teraźniejszy więc rząd, ufny w siłę i potęgę popierających go stronnictw, poparty udzielonem mu *votum* zaufania parlamentu, pochwalającego wypędzanie i prześladowanie zakonów, zabiera się do nowej walki na polu szkolnictwa katolickiego. Wprawdzie jednym swoim dekretem zniósł 120 szkół kongregacyjnych, w samym Paryżu polecił zamknąć 76 katoli-

---

[1] *Przegląd Powszechny*, t. LXIV, str. 449.
[2] *Przegląd Powszechny*, t. LXV, str. 482.

ckich szkół w przeciągu 8 dni, ale to nie wystarczy. Może parlament zgodzi się na autoryzacyę pozostających jeszcze zakonów, w każdym zaś razie zostanie jeszcze kler świecki na posterunku wychowawców katolickich. Ucieka się więc rząd do półśrodków. Gdy 1 $^1/_2$ roku temu toczyły się w parlamencie debaty nad art. 13 ustawy przeciwkongregacyjnej, celem „uspokojenia“ przeciwników oświadczył Waldeck-Rousseau, że ustawa przeciwkongregacyjna wcale nie dotyka ustawy szkolnej, która w dawnej swej mocy i rozciągłości zupełnie pozostaje: „Szkołę może otworzyć każdy, kto posiada nauczycielski dyplom i pod względem moralności nie pozostawia nic do życzenia. Władze, do których otwierający szkołę musi się zwrócić, mogą mu tego pozwolenia odmówić tylko w tym wypadku, jeżeli odmowę swą poprzeć mogą uzasadnionymi zarzutami co do hygieny lub obyczajów otwierającej się szkoły i jej kierownika“. Z tego jasno wypływa wniosek, że zamykać szkołę można tylko z przytoczonych wyżej względów, a nie ze względu na to, że to jest szkoła kongregacyjna. Obecny rząd sądzi, że nie tylko szkoły kongregacyjne należy zamykać, ale nadto i te szkoły założone i kierowane przez świeckich, w których jakiś członek zakonu jest nauczycielem. Te swoje zapatrywania i w ślad za niemi idące czyny usiłuje poprzeć twierdzeniem, które już na ironię ze zdrowego rozumu zakrawa, że tam, gdzie uczy zakonnik, jest dom zakonny.

Ale tak te środki, jak i inne uboczne, jak np. wniesiona świeżo nowela, nakładająca grzywnę 5000 fr. lub karę więzienia do jednego roku za otworzenie i prowadzenie szkoły kongregacyjnej, nie wystarczają rządowi; należy znieść prawo Falloux. Dotyczący projekt prawny opracowuje minister Chaumié. Wiadomość tę, z dobrego źródła zaczerpniętą, podaje *l'Echo de Paris*. Nad tem prawem i jego doniosłością warto się zastanowić.

Ustawa Falloux, istniejąca od r. 1850, dozwala każdemu, kto posiada dyplom nauczycielski, otwierać szkoły pod tym tylko warunkiem, aby miesiąc przedtem uprzedził o swym kroku dotyczącą władzę. Państwo więc wyrzekło się w ten sposób monopolu nauczania. Rząd wie dobrze, że prostą drogą, otwartym

projektem, żądającym zniesienia niewygodnego dlań prawa Falloux, nie dojdzie do celu. Nie mówiąc już o tem, że takim krokiem ściągnąłby na siebie oburzenie wolnomyślnych posłów i stojących za nimi wyborców, nadto i w jego własnym obozie powstałoby rozdwojenie, radykali bowiem stanowczy założyliby protest.

Zdanie tego stronnictwa wyraził doskonale *l'Eclair* już wtedy, gdy rząd domagał się trzechletniego uczęszczania do szkół państwowych, jako jedynej drogi wiodącej do otrzymania jakiegokolwiek urzędu. „Obowiązek uczęszczania do szkół państwowych — pisał ten dziennik [1] — jest środkiem służącym do zadania ciosu zakładom niezależnym. Lękając się konkurencyi, chcą je znieść, nie bacząc, iż tem samem narażają się na niebezpieczeństwo uszczuplenia uniwersytetów, których się obrońcami być mienią. Zlanie dwóch żywiołów edukacyjnych, rozdzielonych dotychczas, zniosłoby wszelką emulacyę, a co idzie za tem, wszelki postęp. Idą na oślep...“ Cóżby dopiero powiedzieli radykali na projekt zupełnego zniesienia prawa Falloux, skoro tak ich oburzył wniosek, częściowo tylko je ograniczający.

Znaleziono środek obejścia tego prawa tak, że w istocie rzeczy swoboda nauczania będzie zniesioną, choć sama zasada prawa Falloux pozornie pozostanie w dawnej swej mocy. Ten kruczek prawny polegać ma na pewnem uzupełnieniu ustawy Falloux. Pozostaje prawo otwarcia szkoły dla każdego zaopatrzonego dyplomem nauczycielskim, z tym wszakże dodatkiem, że wprzód władze administracyjne muszą się na to zgodzić, dać swe pozwolenie. Dodatek ten jest podstępny i dwuznaczny, ale przyniesie rządowi podwójną korzyść. Z jednej strony będzie mógł śmiało twierdzić: „Wcale nie tamujemy ani nie ograniczamy wolności nauczania“, z drugiej zaś zastosowanie tej ustawy w praktyce, korzystanie z tej wolnomyślnej zasady bezwzględnie zależeć będzie od sądu i dobrej woli rządu. Jeżeli ten wniosek przejdzie w Izbie — co się napewne przewidzieć i orzec nie da, bo może znajdą się wśród

[1] *Przegląd Powszechny*, t. LXV, str. 483.

posłów bystrzejsze umysły — będzie to chwila ostatecznej zagłady szkół katolickich, a nawet szkół mniej bezwyznaniowo usposobionych. Skutki moralne wychowania czysto rządowego, — którego kierunek bezwyznaniowy dobrze jest znany, — które, według słów Leona XIII w liście do kardynała Guiberta, sprowadziłyby „ruinę ojczyzny, rodziny i społeczeństwa“, nie wpłyną wcale ani na cofnięcie powyższego projektu ze strony rządu ani może na odrzucenie go w Izbie. Większe zapewne uznanie u większości parlamentarnej znajdą pobudki czysto materyalne, to jest znaczne powiększenie budżetu oświaty, wynikające z zamknięcia wszystkich szkół kongregacyjnych. Cyfry szkół i kosztów utrzymania ich zestawia *République*. Czytamy tam, że w roku 1899 w szkołach ludowych było 5 430 494 dzieci w wieku od lat 6 do 13. Z tej liczby 1 583 779 dzieci kształciło się w 4725 szkołach publicznych, utrzymywanych kosztem zakonów i kongregacyi. Nadto było jeszcze 13 755 szkół katolickich prywatnych, również utrzymywanych z ofiar i funduszów zakonnych. Ogólna więc liczba szkół nie utrzymywanych przez rząd wynosiła 18 480 na ogólną cyfrę szkół 83 105. A więc zakony utrzymywały prawie czwartą część wszystkich zakładów naukowych we Francyi [1]. Szkoły rządowe ciążyły dotąd na budżecie szkolnym sumą 192 494 662 fr., stąd utrzymywanie zamkniętych już dotąd 2500 szkół kongregacyjnych powiększy budżet o 10 milionów, nie licząc już kosztów nowych lokalów bo zamknięte szkoły kongregacyjne są własnością prywatną. Jeżeli projekt zniesienia w praktyce prawa Falloux przejdzie w uchwałę, same szkoły ludowe najmniej o 60 milionów więcej kosztować będą państwo. „Cieszcie się wszyscy, — dodaje powyższy dziennik — cieszcie się wy, którzy musicie opłacać podatki!“

Tak się przedstawia sprawa szkolna. Program pedagogiczny antykatolickich stronnictw formułuje się w trzech żądaniach: „wykształcenie w szkołach ma być obowiązkowe, udzielane za darmo i tylko przez laików“.

---

[1] Porów. *Przegląd Powszechny*, t. LXV, str. 484.

Nowym objawem walki przeciwkościelnej jest zakaz uczenia katechizmu w Bretonii językiem tego wiernego Kościołowi ludu. Po zamachach na duchowieństwo zakonne przychodzi kolej na kler świecki, a po nim na lud wierny. Kler zakonny, materyalnie i moralnie od rządu niezależny, należało wypędzić najpierw; kler świecki materyalnie jest zależny, a niekiedy i moralnie; a zresztą ma się przeciw niemu silną broń w konkordacie dowolnie tłumaczonym.

Sprawa uczenia katechizmu w języku ludowi nieznanym zbyt nam Polakom jest blizką, by rozwodzić się jeszcze potrzeba było nad zgubnymi skutkami takiego zakazu. Wystarczy przypomnieć, że język francuski nie jest znanym większej części ludu bretońskiego. Gdy czytamy liczne protesty kleru z rozmaitych miejsc Bretonii, dowiadujemy się, że $^{9}/_{10}$ ludu albo wcale nie rozumie języka francuskiego, albo rozumie tak mało, że żadnej prawdy wiary nie można mu wyjaśnić ani nauczyć dokładnie.

Ale nie tu jeszcze koniec mieszania się rządu do spraw należących wyłącznie do władzy kościelnej. Dzienniki donoszą, że minister sprawiedliwości Trarieux, ubolewając nad nieznajomością katechizmu u dzieci, żądać ma w parlamencie opieki rządowej nad nauką katechizmu i przygotowaniem do pierwszej Komunii św. Projekt ten przyznaje rządowi prawo: 1) ustanawiania dni i trwania nauki katechizmowej w kościele, 2) wysyłania, jako nadzorców katechizmu, inspektorów rządowych szkół bezwyznaniowych, 3) pozbawiania pensyi tych duchownych, którzyby obowiązku swego należycie nie spełniali.

Jeżeli w tej walce można jeszcze o krok postąpić, to z pewnością należy to do planu. Ten tak wygodny dotąd dla rządu konkordat miał być zniesionym, jeżeli Stolica święta nie potwierdzi wybranych przez rząd kandydatów na godność biskupią. Jeżeli tę groźbę zrobiono na seryo, to widocznie obok paragrafów, które umiano zręcznie wykorzystać i obrócić na broń przeciwkościelną, są jeszcze i inne, które stanowią przeszkodę do zupełnej zagłady katolicyzmu we Francyi. Projekt zerwania konkordatu nie po raz pierwszy występuje w planach polity-

cznych masońskiego rządu. Dnia 31 maja 1883 r. Bert otwarcie wyznał, że celem wspólnych usiłowań antyklerykalizmu i oportunizmu jest: oddzielenie Kościoła od państwa, zerwanie konkordatu, konfiskata dóbr kleru tak zakonnego jak świeckiego. Zdaniem jego, urzeczywistnienie tego zamiaru jest tylko kwestyą czasu. „Domaga się tego natarczywie ciągły postęp społeczeństw nowoczesnych... Ale warunki obecne Kościoła nie pozwalają jeszcze na ten śmiały krok!“ „A więc zmieńmy warunki, w których Kościół żyje i działa, wydrzyjmy z rąk Kościoła istotną powagę i wpływ moralny na kraj cały. Wymagajmy surowo dokładnego przestrzegania ustaw konkordatu, bezwzględnego posłuszeństwa prawom przyjętym przez ten Kościół w stosunkach swoich z nami. Oczekujmy wreszcie dnia, w którym wychowanie publiczne (rządowe) przygotuje umysły do tego, że łatwo zniosą wprowadzenie naszej wolności i swobody religijnej“. Czy takie same jest zdanie obecnego rządu? Przytoczyliśmy słowa Berta, bo na wielu punktach dostrzegamy podobieństwa ówczesnego stronnictwa antyklerykalnego z teraźniejszem, tak co do ogólnego planu, jak co do doboru środków. Czy już nadeszła chwila zerwania konkordatu? Obecny stan katolicyzmu we Francyi pozwalałby przypuszczać, — jak się o tem niżej przekonamy, — że rząd przechyla się ku wykonaniu swej groźby.

Z drugiej jednak strony niepodobna przemilczeć o zgubnych następstwach dla rządu, wynikających z zerwania konkordatu. Rząd wie dobrze, jak silną ma w konkordacie podporę i broń do skutecznej walki przeciw Kościołowi. Wystarczy wspomnieć o obsadzaniu stolic biskupich, o które obecnie toczy się spór z Rzymem. Dzięki konkordatowi rząd ma zapewniony przeważny wpływ na mianowanie biskupów. Już Ferry mógł się pochlubić wyborem powolnych rządowi członków episkopatu francuskiego. Jeden z poważnych dzienników francuskich, podając przyczynę, dlaczego rząd nie potrzebuje się nigdy obawiać licznych protestów ze strony episkopatu wobec ciągłych zamachów na swobodę Kościoła, odpowiada: „Czyż powaga, silny charakter lub wiedza, słowem zasługa toruje u nas drogę

do kandydatury na stolice biskupie? Nie! Intrygi polityczne, poparcie wpływowego posła, wreszcie gotowość do służenia celom rządu, słabość charakteru i woli największą gra rolę w tej sprawie. Również wie rząd dobrze, że zrywając ostatecznie z Rzymem, zrzec się będzie musiał wpływu na liczne zamorskie kolonie, wpływu, który ma zupełnie zapewniony przez protektorat nad misyami. Wreszcie liczyć się musi z możliwem obudzeniem ducha katolickiego, a w następstwie ze zwróceniem przeciw sobie silnej akcyi w kraju.

Takie są siły jednego obozu, jego zamiary i czyny Czyny te były zawsze pozorowane najróżnorodniejszemi racyami. Na wiele z tych racyi, czerpanych z wiedzy historycznej czy innej, już dawno nauka odpowiedziała; inne są zbyt naiwne, by się nad niemi zastanawiać warto; niektóre z nich uwzględnimy przy rozbiorze protestu biskupów.

Niejeden szczegół z dotychczas przez nas podanych jest już ogólnie znany, musiał być jednak uwzględniony dla dokładności obrazu.

Przypatrzmy się teraz drugiej stronie walczącej — obozowi katolickiemu.

(Dok. nast.)

Ks. K. Krokoszyński.

NIETZSCHE

JAKO PRZEDSTAWICIEL ANTYCHRZEŚCIJAŃSKIEGO HUMANITARYZMU.

„Wiele jest dziwów, lecz człowiek największym dziwem na świecie“.

Tak śpiewa chór w „Antygonie“ Sofoklesa, wygłaszając jeden z najwspanialszych w poezyi wszechświatowej hymnów na cześć i chwałę człowieczeństwa. Któż lepiej mógł je wysławić, jak wielki poeta narodu, który w życiu swem i w swej twórczości pozostawił takie doskonałe wzory bogato i wszechstronnie rozwiniętej natury ludzkiej? A nigdzie ona u Greków nie objawiła się w większej swej mocy i wzniosłości, jak w ich poezyi tragicznej, ale nigdzie też nie daje się wyraźniej odczuć ograniczoność jej sfery duchowej, przez istotę poganizmu zakreślonej. Kreacye tragików greckich to idealne upostaciowania wielkich i silnych duchów ludzkich, które upadają pod ciosami ślepych potęg przeznaczenia, zachowując nieskazitelną cześć i godność w upadku. Człowieczeństwo przedstawione w nich zostaje jako rozbijające się w najwyższem natężeniu swego życia duchowego o przyrodzony swój kres, poza którym wznosi się groźna, nieprzenikniona zagadka wszechpotężnej Ananke. Ale pełna godności, opromieniona blaskiem piękna postawa ginących bohaterów tragicznych jakże wymownie świadczy o intuicyjnem uznaniu i uprawnieniu przez geniusz twórczy poezyi helleńskiej ich istoty duchowej, oraz ujawniającej się w niej wyższej nad przyrodę istoty człowieczeństwa.

To co było tylko przeczuwane przez najwyższych mistrzów sztuki greckiej i wogóle przez najwyżej wznoszące się duchy starożytności pogańskiej — stało się przedmiotem ściśle określonej, pozytywnej wiary przez objawienie chrześcijańskie w duszach ludów nowożytnych wzbudzonej. Człowieczeństwo, tak bujnie w promieniach klasyczno-pogańskiej kultury zakwitające, ale tak ściśle w przyrodzonym, ziemskim swym zakresie przez nią zamknięte, ujrzało teraz przed sobą niezmierzony przestwór zadań nadprzyrodzonych i wskazany w nich istotny cel swego rozwoju duchowego. Ale jak często nowożytna, chrześcijańska ludzkość cel ten wzniosły z oczu traciła! jak często zwracała się ponownie ku ideałom helleńskiego pogaństwa, oczarowana urokami ich prawdy szczero ludzkiej i piękna artystycznego.

Główny z tych zwrotów znany jest w historyi pod nazwą odrodzenia: odrodzenia sztuki klasyczno-helleńskiej, oddającej się na usługi natchnieniom twórczym z ducha chrześcijańskiego wysnutym — ale zarazem też odrodzenia wprost przeciwnego temu duchowi czysto pogańskiego pojęcia zadań i przeznaczeń człowieka na ziemi. Odtąd idea człowieczeństwa, czyli idea humanitarna w dwojakiej występuje postaci: jako dążność do jak najpełniejszego rozwoju jestestwa ludzkiego w czysto ziemskim zakresie, oraz jako wiara w nadziemskie jego przeznaczenia, w jego stosunek do Boga i w wynikające stąd jego stanowisko wobec świata. Starcia wrogie tych dwóch wprost przeciwnych sobie prądów humanitaryzmu chrześcijańskiego i pogańskiego stanowią najważniejsze momenty w dziejach kultury i życia duchowego nowożytnej Europy, a naczelne miejsce między nimi zajmuje wielka rewolucya francuska wraz z wywołanym przez nią w rozwoju wszystkich prawie ludów europejskich przewrotem społecznym i umysłowym.

Bezpośrednim skutkiem tego przewrotu było wzmożenie się humanitaryzmu antychrześcijańskiego, rozszerzenie się jego w umysłowem życiu obcych mu przedtem warstw społecznych, oraz idąca w ślad zatem zasadnicza zmiana w charakterze typowych jego przedstawicieli. Ongi byli to entuzyastyczni badacze hellensko-pogańskiego klasycyzmu, uzdolnieni lub genialni

nawet jego naśladowcy w sztuce, wreszcie pełni wytworności dworacy i arystokraci — w społeczeństwie po-rewolucyjnem wraz z demokratyzacyą całej kultury nowoczesnej, i przenikające ją prądy humanitaryzmu zostały zdemokratyzowane, przedostały się do szerokich warstw mieszczańskich, które wystąpiły teraz na pierwszy plan życia cywilizacyjnego. A zbytecznem jest prawie dodawać, że przybrały one teraz charakter tem bardziej antychrześcijański, jako wynikające z tak zasadniczo wrogiego chrześcijaństwu przewrotu społecznego.

W epoce przedrewolucyjnej pogańska idea humanitarna i złączona z nią rządza nienasyconego używania zmysłowego wchodziły w różne kompromisy z przeciwną im wprost zasadą chrześcijańsko-humanitarną, niekiedy kryły się pod obłudnymi jej pozorami — od czasów wielkiej rewolucyi zeszłowiecznej zerwały wszelki prawie związek z chrześcijaństwem i wraz z bezprzykładnie szybkim a jednostronnym rozwojem kultury materyalnej wieku XIX coraz większemu ulegały zmateryalizowaniu. Istotna ich przedstawicielka postępowa i wolnomyślna demokracya mieszczańska, oparta na zdobytej przez rewolucyę zasadzie równości politycznej, pełna energii żywotnej, potężna wiedzą i pracą, rozwinęła teraz niezmordowaną działalność w dążeniu do władzy, znaczenia, bogactwa, do wszechstronnego rozwoju dobrobytu materyalnego, osiągając na tem polu niesłychanie szybkie i doniosłe zdobycze, o jakich nie śniło się nawet żadnej z poprzednich epok cywilizacyjnego rozwoju.

Nie dziw, że wobec tych zdobyczy antychrześcijański humanitaryzm, nic nieuznający poza ziemskimi prawami i zadaniami człowieka, coraz bardziej się wzmagał. Ale ulegając wciąż spotęgowaniu, uległ jednocześnie strywializowaniu w tej sferze społecznej, która teraz owładnęła nim przemożnie, jako przekazanem jej przez rewolucyę dziedzictwem. Zasklepione w sobie i w przyrodzonej swej dziedzinie człowieczeństwo stało się teraz nie tylko ideałem najwyższym, ale po prostu bożyszczem wolnomyślicieli nowoczesnych i doczekało się nawet formalnego kultu w słynnej „religii ludzkości“ przez znamienitego mistrza pozytywizmu, Augusta Comte'a pod koniec jego zawodu ustanowionej.

Ale kto się stał teraz istotnym przedstawicielem owego ubóstwionego człowieczeństwa? Jako główny jego przedstawiciel wystąpił w dobie przedrewolucyjnej (obok innych, nierównie mniej powszechnych typów) nowożytny mieszczanin, kupiec, przemysłowiec, uczony i wogóle zawodowy pracownik, bardzo jednostronnie zazwyczaj rozwinięty, obcy wszelkim wyższym dążeniom duchowym, o zaciśnionym widnokręgu myślowym i wybitnie filisterskich skłonnościach.

Czyż taka sfilistrzała natura ludzka, odarta z wszelkich zdobiących ją niegdyś uroków estetycznych i wznoszących ją ponad przeciętny poziom znamion siły żywiołowej nie jest trywialną karykaturą i parodyą prawdziwego człowieczeństwa? A jednak właśnie w tym swoim stanie i w tej postaci, rozpostarta z pychą dorobkiewicza na wygodnych legowiskach zmateryalizowanej doszczętnie kultury, ogłosiła ona we współczesnym antychrześcijańskim humanitaryzmie własną apoteozę i swoje doczesne cele i zadania, swój dobrobyt materyalny uznała za najwyższy ideał rozwoju wszechludzkiego.

Jeśli starożytni Grecy szczycili się swem człowieczeństwem i ubóstwili je we wspaniałem gronie swych nieśmiertelnych Olimpijczyków, to mogli się powołać na własną swą tak bogato i bujnie rozwiniętą naturę ludzką. Chwalcy nowożytnego człowieczeństwa powołują się na olbrzymie, niesłychane zdobycze jego kultury. Ale czyż ta w swym jednostronnym materyalistycznym rozwoju nie jest raczej zmechanizowaniem sił jestestwa ludzkiego w zbiorowej społecznej działalności, aniżeli pełnym, indywidualnym ich rozkwitem? Czyż człowiek nie staje się w niej tylko kółkiem machiny społecznej, poruszającem się bezwiednie prawie, bez świadomości ni poczucia istotnych swych zadań ludzkich?

Dawny Grek, ubóstwiając swą tak wspaniale rozwiniętą naturę ludzką, miał jednak poczucie jej ograniczoności i odczuwał intuicyjnie unoszącą się ponad nią wyższą potęgę, która taką wzniosłą grozą tragiczną nad życiem jego zaciężyła. Typowy przedstawiciel współczesnego humanitaryzmu, sfilistrzały pracownik nowożytnej kultury nie ma ani cienia podobnych

uczuć: żyje zadowolony ze siebie i ze świata, ze swych maszyn, kolei, telegrafów, ze swego dobrobytu i komfortu; tragiczność poetyzuje tylko za jeden ze środków rozrywki, a żadnej wyższej potęgi nad sobą nie uznaje.

A jednak daleki jest od przyjęcia konsekwencyi bezwzględnego jej zaprzeczenia, od ubóstwienia zwierzęcych żądz i instynktów natury ludzkiej, które stanowią główny jej objaw po odrzuceniu wszelkich nadziemskich dążeń i aspiracyi, będących istotną treścią duchowej jej istoty. Wie on z doświadczenia dziejów, że taka szczera apoteoza tkwiącej w człowieczeństwie zwierzęcości prowadziła do okropnych wstrząśnień i kataklizmów rewolucyjnych. Zamiłowany w swym spokojnym filisterskim dobrobycie, unika starannie wszystkiego, co może go zamącić, a gotów przyjąć i uznać wszystko, co może go utwierdzić. To też, choć odrzuca chrześcijaństwo i szczyci się swym antychrześcijańskim, wolnomyślnym humanitaryzmem, uznaje jednak chętnie pewne zasady chrześcijańskie, będące rękojmią ładu społecznego i zabezpieczeniem od grożących mu wstrząśnień, choć w istocie swej wewnętrznej zupełnie przeciwne całemu rozwojowi kultury współczesnej i co krok przez nią zaprzeczane.

Powstaje stąd potworna obłuda, a zarazem ułuda wielka współczesnego życia kulturalnego. Jego działacze praktyczni i rzecznicy teoretyczni, w duszy obcy zupełnie chrześcijaństwu lub nawet wprost nienawistnie dlań usposobieni, udają obłudną cześć dla pewnych jego idei etycznych i oderwawszy je od religijnego całokształtu nauki Chrystusa, pozbawiwszy je przez to źródła ożywczej siły, łudzą się, przypisując tym bezdusznym abstrakcyom żywotne i trwałe znaczenie w rozwoju duchowym przyszłej ludzkości. Ta ułuda, wynikająca z zapoznania zasadniczego przeciwieństwa między żywiołami chrześcijańskiego i pogańskiego humanitaryzmu, niejednokrotnie rozwiewaną była i jest przez wynikające z tego ostatniego rewolucyjne dążności, które bądźto jako gwałtowne wstrząśnienia polityczne, bądź też jako nieustające w naszem życiu współczesnem głuche wrzenie socyalne, wymownie świadczą o całej potędze ukrytych w owem spogańszczałem człowieczeństwie współczesnem zwierzęcych

żądz i namiętności. Teoretycznie z ogromną siłą uwydatnił je słynny i osławiony pisarz niemiecki, którego działalność z tego punktu widzenia zamierzam pokrótce w niniejszej pracy przedstawić.

I.

Fryderyk Nietzsche wyszedł ze społeczeństwa, które w rozwoju współczesnej kultury europejskiej przeważną odegrało rolę. Pochodził z mieszczaństwa niemieckiego, z rodziny pastorskiej; był synem, wnukiem, synowcem i siostrzeńcem pastorów, tak w linii ojczystej jak i macierzystej.

Wiadomo, że duchowieństwo protestanckie w Niemczech stanowi główny zbiornik umysłowych sił sfery mieszczańskiej, z której wyłącznie prawie się rekrutuje i z którą w jak najściślejszych pozostaje stosunkach. Nietylko samo wyróżnia się w niej nader wysokim poziomem umysłowym, uwarunkowanym już przez obowiązkowe wykształceniem uniwersyteckie, ale nadto w swych synach i potomkach dostarcza jej najliczniejszego zastępu uczonych, profesorów i literatów, którymi ona tak bardzo się szczyci, widząc w nich głównie swój tytuł do rzekomego w rozwoju kultury europejskiej przodownictwa. Ale samodzielnych, o górnym i śmiałym polocie myśliciele niewielu znajdziemy wśród owych uczonych synów pastorskich; charakteryzujący tak wybitnie ich sferę rodzimą duch mieszczańsko-filisterskiej rutyny panuje też przemożnie w ich mrówczej pracowitości i pedantyzmie profesorskim.

Pod tym ostatnim względem Nietzsche, obdarzony umysłem śmiałym aż do zuchwalstwa, miłośnik bezgranicznej swobody ducha, zacięty wróg wszelkiej rutyny i wszelkiego filisterstwa, stanowi wśród swego otoczenia społecznego zjawisko prawdziwie wyjątkowe. Wedle przekonania samego Nietzschego odrębność jego natury psychicznej dałaby się wyjaśnić odrębnymi właściwościami wrodzonemi, po odległych przodkach odziedziczonemi. Przywiązywał on wielką wiarę do tradycyi rodzinnej, wyprowadzającej pochodzenie Nietzschych ze szlachty polskiej, od jakichś hrabiów Nieckich, którzy, uchodząc jakoby

przed prześladowaniami religijnemi, mieli osiedlić się w Niemczech i tu drugą znaleźć ojczyznę.

Czyżby istotnie indywidualizm szlachecko-polski, zaszczepiony na naturze niemieckiej i zbudzony atawistycznie w autorze „Zaratustry", miał wyjaśniać tajemnicę tego dziwotworu duchowego, jaki nam się w jego talencie objawia? Niepodobna tu zastanawiać się nad tem pytaniem, nierozwiązanem pono zgoła wobec braku wszelkich pozytywnych danych. Dość zaznaczyć, że sam Nietzsche wierzył silnie w swoje pochodzenie polskie, szczycił się niem otwarcie na przekór swym współziomkom niemieckim i rysami twarzy tak żywo przypominał typ szlachcica polskiego, iż to od razu uderza w licznych jego portretach i że z tego powodu brano go często za Polaka.

Jakiekolwiek wszakże były pierwotne źródła wrodzonych jego właściwości psychicznych, pewną jest rzeczą, że wychował się on, wzrósł i wykształcił wśród typowych warunków i wpływów sfery mieszczańsko-niemieckiej. Siostra jego, Elżbieta Förster-Nietzsche[1] podaje w tym względzie dokładne, zajmujące i ze wszech miar wiarogodne wiadomości. Oczywiście w szczupłym zakresie niniejszej pracy nie możemy obficiej z nich korzystać. I nie potrzebujemy tego nawet; chodzi nam tu bowiem nie o wyczerpujące studyum ani o wszechstronną charakterystykę, lecz o uchwycenie z pewnego ściśle określonego punktu widzenia kilku rysów znamiennych duszy jednostkowej, odźwierciedlającej w nich pewne zasadnicze właściwości zbiorowej duszy współczesnej w jej krańcowej wybujałości a także w jej zwyrodnieniu i rozstroju.

Te wybujałe czy też zwyrodniałe rysy nie od razu występują w życiu i rozwoju Fryderyka Nietzschego. Poznajemy go naprzód jako naturę bogato obdarzoną i rozwijającą się wielostronnie, ale zupełnie normalną, niezdającą się wcale zapowiadać jakiejś szczególnej odrębności, któraby ją miała wyróżniać wśród najbliższego otoczenia społecznego. Przyszły zwiastun nadczło-

---

[1] W dziele niedokończonem, wydanem u Naumana w Lipsku (1895—1897) w dwóch tomach, p. t. *Das Leben Friedrich Nietzsche's*.

wieka, mającego być zaprzeczeniem dzisiejszego człowieczeństwa i jego kultury mieszczańskiej, w młodzieńczych swych latach zdawał się wyrabiać na człowieka będącego charakterystycznym jej przedstawicielem, w niej jedynie znajdującego swą racyę bytu. Kształcony bardzo starannie w domu i w szkole, dzięki wyjątkowym uzdolnieniom, szybko bardzo stanął na najwyższym poziomie współczesnej kultury umysłowej i w niezwykle młodym wieku, bo w dwudziestym czwartym roku życia mianowany już został profesorem filologii klasycznej w uniwersytecie bazylejskim. Gdy z powodu tego szybkiego w zawodzie naukowym powodzenia poczęto szumnie go wychwalać i wysławiać, nieoszołomiony tem wcale młody uczony pisze w liście do siostry: „Cóż właściwie stało się wielkiego? Jeden profesor więcej na świecie: — ot i wszystko“.

Nie darmo wyrażał się tak sceptycznie o swem nowem stanowisku. Nie odpowiadało ono wcale ani jego usposobieniu ani skłonnościom. Wkrótce zawiedzione zostały nadzieje pokładane w nim przez jego mistrzów i kolegów zawodowych. Nie był on wcale stworzony na uczonego szperacza i specyalistą filologa, mającego ściśle zakreślony obręb prac i badań. Dokoła jego osoby powstała wprawdzie niezadługo większa jeszcze wrzawa, aniżeli w chwili objęcia katedry profesorskiej, ale bardzo odmienna, niechętna mu i wroga. Powodem jej stała się pierwsza głośniejsza jego praca naukowa, z którą wystąpił po kilku drobnych rozprawkach, rozjaśniających pewne szczegółowe zagadnienia z dziedziny filologii i świadczących o doskonałem owładnięciu wszelkimi jej środkami naukowymi. Przedmiotem owej pracy był zupełnie nowy, na wskróś oryginalny i powszechne wywołujący zdumienie pogląd na istotę klasycznej tragedyi greckiej. Zdumienie a nawet oburzenie, jakie on wywołał w świecie uczonym, aż nadto były usprawiedliwione. Stanowił on bowiem wynik nie tyle ścisłej myśli badawczej, jak tego oczekiwano słusznie od zawodowego filologa i profesora, ile samorzutnej dążności twórczej, która, niewiele się troszcząc o ścisłość naukową, ze śmiało i wspaniale narysowanego obrazu dramatycznej sztuki helleńskiej wysnuła ideał sztuki ogólno-ludzkiej, odpowia-

dający ideałowi kultury wprost przeciwnej współczesnej kulturze europejskiej.

W przedmowie do jednego z późniejszych wydań wspomnianej rozprawy o narodzinach tragedyi, wyrażając się o niej dość lekceważąco, dodaje wszakże Nietzsche, że w autorze jej można już rozpoznać „wyznawcę jakiegoś nieznanego bóstwa“. Pod bóstwem owem należy rozumieć nie co innego, jak ubóstwione jestestwo ludzkie, pojęte czysto naturalistycznie, jako żywiołowa potęga kosmiczna w przeciwieństwie tak do religijnego, jak i do racyonalistycznego jego pojmowania. To ostatnie poczytywał Nietzsche za znamienny objaw współczesnej naszej kultury, na abstrakcyach rozumowych opartej i świadomą myślą badawczą powodowanej. W przeciwstawieniu do niej zarysowywało się już wtedy w jego umyśle później wszechstronnie przezeń rozwinięte pojęcie kultury wykwitającej bezpośrednio ze swobodnej gry wrodzonych naturze ludzkiej instynktów, uszlachetnionych i spotęgowanych do najwyższego stopnia na drodze czysto przyrodzonego ich rozwoju. Pierwowzór i zaczątek takiej kultury widział Nietzsche u starożytnych Greków w orgiastycznym kulcie Dionizosa, z którego, jak wiadomo, tragedya grecka powstała, za jeden z objawów powstrzymania czy też zwyrodnienia tego rozwoju kulturalnego uznawał filozofię Sokratesa i jego następców, wynoszącą myśl rozumną ponad instynkty i duszę ponad ciało. Nasza obecna kultura z jej religijno-chrześcijańskiem dążeniem do uduchowienia człowieka i naukowo-filozoficznem usiłowaniem możliwie najpełniejszego rozwinięcia intelligencyi i wiedzy ludzkiej ma być ostatecznym wynikiem tego rozpoczętego już w filozofii greckiej zwrotu, który wedle Nietzschego jest tylko zboczeniem z drogi przyrodzonego rozwoju człowieczeństwa.

Nie wdając się tu w ocenę tej tak paradoksalnie brzmiącej teoryi, zaznaczmy tylko krańcowo zaprzeczne stanowisko jej twórcy względem całej cywilizacyi europejskiej i jej zarówno chrześcijańskich, jak i antychrześcijańskich dążności. Początkowo, uważając pierwsze z nich za zupełnie już nieżywotne i zwyciężone stanowczo przez postępy nowożytnej myśli wolnej, zwrócił

Nietzsche całą siłę swej dyalektyki przeciw drugim, przeciw zdobyczom owej właśnie myśli wolnej, wrogiej chrześcijaństwu lub lekceważącej je zupełnie, zaufanej bezgranicznie w sobie samej, w zdobyczach rozumu swego, swej wiedzy i swej kultury materyalnej. Wszystkie te bądź istotne bądź pozorne jej tryumfy, o których wartości wewnętrznej powątpiewali dotąd tylko gorliwi zachowawcy lub wyznawcy gwałconej nieraz przez nie idei chrześcijańskiej, doczekały się teraz zaciekłego pogromcy w najbardziej krańcowym i bezwzględnym wolnomyślicielu współczesnym, który, nie uznając żadnych powag liberalizmu, począł go zwalczać po mistrzowsku użytą własną jego bronią samowolnej krytyki i zuchwałej negacyi.

Walkę przeciw wolnomyślicielstwu nowożytnemu oraz przeciw jego po-rewolucyjnej, demokratyczno-mieszczańskiej kulturze, wiedzy i filozofii rozwinął Nietzsche w szeregu rozpraw polemicznych, wydanych pod ogólnym tytułem: „Roztrząsania nie na czasie“ — *Unzeitmässige Betrachtungen.* Tytuł ten zaznacza już z góry zasadniczo opozycyjne stanowisko autora względem ducha czasu i głównych jego objawów. Z największą zaciekłością zwraca się on przeciw optymizmowi wolnomyślnemu, który z zuchwałą pychą dorobkiewicza, rozpościerając się w dziedzinie nowożytnej kultury, głosi się odkrywcą wszystkich prawd wiedzy, zdobywcą wszystkich środków szczęścia i dobrobytu całej ludzkości. Jako typ takiego liberała optymistycznego wziął Nietzsche bardzo wpływowego naówczas (około r. 1870) pisarza, Dawida Straussa, autora na wskróś antychrześcijańskiego „Życia Jezusa“ i poddał niezmiernie surowej, nielitościwej prawdziwie krytyce inne niemniej głośne jego dzieło p. t. „Dawna i nowa wiara“. W tem ostatniem swem piśmie stawia Strauss na miejsce przeżytej już (wedle jego mniemania) wiary chrześcijańskiej, bezwyznaniową wiarę w postęp, wiedzę oraz materyalne zdobycze kultury nowoczesnej, w dość naiwny sposób okazując przytem zadowolenie z siebie samego, ze swych przekonań, zasad i dążeń, stanowiących jakoby ostateczny, najwyższy wyraz wszechludzkiego rozwoju. Ową naiwność zaufanego w sobie i w swej mądrości uczonego uwydatnił Nietzsche w rysach nie-

zmiernie dosadnych, uprzytomniających nam nader żywo całą płaskość i pospolitość podobnego nastroju umysłowego, świadczącego wymownie o wielkiej ciasnocie duszy i ograniczeniu tak łatwo dających się zaspokoić pragnień i dążności, a znaczenie istotne ukazanego w osobie Straussa typu psychicznego określił doskonale przeszłą następnie w powszechne użycie nazwę *Bildungsfilister* — filister kulturalny.

Jakaż istotna jest różnica między takim zadowolonym z siebie i ze świata uczonym a współczesnym filistrem mieszczańskim, francuskim rentierem lub Spiessbürgerem niemieckim, który niczego nie pragnie okrom spokoju, dobrobytu i używania? Różnica polega tylko na wyższym poziomie kultury oraz na wynikającym stąd odmiennym sposobie zaspokojenia pragnień, które wszakże w jednym i w drugim wypadku odznaczają się tą samą, w różnym tylko stopniu ujawniającą się ograniczonością swego zakresu. A nie co innego tylko ta ograniczoność właśnie stanowi istotę prawdziwego filisterstwa; przez nią i w niej przeciwstawia się ono prawdziwemu człowieczeństwu, które, z natury swej powołane do wyższych, nadziemskich przeznaczeń, nigdy w ograniczonym zakresie ziemskich dążeń zamknąć się nie może. Rozpanoszenie się za naszych czasów zwykłego, mieszczańskiego filisterstwa jest wynikiem szybkiego wzrostu cywilizacyi materyalnej oraz dobrobytu zapewnionego przez nią szerokim warstwom społecznym — filisterstwo kulturalne jest następstwem rozszerzenia tychże samych wpływów i oddziaływań cywilizacyjnych w dziedzinie umysłowej, artystycznej, wogóle w sferach bardziej uduchowionych, z których jednak wykluczone jest istotne znamię duchowości: nieskończoność pragnień i dążeń, w zaprzeczanem przez nowożytną cywilizacyę chrześcijaństwie znajdująca najwyższy i najprawdziwszy swój objaw.

II.

Z tego, co wyżej o ideach i przekonaniach Nietzschego powiedziano, można już wnosić, że występując tak wrogo przeciw wolnomyślności Straussa i jemu podobnych filistrów kultu-

ralnych, nie miał wcale zamiaru stawać w obronie religijnych i humanitarnych zasad chrześcijaństwa. Owszem, był od nich niemniej aniżeli tamci daleki, a w następstwie bardziej się jeszcze od nich oddalił i z większą zaciekłością je zwalczał. Wszelako pod jednym względem, wyróżniającym go najwięcej od wyznawców nowej, straussowskiej wiary, zbliżał się mimowoli, nie powiem do samej nauki Chrystusa, ale do jednej z naczelnych jej idei, mianowicie pod względem głębokiego przejęcia się ideą nieskończoności zadań człowieka na ziemi, zupełnie zapoznawaną przez owych zadowolonych z siebie i ze swej pozytywno-realnej i racyonalistycznej kultury ciasnogłowych filistrów.

Wprawdzie Nietzsche pojmował tę ideę w sposób zupełnie obcy a nawet wrogi chrześcijaństwu. Odrzucając wynikającą z niej dążność duchowego udoskonalenia i wogóle wszelką wiarę w duchowość jestestwa ludzkiego, uznawał tylko nieskończoność w rozwoju przyrodzonych, żywiołowych sił jego i instynktów, którym przypisywał zdolność wytworzenia doskonalszego typu człowieczeństwa i nierównie doskonalszej, aniżeli obecnie istniejąca, kultury. Ale czy samo to uznanie tak wielkich zadań człowieka na ziemi, zadań, wznoszących się ponad wszystkie dotychczasowe sfery rozwoju wszechludzkiego, nie wytworzyło się w umyśle paradoksalnego myśliciela pod bezwiednie odczuwanym przezeń wpływem chrześcijańskiej idei nieskończonego udoskonalenia? Czy nie mamy tu do czynienia z jakiemś szczególnem, z choroby wieku wynikającem zwyrodnieniem tej idei, zwróceniem jej ze sfery duchowej, gdzie jest właściwa jej dziedzina, ku sferze materyalnej, we współczesnej naszej kulturze coraz szerzej i coraz zupełniej ogarniającej wszystkie dziedziny życia? Może w następstwie, gdy przyjdzie nam rozważać dalszy, coraz wyraźniej w oznaczonym kierunku zwracający się rozwój umysłowy Nietzschego, będziemy mogli dać jakkolwiek zadawalającą odpowiedź na te pytania. Tymczasem zajmijmy się jeszcze pewnemi fazami tego rozwoju, poprzedzającemi powstanie słynnej teoryi nadczłowieka.

Po napisaniu polemiki przeciw Straussowi, stanowiącej, jak

wiemy, pierwszą rozprawę w cyklu „Roztrząsań nie na czasie“, zamierzał Nietzsche (jak o tem świadczy jego siostra) ogłosić znaczną ilość — 24 pono w ogólnej liczbie — podobnych rozpraw, w których różne zagadnienia współczesnej kultury miały być kolejno rozpatrzone i rozwiązane w duchu tejże samej samodzielnej myśli krytycznej i dążności rozwojowej, przeciwstawiającej się wszystkim ustalonym kierunkom cywilizacyjnym. Zdaje się, że nosił on się też z myślą zjednoczenia w tej dążności zastępu przyjaciół i ludzi podzielających jego przekonania, którzy bądźto jako współpracownicy w zamierzonym cyklu rozpraw bądź też jako wyznawcy i wykonawcy głoszonych w nich zasad mogliby stanowić niejako armię bojowników i pionierów przyszłej kultury.

Zamiary te nie zostały urzeczywistnione. Oprócz wspomnianej polemiki powstały trzy tylko jeszcze „roztrząsania nie na czasie“, tak samo w bardzo polemicznym trzymane tonie i zawierające również mnóstwo myśli nowych, oryginalnych i zuchwałych o najważniejszych zagadnieniach współczesnej kultury umysłowej i artystycznej. I w nich zarysowuje się także bezwzględnie i krańcowo zaprzeczne stanowisko autora względem wszystkich nieomal istniejących stosunków życia, a szczególnie tych, o które się ocierał w najbliższej swej sferze społecznej i narowej. W jaskrawem oświetleniu swej krytyki i satyry wylewa on tu tak pyszną ze swoich zdobyczy wiedzę niemiecką i nadęty pedantyzm jej kapłanów, oświatę ludową, której szerokiem rozpowszechnieniem tak bardzo Niemcy się szczycą, literaturę i sztukę, w których widzą szczyt wszechludzkiego rozwoju, a, co szczególnie godne uwagi, politykę i polityczny nastrój narodu niemieckiego po r. 1870. Nie ulega on wcale szałowi pychy narodowej odurzonych zwycięstwem nad Francyą swych współrodaków i z właściwą sobie bewzględnością mówi im w oczy gorzkie prawdy. Utrzymuje, że zwycięstwo to nie jest wcale tryumfem lecz owszem klęską kultury tak w całej Europie, jak i w samych Niemczech, które nieuchronnie muszą po niem uledz zaciemnieniu umysłów i zdziczeniu charakterów. Czy dzisiaj, w dobie hakatyzmu, nie jesteśmy świadkami sprawdzenia się

w jak najszerszej mierze tych przewidywań? Czy w nich nie przebija bystrość myśli i szlachetność duszy śmiałego bojownika, który nie bez słusznej dumy mógł o sobie powiedzieć, że uderzał zawsze tylko na sprawy zwycięskie i zwalczał potęgi tryumfujące?

W pośród tych rozbujałych fal swej zaprzecznej krytyki, ogarniającej wszelkie wytwory kultury obecnej, w dążeniu do wymarzonej przez siebie kultury przyszłości, widział Nietzsche w owej epoce swego rozwoju dwie gwiazdy przewodnie w działalności dwóch genialnych swych współrodaków: Schopenhauera i Wagnera. Pierwszy pociągał go naówczas swojem opozycyjnem stanowiskiem względem urzędowej wiedzy niemieckiej, swą surową filozofią pesymistyczną, tak przeciwną płaskiemu optymizmowi „filistrów kulturalnych“, wreszcie swym wysokim artyzmem stylowym, wyróżniającym go tak dobitnie wśród ogółu ociężałych i niezdarnych w swym stylu filozofów niemieckich — w drugim widział i uznawał Nietzsche wielkiego artystę przyszłości, który przez sztukę swą ma się stać zwiastunem i pracownikiem przyszłej doskonalszej kultury wszechludzkiej. Była to epoka zaciętej walki o sztukę wagnerowską. Całe Niemcy prawie podzieliły się na dwa wrogie obozy: zapalonych wielbicieli i zawziętych przeciwników mistrza z Bayreuth, gdzie wtedy właśnie wznoszono teatr, przeznaczony dla wzorowego wykonywania wagnerowskich dramatów muzycznych. Nietzsche, który poprzednio już zbliżył się i zaprzyjaźnił z Wagnerem, wystąpił teraz (około r. 1875) jako gorliwy rzecznik i obrońca jego ideałów artystycznych. Sam obdarzony wielkim talentem twórczym, ujawniającym się nie tylko w jego pismach, ale także po części w jego poezyach i (w nielicznych zresztą bardzo) jego kompozycyach muzycznych, był on więcej niż ktokolwiek usposobiony do zrozumienia wielostronnego geniuszu artystycznego Wagnera, przytem, odczuwając niezmiernie głęboko i silnie działanie muzyki, uznawał w niej główny objaw w sztuce owej żywiołowej potęgi człowieczeństwa, którą, jak wiemy, poczytywał za najwyższy czynnik rozwoju życiowego. To też poprzednio już w rozprawie o narodzinach tragedyi greckiej, w której widział

najzupełniejsze odbicie artystyczne tego czynnika, wyprowadzał ją z „ducha muzyki“ i wskazał na muzyczno-dramatyczną sztukę Wagnera jako na odrodzenie i ponowny rozkwit tejże samej wszechludzkiej, żywiołowej twórczości artystycznej. Obecnie, w ostatniem „rozstrząsaniu nie na czasie“ myśl tę podjął na nowo i rozwinął wszechstronnie, ukazując w Wagnerze naczelnego mistrza wielkiej, z przeczucia mającej dopiero nadejść kultury wysnutej sztuki przyszłości, a we wznoszącym się teatrze bayreuckim jej zapowiedź i możliwe urzeczywistnienie.

(Dok. nast.).

Walery Gostomski.



NOWA POWIEŚĆ ROSYJSKA.

I. MAXYM GORKIJ.

(Ciąg dalszy).

Raz późną jesienią, w słotny i przejmująco zimny wieczór szedł Gorkij przez wieś i prosił o nocleg. Wszędzie go pędzono, musiał tedy za wsią wleźć pod śpichlerz, aby się przynajmniej od przemoknięcia ochronić. Tam poznał się z włóczęgą Promtowem. Był to najwstrętniejszy i najbezecniejszy okaz brodiagi, posiadający wilcze doświadczenie i lisią zręczność. Pochodził ze szlachty, miał wykształcenie; rozum i wymowa jego okazywały, że mógłby stać się pożytecznym. Setką swoich poglądów i czynów wykazał, że równał się ziołu trującemu i wart był stryczka. Gdy jeszcze leżeli o rozświcie pod śpichlerzem, doradził, aby w podłodze przewiercić dziurę, bo zboże gotowane zastąpi im pokarm. Na uwagę, że wysypie się kilka pudów a oni zjedzą parę funtów, odrzekł:

— A nam co do tego? Szacunek dla cudzej własności potrzebny tylko wówczas, gdy się ma swoją... (III, 197).

Nazajutrz szli przez wieś i Promtow prosił jałmużny. Kobieta karmiąca dziecię odmówiła, na co Promtow z groźbą zawołał: Ażeby cię w piersiach sparło, sobacze nasienie! Wyjaśniał on swój postępek tak: Na co mi prosić i upokarzać się? Zawsze myślałem, że lepiej wyrwać, niż wyprosić... (III, 203). Chłopów znał wybornie, oszukiwał i wyzyskiwał ich słabe strony wyśmie-

nicie i bez skrupułów. „Chłop głupi — twierdził on — i to bardzo dobrze. Taki właśnie nieodzowny dla wszystkich, jak powietrze. Bo cóż jest chłop? Jest to materyał spożywczy dla ludzi — coś w rodzaju jadalnego bydlęcia. Na przykład, ja. Czy mógłbym żyć na ziemi bez chłopa? Dla istnienia ludzkiego konieczne słońce, woda, powietrze i chłop...“ Z chłopami poczyna sobie okrutnie. Raz wieśniakowi poradził na ból żołądka pić olej rycynowy, zalany na czarne karaluchy, innym razem wmówił, że car wydał ukaz, aby ziemię wszystką rozdzielić na równe części i t. d.

Na uwagę, że naraża ich przez to na prześladowanie — mówi: Co mnie do cudzego grzbietu? Bylem swój zachował w całości. Wiem, że to niemoralne. Nie obchodzi mnie zgoła, co moralne a co nie. Czytom ja mało przesądów zaszczepił w religię chłopa? Ja się wcale nie krępuję. I po co? Z racyi jakiego prawa — pytam? Nie uznaję praw innych prócz swoich własnych“ (III, 252). Nie jestże to filozofia nadczłowieka? Ale dusza jego odkrywa się w całej swej nikczemności dopiero wówczas, gdy opowiada historyę życia. Lubi on sentencye: zestawiam kilka takich aforyzmów, bo one ukażą lepiej duszę, niżby ukazały wypadki życia.

„Cudowne zajęcie, karty: siedzi się za stołem i w ciągu jednej nocy dziesięć razy umiera się i zmartwychwstaje. Serce drży na myśl, że następnej minuty zabiją ci ostatniego rubla — a ty nędzarzu idź na ulicę, kradnij albo w łeb sobie palnij. Miło też wiedzieć, że twój partner czuje z powodu swego ostatniego rubla to samo. Bijesz kartę — to jakbyś wygryzał z pod serca ludzkiego po kawałeczku gorącego mięsa z krwią i nerwami...

„Nic niema lepszego w życiu nad to ciągłe ryzyko upadku. Im więcej ryzyka, tem więcej życia. Zdarzało się wam zamierać z głodu? Mnie zdarzało się nie jeść po dwie doby z rzędu. I oto, gdy żołądek zacznie sam siebie trawić, gdy czujesz, jak schną, mrąc z głodu, twoje wnętrzności, wtedy za kęs chleba gotów jesteś zamordować człowieka... dziecię... do wszystkiegoś

gotów, a właśnie w tej gotowości do zbrodni jest najosobliwsza poezya..." (III, 221).

„Przedziwna to rozkosz — umieć kłamać. Gdy kłamiesz i widzisz, że ci wierzą, czujesz się wyższym od ludzi, a to przyjemność nielada. Zawładnąć nad ich uwagą i myśleć sobie: ot, głuptasy! A wywieść w pole człowieka zawsze miło. Bo też i on łakomie słucha kłamstwa, co go po sierści głaska. Co więcej — może każdy fałsz — dobry lub też na odwrót — wszystko, co dobre — kłamstwo. To też nie należy uważać kłamstwa za rzecz szkodliwą, zohydzać go, przekładać nadeń prawdę... Wszak jeszcze nie wiadomo, co właściwie jest owa prawda, nikt nie zna jej paszportu... i — może po zbadaniu dokumentów licho wie czem ona się okaże..." (III, 228—9).

„Rozum — to siła olbrzymia. Wierz rozumowi — nie zginiesz nigdy[1]. Każdy człowiek ma w sobie głupca i łotra; głupiec — to jego uczucia; łotr — to jego rozum. Uczucie dlatego głupie, że proste, prawdziwe i nie zna obłudy; a czy podobna żyć, nie udając? Niepodobna. Bodaj z litości ku ludziom trzeba udawać, bo ludzie zawsze godni litości, najwięcej zaś wtedy, gdy się nad innymi litują..." (III, 230).

„Jest też ogrom rozkoszy w uświadomieniu własnej obcości względem ludzi, w jasnem pojmowaniu wyniosłości i mocy tego muru grzechów przeciwko nim, który sam dźwignąłem. A wiele ostrej słodyczy w ciągłem narażaniu się na zdemaskowanie. Życie to gra. Ja na swą kartę stawiam wszystko, co mam — t. j. zero — i zawsze wygrywam... nie narażając niczego prócz własnych żeber. Ale mam pewność, że jeżeli kiedy wezmą się do bicia mnie, to mnie nie pokaleczą, lecz zabiją. Nie należy się o to obrażać i byłoby niedorzecznością bać się tego" (III, 235).

„Życie włóczęgowskie! Bez żalu zrzekłeś się różnych udogodnień życia i możesz istnieć bez nich: to cię przyjemnie podnosi we własnem mniemaniu. Stajesz się dla siebie wyrozumiałym bez granic — chociaż, co prawda, nigdy nie byłem dla siebie

[1] Pogańskie: „Ratione usus superstitionem vinces et falsa".

surowym, zęby sumienia nigdy mnie nie bolały i nie razdrapywałem swego serca pazurami rozumu. Za młodu i nieznacznie przyswoiłem gruntownie najprostszą i mądrą zasadę filozofii: czy tak żyjesz czy owak — musisz umrzeć; po cóż ze sobą się kłócić, po co ciągnąć się za ogon na lewo, skoro natura z całej siły pcha cię na prawo? Obrzydli mi ludzie rozrywający się na dwoje. O co im chodzi? Zdarzało mi się rozmawiać z tymi kalekami. Pytam go: po co bracie skandale wyprawiasz? — Dążę — powiada — do udoskonalenia się. — A dlaczego? — Jak to dlaczego? W doskonaleniu się tkwi główny sens życia... Tego nie pojmuję, ale pozwalam. Doskonalisz się — to twoja rzecz; czemu leziesz do mnie i mnie chcesz na swoją wiarę nawracać? — A dlatego, żeś ty bydlę i nie szukasz celu w życiu. Przecież ja go znalazłem, skoro jestem bydlę, a świadomość uzwierzęcenia nie ciąży mi. — Otóż to jest — odpowiadają — podłość i cynizm... Takto oni rozumują. Czuję, że kłamią i że są głupi, czuję to i gardzę nimi. Bo znam ja ludzi: jeżeli to, co dziś uważa się za nikczemne, plugawe i złe, uznasz jutro za uczciwe, czyste i dobre, — wszystkie te psie mordy bez najmniejszego wysiłku zasłyną jako uczciwe, czyste i dobre...“ (III, 225—6).

Zasady Promtowa czynią go w istocie niebezpiecznym zwierzem: występny, jak Czełkasz, skory do zbrodni, jak Emelian Pilaj, filozof i gawędziarz, jak Kuwałda, namiętny włóczęga, jak Konowałów, pogardę dla ludzi i ładu życiowego posuwający do ostatnich granic; artysta w swoim rodzaju, uprawia włóczęgę z zamiłowaniem i znawstwem, mając gotowy pod ręką środek na każdy kłopot, każdy zatarg ze światem znienawidzonym, z przeciętnością, której też nie cierpi. Był aktorem i wtedy zohydził sobie tłum (III, 215). A w tej nienawiści dla tłumu, w melancholii posępnej i martwej (III, 217), w buncie przeciwko utartej, mieszczańskiej moralności, w zasadzie, że prawem dlań jest on sam, nikt więcej, w bujnej wyobraźni, która łatwo nad miarę przeplata prawdę fałszem (II, 235), w uwielbieniu rozumu Promtow mocno przypomina nadludzi Nietzschego i mnogą rzeszę modernistycznych bohaterów.

III.

Ponure i bolesne życie, rozkołysane tak, że utraca wszelki stały punkt oparcia i siły moralnej, bywa igraszką chwilowych zwierzęcych popędów. Gorkij jaskrawemi barwami maluje ten popęd u kobiety. W utworach: „Raz jesienią“, „Na galarach“, „Tęsknota“, „Konowałow“, „Dwudziestu sześciu i jedna“, „Z nudów“. „Kain i Artem“ rysunek kobiety kapryśny i pomięty, ale zawsze nacechowany tendencyą pokrycia jej duszy warstwą zmysłowej pleśni. Najdosadniej wyrażają to trzy ustępy: „Malwa“, „Wareńka Olesowa“ i „Starucha Izergil“.

Pierwsza jest wszetecznicą nizin, bezdomną i tułającą się po nadmorskiem wybrzeżu śród złotorotców i roboczego ludu, zajętego rybołostwem. Na wyspie opodal strzeże niewodów stary chłop Wasyl; awanturnica płynie do niego co święto. Raz wytłukł ją. Mszcząc się, z namowy bosiaka Sierożki Malwa usidliła syna Wasyla i poszczuła na ojca, sprowadzając wstrętną bójkę między nimi. Złotorotiec Sierożka i Malwa mają w sobie coś niezwykłego, otoczeni sympatyą autora. Malwa chwilami rozmarza się i zamyśla. „Chwaliłeś się raz — mówi do Wasyla — że bez ciebie nie mogę żyć, jak bez chleba. Niesłusznie chwaliłeś się. Może zgoła ciebie nie lubię i nie do ciebie tu chodzę, lecz miejsce miłe mi. Podoba mi się tu, bo pusto: morze i niebo naokoło, podłych ludzi niema. A co tu jest, to obojętne mi. Byłoby najlepiej, gdybyście wcale nie istnieli: obrzydliście mi. (III, 31). Kiedym sama i cisza mię otoczy, płakać chce mi się lub śpiewać“. Burzliwy i dziki opój Sierożka — istny Czełkasz — chlubi się, że sam tylko zna wartość duszy Malwy. Raz Wasyl na uwagę Sierożki, że dusza Malwy nie pasuje do ciała, dobrodusznie powiada:

— Rozumiem... podła u niej dusza...

Wówczas Sierożka oburza się:

— Podła! Ech, wy grubopyskie robaki! Za grosz nie macie pojęcia o życiu... Dla was temperamentu u kobiety nie trzeba. A jednak temperament to kwiat ludzkiej duszy; bez niego

baba — bez soli chleb. Jaką ci przyjemność sprawić może bałałajka, której strun brak? Kobiałko ty z lipowego łyka!

On też wydaje się być godnym towarzyszem Malwy: jemu samemu powierza ona tajniki swej natury. — Zawsze mi się czegoś zachciewa — kwili żałośnie. — A czego? Nie wiem. Czasami siadłabym w łódkę i na morze — w dal! Byle już nigdy ludzi nie widzieć. A czasem znów puściłabym w kółko mężczyznę, takbym jak bąka pchnęła w wir naokół siebie... Patrzałabym nań i śmiała się. To żal mi wszystkich, najbardziej siebie, to wybiłabym cały świat i siebie potem straszliwą śmiercią... I tęskno mi i wesoło, a ludzie jacyś jak z drewna...“

Sierożka ją uczy, że życie wogóle nudne, aby zaś powesełało, trzeba się ruszać, kręcić tędy i owędy, miotać się i mieszać, niby kaszę w garnku. Na co Malwa dodaje:

— To prawda! Czasem wyobrażam sobie... gdyby tak nocą baraki podpalić... oto byłby skręt!...

— Jaka mi! — z zachwytem woła Sierożka (III, 62—3).

Postać Malwy interesująca z paru względów. Znaleźć w niej można składniki duszy, jakie Gorkij nadaje nie tylko jej, ale też i innym swym postaciom niewieścim, jak gdyby mówił: tak ja pojmuję kobietę. Chwilowość instynktów, lubieżność, kocia złośliwość, niekiedy aż do okrucieństwa posunięta, kaprys uczyniony prawem, a przytem rozmiłowanie się w przyrodzie, marzycielskość i pochopność do roztkliwień bez następstw: oto zarysy typu.

Od Heinego przyjęli moderniści wyobrażenie o kobiecie, jakoby jakiejś kosmicznej potędze, niosącej za sobą oceany zła lub dobra, jakimś olbrzymim symbolu, władnącym mocą tworzenia i unicestwiania. Rozkosz i ból, szczęście i zgryzotę daje — a zależy to od kaprysu chwilowego i nieokreślonego. W literaturze rosyjskiej nie pierwszy Gorkij wniósł do charakteru kobiety dwoistość natury. Już Dostojewski, który wychodził z zasady, że człowiek lubi być katem i doznaje rozkoszy bólu, stworzył szereg dwoistych postaci niewieścich: dręczą same i miłują bez granic dręczycieli swoich. Taką jest księżniczka Aglaja Epanczyna lub Anastazya Filipowna w „Idyocie“, taką Gru-

szeńka w „Braciach Karamazowych“. Malwa w istocie należy do tego samego typu o kociej, drapieżnej, chciwej pieszczot naturze. Gorkij w tym wypadku — jak wielekroć razy — zbliżył się do modernistów, zboczywszy ze szlaków przez naturalizm utartych. Jednakże drobne rysy typu uległy przeistoczeniu, bo tego wymagała sfera działania Malwy. Żyje ona pośród bezdomnego ludu, sama spędza noce nie pod dachem, obcuje poufale z ludźmi naznaczonymi piętnem znikczemnienia, przeto rysy jej zgrubiały, nasiąknęły prostactwem, a z dna duszy dobywa się niekiedy, niby swąd, pochop do zbrodni... Wobec tego niezwykłość maleje, a pozostaje publiczna kobieta o tyle biedna, że skazana na zgnicie i roztoczenie przez rynsztokowe rojowiska.

Więcej rozmachu romantycznego i bujności ma postać staruchy Izergil. Lat temu siedmdziesiąt była Izergil piękną bessarabską dziewczyną ze stepów Akermańskich. Całymi dniami tkała dywany, a potem biegła do swego amanta, rybaka na Prucie. Gdy jednak w te strony zawitali rozbójnicy huculscy i rybak przystał do nich, Izergil go rzuciła, zdradzając na spółkę z rudym opryszkiem. I rybaka i opryszka powieszono, a wtedy Izergil przeszła do tureckiego haremu w Skutari. Po tygodniu zbiegła z synem paszy do Łom-Palanki w Bułgaryi. Po szeregu występków w Turcyi, Bułgaryi, zabłąkała się do Polski. „Niełatwo mi było żyć w Polsce — skarży się Maxymowi. — Ludzie tam zimni i obłudni. Nie umiałam ich wężowego języka. Wszyscy syczą... Co syczą? To Bóg dał im taką mowę gadzin za to, że są kłamliwi“ (I, 127).

Kupił ją wreszcie Żyd z Bochni. Zaczyna się bujna fantazya, jakto magnat pewien kazał słudze nieść wór złota, wysypał dukaty na jej głowę, a ona nim wzgardziła, jak szalał za nią inny „dostojny pan“, jak hulała w Krakowie, mając już „konie, złoto i sługi“, jak udusiła w czasie powstania człowieka, byle wyzwolić swego kochanka z więzów...

Snują się epizody drapieżnego życia kobiety: ile utaiła występków i zabójstw — któż odgadnie? A jednak opowiada ona nadto cudne legendy o głębokiem i szlachetnem znaczeniu symbolicznem; a jednak miłuje słodką ciszę stepu, odczuwa wybor-

nie upajającą mowę wieczornej przyrody i w tęsknem rozmarzeniu żali się, że dawniej żyć było jakoś jaśniej i lepiej. „Dzisiejszy czas smutny, ubogi w silnych ludzi i wielkie czyny, bogaty w niewiarę — nędzny czas mizernych ludzi o sercach martwych od poczęcia“ (I, 140).

Któż jest właściwie Izergil? Nie jestże to ten sam typ, jaki literatura powszechna posiadła już w dziełach „Manon Lescot“, „Dama kameliowa“, „Nana“ lub „Zmartwychwstanie“ Tołstoja? Typ nienasyconej kurtyzanki, którą losy pędzą po świecie. Wyższa od Malwy i szczęśliwsza od niej przez to, że siły niekobiecej ma spory zasób i nie ulega instynktom.

Niepodobna ani do Malwy ani do staruchy Izergil jest Wareńka Olesowa, córka ziemianina (II, 257 i d.). Już z wstępnego opisu widać, że Wareńka uosabia siłę, zdrowie i urodę.

— Jak ja żyję? Budzę się rano i gdy dzień jasny, robi mi się od razu ogromnie wesoło. Jakby mi kto dał coś pięknego, drogiego, upragnionego dawno... Biegnę się kąpać — u nas rzeka źródlana, woda zimna i tak szczypie. Potem wracam lasem do domu, uzbieram kwiatów, upiję się zapachami lasu; wracam: herbata na stole. Piję, a przedemną stoją kwiaty i słońce spogląda z uśmiechem. Ach, ja nadewszystko lubię słońce!“ (II, 271). Rzeźkość i żądza życia kipi w niej burzliwym strumieniem. O świecie, nędzach, zgryzotach niewiele wie i nie pragnie wiedzieć. Na życie zagrobowe, na lud, autorów, sztukę ma własne poglądy i z uporem trwa przy nich. Gorkij w swem opowiadaniu postawił Wareńkę wobec docenta filozofii Połkanowa, wobec ekonomisty Benkowskiego, wobec bardzo wykształconej właścicielki dóbr — siostry Połkanowa, wobec cynicznego epikurejczyka — ojca, wobec ludu wsi rosyjskiej i na tle przyrody. Dziewiczo piękna, zdrowa i silna, przewyższa ona zdechlaków, których ciała zniszczone wszelkiemi nadużyciami wielkich miast a dusza wycieńczona, smutna, zbolała i zatruta niezdrową tresurą mózgu, od wieków osłabionego wysiłkami ku rozwiązaniu niepojętych tajemnic wszechbytu. Śmierć? Ona śmierci nie lęka się, choć lubi życie. Może i za grobem tak miło i przyjemnie, jak na ziemi.

— A jeżeli tam nic niema? — pyta filozof.

— Jakto nic? Rozumie się, że jest — odpowiada z przekonaniem Wareńka. Nie pomogą żadne filozoficzne argumenty, bo ona bez rozumowań, wywodów i dowodów postawi z mocą swoje twierdzenie i tem sprawę zakończy. Docent na przykład rozprawia uczenie o wsi i ludzie. Jako mędrzec, przejęty nawskróś postępowemi doktrynami socyalnemi, biada na niesłuszny podział kapitału, na bezprawia większości, na fatalną walkę o byt, na siłę bogatych i nędzę ubogich, na kierowniczy rozum, gwałcony przez wiekowy fałsz i mrok przesądów, wygodnych dla ludzkiej mniejszości.

Wareńka nie lubi chłopów i sarka na rosyjskich pisarzy, że ich tak mylnie odtwarzają w powieściach.

— Znam ich, żyję z nimi, widzę, że piszą o nich błędnie, malując pożałowania godnymi, podczas gdy są po prostu podli i na współczucie zgoła nie zasługują. Jedno mają pragnienie: oszukać, ukraść cokolwiek. Narzekają wciąż, jęczą na biedę, obrzydliwi, brudni... a jednak sprytni są, o, niekiedy nawet bardzo przebiegli (II, 281).

Musi wszelako przyznać, że we wsi rosyjskiej poczyna się jakiś osobliwszy ruch. Budzi się t. zw. młoda wieś, mnoży się zastęp z rozwiniętem poczuciem godności ludzkiej, chciwych wiedzy, spragnionych i silnych, gotowych społeczeństwu oznajmić, że oto są... We wsi siostry Połkanowa dwaj chłopi — Iwan i Grzegorz — połowę jej książnicy przeczytali; jest tam niejaki Akim Mozyrew, który nauczył się fizyki i wybornie objaśnia rozmaite jej prawa. We wsi Wareńki chłop Grzegorz raz przypadkowo zaczął czytać dziesiąty tom „Zbioru ustaw“ i tak się rozmiłował w tej lekturze, że przestudyował wszystkie tomy z kolei i nabył gruntownej wiedzy prawodawstwa.

— Nie lubię czytać — zwierza się chłop ten — jak słońce wschodzi i zachodzi, wogóle o przyrodzie. Wschód słońca widziałem tysiąc razy... Lasy i rzeki także znam; po co mi o nich czytać? A to jest w każdej książce — podług mnie — niepotrzebnie. Każdy inaczej spogląda na zachód słońca i każdy wedle własnych oczu. Natomiast o życiu ludzkiem czytam z zajęciem

i myślę: gdybym się też znalazł w takiem położeniu, cobym zrobił? Ale wiem, że to nieprawda...

— Co nieprawda? — pyta docent.

— Książki. Wymyślone. O chłopach na przykład. Czyż chłopi tacy, jak w książkach? Piszą, budząc ku nim litość — i takimi głuptasami wystawiają, że aż niełądnie. Świat wierzy, to też nie może należycie poznać chłopa, bo w książkach zanadto on zły i głupi. (II, 325—6).

Wareńka podobnie użala się na książki, zwłaszcza powieści. Lubi francuskie, nie cierpi rosyjskich. Tam bohaterowie mówią nie tak, jak prostacy i czynią inaczej. Zawsze mężni, rozkochani, weseli... Nasi zaś marni, lękliwi, bez uczuć płomiennych, jacyś niepiękni... Rosyjski bohater niemądry i niezgrabny: wciąż go mdli, marzy o czemś niepojętem i wszystkich mu żal, a on sam godzien najgłębszej litości. „Aż mnie złość porywa, że w naszej powieści zawsze sterczy jakiś strach na wróble zamiast bohatera. Ilekroć czytam francuską — drżę o losy bohaterów, nienawidzę, chcę walczyć, gdy walczą, boleję, kiedy giną, chciwie czekam końca, a skoro doczytam, mało nie płaczę, że to już wszystko“. Wareńka zresztą miewa własne zdanie także o ludziach, świecie, zwłaszcza o swoich zalotnikach. Docent uważa, że umysł jej skrzywiony i okaleczały skutkiem niedorzecznych romansideł i chłopskiego towarzystwa; chciałby on wszczepić jej cały swój materyalizm płytki a bezecny, całą swoją rzekomą wyższość kulturalną, z nią wszakże zgniłość i zepsucie krwi, rozigranej wyobraźni i poszarpanych nerwów. Raz, gdy docent podkradał się ku rzece, ona, silna, gniewna i rozdrażniona, obiła go za bezczelność i uciekła. Uczynił Gorkij Wareńkę ekscentryczną, ale potrafił tchnąć w nią wiele wdzięku, piękna i świeżości. Wyrosła na łonie przyrody, którą pojmuje i wyjaśnia doskonale. — „Patrz pan, sosny jakby się wschłuchiwały w jakieś odgłosy. Tam wśród nich jak cicho. Wydaje mi się czasami, że się lepiej żyje w takiej ciszy. Ale dobrze i podczas nawałnicy... ach, jak dobrze! Niebo czarne, błyskawice złe, ciemność, wicher wyje — w taki czas wyjść w pole i stać tam i śpiewać — głośno śpiewać, albo też biedz pod ulewę naprost wiatru“ (II, 340).

Jej natura prosta, jednolita i konsekwentna w upodobaniach i nienawiściach. Dlatego nie cierpi udawania, fałszywych efektów, wybiegów i kłamstw konwencyonalnych; prawdę tnie bez ogródek, nie miewa zwyrodniałych sympatyi i zepsutego smaku; niewzruszenie obstaje przy tem, co atawizmem jako wiara wtargnęło do jej duszy i żadne mędrkowanie nie zdoła tej wiary wyrugować z serca. Czy Gorkij pragnął w niej odtworzyć jaki symbol, nie wiem; nie pomylę się atoli, zaliczając ją do najpiękniejszych postaci tego pisarza. Czemuż jedyna? Mkną przed oczami czytelników całe grupy niewiast wyrodnych, poniewieranych przez silniejszego mężczyznę, głodnych i zbiedniałych: pośród nich Wareńka wygląda jak spiżowy posąg bez skazy, jak wizerunki niewiast u mistrzów Odrodzenia.

Wszystkie trzy opowiadania, których tytuły równają się nazwiskom wymienionych powyżej niewiast, mają na celu odmalować duszę kobiety wolnej, niekrępowanej węzłami praw i obowiązków małżeńskich. Nie zaniedbał ich jednak Gorkij, a to, co mówi o wzajemnym stosunku dwóch płci, wydaje mi się godnem uwagi. Zaratustra Nietzschego otrzymuje pewnego razu wskazówkę: „idąc do kobiety, nie zapomnij wziąć bicza ze sobą". Mężowie w opowieściach Gorkiego za nieodzowny przywilej uważają bicie żony. Dyakon Taras zwierza się razu pewnego cynicznie: „Przywykłem do tego, żem bił żonę w niedzielę po mszy; otóż gdy umarła, ogarniała mię w niedzielę taka nuda, żem sobie rady dać nie mógł. Minęła jedna niedziela — widzę: źle! Druga — jeszczem wytrzymał. Trzecia — uderzyłem swoją kucharkę raz... Obraziła się. Mówi: zaskarżę do sądu. Wyobraźcie sobie moje położenie. Następnej niedzieli zbiłem ją jak żonę, zapłaciłem dziesięć rubli i odtąd biłem wedle przyjętego porządku, aż się powtórnie ożeniłem"... (III, 179).

Jest w tem zawsze system i rozmysł, aż miło. Malarz pokojowy Jaszka, wytłukłszy żonę potężnie, chełpił się swem bohaterstwem przed „byłymi ludźmi". Nauczyciel tłumaczy mu, że źle zrobił, przyczem rozumuje tak: Żona twoja przy nadziei; biłeś nie tylko ją, lecz i dziecię. Mogłeś je zabić, a przy po-

łogu żonaby ci umarła lub silnie zasłabła. Dbać o chorą żonę nie miło i kłopot i koszt, bo choroba wymaga leków, leki pieniędzy. Jeżeliś jeszcze dziecka nie zabił, toś je pewnie okaleczył i urodzi się kalekie: krzywobokie, garbate... Nie będzie więc zdatne do pracy, a tobie przecież zależy na tem, abyś miał robotnika. Nawet jeśli się urodzi tylko słabowite — też źle: zatrudni matkę i będzie potrzebowało kuracyi. Ot widzisz, jak nabroiłeś. Ludzie z pracy rąk żyjący muszą rodzić się zdrowo i rodzić zdrowe dzieci. Nieprawda?

— Prawda — potakują goście karczemni.

— No, tak tam znowu! — wtrąca nieśmiało Jaszka. — Ona zdrowa. A zresztą, taka już czarownica! Ledwie sobie trochę podchmielę, ona dalej żreć mię, jak rdza żelazo...

— Rozumiem, Jaszka, że ci nieraźno nie bić żony — daje się znów słyszeć spokojny głos nauczyciela — na to składa się wiele przyczyn... Nie charakter twej żony winien temu, że bijesz ją nieoględnie, ale całe twe ciemne i smutne życie...

— Oj, prawda — wzdycha Jakób — żyjemy w ciemności, jak u kominiarza za pazuchą. Co począć? Czy to ja nie człowiek?

— Tak, tyś człowiek. Otóż coś ci poradzę: musisz bić, to bij, jeżeli już bez tego żyć ci trudno, ale ostrożnie; pamiętaj, że możesz zaszkodzić zdrowiu albo jej, albo dziecięcia.

To teorya; autor nie oszczędza nam widoku scen, w których silniejszy znęca się potwornie nad słabszą. Obrazków takich znajduje się w powieściach znaczna ilość. Wybieram dwa dla przykładu z opowiadania p. t. *Suprugi Orłowy*. Na pierwszych kartach maluje scenę, jak co soboty z wieczora szewc Orłów idzie do szynku, żona go wstrzymuje, on ją bije. U okien podziemia zbiera się gromadka ciekawych; chłopiec malarski Czyżyk kładzie się na brzuchu i chciwie spogląda w dół, gdzie wściekle tarzają się dwie postacie.

— Zabijesz — ciężko sapiąc, błaga kobieta.

— Nie szkodzi — twardo i ze złością uspokaja mężczyzna.

Słychać tępe razy, jęki, postękiwanie człowieka, jakby ciężar duży obracał...

— Uach! Oto ją trzasnął kłodą — objaśnia Czyżyk, zebrani zaś dopytują go, ciągnąc za nogi:

— No, a teraz co? Jak on ją?

— Siedzi na niej jak na koniu i twarzą oburącz tłucze o podłogę — zdawał sprawę Czyżyk.

Dopiero gdy żona leżała na ziemi bez czucia, Orłów wychodził, rozglądał się oczami krwią nabiegłemi, odpoczywał na podwórzu i zmierzał ku szynkowi. Gorkij nas zapewnia, że lubili się i dumni byli ze siebie. On taki przystojny, silny, namiętny, ona biała, pełna, z iskrzącem się okiem, siarczysta baba. Tylko życie ich miało ponurość skutkiem jednostajności, braku wzruszeń, myślenia i rozpalania się. Trwało to długo, aż oto w mieście cholera — i oboje wstępują do służby w barakach zakaźnych. Orłów zrazu pracuje dzielnie, potem zaczyna na nowo pić. Jednakże wtedy duchowa przewaga już po stronie kobiety, która, choć jak dawniej czuła dla męża ślepą miłość, to jednak uświadamiała w sobie godność ludzką i dawne cięgi uważała za krzywdę. Jego rozbestwienie nałogu i poczucie zbydlęcenia doprowadzało do wściekłości. Raz przyszedł z nienawiścią w sercu i nożem w zanadrzu, z niejasnym przedsmakiem mordu. Zaczął od utyskiwań na swoje krzywdy pełne życie, na swoje poniżenie, ale nie umiał objaśnić, czego mu właściwie trzeba — od żony. Pojął, że między nim a nią stanęło coś, czego się słowami nie skruszy. Zapłonął dziką złością. „Z rozmachem trzasnął żonę pięścią po karku i jak zwierz ryknął: — Ty co, czarownico, ha? Czego igrasz? Zabiję, ścierwo!

Ona od ciosu pochyliła się i uderzyła twarzą o stół, ale uskoczyła natychmiast i patrząc mężowi prosto w oczy z wyrazem nienawiści, rzekła głośno i krótko:

— Bij.

— Masz!...

— Bij jeszcze! No?

— Masz, dyablico!

— Dość, Grzegorzu, dość! Nie chcę więcej...

— Masz!

— Nie pozwolę ci znęcać się nad sobą.

On zgrzytnął zębami i o krok odstąpił, może dlatego, aby wygodniej uderzyć"... (II, 145). Doktór wszedł i przerwał scenę. Czem tedy jest kobieta? Niewolnicą mężczyzny, ciosy pięści jego z pokorą i poddaniem się przyjmuje, bywa zwierzęciem jucznem albo jadowitą żmiją, która samym oddechem zatruwa. Gdzie czcigodna matka? Gdzie szanowna małżonka? Gdzie czysta dziewica? Jakiżto świat i co za życie?...

IV.

Działalność literacka Gorkiego rozbiła się na drobne opowiadania, sylwetki, obrazki, szkice; wśród nich trzy powieści: „Foma Gordiejew", „Troje" i „Mużyk".

W pierwszym rozległym obrazie maluje kupieckie życie na Wołdze, które zna ze swych dziecinnych wspomnień, opiekun bowiem zrobił tam i stracił wielki majątek.

Nienawistnie i czarno ocenia Gorkij stan kupiecki. Przed oczami czytelnika przewija się jak w kalejdoskopie mnóstwo figur — niezwykłych co do energii, przebiegłości, pomysłów, dzielności w czynie, nawet co do rozumu, ale zarazem wilczych, podłych natur co do swej etyki i nieprzebierania w środkach, byle cel osiągnąć. Celem — pieniądz. Filozof tej kupieckiej zgrai, Majakin, niech ma głos: on nas objaśni, jak należy.

„Przeznaczeniem ludzkiem jest urządzić sobie szczęśliwe życie na ziemi. Człowiek, to kapitał; on, jak rubel, składa się z marnych miedzianych groszy i kopiejek. Z prochu jesteś — mówi Pismo św. A wedle tego, jak człowiek kieruje się w życiu, wsiąka weń sadełko i masełko, pot i łzy, kształci się w nim duszka i rozumek... Zaczyna rozrastać się wzwyż i wszerz... patrzaj jeno — wartość jego grosz, rubel, sto rubli, bywa nawet ponad wszelką cenę. Puszczono go w obieg i musi dać życiu procent: ono oznacza cenę ludzi...

Nie wypada się tedy kryć w życiu. Skoro ojciec nakcpił pieniędzy, wysuwaj się synu na czoło i żądaj czci ludzkiej. Cześć — to także pieniądz. Kupiec otoczony czcią wszędzie znajdzie kredyt i wszędy mu wolna droga. Wysuwaj się zatem

naprzód, aby cię każdy widział i aby ci oddano rubla, jeżeliś zarobił pięć kopiejek... (IV, 113).

Chadzać prostemi drogami w kupieckim stanie zgoła nie można, tu trzeba polityki. Tu, bracie, zbliżając się do człowieka, trzymaj w lewej ręce miód a w prawej nóż. Każdy radby nałowić za grosz dziesięciogroszówek. Gdy uzyskasz przewagę — wtedy dobrze. Życie układa się bardzo prosto: albo wszystkich gryź, albo w błoto leż. Każdy dla siebie tylko żyje, każdy sobie najlepiej życzy. Najlepiej, to znaczy wyprzedzić ludzi i wziąć ich za łeb. Wszyscy więc dążą do zajęcia naczelnego miejsca w życiu, jeden tak, drugi owak, ale wszyscy koniecznie chcą, aby ich, jak dzwonnice, zdala było widać. Takie już przeznaczenie człowieka: wywyższyć się... Nawet w księdze Joba powiedziano: człowiek rodzi się na ból, aby nakształt iskier wzlatywał w górę". (IV, 134).

Ze świata kupieckiego zaznajamia nas autor ze starszem i młodszem pokoleniem, w obu zaś rozróżnia teoretyków i praktyków: pierwsi rozumują i uzasadniają, drudzy czynią. Majakin, twórca filozofii kupieckiej, udziela sankcyi czynom przemysłowych tuzów, którzy w drodze do osiągnięcia celu „nie umieją, nawet nie mogą myśleć o wyborze środków i nie znają innego prawa prócz samowoli". (IV, 1).

Do nichto zalicza się Ananiasz Szczurow, wielki lasowiec, jak go swoi mianują. Starzec; rozpoczął zawód od dwóch dziesięcin, a teraz włada jedenastoma tysiącami dziesięcin wysokopiennego lasu i dwoma milionami rubli w gotówce. O źródle tej fortuny opowiadają, że kiedy Szczurow był ubogim chłopem, przytulił zbiegłego zbrodniarza i kazał mu w ogrodowej łazience wyrabiać fałszywe pieniądze. Raz łazienka spłonęła, a w zgliszczach znalazł się zwęglony trup ludzki z rozłupaną czaszką. Krążyły wieści, jakoby Szczurow sam zabił współpracownika i potem go spalił. Miało się tak nieraz wydarzyć w życiu cnotliwego staruszka...

Nader charakterystyczna scena rozegrała się pewnego razu na parostatku kupca Kanonowa. Odbywało się właśnie poświęcenie statku i Kanonow zaprosił najwybitniejszych przed-

stawicieli swego świata. Zeszli się starzy bogacze i z nimi młody Gordiejew, mający pełne serce jakiegoś rozgoryczenia, żalu, niepokoju i spragniony rozwikłania zagadki tego swego rozjęku duszy. Foma przybył w czasie molebenu i patrzał na kupców.

„Stali w świątobliwem milczeniu; lica ich skupiły się w modłach; modlili się żarliwie i szczerze, wśród głębokich westchnień, nizkich pokłonów, podnoszenia oczu ku niebiosom. A Foma spoglądał na nich, przypominając, co wiedział o każdym.

Oto Łup Rieżnikow. Zaczął karyerę jako właściciel lupanaru i wzbogacił się jakoś nagle: podobno udusił gościa, bogatego Sybiraka...

Zubow za młodu trudnił się sprzedażą wieśniaczej przędzy: dwakroć bankrutował...

Kanonow przed dwudziestu laty stawał przed sądem jako podpalacz, a teraz toczy się śledztwo, że strwonił mienie pupilki.

Razem z nim powtórnie już za takąż winę do odpowiedzialności pociągają Robustowa, grubego i małego człeka, o twarzy okrągłej i wesołych błękitnych oczach...

Niemasz śród nich ani jednego, żeby Foma o nim nie wiedział jakiej podłej sztuczki. Wszyscy zresztą zazdroszczą powodzeniu Kanonowa, wielu żyje w gniewie wzajemnym i żrą się ze sobą bez litości w sprawach kupieckich. Znają oni swe ohydne sprawki, ale teraz, zebrani około swego amfitryona, w tryumfie i chwale zwarli się w spójną ciemną ciżbę i łączyli swe tchnienia w skupieniu, owiani jakąś siłą niewidzialną a nieskruszoną, siłą, co odstręczała Fomę, lecz budziła w nim lęk i onieśmielenie.

— Oszuści — myślał, niecąc w sobie odwagę.

Oni zcicha pochrząkiwali, wzdychali, żegnali się, bili pokłony i otoczywszy popów zwartą ławą, stali twardym murem nakształt wielkich czarnych skał.

— Udają — myślał. A oni szerokimi rozmachami rąk kładli gęsto znamię krzyża na piersiach, a na obliczach wszystkich jaśniało jedno uczucie: wiary w moc modlitwy...

Po nabożeństwie zaś obsiedli stoły pełne przekąsek i roz-

koszowali się widokiem sążnistego jesiotra, smacznie osypanego zieloną sałatą i rakami. Zubow, podwiązując serwetkę, wesoło i słodko mrużył oczy ku potwornej rybie, mówiąc do sąsiada:

— Patrzaj, wieloryb! Mógłby, jak nic, być futerałem dla ciebie — co? Zmieścisz się, jak noga w bucie — cha, cha!

Malutki i okrągły Jona ostrożnie wyciągał króciutką rękę do srebrnego cebrzyka ze świeżym kawiorem, pożądliwie cmokał wargami i z ukosa spoglądał na butelki...

Naprost Kanonowa wznosiła się półwiadrowa beczułka starki, sprowadzonej z Polski; w ogromnej szczeżui, srebrem okutej, spoczywały ostrygi, a ponad wszystkiem górował różnobarwny pasztet w kształcie wieży"...

Po chwili zaczęły się mowy. Wybornie charakteryzują one nadwołżańskie kupiectwo w oświetleniu Gorkiego. Streszczam wiernie obie. Majakin prawi mniej więcej temi słowy:

— Gazety piszą, że my kupcy z kulturą nieobeznani, żeśmy dzicy. Cóżto jest kultura? Słowo to oznacza zamiłowanie czynu i ładu w życiu. Kulturnym tedy jest ten, kto lubi urządzać życie, kocha je, zna jego cenę, a także i własną wartość. Jeżeli tak — toć do nas właśnie stosuje się rdzeń i istota słowa; my lubimy czyn, inni zaś tylko łupinę słowa. Dowodem naszej kultury, panowie kupcy, jest Wołga. Ona, rodzona nasza matka, może każdą kroplą swej wody głosić naszą chwałę. Tysiąc parostatków pruje jej fale, tysiąc barek z ładugą pokrywa jej zwierciadło, a wszystkie są owocem naszego rozumu i zamiłowania czynu. Które miasto na Wołdze największe? To, gdzie najwięcej kupców. Czyje domy w miastach najpiękniejsze? Kupieckie. Kto dba najbardziej o ubogich? Kupcy. Kto świątynie powznosił? My. Kto państwu najwięcej daje pieniędzy? Kupcy.

A kto się na nas miota, niechaj się miota. Wieje wiatr — szumi łoza, ustał wiatr — milczy łoza. Nikomu korzyści nie da ona — i dlatego szumi.

Co do nas — my urządzamy życie!"

Potem entuzyastyczne okrzyki, przerywane gromkiem przekleństwem Fomy, który w taki sposób zwracał na siebie uwagę i jednał mowie swej posłuch.

— O, podli! — wołał Gordiejew. — Coście zdziałali? Nie życie urządziliście, lecz więzienie, nie ład wprowadzacie, ale kujecie pęta dla człowieka. Duszno, ciasno, niema się gdzie obrócić żywej duszy... Człowiek ginie, tryumfuje bydlę pomiędzy wami i dzięki wam... Wyście urządzili życie? Kto jesteście?

„Kanonow! Rychłoli cię osądzą i skażą za małoletnią? Do ciężkich robót zeszlą; nadaremnie statki budujesz... Na Sybir popędzą...

„Guszczin! Dajesz jałmużnę rodzinie? Dawaj choć po kopiejce dziennie: sześćdziesiąt siedm tysięcy ukradłeś u niej...

„A ty, Łup, może znów otworzysz lupanar i będziesz łupił gości? Czarci cię wnet obłupią... Z taką dobroduszną mordą dobrze być łotrem... Kogożeśto wtedy zamordował, Łupie?

„Zubow! Ilu ludzi puściłeś w świat z torbami? Śni ci się niekiedy ten, co to się przez ciebie udławił? Czy prawda, że w czasie każdego nabożeństwa kradniesz dziesięć rubli z puszki cerkiewnej?“ (IV, str. 362—373).

Tak mówił Gordiejew, aż wściekłe i oszalałe tuzy kupieckie rzuciły się na niego, związały serwetkami i chustkami i wtrąciły do kąta. Ale nastrój biesiady popsuł się szkaradnie...

Jakiżto smutny obraz kupieckiej etyki wyziera z powyższej sceny. Nie da się też zaprzeczyć, że Gorkij, nad miarę wrogo usposobiony względem tego stanu, widzi w nim wszystko złe. Cała powieść ma odtworzyć ujemną stronę kupiectwa: ani w niej zresztą fabuły ani akcyi. Snuje się w niej szereg obrazków najpierw z życia chłopa Ignata, który rozumem, dziką i niepohamowaną energią, przebiegłością, niekiedy gwałtem i przemocą dochodzi do wielkiego majątku, a potem syna jego, Fomy, gwałtownika także ale marzyciela, lubiącego rozmyślać nad sobą i ludźmi. W swoich wybrykach bywa Foma melodramatyczny, w myślach i marzeniach niekiedy cudaczny i donkichotowski, walczy z wiatrakami, w występach jak powyższy— nawet śmieszny; pomimo tego autor otoczył go swą sympatyą, wiele razy przyznawał mu słuszność, umyślnie jaskrawo oświetlał zgniłą i materyalistyczną filozofię Majakina, aby tem ko-

rzystniej uwydatniła się postać Fomy. Z takiego ojca jak Ignat — cynik, szalony pijak, z takiej matki jak melancholijna, małomowna i dumna Natalia i pod wpływem takich nauk, jak cyniczne rozważania Majakina — wyrósł pół-marzyciel, pół-Donkichot, pół-waryat, ale serce szlachetne, dusza namiętna i uczuciowość w oburzeniu i gniewie głęboka.

(Dok. nast.)

Antoni Mazanowski.

PROTESTANTYZM O ZMARTWYCHWSTANIU CHRYSTUSA.

(Dokończenie).

Przejdźmy do drugiego: co rozumieli uczniowie Jezusa przez Jego zmartwychwstanie? Może tu teorya wizyi znajdzie racyę bytu. Dajmy w odpowiedzi pierwszeństwo Holstenowi. Według niego apostołowie rozumieli, że przez zmartwychwstanie Jezusa dusza Jego przyoblekła się na nowo w ciało z świetlanej materyi, które posiadała przed przyjściem na świat!? podczas gdy Jego Ciało ziemskie w grobie uległo zniszczeniu (S. 126 ff.).

Ze zdumienia można oczy przecierać, czy one nie łudzą, bo przecież wszystkie Ewangelie mówią, że Chrystus z grobu powstał, który próżnym znaleziono. Czyżby Holsten miał jakie rewelacye lub zrobił ważne odkrycia w dziedzinie historyi? Ni jedno ni drugie, sam się przyznaje, tylko przypuszcza, że to, co opowiadają Ewangelie, powstało z późniejszych podań ludowych, a na początku inną była wiara tak apostołów, jak pierwotnej gminy. Posiadano tylko te świadectwa zmartwychwstania, jakie św. Paweł podaje (I Kor. 15) na podstawie opowiadań jerozolimskich. Ponieważ jednak tenże apostoł zasadza wiarę nie na zmysłowej pewności, lecz na ufności we wszechmoc Bożą w zmartwychwstaniu Jezusa [1], przeto widzenia apostołów nie mogą być zmysłowemi, tylko tak, jak jego, wizyami wyłącznie, żadne ἐφανερώθη ἐν σάρκι, tylko ὤφθη ἐν ὀπτασίᾳ. Wielki

---

[1] Rz. 4, 20; 10, 9–10.

też w Jeruzalem musiał popłoch powstać, kiedy się dowiedziano, że tak różna Ewangelia Pawła na jednakowej z Piotrową spoczywa podstawie. Trudną była sprawa, nauka ta, tak sprzeczna z osobistą nauką Chrystusa, dyalektycznym dowodom zawsze się opierała, by ją więc pokonać, potrzeba wpierw było zachwiać jej podstawy. Lecz te były tak rzeczywiste i pewne, jak i apostolskie „wizye Chrystusa", na których wzrosła wiara Kościoła. Znaleziono sposób zapomnienia rzeczywistości, której odeprzeć nie było można. Powoli więc zaprzestali mówić o widzeniach Piotra i innych apostołów, a zwracano się tylko do pierwotnego pożycia z Chrystusem i to miało świadczyć o prawowierności apostoła.

Ponieważ jednak trudno było nauczać bez świadectw zmartwychwstania, utworzono z czasem nowe, już nie wizyjne ale cielesne widzenia, te, które podają Mateusz i Łukasz. Wizya więc Piotra zupełnie jest zapomniana w trzymającym stronę Żydów Mateuszu, podaje ją jednak uczeń Pawła, Łukasz w swojej Ewangelii, a w Dziejach apostolskich kreśli wizyę Pawła w sposób zupełnie cielesny. I woła z emfazą Holsten przy swem εὕρεκα, że głuche milczenie w Ewangelii Mateusza o widzeniach jerozolimskich jest głośno mówiącem świadectwem o wierze pierwszych chrześcijan w wizyjne tylko tak Piotra jak i Pawła oglądanie Chrystusa [1].

Na pojedyncze punkty uwag holstenowskich odpowiadać nie będziemy, bo rzecz całą za zmyśloną uważać musimy. Wypada tylko zaznaczyć co do podań ludowych, jakie liberalni protestanci widzą w Ewangeliach powszechnie, a wierzący dość często, że jest rzeczą niemożliwą, by one do opowiadania Ewangelii dostać się mogły za czasów apostolskich, w kraju, gdzie oni żyli i nauczali. Sami przecież nowsi liberalni „krytycy" przyznają powstanie Ewangelii za życia apostołów. Jeśli się więc zważy, jak oni pilnie czuwali nad nauką w najdrobniejszych odcieniach — a widzimy to z listów św. Pawła — to twier-

[1] *Zum Ev. P. et. Petr.* S. 119 ff., 156 ff.

dzenie o podaniach ludowych w najlepszym razie musimy uważać tylko za nierozumne.

Przypuśćmy jednak na chwilę, że jest prawdą to, co Holsten dalej twierdzi. Jaka tu dziwna logika. Przedstawia sobie Holsten pierwszych kapłanów Chrystusa jako dyplomatów, naturalnie przy biurku przetrząsających dokumenty, dotyczące spraw Kościoła, a nadto w oczach jego są oni również sprytnymi politykami, bo dokumentów, choć prawdziwych lecz niedogodnych, zręcznie pozbywać się umieją! Ależ ci kapłani krwią tylko i potem dokumenty pisali, w trudach i pracach Kościołem rządzili, bardzo możliwe, że zacni rybacy pisać nie umieli. Jak więc można ludziom prostym a przytem tak prawego i silnego charakteru, za jakich apostołów i Holsten uważa, takie rzeczy podsuwać. Przecież Łukasz św. nie był obowiązany wyliczać widzeń tak, jak są podane u św. Pawła w 1 Kor. 15. Św. Paweł opuścił tylko objawienie się Chrystusa Pana uczniom do Emaus idącym i zjawienie się dnia trzeciego niewiastom. I tem się gorszy Holsten i na tem opuszczeniu buduje swą teoryę! Lecz nic śmieszniejszego jak tłumaczenie widzeń mianych przez niewiasty w tłumaczeniu protestanckiem. Jedni się niemi gorszą i nie chcą w zmartwychwstanie wierzyć, bo je pierwsze niewiasty widziały, inni je tłumaczą przez wizye fantastyczne, bo kobiety do tego skłonne, a szczególniej Marya Magdalena, która histeryczką była. Keim i Weizsäcker krótko się załatwiają, bo uważają je za tendencyjne podanie, powstałe tylko dlatego, by zdarzenia uczniów wyjaśnić i dotykalnie przedstawić [1]. Apologeta Schmidt ma pewne wobec tego wątpliwości i mówi, że dopiero objawienia apostołów odważono się uznawać za pewny dowód zmartwychwstania [2]. Inni znów uważają tę wiadomość za zmyśloną przez uczniów, a to dlatego, że oni wątpili początkowo w rzeczywistość objawienia [3], chcieli się więc później usprawiedliwić, dodając, że to z winy niewiast, bo one nikomu

---

[1] *D. Apostel Zeitalter*, S. 8.
[2] L. c. 427.
[3] Mat. 28, 17.

o widzeniu i rozkazie anioła nic nie powiedziały[1]. To znów Holsten dziwi się, czemu o nich św. Paweł nie mówi. Jednak św. Paweł w zupełnie innych warunkach pisał list do Koryntyan. Ci nie wątpili o rzeczywistem zmartwychwstaniu Chrystusa, tylko o zmartwychwstaniu przyszłem powszechnem. Św. Paweł, biorąc zmartwychwstanie Chrystusa za porękę naszego, wspomina tylko mimochodem niejako o tem, co było, dając fundament, z którego miał udowodnić przyszłe zmartwychwstanie. I na tych znanych powszechnie powołuje się świadków zmartwychwstania, którzy zarazem Jego byli głosicielami. Mówi o tem apostoł po wyliczeniu objawień Chrystusa εἴ οὖν ἐγώ, εἴτε ἐκεῖνοι, οὕτω κηρύσσομεν (w 11), a ponieważ niewiasty nie miały nic do mówienia w głoszeniu Ewangelii, przeto o nich apostoł nic nie wspomina. Rzecz zupełnie jasna. Mimoto jednak Holsten wysnuwa z tego swoje *argumentum e silentio!*

W liście do Rzymian 4, 10 widzi Holsten potwierdzenie swej teoryi, bo Paweł św. porównywa ze swą wizyą widzenia apostolskie, zasadzając wiarę nie na zmysłowej pewności, tylko na ufności w zmartwychwstanie Chrystusa. Znów się swym oczom nie wierzy, bo ten sam autor stanowczo przed chwilą twierdził, że istotną cechą wizyi, a więc objawień Chrystusa, to absolutna, zmysłowa, jasna świadomość, z jaką się przedstawia obraz w wizyi z obrazem w świecie realnym[2].

Tu można poznać wartość autora, który jednym i tym samym argumentem dwa wprost przeciwne udowadnia twierdzenia! Już byłoby dosyć, bo sam autor swej teoryi cios śmiertelny zadał. Ale pójdźmy dalej, pominąwszy błędne jego zastosowanie, bo w danym wypadku nie mówi apostoł „o zasłudze wiary“, tylko o koniecznem warunku wierzenia, że Chrystus zmartwychwstał. Przejdźmy do przerażenia powstałego z powodu przeciwieństwa Ewangelii Piotra z nauką Pawłową, wskutek czego następnie zapomnieć musiano objawienie księcia apostołów. Bezstronna krytyka wykazuje, że nigdy nie było zasadniczej różnicy

---

[1] Mar. 16, 8.
[2] Cfr. Holsten: *Zum Ev. P. u. Petr.*, S. 121 f.

między tymi apostołami, wykazano już nieraz bezpodstawność tej często powtarzającej się hipotezy, którą Beyschlag do dziedziny bajek zalicza [1].

Zostawmy na chwilę Holstena przy jego twierdzeniu. Czyż można przypuścić, że zdarzenie tak ważne mogłoby uledz umyślnemu zapomnieniu? Czyż nie było innych środków pokonania sprzecznej nauki? Przecież można było odpowiedzieć, że samo oglądanie Zmartwychwstałego Mistrza nie daje jeszcze prawa do apostolatu, bo i 500-set Go widziało, a nie wszyscy są apostołami. Jednak na tym punkcie wszelkie dysputy byłyby zbyteczne, bo przecież na zmartwychwstanie powoływał się św. Paweł, by udowodnić, że i on ma Ducha Bożego, że jest apostołem, ale nigdy tem nie uzasadniał odmiennego sposobu swego nauczania. Udowadniał tylko, że nauka taka, jaką on ogłasza, jest w swych pierwiastkach w Starym Testamencie.

Po tem wszystkiem Holsten sam się wreszcie ośmiesza, bo chce, by zdarzenia prawdziwe zapomniano umyślnie na to, by potem było można wymyślić kłamliwe. I to zrobili ludzie, którzy w torturach życie skończyli dla swej silnej wiary! Na to prócz ironii niema odpowiedzi. Tak więc pojęcia Żydów o wizyi przeczą teoryi Holstena, a z tego, co uczniowie przez zmartwychwstanie Chrystusa rozumieli, jasno wynika, że było ono połączeniem się duszy z ciałem uwielbionem i powstaniem z grobu. Ale Holsten powołuje się jeszcze na wiarę w zmartwychwstanie u faryzeuszów i ludu, a więc i taką samą także u apostołów i tak przedstawia wiarę św. Pawła w zmartwychwstanie Chrystusa: „Chrystus, człowiek z nieba, który jako duch Boży istniał już przedtem w otoczeniu Boga, w ciele niebiańskiej świetlanej materyi (σῶμα ἐπουράνιον, πνευματικὸν), w dopełnieniu jednak czasu stąpił na ziemię, przyjął ciało ludzkie σῶμα ψυχικόν, ἐπίγειον, ἐν ὁμοιώματι σαρκὸς ἁμαρτίας i okazał się w Jezusie Synu niewiasty. W Jego śmierci krzyżowej νέκρωσις τοῦ Ἰησοῦ, gdzie umarło σῶμα ψυχικόν, oddzielił się duch Chrystusa πνεῦμα τοῦ Χριστοῦ od ciała ziemskiego i przebywał w szeol od

[1] Beyschlag: *Stud. u. Kr.*, 1870, l. c. 215 ff.

piątku do niedzieli, jako umarły w pośród umarłych, dnia jednak trzeciego moc Boża wyprowadziła Go z kraju umarłych i przyoblekła innem ciałem niebieskiem świetlanem ἕτερον σῶμα πνευματικόν i wyniosła Go ponad nieba, gdzie po prawicy Bożej siedzi i na wieki króluje" [1].

Tak przedstawiali sobie Paweł i inni apostołowie Chrystusa Zmartwychwstałego wskutek wizyi, w których na Niego patrzyli, a te wizye oznaczały im Chrystusa do nieba wzniesionego i w Swem świetlanem Ciele przez otwarte niebo do nich zstępującego [2] i to dlatego, by im okazać, że On mimo śmierci krzyżowej żyje i jest Mesyaszem [3].

Według Józefa Flawiusza Żydzi nie wierzyli w ożywienie ziemskiego ciała, tylko w μεταβαίνειν τῆς ψυχῆς εἰς ἕτερον σῶμα.

Lecz mu Beyschlag [4] wykazuje, że błędne to mniemanie, bo tu mowa zupełnie o innem zmartwychwstaniu, o tem, jakie będzie w dzień ostateczny, a nie o takiem, jak Chrystus zmartwychwstał w trzecim dniu po śmierci. Pomijamy już fakt, że Józef jest podejrzanym świadkiem dogmatów, lecz chociażbyśmy przypuścili nawet, że zarzut Holstena jest dobrze zastosowany, to Józef [5] mówi, że „dusze są nieśmiertelne i dobre mogą na nowo ożyć ῥαστώνην τοῦ ἀναβιοῦν albo przejść w inne ciało μεταβαίνειν εἰς ἕτερον σῶμα, podczas gdy źli wieczne ponoszą kary". Udowodnił więc Holsten, że ciało będzie zmienione, wolne od niedoskonałości, na to chętnie się zgadzamy, ale czekaliśmy, by wynik się okazał, że to ciało przyszłe nie powstanie wcale z obecnego ziemskiego. Niestety tego niema, a co gorsza, Stary Testament mówi wyraźnie, że dusze przyobleką się w dawne ziemskie ciała. U Izajasza 26, 19 czytamy: „zwłoki zmartwychwstaną", u Daniela 12, 2 „wielu z tych, którzy śpią w prochu ziemi, zbudzi się, jedni do żywota wiecznego, a drudzy na hańbę".

---

[1] Holsten: *Z. Ev. P. u. Petr.* S. 128 ff.

[2] L. c. S. 9 u. 73.

[3] L. c. S. 234 u. 8.

[4] *St. u. Kr.* 1870, l. c. 219 ff.

[5] *Ant.* 18, 1, 3 i *Bell. iud.* 2, 8, 14.

W drugiej księdze Machabejskiej (7, 11) wyraźnie jest zaznaczona identyczność ciała ziemskiego z ciałem zmartwychwstałem ἐξ οὐρανοῦ ταῦτα κέκτημαι καί διὰ τοὺς αὐτοῦ νόμους ὑπερορῶ ταῦτα, καί παρ' αὐτοῦ ταῦτα πάλιν ἐλπίζω κομίσασθαι (podobnie rozdz. 14, 46 Ezech 37). Jeśli więc uczniowie, jak słusznie przypuszcza Holsten, podzielali starozakonne, ludowe, faryzejskie przekonania o zmartwychwstaniu, to przez zmartwychwstanie Chrystusa nie mogli nic innego rozumieć, jak tylko powstanie z grobu ożywionego ciała, naturalnie wolnego już od ziemskich niedoskonałości, a tylko uwielbionego [1]. A tak właśnie przedstawiają Zmartwychwstałego Chrystusa wszystkie Ewangelie. To potwierdzają sami stróże grobu, to potwierdza grób próżny.

a) Grób próżny, stróże grobu.

O grób próżny rozbijają się wszystkie twierdzenia teoryi wizyi. To też Strauss omija go zdaleka, przypuszczając, że był nieznanym. Harnack nie uznaje historyczności próżnego grobu, „bo przy nim aniołowie się okazują“! [2] Schenkel, choć przeciwnik zmartwychwstania, przyznać jednak musi, że grób próżno znaleziony jest faktem, którego zaprzeczyć nie można [3]. Na nim opierają się apologeci, biorąc go za główny dowód przeciw teoryi wizyi [4].

Stróże jednak grobu dla wielu protestantów są tylko mitem, podaniem ludowem. Nawet według apologety Bern. Weissa [5] lub według Holstena, dodatkiem ostatniego autora, który opracował

---

[1] Cfr. Schniltz: *Alttestamentl. Theologie* 1878, S. 807 ff. — Weber: *System der altsynag. paläst. Theologie*. Leipzig 1880, S. 352 ff.

[2] *Dogmg.* I B., III, 82.

[3] Schenkel: *Das Charakterbild Jesu*. Wiesbaden 1864, 321.

[4] Christlieb: *Moderne Zweifel am christlichen Glauben*. Rom 1870, S. 572. — Beyschlag: *Vortrag über die Auferstehung Christi*, 1865, S. 67—69. — Gebhardt: *Die Auferstehung Christi und ihre neuesten Gegner*. Gotha 1864, S. 19, 21. — Krauss: *Die Lehre von der Offenbarung*. Gotha 1868, S. 302 ff. — Paul: *Über die geschichtliche Beglaubigung einer realien Auferstehung Christi nach den neutestamentlichen Berichten. Zeitschrift f. w. Th.* 1863, S. 182—209. — Güder: *Die Thatsächlichkeit der Auf. Christi und deren Bestreitung*. Akad. Vortrag, Bern. 1862.

[5] L. c. III, 1888, 553.

Ewangelię Mateusza. Jednak dlaczego? bo zbyt jasne świadectwo dają poznanej prawdzie. Dobrze, lecz każdy przyznać musi, że Ewangelia św. Mateusza, o tem traktująca, powstała wcześnie, bo jeszcze przed zburzeniem Jerozolimy, potwierdza to ścisły związek zburzenia miasta świętego z przyjściem na sąd Chrystusa w mowie eschatologicznej. A wtedy już jako stary znany był wybieg Żydów, że „uczniowie ciało wykradli". Nie przyjmują przeciwnicy Ewangelii św. Jana, bo zbyt dobitnie mówi o Bóstwie Chrystusa, którego oni Bogiem nie uznają, a tam jest wzmianka, że Piotr razem z Janem stwierdzili grób próżny (20, 4—8). To znów uciekają się do wybiegu, że początkowo wcale się nie troszczono o Ciało Chrystusa. Lecz czy można wreszcie przypuścić, by uczniowie, tak sceptycznie usposobieni, że do ostatniej chwili w zmartwychwstanie nie wierzą, nie zadali sobie tyle trudu, by do grobu zaglądnąć, co się z Ciałem dzieje, a zwłaszcza że grób był własnością przyjaciela. To też uczniowie, idący do Emaus, świadczą, że grób znaleziono próżny. Gdyby jednak uczniowie grobu nie zwiedzili [1], to z pewnością Żydzi zrobiliby wszystko, by tylko wykazać, że Ciało jest w grobie. A oni używają zrozpaczonego środka o wykradzeniu Ciała przez uczniów Chrystusa, a dają im to świadectwo śpiący stróże grobu. Więc ci przebiegli Żydowie, co wszystko zrobili u rządu, by ukrzyżować Najniewinniejszego, byliby tak bezsilni wobec prostych rybaków, żeby nie mogli im nic więcej uczynić, jak tylko zakazywać, by o zmartwychwstaniu dalej nie uczyli. Jak rozpaczliwa bezsilność u nich się maluje. Mówią do apostolów: „Napełniliście Jeruzalem swoją nauką i krew tego człowieka na nas sprowadzacie! Czyżeśmy wam nie zagrozili surowo, żebyście o tem Imieniu nic więcej nie uczyli?" [2]. I nie znaleźliby Żydzi sposobu wykazania rzeczywistej kradzieży, tylko poprzestali na rozszerzeniu wieści fałszywych. A przecież nauka Chrystusa była przedstawiona jako bunt przeciw rządowi a bluźnierstwo Jehowie. Apostołowie więc jako buntownicy

[1] Christlieb, l. c. S. 573.
[2] Dzieje Ap. 5, 28.

byliby oskarżeni o zbrodnię stanu za wykradzenie Ciała, gdyby tylko najmniejsze znalazły się dowody i sprawa by się skończyła, bo rząd rzymski buntowników nigdy nie oszczędzał. A jednak ani śladu wzmianki o podobnej skardze. Widocznie i Żydzi byli przekonani o rzeczywistości faktu. A kiedy św. Piotr w dni 40 potem publicznie wobec świata całego zarzuca Żydom, że Chrystusa, którego oni ukrzyżowali, Bóg z martwych wskrzesił i Ciało Jego nie uległo zniszczeniu, przecież na widok tysięcy porzucających faryzejską wiarę nie było lepszego środka, jak tylko wykazać, że Ciało w grobie zostało.

Żydzi jednak wszelkich chwytają się środków, nawet najniegodziwszych, a tego nigdy, bo był widocznie niemożliwy. Również odpowiedzi „wyższej krytyki" na ten punkt tak wielkiej wagi są więcej jak naiwne. Tu jako obrońca Żydów zabiera głos Fr. Dawid Strauss, twierdząc, że Chrystus był pogrzebany na nieodpowiedniem miejscu, gdy więc po dniach 40 wystąpili uczniowie z kazaniem, nie było już możliwem wynalezienie Jego Ciała [1]. Inni znów mówią, że przy południowej ciepłocie po dniach 40 Ciało zupełnie już się rozłożyło.

Ależ było przecież balsamowane! To znów Schweizer chwyta się wybiegu, by nie uznać cudu, że nieznani przyjaciele Chrystusa bez wiedzy uczniów przenieśli Ciało do innego grobu. Lecz tę jego zmyśloną historyę odrzucają z oburzeniem Christlieb i Beyschlag. Taka fabrykowana pomoc nowej religii, bez wiary w nią samą, jest tylko możliwą w urojeniach ośmnastego wieku".

Lecz i w dwudziestym są jeszcze takie bajki historyczne: Bo wiara w Zmartwychwstałego, która opanowała świat cały i stanowi epokę w dziejach, zawisła jest od przypadku albo oszukaństwa!

A przecież sam Strauss wyśmiał Schleiermachera, który podobnym przypadkiem tłumaczył powstanie chrześcijaństwa [2].

Inni żydowscy obrońcy przeszli samych Żydów; w ich twier-

---

[1] *Leven Jesu fürs deutsche Volk*, S. 312.
[2] Cfr. Schlottmann, l. c. S. 46.

dzeniach Żydzi to niewinne baranki, nie poszli stwierdzić próżnego grobu, bo się obawiali stać się nieczystymi. Dzień wielkopiątkowy głosi ich niewinność. Z Beyschlagiem więc powiemy, że żaden rozumny człowiek w tę obronę nie wierzy[1].

Nie zastanawiają się stronnicy teoryi wizyi, że ona u uczniów już zaraz powstała na pierwszą wiadomość o zmartwychwstaniu, a jednak oni sami wkrótce ją odrzucili. Nie wierzą oni ani opowiadaniom niewiast, że Chrystusa widziały, bo nie tylko o ich opowiadaniu, ale o ich rozumie powątpiewają lub też uważają te wieści za proste tylko zmyślanie; nie wierzą w widzenia świadczących aniołów, nie wierzą jedni drugim, bo ten fakt, dla nich tak bardzo niepojęty, wydaje się wyłącznie wizyjnem tylko zjawiskiem. Dopiero gdy Chrystus z nimi rozmawiał, brał chleb i pożywał, Sam ich przypuszczenia o wizyi odparł, pozwolił dotykać się ran na krzyżu zadanych, wtedy się przekonali, że Ciało, które widzą, jest tem samem, co było i dawniej przed śmiercią.

b) Dzień trzeci.

Nadto jeszcze przeciw teoryi wizyi subjektywnej występuje silnie fakt historyczny, potwierdzony również i przez Pawła św., że „Piotr i inni uczniowie ‚dnia trzeciego‘ widzieli Chrystusa“. Poznał tę trudność Strauss, dlatego też wiele się natrudził, by ją nieszkodliwą uczynić; przyznaje, że „dzień trzeci“ znanym był już uczniom i od nich nawet przyjętym, lecz nie miał nigdy historycznych podstaw[2]. Tłumaczy go tedy, że użyty jest jako przysłowie[3]. Zapomina tylko, iż już w czasach apostolskich święcono niedzielę na cześć zmartwychwstania Chrystusa, a więc „dzień trzeci“ użyty nie przysłowiowo, tylko matematycznie. Lecz nawet współwyznawcy Straussa nie zgadzają się na jego twierdzenie. Holsten[4] i Hilgenfeld[5] uważają

---

[1] Beyschlag, l. c. 229.
[2] *Leben Jesu f. d. V.* S. 316—317.
[3] Podobnie H. l. Holtzmann: *Neutestamentliche Theologie.* S. 309.
[4] *Zum Evangelium des Paulus und des Petrus.* S. 234.
[5] *Zeitschrift für wissenschaftliche Theologie.* 1864. S. 97.

to za bardzo trudną do pokonania sprawę i że najprawdopodobniej pierwsze objawienia były dnia trzeciego. Dlatego, jak zauważył już Christlieb, historycznie stwierdzony dzień trzeci usuwa wszelką podstawę teoryi wizyi, bo do jej powstania dłuższego jak półtora dnia potrzeba było czasu [1].

Steude jednak z tem się nie zgadza i nie widzi żadnego przeciwieństwa dla powyższej teoryi [2].

Christlieb podnosi jeden jeszcze moment, zwykle używany jako argument przeciw teoryi wizyi, a mianowicie, że niemożliwem jest, by naraz miało wizye kilku, nawet setki ludzi w różnych porach dnia, przy różnych zajęciach, o różnych temperamentach [3].

Steude mu na to odpowiada, że ten tylko może tu niemożliwość widzieć, kto o wizyach nie ma żadnego wyobrażenia, bo możliwość jest historycznie stwierdzoną [4].

Przekonanie o zatraceniu podstaw chrześcijaństwa i próby ratunku [5].

Weźmy pismo Reischlego [6]. Zadaje sobie pytanie, na jakiej podstawie może być pewny prawdziwości zmartwychwstania? Odrzuca zapewnienia apostołów, iż Chrystusa żywego widzieli i przekonali się o tem, bo to nie jest samodzielna ewangeliczna wiara, tylko wiara na podstawie cudzej powagi [7]. Nie przemawia mu również nauka Kościoła, bo taka wiara byłaby już zupełnie nie ewangeliczną i owszem uważa za radosny objaw opieranie się podobnym żądaniom.

Lobstein wprawdzie [8] unosi się nad motywami podniosłymi,

---

[1] Christlieb: *M. Z. d. chr. Gl.* S. 571.

[2] Steude l. c. S. 266.

[3] Christlieb l. c. S. 567—568.

[4] Steude l. c. S. 274.

[5] Wypuszczamy w tem miejscu rozdział o wizyi objektywnej, który czytelnicy znaleźć będą mogli w osobnem dziele, przygotowującem się do druku.

[6] L. c. *Der Streit.* 201.

[7] Cfr. Harnack: *Dogmg.* I. B III. A. S. 82; „Auf die Erscheinungen, die Andere gehabt haben zu glauben, ist ein Leichtsinn".

[8] L. c. 365.

religijnymi i uczuciowymi, skłaniającymi do wierzenia w zmartwychwstanie, lecz Reischle[1] odpowiada, że to zupełnie niepewna podstawa dla trzeźwego myślenia, a graniczy za blizko z fantastyczną illuzyą.

Z przerażeniem patrzy się Lobstein na potop niewiary, gwałtownie grożący i z każdą chwilą większe przybierający rozmiary w protestantyzmie. Już w falach jego znika autentyczność Ewangelii, resztki, jakie pozostały, są dla nich pismem lichej i niepewnej ludzkiej wartości. I te resztki z sobą tak układają, że wszędzie widzą późniejsze podania, wszędzie sprzeczności. Bronią się jeszcze listem św. Pawła pierwszym do Koryntyan.

To dla nich arka Noego na punkcie zmartwychwstania wśród ogólnego zalewu. Lecz już i na tę arkę przymierza bałwany „wyższej krytyki“ silnie nacierają. Z rozpaczą więc pyta się Lobstein[2] zgromadzonych pastorów, cóż będzie wtedy, gdy w szerszych kołach znajdzie rozgłos usiłowanie, by wykazać ten list także jako nieautentyczny? By uniknąć niebezpieczeństwa, podaje gorliwy p. Lobstein, jako jedyną deskę ratunku dla wszystkich bez wyjątku osobiste doświadczenie na punkcie zbawienia[3]. Jednak, czy z rozpaczy czy z zakłopotania nie dowierza sam nawet, czy to pewne wyjście. Bo zaraz dodaje[4], jeśli wiara chrześcijanina w Zmartwychwstałego Pana na gruncie naszego doświadczenia stanie się własnością życia, to „może“ niejeden uzyska podstawę w tem doświadczeniu zbawienia. Zapewne te podstawy wiary są u protestantów już bardzo zachwiane, a raczej zupełnie utracone. Nie mamy prawa nie dowierzać Lobsteinowi, jeśli on mówi o uzyskaniu podstaw, to na pewne uważa je już za stracone. Więcej jaskrawo jeszcze kreśli smutny stan religii swoich współwyznawców Haupt, przyznając, że nikną im podstawy, na których

---

[1] L, c. *Der Streit.* 202.
[2] L. c. 360.
[3] *Die persönliche Heilserfahrung* l. c. 360—361.
[4] L. c. 361, 3 wiersz z góry i następne.

dotąd budowali całe swe chrześcijaństwo, porównywuje ich obecne uczucia do człowieka już już muszącego zatonąć[1].

O ratunku też wielu protestantów myśli, złe pragną usunąć, różnych próbują sposobów. Ale i naukę Lobsteina o pewności zmartwychwstania, nabytej z doświadczenia, wkrótce odrzucił Reischle[2], a przyjął jako tylko jedyną podstawę dla pewności wiary wrażenie otrzymane ze zbawczej osoby Jezusa w Jego istnieniu i działalności (?). Bo tylko z zaufania do zbawczej osoby Jezusa rośnie ta pewność, że widzenia uczniów nie były złudzeniem zaburzonej fantazyi, lecz były czynem przez Boga zdziałanym[3]. I pięknie dalej mówi prof. Reischle o ważności zmartwychwstania, lecz niestety niedługo mógł się cieszyć laurami swej pracy, bo już w parę miesięcy prof. Häring zwątpił „w tę tylko jedyną podstawę dla pewności wiary“. Zarzuca Reischlemu, że nie uważa w ścisłem słowa znaczeniu zmartwychwstania Chrystusa za podstawę wiary[4]. Następnie nie wierzy, by reischlowska podstawa wiary była rzeczywiście tak silną, iżby na niej można było oprzeć zmartwychwstanie, nadto by wogóle była dość silną i zdolną utrzymać chrześcijańską wiarę. W rzeczywistości prof. Reischle umieszcza misternie swoje chrześcijaństwo na siatce pajęczej, dając mu za podstawę wrażenie ze zbawczej osoby Chrystusa z zupełnem pominięciem Jego zmartwychwstania[5]. Słusznie więc zarzuca mu Häring, że bez objawień, jakie mieli uczniowie, niema ani owej Osoby ani Jej obrazu wiarę budzącego[6]. Tak więc prof. Reischle, usuwając na drugi plan zmartwychwstanie, odejmuje wszelkie podstawy chrześcijaństwu. Widzieliśmy, że uczniowie w ostateczności uwierzyli w Bóstwo Chrystusa tylko w skutek Jego objawień. Sami

---

[1] Haupt: *Die Bedeutung der heil. Schrift für den evangelischen Christen.* Bielefeld und Leipzig. 1891. L. 48.

[2] L. c. *Der Streit,* 202 nast.

[3] L. c. *Der Streit* 207 i nast.

[4] Häring: *Gehört die Auferstehung* l. c. 335.

[5] Reischle: *Der Streit,* 221 nast.

[6] Häring: *Gehört die Auferstehung* l. c. 336.

nawet pierwsi reformatorzy uważali zmartwychwstanie za podstawę wiary. Ci zaś, którzy je odrzucają, dają tem samem dowód, że z chrześcijaństwem w gruncie rzeczy już nic nie mają wspólnego. Zupełnie zgadzamy się z Lobsteinem, powołującym się na Lutra [1], że wiara chrześcijańska nie składa się z kawałków ani nie jest sumą pojedynczych części składowych. Tak więc wiara w zmartwychwstanie Chrystusa nie jest pojedynczą częścią ani osobnym odłamem chrześcijaństwa, lecz tylko pewnem zastosowaniem, szczególnym sposobem przedstawienia i rozpamiętywania całego chrześcijaństwa [2]. Lecz obecnie pojęcie u protestantów o podstawie chrześcijaństwa, jako całości, jak mówi Harnack, zaćmiło się i zachwiał się cel praktyczny religii [3]. Prof. Reischle o podstawie chrześcijaństwa tak się wyraża [4]: podstawa wiary składa się z różnych kamieni podstawowych, które się wspólnie trzymają. Próżno więc prof. Harnack przestrzegał: biada nam, gdyby nasza wiara spoczywała na sumie pewnych części składowych [5]. Dlatego Häring zarzuca Reischlemu brak podstaw wszelkich, bo jeśli się oddzieli zmartwychwstanie, to niema żadnej wiary w osobę Chrystusa, bo tę wiarę utwierdziło dopiero zwycięstwo nad śmiercią [6].

Lecz chociaż prof. Häring tak stale przemawia za zmartwychwstaniem, jako podstawą chrześcijańskiej wiary, to jednak wspólnie z Reischlem podziela wątpliwości co do sposobu zmartwychwstania Chrystusa i Jego objawień się uczniom, czy to było cielesne zmartwychwstanie i takie okazywanie się, czy też tylko wizya objektywna [7]. Punkt ciężkości jednak zmartwychwstania Chrystusa tak według Ewangelii, jak i chrześcijańskiego życia, spoczywa jedynie w sposobie zmartwychwstania i objawienia się, a tym jest cielesne powstanie z grobu i takie oka-

---

[1] *Festpredigten.*

[2] Lobstein l. c. 350.

[3] Harnack: *Dogg.* III B. 785.

[4] Reischle, *Der Streit.* l. c. 209.

[5] *Das Christenthum und die Geschichte.* Leipzig 1895. S. 18.

[6] Häring: *Gehört die Auferstehung*, l. c. 341.

[7] Häring und Reischle: *Glaubensgrund und Auferstehung. Zeitschrift f. Th. u. Kr.* 1898. S. 130.

zywanie się uczniom. To przyznawali do niedawnych czasów apologeci protestanccy. Dziś już inaczej. Według Harnacka, zwanego apologetą chrześcijaństwa (!?) przez prof. Drewsa [1], postać, w jakiej Chrystus żyje, a więc w jakiej również i zmartwychwstał — nie należy do wiary. Cielesne zmartwychwstanie powstało tylko w wyobraźni dusz pobożnych, które ożywiało ich nadzieją co do ich własnej przyszłości. Dopiero później w chrześcijaństwie pomieszano całe pytanie o zmartwychwstaniu Chrystusa, jego sposobie i znaczeniu, bo się przyzwyczajono uważać życie jako pewną nadzieję z pominięciem Chrystusa. To w każdym razie nie jest po chrześcijańsku [2]. To znów gorliwy Lobstein, który z wielkim zapałem piętnował nadużycia zbyt postępowych pastorów, sam nawet nie przypuszcza, że w postępie swoim daleko innych wyprzedził. Nieszczęśliwy jego pomysł równouprawnienia teoryi wizyi ze zmartwychwstaniem cielesnem, użyty jako rozpaczliwy środek ratowania protestantyzmu, świadczy najdokładniej o jego wewnętrznym rozkładzie. Tak człowiek agonii blizki, przeczuwając swój koniec, wszystkiego się chwyta, za lekarstwo bierze, by tylko śmierć oddalić lub cierpienia skrócić, żadnemu lekarstwu nie wierzy, różnych rzeczy próbuje. Tak dziś z protestantami! [3]

Ks. dr. St. Trzeciak.

---

[1] *Die christliche Welt.* 1900. Nr. 46.

[2] Harnack: *Dogmengeschichte.* I B. Leipzig 1894. 83.

[3] Lobstein l. c. 364.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Mistrz Jakób z Paradyża i uniwersytet krakowski w okresie soboru bazylejskiego. Napisał *ks. Jan Fijałek.* 2 tomy. Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie. 1900 (Str. 448 + 423).

Poświęcając niniejszą pracę uniwersytetowi Jagiellońskiemu w pięćsetną rocznicę jego odrodzenia, nazywa szan. autor Jakóba z Paradyża słusznie największą chwałą krakowskiej wszechnicy w pierwszej połowie XV wieku. Tej gruntownej i wyczerpującej monografii mamy do zawdzięczenia, że mistrz Jakób pozostanie chlubą narodu polskiego, że zachłanność niemiecka nie zdoła go sobie przywłaszczyć za swego rodaka, jak usiłowała uczynić z Kopernikiem, Mateuszem z Krakowa i innymi. Ks. Dr. Fijałek dowodzi niezbicie, że mistrz Jakób z Paradyża urodził się około 1380 r. w Wielkopolsce z ubogiej wieśniaczej rodziny i dlatego młodość miał przykrą i ciężką. W 22 czy 23 roku życia, około 1402 wstąpił do zakonu Cystersów w klasztorze zwanym Raj, czyli Paradyż, który leżał nad rzeczką Paklicą, dopływem Obry, w dyecezyi poznańskiej. Pod nazwiskiem mnicha Jakóba z Paradyża (skąd się zwie powszechnie Paradyżaninem) w 40 roku życia wpisał się jako scholar na uniwersytet krakowski. Studya wszystkie odbył stosunkowo dość szybko, a na mistrza czyli doktora teologii był promowowany 29 stycznia 1432 r.

O jego działalności profesorskiej na tym uniwersytecie od roku 1432—1441 niewiele pozostało wiadomości. Równocześnie jako Cysters mogilski był magistrem nowicyuszów i wizytował wraz ze swoim opatem klasztory cysterskie w Polsce celem zaprowadzenia w nich po-

trzebnej reformy. Jego pisma ówczesne nad odrodzeniem ducha pobożności zakonnej mają charakter twórczy. „Nie tylko między profesorami krakowskimi, lecz wogóle wśród doktorów i pisarzy średniowiecznych mistrz Jakób pierwszy objął wszystkie temata życia klasztornego i dokładnie je wyłuszczył na przyjętych i uznanych powszechnie przez naukę kościelną zasadach i powagach, jakimi byli św. Augustyn, św. Hieronim, św. Bernard i św. Tomasz z Akwinu“ (t. I, str. 153). Zwalczał on po cichu niezdrową szkołę franciszkańską mistyczno-apokaliptyczną, której koryfeuszem był podówczas marzyciel Jan z Olivi.

Kazania uniwersyteckie i wizytacyjne do zakonników, tudzież rozprawy krakowsko-mogilskie stawiają bardzo wysoko mistrza Jakóba wśród pisarzy kościelnych XV wieku.

Od str. 154—444 mówi ks. Fijałek o stanowisku, jakie zajął krakowski uniwersytet wobec soboru bazylejskiego, kiedy tenże popadł w schizmę, odsądził od godności papieskiej Eugeniusza IV i wybrał antipapę w osobie Feliksa V. Teologowie nasi oświadczyli się za Feliksem V i soborem w Bazylei i wpłynęli na Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego i innych biskupów polskich, że ci na synodzie w Łęczycy 8 maja 1441 r. poszli ich torem wraz z rządem polskim.

Ponieważ autor sprawie soboru bazylejskiego i jego walce przeciw legalnemu papieżowi Eugeniuszowi IV poświęcił niemal dwie trzecie części tomu I i 44 str. tomu II, dlatego dzieło jego jest nader cennym przyczynkiem do dziejów Kościoła katolickiego, a szczególniej do dziejów jego w Polsce. Omówiona tu jest obszernie geneza traktatu teologów krakowskich o soborze, który wręczono Bazylejczykom. Mistrzowie nasi, a z nimi Jakób z Paradyża i jego uczeń św. Jan Kanty, podówczas bakałarz teologii, trzymali się twardo zasady, że soborowi wszelka władza duchowna, a więc i papieska musi podlegać [1].

---

[1] Propozycya X traktatu Paradyżanina o soborze, którą wraz z niektóremi innemi przejął Tomasz Strzempiński doktór dekretów do swej kompilacyi, przyjętej przez uniwersytet Jagielloński, a wręczonej przez Zbigniewa Oleśnickiego posłom soboru bazylejskiego, opiewa tak: „Nulla quantacumque dignitate praefulgerat persona, etiamsi papali, ad suum arbitrium solum dissolvere aut transferre aut revocare habet potestatem aliquod concilium generale, legitime congregatum, universalem Ecclesiam repraesentans“.

Prop. zaś XI brzmiała: „Omnes processus citationis, monitionis, suspensionis et depositionis ac declarationes eorundem in et contra pro tunc dominum Eugenium, nunc Gabrielem, per sacrum concilium Basileense

Nie dziwimy się, że w tej kwestyi pobłądził wraz z innemi zagranicznemi wszechnicami nasz uniwersytet, bo w owych smutnych czasach Kościoła nawet Święci mylili się i należeli do obedyencyi antipapieży. To wcale nie odejmuje krakowskim teologom i wszechnicy polskiej owego uroku, jaki posiadała u swoich i u obcych, bo istotnie położyła względem Kościoła wielkie zasługi, powstrzymując od granic Polski niebezpieczeństwo zarazy husyckiej. Pięknie też mówi o tem autor, omawiając (na str. 430—441, t. I) z wyższego punktu widzenia stanowisko mistrzów jagiellońskich wobec wypadków bazylejskich: „Szkoła Jagiellońska, pomna wielkich myśli swoich założycieli, stała na północnym wschodzie Europy jako czujna strażniczka wiary katolickiej ku czci i chwale swego króla i królestwa“.

Nie godzilibyśmy się atoli na zdanie autora, że mowa bezimiennie przechowana w kodeksie Jagiellońskim (nr. 126, str. 133—138) zaraz po humanistycznych mowach współczesnego mistrza-oratora Jakóba z Ludziska, doktora medycyny, a przytoczona w naszem dziele dosłownie w oryginalnym tekscie łacińskim (t. I, str. 210—225), wygłoszona pod koniec roku 1440 na powitanie poselstwa bazylejskiego w Krakowie, jest utworem Paradyżanina. Autorstwo jej przypisuje temu ostatniemu ks. Dr. Fijałek jedynie ze znamion wewnętrznych. Mianowicie wstęp mowy na cześć delegatów z Bazylei przypomina nieco początek przemowy z okazyi otrzymania doktoratu, gdzie Paradyżanin napomknął w tych słowach o swych żmudnych młodych latach: „Z łaski Bożej jestem to, com jest — tak z Pawłem zawołać muszę, rozważając, że wziąłem początek ze stanu plebejuszowskiego albo raczej chłopskiego i ciężką przebyłem dolę za młodu; wieloletnie ubóstwo było nieodstępnym wiosny mego żywota towarzyszem. Z ukrycia wydobył mnie stan kapłański i zakonny, oraz życie w nim doskonałe według reguły klasztornej. Na szczycie godności akademickiej stanąłem pierwszy z Cystersów tego królestwa, z niemieckich jeden z bardzo niewielu“. Zaś w oracyi powitalnej do poselstwa bazylejskiego mówi bezimienny, powołując się na świadectwo kolegów i słuchaczy uniwersytetu krakowskiego: „Wy wiecie, że mowa moja twarda, gwałtowna;

---

aequissime, iustissime et pernecessarie sunt promulgati et decreti, et ideo ab omnibus acceptandi“.

XII: „Electus canonicae in Romanum pontificem per sacrum generale concilium post legitimam prioris sui pontificis depositionem, ab omnibus fidelibus debet indubilanter pro Romano pontifice haberi et reputari, quolibet alio excluso“.

gładko słów moich toczyć nie umiem; zbyt bowiem wiele przeciwności mnie przygniotło i w moc ciemności pogrążyło. Wierzajcie mi, że nie miałem przedtem ani jednego jasnego dnia w życiu, dzisiaj dopiero dostrzegam po raz pierwszy pogodne nad sobą słońce"... Tą pierwszą radosną chwilą byłoby więc przybycie do Krakowa Ojców soboru dla naszego Paradyżanina, na co trudno się zgodzić, bo on przecież miał dawniej wesołe w życiu momenta: wstąpienie do zakonu, profesyę w nim, promocyę na mistrza teologii. Przytem w mowie tej, przesiąkłej humanistycznemi wyrażeniami, są niektóre zdania bałamutne, np. że Bóg tylko wybranych odkupił. Bezimienny orator żąda zniesienia celibatu duchownych, jakoby on był główną przyczyną upadku moralności między klerem (Por. t. I, str. 217). Uwaga szanownego autora, dlaczego mistrz Jakób jedynie w tej mowie oświadcza się za klerogamią, bo nigdzie ta myśl nie pojawia się już w jego licznych pismach na temat reformy kościelnej, nie może usunąć wątpliwości.

Zato z uznaniem należy podnieść nową i ważną rzecz, którą przekonywująco uzasadnia ks. Fijałek, że u nas w Polsce, w szkole Jagiellońskiej nie był pierwszym humanistą Grzegorz z Sanoka, jak pisze jego chwalca Kallimach, lecz Jan z Ludziska, który w r. 1440 otrzymał katedrę wymowy na uniwersytecie. „Zdaniem naszem, musi zgasnąć promienna i epokowa postać Sanoczanina, jako pierwszego humanisty w Polsce i pozostać jedynie wytworem mistrzowskiego pochlebstwa jego Homera, Kallimacha, któremu uległ i sam Długosz. Na wyżyny, zajmowane dotąd w dziejach uniwersytetu i literatury przez notaryusza królewskiego, obdarzonego talentem poetyckim zwykłym, a tylko niezwykle pięknem pismem i przepysznym głosem, w miejsce Grzegorza z Sanoka wstąpić winien orator krakowski (rozumie się świecki) przed poselstwem soboru, wspomniany mistrz Jan z Ludziska". Dowody na to twierdzenie znajdzie czytelnik na str. 229—249, t. I.

Tom II niniejszej pracy zajmuje się ostatniemi latami mistrza Jakóba w Polsce (1—60 str.) i wyjaśnia powody, dla których nasz Paradyżanin porzucił zakon Cystersów i przeniósł się do surowego zakonu Kartuzów w Erfurcie. Mianowicie uczynił to dla tego, że u Cystersów widział upadek ducha zakonnego, któremu chcąc zaradzić, ściągnął na siebie niechęć i zawiść współbraci. Szukając przeto udoskonalenia własnej duszy, udaje się do Kartuzyi w Niemczech, bo zakon ten stał bardzo wysoko wówczas, a wstępuje do klasztoru niemieckiego dlatego, że dotąd w Polsce nie było jeszcze żadnego klasztoru tej reguły. U Kartuzów pracował wiele umysłowo, bo wydał

kilka traktatów naukowych, celem odrodzenia życia religijnego w Kościele. Z upodobaniem roztrząsał kwestye z teologii moralnej (str. 63—115). „Uczyć praw obyczajów, zapalać do gorącej miłości Boga i własnego udoskonalenia przez unikanie złego a praktykę cnoty, to było nie tylko motorem, hasłem i celem całego życia mistrza Jakóba, wszystkich trudów i prac jego, ale to go także wyróżniało zaszczytnie od wszystkich niemal teologów współczesnych. Wraz z współczesnym sobie, wiekopomnej pamięci Tomaszem Hemerken z Kempen, kanoninikiem regularnym na górze św. Agnieszki pod Zwolle († 1471), autorem—jak się zdaje—niewątpliwym książki o „Naśladowaniu Chrystusa“ i z Dyonizym Rycklem, współbracie zakonnym w kartuzyi Roermonde († 1471), mistrz Jakób z Paradyża tworzy błyszczącą w XV wieku trójcę pisarzy moralistów i świątobliwych sług Bożych“ (str. 114, t. II).

Po życiu bardzo pracowitem, spędziwszy u Cystersów 40 lat, a u Kartuzów około 22, w sędziwym wieku, mając 84 lat, przeniósł się do wieczności po czteroletniej ciężkiej chorobie w klasztorze erfurckim w roku 1464. Spuścizna duchowa po mistrzu Jakóbie jest bardzo bogata, bo kazania, dalej liczne pisma o życiu zakonnem i jego reformie, następnie traktaty o reformie Kościoła, traktaty teologiczno-moralne w liczbie 32, traktaty o kwestyach bieżących spornych, które autor przytacza w skrzętnie zebranej bibliograficznej części dzieła swego (od str. 165—334 t. II). Ten przegląd bibliograficzny może znakomicie ułatwić dalsze studya nad literacką działalnością tego uczonego profesora, pobożnego Cystersa, a wkońcu nader umartwionego Kartuza. Paradyżanin przeszedł całe pole teologii moralnej w swych mnogich opracowaniach poszczególnych kwestyi, wykładając obowiązki pojedynczych stanów filozoficznie, kazuistycznie i mistycznie. Dotąd jednakowoż nie zajmowano się pismami tego mistrza. Oby się teraz spełniło życzenie szan. autora, wyrażone w słowach: „Odtąd historya teologii moralnej nie może zamilczeć o Jakóbie z Paradyża. Sąd zupełny o nim, jak o opisarzu moraliście, nie da się jeszcze sformułować, potrzeba do tego osobnego studyum, które wychodzi poza ramy tej książki. Niniejszem pragnęliśmy je tylko innym ułatwić, podając do niego pracę przygotowawczą i niezbędne objaśnienia“ (t. II, str. 112).

A teraz zbierając krótko, co ks. Dr. Fijałek dokazał przez swą pracę monograficzną, twierdzimy śmiało, że najpierw zwrócił uwagę sfer uczonych na jednego z naszych znakomitych teologów w XV w., wykazał niezbicie przeciw błędnym twierdzeniom niemieckich uczonych, że Jakób z Paradyża jest chlubą Polski, bo do nas należy z tytułu

urodzenia i jako uczeń i profesor uniwersytetu krakowskiego. Obronił również pamięć jego od zarzutu herezyi. Paradyżanin nie należy wcale do poprzedników Lutra, choć na jego pisma powoływali się protestanci i niektóre z nich ogłosili drukiem. Jak nauka oczyściła pamięć spotwarzonego Hieronima Sawonaroli i odmówiła prawa doń protestantom, tego samego dokonał z naszym uczonym ks. Dr. Fijałek, dowodząc jasno i gruntownie, że Paradyżanin trzymał się przez całe życio mocno słów, wypowiedzianych w Krakowie: *Ego autem, quia catholicus christicola sum, teneo et dum spiritus iste haec compacta membra alit quidquid Ecclesia sancta Dei tenet, inconcusse tenebo.*

Pracę niniejszą o mistrzu Jakóbie można śmiało postawić co do gruntowności obok prac takich uczonych badaczy na niwie dziejów kościelnych, jakim jest obecnie L. Pastor w Niemczech.

Tu jeszcze zaznaczyć musimy, że dzieło o mistrzu Jakóbie byłoby daleko poczytniejsze, zainteresowałoby szerszy ogół czytelników, gdyby autor w niektórych miejscach skrócił swą pracę, gdyby się chronił dość częstych dygressyi od właściwego przedmiotu, gdyby nie umieszczał w samym tekście cytacyi łacińskich, obejmujących nieraz kilkadziesiąt stron druku, gdyby balast naukowy przeniósł był między dodatki źródłowe i bibliograficzne, obejmujące niemal cały drugi tom. Wogóle pożądaneby było lepsze uporządkowanie bogatego materyału tej książki. *Ks. Dr. J. Górka.*

W naszych sprawach. Szkice w kwestyach ekonomicznych i społecznych. Tom I. Warszawa. 1899 (Str. 314). Tom II. Warszawa. 1900 (Str. 587). Tom III (Str. 405).

Wyrażano niejednokrotnie obawę, że brak uniwersytetu i akademii wpłynie ujemnie na rozwój życia umysłowego i naukowego w Królestwie. W ostatnich latach zaznaczyć należy pewien zwrot na lepsze, świadczący o usilnych staraniach społeczeństwa niezaniedbywania także dziedziny naukowej mimo braku sposobności do zawodowego zajęcia się tego rodzaju zagadnieniami. Obok licznych tłumaczeń i dzieł, popularyzujących najnowsze zdobycze wiedzy, pojawiły się poważne czasopisma naukowe *(Przegląd filozoficzny, Ekonomista)* oraz prace oryginalne. Do rzędu tych pomyślnych objawów zaliczyć wypada zbiorowe wydawnictwo „W naszych sprawach“, którego tom pierwszy pojawił się już w r. 1899, a które mimo tego nie doczekało się, o ile mi wiadomo, sprawozdania i oceny u nas w Galicyi, w kraju pod względem naukowym o wiele obficiej uposażonym, niż Królestwo.

Prace ekonomiczne zagraniczne pochodzą przeważnie z pod pióra profesorów uniwersytetu lub ludzi zawodowo oddających się pracy naukowej, wydawnictwo „W naszych sprawach“ przypomina nam mimowoli, *si licet parva componere magnis,* czasy, w których dyrektorowie kompanii wschodnio-indyjskiej, Thomas Mun i Josuah Chilel, kładli podwaliny merkantylistycznej ekonomii, a William Petty zarabiał miliony na budowie okrętów i miał równocześnie czas pisać pierwszą systematyczną pracę z zakresu statystyki. Autorowie rozpraw pomieszczonych „W naszych sprawach“, „ludzie przeważnie młodzi“ — jak nas poucza przedmowa podpisana przez wydawcę, znanego przemysłowca warszawskiego, Henryka Radziszewskiego — schodzili się wieczorami celem pogawędki o ważnych współczesnych kwestyach ekonomicznych i społecznych. Omawiano przeważnie zagadnienia z zakresu bieżącej polityki ekonomicznej, które starano się wyświetlić nie dedukcyjnemi rozumowaniami, lecz na podstawie materyału faktycznego, przedewszystkiem zatem przez zebranie cyfr statystycznych, danej kwestyi dotyczących. W zebraniach brali udział przeważnie praktyczni rolnicy, to też polityka i administracya agrarna wysuwa się na pierwszy plan.

Tom pierwszy rozpoczyna praca p. Władysława Grabskiego z Borowa pod Warszawą „Rola społeczna obywatelstwa wiejskiego“, przez cenzurę rosyjską skonfiskowana, to też w Warszawie sprzedają tę książkę z wyciętemi pierwszemi 33 stronicami. Rozprawa ta, o wysokim poziomie etycznym, zwalcza pesymizm, który po smutnych wypadkach z r. 1863 owładnął szerokie koła obywatelstwa wiejskiego, wielu zrzekło się pracy wszelkiej dla dobra publicznego, jako bezowocnej i chciało ograniczyć się wyłącznie do pilnowania własnego majątku. Autor stara się wykazać, że i w obecnych warunkach obywatel wiejski ma przed sobą szerokie pole do pracy na niwie społecznej, a wyzyskać tę sposobność jest jego świętym obowiązkiem. Gospodarstwa większej własności powinny być przykładem postępu w technice rolniczej dla okolicznych gospodarstw włościańskich, które tylko w ten sposób najodpowiedniejszą dla nich praktyczną metodą poglądową zapoznać się mogą z najnowszemi zdobyczami wiedzy na tem polu. Szlachcic powinien usilnie starać się o zdobycie sobie zaufania wśród chłopów i przyczyniać się do poprawy ich niejednokrotnie zaniedbanego sposobu gospodarowania, powinien zająć się sprawami gminnemi, oddając swe wiadomości na usługi administracyi lokalnej, zazwyczaj niezasobnej w ludzi wykształconych. Możność pracy dla dobra publicznego otwiera pozwolenie tworzenia towarzystw rolniczych, nie należy również zapo-

minać o tych, z którymi większy właściciel ziemski z natury rzeczy najwięcej się styka, t. j. o czeladzi i robotnikach pracujących na obszarze dworskim. Podniesienie poziomu cywilizacyjnego niższych warstw ludności możliwem okaże się tylko przez zgodne współdziałanie całej intelligencyi, zadanie zjednoczenia tej intelligencyi spoczywa na obywatelstwie wiejskiem, autor zaleca zwłaszcza utrzymanie ścisłej łączności z probostwem dla osiągnięcia tego celu. Na tem jednak nie koniec. Wybitniejsze jednostki wśród obywatelstwa wiejskiego powinny nie ograniczać się do tego naturą rzeczy wskazanego zakresu działania, ale powinny brać udział w każdej ważniejszej pracy społecznej i cywilizacyjnej,

Zachodzi tylko pytanie, czy akcya tego rodzaju, do której uzdolnieni są przedewszystkiem ludzie w uregulowanych stosunkach finansowych, czy nie rozbije się o corazto krytyczniejsze położenie materyalne obywatelstwa wiejskiego? Pesymiści powołują się na szybkie postępy parcelacyi, pochłaniającej zwłaszcza majątki średnich rozmiarów, których właściciele są w pierwszym rzędzie powołani do pełnienia funkcyi socyalnych, przez p. Grabskiego wskazanych.

Autor nie podziela tych obaw. Bliższem uzasadnieniem tego poglądu jest praca specyalnie problemowi parcelacyi poświęcona, a pomieszczona w t. II pod tytułem: „Ekonomia w produkcyi rolnej“. Położenie rolnictwa w Królestwie przedstawia się zazwyczaj w czarnych barwach, pod wpływem spadku cen zboża własność folwarczna szybko zanika, w niedługim stosunkowo czasie będziemy mieli tylko do czynienia z *latifundiami* i z drobnemi, źle zagospodarowanemi posiadłościami włościańskiemi, których właściciele „utrzymać się zdołają jedynie wskutek nizkiego, graniczącego z nędzą poziomu potrzeb własnych“.

Przeciwko tym często głoszonym komunałom występuje autor stanowczo; wykazuje, że przypisuje się przesadne znaczenie spadkowi cen zboża, natomiast nie uwzględnia się tego, że w czasach wyjątkowo wysokich cen zboża rolnicy, uważając mylnie objaw ten za normalny, zastosowali do niego swój tryb życia, dopuścili do nadmiernego wyśrubowania ceny ziemi. Autor jest zdania, że, jeżeli średni właściciele ziemscy, „pogardzą wystawnością życia i pozorami wielkoświatowymi“, jeżeli przyswoją sobie i zastosują najnowsze wyniki wiedzy rolniczej oraz zespolą się w towarzystwa rolnicze i stacye doświadczalne, że w tym wypadku mogą przetrwać przesilenie rolnicze. W przejściu pewnej części ziemi, dziś stanowiącej własność szlachty, w ręce włościańskie autor nie widzi zbytniego niebezpieczeństwa. Jeżeli rozparcelowa-

nym zostaje nie cały majątek, lecz części zewnętrzne, znacznie oddalone od zabudowań folwarcznych, wówczas właściciel pozostałej reszty na mniejszym, lepiej skomasowanym i zaokrąglonym kawałku ziemi, uzyskawszy ze sprzedaży części majątku kapitał obrotowy, którego niemal zawsze brak naszej szlachcie, potrafi gospodarkę uczynić daleko intenzywniejszą i intratniejszą, jak przedtem. Przedmiotem całkowitej parcelacyi stają się zazwyczaj majątki zaniedbane.

Pan Grabski bierze także w obronę sposób gospodarowania włościan, dowodząc, że nie jest tak złym, jak się to powszechnie przypuszcza, a pomija się np. prawie zawsze tak ważny dla ocenienia tej kwestyi fakt, że włościanie gospodarują zazwyczaj na gruntach gorszych; autor podnosi lepsze wyzyskanie nieużytków u włościan.

Problem parcelacyi jest dziś najaktualniejszą kwestyą agrarnopolityczną w Królestwie, to też nic dziwnego, że znajdujemy „W naszych sprawach" jeszcze dwie rozprawy poświęcone temu samemu przedmiotowi. Pan Juliusz Waliszewski („Kilka słów o parcelacyi" t. II, str. 255—274), omawiając przyczyny, potęgujące ruch parcelacyjny i podkopujące materyalne stanowisko większej własności, szczególniejsze znaczenie przypisuje wadliwemu ustawodawstwu spadkowemu i zasadzie równego podziału sched. Pan Stanisław Sulimierski („Obecne stosunki wiejskie" t. III, str. 291—310) uzupełnia pracę p. Grabskiego wywodem, w którym zaznacza potrzebę zorganizowania parcelacyi i uczynienia jej racyonalną. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że p. Grabski w swej pracy liczy się raczej z parcelacyą taką, jaką być powinna, a nie tyle z taką, jaką jest. Niestety zbyt często powtarza się w Królestwie — tak samo zresztą, jak i u nas — objaw rozparcelowania całego majątku i jego przejścia w ręce drobnych gospodarstw włościańskich, które z powodu swej szczupłości nie potrafią wyżywić rodziny właściciela, dać jej zatrudnienia przez cały rok i które nie dają dostatecznej podstawy do prowadzenia racyonalnego gospodarstwa. W dodatku włościanin często nabywa grunt po cenie nadmiernie wysokiej i ugina się pod ciężarem długów. Pan Sulimierski przemawia zatem za potrzebą założenia banku parcelacyjnego, albowiem rządowy bank włościański nie kieruje się temi zasadami; autor trafnie bardzo podnosi, że parcelacya zatrzymuje w kraju liczny zastęp ludności, który w przeciwnym razie musiałby wyemigrować, wzmacnia zatem siły społeczeństwa.

Autorowie prac, o których mowa, zgodnie dopatrują się w asocyacyi jednego z najskuteczniejszych sposobów poprawy niekorzystnego

położenia materyalnego ludności rolniczej. Kwestyi tej poświęca p. Juliusz Waliszewski osobną rozprawę: „O syndykatach rolnych u nas“ (t. III, str. 358—381), autor pobieżnie wspomina o francuskich syndykatach, o systemach Schultzego z Delitsch i Raiffeisena. Ważną wydaje nam się uwaga, dotycząca świetnego rozwoju stowarzyszeń rolniczych w Królestwie w ostatnich trzech latach. Pan Waliszewski przestrzega przed lekkomyślnem a zbyt szybkiem rozszerzaniem zakresu operacyi handlowych, zwłaszcza przed zbyt hojnem szafowaniem kredytem wekslowym.

Na zupełnie innem stanowisku stoi p. Leon Lisowski, autor pracy: „O potrzebie reformy kredytu rolnego“ (t. III, str. 215—241), zachęca bowiem syndykaty do rozszerzenia swego zakresu działania na zorganizowanie zbytu produktów gospodarstwa rolnego (str. 231). Rada ta wydaje mi się bardzo niebezpieczną. Dzieje asocyacyi rolniczej w innych krajach uczą nas, że organizacya zbytu jest zadaniem najtrudniejszem, którego podejmują się stowarzyszenia rolnicze dopiero po długoletniej praktycznej działalności na innych polach mniej ryzykownych. W Niemczech asocyacya rolnicza poszczycić się może świetną kilkudziesięcioletnią przeszłością; mimo tego, o ile chodzi o organizacyę zbytu (poza mleczarniami spółkowemi), zwłaszcza zboża, tego najważniejszego produktu, podjęto pracę dopiero w ostatnich latach i to z wynikiem stosunkowo bardzo skromnym, aczkolwiek państwo udzieliło znacznych zasiłków na ten cel, daleko znaczniejszych, jak na inne rodzaje asocyacyi rolniczej. Stowarzyszenia, zajmujące się zbytem zboża, wykazały niejednokrotnie poważne straty. Przyczyna tego stanu rzeczy bardzo prosta. Organizacya zbytu jest w daleko wyższym stopniu interesem spekulacyjnym, bardziej zależnym od zmiennych konjunktur targu, jak np. zakupna na wspólny rachunek sztucznych nawozów, nasion, maszyn rolniczych, pasz skoncentrowanych i t. d. To też wielką odpowiedzialność bierze na siebie ten, kto lekkomyślnie doradza młodym i niedoświadczonym syndykatom w Królestwie rozszerzenie swej działalności na organizacyę zbytu.

Pan Lisowski pragnie stworzyć bank dla popierania rolnictwa i przemysłu rolnego, któryby udzielał syndykatom kredytu na tego rodzaju rozszerzenie ich zakresu działania. Oprócz tego zadaniem banku byłoby udzielanie kredytu melioracyjnego na kapitał zakładowy, oraz osobistego na kapitał obrotowy. Program to bardzo szeroki, a spełnienie jego w pierwszym punkcie uważałbym za szkodliwe.

Kwestyą robotniczą zajmują się pp. Jerzy Ryx („Przyczynek do

kwestyi robotniczej w oświetleniu cyfr rachunkowości rolnej" t. II, str. 191—255) i Antoni Chrząszczewski („Pracodawcy i pracownicy na roli" t. III, str. 51—97). Pan Ryx bierze za podstawę swych wywodów księgi gospodarcze majątku położonego pod Warszawą, z których oblicza rentowność uprawy poszczególnych płodów rolniczych i stosunek zysków do zapłaty robotnika, na tej drodze dochodzi do wniosku, że najprostsze rozwiązanie kwestyi robotniczej, t. j. podwyższenie płacy jest dziś wielce utrudnione, ponieważ gospodarstwo rolne daje małe zyski, a zatem podwyższenie płacy nastąpić może tylko w bardzo ciasnych granicach. Pan Chrząszczewski pracuje zupełnie inną metodą, nie powołuje się na cyfry, ale na znajomość stosunków, zaczerpniętą z doświadczenia; gdy pisze o pracodawcach, jest optymistą. Dowodzi, że pod wpływem gorszych konjunktur targowych właściciele większych majątków otrząśli się z dawnych złych nawyczek, że zaprzestali życia nad stan i że poziom fachowej wiedzy rolniczej znacznie się podniósł, natomiast gdy mowa o pracownikach, ogarnia autora pesymizm. Zdaniem p. Chrząszczewskiego ludność robotnicza rolna fizycznie wyrodnieje, prawdopodobnie śmiertelność wzrasta (?), wychodźtwo wpływa demoralizująco na włościan, powodem emigracyi jest nie tyle wyższa płaca w Prusiech — autor uważa, że zachodzą nieznaczne różnice — ile ciekawość nowych wrażeń. Pan Chrząszczewski nierówno rozdzielił światła i cienie, tendencya wykazania, że wina w pogarszeniu się stosunków robotniczych nie leży po stronie pracodawców i że właściciele większych majątków zrobili wszystko, co do nich należało, wysuwa się zanadto na pierwszy plan, to też wywody autora nie są przekonywujące.

Z prac poświęconych polityce agrarnej wymienić jeszcze należy rzecz p. Korsaka Zdzisława: „W sprawie giełdy zbożowej w Warszawie" (t. I, str. 101—147), Ksawerego Chamca: „Z powodu pewnej mapy" (t. I, str. 7—51) i Henryka Radziszewskiego: „Podatki gruntowe w Królestwie Polskiem" (t. I, str. 231—314).

Pan Korsak wykazuje potrzebę zorganizowania giełdowego handlu zbożowego w Warszawie w interesie rolników, p. Chamiec daje treściwy obraz dziejów cukrownictwa w Cesarstwie i Królestwie Polskiem. Głównym przedmiotem pracy p. Radziszewskiego jest przedstawienie obecnego obciążenia podatkiem gruntowym własności rolnej, autor jednak, wychodząc z założenia, że „instytucye ludzkie najlepiej dają się ocenić na tle historycznem", poprzedził główną część swych wywodów dziejami podatku gruntowego w Polsce, począwszy od traktatu

koszyckiego (1374 r.), przyczem uwzględnił w pierwszym rzędzie reformy sejmu czteroletniego, t. zw. ofiarę. Ten historyczny wstęp oparty jest nie tylko na literaturze zajmującej się tym przedmiotem ale także na samodzielnych badaniach archiwalnych. Omawiając obecny stan rzeczy, który pochodzi z lat 1864—1868, p. Radziszewski podnosi przedewszystkiem nierównomierność opodatkowania, na podstawie szacunków Tow. Kredytowego Ziemskiego autor wykazuje, że w wymiarze podatku gruntowego dworskiego zachodzą bardzo znaczne różnice, zdarzają się wypadki, że jedne grunta płacą podatek 0·4660% wyższy niż inne (str. 282). Podatek gruntowy włościański jest przeciętnie o 50% niższy od dworskiego, w gubernii kieleckiej różnica ta dochodzi do 100%; Królestwo płaci przeciętnie od jednego puda wyprodukowanego zboża podatek gruntowy o 2000% wyższy, niż w Cesarstwie.

Także i w pracy: „Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem“ (t. II, str. 275—581) p. Radziszewski sięga głęboko w przeszłość, wspomina nawet na początku o górnictwie za Bolesława Chrobrego, przytacza jako przykład rozumnej polityki ekonomicznej zniesienie cechów za Zygmunta I, na co nie każdy się zgodzi, a bardziej szczegółowo omawia czasy Stanisława Augusta, za którego w r. 1766 powstała „Kompania manufaktur wełnianych“, pierwsze polskie towarzystwo akcyjne i za którego Antoni Tyzenhaus, podskarbi litewski i Jacek Jezierski, kasztelan łukowski próbowali podnieść produkcyę przemysłową. Dobre chęci, nadzwyczajna ruchliwość i przedsiębiorczość Tyzenhausa nie potrafiły zrównoważyć braku fachowej znajomości rzeczy. W roku 1780 znajdowało się w jego ręku 23 fabryk rozmaitego rodzaju.

Znacznie praktyczniejszą okazała się działalność Jezierskiego, założyciela pierwszej fabryki kos, obracająca się w daleko skromniejszych granicach. Prace przerwane smutnymi wypadkami politycznymi podejmuje na nowo rząd księstwa warszawskiego, obciążając wywóz surowców np. rudy żelaznej cłem eksportowem, stanowiąc zakazy przywozu przędzy i innych fabrykatów zagranicznych, uwalniając od podatku i faworyzując na każdym kroku cudzoziemców, przybywających do kraju z zamiarem rozwinięcia działalności przemysłowej.

Początek nowej epoki znamionuje objęcie teki ministra skarbu przez księcia Ksawerego Franciszka Lubeckiego 31 lipca 1821 roku. Książę w krótkim stosunkowo czasie uporządkował finanse, subwencyonował hojną ręką i popierał wszelkimi sposobami powstanie nowych

przedsiębiorstw przemysłowych, a koroną jego działalności jest założenie Banku Polskiego w r. 1828, dzięki któremu przemysł Królestwa przetrwał ciężkie przesilenie, wywołane znacznem podwyższeniem w roku 1831 ceł, odgraniczających targi rosyjskie od Królestwa. W ówczesnem życiu gospodarczem naszego społeczeństwa nader ważną rolę odegrał Krakowianin Piotr Steinkeller, któremu Bank Polski udzielał znacznego kredytu na najrozmaitsze przedsiębiorstwa przemysłowe; przedewszystkiem produkcya górnicza wzmogła się wielce dzięki Steinkellerowi, który wywoził znaczne ilości cynku do Londynu i zakładał liczne fabryki żelaza. W r. 1838 Steinkeller zawiązał towarzystwo akcyjne dla budowy kolei warszawsko-wiedeńskiej, przedsiębiorstwo to na razie nie udało się, ale bądź co bądź zasługa inicyatywy przypada w udziale Steinkellerowi. Zasług jego nie zmniejsza bynajmniej fakt, że w roku 1849 nastąpiła likwidacya tych wszystkich interesów i objęcie ich w zarząd Banku Polskiego. Nadmienić jeszcze należy, że Steinkeller pierwszy w Królestwie, w majątku swoim Żarki zastosował drenowanie i sztuczne nawożenie. W następnych latach ruch przemysłowy spotęgował się znacznie przez zniesienie linii celnej między Królestwem a Cesarstwem w r. 1850 oraz przez znaczne podwyższenie ceł wobec państw zagranicznych, począwszy od r. 1877.

W r. 1896 wedle urzędowych cyfr statystycznych przemysł zatrudniał 213 tysięcy robotników, a wartość produkcyi dosięgnęła kwoty przeszło 294 milionów rubli, p. Radziszewski uważa tę cyfrę za niedokładną, ocenia wartość produkcyi fabrycznej na blisko 350 milionów rubli. Z kwoty 294 milionów, wykazanej w urzędowej statystyce, przypada 223 milionów rubli na gubernie warszawską i piotrkowską, w których pracuje 169 061 robotników, w tych właśnie guberniach znajdują się główne centra produkcyi fabrycznej: Warszawa, Łódź, Sosnowiec. Najsilniej rozwinął się przemysł przerobu materyałów włóknistych (tkanin), podczas gdy jeszcze w r. 1876 przeciętna suma produkcyi w tej gałęzi przemysłu, przypadająca na jednego mieszkańca wynosiła zaledwie 3 rb. 44 kop., w r. 1896 (w 20 lat później) doszła do 11 rb. 86 kop., czyli zwiększyła się o 245%. Przemysł przerabiania materyałów włóknistych (wełnianych, bawełnianych, lnianych, konopnych i t. d.) zatrudniał w r. 1896 81274 robotników, a zatem blizko połowę ogólnej cyfry robotników przemysłowych, wykazanych dla Królestwa, wartość produkcyi w tej gałęzi przemysłu wynosiła 112 176 514 rb., a zatem blisko 40% całej produkcyi przemysłowej Królestwa. Roz-

dział poświęcony przemysłowi tkackiemu i przędzalniczemu kończy autor krótką monografią Łodzi, jego głównego siedliska.

Drugie miejsce ze względu na swe rozmiary zajmuje przemysł żelazny, który rozsiadł się przedewszystkiem w Warszawie i w gub. piotrkowskiej; pod względem szybkości rozwoju przemysł żelazny przewyższa przemysł przerabiania materyałów włóknistych, w r. 1896 zatrudniał 55 176 robotników (w r. 1876 11 433), a wartość produkcyi rocznej wynosiła 64 235 684 rb. (w r. 1876 10 025 794 rb.) Autor omawia także inne działy wytwórczości przemysłowej, a więc przemysł rolniczy, górniczy i t. d. Osobny rozdział poświęca p. Radziszewski wytwórczości przemysłowej miasta Warszawy, w którym szczegółowo omawia stosunek tamtejszej produkcyi fabrycznej do rzemieślniczej i dochodzi do wniosku, „że rzemiosła warszawskie rozwijają się w bardzo szybkiem tempie, daleko szybszem niż produkcya fabryczna“ (str. 530).

W zakończeniu autor zwraca uwagę na szybki wzrost ludności w Królestwie, wobec czego rozwój przemysłu jest rzeczą niezbędną dla wyżywienia tego przyrostu daleko szybszego niż w Cesarstwie, oraz na częste przedstawianie w przesadnych rozmiarach wyższości przemysłowej Królestwa nad Cesarstwem. Znaczny przyrost ludności w Królestwie wyklucza zdaniem pana Radziszewskiego możność sztucznego hamowania rozwoju przemysłu Królestwa w interesie Cesarstwa.

Praca p. Radziszewskiego roi się od cyfr i wykazów statystycznych, autor nagromadził materyału faktycznego wiele, zdaje mi się nawet, że za wiele, albowiem ugrupowanie i wyzyskanie cyfr statystycznych pozostawia niejedno do życzenia. Przedewszystkiem układ i nomenklatura w części II (głównej), poświęconej zbadaniu obecnego stanu rzeczy jest niedość systematyczną. Fabryki mebli znalazły się w dziale: „Przemysł przerabiający surowe płody rolnicze“, a monografia przedstawiająca rzemiosła warszawskie w dziale „Przemysł fabryczny“. Autor, podając długie kolumny, mające nas objaśnić o stosunku fabryk do rzemiosł w poszczególnych gałęziach produkcyi przemysłowej warszawskiej, pominął zasadniczą kwestyę, co rozumie statystyk przez fabrykę, a co przez rzemiosło, na podstawie jakich znamion rozróżnia te grupy. Wiadomość, że z 10 401 warszawskich warsztatów rzemieślniczych tylko 1454 jest zagrożonych konkurencyą fabryk (str. 534), mimo swej zdumiewającej dokładności nic nam nie mówi, póki nie wiemy, jak autor do niej doszedł.

Pan Radziszewski każdy tom swego wydawnictwa kończy roz-

prawą przez siebie napisaną, w tomie III pomieścił rzecz o „towarzystwie pożyczkowo-oszczędnościowem w Przedczu“ (str. 385—405), które, założone w r. 1900 przez proboszcza ks. Górzyńskiego, zajęło się sprowadzeniem węgli i skór na wspólny rachunek członków, następstwem była znaczna obniżka ceny tych towarów, bardzo doniosła dla członków towarzystwa i zajmujących się przeważnie szewstwem, oprócz tego towarzystwo rozpożyczyło między swych członków kilka tysięcy rubli.

Z prac pomieszczonych w t. III przewyższa rozmiarami inne rozprawa p. Tytusa Filipowicza: „Sprawa węglowa“ (str. 97—181), góruje nad niemi prócz tego radykalizmem socyalno-politycznym, autor widzi jedyny sposób zwalczania drożyzny węgla w ustanowieniu cen maksymalnych przez państwo, a tendencyi przedsiębiorców powetowania sobie ustawą tego rodzaju zmniejszonych zysków przez wyzysk robotników chce p. Filipowicz przeciwdziałać ustawą o minimalnych płacach i ośmiogodzinnym dniu pracy. Na ślizkiej drodze interwencyi państwa jest nader trudno się zatrzymać, zachodzi tedy pytanie, czy w razie wprowadzenia w życie tych reform nie okazałaby się potrzebną ustawa, nakładająca na przedsiębiorców obowiązek prowadzenia nadal przedsiębiorstwa.

Ze względu na poruszony temat zasługują na wzmiankę uwagi Dra Stanisława Kłobukowskiego „W sprawie organizacyi stosunków handlowych (t. I, str. 217—231); autor doradza badania celem nawiązania handlu z polskimi wychodźcami, zwłaszcza w Paranie. Nie potrzeba wykazywać znaczenia narodowego, które ma łączność między krajem ojczystym a naszymi wychodźcami, kwestya ta nie powinna schodzić z porządku dziennego.

Rozprawa p. Antoniego Potockiego: „O uposażeniu warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej“ (t. II, str. 129—191) porusza także sprawy pierwszorzędnej wagi. Autor zaczyna od obszernego streszczenia wyników prywatnej ankiety, przeprowadzonej w r. 1898 przez p. Zdzisława Kowalskiego „nad stanem zdrowia i warunkami hygienicznymi uczniów uniwersytetu warszawskiego“, która dała wyniki bardzo smutne. Autor postanowił uzupełnić tę pracę ankietą, dotyczącą stosunków ekonomicznych, obierając sobie przedewszystkiem zadłużenie za przedmiot swych studyów. W tym celu w r. 1899 rozesłał 500 kwestyonaryuszów, odpowiedziało przeszło 250 studentów, okazało się, że tylko 30% uczniów zawdzięcza całe utrzymanie rodzinie, połowa otrzymuje zasiłki z domu, ale w wysokości niewystarczającej, deficyt po-

krywa zarabianiem na życie, reszta, t. j. 20%, musi liczyć tylko na własne siły w ciężkiej walce o byt. Przyjmując — i to zbyt optymistycznie — że student potrzebuje tylko 40 rubli miesięcznie, okaże się, że tylko $^1/_3$ część tych, co dali odpowiedź, może się pochwalić takim dochodem; stypendya są nieliczne i niewystarczające, student pomaga sobie zatem lekcyami lub zaciąganiem długów, których ogólną sumę podaje autor dla 253 odpowiadających na przeszło 10 tysięcy rubli. O wysokości oprocentowania niestety niczego się nie dowiadujemy. Lekcye są objawem wysoce ujemnym, ponieważ wywołują często przepracowanie umysłowe, długi obniżają poziom moralny wśród młodzieży, ponieważ bywają zaciągane bez względu na możność ich spłaty. W końcowym rozdziale p. Potocki wzywa społeczeństwo do zaopiekowania się losem tych, którzy w przyszłości dostarczyć mają przodowników narodowi; kładzie w szczególności nacisk na stworzenie jak najliczniejszych i najlepiej uposażonych stypendyów.

Prawem administracyjnem zajmują się rozprawy pp. Juliusza Waliszewskiego: „Z wrażeń długoletniego członka sądu gminnego" (t. I, str. 35—59), Stefana Holewińskiego „O pełnomocnikach gminnych" (t. III, str. 181—215), wreszcie Bronisława Bouffałła „Organizacya miast w Królestwie Polskiem" (t. I, str. 147—217). Prace pp. W. i H. są poniekąd uzupełnieniem znanych nam wywodów p. Grabskiego o społecznej roli obywatelstwa wiejskiego, w których autor kładł nacisk na współudział większych właścicieli ziemskich w administracyi gminnej. PP. W. i H. wykazują, że obywatel na stanowisku członka sądu gminnego i pełnomocnika gminnego może i powinien zrobić wiele dobrego dla ludności włościańskiej. Pan B. domaga się rozciągnięcia na Królestwo obowiązującej w Cesarstwie ustawy o zarządzie miejskim z r. 1892.

Kończąc, nadmieniamy, że Dr. Stanisław Bukowiecki opracował kilka ważnych postanowień ustawodawstwa górniczego, obowiązującego w Królestwie (t. I, str. 59—101), oraz sprawę „Kredytu robotniczego i aresztu na zarobkach" (t. II, str. 7—43), a p. Korsak pisał „O stosunkach prawno-handlowych" (t. II, str. 91—129). Ostatni tom wydawnictwa „W naszych sprawach" różni się od dwóch poprzednich tem, że pomieszcza dwie prace, nie wchodzące w zakres nauk ekonomicznych i społecznych. Pan Maryan Massonius rozprawą „O rozdwojeniu myśli polskiej" (t. III, str. 241—289) wprowadza nas w dziedzinę filozofii, a Dr. Władysław Tołwiński, pisząc „o rozwoju fizycznym

ludności powiatu lubartowskiego“ (t. III, str. 311—355), wchodzi w zakres antropologii.

W przedmowie do pierwszego tomu wydawca p. Henryk Radziszewski podnosi ze skromnością właściwą prawdziwej zasłudze, że prace pomieszczone w tym zbiorze są wyrazem dobrej woli i zajęcia się sprawami ogółu kilkunastu młodych umysłów — niczem więcej i wyraża nadzieję, że przykład ten zachęci inne „grono młodych do podobnej rozrywki“. Jeśli rozpowszechni się sposób spędzania czasu wolnego od zajęć zawodowych zalecany przez p. Radziszewskiego i wysokie poczucie obowiązku, które przejawia się w całem wydawnictwie niestety dotychczas w Galicyi tak mało znanem, wówczas nie wątpię, że w społeczeństwie będzie lepiej, jak dotychczas.

A. K.

Literatura religijna w Polsce średniowiecznej. I. Kazania i pieśni Szkice literackie i obyczajowe. Skreślił *Aleksander Brückner*. Warszawa. 1902 („Biblioteka dzieł chrześcijańskich“).

Pierwsze cztery rozdziały poświęcone są kazaniom, dwa następne pieśniom. Autor przedstawia początki kaznodziejstwa polskiego (Franciszkanie, wiek XIII), dalsze jego koleje aż w wiek XV, daje ogólny pogląd na źródła, z których czerpali nasi kaznodzieje, mówi też o wybitnych kaznodziejach. Zastanawia się następnie nad tem jakie znaczenie mają te kazania dla rozwoju umysłowości polskiej, dla historyi kultury, jako świadectwa owych czasów, jako źródła do dziejów obyczajowości polskiej, — następnie jako źródła do dziejów polskiej literatury (zbiory anegdot i powieści, zasilanie się tematami obcymi, zwłaszcza apokryficznymi), — rozpatruje wreszcie zbiory polskich kazań (poprzednie spisane są w języku łacińskim, chociaż mówione były oczywiście po polsku). Z rozdziałów, poświęconych poezyi, pierwszy zajmuje się Bogurodzicą i hymnologią XIV wieku, drugi poświęcony jest reszcie pieśni i kwestyom ogólnym.

Są to więc wszystko rzeczy, znane nam już z dawniejszych prac prof. Brücknera. Wiadoma rzecz, że większą część naszej literatury średniowiecznej prof. Brückner „odkrył“ i oświetlił, że jedne jej części (np. kazania) przedtem były prawie nieznane, a w innych autor postawił i obronił wiele nowych teoryi, wiele rzeczy pokazał w innem, niż były dotąd, świetle. Jest to zasługa prof. Brücknera, której mu nikt i nic odjąć nie może. To wszakże zaznaczywszy i podkreśliwszy

bardzo silnie (niejednokrotnie zresztą zwracaliśmy na to uwagę w *Przeglądu*), zwróćmyż się do samej książki i zapytajmy o jej wartość.

Dla kogo „Literatura religijna" została wydana? Dla „specyalistów" oczywiście nie, bo ci znajdą to wszystko, opracowane dokładniej, z całym aparatem naukowym, szczegółowiej, w poprzednich pismach autora. Tutaj znajdą zaledwie kilka drobnych szczegółów nowych; gdzieś mimochodem jakąś uwagę krytyczną, polemiczną i największą z tych nowości: odpowiedź na pytanie, kto był autorem Bogurodzicy (str. 168—169). Korzyści naukowej zatem nie znajdą. Wskutek zaś nadmiernej chaotyczności, wskutek braku przejrzystości w poszczególnych rozdziałach nie może być dla nich ta książka tem, czemby łatwo być mogła: rodzajem zestawienia, rekapitulacyi rzeczy znanych, coby ułatwiało ich spamiętanie.

Rzecz tedy wyłącznie w tem, aby dać i szerszym kołom najważniejsze wiadomości o początkach piśmiennictwa polskiego, aby spopularyzować ich znajomość. Myśl bardzo trafna i dobra. Z tego też powodu nie robię najmniejszego zarzutu, iż książka zawiera rzeczy stare. Rozprawy, które się na nią złożyły, rozproszone są po wielu wydawnictwach, z wyjątkiem prac, pomieszczonych w *Bibliotece Warszawskiej,* wszystkie pisane były dla kół uczonych, dla specyalistów w zakresie badań nad językiem polskim lub starą literaturą polską (a tych niema tak wielu), pisane z całym aparatem naukowym, z cytacyami i t. p. Nie są więc dostępne dla kół szerszych. A że rzecz w nich zawarta jest przecież bardzo ważna, że wiadomości tam podane powinnyby się już raz stać własnością ogólną, przeto nikomu na myśl nie przyjdzie ganić samego przedsięwzięcia, ale owszem każdy z serca mu przyklaśnie.

Tylko książka taka powinna być nadzwyczajnie pedagogiczną. Autor takiej książki musi dobrze się zastanowić, kto ją będzie czytał, jaki jest stan jego wykształcenia; musi przedmiot swój nadzwyczajnie starannie przebrakować; musi w niego dobrze wprowadzić; musi go przedstawiać w ten sposób, aby czytelnik, z rzeczą prawie wcale nie obznajomiony, zrozumiał jej znaczenie i istotę. Nie jest to zadanie łatwe; napisać dobrą książkę popularyzującą (nie „popularną") jest rzeczą bardzo trudną.

Otóż o „Literaturze religijnej" nie można, niestety, powiedzieć dużo dobrego pod tym względem. Już wspomnieliśmy wielką chaotyczność w układzie. Nie całości, bo układ ogólny jest dobry. Ale myśli przewodnie pojedynczych rozdziałów i części tych rozdziałów bardzo

trudno pochwycić. Przedziera się czytelnik przez gąszcz luźno rzuconych uwag i faktów, nagle trafi wreszcie na jakąś ciągłość. Ucieszony idzie tą ścieżką, ale niedługo tej uciechy: po chwili znowu zoryentować się trudno, gdzie się jest, na co i po co.

Wogóle książka nie spełnia ani jednego z warunków wyżej zaznaczonych. Autor nie przebrakował materyału i nie zrobił — jeśli tak wolno powiedzieć — rewizyi swej metody. Stąd mnóstwo szczegółów, które są zbyteczne, bo za ciężkie, mnóstwo rzeczy, proszących się objaśnienia, nieobjaśnionych, wiele rzeczy objaśnienia nie potrzebujących, objaśnionych. Względu na czytelnika niema żadnego, w przedmiot się go nie wprowadza, istoty rzeczy się mu nie pokazuje. „Spopularyzowanie“ odbyło się w sposób nader prędki i nieścisły. Rozprawy ścisłe i ściśle naukowe obcięło się z grubsza, mechanicznie złączyło się w całość i powstała z tego książka, która wbrew temu, co autor we wstępie powiada, wcale nie jest nowa i z nowymi szczegółami i wynikami i która szerszych kół w początki naszego piśmiennictwa nie wprowadza wcale.

Może to niebezpiecznie w ten sposób się odzywać o powagach, ale też powaga obowiązuje.

Dr. St. Dobrzycki.

Pan Filip z Konopi. *K. Gliński.* Warszawa. Gebethner i Ska. 1902 (Str. 423).

Powieść ta, współzawodnicząca ze „Sprawą Dołęgi“ w popularności i prześcigająca ją na tem polu przez to samo, iż na niższy ton nastrojona, jest każdemu umysłowi dostępna, doczekała się również bardzo przychylnej literackiej oceny. Niepodobna jednak tych dwóch książek porównać: „Sprawa Dołęgi“ jest Szkicem polityczno-społecznym, obramowanym w cudne, nazbyt może poezyą odbijające od treści opisy natury; „Pan Filip z Konopi“ zaś, to epizod humorystyczno-, a wkońcu romantyczno-rycerski z czasów Jana Kazimierza. Chwalą w nim „sienkiewiczowskie zacięcie“ — istotnie, jest go wiele, może do przesady; jest również wiele wyrażeń i zwrotów żywcem z Sienkiewicza wziętych; zdala nawet widnieje stannica strzeżona przez „Michałka“ Wołodyjowskiego. Myśmy zaś tak się zakochali w tem wszystkiem, że odbicie choć blade jest miłe.

Zaznaczyć jednak należy, iż książkę możnaby podzielić na dwie połowy, tak wielce różniące się wartością, iż wyglądają, jakby wyszły z pod osobnych piór. Część pierwsza, gdzie autor sili się na ton żar-

tobliwy, w który co chwila niespodzianie wpada z przyrodzonego mu snadź liryzmu — jest decydująco niesmaczna, pełna dwuznaczników i nieprawdopodobieństw, przypominających opowiadania nie już Imci Pana Chryzostoma Paska, ale Barona von Mühlhausen. Za to część druga, gdzie już autor na nic się nie sili, jest prawdziwie ładna, zajmująca i rzewna: nie dziw, że pisząc krytykę pod końcowem wrażeniem, recenzenci same sypią pochwały. Bohater, Pan Filip we własnej osobie, to Czarnieczczyk, powracający z Danii, gdzie wzięty w niewolę przez Szwedów, przepłynął Bałtyk, aby się wydostać na wolność. Zdobył łup wielki, ale po drodze spotykając nędzy wiele, rozdał wszystko po trosze. Jest to typ niesłychanie szlachetny: rozdawszy zdobycz i uratowawszy również po drodze życie pięknej podkomorzance i jej ojcu, zakochuje się w niej i ma już po zwalczeniu tysiącznych trudności poślubić, gdy w wilię ślubu odkrywa, że panna kocha młodego poetę, a za niego wychodzi tylko z wdzięczności. Odstępuje ją tedy adoratorowi, tak jak poprzednio odstąpił przyjacielowi starostwa mającego mu szczęście ułatwić, jak wszędzie, na każdym kroku czynił z siebie ofiarę dla drugich. Brzydko powiedzieć, ale przypomina się trochę Don Kiszot... Świat byłby rajem, gdyby więcej takich ludzi po nim chodziło; to też Filip z Konopi jest jedynym w swoim rodzaju, jedynym też, który, wziąwszy do serca śluby Jana Kazimierza we Lwowie, domaga się wprowadzenia ich w czyn, a odepchnięty oziębłością innych, wpada w melancholię i umiera. Owa donkiszoterya szlachetna i wzniosła, złączona z ogromną a naiwną rzutnością w czynach i obejściu, nadaje Panu Filipowi dużo oryginalności wśród innych, przeciętnych postaci. Z większym atoli jeszcze talentem skreślone są dwie figury z drugiego planu, starego rządcy i dalekiej krewnej Filipa, zostawionych na straży mienia w Konopiach, ludzi chciwych, nieuczciwych i przesadzających się dla ukrycia swych „defraudacyi" w niby przebiegłych a dziecinnych sztuczkach, na których młody właściciel od razu się poznaje, ale woli patrzeć przez palce. Słowem, utwór p. Glińskiego pomimo uczynionych zbyt może surowych zastrzeżeń, jest miłym i uczciwym nabytkiem naszej literatury powieściowej: gdyby całość równała się części końcowej, możnaby jednym z bardzo cennych go nazwać.

T. W.

Z piśmiennictw obcych.

Piccolo mondo moderno. Romanzo. *Antonio Fogazzaro.* Milano. Ulrico Hoepli. 1901.

Podwójną falą uderza dziś powieść włoska o międzynarodowej myśli wybrzeża: podczas gdy Gabryel d'Annunzio wyuzdaniem fantazyi i słowa zwiastuje jedną tylko nową religię, której się bluźnierczo zwie przesłańcem, bałwochwalstwo człowieka — *il culto dell' uomo*, Antoni Fogazzaro studyuje raczej słabość człowieka, gdy mu zabraknie rusztowania wiary, śledzi wewnętrzne przełomy, dopełniające się w duszy ludzkiej pod naciskiem wrażeń zewnętrznych i zdarzeń, a czyni to w języku pełnym sromu, pełnym szlachetnego natchnienia. D'Annunzio przejął się francuskim naturalizmem, przystrojonym w napuszone pióra włoskiej improwizacyi, Fogazzaro jest daleko więcej rodzimym poetą i pisarzem ze szkoły Manzoniego. Kreśli obrazy znajome, chwyta odgłosy swojskie, niewątpliwie też gdy zwietrzeje cymbał brzmiący i miedź brząkająca frazesów pompatycznego d'Annunzia, Fogazzaro pozostanie na stanowisku klasycznem jednego z najlepszych mistrzów italskiego słowa.

Przed kilkoma laty odwzorował nam on „Dawny światek“ — *Piccolo mondo antico,* ustrój społeczny i duchowy przed dokonaniem zjednoczenia Włoch, światek pełen prostoty, poczciwości, patryotyzmu. I oto, przywiązawszy się do swoich bohaterów, do ram ich życia i tła ich przeznaczeń, snujących się nad cudownemi jeziorami Włoch północnych, postanowił podjąć kilka nici z urwanego opowiadania i z kolei zapoznać nas z losami, z cierpieniami i walkami syna tych, którzy byli osią poprzedniej powieści. Raz po raz wracają oni rzewnem przypomnieniem w toku tego drugiego opowiadania, co czytelnikowi sprawia wrażenie spotkania dawnych, dobrych, bardzo kochanych znajomych Ale w nowoczesnym światku wszystko mniej jasne, bardziej zawiłe, rozłam polityczno religijny odbił się w duszach ścieraniem się zasad, przekonań, poglądów. W „Dawnym światku“ chodziło tylko o wyparcie znienawidzonego nieprzyjaciela z ziemi włoskiej. Teraz zapanowała jedność polityczna, ale religijne wystąpiły spory, targając sumieniami i życiem.

Piero Maironi, syn bohaterów pierwszej powieści, wychowany pobożnie, bodaj mistycznie, zaślubia w młodym wieku krewnę swoją, potulną dziewczynkę, której głębi uczucia na razie nie zmierza. Wtem

nieubłagana choroba zaćmiewa umysł młodej kobiety — wypada ją zamknąć w domu zdrowia. Piotr zostaje w tem najtrudniejszem położeniu człowieka żonatego, pozbawionego rodziny. Szuka tarczy i dźwigni w pracy, w ascetyzmie. I oto stronnictwa, wyrywające sobie zarząd małego miasta, próbują go do siebie przyciągnąć. Zostaje syndykiem czyli burmistrzem, ale sam się tego urzędu wyzbywa, gdy pozory odbierają życiu jego pożądaną powagę. Spotkał na drodze swojej kobietę młodą, piękną, równie jak on nieszczęśliwą, bardziej od niego namiętną, która niby marzy o przyjaźni dusz, a powoli wstrząsa całem jego jestestwem. I tu bardzo subtelnie oddany jest wewnętrzny proces, rozgrywający się w tej męskiej duszy, trafnie przestawioną walka dwóch pierwiastków i prądów ludzkiej słabości z jednej strony, z drugiej zaś tej siły, co płynie z nadprzyrodnych źródeł, a wynika z chrześcijańskiego wychowania. Dziwną sprzecznością, świadom niebezpieczeństwa Piotr, nie może darować czarodziejce tego właśnie, coby ją uczynić mogło przystępniejszą i mniej surową. Brak w niej zupełny uczuć i przekonań religijnych stanowi w oczach jego rodzaj potworności, która go zraża. Zagadkowy to stosunek dwojga ludzi, przyciągających się i odpychających na przemian. W Piotrze gotowa się obudzić pycha zwycięscy opierającego się pokusie, pycha podsycona zamierzoną ofiarą z całego niemal majątku, którego się wyzuć na rzecz ubóstwa pragnie, odnalazłszy ślad niesprawiedliwego zakończenia kontrowersu Maironich z szpitalem w Medyolanie. Stygnie jego wiara w obcowaniu z niewierzącą kobietą; on, dotąd tak pewny swej i jej cnoty, za chwilę stoczy się w przepaść, ulegnie rozbiciu. Ale czuwa jego Anioł Stróż. W chwili rozstrzygającej schadzki naznaczonej między Piotrem a Joanną Dessalle nadchodzi wieść, że rozwiała się mgła ciężąca na umyśle biednej Elizy, że oprzytomniała kosztem sił fizycznych, że umiera, a przed zgonem pragnie męża pożegnać. Pokazuje się, iż służba domu zdrowia niebacznie przed nią wspomniała o domniemanej niewierności małżonka, że zrozumiała — i cierpieniem zbudziła się do przytomności. Następują najpiękniejsze sceny, jakie nam się zdarzyło czytać w nowoczesnej powieści. Upokorzenie Piotra, czującego, na jak kruchych podstawach ludzka opiera się cnota, ilekroć jej zabraknie dźwigni nadprzyrodzonych, ostatnie rozmowy małżonków, jakoby już wkraczających duszą w zaświaty, obraz tej nocy cichej, pogodnej, gwiaździstej, zakłóconej zdala wyciem obłąkanych, tej nocy czuwania przy łożu umierającej, przemienionej, wniebowziętej młodej istoty, która wszystko chce przebaczyć, nawet to, czego nie widziała, obraz ten w literaturze

spółczesnej niema sobie równego. Piotr modli się, kruszy, wraca do Boga swej młodości, czuje w sobie moc wiary i ofiary — i gdy żona ostatnie wydaje tchnienie, on rozdaje wszystko, co posiada i znika bez wieści, o ile domyślać się godzi, aby w ubóstwie i wyrzeczeniu klasztornej celi przygotować się do misyi socyalnej, do posłannictwa duchowego na wzór św. Franciszka. Święci tylko i świętych ofiara może świat nowoczesny ocalić i zbawić.

Oto słabe oddanie wątku tej niezrównanej powieści, która w dość marnym polskim przekładzie dużo straciła ze swej woni. Są w niej zapewne, jak w każdym ludzkim utworze, strony ujemne. Tak np. zatargi stronnicze małomiejskie obciążają powieść bardzo trafnymi i humorystycznymi, ale dla ogółu czytelników nużącymi ustępami. Odsłaniają się małostki, nikczemności i nędze obu stronnictw; t. zw. klerykały nie są bardziej oszczędzani od liberałów, autor smaga nielitościwie śmieszności i słabości i przywary obustronne. Nie darmo wszelako Fogazzaro jest senatorem królestwa włoskiego, raz po raz zdradza on pewną niechęć do ustanowionego Kościoła, do hierarchicznego w nim porządku, tęskni do jakiejś nowej religijności, którąby zastąpiła ściśle określoną religię. Ale dusza włoska, dusza Fogazzara jest tak na wskróś *naturaliter christiana,* rzeklibyśmy *naturaliter catholica,* tak przepojona tradycyą wieków, zżyciem się z obrządkami i praktyką wiary, że męty właściwe nowoczesnej rozterce tego *mondo moderno* opadają i rozwiewają się pod ciepłem tchnieniem uczuć zobowiązań i dźwigni, które tylko w kościele katolickim znaleźć przychodzi. Ta sprzeczność w utworze Fogazzara jedynym rozdźwiękiem w prześlicznej powieści, która mianowicie w ustępach końcowych przepysznie oddaje, czem wiara w życiu, czem zwłaszcza przy śmierci. Takie postaci, jak ks. Józef, jak margrabina Screnicu, matka biednej Elizy, już starczyłyby, aby wskazać, co za kwiaty świętości i doskonałości rosną na niwie ściśle i szczerze katolickiej.

Rzecz dziwna: po raz wtóry już Fogazzaro, malując nam rozterkę dusz, przedstawia więcej wiary po stronie męskiej, wysuwa postaci niewiast pozbawionych religijnego pierwiastku. Luiza Rigcy w „Dawnym światku", Joanna Dessalle w nowym, uosabiają obce, smutne prądy, zagarniające niewieście serca i umysły. Luizę wpływ pobożnego małżonka ku Bogu zwraca, Joanna odchodzi w dal, nie wiemy, czy zdolna zrozumieć szczytną ofiarę ukochanego, jego zwycięstwo nad nią — i nad sobą. Zwykle niewiasta wierna uświęca niewiernego małżonka, w powieściach Fogazzara bohaterki ulegają wpływom wieku, bohate-

rowie chowają nierównie więcej wiary i wierności w życiu i duszy, onito są apostołami przyszłości, oni pokorą ducha i ducha też siłą przerastają zbuntowane umysły i serca niewieście. Czyżby we Włoszech istotnie świat żeński uległ był silniej prądowi odchrześcijanienia? czy tam na straży zasad i świętych tradycyi nie kapłanki ogniska lecz raczej tylko mężowie stali i pozostali? Nie znamy dosyć tego *mondo moderno*, aby o wierności obrazu przesądzać. Tyle wiemy, że jest on bardzo piękny w całości i szczegółach, że np. opisy, w których łacno rozpoznać siedzibę autora, uroczą Vicenzę, godne są najlepszych mistrzów pendzla. A jeśli wypadło nam tu i owdzie poczynić pewne zastrzeżenia wobec niektórych religijnych, niektórych socyalnych, bodaj socyalistycznych poglądów autora, trzeba nam brać w rachubę wyjątkowe położenie Włochów. U nas pojęcie wiary, pojęcie miłości ojczyzny zlewa się w harmonijny akord. Tam nieszczęsny zabór Rzymu ciągły wprowadza rozdźwięk w duszach, ciągłe wytwarza religijno-polityczne nieporozumienia i trudności. Odbicie tych zawiłości i zatargu znalazło się w tej powieści, ale to nie przeszkadza, iż czytelnik, zamykając książkę, czuje się gorętszym, pobożniejszym, ofiarniejszym i hartowniejszym chrześcijaninem: nowoczesne męty, jeżeli się tu i owdzie podniosły w toku opowiadania, rozwiewają się rychło, a zostaje tylko wrażenie tego, co stanowi istotę książki, że kto raz zakosztował życia wiary, już bez niej żyć nie potrafi, że kogo raz wyższe, nadprzyrodzone pochwyciły wpływy i pobudki, już lotu nie zniży, lecz jeszcze szerzej skrzydła ku lepszym rzeczom rozwinie. *M.*

Musik — Ästhetik. Von *Gerhard Gietmann S. J.* Freiburg in Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1900 (Str. VIII, 370).

Autor omawia tutaj filozofię muzyki. Na imię filozofii nie zasługuje u niego bezprzedmiotowy idealizm, ale taka tylko metafizyka, która rozumuje o pojęciach rzeczywistych, zaczerpniętych z wiedzy doświadczalnej. W świetle takiej filozofii żaden myśliciel nie może pominąć zjawiska, które ciągle spotykamy, a polegającego na tem, że przez muzykę serce artysty przelewa swoje uczucia w słuchaczy, nastraja ich i podnosi, porywa w swój świat z niemniejszym skutkiem, niż obrazem rozmarzy mistrz pędzla, albo na strunach serca wygra swoją myśl piewca natchniony.

O tem zjawisku mało kto wątpi, a również niewielu w takim stopniu przypisuje wpływ muzyce, jak Vischer, który twierdzi, że żaden obraz, żadna mowa nie wywnętrza tyle głębiny serca i jego

stanu, ile muzyka i z niczem nie można porównać ani niczem zastąpić wyznań, któremi muzyka opisuje wewnętrzny stan serca.

W mniejszym zapewne stopniu ogół uznaje potęgę muzyki, zjawiskiem tem jednak tak się zajmuje, że szczególniej w ostatnich dziesiątkach lat wieku XIX wielu myślicieli usiłowało wykryć jego prawa i zbadać przyczyny. Ks. Gietmann stanął w ich gronie z tą nadto myślą, żeby z istoty muzyki wysnuć jej zadanie i podać praktyczne wskazówki dla sądu o muzyce.

Wywody ks. Gietmanna żywo przypominają uwagę Mickiewicza, że „myśl kłamie uczuciu, serce myśli kłamie", że brakuje nam słów, aby opisać jakiś obraz, że niewymowny czar przechodzi pojęcie. Te i tym podobne zwroty dowodzą, że mowa ludzka nie obejmuje całego świata myśli ani myśl nie wyczerpuje wszystkiego, co mieszka w sercu. Myśl, której mowa nie dopisuje, szuka innych dróg, aby wyjaśnić odcienie nieuchwytne samą treścią słów głoszonych albo spisanych. Do uzupełnienia ustnej mowy myśl używa znaków, uważanych w nauce krasomówstwa za dodatkowe, więc mimiką twarzy i gestykulacyą, wyrazem oczu i dźwiękiem głosu, a na scenie doborem nawet dekoracyi, barwą i samym nawet krojem sukni wyszukuje do widza drogi, której nie zdoła przebyć samą treścią słów wymawianych; przy piśmie daleko częściej, niż przy ustnej mowie, myśl posługuje się środkami pomocniczymi, mnożąc znaki pisarskie, używając illustracyi. A gdy i te środki zawodzą, dzieło kłamie myślom głębszego pisarza. Słowem, przy całem bogactwie języka najbardziej wyrobionego, jeszcze często przy głębszych myślach czuje się taką niemoc swojej wymowy, jakiej doznaje w rzeczach potocznych ten, który wyraża je obcym językiem, nie władając nim dostatecznie.

A ileż razy ani myślą nawet żadną nie uświadamia sobie człowiek wszystkiego, co czuł w swojem sercu, a czuł tak wnętrznie, całą głębiną jestestwa, że nie zdoła znieść uczucia i dla siebie samego go przechować; potrzebuje rozmowy, w której ludzki język zajmuje już tylko podrzędne stanowisko środka pomocniczego; więc natchnione uczucie szuka dróg bezpośrednich i krótszych: mówi bez słów, pendzlem uwiecznia na płótnie czyny przodka i zapala do walki potomstwo rycerzy, płacze bez łez dźwiękami harfy. W tym razie nie rozum bezpośrednio przemawia, ale dopiero uświadamia sobie stan serca, myśl tylko towarzyszy grze uczuć, które same znalazły dla siebie wyraz w natchnionej grze tonów.

Zatem — ciągnie dalej ks. Gietmann — dźwięki muzyki niosą

w sobie płodne nasienie, które, rzucone na rolę umysłu, zwolna wywołują także w nim oddźwięk coraz bardziej świadomy i wspólnie z tą pracą myśli rodzą w sercu słuchacza wrażenie, głównie sercem doznawane i odczute umysłem muzyki, ale po części także zdolne karmić rozum i zapełnić wyobraźnię. Mistrz tonów zaprawia swój artyzm w unoszeniu słuchacza na wyżyny uczuć natchnionych: zgłębia drogi do ludzkiego serca, aby na jego strunach odegrać te uczucia, których we własnem sercu doznaje.

Ta bezpośrednia mowa uczucia w muzyce ma zatem niejako przewagę nad ustnym wyrazem myśli. Mowa ludzka bowiem składa się z dźwięków, dowolnie użytych na znak myśli. Mistrz tonów przeciwnie rozporządza środkami wymowy w znacznej części ze swojej już istoty zrozumiałymi i właściwymi przy każdem uczuciu. Prócz zasobu dźwięków, z przyrody swojej związanych z uczuciem, rozporządza muzyk także znacznym zapasem znaków niejako już umówionych, ogólnie przyjętych, tak zwaną symboliką tonów (Grecy np. wyrażają ból najczęściej przez wysokie tony skali; nasza muzyka lubuje się w tym wypadku w tonach najniższych; grecki sposób naśladuje jękliwy okrzyk boleści, dla nas ton nizki służy za wyraz upadku ducha).

Prócz tych poglądów na istotę muzyki zawiera dziełko ks. Gietmanna obfite szczegóły historyczne, a w ich świetle czytelnik łatwo wyrobić sobie może sąd o rozwoju muzyki i początku rozmaitych jej odcieni i szkół. W kwestyi najwznioślejszej muzyki starodawnej i nowoczesnej kościelnej autor niejedną wyświetlił prawdę, niejedno sporne pytanie bezstronnie objaśnił. Praca to gruntowna i sumienna, zawierająca wiadomości niezbędne dla każdego wykształconego człowieka.

K. C.

Un roi de Pologne et la couronne ducale de Lorraine: Stanislas Leszczyński et le III traité de Vienne d'après les archives d'Etat, les papiers du roi de Pologne et autres documents inédits par *Pierre Boyé,* Dr. de lettres et de droit, avocat à la Cour d'appel de Nancy. Paris. Berger-Levrault et C-ie Editeurs. 1898 (Str. 588).

Z pewną bojaźnią zazwyczaj otwieramy książkę w obcym języku, traktującą o naszej przeszłości, bośmy przywykli spotykać w nich złą wolę lub niewiadomość. Obawa ta tem jest większa, iż cudzoziemcy czasów naszej chwały nie znają i przywykli nas sądzić według smutnego stanu XVIII stulecia. Dzieło p. Boyé wszakże dotyka nie tyle wewnętrznych spraw Rzpltej, co samej osoby Leszczyńskiego od chwili

osiedlenia jego w Wissemburgu aż do objęcia opróżnionego bezprawiem tronu Lotaryngii.

Epizod dziejowy niesłychanie romantyczny, ale i niewymownie smutny, nie tyle z powodu nieszczęsnych wypadków, jak ze względu na ujawniającą się małoduszność, bezwzględność i moralne okrucieństwo. Ofiarami tu są Stanisław Leszczyński i wnuk naszej królowej Eleonory, Franciszek III, książę lotaryngski. Autor nie kryje wad Leszczyńskiego: próżności, braku energii, lekkomyślności, płytkości charakteru i t. p. — przeciwnie, maluje je przesadnie i karykaturalnie, niemniej przeto kreśli z jaskrawą surowością postępowanie partyi wojowniczej rządu francuskiego, używającej osoby teścia Ludwika XV za pozór do rozżarzenia na nowo starej walki Francyi z Cesarstwem, podczas gdy główny minister kardynał Fleury, pragnący walce tej raz na zawsze koniec położyć, czynił, co mógł, aby ów pozór do niej, t. j. sprawę Leszczyńskiego usunąć. I tak np. kanclerz Chauvelin wyprawił niemal przemocą Stanisława do Polski po śmierci Augusta II i przeprowadził wypowiedzenie wojny Karolowi VI; Fleury zaś dokonał tego, że w wojnie tej zapomniano o Leszczyńskim, oblężonym w Gdańsku i że po bohaterskiem poświęceniu Hrabiego Plelo, poległego w obronie shańbionej czci swego narodu, dozwolono na upadek wiernego miasta. W ucieczce z Gdańska w kraj pruski eskortował Stanisława Szwed Stanflicht przez pamięć na Karola XII. Gdy zaś król pod opieką brandeburgską gościł w Królewcu, Fleury podał pierwszy cesarzowi rękę do zgody kosztem abdykacyi Stanisława. Żądał wprawdzie od upokorzonego klęskami Karola VI ustąpienia Lotaryngii, a raczej zabrania jej prawemu dziedzicowi, aby ją Francyi darować; gotów był jednak od warunku tego ustąpić, gdyby znów Chauvelin nie był pochwycił sprawy w swe ręce. Pertraktacye trwały przeszło rok, bo trzeba było biednemu zięciowi cesarskiemu groźbą i prośbą wydzierać podpis na bezprawny akt ujarzmienia jego ojczyzny, trzeba było zdeptać najszlachetniejsze uczucia zrozpaczonego ludu, bezsilnego wśród przemożnych sąsiadów, wyrywających mu wolność. Z tonu autora domyślać się można, że oderwanie Lotaryngii od Francyi byłoby w roku 1871 o wiele mniej bolesnem, gdyby zamiast Hohenzollernów zawładnąć nią mieli Habsburgowie. Leszczyńskiemu kazano udawać księcia lotaryngskiego, osadzono go w starym książęcym zamku w Luneville i pozwolono imię swoje podpisywać na ukazach administracyi francuskiej. Rządy jednak nie on sprawował; przed wyjazdem musiał podpisać akt zrzeczenia się wszelkiej władzy nad księstwem, więc mianowania na urzędy, pobory dochodów, wy-

miaru sprawiedliwości. Nie mógł nawet uzyskać nominacyi przyjaznego mu komisarza rządowego z Francyi. Został nim Chaumont de la Glaizière, człowiek twardy, bezwzględny, stworzony do wskazanej sobie roli „asymilatora“. A jednak nawet on zaprotestował wkrótce przeciw okrutnym i niedorzecznym wymaganiom rządu wersalskiego, prosił o wyrozumiałość dla biednego kraju, ale prosił daremnie. W ciągu rzekomych rządów Stanisława Francya wyciągnęła z księstw Lotaryngii i Baru przeszło 100 milionów; podatki, wynoszące w r. 1736 ledwie dwa miliony, wzrosły wkrótce do pięciu. Dopiero w r. 1766 spostrzeżono, że kraj niegdyś bogaty i ludny wyczerpano do szczętu z ludzi i pieniędzy. Wszystko to zaś działo się pod osłoną imienia Leszczyńskiego, bo jego akt wyrzeczenia się władzy pozostał tajnym. Ile stąd przykrych starć, trosk i boleści musiało dla biednego króla-wygnańca kryć się pod świetnością lunewilskiego dworu? Inny byłby może tych warunków nie przyjął, ale natura Leszczyńskiego była przedewszystkiem bierną: podobnie jak niegdyś oddał się Karolowi, tak obecnie oddał się Francuzom, choć rozum wskazywał mu jasno szaleństwo pierwszego i zimny egoizm drugich.

Książka p. Boyé, choć głównie na papierach dyplomatycznych oparta, czyta się z łatwością jak powieść. Za wiele tam jednak patryotycznego żalu, by uznać ją za zupełnie bezstronną; znać, iż w Leszczyńskim widzi narzędzie ujarzmienia swego kraju i dlatego czyni go odpowiedzialnym nawet za fakty postronne, zupełnie niezależne od jego woli. Ciekawym zaś właśnie, bo niezwykłym jest ów patryotyczny punkt widzenia Lotaryńczyka. Dziś, gdy się wszystko zmieniło, gdy Lotaryngia pod pruskim zaborem wzdycha za znienawidzoną naówczas Francyą, mało kto pamięta o dokonanej w r. 1736 politycznej zbrodni, godnie poprzedzającej rozbiór Polski. Charakterystycznym faktem jest ta okoliczność, że pierwsza myśl kombinacyi oddającej Lotaryngię Francuzom wyszła w formie projektu z ust Fryderyka Wilhelma króla pruskiego.

T. W.

Un allié de Napoléon. Frèderic Auguste, premier roi de Saxe et grand duc de Varsovie, par *André Bonnefons*. Paris. Librairie Academique Perrien.

Pan de Bonnefons wydał zajmującą monografię najwierniejszego ze sprzymierzeńców napoleońskich, księcia warszawskiego Fryderyka Augusta, o którym więzień ze św. Heleny mówił: *C'est le plus honnête*

homme, qui ait jamais tenu le scetre de roi. Część tej monografii odnosząca się do dziejów Księstwa Warszawskiego zawiera szczegóły zbyt nam znane i blizkie, ale na tem miejscu na dokładne zasługiwała sprawozdanie. Choć autor sumiennie czerpał wiadomości z najpewniejszych źródeł, niejeden szczegół czy zdanie w książce przez cudzoziemca spisanej zasługuje na surowszą może krytykę, a przynajmniej podlega dyskusyi. Zato pierwsze i ostatnie rozdziały tej książki znanymi nam rysami uzupełniają czcigodną postać Fryderyka Augusta.

Po śmierci ojca Fryderyka Krystyana w r. 1763, w trzynastym roku życia został elektorem saskim. Rządy kraju sprawował tymczasem opiekun i stryj jego książę Xawery. Po dojściu do pełnoletności, przez okres prawie sześćdziesięcioletni, bo do r. 1827 dzierży Fryderyk August ster państwa, narażonego wówczas, jak wiele innych, na ciężkie kolizye losu. Autor na wstępie zastanawia się nad dziwnym ustrojem państwa protestanckiego, rządzonego przez katolickiego monarchę. Na pozór nie znać rozłamu ni rozdźwięku. A jednak tkwi on głęboko choćby w tem ciągłem skłanianiu się narodu ku hegemonii Prus w Niemczech, tych Prus na wskróś protestanckich, czerpiących swój początek w apostazyi i przeniewierstwie, podczas gdy z drugiej strony sympatye i skłonności domu panującego kierują się ku państwom pokrewnym sobie religią i związkami krwi. Rozłam ten zaznacza się i w dziejach Fryderyka Augusta. Wbrew pokojowemu swemu usposobieniu i sympatyi francuskiej widzi się zmuszony udzielić pomocy Prusakom walczącym pod Jeną. Ale pogrom ten, jakby na udowodnienie przysłowia: *qui perd, gagne,* nie wyszedł na złe Saksonii i jej władcy. Napoleon, snadź przeczuwający w Fryderyku Auguście wiernego sprzymierzeńca, wyróżnił go warunkami traktatu podpisanego w Poznaniu. Elektorat zamieniony w królestwo, wciągnięty został do konfederacyi nadreńskiej, z obowiązkiem popierania siłą zbrojną zaborczych planów Napoleona.

Fryderyk August zgodził się na warunki ugody wyswabadzającej go bądź co bądź z pewnej od Prus zależności. Odtąd król saski stale dopomaga rosnącej potędze napoleońskiej. Przez lat siedm nie sprzeniewierzył się nigdy Fryderyk August przyjaźni i przymierzu podpisanemu w Poznaniu. W kampanii rosyjskiej uczestniczy blizko sto tysięcy saskiego i polskiego żołnierza. Kiedy wobec olbrzymiej klęski zrywano wszystkie przymierza, Fryderyk August sam jeden do końca pozostał wiernym Napoleonowi.

Pan de Bonnefons wyczerpująco opisuje rokowania kongresu wiedeńskiego, podczas którego sprzymierzone potęgi koniecznie chciały

odrzeć z purpury króla saskiego. I znów dziwną losów ironią Francya ocaliła napoleońskiego sprzymierzeńca, Ludwik XVIII i Talleyrand nie dali mu zrobić krzywdy ani odjąć korony.

Oto krótki obraz politycznej działalności Fryderyka Augusta. Autor daje nam jeszcze rzut oka na prywatne życie tego zacnego władcy. Wychowaniem jego kierował światły kapłan, który przedewszystkiem o to się starał, aby wszczepić w duszę swego ucznia głęboko wkorzenione zasady żywej wiary i nieskazitelnej moralności. W istocie owoce tej pracy sowicie nagrodziły trudy i starania. Skromność młodego władcy szła w parze z rozległą jego wiedzą. Nigdy chęć popisu lub rozgłosu nie kierowała jego krokami. Przyswoił sobie wiele obcych języków, zdobył sobie głębokie poznanie prawa, polityki i administracyi w tym jedynie celu, by sumiennie spełniać obowiązki panującego, jak najpożyteczniej służyć ojczyźnie. W r. 1769 zaślubił księżniczkę Dwóch Mostów, Maryę Anielę, podobnie jak on ozdobioną licznemi zaletami umysłu i serca. Dzień 5-ty maja był podobnie jak dla więźnia ze św. Heleny i dla tego władcy ostatnim dniem życia. Ale śmierć jego odczuła boleśnie Saksonia i Polska.

Pięknym tym na sumiennej, źródłowej pracy opartym rysem wpływowej postaci wzbogacił autor obfitą, ale zawsze interesującą literaturę studyów nad dobą napoleońską. *M.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Dzieje Polski za Piastów. Napisał *Dr. Feliks Koneczny*. Nakładem Krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej. Kraków. 1902 (Str. 408).

Dr. Koneczny, znany już ze swoich prac historycznych, słusznie cenionych, takie wypowiada o historyi zdanie w wyżej wymienionem dziele: „nauka o przeszłości zowie się historyą... Bez znajomości przeszłości praca około przyszłości nie może wydać dobrych skutków... Historya jest to po prostu wytłumaczenie i wykazanie, dlaczego dziś jesteśmy takimi, jakimi jesteśmy, a czemu nie jesteśmy inni... Teraźniejszość jest dla myślącego człowieka zagadką, bo na każdym kroku nasuwa mu się pytanie, dlaczego tak jest a nie inaczej? Tę zagadkę rozwiązuje historya. Kto ją pozna, ten dopiero zrozumie dobrze swoje czasy, w których mu żyć i działać wypadło, a przez to też łatwiej mu będzie ocenić, co dla przyszłości lepsze... Nie poprzestaje historya na opowiadaniu tylko tego, co w przeszłości piękne i miłe; z jednakową sumiennością trzeba opisać i to wszystko, co złego było w przeszłości, nie godzi się ani

oczerniać ani pochlebiać... Historya musi więc być pisana sprawiedliwie i trzymać się jednej tylko rzeczy... prawdy".

Przyjąwszy za zasadę prawdę, autor postanowił spopularyzować najnowsze wyniki naukowe na polu historycznem (do czego się przyczyniły także niektóre dawniejsze prace szanownego autora) i tym sposobem uczynić je dostępne dla szerszej naszej publiczności. Z zadania swego Dr. Koneczny wywiązał się doskonale. W tej swojej książce zawarł dokładną historyę dynastyi Piastów, uwzględniając przytem wewnętrzny ustrój naszego życia społecznego w owej dobie. Czytelnik, a czyta się książka z wielkiem zainteresowaniem, pozna tu dokładnie nie tylko dzieje polityczne tych czasów, lecz także historyę różnych naszych instytucyi, przeszłość Kościoła, rozwijanie się stanów naszego społeczeństwa, dowie się, co się u naszych działo sąsiadów, słowem, poinformuje się o wszystkiem dostatecznie.

Autor podzielił to swoje dzieło na trzy części. Pierwszą nazwał — państwo społeczeństwu narzucone; tu w czterech rozdziałach (str. 7—123) mówi o pogaństwie, o Mieszku I, Bolesławie Wielkim, upadku i odnowieniu państwa i kończy to wszystko na r. 1058.

W drugiej części (str. 123—255) roztrząsa walkę społeczeństwa o wpływ na rządy państwem, mamy tutaj złamanie jedynowładztwa, tron elekcyjny i przesilenie do r. 1243; a więc rządy Bolesława Śmiałego, Władysława Hermana, jego syna Krzywoustego, wypadki polityczne po śmierci tego ostatniego i obszernie przedstawione czasy Leszka Białego, nadto zmiany terytoryalne i społeczne w tej dobie, wszystko to w trzech rozdziałach.

Część trzecia (str. 256—408) — państwo przez społeczeństwo wytworzone—równie składa się z trzech rozdziałów: nowe państwa ościenne, przewaga Wielkopolski, działalność Kazimierza Wielkiego.

Kończymy tę pobieżną notatkę życzeniem, aby szanowny autor w podobny sposób opracował resztę naszych dziejów: byłaby to całość niezmiernie pouczająca i bardzo potrzebna dla różnych sfer naszego społeczeństwa. *W.*

Pieśń. *Jan Nowacki.* Kraków. 1903.

„Zrodziła się nie w pałacu, wśród zbytku i rozkoszy, lecz w nędznej izdebce na poddaszu". „W pieśni owej było to, co było najpiękniejszego w naturze, najszczęśliwszego na ziemi, najlepszego w uczuciu ludzkiem". Taka pieśń przeszła świat, rozgrzała i skruszyła zimne serce kamiennego człowieka, pocieszyła i dodała ochoty do życia cierpiącemu i zrozpaczonemu, dała chwilę szczęścia złożonemu niemocą. „I płynęła tak dalej przez życie promienna i kojąca". „I poznał w niej Stwórca iskrę, którą włożył był w pierś poecie, wziął pieśń tę i dał ją jako talizman Aniołowi Miłosierdzia, a poetę przyjął do siebie, iż przyoblekł iskrę w pieśń, która uświęciła tylu ludzi".

To w streszczeniu bieg myśli „pieśni", zaczynającej zbiór również tak zatytułowany. Czy pieśni poety odbiją się tak silnem wrażeniem w sercach i umysłach czytelników, jak kreśli autor na wstępie, nie wiemy. Że jednak pieśni te mają dużo piękności, zaprzeczyć nie można. Pisane poetyczną prozą, w prozaicznej formie, mają wiele poezyi. Cechuje

je obok tego ciepło i trafne odczucie przyrody, a przytem uczucie religijne. A spojrzawszy na odwrotną stronę medalu, zaznaczyć musimy pewną sztuczność i napuszystość słowa, gonienie za efektami językowymi.

Obrazy natury są „pieśni“, umiejętnie i poetycznie splecione z osobistemi uczuciami autora, wiążą się i wypływają z siebie logicznie: całość można nazwać, jeśli już chodzi o sklasyfikowanie gatunku, „impresyami“, artystycznie pojętemi i wykonanemi.

Ładny jest obrazek „Skon nocy letniej“. Po odmalowaniu zjawisk przyrody na tle własnych wrażeń kończy poeta: „A kiedy roztkliwiony swym śpiewem zamilknie na chwilę król śpiewaków, cisza wielka ogarnia ziemię. I kiedy wsłuchany w tę bezmierną ciszę, zamkniesz na chwilę oczy, poczujesz dziwny chaos myśli, które pierzchają jak lotne ptaki daleko poza rzeczywistość“.

„Teraz dopiero poznasz wielkość i majestatyczność nocy letniej, którą kryje pod pozorem spokoju i łagodnością koloru, a poznawszy je, składasz mimowoli ręce do modlitwy pokornej a dziękczynnej i wnosisz ją do Boga, do Tego, który jest Twórcą i Panem tej wielkości“.

Wyróżnia się też legenda p. t. „Brylant“. Gdy człowiek modli się, to nim jego modlitwa dojdzie do tronu Boskiego, zamienia się w jakiś drogi kamień, który anieli zanoszą Bogu. Są tam szmaragdy nadziei, turkusy, symbol modlitwy wiary, rubiny miłości, ale najrzadziej trafiają się brylanty, symbol modlitwy czystej i doskonałej.

Dawno już nie znaleźli aniołowie brylantu. Aż raz znaleźli u wrót nieba brylancik mały, ale czysty i piękny. Było to westchnienie sieroty, ale w niem „złączyły się wszystkie najserdeczniejsze prośby niedoli“. A Bóg z radością przyjął tę modlitwę.

Legendy tej stronie tylko zewnętrznej możnaby nieco zarzucić, że styl może nieco za wyszukany, że za mało tam naiwnej prostoty, nieodzownej cechy tego rodzaju opowiadań.

Wymienionemi zaletami odznacza się i utwór „Motyl i róża“, „Czemu“ Schumanna jakby illustracya do tego utworu muzycznego, „Panie, otom jest, którym zgrzeszył“, „Zapóźno już było kochać“, „Nad głowę Pana“, „Wiosno Królowo“ i t. d. Nieco niejasna jest myśl utworu „Jest na świecie moc jedna“.

A. B.

Cienie. *Irjal.* Kraków. 1903.

Smutek, melancholia, pesymizm bije z kilkudziesięciu kart zbioru zatytułowanego „Cienie“. Czy maluje przyrodę, czy jakieś zjawisko z życia codziennego, czy też, zaczynając wprost od swojej osoby, daje nam obrazy w czarnych barwach kreślone, kończy refleksyą rozpaczliwą, pesymistyczną.

A jako finał tego pesymizmu, tej goryczy życiowej, kończy całość większy utwór p. t. „Demon“, nie tylko rozpaczliwy, malowany i trzymany w czarnym tonie, ale obok tego wprost bluźnierczy.

A. B.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XVIII. Kraków. 1902.

Na czele wydawnictwa spotykamy obszerną rozprawę Stanisława Zakrzewskiego p. n. „Ze studyów nad bullą z r. 1136“. Kwestya to bardzo

drobiazgowa i specyalna. Jest to potwierdzenie posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Wylicza bulla ta posiadłości należące do arcybiskupstwa i ta właśnie część ma znaczenie historyczne. Z tej części wysnuwa autor wnioski o rozmiarach posiadłości i stosunkach prawnych poddanych osad, należących do arcybiskupstwa.

Dalej czytamy rozprawę Karola Potkańskiego p. n. „Opactwo na Łęczyckim Grodzie". Kreśli historyę tego opactwa, przemianę opactwa na kolegiatę, wreszcie zajmuje się stroną materyalną, wyposażeniem tegoż i stosunkami prawnymi osadników.

Następne dwie rozprawy Dra Wojciecha Kętrzyńskiego p. n. „Co wiedzą o Słowianach pierwsi ich dziejopisarze Prokopiusz i Jornandes?" i „Swewowie i Szwabowie" stoją ze sobą w przedmiotowym związku. W obu rozprawach udowadnia autor, że różne szczepy, o których wspominają historycy rzymscy i greccy, a które przywykliśmy uważać za germańskie, a w szczególności Swewowie, Autowie i różne ich rozgałęzienia, to ludy pochodzenia słowiańskiego.

W rozprawie „O palliuszu biskupów polskich XI wieku" zastanawia się Stanisław Kętrzyński, kto kiedy nadał palliusz biskupowi krakowskiemu Aaronowi, czy przez to otrzymał jakie wyższe hierarchiczne stanowisko i prawa. Dochodzi do wyniku, że nadanie palliusza było li tylko odznaką honorową, że tradycya o arcybiskupstwie krakowskiem, podniesiona w wieku XIII przez biskupa Iwona, nie jest poparta dowodami historycznymi.

W drugiej części bada autor, czy arcybiskupi gnieźnieńscy posiadali stale palliusz: dochodzi do wniosku, że z różnych powodów natury faktycznej i politycznej rzadko im palliusz nadawano.

W trzeciej części, lekko zresztą tylko naszkicowanej, zastanawia się nad zagadkowem nadaniem palliusza biskupowi misyjnemu Brunonowi-Bonifacemu. Do konkretnych wyników nie dochodzi, zostawia to innym specyalnym badaczom tej kwestyi, dotąd zresztą odłogiem leżącej.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć pracę Stanisława Kętrzyńskiego p. n. „O zaginionym żywocie św. Wojciecha", którego wyciąg Gall włączył do swej kroniki i bada genezę tego żywota, a raczej pasyi, gdyż w tę formę jest ubrany.

B.

Reakcya przeciw pozytywizmowi. *Ks. Broglie.* Przełożył *Edward Jędrzejowicz.* Kraków. 1901.

Z dzieła tego zdawał w swoim czasie *Przegląd Powszechny* sprawę zaraz po ukazaniu się jego w oryginale. Wobec niepospolitych zalet tej pracy witamy je z radością w polskiej szacie, pewni, że wywrze ono swój wpływ, a przynajmniej da materyał do zastanowienia się licznym jeszcze u nas zwolennikom kierunku pozytywistycznego.

A. B.

Potrzeby Jagiellońskiej Wszechnicy. *Prof. Maurycy Straszewski.* Kraków. 1902.

W broszurce tej wykazuje nam prof. Straszewski, jak biedną, jak skromnie uposażoną jest Wszechnica Jagiellońska, ile ma niedostatków, jakie jej potrzeby, by mogła stanąć na równej stopie z pierwszorzędnymi zakładami naukowymi zagranicy. Wyposażenie jej tak skromne, że zachodzi obawa, czy, nie mówiąc już o rywalizacyi ze znakomitszymi, dotrzy-

ma kroku przeciętnym uniwersytetom innych krajów. A nie ludzi jej brak, nie uczonych, ale środków, zbiorów, gabinetów, bez których przy obecnym stanie nauki ni profesorzy ni uczący się kroku naprzód w żadnej gałęzi wiedzy nie zrobią. Wzywa tedy całe społeczeństwo polskie, któremu stan naszej nauki, utrzymanie świetności prastarej *Almae Matris* leży na sercu, do pamiętania o jej potrzebach, by dzieci tego społeczeństwa nie potrzebowały za granicą z trudem i nieraz przykrościami zdobywać sobie wiedzy, której przy swych brakach Kraków w całej pełni dać im nie może. Państwo, rząd nie może znać ważności, tradycyi, nie odczuje i nie zrozumie interesu, jaki mamy, aby uniwersytet krakowski miał uposażenie i stanowisko pierwszorzędne, on go uważa za przeciętną prowincyonalną Wszechnicę. A braków ten Uniwersytet ma wiele. Wymaga nowego, urządzonego wedle wszelkich wymagań nauki gmachu i wyposażonego w odpowiednie urządzenia i pracownie studyum rolniczego. Potrzebaby z niem połączyć stacye doświadczalne, założyć pracownie dla badania na szerszą skalę w zakresie chemii rolniczej, uprawy roślin, hodowli zwierząt i t. p. Również należałoby ustanowić katedry leśnictwa, hodowli ryb, ogrodnictwa i t. p.

Dalszą konieczną potrzebą Wszechnicy jest urządzenie ulepszone instytutu fizycznego. Koszta obliczono na 200.000 K.

Na cel rozszerzenia instytutu chemicznego proponuje autor usunąć szkołę przemysłową. Urządzenie tak rozszerzonego instytutu liczy przeciętnie na 100.000 K.

Krytykuje również urządzenie instytutu fizycznego, mineralogicznego, zoologicznego i t. d., wogóle nauk przyrodniczych opisowych. By je postawić na stopie europejskiej, potrzebaby wkładu 150.000 K.

Równie zaniedbane jest obserwatoryum astronomiczne. Radby je szanowny autor widzieć w gmachu osobnym, gdzieś za miastem, urządzone postępowo. Budowa i urządzenie nowego gmachu pociągnęłoby za sobą koszta około 300.000 K.

Obecne obserwatoryum w ogrodzie botanicznym należałoby przerobić na muzeum botaniczne. Przeróbka i odnowienie zrujnowanego obecnie gmachu pochłonie sumę około 100.000 Kor.

Obok tego potrzeba gmachu dla archeologii i historyi sztuki, koszta wyniosą około 200.000 K., instytutu geograficznego i psychologicznego. Należałoby też pomyśleć o rozszerzeniu gmachu biblioteki, zakupnie wielu dzieł nowszych, których bibliotece brak To wymagałoby wydatku jednorazowego około 300 000 K., obok tego zaś zwiększenia rocznego funduszu bibliotecznego o 50.000 K.

Nie rozwodzi się już autor szerzej nad potrzebą stworzenia funduszu na naukowe publikacye, stworzenia katedr języka litewskiego, języka i literatury sanskryckiej, języków semickich, historyi starożytnego Wschodu, zauważa tylko z naciskiem, że brak tak potrzebnej katedry języka i literatury angielskiej.

Smutny wogóle obraz skreślił nam czcigodny profesor. Wątpi, czy prędko rząd te słuszne żądania będzie w stanie zaspokoić. Apeluje tedy do społeczeństwa, by to w fundacyach pamiętało o krakowskiej Akademii, jak to czynią np. Węgrzy. Ofiary

choćby najmniejsze nie będą bez skutku, będą mogły sprawę posunąć naprzód. *A. B.*

Staszyc jako statystyk. *Dr. Zygmunt Gargas.* We Lwowie. 1902.

Autor omawia tu pierwsze początki polskiej statystyki jako nauki. Przechodząc poszczególne dzieła Staszyca, wykazuje, że w obliczeniach, a raczej szacowaniach był nieścisły i niedokładny, że wcześniejszy od niego Czacki podaje cyfry więcej pewne i zbliżone do rzeczywistości Ale daty statystyczne były dla Staszyca tylko środkiem do celu nie celem głównym: on operował temi datami dla osiągnięcia celów politycznych. Zaznacza jednak, że Staszyc w historyi statystyki ma poważne znaczenie, jako jeden z pierwszych, którzy zwrócili uwagę na wagę momentu ilościowego w badaniach życia społecznego, na oparcie tych badań na ścisłej, realnej podstawie. Zasługą też Staszyca jest, że „momentu statystycznego doszukuje się w bardzo różnych i różnorodnych zjawiskach życia społecznego i to w chwili, gdy głównie statystyka ludnościowa stanowić poczęła przedmiot badań współczesnych".

A. B.

Un problème historique. L'empereur Alexandre I est-il mort catholique? Par *le P. Pierling S. J.*

Z ust O. Josewicza, przeora Dominikanów przy kościele św. Katarzyny na Newskim Prospekcie w Petersburgu, słyszał znakomity historyk O. Pierling w młodości niejednokrotnie opowiadanie, że car Aleksander I-szy, wyjeżdżając w jesieni r. 1825 do Taganrogu, wydał O. Sokolskiemu (poprzednikowi O. Josewicza) tajemne polecenie, aby przygotował mieszkanie dla księdza, mającego wkrótce przybyć z Rzymu. Nieprzewidywana śmierć cara była powodem, że owe przygotowania spełzły na niczem. Śledząc później w papierach kancelaryjnych z owej epoki, przechowywanych w archiwach watykańskich za bliższemi szczegółami tej sprawy, doszedł O. Pierling, że właśnie w owym czasie Italiński, minister rosyjski w Rzymie, czynił starania celem uzyskania audyencyi u papieża Leona XII dla jenerała Michaud de Beauretour, przybocznego adjutanta carskiego, która to audyencya istotnie niebawem miała miejsce. Dwa autentyczne dokumenty, reprodukowane *in extenso* na końcu broszurki O. Pierlinga, pochodzące od osób wiarogodnych, powiadamiają nas, co było przedmiotem audyencyi: otò niezłomny zamiar cara Aleksandra I wyrzeczenia się prawosławia i przyprowadzenia ludów berłu jego podległych do zjednoczenia się z Kościołem rzymskim. Prosił nadto cesarz o przysłanie do Petersburga księdza katolickiego, który miał odbyć podróż *incognito* i zamieszkać u Dominikanów petersburskich, gdzie miały odbywać się dalsze narady nad sposobem, jak ów doniosły zamiar carski miał być urzeczywistniony. Teologiem, którego za szczególnem zrządzeniem Opatrzności Leon XII wybrał, aby zadość uczynić tej prośbie, był O. Mauro Capellari, opat Kamedułów na Monte Coelio w Rzymie, późniejszy papież Grzegórz XVI, a gdy tenże dla słusznych przyczyn od misyi tej się uchylił, poruczył ją Leon XII innemu zakonnikowi O. Orioli, Franciszkaninowi. Ostatni zaczął się właśnie z całym zapałem w drogę gotować, gdy fatalna wieść o zgonie cesarza Aleksandra koniec negocyacyom po-

łożyła. Wspomniane dwa dokumenty znajdują uzupełnienie i potwierdzenie w opowiadaniu kawalera Moroni, zamieszczonem w jego *Dizionario di Erudizione storico-ecclesiastica* (1852), gdzie wszystkie szczegóły zaczerpnięte są z ust samego Grzegorza XVI, jak o tem sędziwy kawaler Moroni O. Pierlinga najuroczyściej zapewnił. Wspomniany artykuł stanowi Dodatek IV-ty broszurki przez nas omawianej, poczem następuje wyciąg z bardzo interesującego listu Ksawerego Branickiego do O. Gagarina T. J., zawierający stanowcze zapewnienie jenerała de Witt, że do umierającego cara wzywany był ksiądz katolicki. Ponieważ orzeczenia naocznych świadków są pod tym względem niezgodne, zatem O. Pierling tylko z wielką ostrożnością uwzględnia to świadectwo (zarówno jak i inne jemu podobne, od osób współczesnych pochodzące), tem bardziej, że dla stwierdzenia katolickich tendencyi wielkodusznego cara Aleksandra I wystarczają aż nadto owe wspomniane wyżej autentyczne dokumenty. *Z. B.*

Les Villes d'art célébres. Paris. Librairie Renonarid Laurens.

Księgarnia wyż wymieniona rozpoczęła wydawać szereg studyów o miastach posiadających większe skarby artystyczne i donioślejsze dla sztuki znaczenie. Cztery już takie monografie ukazały się na półkach księgarskich, dobrze wróżąc o powodzeniu rozpoczętego sumiennie wydawnictwa. W ciasnych ramach dwóchset stronnic p. Jerzy Riat potrafił zmieścić dokładny obraz pomników sztuki, znajdujących się w stolicy Francyi, dopełniając przymusową ścisłość tekstu wybornie dobranemi illustracyami. Po Paryżu p. Riat ukazała się Wenecya p. Piotra Gusman, który snadź należy do cechu t. zw. *Amoureux de Venise*, z miłością opisując jej czary, tem ponętniejsze dziś, gdy im grozi zatopienie w morskiej fali na podobieństwo legendowego w Bretanii miasta Ys, którego dzwony rozkołysane falą niekiedy z toni płyną dźwiękiem tajemniczego podzwonnego. Wydawnictwo „miast artystycznych“ zyskało sobie dzielnego współpracownika w osobie p. Hymansa, kustosza biblioteki królewskiej w Bruxelli. Napisał on już dwie monografie: o Bruges i o Ypres, a zapowiada dwie drugie o Gand i Tournai. Po rozmarzonych, pełnych sennej poezyi kartkach Rodenbacha o *Bruges la morte*, książka p. Hymansa daje nam ściślejsze wiadomości o tej uśpionej, średniowiecznej, jakoby zaczarowanej stolicy cechowych związków, zakonnych stowarzyszeń i arcydzieł sztuki, w tej chwili wystawą mistrzów pierwotnych tamże skupionych. Niebawem uczony O. Thédenat zapowiada jeszcze monografię Pompei, którą podobny znawca starorzymskich stosunków najlepiej sporządzić zdoła. *M.*

Bronisław T. Grabowski. Obrázek jeho života a literární činnosti (z portretem). *F A. Hora.* V Plzni. 1901 (Str. 51).

Książeczka ta, napisana przez serdecznego druha, nieodżałowanej pamięci Bronisława Grabowskiego, zawiera bardzo wiele cennego materyału do dokładnej charakterystyki tego pisarza, jako człowieka, jako autora całego szeregu prac naukowych i belletrystycznych, wreszcie jako jednego z najwybitniejszych działaczy na polu zbliżenia się czesko-polskiego. Wartość książeczki

podnoszą liczne cytaty i wyjątki z listów Br. Grabowskiego, pisanych do prof. Hory. W końcu przytacza autor w tłumaczeniu czeskiem Wacława Krofty wiersz Ant. Pileckiego, napisany z powodu śmierci Br. Grabowskiego.

Prof. Hora wyraża się z wielkiem uznaniem dla przedwcześnie zmarłego a tak zasłużonego pracownika na niwie ojczystej. Z każdej kartki tej książeczki przebija serdeczna miłość autora ku narodowi polskiemu i upodobanie w jego piśmiennictwie. Już od r. 1860 zaznajamia on Czechów z dziejami naszej literatury, z naszym językiem i obecnem życiem narodowem.

H. Ul.

La Chesnardière. *Léon de Tinseau.* Paris. Colmann Levy (Str. 345).

Ładna to powieść, nie dla młodych dziewcząt, ale moralna, jak zda się wszystkie tego autora.

Lekkomyślny Adehaume de Baralys ożenił się dla majątku i wdzięków z mieszczanką, córką prefekta, która wyszła zań li tylko przez ambicyę. Każde z nich osobno szuka sobie zabaw i rozrywek Mają troje dzieci; syn, istny hultaj, wyzyskuje słabość matki, starsza córka wychodzi za pierwszego lepszego, by się wydostać z domu, młodsza, Julianna, wychowana w klasztorze, wyrasta na dobrą, intelligentną dziewczynę pod kierunkiem proboszcza, księdza Bodileau, najpiękniejszej postaci z całej książki. On przygarnia biedne dziecko, samotne bardzo w rodzinie, podobnie jak i Gustawa de Presmes, syna arystokratycznej dewotki, krzywiącej się na sąsiedztwo pani Baralys a przesadną surowością oddalającej jedynaka od pobożności i cnoty. Pomiędzy dwojgiem młodych wszczyna się oczywiście romans, opóźniony przez dziecinny wygląd dziewczyny i brak decyzyi ze strony młodzieńca, a wreszcie przez nieporozumienie z jej ojcem; Baralys, który wszelką miłość swego lekkiego serca przeniósł na córkę, od czasu gdy wyrosła, gniewa się na Gustawa, myśląc, że on gardzi jej ręką i wyrzuca go za drzwi w chwili, gdy właśnie przychodził się oświadczyć. Gustaw odjeżdża i z Norwegii pisze do proboszcza długi list w wyznaniem swych uczuć. Wkrótce niestety dowiaduje się, iż Julianna za namową rodziców zaręczyła się z młodym kolonistą przybyłym z Indochin, który w ciągłej walce z dzikim zwierzem i dzikimi ludźmi nabrał hartu i śmiałości, zalet zbywających Gustawowi. Już dzień ślubu naznaczony. Wtem jakieś śledztwo w sprawie kradzieży wykrywa występki matki narzeczonej, która też ratuje się ucieczką. Po tym skandalu pan młody zrywa zaręczyny i wyjeżdża do Indyi. Upokorzona wyrządzoną sobie zniewagą, dotknięta opustoszeniem w domu i smutkiem ojca, szuka pociechy u księdza. Zastaje go umierającego z uśmiechem na ustach, zostawiającego jako spuściznę list Gustawa. Gustaw otrzymuje rękę bogdanki. Charaktery, zwłaszcza ojca, dobrze oddane, akcya ożywiona i lekka, nie dorównywa jednak ślicznemu *Sur le seuil,* najładniejszej ze znanych nam licznych powieści autora.

T. W.

Die Rosenkranzjungfer. *C. Viebig.* Fontane et Co. Berlin. 1901 (Str. 275).

Niedawno, bo dnia 5 sierpnia, ukazało się w odcinku *Czasu* obszerne a pochlebne sprawozdanie z nowego utworu Klary Viebig, szeroko znanej autorki powieści: *Das Weiber-*

dorf, *Das tägliche Brod, Es lebe die Kunst, Dilettanten des Lebens* i t. d. Trudno nam zwalczać sąd jednego z pierwszych dzisiejszych w Polsce krytyków. A jednak ze zdaniem tem zgodzić się niełatwo. Zbiór nowel, które mamy przed sobą, zawiera wprawdzie kilka powiastek nakreślonych bez nienawiści plemiennej, czuć wszakże, że autorka szuka swych typów wśród polskiej ludności tak, jak niegdyś Cooper szukał swoich między Mohikanami. Typy te (krom w *Genesung*) przedstawiają ludzi stojących na najniższym szczeblu społeczeństwa; czytelnik lituje się nad ich nieszczęściami tak, jakby się litował nad losem katowanego zwierzęcia. Obrazki te, równie jak wszystkie inne w tym tomie zawarte, pełne są niewymownego smutku, a nie jest to smutek rzewny, pełen tęsknoty za czemś wyższem i lepszem, jak w szkicach Gorkiego: nie! to łzy goryczą zaprawne, płynące z oczu wlepionych nie w niebo, lecz w ziemię. Talentu tam bardzo wiele, poczucia natury i różnobarwności kolorytu jeszcze więcej, jak np. w obrazku *Im Nebel,* gdzie mieszkańcy wysepki na Północnem morzu tak straszliwie się nudzą, iż w mglisty wieczór jesienny jeden z nich ofiaruje przyjacielowi markę pod warunkiem, że go powiesi. Obaj wychodzą z karczmy do stajni, skąd po chwili jeden tylko powraca i ziewając najspokojniej, zasiada napowrót do piwa, aż tu drzwi się otwierają z hałasem i powieszony wpada, upominając się gniewnie o „swoją markę"; zaledwie bowiem przestał się nudzić, stryczek pękł. *Der Heilige*, opis pokus młodego pastora, skreślony bardzo silnie, ale niemal wstrętny; *Der Klingeljunge*, historya dziecka doprowadzonego do samobójstwa przez nędzę i ludzką złość — wprost rozpaczliwa; *Hinter Mauern*, epizod z nieudanej działalności Stowarzyszenia opieki nad więźniami, rozbijającej się o absolutny brak zmysłu moralnego; *Die Einzige*, wyśmiewający złudzenia kochającej żony i t. d Wszystko ciemne, przykre, niesmaczne i zniechęcające. Kończąc czytanie, ma się wrażenie, że się wychodzi z lazaretu, gdzie widać było wiele twarzy wykrzywionych boleśnie a ani jednego uśmiechu.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

ZWYCIĘSTWO KATOLIKÓW POD WODZĄ PROTESTANTA.

Przed kilku tygodniami Europa roztargnionem okiem spojrzała na telegram z Jerozolimy, który donosił, że najwyższy sąd turecki odrzucił sprzeciw wniesiony przez czerńców greckich od wyroku w ich sprawie z łacińskimi zakonnikami przy Grobie świętym; że zatem czerńcy muszą już nieodwołalnie przyjąć karę, nałożoną na nich przez sądy niższe.

Łacinnicy, Grecy, Grób święty, sądy tureckie, wyroki i sprzeciwy: wszystko to brzmiało nie bardzo ciekawie dla Europy. zajętej wieloma sprawami żywiej, niż przygodami Franciszkanów przy straży Grobu Chrystusowego. Tylko najwyżsi dostojnicy niektórych państw nie mogli oka oderwać od owego telegramu: wiarę ich przechodziła niemożliwa na pozór nowina; protestancki mocarz objął dowództwo nad katolikami, na ich czele pokonał potęgę prawosławia, sprzymierzonym z nią zastępom wolnych mularzy zadał klęskę na głowę, i wprowadził pochód zwycięzców do stolicy rozgromionego władcy muzułmanów, któremu kazał dopilnować praw katolickich do Grobu świętego. Całą treść wszystkich pogromów, doznanych przez tyle mocarstw w zapasach z katolikami pod wodzą cesarza protestanckiego,

całą stąd wynikłą zmianę mnóstwa stosunków przy pracy katolickiej na Wschodzie, całą chlubę dotychczas francuską zdobytą teraz dla Niemiec widzieli wtajemniczeni członkowie rządów w słowach telegramu z Jerozolimy, które nic nie mówiły roztargnionej Europie.

Niedługo jednak tajemnica pokrywała przed światem wypadek i jego doniosłe następstwa. Po odniesionem zwycięstwie władca Niemiec nie zabraniał nikomu rozgłaszać przed światem zdobytych przez niego wawrzynów w walce przeciw sprzymierzonym potęgom Petersburga i Paryża. Ubezwładniona przez swój rząd katolicka Francya usłyszała smutną nowinę, że ją ze Wschodu na dobre już wyprasza nowy opiekun Kościoła.

ŻYDOWSKI OPIS BÓJKI PRZY GROBIE ŚWIĘTYM.

Aby wyjaśnić smutek Kościoła francuskiego ze straconego przez wolnych mularzy stanowiska na Wschodzie, wypada przypomnieć czytelnikom złośliwe telegramy, którymi blizko przed rokiem żydowskie biura korespondencyjne dogodziły swoim popędom przeciwkościelnym. Tuż za telegramami szły zgodne z nimi korespondencye. Czytaliśmy, że mnisi łacińscy doprowadzili swoją nienawiść do greckiej Cerkwi do rozmiarów ostatecznych w Jerozolimie przy Grobie świętym, że zaczepili czerńców greckich i z kłótni z nimi prędko przyszli do bitki, że na widok śmiertelnych razów i krwi, na przeraźliwe jęki tłuczonych Greków przechodnie wezwali wojsko tureckie w pomoc nieszczęśliwym czerńcom; uwiadomiony o tem sułtan zarządził śledztwo surowe; wyznawca islamu musi poskramiać krwiożercze porywy mnichów katolickich. Bardzo wymownie brzmiały opisy; jeszcze wymowniej barwne opisy przedstawiały... Hunnów? nie Hunnów... Ludożerców z Namolipiazanu?... Nie! Franciszkanów, stróżów Grobu Chrystusowego, którym malarz nie mógł nastarczyć dzikich twarzy, krwawych plam na sukniach, stosów trupów, co legły u ich ich nóg bez jęku na ustach, napadnięta z nienacka pastwa fanatyzmu katolickiego...

Nagle poznikały w dziennikach tego rodzaju opisy i obrazy... cisza zaległa od chwili, kiedy śledztwo tureckie zaczęło wykrywać prawdę... czasem tylko jakiemiś półsłówkami telegram przy-

gotowywał dzienniki do nieuniknionej wkońcu nowiny, że pierwsze pogłoski nie zawierały w sobie ani źdźbła prawdy. Bieg wypadków zupełnie inaczej wyglądał.

WYNIKI SĄDOWEGO ŚLEDZTWA W JEROZOLIMIE.

Od dawna Grecy zawistnie spoglądali na prawo ławców do placu przed świątynią Grobu świętego. Podżegaczem ich był Eutymios, z rodu Grek, z zawodu wykpigrosz, który wstąpił do czerńców na sługę, wybadał w monasterze wszystkie źródła dochodów, uznał potrzebę nauki i nabył jej tyle, żeby zostać księdzem, zawiązał stosunki z Rosyą, która wszędzie łowi narzędzia przydatne, aby szerzyć swój wpływ: ta wysadziła Eutymiosa na archimandrytę, używała do propagandy swoich zamysłów i nagrodziła prawem do grabieży ostatniego szeląga z pątników. Otóż Eutymios zauważył przy wspomnianym placu cysternę przydatną dla niego na nowe źródło dochodów: stąd postanowił zdobyć to miejsce. Wtajemniczeni w jego zamiary czerńcy zaczęli napadać na Franciszkanów, którzy zamiatali ten plac; przypuszczali, że ich odstraszą, zmuszą do ucieczki i sami po nich plac zajmą. Ale przełożony franciszkański przedstawił zaraz swoje prawa do placu władzom tureckim i od nich uzyskał wyrok, że jest bezsprzecznym jego właścicielem. W lot pochwycili to Grecy, że już od tureckich władz zażądali katolicy opieki, a nie od przedstawiciela Opiekunki Kościoła na Wschodzie — Francyi; w lot zmiarkowali, że może już wolnomularska Francya przestaje dbać o swoje prawo opiekuńcze, a wtedy bakczysz wymowniej ujmie Turka, niż widok pergaminów franciszkańskich. Natychmiast Eutymios urządza napad: zbiera uliczny motłoch, zaopatruje jednych w broń palną, innych w kamienie i maczugi, wyznacza im dowódców z pośród bitniejszych czerńców i sam na czele zgrai dnia 4-go listopada roku przeszłego wtarga na plac, na którym spotyka kilku Franciszkanów. Napadnięci nie uciekają przed razami, tylko wołają o pomoc; z krużganków klasztornych zbiegają do nich inni, inni śpieszą na odwach wezwać siły wojskowej. Turcy pomału ruszają na miejsce bitwy; dochodzą przecie, kiedy Eutymios wybiega naprzeciw, wita oficerów i zaprasza ich do siebie

na odpoczynek przy kawie i fajce. Pogawędka płynie swobodnie; tymczasem już piętnastu Franciszkanów leży w krwi prawie bez życia, Eutymios struny przeciągać nie może: puszcza oficerów, którzy z wojskiem oczyszczają miejsce bitwy.

OPIEKUNKA KOŚIOŁA POD DOZOREM PRAWOSŁAWIA NA WSCHODZIE,

Franciszkanie po krwawym dniu odetchnęli, aby obmyśleć, co poczną nadal. Widzieli jasno, że przeciw sobie mają nie Eutymiosa samego, ale za nim jego ochmistrza: konsula rosyjskiego. Wiedzieli dobrze, że Rosya nieustannie pracuje nad zagładą wszystkich wyznań na Wschodzie, zarówno greckiego Kościoła jak innych, że zbiera wszystkich chrześcijan tamtejszych pod chorągiew własnego prawosławia i jako poddanych świętego Synodu petersburskiego chce ich utrzymywać na swojej straży przedniej tymczasem, nim dokona dalszych zamiarów. Obronić swoich praw w Turcyi przeciwko woli Rosyi Franciszkanie nie zdołają. Na Francyę przestali liczyć od jej ostatniej wyprawy na Mitylene. W Europie Francya udawała, że przez tę wyprawę odzyskuje swoją powagę wobec Turcyi, rozzuchwalonej już nad miarę. W Palestynie wyprawa ta odarła Francyę ze szczątków uroku. Każdy ruch okrętów francuskich zależał od rosyjskiego rządu, z każdym, nawet najdrobniejszym szczegółem musiał Paryż czekać, aż uchwała zapadnie w Petersburgu, i czekał pokorniej niż gubernator, kiedy prosi o wskazówki w radzie stanu. Chrześcijanie na brzegach Małej Azyi i wyspach Archipelagu oglądali z daleka flagę trójbarwną na morzu: wiedzieli, że Rosya na to pozwala, ale zabrania Francuzom bliżej ziemi płynąć, tem mniej pozwala zawijać do przystani. W nagrodę za wiernie wypełnione przepisy Rosyi, Francya zyskała wprawdzie u sułtana ustępstwo w sprawie pieniężnej, ale zyskała także następstwo wcale nie upragnione: sułtan przysiągł zemstę Francyi za przymus wywarty na nim pod grozą zatargu z Rosyą. Na tę chęć zemsty czekał dawno cesarz Wilhelm, któremu do serca sułtana otwarli drogę wojskowi niemieccy: istotnie ogromną ich zasługę w pracy nad wojskiem tureckiem sułtan ocenić umie. Ufny w przyjaźń potężnego „brata“, sułtan nie krył przed nim swoich myśli o Fran-

cyi i o niemiłych dla niego jej prawach do opieki nad Kościołem na Wschodzie. Sposobna pora do zemsty nastała: mógł Wilhelm wykołatać dla siebie Irade z prawem opieki nad Niemcami naprzód, potem nad całą sprawą katolickich misyi.

Francya przez wyprawę mityleńską zdarła z siebie ostatnie ślady dawnego uroku wobec chrześcijan na Wschodzie: zajęła w ich oczach postawę rosyjskiej dworzanki, straciła szczątki łaski i względów w Ildiz-Kiosku, dumnym z braterstwa z Niemcami. Franciszkanie wobec takiego upadku Francyi dziś już nie widzą nad klasztorami swoimi żadnej opieki na ziemi, bo francuska obecnie znaczy mniej, niż wpływ dragomana przy konsulacie rosyjskim. Synowie świętego Franciszka idą do Jerozolimy świadomi tego, co ich czeka: mało który z nich znalazł byt spokojny, wielu śmierć. Dziś tę śmierć widzą nad głowami wszyscy, a obrońców nie spostrzegają nigdzie. Mieszkając w Jerozolimie, w Azyi mieszkają: nie pod osłoną europejskich władz bezpieczeństwa żyją spokojnie, tylko wiszą na łasce baszybożuków tureckich. Na dobrą wolę tureckiego baszy liczyć nie mogą. Choćby pokładali w nim przedtem jakieś nadzieje, krwawy dzień 4-ty listopada rozwiał je zupełnie, bo ten sam basza, który poprzednio uznał prawa franciszkańskie wobec ich dowodów piśmiennych, po wypadku, przekonany dźwięczniejszymi dowodami Eutymiosa o jego prawach, pośpieszył na rozkaz sułtana do Stambułu przedstawić sprawę w świetle zupełnie odmiennem: dostał dla siebie posadę w lepszym wilajecie, a Eutymiosowi przygotował drogę do kół miarodajnych. W tak wygodnie utorowaną drogę ruszył następnie sam Eutymios, znalazł miłą gościnę w Ildiz-Kiosku i z powrotem odbył wjazd tryumfalny do Jerozolimy.

OPIEKUŃSKIE PRAWA ZDOBYTE PRZEZ NIEMCÓW.

Franciszkanie, na widok coraz groźniejszych chmur nad nimi zawieszonych, nie mogli wzywać dla klasztoru opieki niczyjej, więc jeżeli który z nich miał paszport europejski, musiał każdy osobiście dla siebie prosić o opiekę własnego konsula. Tego środka użył ksiądz wikary,

obywatel francuski, ksiądz Władysław, Polak poddany rosyjski, dwóch obywateli niemieckich i pięciu włoskich. Ksiądz Władysław dostał wręcz odpowiedź odmowną; dwaj Niemcy przeciwnie, zaraz znaleźli swojego konsula gotowym do wszelkich usług, choćby miał z Berlina wojsko sprowadzić na ich obronę, czuł, że jego władca przyklaśnie wszystkim jego zabiegom. Włoski konsul zajął także życzliwe stanowisko względem swoich ziomków. Konsul francuski zaprzeczył innym konsulom wszystkim wszelkich praw do obrony jakiegobądź misyonarza. Ale konsul niemiecki słuchać tego nie chciał, żeby nie miał prawa i obowiązku bronić niemieckiego obywatela, zagrożonego w osobistem bezpieczeństwie; stanowczą postawę zajął wobec Francyi, za którą oczywiście stanęła Rosya: dodał ducha Włochowi i obaj zażądali skutecznej pomocy od swoich rządów. Berlin i Kwirynał zaraz wymogły w Stambule Irade dla swoich konsulów, jako szczególnie upoważnionych do obrony ziomków: sułtan podpisał papiery, wydawane dotychczas jedynie przedstawicielowi Francyi. Na mocy tego Irade konsul niemiecki zażądał śledztwa przeciw Grekom.

Dnia 24-go kwietnia poddani niemieccy zeznawali wobec sędziów śledczych a włoscy poddani w środku maja. Świadectwo ich tak obciążyło Greków, że Francya z Rosyą znowu wytężyła wszelką siłę, aby umorzyć sprawę. Ale cesarz Wilhelm za żadną cenę nie chciał stanąć w środku najlepszej drogi do dawno upragnionego kresu, nie dopuszczał sułtana do słowa, gdy ten wynurzał obawy, czy nie za śmiało odpowiada obrońcom napastników. Sędzia śledczy wezwał przed siebie Greków na dzień 19-y czerwca. Grecy pozwu nie przyjęli i umyślili całej sprawie dać nowy obrót przez skargę, którą wnieśli na Franciszkanów za bójkę. Konsul niemiecki przypilnował, żeby Turcy odrzucili tę skargę, jako spóźnioną, bo dopiero wniesioną w ośm miesięcy po wypadku. Inne przeszkody powstawały co kroku: wola Wilhelma łamała wszystkie. Sąd oznaczył ostateczną rozprawę na dzień 9-ty lipca.

Blizko przez ośm godzin trwały narady sędziów. Wkońcu

zapadł wyrok, w którym Rosya przecież nie dopuściła do zupełnej klęski swoich zauszników. Eutymios wyszedł cały z pogromu, który dotknął 31 Greków. Jednak Wilhelm zwyciężył. Archimandryta Bachumios otrzymał wyrok na dziewięć miesięcy więzienia, innych jedenastu — wszyscy księża — skazano na pobyt w więzieniu krótszy. Ze świeckich: jednego wyrok skazał na trzy miesiące, ośmnastu na krótszą karę więzienia.

Od tegoto wyroku wnieśli Grecy sprzeciw do sądu wyższego. Wilhelm oczywiście nie dał sobie wydrzeć zwycięstwa: sąd wyższy odrzucił sprzeciw nieodwołalnie.

Rosya widzi swoją porażkę osłodzoną: znalazła przynajmniej pociechę, iż ocaliła swojego Eutymiosa. Francuska klęska uchodzi w oczach chrześcijan na Wschodzie za całkowitą.

BENEDYKTYNI NA GÓRZE OLIWNEJ I SEMINARYUM SYRYJSKIE.

Sprawa walki u Grobu świętego osiągnęła dla Rosyi, prócz porażki przed sądem, także inne następstwo niemiłe: przekonała katolików, że muszą dzielniej stawiać tamę naporowi prawosławia na Ziemię świętą. To też katolicy zaczęli baczniej śledzić petersburskie zamiary i na czas jeszcze wykryli tajemnicę, że Rosya wchodzi w układy o zakupno budowiska na górze Oliwnej, aby na niem wznieść nowy zakład dobroczynny. Uwiadomiony o tem opat Benedyktynów z góry Cassino, zebrał niezwłocznie środki na zakupno budowiska i przedstawił Głowie chrześcijaństwa, że zamierza osadzić swoich braci zakonnych dla pracy, jaką Kościół osądzi za najpożyteczniejszą dla siebie w obecnych stosunkach na Wschodzie. Leon XIII kazał w Propagandzie wygotować pismo, które upoważnia Benedyktynów do budowy klasztoru wraz ze seminaryum dla kleryków ze wszystkich dyecezyi syryjskich. Przy zakładzie stanąć ma Kościół w stylu syryjskim, zastosowany w każdym szczególe do potrzeb tego obrzędu. Na budowę zakładu Ojciec św. niezwłocznie doręczył Benedyktynom 20 000 lirów i powierzył im cały zarząd seminaryum i przewodnictwo naukowe. Do pomocy wezwą księży obrządku syryjskiego, ale sami przy łacińskim zostaną.

PROTEKTORAT RELIGIJNY AUSTRO-WĘGIER W TURCYI. Prócz zasiłku, jakiego żywioł katolicki w Ziemi świętej oczekuje po Benedyktynach, na inną jeszcze pomoc zwraca oczy Kościół tamtejszy, mianowicie na opiekę mocarstwa, któreby, jak dawniej Francya, broniło katolików przed napaściami muzułmanów i nieraz zawziętszych jeszcze odszczepieńców. O potrzebie takiej opieki słychać coraz więcej głosów, które przewidują, że może wkrótce Kościół na misyach straci wszelki ślad podpory we Francyi, więc zapytują, czy Stolica apostolska nie powierzy opieki nad misyami innemu mocarstwu.

Na to pytanie odpowiedziała Propaganda[1] stanowczo, że „Protektorat Francyi na Wschodzie istnieje od wieków i ma za sobą wyraźne umowy między rządami. Trzeba więc strzedz się przed wszelką zmianą w tej mierze i zachowywać ten protektorat skrupulatnie tam, gdzie pozostaje w zwyczaju. W tenże sam sposób trzeba usilnie zatrzymywać bez żadnej zmiany w misyach — gdzie jest wprowadzony — protektorat austryacki".

Słowa te nie zwróciły w swoim czasie ogólniejszej uwagi na siebie; dopiero w ostatnich tygodniach *Civilta Cattolica* (z września b. r.) umieściła obszerną i ściśle naukową rozprawę o prawach protektoratu Austryi zwłaszcza do misyi pod rządem tureckim. Porównuje naprzód ugody, zawierane między Francyą a Turcyą[2] z umowami austro-tureckiemi[3] i wykazuje z toku tych ugód, że Austrya zdobyła prawa nierównie obszerniejsze i ważniejsze dla Kościoła niż Francya. Następnie uczony pisarz zwraca uwagę na przypadkowe przyczyny, dla których Austrya wykonywała swój protektorat głównie w Europie, a w Ziemi świętej występowała rzadziej, niż Francya, ale i tam zabierała głos wiele razy w potrzebie. Franciszkanie tamtejsi mogą na dowód złożyć liczne firmany i beraty, zdobyte w Stambule za pośrednictwem Austryi, a niektóre z nich przychylniejsze dla Kościoła niż niejeden ustęp europejskich konkordatów. Nakoniec

[1] *Altera rerum conditio* 22/v 1888.
[2] W latach 1664-m, 1673-m i 1740-m.
[3] Z roku 1615-go, 1681-go, 1699-go, 1718-go, 1739-go i 1791-go.

pisarz z naciskiem podnosi, że Austrya powinna nie zaniedbywać swoich praw opiekuńczych, że dom Rakuski uznaje ten swój obowiązek, a Stolica święta zawsze wdzięcznie spogląda na obronę misyi przez Austryę ani nigdy nie dała do dziś dnia poznać, jakoby zamierzała zmienić cobądź w tych stosunkach uświęconych wiekami, albo komubądź nowemu powierzać opiekuńcze prawa Austryi.

Ks. K. Czaykowski.

Liga Gaelicka.

Kiedy w latach 1880—84 przemieszkiwałem stale na południowo-wschodniem wybrzeżu Irlandyi — a były to lata ciągłych rozruchów agrarno-politycznych i owych spisków tajnych, które doszły do kulminacyjnego przełomu w zamordowaniu dwóch ministrów w dublińskim Parku Feniksa — należałem do istniejącego podówczas „Towarzystwa zachowania irlandzkiego języka“. Powodziło się towarzystwu bardzo niedobrze. Dosyłano mi raz do roku sprawozdanie z czynności, z których ten się tylko wyciągało wniosek, że oprócz członków liczniejszych, materyalnych środków znacznie obfitszych, a może i tęższej inicyatywy i pracy, potrzeba było przedewszystkiem ludzi... znających starożytny język irlandzki. W mieście Waterford, mającem ludności około 30.000, nie umiano mi wskazać jednej osoby mówiącej językiem Erynu; mówiono, że słabe tylko ślady tego języka istnieją tu i owdzie po kraju między ludem wieśniaczym — choć w Connaught, tej najbiedniejszej prowincyi zachodniej, miały być górskie osady, w których starzy ludzie lubili mawiać między sobą jakąś miejscową gwarą, niby gaelicką.

W marcu bieżącego roku ukazał się w londyńskim miesięczniku *Fortrightly Review* zajmujący artykuł o działalności niedawno założonej „Ligi Gaelickiej“. Ponieważ jednak autor artykułu zdawał się traktować swój przedmiot z ogólnego stanowiska, celtyckiej Irlandyi nieprzychylnego, ponieważ też brakło tam informacyi szczegółowych, więc, chociaż bardzo zaciekawiony, musiałem odłożyć sprawę Ligi do chwil swobodniejszych. Niebawem dowiedziałem się z pism, że jednym z najgorliwszych pracowników Ligi jest *the Honourable* Mr. Gibson, najstarszy syn i przyszły spadkobierca lorda Ashbourne, wielkiego kanclerza Irlandyi (ministra sprawiedliwości) i członka obecnego gabinetu

brytańskiego. Tego lorda Ashbourna pamiętam z dawnych czasów, kiedy jeszcze jako Mr. Gibson zasiadał w Izbie Gmin, był generalnym prokuratorem rządu irlandzkiego i odznaczał się krasomowczym w parlamencie antagonizmem względem narodowej partyi irlandzkiej. Pojąć atoli nie mogłem, jakże się stało, że syn tak wybitnego przeciwnika celtycko-narodowych aspiracyi stanął w szeregu najdzielniejszych popleczników ruchu, którego dotychczasowe rezultaty wzmagają narodowe życie Irlandczyków bez porównania szybciej i potężniej, aniżeli to czynić zdołają wszystkie inne formy zbiorowych wysileń!

Chodziło mi bardzo o poznanie działalności Ligi — głównie ze względu na nasze stosunki w Prusach. Nie wiedząc do kogo się zwrócić — bo tu w Londynie nie mogłem się dopytać o adres dublińskiej siedziby Ligi — napisałem do p. Gibsona, adresując list do pałacu kanclerskiego w Dublinie. Z końcem kwietnia otrzymałem odpowiedź, datowaną z miejscowości odległej od Londynu o dwie godziny żelazną koleją. Pisał p. Gibson na karcie pocztowej, mającej zwykły nagłówek w języku gaelickim:

Korta Posta.
Is feidhip sgriobadh aur an taob so, aukt
gan an seolaudh dho lot.

Na odwrotnej stronie karty pisał po francusku — choć ja do niego pisałem po angielsku — co następuje:

„Panie, — Piszę na tej karcie, by dać ci przykład jednego z naszych sposobów reklamy. Chcąc się zwrócić do sekretarza Ligi w Dublinie, położyłbym adres następujący (pismem gaelickiem):

Aum punaire onora
Konnraudh na Gauedhilge
24, Sraid O'Konnugl liet,
at Eliaut.
(Ireland.)

List tak zaadresowany — z jednym tylko wyrazem angielskim — doszedłby do przeznaczenia. Adres brzmi: Honorowy Sekretarz, Liga Gaelicka, 24, ulica Wyższa O'Connel'a, w Dublinie. Lecz ponieważ Pan bawisz w Londynie, przeto posyłam Ci osobno list do sekretarza Ligi w Londynie, a on służyć Ci będzie z największą przyjemnością wszelkiemi informacyami. Ostatniego lutego byłem w Paryżu na odczycie p. Schmidt-Beauchez'a o ruchu czeskim. Prelegent przekonał mnie, do jakiegoto stopnia nasze sprawy zbiegają się na gruncie wspól-

nym. Moją odpowiedzią na pewną mowę w Berlinie[1] było natychmiastowe kupno gramatyki polskiej. — Proszę przyjąć i t. d.

(Podpis) Uilliam Mak Giolla Bride" (=William Gibson)

Wymieniliśmy z sobą jeszcze parę listów — wyłącznie o projektowanem założeniu w Londynie Towarzystwa filopolskiego, literacko-artystycznego[2] — a potem, w maju, otrzymałem od obojga pp. Gibson zaproszenie przybycia do nich na wieś. Pierwsze spotkanie z nieznanym mi wtedy osobiście korespondentem miało nastąpić na stacyi stołecznej London-Bridge, parę chwil przed odejściem pociągu do Holmwood, w hrabstwie Surrey. „Wypada mi być tego dnia w Londynie — pisał p. Gibson — na zbiorowej lekcyi w Towarzystwie gaelickiem. Spotkamy się przed pociągiem, a poznasz mnie Pan łatwo po stroju gaelickim, który zawsze noszę".

Przybywszy wczas, stanąłem przed dworcem i czekałem. Zajechała nakoniec dorożka, z której wyskoczył mężczyzna wysoki, rosły, o rysach twarzy bardzo otwartych i ujmujących — w ubraniu malowniczem, wymagającem atoli od tego, kto się w niem na londyńskich ulicach okazuje... dużo odwagi! Chociaż bowiem nieco podobny strój, ale umilitaryzowany, noszą żołnierze i oficerowie niektórych pułków szkocko-góralskich w armii brytańskiej, to jednak co żołnierz to nie człowiek prywatny, co służba koszarowa i polna to nie klubowe i salonowe obcowanie. Uilliam Mak Giolla Bride, kiedym go powitał, ubrany był – by zacząć opis od dołu — jak następuje: stopy w trzewikach ze stalowemi klamrami, nogi aż nieco poniżej kolan w grubych, wełnianych pończochach w duże kratki czerwone i zielone; od poniżej kolan do znacznie powyżej nogi... bez absolutnie żadnej osłony. Dalsza część ubrania, t. zw. *kilt*, to spódniczka, spadająca od pasa na nieokryte nogi. więc mniej więcej półłokciowej długości, zrobione z bardzo grubego płótna żaglowego, uszyta w niezliczone fałdziki prostopadłe, barwy żółto-brunatnej. Spódniczka ta wymaga około 10-ciu metrów materyału. Pasa nie widać pod zwykłą, z dowolnego sukna kamizelką i „marynarką", ale z pod kamizelki spada na przód *kiltu* rodzaj maleńkiej torebki skórzanej, przyozdobionej po myśliwsku główką jakiegoś zwierzątka i spadającymi z trzech stron pękami włosia końskiego. Na lewem ramieniu, spięty stalową klamrą,

---

[1] Aluzya do mowy hr. Bülowa z d. 13 stycznia, w debatach o sprawie wrzesińskiej.

[2] O którem przy najbliższej sposobności doniosę szczegółowo.

udrapowany jest pled wełniany, kraciasty czerwono i zielono, tak samo jak pończochy; ten pled, albo po staro-celtycku *tartan,* fantazyjnie ujęty z przodu, zwiesza się swobodnie z pleców do poniżej kolan. Barwa jego oznacza w Szkocyi przynależność rodową do danego *clanu* czyli szczepu. Głowę miał p. Gibson nakrytą czapką góralską bez daszka, z granatowej wełny.

Rozmowa nasza w wagonie toczyła się po francusku, bo p. Gibson używa angielskiego języka tylko w ostatniej konieczności. Zna wybornie kilka języków europejskich, prenumeruje główne czasopisma i dzienniki stałego lądu, mówi dość dobrze po rosyjsku i ma zamiar poznać dokładnie nasz język i literaturę, zachęcony do tego przez hr. Adama Krasińskiego, z którym się był spotkał w zeszłorocznych podróżach. Zapytany o znaczenie swojego nazwiska gaelickiego, jakiem się stale podpisuje, odpowiedział mi naprzód i pokrótce dzieje swojego rodu. Ta rodzina Gibsonów, której głową jest lord kanclerz Irlandyi, uważa się dziś za szkocką, ale, jak tyle klanów szkockich, zwłaszcza góralskich, początki swoje wywodzi z Irlandyi, skąd w X lub XI wieku przeniosła się do północnej Brytanii i tam z czasem zangielszczyła swoje nazwisko. Forma tegoż staro-irlandzka, Uilliam Mak Giolla Bride znaczy dosłownie: „Wilhelm, syn sługi Brygity". W starożytnej Irlandyi była cześć Świętych tak głęboka, że nie odważano się przybierać lub dzieciom nadawać imiona kanonizowanych sług Bożych; natomiast zastawiano się — że tak powiem — patronatem pośrednim jakiegoś idealizowanego czciciela czyli „sługi" Świętego. Zasługuje na uwagę, że mężczyźni nosili w ten sposób wyrażone także imiona żeńskie. Imię „Uilliam", nieistniejące w dawnym kalendarzu gaelickim, pozostaje w swej formie saksońskiej, ze spółgłoską początkową odpowiednio sfonetyzowaną. I tak samo, jakto dziś jeszcze jest w zwyczaju na Węgrzech, rodowe nazwisko poprzedzało u starych Gaelów oznaczenie imiennego Patrona lub Patronki. „Gib-son", czyli „Brygity syn" w formie anglosaskiej stało się z imienia nazwiskiem; pierwotnej nazwy gaelickiej swojego klanu już się przyszły lord Ashbourne doszukać nie może.

Dodam jeszcze parę szczegółów, zanim przystąpię do przedmiotu tej pracy.

Na dworcu kolei żelaznej w Holmwood czekał na nas pojazd. Około wpół do ósmej przybyliśmy do wiejskiej rezydencyi pp. Gibsonów — nieregularnej budowli, wzniesionej dodatkowo przy starożytnym domu farmerskim z czasów Henryka VIII. Gospodarz wprowadził mnie wprost do salonu i przedstawił żonie, a zaraz potem ja-

kiemuś... panu, którego nazwiska nie dosłyszałem wyraźnie, którego — z powodu jego klerykalnego ubrania, brody i wąsów, wziąłem za anglikańskiego *clergyman'a* i, możliwie, domowego kapelana. Nie zdołałem wymienić z nim jednego zdania, bo odezwał się pierwszy dzwon obiadowy i trzeba było, według powszechnego w Anglii obyczaju, zmienić strój dzienny na wieczorny. Gospodarz sam wskazał mi mój pokój na górze i polecił pośpiech.

Kiedy przebrany zaszedłem znów do salonu, zastałem tam panią domu rozmawiającą .. z jakimś mnichem! Stałem na chwilę osłupiały! Bo teraz, w dużo jaśniej oświetlonym pokoju, w mnichu... poznałem słynnego kaznodzieję i pisarza, Kapucyna, O. Cuthbert'a! Przedstawiłem się mu więc ponownie, powiedziałem, że, niedosłyszawszy nazwiska poprzednio, po kroju czarnego surduta domyśliłem się w nim protestanckiego *reverend gentleman'a.* Na to pani domu:

— A cóżby u nas robił protestancki pastor?

— Sądziłem, że, jako kapelan...

— Ah, rozumiem! — zawołała, śmiejąc się, pani Gibson. — Pan nie wiesz, że jesteś w domu katolickim. O. Cuthbert bawi u nas z łaski swoich przełożonych. Na górze, wprost naprzeciw pańskiego pokoju jest nasza kapliczka i mamy to wielkie szczęście, że Pan Jezus jest stale pod naszym dachem w Najświętszym Sakramencie. Ja, urodzona Francuska, jestem, rozumie się, od dziecięcia katoliczką, a mój mąż —

— Z anglikanizmu nawróconym od lat ośmiu! — przerwał gospodarz za mojemi plecyma. Obróciłem się ku niemu i... mimowoli drgnąłem na widok wspaniałego stroju, w jakim stał w otwartych do stołowego pokoju podwojach. Krój stroju wieczornego nie różnił się niczem od dziennego, ale aksamity i jedwabie zastąpiły odzież wełnianą i sukienną. Przepyszny *tartan* „sług Brygity" z słynnego *poplinu,* t. j. specyalnie irlandzkiego, grubo-ziarnistego jedwabiu, spięty był na ramieniu złotą klamrą, wysadzaną szmaragdami. Marynarka i kamizelka czarno-aksamitne z atłasowymi wyłogami, *kilt* jedwabny i jak *tartan* barwy naprzemian czerwonej i zielonej, takież poniżej gołych kolan pończochy, wreszcie salonowe trzewiki z srebrnemi klamrami — wszystko to przy urodzie i dziarskiej postawie młodego Gaela składało się na zewnętrzność bardzo malowniczą. Przy tych dwóch mężach, z których jeden w ubogim swoim habicie uosabiał to wszystko, co wieki średnie miały realnie najlepszego, a drugi narodową szatą przywoływał na pamięć z zamierzchłych czasów wszystko to, co jedynie wiara stworzyła i przez długą noc dziejową utrzymała i do dni naszych ona jedna przecho-

wała — przy tych dwóch mężach było mi jakoś niewysłowienie smutno... w kelnerowskim fraku! Smutno i ogromnie głupio.

Po obiedzie przeszliśmy do biblioteki. Pani nas opuściła po kawie.

— Nie mogę służyć cygarami — rzekł gospodarz, zapalając fajkę — bo ich Irlandya nie wyrabia, ale służę irlandzkimi papierosami i... zapałkami. Miałeś pan przy obiedzie musztardę irlandzką, w pokoju sypialnym znajdziesz irlandzkie świece, mydło irlandzkie i na biurku papier, pióro i atrament irlandzkie.

— Dla mnie — rzekłem — najciekawszą musi być na razie geneza ogromnego zwrotu, którego skutkiem syn lorda Ashbourne chlubi się dziś „synowstwem sługi Brygity“, wystawia się na reumatyzm w kolanach... i studyuje polską gramatykę!

Pykając fajkę, zapatrzony przed siebie, p. Gibson milczał chwilkę. Tymczasem O. Cuthbert wziął z bibliotecznej półki i podał mi maleńką książeczkę. Wyczytałem tytuł: *Plato and Darwin: a Dialogue, by the Hon. William Gibson.*

— Długoby o tem opowiadać! — przemówił gospodarz. — Wychowany byłem tu, w Anglii; z Eton przeszedłem na uniwersytet oxfordzki i tam — towarzysze, książki, okoliczności, wreszcie i specyalne studya historyczne skłoniły mnie do socyalizmu. Choć teoretyczny, był ten mój ówczesny socyalizm bardzo namiętny. Jakimby się był okazał następnie w życiu czynnem, domyślam się. Faktem jest, że, pozostając dziś szczerze wiernym większości swoich przekonań ówczesnych, nie mogę i nie chcę uchodzić za politycznego socyalistę.

— Dlaczego?

— Z dwóch względów naczelnych. Stałem zawsze, od lat chłopięcych, długo przed opuszczeniem anglikanizmu, na gruncie religijnym. Cały zaś ruch socyalistyczny w Europie i w Ameryce, ruch ekonomiczno-polityczny przeszedł już wyraźnie ze stanowiska indyferentyzmu religijnego na stanowisko antireligijne i względem religijności wogóle a chrześcijaństwa w szczególe — na stanowisko zaczepne. Następnie, zaprzepaszczając indywidualizm i nieznosząc nawet samej zasady o konieczności wyrabiania indywidualnych potencyonalności, socyalizm dąży do całkowitego zniszczenia narodowości, do zagłady w poszczególnych narodach i ludach ich samoświadomej, żywotnej odrębności. Stało mi się jasnem, że na bezmierną, bezgraniczną przemoc polityczno-ekonomicznego poganizmu, zalewającego ogólny całokształt społeczny Europy i Ameryki, rady nie szukać ani w germańskim socyalizmie ani w tak zw. internacyonalizmie romańskim ani w słowiańskim nihilizmie — ob-

jawach, dążących do zlania się w jednolitą manifestacyę chaotycznego anarchizmu. Te spostrzeżenia przerzuciły mój umysł na pola studyów religijno-historycznych, których rezultatem było porzucenie anglikanizmu.

— I „Życie księdza de la Mennais“ — dodał O. Cuthbert.

— Wiesz pan — zawołał mój gospodarz z widocznem wzruszeniem — dziś jeszcze, jak przed ośmiu laty, kiedym, pragnąc zaznajomić szerszą publiczność brytańską z moralną nauką tego „Życia“, zbierał materyały do niego — dziś jeszcze, jak wtenczas, zdumiewam się nad ogromem i rozmaitością cudów Bożych w narodzie francuskim, a przezeń w świecie! *Gesta Dei per Francos.* Uderzyło to jednego z współczesnych psychologów, że od doby Odrodzenia do dni naszych Francya jest prawdziwie Armageddonem osobliwie wyraźnego boju między zastępami Światła a legionomi Ciemności

Na ten temat długo mówił p. Gibson. Zakonnik udał się na spoczynek przed północą, myśmy rozmawiali blizko do drugiej godziny. Kiedyśmy rozstawali się na noc, na górze, naprzeciwko drzwi kaplicznych, gospodarz szepnął mi jeszcze;

— Ciemiężone miejscowości, *the oppressed minorities,* o tyle są w swoim ucisku bezsilne, o ile są duchowo i religijnie nieświadomemi. Społeczeństwa, jak jednostki, nie domyślają się, jak potężną, poniekąd wszechmocną jest ta siła odśrodkowa, zarówno odporna jak konstrukcyjna, której jedyną dźwignią jest wierne życie katolickie. Dobranoc! *God bless you!*

Nazajutrz, po Mszy św. — do której pan domu sam służył — i po śniadaniu wziąłem się do czytania niektórych publikacyi „Ligi Gaelickiej“. Z nichto, z objaśnień, udzielonych mi przez uprzejmego gospodarza, oraz z niedawnych rozmów z londyńskimi przedstawicielami Ligi, zaczerpnąłem materyału informacyjnego, którego główną częścią chcę się podzielić z czytelnikiem.

Ruchów irlandzkich, społecznych, politycznych i literackich tyle bywa i tak rozmaitych i tak po największej części krótkotrwałych a bezpłodnych, że z pojawieniem się jakiegoś nowego samym jego inicyatorom bardzo jest trudno zająć uwagę czyjąkolwiek w Irlandyi. Tem się też tłumaczy, dlaczego i na stałym lądzie przestano prawie zupełnie zajmować się wewnętrznem życiem Irlandczyków, a tylko śledzi się ich stanowisko ekonomiczno-polityczne wobec przemożnej Anglii — *qua* Anglii.

Kiedy atoli widzi się na dawnej Wyspie Świętych ruch, który

wykwitł w ciągu niewielu lat i z najskromniejszych początków do potęgi dziwnie wpływowej organizacyi, który sobie zjednał współdziałanie ludzi, różniących się między sobą najskrajniejszymi poglądami, wzmaga się codzień nowemi siłami, budzi czynną sympatyę w kołach i sferach z natury rzeczy najmniej przychylnych objawom rasowej odrębności — kiedy nadto widzi się głęboką i zbawienną zmianę, jaką ów ruch już spowodował i bezustannie powoduje w umysłowem usposobieniu Irlandczyków — niepodobna pozostać dłużej w obojętnym sceptycyzmie, warto niewątpliwie zapytać o ruchu takiego przyczyny, powstanie, metodę, cele — i z celami powiązane nadzieje.

Na pierwszem miejscu — słów kilka o samym języku irlandzkim. Należy on, jak wiadomo, do grupy języków celtyckich, jest najbliżej spokrewniony z narzeczami, do tej pory używanemi w północnej Szkocyi i na wyspie Man *(Manx language)* — dalej już nieco z walijskiem i bretońskiem, a najdalej z językiem łacińskim. Z całej tej grupy irlandzki język jest wybitnie najstarszym; jest w używaniu od lat z górą dwóch tysięcy i był już doskonale usystematyzowanym wtedy, kiedy żaden z nowożytnych języków europejskich nie miał jeszcze istnienia. Słownictwo irlandzkie zawiera około 80 000 wyrazów, nadaje się do formowania nowych i do przyswajania sobie obcych z szczególną łatwością, obfituje w idyomatyzmy swojskie — a tak jest z natury swojej odporne względem gwary innoplemiennej, tak zachowawcze, iż dużo form, dużo sposobów wyrażenia pozostało do dziś takimi, jakimi były przed 10 wiekami. Pomimo tego nagina się do wszelkich wymagań i potrzeb kultury współczesnej.

Tento język był w Irlandyi jedynym przez ciąg wieków 20-stu. Literatura jego, pozostająca dotąd w nigdy niewydanych rękopisach i przechowywana w bibliotekach europejskich od Dublina do Moskwy i do Salamanki, jest najbogatszą ze wszystkich znanych; podobno ta jej część, która należy do epoki przedreformacyjnej, zajęłaby w druku przynajmniej tysiąc tomów w wielkiej 8-ce! [1]. Uczeni twierdzą zgodnie, iż treść tego skarbu piśmiennictwa jest najrozmaitszą i wartości wysokiej, składają się na nią legendy, opowieści, pieśni i religijne hymny, rozprawy w dziedzinach teologii, topografii, prawa, sztuki lekarskiej, botaniki i ludoznawstwa, a z tych wiele rzuca światło na społeczne początki europejskich szczepów rasowych. Literatura ta nie przestaje zajmować wybitnych badaczów na stałym lądzie — Francuzów, Niemców,

[1] Francis A. Fahy: *The Irish Language Movement*, str. 4.

Duńczyków, Włochów i Polaków — których pewna liczba zjeżdża stale co roku do Irlandyi, by zawiązać stosunki z tamtejszymi znawcami i z krajowcami, mówiącymi starożytnym językiem.

Jakże się więc stało, że jezyk taki powoli zamarł był i zaginął prawie doszczętnie?

Pierwsi najezdcy Irlandyi i pierwsi za tymiż przybysze z Anglii (w wieku XII) byli zniewoleni wyrzec się własnego języka, przyjęli język i obyczaje krajowe. Już też w kilkanaście lat po dokonanym przez Henryka II zaborze królestwa Leinsteru (1172) tamtejszy parlament angielski uchwalił ustawy, mające na celu położenie końca małżeńskim związkom przybyszów z krajowcami. Widziano już wtedy, jak skutkiem małżeństw i przyjęcia krajowego języka wybitne rody anglosaskie — takich np. Burke'ów, Buttlerów i Keatingów — stawały się *ipsis Hibernis Hiberniores*. Nałożono kary: lord świecki lub duchowny miał płacić za każdorazowe użycie języka irlandzkiego po (mniejwięcej) 140 koron w. a.; zwyczajny szlachcic karany był grzywną 50-ciu kor., mieszczanin 15-tu, kmieć 9-ciu, a robotnik grzywną około 5-ciu koron. Skarb zaborczego rządu niebardzo się widać bogacił z tego źródła ani też ustawa nie odnosiła oczekiwanych skutków, bo kolejne parlamenty zajmowały się nią bezustannie przez długi szereg lat. Faktem dziejowym jest, że tak długo, jak Irlandczycy pozostawali wiernymi swojemu językowi i swoim narodowym obyczajom, nie tylko nie dali Anglikom przystępu do prowincyi jeszcze niezabranych, ale w samym nawet zaborze angielskim stawali się coraz widoczniej panami ziemi i jej obcych kolonistów. Nadto jeszcze, kiedy po pierwszym najeździe nastąpiły dalsze i kraj cały został ostatecznie opanowany przez Anglię — czy nowi koloniści byli krwi anglo-normandzkiej, czy anglo-saskiej lub szkockiej, czy byli specyalnie dobranymi rozsadnikami protestantyzmu Elżbiety lub fanatycznego purytanizmu Cromwella — zawsze i niechybnie dzieci ich lub wnuki stawały się Irlandczykami, ich mową jedyną był odwieczny język irlandzki. Na całej przestrzeni kraju pozostało wśród ludu gorące zamiłowanie do tego języka, w którym wyrokowali niegdyś druidzi, którym apostołował na wyspie św. Patrycy, w którym z niezliczonych klasztorów wznosiły się od tylu wieków nabożne ku niebu śpiewy mnichów i zakonnic, który był językiem olbrzymich akademii, rozsyłających swoich uczonych po wszystkich krajach europejskich — językiem wreszcie tylu narodowych bohaterów, od Briana Boruh'a i Shane'a Dumnego i Diarmidów z Tary, do tych O'Neille'ów, Tyrone'ów, Sarsfieldów i Fitz-Geraldów, którzy, broniąc praw osta-

tniego Stuarta, za własną przedewszystkiem walczyli ojczyznę i za nią — na jej ostatnich, niestety, gruzach — polegli. Wiadomo, jak szczytną i może bezprzykładnie bohaterską rolę odegrało katolickie duchowieństwo irlandzkie około utrzymania życia narodowego. Nigdzie w Europie — nigdzie dotychczas przynajmniej, bo nie wiemy, na co nam jeszcze przyjdzie patrzeć — nie okazało się, jak się okazało w Irlandyi głęboko prawdziwem zdanie Wiktora Tissot: *le dernier homme d'une race tombe avec le dernier prêre!*

Wynalazek sztuki drukarskiej, który tak potężnie przyczynił się do rozwoju wiedzy i oświaty we wszystkich innych krajach europejskich, w Irlandyi pozostał daremnym i prawie zupełnie bezpłodnym aż do początku ostatniego stulecia![1]. Z rzadka tylko i z największą trudnością dostawały się do kraju przemycane książeczki do nabożeństwa i gramatyki gaelickie, wyszłe z kollegialnych drukarni irlandzkich w Padwie, Lowanium i w Paryżu. Tem usilniej przeto zabiegało duchowieństwo z wyższem obywatelstwem około szerzenia rękopisów narodowej literatury po najdalszych kraju zakątkach. Przepisywaniem zabytków dawnych zajmowali się kapłani i nauczyciele — wiodąc życie najnędzniejsze po kryjówkach, w ciągłej trwodze o życie — przepisywali po dworach i zamkach młodzi i starzy, a równocześnie mnożyła się rękopisowa literatura współczesna o tematach z aktualności, religijnych, politycznych, społecznych, naukowych i poetycznych. Tak było przedewszystkiem przez cały wiek XVII i XVIII. Stopniowo znikały, aż zniknęły zupełnie wielkie rody katolickie, ustępując z kraju przed okrucieństwem praw wyjątkowych, reszta narodu zeszła do stanu faktycznie niewolniczego.

(Dok. nast.)

Edmund S. Naganowski.

---

[1] Pisze Fahy (l. c., str. 5): „Rząd królowej Elżbiety wysłał do Irlandyi jeden jedyny komplet czcionek gaelickich z nakazem użycia go do druku protestanckiej Biblii. Ale władze dublińskie, zdecydowane na wytępienie krajowego języka wszelkim kosztem, ogłosiły jedno tylko i to szczupłe wydanie Elżbietańskiej Biblii; ów zaś komplet czcionek przechodził z rąk do rąk, aż — dziwną ironią zrządzenia — dostał się w posiadanie Jezuitów na stałym lądzie (zapewne w Douai lub St. Omer), którzy się posługiwali czcionkami w celach prawdopodobnie zgoła innych, aniżeli sobie życzono w Londynie“.

Druk ukończono 29 października 1902 r.

Czasopisma polskich socyalistów w roku ostatnim.

Przyczynek do psychologii społecznej.

Poglądy połowiczne widnieją jeszcze jako ostatnie cienie minionego wieku dziewiętnastego. Dwudzieste stulecie zaczyna chętniej słuchać pobudek stanowczych; jedni chcą Boga zupełnie bez śladu usunąć z przed oczu, drudzy chcą zasad i czynów całkowicie chrześcijańskich.

Jednak wielu jeszcze zwolenników zasad połowicznych nie doszło do chwili przełomu. I w Polsce tych nie brak, którzy z dumą spoglądają na potężny dotąd wpływ wygodnych zasad i na skutki wolnomyślnego ustawodawstwa. Ten widok nie pozwala im tracić otuchy.

Ale do ich uszu huk z pod ziemi dolatuje chwilami niby głuchy grzmot... chwilami towarzyszy głosom, które wyraźnie jedne drugim coraz dalej podają hasło: zemsta!... chwilami na ziemi hałas przygłuszy szmer pod ziemią, ale nie zatrze w umysłach trwogi, bo pod nogami panów tego świata wróg ich pracuje głęboko w podkopach: zesuwa coraz niżej dno przepaści między dwoma biegunami prądów, które unoszą gospodarkę społeczną, między wszechwładzą samolubnego bogactwa a zazdrośną rozpaczą skazańców na pracę mało wydatną.

Ta przepaść u nas rośnie. Codzień ją pogłębia wygodne „tak źle nie jest!" w ustach wolnomyślnych Polaków. Zwiększa ją codzień niestrudzony przy robocie polski socyalizm.

Nie z wolnomyślnego *laissez faire* ani nie z całej roboty socyalistów wypada tu obecnie zdać sprawę; wystarczy uwagę zwrócić na jeden zakres tej roboty: przedstawić mianowicie ostatni rok walki, toczonej przez socyalizm w polskich czasopismach. *Białostoczanin, Górnik, Kuryerek ostrowiecki, Łodzianin, Radomianin, Robotnik:* oto czasopisma wydawane tego roku przez socyalistów w dowolnych odstępach czasów dla czytelnika pod berłem rosyjskiem; *Gazeta ludowa* dla wieśniaków i *Swiatło* treści rzekomo przystępno-naukowej wydawane w tym roku co dwa miesiące; *Przedświt, Kuryerek zakordonowy i zagraniczny* wychodzą co miesiąc, o ile nie doznają przeszkód; dwa razy częściej *Prawo Ludu, Kolejarz, Oświata;* trzy razy na miesiąc *Ognisko;* co tydzień *Gazeta robotnicza, Robotnik, Walka;* codzień *Naprzód:* oto nazwy kilkunastu koryt, któremi płynął polski socyalizm.

Co w pismach tych socyalizm sam o sobie powiedział i z jakim plonem pracy u schyłku roku staje przed nami?

Niech zapytany sam odpowie. Nie znajdzie tu na tyle miejsca, żeby powtarzał całe rozprawy z ostatniego rocznika każdego czasopisma albo dosłownie przytaczał ustęp za ustępem; niech tylko treść swoich poglądów przedstawi, w jakim duchu walczył i gdzie szukał zwycięstwa?

Czytelnik, do którego doleciały choć dalekie odgłosy roboty polskich socyalistów, rozumie dobrze, że dozna zawodu każdy, kto po tych pismach wyczekuje poglądów przełomowych albo wykwintnych myśli, któreby olśniewały bogatą treścią czy wdziękiem języka. Nie temi zaletami polscy socyaliści nadają cenę swoim czasopismom, tylko zamaszystym, czasem namiętnym zakrojem zyskują oklask, rozpalają w prostaczku wyobraźnię krwawym połyskiem zemsty, i prócz takich zalet nie ujmują niczem czytelników. Więc mało te czasopisma dostarczają treści dla sprawozdawcy z prądów myśli polskiej, mało czem mogą ściągnąć na siebie uwagę w piśmie przeznaczonem dla poważniejszych czytelni. Na to trzeba wydawnictw ludowych, aby znaleźć miejsce na rozprawę z przeciwnikiem zbrojnym w przezwiska, i aby nadto znaleźć czytelnika, ciekawego takich rozpraw dosadnych. Kiedy czytelnicy wymagają poglądów rozu-

mnych a nie smakują we wzorkach języka, używanego na rynkach, tedy nie można powtarzać zwrotów, w których upodobał sobie socyalizm, a bez których rozprawa z nim niemożliwa.

Uprzedzony zatem czytelnik, żeby po czasopismach socyalistów polskich nie oczekiwał smacznej strawy dla rozumu, może zechce poznać najwybitniejsze ich znamiona i obejrzeć stanowisko, na jakie u schyłku roku doszli ci Polacy wobec własnej ojczyzny, następnie wobec warstw społecznych — tu zwłaszcza dwa ciekawe objawy narzucają się uwadze: stosunek socyalizmu do Żydów i drugi, zupełnie odrębny, stosunek do nadziei narodu: młodzieży — wreszcie stanowisko socyalizmu wobec Kościoła.

Socyaliści polscy, zapytani o stanowisko, na jakie weszli wobec ojczyzny, odpowiadają powstańczemi hasłami, od których redakcye ich pism, szczególniej dla czytelnika pod zaborem rosyjskim, przez krągły rok brzmiały tak gromko, jak gdyby na tym rodzaju patryotyzmu polegał główny ich obowiązek. Nie łatwą zagadkę zadałby sobie psycholog, gdyby chciał dociec, co za bieg myśli prowadzi socyalistów do tej topieli, gdzie już, jakby dna pod sobą nie czuli, chwytają za brzytwę, która ich pokaleczy. Tak w Królestwie; a dobrzy znawcy tamtejszych stosunków wiedzą, ilu ludzi dobrej woli dało się porwać tej pobudce, wiedzą zwłaszcza, że cała siła socyalistów za kordonem spoczywa w tem haśle umiejętnie wyzyskiwanem. A jakżeż w innych dzielnicach? Ktobykolwiek w socyalizmie pracował z trzeźwym poglądem na świat, ten widziałby oczywiście, w jakiem świetle socyalizm staje po tylu latach, w których nie uznawał żadnych praw narodowych, tylko drażnił serca polskie dumnie wywieszoną chorągwią o międzynarodowych barwach. Przeskok niczem nie wyjaśniony z kosmopolityzmu do patryotyzmu nosi na sobie piętna, które nie wydają socyalistom świadectwa chlubnego. Póki jednak dowód ścisły nie pokaże nam właściwej przyczyny tego przeskoku, póty rozumniej widzieć w nim tylko wybieg zwykły w ciągu walk stronniczych. Jak umieli Prusacy zagrać piosnkę legionów, aby na swoich nieprzyjaciół pchnąć Bartka zwycięzcę, tak socyaliści mogą w cza-

sopismach swoich wygrywać krakowiaki dla nas, a dla Austryaków w parlamencie zbierać po strejku żniwiarzy dosadne dowody, że nie dbają o dobro i sławę narodu.

Ale nie łatwo jeszcze psychologa zaspokoi ten domysł o wybiegu,—obmyślanym, aby zmylić polskie ucho, odemknąć drzwi do serc łatwowiernych,—jeżeli weźmie pod uwagę skrajne hasła za kordonem, które już i gdzieindziej z ust jednego drugiego socyalisty usłyszeć można. Bo któż łatwo uwierzy, że nas, rozpierzchłych kilkanaście milionów Polaków zjednoczy żelaznemi pętami mrzonka o zwycięstwie nad stu kilkudziesięciu milionami? Choćby ta liczba zaborców przedstawiała tłumy zbrojne tylko we własne pięści, któż uwierzy w prawdopodobieństwo, że im sprostamy? Socyaliści mimo tego niepodobieństwa wymagają tylko zapału, wiary w sprawę i w siły ludu, który wydał Bartosza z Krakusami, widział Kilińskiego w Warszawie. Do szaleństwa wzywać własną ojczyznę: to myśl poczęta chyba w stanie gorączki.

Również nie wymaga długiej rozprawy drugie znamię tych czasopism: walka toczona na koniku proletaryatu przeciw burżuazyi herbowej i nieherbowej, ale głównie przeciw szlachcie. Można zrozumieć, że ktoś wyznaje poglądy przeciwne drzewom genealogicznym, że walczy z polityką szlachty; można nawet wyrozumieć niewiedzieć jakie przesądy społecznych warstw niższych przeciw wyższym; ale przeciw tym warstwom kto walczy w pismach socyalistów? Czy proletaryat? Czy warstwa niższa?

Odpowiedź na to pytanie odkrywa jeden bardzo znamienny objaw, na który zwrócić trzeba z naciskiem uwagę.

Zastęp kilkudziesięciu socyalistów w ubiegłym roku umieszczał swoje utwory w czerwonych czasopismach: wszyscy bez znacznego wyjątku należą do warstw właśnie burżuazyjnych: zdradzili to po części podpisami nazwisk mieszczańskich albo szlacheckich albo żydowskich, po części zasobem wiedzy niebywałej między prostaczkami, wkońcu językiem wcale nie z ust ludu branym, ani nie z kół, gdzie nędza panuje, ale słyszanym wśród warstw oświeceńszych, mało wybrednych przy doborze

wyrazów w kłótni, ale zaopatrzonych w byt wcale dostatni. Z robotniczego stanu ledwo szept jakiś zaleciał do kilkunastu redakcyi, a główna treść ich wywodów: to żale przedstawicieli burżoazyi, którzy pragną większych dochodów albo zazdrośnie spoglądają na progi dla nich za wysokie. Z wielu znaków robotnik roztropny miarkuje, że w czasopismach socyalistów czyta wywody i poglądy ludzi jemu obcych, którzy sami dla siebie pragną udziału we władzy i od niego potrzebują pomocy. Wnioski z tej uwagi, zrozumiałe dla ludu, nie wpadają w oczy redakcyom czasopism, które wykrzyknikami o obronie proletaryatu ściągają na siebie śmiech albo uczuciowy zapał; śmiech zabija, a słomiany zapał nie grzeje.

W dawniejszych rocznikach mniej przezierała u socyalistów ta ich burżoazya w chłopskiej sukmanie. Ostatni rocznik nie wytrwał dłużej na tem stanowisku i dał na wierzch prawdzie wypłynąć, jakby oliwie. Odkrywamy już, że w socyalizmie nie witamy przed sobą zastępu ludzi okrytych grubą odzieżą, stosowną do pracy na deszczu i mrozie. Rozumiemy już, że ten „człowiek“, uposażony tylko dwiema rękoma do pracy mało płatnej, może tylko jako pachołek służyć przy chorągwi czerwonej, a właściwym przeciwnikiem, z którym można iść w zapasy na polu spraw społecznych, to już nie ów prosty „człowiek“, ciura obozowy, to już „pan“, „towarzysz“ znaku pancernego czy husarskiego, urodzony tak sławetnie w kamienicy burżoazyjnej, albo tak dobrze urodzony potomek szlachty, jak ci wszyscy panowie herbowni czy pieniężni, którzy w nim znajdują zarazem zwolennika przeciwnych zasad, ale także gościa zapraszanego *at five* na herbatę, wychowanego na wszechnicy, ubranego przez tego tamego krawca, który szyje dla „wyższych dziesięciu tysięcy“. Choć tedy „towarzysz“ pozwala sobie na wiecu podać rękę „człowiekowi“ albo w czasopismach używać wyrazów szorstkich, przecie to nie zniża jego stanowiska burżoazyjnego, jak w knajpie bursz na wiele sobie pozwala: „panem“ zostaje. I tak teraz mówić tu jeszcze o polskim proletaryacie!

Również stosunek socyalistów do żydowstwa zdradza, że im nie idzie o poprawę społeczną. Do jakiejkolwiek redakcyi

należy pan socyalista, a zechce namacalnie poznać, co miliony naszego narodu, a zwłaszcza ubogie warstwy czują, niech wciągnie do rozmowy poufałej Żyda — ale to Żyda o starozakonnym wyglądzie, a od niego usłyszy, jak Żyd sam ocenia swoje stanowisko między nami, co z nim naprzykład wyprawiają do dziś dnia urwisze i młodzież uboga, a więc dzieci proletaryatu, choćby w Krakowie na którejbądź ulicy bocznej albo głównej, nie wystawionej w tej chwili na dozór stróżów bezpieczeństwa. Jeżeli nie wierzy słowom Żyda, niech poufniej pogawędzi znowu z młodzieżą rzemieślniczą, a usłyszy z przechwałką opowiedziane te same przygody z Żydami, o których policya oczywiście nie wie, ani żaden dziennik nie potrzebuje donosić, ani etyka nie może pochwalić. Chce kto nakoniec badać ustrój psychologiczny tego młodego proletaryatu, niech zacznie wykładać, że urwisz nie powinien szukać chluby z takich wybryków. Na swój wykład usłyszy zarzut, zupełnie poważnie zadany: a komuż chłop oddaje w karczmie jeden swój zagon po drugim? a do kogóż mieszczanin idzie z kamienicą na sprzedaż? Z kimże szlachcic pokryjomu wchodzi w targi o dziedziczną wieś? W czyjeż ręce pieniądz wypada z dziurawych kieszeni rolnika, rzemieślnika, obywatela? U kogoż królowie i cesarze pożyczają pieniędzy na wojnę? Nikt ich nie ma, tylko Żyd. A od kogoż ma?

I urwisz tylko to wygada, co słyszy w powszechnej skardze na koryto, którem odpływają od nas wszystkie ruchome i nieruchome majątki. W tę otchłań skarg i żalów na Żyda nie wglądają panowie redaktorzy socyalno-demokratyczni i w swoich czasopismach śmiało urągają czytelnikom przez jawny prosemityzm. Panowie towarzysze, co pędzą na ostre w obronie Żydów, nie mająż uchodzić za obcy nam żywioł, który dyszy zemstą za jakąś krzywdę własną i chwyta choćby Żyda za serce, byle mieć „towarzysza“, gotowego już nie pięści, ale pękatej kiesy obiecać na pomoc w dniu mściwych odwetów?... A co głównie stąd wynika: gdzież tu można mówić o poważnej pracy nad poprawą społecznych stosunków? Czyż tu socyaliści wyrywają biednych z pod przemocy pieniężnej? Względem ojczyzny i jej warstw społecznych i jej mieszkańców, sprowadzonych przez

opiekuna Estery, socyalizm polski zajął postawę, przez którą sam się ośmiesza, bo zdradza bezmyślnem gadulstwem, że nie zamierza właściwie nic radzić na potrzeby nędzarzy, tylko czytelnikom bezpotrzebnie czas zabiera.

Tu niepodobna wstrzymać pióra od uwagi, która wątku nie przerwie zanadto. Słyszeć to bezmyślne gadulstwo, które od jakiegoś czasu przelewa z próżnego w puste ten sam brak zasad wytycznych, czytać ten spis słów rubasznych i przezwisk, ułożony widocznie już oddawna raz na zawsze i przyczepiany raz do nazwiska jednego, drugi raz do drugiego, dostawać ciągle tę strawę, posypaną raz solą z pieprzem, drugi raz pieprzem ze solą: to męka dla rozumu, żądnego jakiejś strawy umysłowej. Ale nietylko tę mękę nudów sprawiają nam panowie socyaliści. Niech kto zobaczy taki arkusz ich druku w ręku biedaków, co zasiedli ławy w gościnnym domu, w ręku młodzieży chciwej pieprznego i słonego opisu stosunków, w ręku tysięcy ludzi na stanowiskach średnich i wyższych, ale zgorzkniałych i zniechęconych do świata; niech w oczach u tych biedaków ujrzy zapał do takiej strawy umysłowej, z ich ust usłyszy wykrzykniki nad okazami niewybrednego dowcipu, usłyszy podziw dla dowodów, które skaczą po ścieżkach rozumu mniej zręcznie niż po linie kulawy, niech ogląda umysły wprost ogłupiane przez panów socyalistów, i gorzej jeszcze, bo przed sobą ma ludzkie serca rozpalane żądzą krwi — a czyż bezpodstawnie będzie przewidywać, jak ci straceńcy skoczyć mogą na wyjeżone ostrza broni, jak wystawiać piersi na kule, jak ginąć złą śmiercią i gubić rodziny swoje w nędzy z rozpaczą? Stać przed takiem dziełem, prowadzonem bez żadnych przeszkód poważnych, i darmo wołać do socyalnej demokracyi, że gubi naród, do wolnomyślnego społeczeństwa, że pląsa nad wulkanem: to męka gorsza, niż w której kat zabija ciało.

Tak na ślepo działać, mogą tylko dusze o nastroju zupełnie niepamiętnym na żadne obowiązki względem społeczeństwa. Najgorszym przecie objawem tego braku pamięci: to robota prowadzona przez panów socyalistów w czasopismie dla młodzieży pod nazwą *Promień*. Pismo to wygląda tak już przewro-

tnie, jakby redakcya zamierzała najprzód prokuratoryę zdumieć i oszołomić swojem zuchwalstwem, a dopiero kiedy prokurator zacznie zdawać sobie sprawę z wybryków nieokiełznanego pióra, tedy wprawdzie poprzekreśla stronice całe, ale już nie zdoła uważać dłużej na wszystko i pozostawia ustępy ciemne, niby zakamarki pełne szyderstw z nauczycieli gimnazyalnych, z rozkładu nauk, dozoru nad uczniami i całego tła szkolnych porządków, bez których żadna w świecie pedagogia nie wychowa karnej młodzieży. Chyba w zakładzie naukowym, urządzonym przez szaleńców, mogłaby swawola tak nie znać żadnych pętów, jak socyaliści życzą dzieciom polskim w *Promieniu*. Weźmy np., żeby daleko w tył nie wracać, nakład drugi po konfiskacie zeszytu na październik, który opływa w takie poglądy, jak obrona Zoli przed zarzutem, iż jest niemoralny. Nie! — uczy *Promień* chłopców i panienki, — na sercu Zoli leżało wyplenienie niemoralności: więc walczył zacięcie przeciw prostytucyi i wzajemnemu zwodzeniu się ludzi, przykutych do siebie łańcuchem małżeństwa (str. 403). Wniosek stąd płynie dość jasny... Na następnej stronicy (404-ej) czytamy dytyramb na tle nudów, które panują w szkole, a któremi „przez całych 5 godzin bawią się tam nauczyciele i uczniowie wśród piorunów, — jak grad lecących —: szóstek, lub subtelnych odgłosów poziewań. Prawdziwie naukowa atmosfera“.

Dalej (str. 405) w piśmie dla młodzieży znakomity bodziec do nauki:

„Szkoła nie daje nam nic z tego, co nam powinna dać, szkoła jest maszyneryą dla wyplucia z siebie troskliwie wysortowanej rzeszy kandydatów na urzędników“ i t. d.

Albo (str. 408) wyrazy podziwu dla ciemnych prostaczków, którzy w tym roku, dzięki podżegaczom, stracili chleb, ale których *Promień* sławi, iż: „woleli raczej wyrzec się zupełnie zarobku, niż za 30 centów dziennej płacy pracować od wczesnego ranka do późnej nocy“. Dziatwa, która to czyta, nie zdoła w żaden sposób obliczyć, że żniwiarze dostawali przeciętnie co dziesiąty snop, więc kto pracował od wczesnego ranka do późnej nocy i zerznął dwie kopy krakowskich snopów, ten zarobił tych

snopów 12, co daje półtorej ćwierci zboża w takim roku plennym, jak ubiegły, kiedy na Rusi snop rozmiarów krakowskich sypał cztery kwarty z okładem, więc nawet średni żniwiarz miał od trzech do czterech koron dziennego zarobku. Zamiast tych liczb stawiać potworne dziwolągi przed oczyma dzieci: czy to sumiennie?

Na następnej stronicy (409-ej) czytamy miłą nowinę dla polskich dzieci, że skrzywdzeni Rusini zwrócili broń strejku prawie we wszystkich gminach przeciwko polskim szlachcicom.

Chce *Promień* stąpać z podniesioną przyłbicą do walki przeciwkościelnej? tedy niech częściej (jak na str. 417) nazywa „bezpowrotnie pokonanym w filozofii naukowej“ kierunek dualistyczny, który w człowieku ogląda, „duszę i ciało“, a nie istotę czysto zwierzęcą, — niech częściej szlachetnie podziwia wyjątkowego pisarza, który „chociaż jest księdzem i Jezuitą, zachowuje bezstronność przedmiotową“ (str. 419).

Jeżeliby znowu *Promień* umyślił dać jaki wyciąg z bibliografii polskiej (str. 421—425), niech więcej opuszcza dzieł znanych powszechnie młodzieży: niech więcej razi doborem utworów wcale nie bezstronnym przedmiotowo, bo tem jawniej zasłuży sobie u młodzieży na sąd, którym sam skarcił inne pismo, mianowicie (str. 427, 428), że „Redakcya nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tego, do czego właściwie dąży“: co innego zapowiada w nagłówku, co innego podaje w treści.

W dalszym ciągu (str. 433) wierszyk podany z nagłówkiem „W wichrową noc“ mógłby udatnie licować z nadpisem, gdyby tylko nad nim czytelnik znalazł zamiast winietki, niestosownej dla oczu młodzieży, nuty stosowne do treści. Na ckliwą melodyę nucone te wierszyki ukołysałyby do snu niespokojne dzieci w wichrową noc.

Potem dzielny korespondent z Rzeszowa (str. 434, 435) rzuca rękawicę profesorom, których wywołuje poufale po nazwisku bez żadnych ogródek, jakby równych wyzywał na pojedynek. Sam jednak uszanował swoje nazwisko, skryte podpisem „Poseł światła“. Korespondent z Wadowic również ostrożny przy podpisie nazwiska, miota szyderstwa na „kochanego“ dy-

rektora, nie przebacza rzekomym brakom „statystyki Wysokiej Rady szkolnej“, kończy wykrzyknikiem do księdza katechety: „wyklniesz z Kościoła, czcigodny Karasiu“.

Inni kronikarze i korespondenci wydają wyroki o „bałamuctwach“ i pisarskich pracach księży: Biegi, Kalicińskiego, Szczeklika, patra Stojałowskiego (którego sławią za dawne usługi a za komika uważają teraz), profesorów Kallenbacha i Lityńskiego, a ze „szczególnem zainteresowaniem się“ zapowiadają wiec akademickiej młodzieży żydowskiej.

Chociaż ci bohaterscy korespondenci nie „piętnują“ swoich występów podpisem własnego nazwiska, przecież oświadczają kategorycznie, że kolegów, którzyby przed władzą wyjawili zwolenników *Promienia,* będą „bezwzględnie po nazwisku piętnować“ i zwracają się do towarzyszy, aby przed redakcyą *Promienia* wyjawiali szczegółowo wypadki, w których o nich któryś kolega nie zataił prawdy przed zwierzchnikiem. Więc uczeń, jeżeli o prądzie sprzecznym z wszelką zasadą wychowawczą wyzna prawdę, przyciśnięty do muru przez władzę, ściąga na swoje nazwisko piętno, a jawnie otrzymuje prośbę, żeby dobrowolnie swoich kolegów wydawał na zemstę *Promienia.*

Tak więc na każdym kroku mściwa chęć przewrotu.

Powodów tego nastroju nie moglibyśmy objąć ogólnem mianem czczych wymysłów, gdyby socyaliści chcieli wywierać zemstę tylko na winowajcach niesprawiedliwego rozkładu dóbr w naszem społeczeństwie. Wolnomyślne ustawy pozwoliły dochodzić do majątku wielu drogami, których chrześcijaństwo nie poczytywało za godziwe; nim społeczeństwo straciło chrześcijańskiego ducha w swojem ustawodawstwie, widziało tylko między sobą przybłędnych innowierców, którzy pokryjomu ułatwiali chciwcom nieuczciwe zarobki. Stąd właśnie pochodzi w dawnem społeczeństwie znaczna część ostrych ustaw przeciw tym innowiercom, którzy zacierali w sumieniach różnicę między uczciwem a nieuczciwem gospodarstwem społecznem, między zarobkiem czystym a zyskiem zmazanym krzywdą bliźniego. Wolnomyślne państwa odstawiły te ustawy do zbioru zabytków średniowiecza i puściły wodze popędowi, który pchnął mocarzy

pieniężnych do wojny przeciw głodnym i odartym; pieniądz większy zaczął wsysać w siebie zewsząd pieniążki małe, mimo owej prawdy, którą rubasznie wyraził francuski socyalista: *l'argent ne fait pas de petits.* Prawdę powiedział i przyczynę żalu do niesprawiedliwych stosunków tknął w samo sedno, ale jak ją rubasznie wysłowił, tak ją odczuł szorstko, dziko, namiętnie, ogłosił przed pospólstwem cierpko, rozpaczliwie; zamiast powstać przeciw źródłu niedorzecznego narostu pieniążków na kopcach pieniędzy, zamiast potępić wolnomyślne ustawy, rzucił hasło przewrotu i mściwej, beznadziejnej walki z całem społeczeństwem, nawet z tymi w niem żywiołami, które, jak np. Kościół, w świecie wolnomyślnym, właściwym sprawcy dzisiejszych błędów społecznych, znalazły najdokuczliwszego wroga, otwartego prześladowcę.

Ze szczegółów dotychczas poznanych czytelnik zechce wysnuć ogólniejszy pogląd na właściwy tok pracy socyalistów w ich czasopismach polskich. Ogólne piętno tych czasopism z roku ostatniego przypomina walkę, toczoną na polu wyznaniowem w XVI stuleciu w Polsce. Wówczas Niemcy, porwane namiętną wymową Lutra, podniosły chorągiew walk wyznaniowych, wrzały przeciw Rzymowi, ostatniemi nazwami obrzucały papieża, ale nie poprzestały na wojennych hasłach, nie pokładały całego swojego dzieła na robocie czysto burzycielskiej, nie wysilały całego dowcipu na przezwiska; niemiecki duch umiał przecież coś postawić uchwytnie; ułożył wyznanie helweckie, augsburskie, anglikańskie, założył jakieś chrześcijaństwo w Danii i Skandynawii. Słowiański duch rokoszu nie umiał wówczas, jak dziś nie umie w czasopismach socyalistów, wyraźnie powiedzieć, czego chce. W XVI stuleciu nowinkarze umieli tylko poruszać u pradziadów naszych żółć przeciw złemu duchowieństwu. Złego duchowieństwa wówczas nie brakło tak samo u nas w Polsce, jak gdzieindziej na Zachodzie; nowe wydawnictwo listów bł. Piotra Kanizego świadczy o tem jasno i szczerze. Ówczesny ruch przeciwkościelny znalazł podnietę w rozstroju, któremu tamę położył sobór trydencki. W Niemczech luterski duch uczonoksiążkowy powitał poprawę duchowieństwa, zaprowadzoną w Try-

dencie, sykiem szyderstwa: ułożył już był sobie swoją naukę i od niej nie ustąpił przed wyrokami Kościoła. W Polsce luterski duch, niedostatecznie świadomy, czego właściwie chce, prędko, jak każda fala powierzchowna, przepłynął.

Ostatni rocznik każdego czasopisma socyalistycznego pokazuje, że tem samem korytem płynie do dziś dnia myśl polska. Doszedł do niej ze Zachodu odgłos tamtejszych walk przeciw wszechpotędze bogaczy, ale nie znalazł w nas żywiołu zdolnego wyznać jasne zasady i oprzeć je na ścisłych dowodach, któryby zwłaszcza snuł nowe pomysły o poprawie stosunków; znalazł u nas zręcznych przywódców pospólstwa, które bez namysłu śpieszyło, dokąd szło zbiegowisko niezadowolonych żywiołów przy dźwiękach pieśni o Czerwonym sztandarze.

Na tem polu czyn więcej znaczy, niż słowo bądź ustne, bądź pisane. Socyalistom nie tylko mądrych słów, ale i czynów zabrakło. Obietnicami rozbudzili nadzieje nadmierne i wywołali gorycz zawodu u polskiego ludu, który czekać długo nie umie. Raz po raz słychać żal na socyalistów: „obiecują, nie dają, a pieniądze biorą, szkoda każdego halerza dla nich". Do tego nastroju umysłów polskich dostosowują teraz socyaliści swoje czasopisma. Przestają obiecywać i rozwijać obrazy przyszłego dobrobytu w swojem społeczeństwie; zaniechali rozpraw zasadniczych; walczą tylko opisami nędzy i krzywd; tą bronią władają doskonale; również znakomicie odskakują w tył i unikają ciosu, którego odbić nie umieją, zapytani: cóż tedy robić? jak zatamować źródło krzywd i wyzysku?

Biegle prowadzi taką wojnę *Naprzód,* ale nad wszystkiemi czasopismami przoduje w tej mierze *Kuryerek zakordonowy i zagraniczny.* Miesięcznik ten nie dba o żadne podziały treści, przyjęte w czasopismach: nie myśli o rozprawach wstępnych, o sprawozdawczym dziale, nowinach świeżych i t. d., nabija cały arkusz drobnego druku wieściami z całego świata znanego podróżnikom, zewsząd zbiera dowody, że włosy powinny nam stawać na głowie wobec nieporządków zapuszczonych na lądzie i morzu.

W zasadnicze pytanie wchodzi najczęściej *Przedświt,* —

miesięcznik wydawany w swoim rodzaju bardzo starannie, ale sporów naukowych nie rozstrzyga, tylko treściwie zdaje sprawę, co za zasadnicze poglądy znajdują między socyalistami obrońców albo przeciwników. Sprawozdawcza osnowa *Przedświtu* może wyjaśnić zagadkę, dlaczego polscy socyaliści szyderstwem zbywają różne zarzuty, podnoszone przeciw ich zasadom. Dziś już ich znudziły rozprawy poważne: zostawiają każdemu towarzyszowi swobodę, żeby marzył albo o zaborze osobistych majątków dzisiejszych na rzecz wspólną wszystkich obywateli, albo o podatku postępowym, któryby rozłożył państwowe ciężary w większej części na bogatych; może socyalista do socyalistycznego państwa nie dążyć, tylko poprzestać na pracy, aby proletaryat ze swojemi prawami wrósł w państwo burżuazyjne; może przy tej pracy wzywać do rozruchów i krwawego przewrotu albo wymagać środków zgodnych z ustawami; może uznawać za słuszną albo za niedorzeczną powyższą swobodę poglądów; niech myśli, mówi i robi co chce, byle gorąco czuł, że jest źle na świecie, byle cierpko narzekał na niesprawiedliwe stosunki i krzywdę, byle w danym razie szedł za czerwonym sztandarem, dokąd pójdą przywódcy: czy na strejk, czy na wiec, czy na wybory, czy na pogrzeb, czy na pląsy, czy na kule. Właściwie tedy polski socyalizm wyznaje stale jedną tylko zasadę: zemsty; w innych zasadach kto im zarzuca błędy naukowe, ten znajduje w ich pismach odpowiedź, że ów zarzut ich nie dotyczy, bo stronnictwo całe nie ma prawa wglądać w błędy tego albo owego towarzysza, który uczy, jak rozumie.

To też i przeciw Kościołowi czasopisma te nie tyle rzeczowo walczą, ile usiłują praktycznie przełamać w Kościele zaporę do dzieła zemsty. Z tej przyczyny z dwóch stron biją w Kościół: wyszukują, gdzie mogą, choćby urojoną winę u niegodnych synów Kościoła bądź duchownych bądź świeckich, a najusilniej powstają przeciw Kościołowi w jego pracy na niwie demokracyi chrześcijańskiej. O tem osobno.

(Dok. nast.)

Ks. K. Czaykowski.

AKT TRZECI.

Podajemy Czytelnikom naszym III akt niewykończonego jeszcze 4-aktowego dramatu L. Rydla. Sztuka pojawi się w najbliższym czasie na scenie lwowskiej, a równocześnie ukaże się w wydaniu książkowem, ozdobionem przez A. Procajłowicza, nakładem ruchliwej firmy D. E. Friedleina, której udzielenie rękopisu zawdzięczamy.

OSOBY:

ZDZISŁAW — MĄŻ
MARYA — ŻONA
X. SZYMON, PROBOSZCZ
SŁUŻĄCY
OFICER ŻANDARMÓW ROSYJSKICH.

Rzecz dzieje się około roku 1868 w Strachocinie, we dworze, w majątku Zdzisława, położonym w Królestwie Polskiem nad Wisłą, na samej granicy galicyjskiej.

Treść poprzednich dwóch aktów następująca: Marya straciła w powstaniu narzeczonego, którego wzięto na Sybir. Ze względu na wolę konającej matki wyszła za mąż bez pociągu serca, dowiedziawszy się, że narzeczony zginął na Sybirze podczas buntu więźniów. Charaktery obojga małżonków niedobrane, i brak potomstwa rozdzielają ich coraz bardziej od siebie.

W akcie I powraca niespodzianie dawny narzeczony (Obcy), który uciekł szczęśliwie z Syberyi i pragnie przekraść się przez granicę.

W akcie II obecność Obcego jeszcze bardziej pogłębia przepaść między małżonkami. Marya zrywa jawnie z Mężem i postanawia pójść za dawnym narzeczonym. W tej chwili najwyższego napięcia otaczają dwór Moskale. Obcy ukrywa się, a Mąż, zapominając o doznanej krzywdzie, stara się ratować sytuacyę, poddając się inkwizycyi Oficera żandarmów, z którym zamknął się w swej kancelaryi.

Tu zaczyna się akt III.

Redakcya.

(Scena jak w akcie II. Żona w największem naprężeniu trwożnego oczekiwania stoi pośrodku pokoju, zwrócona ku Xiędzu, który pod drzwiami kancelaryi podsłuchuje rozmowę Oficera z Mężem i co chwila odwracając się ku niej, streszcza półgłosem, co posłyszał. W chwilach gdy Xiądz słucha, cisza, śród której dolatują przez zamknięte drzwi niewyraźne odgłosy ożywionej rozmowy. Na lewo w głębi stoi Służący w niespokojnej nerwowej postawie. Na twarzach wszystkich trojga śmiertelne przerażenie).

XIĄDZ
(odwracając się do Żony, szeptem)

Był donos . . . .
Wiedzą, że wczoraj z wieczoru
Przyszedł i że się ukrywa tu w domu;
. . . .
Wydać go radzi . . . .
Dał słowo honoru,
Że ani pani ani z nas nikomu
Nic się nie stanie, jeśli wyzna szczerze,
Gdzie go skrył . . . .
Wszędzie dookoła dworu
Porozstawiani pilnują żołnierze,
Nawet mysz jedna wymknąć się nie może
. . . .

Powiada, że pan bardzo ciężką bierze
Odpowiedzialność na siebie — jeżeli
Dłużej trwać zechce w dziecinnym uporze.

(Słucha długo; nagle widocznie przerażony tem co usłyszał, wzdryga się i rękoma chwyta się za głowę. Żona przysuwa się ku niemu jeszcze bardziej wylękniona).

XIĄDZ
(jakby do siebie)

Jezu...

ŻONA
(szeptem, chwytając go za rękę)

Co oni sobie powiedzieli?!

XIĄDZ
(odzyskawszy przytomność)

Nie wiem na pewno... Nic... nic...
(z kancelaryi dochodzi dzwonienie)
Janie, dzwoni!

(Służący spiesznie wchodzi do kancelaryi).

ŻONA
(szeptem)

Co tam xiądz słyszał?!...

XIĄDZ
(szeptem)

Nic; chyba się mylę...

(Służący wraca)

ŻONA
(szeptem)

Janie, cóż?

SŁUŻĄCY
(szeptem)

Zaprządz kazał parę koni...

(zmierza ku gankowi. Równocześnie z kancelaryi wychodzi Oficer; dogania w ganku Służącego i mówi rozkazującym tonem kilka słów do jednego z sołdatów, stojących przed domem. Sołdat ze Służącym odchodzą w głąb, przez drogę ogrodową ku stajniom. Oficer zawraca i staje w ganku przy progu pokoju).

MĄŻ

(który wyszedł był zaraz za Oficerem z kancelaryi, spokojny ale nieco blady, korzysta z chwili gdy Oficer rozmawia ze Służącym i półgłosem rzuca Żonie i Xiędzu znaczącym tonem jeden tylko wyraz)

Spokój!...

(widząc Oficera stojącego w progu na ganku, mówi nagle tonem lekkim, niemal wesołym)

Maryniu, wyjeżdżam za chwilę...

ŻONA

(zdławionym głosem)

Ty?!!

MĄŻ

Bądź spokojna... Pewnie dziś wieczorem
Wrócę... Drobnostka, nieporozumienie...
Pogadam parę słów z gubernatorem
I rzecz mu całą z łatwością wyjaśnię.
(znacząco)
Tak; tym wyjazdem wszystko, wszystko zmienię!

ŻONA

(chwytając go za ręce gorączkowo)

Mów, co się stało?

MĄŻ

Nic!...
(spoziera przez ganek)
Zajeżdża właśnie
(do Xiędza)
Zostawiam wszystko xiędzu pod opieką.
(ściska go za rękę — do Kapitana)
Jedźmy!
(do Żony)
Bądź zdrowa!

(wychodzi z kapitanem, który salutuje Żonie i Xiędzu).

(Chwila ciszy, potem turkot wózka. Żona siedzi, jakby skamieniała. Nagle zrywa się, biegnie ku gankowi, chwyta się dłoniami za głowę i bezprzytomnie, z bolesnym jękiem, krzyczy)

Nie! Nie! Boże! Nie! Nie!

(po chwili — do Xiędza)
Gdzie go ten Moskal wlecze? Gdzie!?

XIĄDZ
(chwiejąc głową rozpaczliwie)
Daleko...

ŻONA
(z rosnącą zgrozą)
Co to jest, xięże!?

XIĄDZ
To jest — poświęcenie!

ŻONA
(zrozumiawszy)
Zdzisław? Za niego!?

XIĄDZ
Tak...

ŻONA
Na miłość Bożą
Ratuj go, xięże!

XIĄDZ
(załamując ręce)
Nie widzę sposobu.

(Obcy wbiega drzwiami z lewej, w największem wzburzeniu. Za nim Służący).

OBCY
(wyrywając się Służącemu)
Puszczaj mnie! Jego zamiast mnie wywożą!?
(wypada na ganek aż ku schodom zewnętrznym i woła za odjeżdżającymi)
Stój! To ja!

ŻONA
(rzuciwszy się ku niemu, stara się odciągnąć go do pokoju)
Roman!!

XIĄDZ
(zastąpiwszy mu drogę)
Tem pan nie ocali
Zdzisława...

ŻONA
(czepiwszy się go rozpaczliwie oburącz)
Roman!!!

XIĄDZ
Zabiorą was obu
I on nie zyska na tem, a pan zginie!

OBCY
(po chwili)
Jezu Maryo! Już z nim odjechali,
A ja tu jestem... Mówcie, co się stało?
Ja oszaleję w takiej plątaninie...
Xiężе — na Boga — niechaj mnie zabiorą,
Byle on wrócił!...

XIĄDZ
On wiedział, że cało
Żadne z nas czworga wyjść nie może, skoro
Będzie rewizya: nikt się nie wywinie,
Gdy pana znajdą tu — a znaleźć muszą,
Więc się poświęcił za nas wszystkich czworo.

OBCY
(z goryczą)
I upokorzył mnie swą wielką duszą.

ŻONA
I cóż xiądz słyszał?

XIĄDZ
Przyznał się do winy,
Że panu w nocy ułatwił przeprawę
Przez Wisłę.

OBCY
Temu nie uwierzą...

XIĄDZ
Muszą!
Świadek, co siebie potępia — nie kłamie.
Mówił, że widzi ratunek jedyny
W szczerem przyznaniu się, bo kłamstwem sprawę

Mógłby pogorszyć. Wszystko miało znamię
Zeznań człowieka, który stracił głowę
Ze strachu, w słowach swych własnych się wikła
Lecz prawda z ust mu płynie — nieprzytomnie.
Przez to wyznanie rzecz na tory nowe
Poszła, przyczyna do rewizyi znikła,
Ocalił pana...

OBCY

Mniejsza teraz o mnie,
Jego ratujmy!

ŻONA

Xięże, jakaś rada
Znaleźć się musi.

OBCY

Ja wszystko uczynię,
Co będzie trzeba: oddam wolność, zdrowie,
Życie!

XIĄDZ

Ja wierzę, bo przez pana gada
Serce uczciwe.

(milczenie)

W tej chwili jedynie
Wszystko zależy od tego, co powie
Sam gubernator... Do niego pojadę,
Może się dowiem, jak ta sprawa stoi,
A wtedy łatwiej będzie znaleźć radę.

ŻONA

(z nerwowym pośpiechem)

Ja z księdzem!...

XIĄDZ

Lepiej niech pani zostanie
I niech się pani trochę uspokoi
Po tylu przejściach. W takim duszy stanie
Mogłaby pani położenie męża
Pogorszyć tylko. Ja wrócę czemprędzej,

Może się dowiem czego — to działanie
Dalsze ułożym.

(chodzi — po chwili stając)

Moskala zwycięża
Zwykle argument jeden: garść banknotów.
Coś tam na żniwa musi być pieniędzy.

(wskazuje ku kancelaryi)

ŻONA

(wstaje)

Co tylko znajdę!

(wychodzi do kancelaryi)

XIĄDZ

Pan niech będzie gotów
Na noc dzisiejszą. Z Janem pan ułoży
Wszystko, co trzeba... Koło domu straży
Niema już. Może przy pomocy Bożej...

(Obcy, który siedział długo z czołem podpartem na ręku, robi ruch lekceważący, jakby nie dbał o swoją ucieczkę).

Pan ocalenie swoje lekceważy!?
— Od tego wszystko w tej chwili zawisło,
Bo gdyby pana tutaj w Strachocinie
Lub gdzie w pobliżu schwytali nad Wisłą,
To i on przez to...

OBCY

(głucho)

On tam za mnie ginie,
A ja!?...

(zrywa się, chwyta Xiędza za rękę gorączkowo)

Nie, xięże, ja jego ocalę!

XIĄDZ

Pan!?

OBCY

Tu przez Wisłę nie będę się wcale
Przeprawiał. Nocą z domu się wykradnę
I jak najdalej pójdę; nad granicą
Będę się błąkał, aż im w ręce wpadnę...

(Xiądz przerażony chce mu przerwać)

Tylko w ten sposób jasno udowodnię
Jego niewinność. On sam się oskarża
O taką ciężką niesłychanie zbrodnię,
Że mnie przeprawił bradiagę, zbrodniarza
Przez Wisłę. Aż tu właśnie przyprowadzą
Tego bradiagę z tem, że był ujęty
Całkiem gdzieindziej.

XIĄDZ

A kłamstwo przed władzą
Czem wytłumaczyć?

OBCY

Wówczas o wykręty
Będzie już łatwiej. Można kapitana
Kupić, by zeznał, że aresztowanie
Omyłką było.

XIĄDZ
(zgnębiony)

Ja rozumiem pana,
Ale to straszne...
(odwraca twarz, aby pokryć wzruszenie i tak odwrócony ściska go za rękę)
Mój panie Romanie!
(po chwili szeptem)
Boże litości, kiedyż wejrzysz z nieba
Na polskie serca do ofiar pochopne!?
(zmieniając ton — do Obcego)
Pojadę! Może nie będzie potrzeba
Takich poświęceń... Sam się pan przekona,
Że poświęcenie pańskie tak okropne
Będzie zbyteczne.

(Obcy słuchał ze smutnym, niedowierzającym uśmiechem, chwiejąc głową,
W drzwiach kancelaryi staje Żona).

OBCY
(ujrzawszy Żonę, szeptem do Xiędza)

Xięże, niechaj ona
Nie wie!...

ŻONA
(oddaje Xiędzu pieniądze)
Znalazłam, ale mało.

XIĄDZ
(biorąc pieniądze)
Sądzę,
Że to wystarczy...
(Wchodzi Służący i nakrywa do stołu).

ŻONA
Klucza od szufladek
Nie mogłam znaleść, gdzie leżą pieniądze,
Więc niech xiądz proboszcz i to na wypadek
Weźmie...
(Oddaje mu kilka puzderek z klejnotami),

XIĄDZ
(odbierając od Żony klejnoty, zwraca się do Służącego, który tymczasem nakrył)
Niech Wojtek mój założy konie!
(Służący wychodzi).

(Milczenie, Obcy bez ruchu siedzi pogrążony w myślach. Żona zwiesiła bezwładnie głowę i ramiona w przygnębieniu).

XIĄDZ
(po chwili do Żony)
Tak... niewesołe czasem życie bywa.
Pan Jezus chodził w cierniowej koronie
I nas cierpieniem do siebie przyzywa:
Nad całą Polską cięży Boska ręka
I cały naród ma cierniami skronie
Koronowane i serc tyle pęka,
Aż się wypełni kara sprawiedliwa,
Bo powiedziano jest w Pańskim Zakonie:
— „Za grzechy ojców!“ — Ale nasza męka
Nie nadaremna. Bóg od nas ofiary
Z polskich boleści chce za polskie winy:
Za grzechy ojców dopełnijmy miary
A on z niewoli wyrwie nasze syny!
(gankiem wchodzi służący)

XIĄDZ

(do służącego)

Już?

(bierze kapelusz, laskę i zwraca się w progu do Żony i Obcego)

Niech was Pan Bóg w swej opiece chowa!

(wychodzi — zaraz potem za sceną turkot odjeżdżającego wózka).

(Służący wyszedł drzwiami na lewo. Żona i Obcy zamyśleni i smutni pozostają tak, jak ich Xiądz odjechał. On siedzi ciągle z głową podpartą na ręku, ona stoi na środku sceny, schyliwszy twarz ku ziemi. Długa cisza).

ŻONA

(prawie szeptem)

A nasze winy? Kto zapłaci za nie?...

OBCY

(podnosząc się)

Każdy za siebie... Pani ciche słowa
Palą mnie na dnie duszy, jak sól w ranie.

(milczenie)

(Służący wnosi wazę i stawia na stole. Żona machinalnie nalewa zupę na talerze, które Służący jej podaje, poczem z wazą odchodzi).

ŻONA

(bezdźwięcznym głosem)

Panie Romanie, proszę.

(sama siada i po pierwszej łyżce jeść przestaje)

OBCY

Ja nie mogę
Nic przełknąć...

ŻONA

Trzeba. — Niech się pan posili;
Za parę godzin w taką straszną drogę
Pójdzie pan...

(Przez chwilę oboje wysilają się na sztuczny spokój, niby jedzą a na przemian spozierają na siebie nieznacznie).

OBCY

(odkładając nagle łyżkę)

Teraz nie mogę, w tej chwili,
Coś mnie za gardło dusi, jakby kleszcze.

(Wchodzi służący z półmiskiem, ale zanim doszedł do stołu, Żona odprawia go ruchem ręki).

ŻONA
(do służącego krótko)

Zabierz to wszystko...
(Milczenie; służący sprząta ze stołu i wychodzi).

OBCY
(po chwili)

Parę godzin jeszcze
I będzie koniec. Byle uwolnili
Jego z gubernii, o mnie... wszystko jedno.

ŻONA

Pan nie powinien tak mówić... Pan przecie
Ma tam za Wisłą matkę swoją biedną.
(na twarzy Obcego nagłe bolesne wrażenie; usta mu się kurczą konwulsyjnie, jakby się wstrzymywał od płaczu)
Sprawiłam przykrość?... Panu wargi bledną
I drżą!...

OBCY

Już może nigdy na tym świecie
Jej nie zobaczę...

ŻONA

Nie! nie! nie! Ja wierzę
W to, że pan przejdzie! — i pan wierzyć musi!
Ja błagam, niech pan odwagi nabierze
I te przeczucia czarne w sobie zdusi...
Trzeba chcieć mocno, trzeba ufać szczerze...
— Wieczór nadejdzie...

OBCY

Tak, tak... czas mam krótki...

ŻONA

I wydostanie się pan na swobodę,
Byle się przekraść szczęśliwie do łódki.
Jan mówił, że ma pewnego człowieka,
Co przemytników przeprawia przez wodę...
Droga do Wisły taka niedaleka...
Precz, precz te wszystkie przeczucia i smutki!

To łamie siły, to zabija ducha —
Miejmy nadzieję, miejmy do ostatka!
(zniżając głos, miękko)
Modlić się będę — i Bóg mnie wysłucha!

OBCY

Dobrze... cokolwiek dziś w nocy mnie czeka,
Spokojny jestem... ale moja matka...
Gdybym przypadkiem...
(wstaje, obiema rękoma ujmuje ją za rękę, stłumionym od wzruszenia głosem mówi, patrząc jej błagalnie w twarz)
Pani mi przyrzeka?!...

ŻONA
(pokrywając rozrzewnienie, stanowczym tonem)

Wiem... wiem... Przyrzekam!

OBCY
(cicho, z uniesieniem wdzięczności)

O, dziękuję, pani!
(po chwili)
Jeszcze to jedno: jeśli dzisiaj zginę
Lub jeśli będę na nowo schwytany —
Nic jej nie mówić, żem tu wracał, ani
Żem żył dotychczas... To serce matczyne
Dość ma tej dawnej niezgojonej rany!

ŻONA

Rozumiem... Dobrze!

OBCY

Pani mi wybaczy,
Że śmiałem... ale na ziemi nikogo
Prócz matki nie mam teraz... albo raczej
Mieć mi nie wolno!...
(po chwili — zdławionym głosem)
Serca krwawić mogą,
Ale niech usta milczą!...

ŻONA

Między nami

Przepaść bezdenna... Każde swoją drogą
Pójść musi... Teraz czujemy to sami.

OBCY

On nas rozdzielił...

ŻONA

On... na resztę życia!
Rzekł mi: „Odjazdem moim wszystko zmienię“.

OBCY

Zaporą teraz jest nie do przebycia
Pomiędzy nami — jego poświęcenie.

ŻONA

Na straży przy nas postawił sumienie!

OBCY

Tak... My oboje sami to czujemy...
Ja go tu czuję... On ciągle nademną
Stoi gdzieś tutaj, niewidzialny, niemy
I wbija we mnie wzrok z takim wyrzutem,
Jak gdybym czynił rzecz jaką nikczemną,
Żem jeszcze tutaj, żem jeszcze przy pani...

ŻONA

My oddychamy powietrzem zatrutem
Od łez i zgryzot...

OBCY

Jużeśmy skazani
Na wieczny rozdział... ani się nadzieją
Już nie łudzimy — tylko przed odlotem
W dal bezsłoneczną, ostatnie godziny
Spędzamy razem i serca w nas mdleją
Z męki okrutnej... Wszak niema w tem winy?
Uciskiem duszy, ogrojcowym potem
Kilkaśmy wspólnych godzin tych kupili!
Czemuż na ustach nam lodowacieją
Słowa, co ledwie śmią być myśli echem?

ŻONA

Łzy połykamy, na dnie serc kryjemy
Ból niewymowny pod gorzkim uśmiechem
I serce głośniej uderzyć się boi...
— Nie, to nie może, nie może być grzechem!

OBCY

Czemuż on ciągle niewidzialny, niemy,
Z wyrzutem w oczach między nami stoi?!...

ŻONA

Niceśmy sobie tu nie powiedzieli,
Czegoby słyszeć nie chciał...
(milczenie)

OBCY
(po chwili — pokrywając wzruszenie)
Nad Bajkałem
Gdzieś tam w skalistych wąwozów gardzieli
Stoją dwie skały u brzegów Angary.
I dziwne o nich podanie słyszałem,
Które mi Tunguz opowiadał stary:
Obie te skały — to kochankow para,
A rozdzieliła ich na zawsze rzeka
Ciemna, zazdrością szumiąca Angara.
Tak stoją w skały milczące zaklęci,
I rok za rokiem z pędem wód ucieka,
Ale czas nigdy milczenia pieczęci
Z ust im nie zdejmie... I tylko z daleka
Oczyma na się patrzą kamiennemi,
Rosa łez wiecznie po twarzach im ścieka
I tak na wieki cierpieć muszą... niemi!
(przy ostatnich słowach głos mu się łamie — milczenie)

ŻONA
(szeptem, jakby do siebie)
O Boże!
(po chwili — opanowawszy wzruszenie, spokojnie)
Prośbę mam jedną do pana...

OBCY
(żywo)

Jaką?

ŻONA

Ja nie wiem, skąd we mnie ta wiara,
Skąd ta nadzieja we mnie niezachwiana,
Że się pan przemknie a wtedy na nowo
Życie dla pana drugi raz się zacznie...
— Niech pan zapomni!... Niechaj się pan stara
Zapomnieć!... Szczęście powoli, nieznacznie
Samo się znajdzie... ono się należy
Panu — i może kiedyś niespodzianie
Z pod nóg wyrośnie panu jak kwiat świeży...
— Niechże do tego nie będzie przeszkodą
Wspomnienie o mnie...

OBCY
(ze spuszczonemi oczyma — głucho)

Co się ze mną stanie,
Dokąd przeznaczeń drogi mię zawiodą —
Bogu wiadomo...
(po chwili — podnosząc na nią wzrok)
Nikt na zawołanie
Nie zapomina... Czy pani z pamięci
Wydrzeć potrafi to wszystko, co było?
(po chwili)
Cóż? Pani milczy?

ŻONA
(odwracając twarz)

Na cóż to pytanie?...

OBCY

Serce jak owad na szpilce się kręci
Około takich wspomnień... Jakąż siłą,
Jakimże cudem ja o tem zapomnę,
Żeśmy za życia czyśćcowe otchłanie
Przeszli? że w duszach sieroce, bezdomne
Mamy tęsknoty... Nie! Nie! My o sobie

Pamiętać zawsze będziemy musieli,
Nas przecie wiąże wszystko, co nas dzieli
Nie zapomnimy oboje i w grobie!

ŻONA
(miękko, cicho)

Bóg miłosierny niech pana uleczy,
Niech kiedyś w życiu ciszą i spokojem
Nagrodzi panu te okropne rzeczy
Dziś przecierpiane... Całem życiem mojem,
Wszystkiemi łzami, każdem serca tętnem
Prosić Go będę o to... tylko o to,
By zapomnieniem wielkiem, bezpamiętnem
Uzdrowił pana...

OBCY
(chwiejąc głową przecząco, powoli, smutnie)

Dziś mi pod Golgotą
Pokornie trzeba uklęknąć — i z Krzyża
Czerpać moc nową na męczarnię nową
I dobrowolnie czoło pod cierniową
Schylić koronę, która się przybliża...
(wstaje w gorączkowem podnieceniu)
Tak! Na stracone pójdę!... — Za Uralem
Tam... het... na kresach ostatnich Europy
Jest słup graniczny podobny do trupa
Co skostniał stojąc... Z jakim strasznym żalem
Idzie tamtędy skrwawionemi stopy
Konwój skazańców — koło tego słupa!
Ilu tam pod nim, pośród wydm piaszczystych
Staje, zwracając twarz ku Zachodowi
Po raz ostatni! Ile łez rzęsistych
Spływa tam cicho po grubym szynelu!
I wciąż nadchodzą męczennicy nowi
W to piekło mroźne pędzeni... a wielu
Ryje na słupie litery, napisy...
Ja tam wyryłem jedno drogie imię. —

(głucho)

I znów tam pójdę... Słup na wydmie łysej
Ujrzę i może jeszcze niezatarte
Znajdę to imię!

ŻONA

(drżąc na całem ciele, zaciśnięte pięści przyciska do rozchylonych boleśnie warg i szepce przez zęby)

Boże! Zabierz Ty mię,
Jeśli to będzie!...

OBCY

(stoi z ogniem w oczach, prosty, poważny i mówi cichym, stanowczym głosem)

Nie! Musimy do dna
Wypić tę gorycz... — Cóż to życie warte!?
I cóż jest ludzkie szczęście osobiste!?
— Na ziemi jedna rzecz miłości godna:
Ojczyzna!... Za nią daj nam cierpieć, Chryste!

ŻONA

(słuchała z głową zwieszoną. Przy ostatnich słowach podnosi ku niemu twarz rozpłomienioną — po chwili)

Z tobą wycierpieć wszystkobym gotowa!

(słychać daleki turkot wózka)

OBCY

Wycierpieć musisz bezemnie, bo taka
Jest wola Boska.

(biorąc ją za rękę, z prośbą w głosie)

Wszystko znieś bez słowa
Buntu i skargi...

SŁUŻĄCY

(staje we drzwiach)

Czy do Kozieniaka
Mam pójść, bo słońce za chwilę zachodzi.
Jużem z nim gadał, ale na pewniaka
Trza się rozmówić, gdzie ma czekać w łodzi.

OBCY

(krótko)

Nie trzeba...

(Służący wychodzi)

ŻONA
(zdziwiona)

Jakto?

OBCY
(powoli)

W tem już moja głowa...

(Przed gankiem i za oknami cały zajazd i ogród nabierał tymczasem zwolna barw złocisto różanych. Teraz wszystko staje w purpurowych ogniach zachodu, które potem będą przechodziły stopniowo w liliowy fiolet, aż zesinieją, poszarzeją i zgasną... Turkot wózka, zbliżający się ciągle, ustał nagle niedaleko domu; zaraz potem wchodzi Xiądz. Na jego widok Żona i Obcy zrywają się i szybko podchodzą ku niemu).

ŻONA

Xięże proboszczu, cóż tam?!

XIĄDZ
(ociera czoło chustką)

Nie najgorzej
I nie najlepiej... Trzeba będzie z rana
Jechać tam jeszcze... Noc czasami radę
Przynosi dobrą... — Przy pomocy Bożej
Uda się może... Tymczasem do pana
Mam jeszcze słówko... Zaraz potem jadę
Do siebie...
(Żona usuwa się na lewo do sypialni)
Pani Marynia kochana
Przebaczy.

(Żona w drzwiach uścisnęła rękę Xiędza, który podszedł ku niej, poczem wyszła, zamykając drzwi za sobą. Milczenie — Xiądz chodzi po pokoju rozdrażniony).

OBCY
(półgłosem)

Prawda? Na mnie teraz pora!?

XIĄDZ
(staje przed nim; z bolesnym wyrazem twarzy ściąga ramionami, rozkłada ręce i opuszcza je bezwładnie. Po chwili szeptem)

To straszne.., straszne!...
(milczenie)

Z ust gubernatora
Słyszałem w kółko: — „Za tego bradiagę
On pójdzie w Sybir! On w katorżne prace!
Przez niego całą zasługę, powagę,
Całe znaczenie w Petersburgu tracę!“
...Niema co... Źle jest... Oto prawda naga...

OBCY
(poważnie — półgłosem)

Więc... jestem gotów... Znajdzie się bradiaga...

(wybiega szybko w korytarz na lewo. Xiądz zdziwiony patrzy za nim i nie rozumie dobrze. Obcy wraca niebawem, ubrany w te same łachmany, jak w akcie I. Milczenie).

OBCY
(po chwili, miękko, pochylając głowę przed Xiędzem)

Xięże proboszczu... krzyżyk mi na drogę...

XIĄDZ
(kreśli mu na czole znak krzyża)

...Bóg cię błogosław... najmilszy... jedyny...
Idź na ofiarę za narodu winy...
— Wejrzyj nań Chryste...
(głos mu się łamie i przechodzi w łkanie)
Nie mogę! Nie mogę!

(Obaj walczą z ogromnem wzruszeniem, które ich owładnęło. Xiądz, połknąwszy łzy, uspokaja się nieco, uchyla drzwi do sypialni i mówi do Żony jeszcze nieco drżącym głosem)

XIĄDZ

Prosimy panią...

(Żona wchodzi i widząc Obcego w tym stroju, zdumiona rękę ku wargom podnosi)

OBCY
(szybko i cicho do Żony)

Czas na mnie...

ŻONA
(blednie, opiera się na krześle — szeptem pełnym zgrozy)

Już!?

OBCY

Muszę!

ŻONA
(z jękiem stłumionym)

Już? Już?!

(siada bezwładnie na krześle)

OBCY

Zmrok zapadł. Pójdę, zanim wstanie
Księżyc.

XIĄDZ

Czas nagli — niema i godziny...

OBCY
(podchodzi ku siedzącej i bierze ją za rękę)

Miejmy odwagę; w pokorze i skrusze
Jest moc męczeńska..,

(Pochyla się, klęka przed nią i ręce jej całuje. Żona prostuje się na siedzeniu, głowę jego obiema dłońmi obejmuje i całuje go w czoło, dygocąc jakby w febrze).

ŻONA
(stłumionym głosem)

Romanie! Romanie!

OBCY
(przytulił twarz do jej kolan z płaczem)

Boże mój! Boże!...

ŻONA
(raz jeszcze całuje go w głowę)

To pocałowanie
Moje ostatnie...

OBCY
(podnosi głowę, klęcząc)

Te wargi... na czole...
Zimne, jak z lodu...

(wstaje, trzymając ją za rękę)

ŻONA
(podnosi drugą rękę ku górze)

Może się spotkamy
Kiedyś... tam, w górze...

OBCY

Tam — u niebios bramy,
Wtedy pod nami zostaną na dole
Wszystkie te męki i łzy i rozpacze...

(chce odejść — zatrzymuje się; szeptem)

Módl się, módl, za mnie... za niego... za siebie!

(wybiega przez ganek w ciemności wieczoru)

(Żona za odchodzącym wyciągnęła ręce rozpaczliwie, bez krzyku, bez jednego słowa. Po chwili ręce jej obwisają, stoi chwilę jak martwa).

ŻONA

(z twarzą nieruchomą, blada, mówi po chwili do Xiędza jakby ze skargą, miękkim, złamanym głosem)

Xięże proboszczu... poszedł!...

(Xiądz bierze ją za rękę i prowadzi ku krzesłu)

ŻONA

(nie swoim, gardlanym głosem)

Ja nie płaczę!
— Poszedł!!

(siada)

XIĄDZ

(po chwili klęka, opierając się rękoma o sąsiednie krzesło i cichym, dobitnym głosem zaczyna)

Ojcze nasz, który jesteś w niebie...

(urywa — zwraca się do Żony łagodnie)

Módlmy się, pani... Módlmy się oboje.
Proszę!...

ŻONA

(klęka przy nim)

Ojcze nasz , ...

(reszta szeptem)

XIĄDZ

. , ... Święć się imię Twoje...

ŻONA

Bądź wola Twoja...

(wybucha płaczem).

Lucyan Rydel.

Tonie 18 listopada 1902.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

Sześć lat minęło, odkąd zdawałem na tem miejscu sprawę z odkryć naukowych w dziedzinie historyografii polskiej; zebrał się od tego czasu znowu plon obfity wiadomości, nadających się do przedstawienia intelligentnemu ogółowi. Nie wszystkie uczone dociekania winny być popularyzowane; niejeden pomysł i domysł musi jeszcze pobyć nadal wśród cichych pracowni uczonych, skąd przedwcześnie wypuszczony mógłby wyjść raczej na szkodę, niż na pożytek, o ile chodzi o to, żeby ogół miał należyte pojęcie o dzisiejszym stanie nauki. Bardzo źle jest, gdy nowe wyniki badań nie dostają się do powszechnej wiadomości, bo przez to publiczność ma przestarzałe wyobrażenie o dziejach ojczystych, a z tego płyną częstokroć nieporozumienia i mylnie snute wnioski, stosowane do spraw nawet współczesnych; ale niemniej jest źle, gdy spopularyzują się przypuszczenia, które wśród ogółu nabierają łatwo znaczenia twierdzeń naukowych, jakkolwiek nie uznane jeszcze ostatecznie przez naukę. Rozwija się bowiem nauka przez dyskusyę i dlatego też każda praca, byle metodycznie obmyślona, przyczynia się do jej postępu; od tego jednak daleko jeszcze do tego, żeby każde zdanie, wypowiedziane w toku dyskusyi, miało zawierać prawdę i żeby ostatnim wyrazem nauki miało być z reguły to, co najświeższem się odznacza czernidłem drukarskiem. Nie można też nigdy przyjmować ryczałtem twierdzeń pewnego autora, ani też w czambuł odrzucać wyniki pracy drugiego; w każdej dobrze

pisanej książce znajdzie się coś dobrego, a badania autorów zbijających się wzajemnie, uzupełniają się czasem nawzajem. Zdarza się też nieraz, że wypadnie odrzucić ogólne poglądy autora, ale wśród nich znajdzie się gdzieś jakiś szczegół, stanowiący rzeczywisty dorobek nauki. Z sześcioletniej więc lektury uwzględnię tu tylko to, co według mego najlepszego przekonania będzie przyjęte do konstrukcyi dziejów polskich, pomijając jednak zbyt specyalne szczegóły.

Warunki dziejopisarskiej pracy poprawiły się w ciągu tego sześciolecia o „jotę", mówiąc ściśle, o dwie joty, bo przybyły w Galicyi dwie posady naukowe przy archiwach krajowych. Rządowe ciągle jeszcze nie zorganizowane, bo nikt się tem nie zajął; przyjdzie na nas kolej prawdopodobnie na szarym końcu, kiedyś po Bukowinie i Dalmacyi. Przybył jeden poważny wydawca, a mianowicie „Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa". Stowarzyszenie to, istniejące zaledwie pięć lat, tyle już nagromadziło sobie zasług, że napawać nas może, a raczej powinno, dumą i radością, bo jest znamiennym przykładem, co u nas da się zrobić, co umiemy i zdołamy, gdyby tylko dopisywały środki materyalne! Ale uprawianie wszelkiej nauki staje się coraz kosztowniejszem, a my tak strasznie ubodzy, że doprawdy dziwić się trzeba, jak może u nas istnieć ruch naukowy. Bez oparcia o własny rząd, ograniczeni do śmiesznie drobnych dotacyi z Wiednia, ale za to skazani na niesłychane przeszkody z Berlina i Petersburga, ruszamy się jakoś i coś przecież robimy. Ale gdy się porówna tę pracę z olbrzymim warstatem naukowym innych, szczęśliwszych narodów, mrowie przechodzi ze strachu, co będzie za lat trzydzieści z polską nauką, jeżeli ciągle a ciągle będziemy mieli stosunkowo coraz mniej środków. Na sześć lat dwie liche posady i jedno stowarzyszenie; a tymczasem Rosyanie zyskali dla historyków posad nowych dwadzieścia, Niemcy kilka tuzinów; rządy ich sypały przez sześć lat nowemi subwencyami na badanie i wydawnictwa i wznosiły nowe gmachy na przybytki studyów historycznych, zakładały nowe instytucye. My zaś tymczasem cieszymy się, że np. Biblioteka Jagiellońska, źrenica narodowej kultury, mająca

za sobą tyle tradycyi, pozostanie wprawdzie nadal w murszejącym gmachu, ale przynajmniej podobno (rzecz jeszcze niepewna) ma być niedługo zrównaną z biblioteką uniwersytecką w... Czerniowcach. Toteż coraz mniej młodzieży garnie się do badań historycznych. Jeszcze historya prawa może się doliczyć kilku (lecz tylko kilku!) nowych adeptów, ale historyi politycznej zdaje się zagrażać niebezpieczeństwo, że niebawem nikt jej nie będzie uprawiać. Na całe sześć lat przybyło nam w tym zakresie ledwie jedno nazwisko, a i to tylko chwilowo, bo młody uczony przerzuca się do studyów prawniczych. Biedni jesteśmy, skoro najmłodsi między nami przekraczają już czterdziestkę; czyżbyśmy mieli być skazani na wymarcie, jak klasztor, któremu zamknięto nowicyat? Nie przestanie oczywiście istnieć historyografia i znajdą się kiedyś w końcu oczekiwani następcy; ale jeżeli to nie nastąpi w ciągu dziesięciolecia, przerwie się znowu nić tradycyi naukowej. A klęska ta spotkała już dwa razy polskie studya historyczne i odbiła się za każdym razem fatalnie na naszym ruchu społecznym i na pracy narodowej wogóle. Tymczasem zaś niema roku, żeby śmierć nie zabrała kogoś ze starszych pracowników. W ciągu tych sześciu lat odszedł od nas Adolf Pawiński, którego któż zdoła zastąpić? odszedł Anatol Lewicki, po którym nikt nie objął dalej wydawnictw. Ci dwaj, uczeni prawdziwie wielcy, byli zarazem robotnikami tak niezmordowanymi, że doprawdy śmierć była ich pierwszym wypoczynkiem. Zabrali oni z sobą do grobu nie tylko swój talent, ale też jakoby motory jakieś poruszające szereg warstatów i olbrzymi moralny kapitał obrotowy polskiej nauki. Niema już między nami Stosława Łaguny, największej powagi w sprawach średniowiecza. Uczony ten, publiczności zgoła nieznany, był dla dziejopisarskiego cechu wyrocznią i podziwem dla swej ogromnej wiedzy i nadzwyczajnego daru konstrukcyjnego; łączył on w sobie przymioty najpedantyczniejszego szperacza i najświetniejszego talentu twórczego. Niema chyba w Europie całej tak znakomitego nazwiska, któremuby nie był dorównał Łaguna, gdyby nie to, że był poddanym rosyjskim a Polakiem i miał przez to swój zawód stłumiony. Poszedł służyć przed Bogiem

pułkownik Konstanty Górski, dziejopis polskiej broni i doczekał się wiecznej młodości sędziwy archeolog Sadowski, uczony z europejskiem nazwiskiem; po żadnym z nich niema całkiem następcy... Nie potrzeba być pesymistą, żeby nad tymi grobami zawołać „biada“, skoro się widzi takie ubytki, a żadnych niemal przybytków. Wznoszony wśród żywego uczestnictwa całego narodu gmach konstrukcyi dziejów polskich nie doczeka się wykończenia, jeżeli się stosunki nie zmienią. Za kilkanaście lat, po nowym zaciągu śmierci, reszta dzisiejszych pracowników będzie starcami, najmłodsi starości będą blizkimi, i cóż będzie, jeżeli nie znajdą się na czas siły młode? A wszak młodych powinno być przynajmniej o połowę więcej, niż starszych! Trzeba więc zwracać publicznie uwagę na zanik grożący dziejopisarstwu narodowemu; może znajdzie się trochę rady na to w kraju, który stać na to, żeby od wielu już lat hodować z publicznego grosza śpiewaków i śpiewaczki dla zagranicznych oper.

Chociaż ilościowo jest coraz gorzej, nie można narzekać co do jakości szczuplejącego terenu pracy. „Od Piasta do Kościuszki“ jest się znowu czem popisać, bo plon niemały.

Na wstępie niech mi wolno będzie uchylić rąbek najbliższej przyszłości i zapoznać czytelników z tem, co wprawdzie jeszcze drukiem ogłoszone nie jest, ale tak „wisi w powietrzu“, że bardzo niewiele brakuje, a publicznie głoszonem będzie i to przy rozmaitych sposobnościach i na różne głosy, bo przez niejednego. Oto kilku historyków, uważanych do niedawna jeszcze za młodych, a teraz już młodych chyba tylko z braku młodszych, doszło do przekonania — i to całkiem a całkiem niezależnie od siebie, nie porozumiewając się wcale z sobą — że przeszłość nasza nie taka czarna, jak się powszechnie przypuszcza. Nastanie więc silna reakcya przeciw zapatrywaniu, jakoby treścią historyi polskiej była głupota i niedołęstwo społeczeństwa, jakoby nasze dzieje składały się niemal wyłącznie z szeregu przewinień historycznych. Uderzyła jakaś „powrotna fala“ i niejedno się wróci ze starej nauki, ogłoszonej za przestarzałą... Nie będzie wprawdzie nikt twierdził, żeśmy byli wybranym narodem, nie będzie nikt zakrywał żadnego błędu, ale że były jednak

w naszej przeszłości rzeczy, mogące służyć za wzór Europie którą w niejednej sprawie rzeczywiście wyprzedziliśmy, zanim upadek oświaty zepchnął nas do przepaści. Ogólny pogląd na całokształt dziejów Polski uległ gruntownej rewizyi, dokonanej bez jakiejkolwiek ubocznej myśli upiększania, umilania historyi. Nie było wogóle zamiaru odbywania tej rewizyi; rzecz dokonała się sama z siebie, nieznacznie i niespodzianie i dlatego właśnie ma wartość. Otuchy dodaje również ta okoliczność, że nikt nie kwapi się z publikowaniem na gorąco swych rezultatów, lecz z całym spokojem czeka, aż należycie przetrawione będą.

Wśród monograficznych studyów nie zaniedbano dziejów pierwiastkowych. Roztrząsano „sprawę lechicką“, debatowano dalej o Lechach i Lęchach, zajmowali się tem historycy i filologowie i to nietylko polscy; ale sprawa nie dojrzała jeszcze wcale o tyle, żeby się dał jasno określić jaki pozytywny rezultat. Przegląd nasz zaczniemy więc od rzeczy nieco późniejszych, ale i tak dość wczesnych, skoro od „Krakowa przed Piastami“, pióra prof. Karola Potkańskiego. Autor doszedł do poważnego odkrycia, że granice biskupstwa „morawskiego“, t. j. metropolii św. Metodego, sięgały po Bug i Styr; wszak nowopowstającym biskupstwom wyznaczało się zawsze szerokie granice „misyjne“. Nawrócony więc przez słowiańskiego apostoła książę Wiślicy, miał panowanie w granicach jego dyecezyi. Biskupi morawscy dojeżdżali też do Krakowa, który należał do wielkomorawskiego państwa, następnie zaś do Czech. Gdy zniszczony Welehrad opustoszał, osiadł na stałe w Krakowie biskup morawski Prohor; pozostał też tutaj następca jego, Prokulf, ostatni z biskupów „morawskimi“ zwanych. Miał więc Kraków u siebie biskupów, chociaż nie miał jeszcze biskupstwa, ani też kraj nie był jeszcze w zupełności nawrócony. Gdy następnie po zjeździe gnieźnieńskim w r. 1000 ustanowiono biskupstwo krakowskie, nie słychać też od tego czasu o biskupach morawskich. Praca ta obala do reszty utarte mniemanie, jakoby chrześcijaństwo zaczęło się było u nas od Wielkopolski. Początki chrześcijaństwa polskiego datować

należy o cały wiek wcześniej, przed chrztem Mieszka I, i szukać ich w Małopolsce, w Wiślicy i w Krakowie. Granice metropolii morawskiej chciało sobie potem przywłaszczyć biskupstwo praskie, a nawet królestwo czeskie; opis tych granic, włączony do sfałszowanego dokumentu nadania państwa polskiego przez cesarza w lenno Wratysławowi, stał się powodem wielu bałamuctw, którym prof. Potkański wreszcie kres położył.

Najstarszą wzmianką kronikarską do dziejów polskich jest wiadomość dziejopisa niemieckiego, Widukinda, pod rokiem 963 o Mieszku I, jako księciu „Licikawików“. Rozmaicie tłumaczono tę nazwę, proponowano różne konjunktury, upatrując w zagadkowym ludzie Lechitów lub — Łęczycan. Prof. Aleksander Brückner w pracy swej „o Piaście“, występuje z ponętną nader hypotezą, że miejsce to rozumieć należy „Lestkowicy“, t. j. drużyna wojenna Lestka czyli Leszka, księcia Polan. Autor zwraca uwagę, że w Słowiańszczyźnie nazwa naczelnika ludu przechodziła nieraz w patronymicznej formie na lud sam. Bardzo więc jest prawdopodobnem, że wojenną drużynę Polan (autor mniema, że cały lud) nazywano przez jakiś czas Leszkowicami = Lestkowicami i Widukind tej nazwy użył.

Hipoteza prof. Wojciechowskiego, o której była mowa na tem miejscu przed 5 laty, wywołała uwagi całego grona historyków, najważniejszą jednak jest praca prof. Brücknera. Uważa on za historyczne osoby Siemowita, Lestka i Siemomysła, odrzuca natomiast i między bajki wkłada Popiela i Piasta, a nawet postrzyżyny Mieszka I. Wobec jednak gruntownej monografii postrzyżyn przez Potkańskiego niełatwo zgodzić się na radykalne wnioski Brücknera. Czy wyraz „Piast“ pochodzi od *piast* = piastun, czy *piast* = tłuczek, czy od *piasty* kołowej, o to mogą się filolodzy długo jeszcze spierać; ale wykaz „piastuńskich“ nadwornych urzędów w różnych stronach Europy, sporządzony przez prof. Wojciechowskiego, *nutritor* i *kormileć*, pozostaną bądź co bądź argumentem. Niemal nigdy nie zdarza się, żeby wszystko a wszystko, choćby z najuczeńszych czyich wywodów, dało się przyjąć. Jak wówczas z pracy Wojciechowskiego przyjęliśmy za pewne to tylko, że Piastowie pochodzą nie od Piasta, lecz

od piasta, podobnież dzisiaj zgoda na Lestkowiców nie pociąga za sobą zgody na resztę i poprzestańmy na tem, że Lestko nie przeszkadza Popielowi, a dynastya Piastów musi pochodzić od jakiejś osoby, mającej związek ze samą nazwą rodu.

Imię Mieszka oznacza, zdaniem prof. Brücknera, niedźwiedzia. Powszechne to zjawisko, że nazwiska bierze się ze świata zwierzęcego, zwłaszcza w pierwotnych społeczeństwach; książęta przybierali sobie nazwy najgrubszego, najszlachetniejszego zwierza, a u nas królem zwierząt jest niedźwiedź. Jakoż aż do XIII wieku przybierali sobie książęta północnej Europy chętnie niedźwiedzia przydomki, a chociaż krucyaty wprowadzają nową niejako modę, żeby się nazywać Lwem, nie brakło jeszcze równocześnie Niedźwiedzi.

Młodocianą, czternastoletnią córkę z Dubrawki, niewiadomego imienia, dał Mieszko w małżeństwo Erykowi, księciu skandynawskich Swijów, którzy byli w ciągłej nieprzyjaźni z Dunami o Pomorze, które Mieszko radby sam przyłączyć do własnego państwa. Sojusz z Erykiem dawał pomoc przeciw Dunom na sposobną chwilę i przydał się potem Bolesławowi Wielkiemu. Przedsiębiorcza Piastówna skłoniła Eryka rzeczywiście do wyprawy na Dunów. Poszczęściło się; król duński Swein poszedł na wygnanie, a państwo jego zagarnął Eryk. Polską księżnę nazwali Swijowie Sygrydą z przydomkiem Storrada (wyniosła, wielkomyślna). Miała doznać wielkiej zmienności losów. Owdowiawszy w roku 995, miała wyjść powtórnie za mąż za Olafa, chrześcijańskiego księcia Norwegów, ale narzeczony wzgardził niebawem Sygrydą. Natenczas wyszła w r. 998 za tego samego Sweina Widłobrodego, przeciw któremu namówiła była niegdyś pierwszego swego męża i który też dopiero po śmierci Eryka powrócił na tron duński. W Upsali zaś panował nad Swijami młodziutki syn Sygrydy, imieniem także Olaf, wnuk Mieszka po kądzieli, a Bolesława siostrzeniec. Upodobał on sobie dworzankę matki, Polkę, miał z nią syna, nawrócił się pod jej wpływem i jawnie potem chrzest przyjął. Sygryda zaś skłaniała do chrześcijaństwa Sweina duńskiego, a swoją drogą namówiła go do wielkiej wyprawy na chrześcijańskiego już Olafa; jakoż

w r. 1000 Norwegia przeszła częścią pod duńskie, częścią pod szwedzkie panowanie. Tak się zemściła za odrzucenie swej ręki. Państwa skandynawskie, zwaśnione i osłabione wzajemnemi wojnami, nie zdołały przeszkodzić zaborowi Pomorza przez Bolesława Chrobrego. Sygryda zaś, opuszczona następnie przez męża, wróciła do Polski, aż w r. 1015, po śmierci Sweina, przybył po nią Knud czyli Kanut, ów Kanut Wielki, jej syn, a władca Danii, Norwegii i Anglii. Ten to Kanut przystąpił potem do koalicyi przeciw swemu ciotecznemu bratu, Mieszkowi II. Główne daty z życia Sygrydy znane były już z pomnikowej „Genealogii Piastów“ Balzera; ale opracował jej biografię i zwrócił uwagę na blizki związek ówczesnych spraw polskich a skandynawskich prof. Brückner w ponętnie napisanej rozprawce p. t. „Córa Niedźwiedzia“.

W r. 974 posłał Mieszko I do Rzymu pukiel włosów najstarszego syna Bolesława, który właśnie obchodził postrzyżyny, kończąc siedm lat życia. Znaczyło to, że poleca go opiece Rzymu, prosi, żeby papież uznał jego rodowe prawa, a zatem przedewszystkiem prawo do następstwa tronu po ojcu; przez to samo mieściła się w tem prośba o uznanie samoistności piastowskiego państwa, o przyjęcie do wiadomości, że do szeregu państw chrześcijańskich przybyło nowe, nie będące wcale jakiemś niemieckiem margrabstwem. Poselstwo z puklem włosów nie było nowiną dla papieskiego dworu, przysyłano tam włosy książąt, a nawet z cesarskiej rodziny bizantyńskiej złożono raz pukle włosów u stóp papieskiego tronu. Krok naszego Mieszka nie był więc żadnym wybrykiem barbarzyńcy, lecz zgadzał się zupełnie z ówczesnym wschodnim obyczajem i dworskim ceremoniałem. Synów z drugiego małżeństwa (Mieszka i Lamberta) oddał Mieszko I również pod opiekę papieską umyślnem poselstwem pomiędzy rokiem 985 a 989 i wtenczas wpisano w akta papieskie darowiznę piastowskiego państwa św. Piotrowi. Przedstawił w Rzymie wszystkich swych synów, jako dziedziców i możliwych następców, ażeby każdy z nich mógł w razie potrzeby odwołać się do opieki Stolicy apostolskiej. Darowizna państwa Kościołowi była najformalniejszem zastrzeżeniem, że

książęta polscy podlegają samemu tylko papieżowi, a nie królom niemieckim. Znamienny ten przyczynek do dziejów Mieszka I zawdzięczamy mozaikowej zaiste pracy prof. Potkańskiego: „Napis grobowy Bolesława Chrobrego". Na grobowcu tym był niegdyś długi napis, a w nim wzmianka o wysłaniu jego włosów do Rzymu; istna łamigłówka dla historyków, a tak szczęśliwie rozwiązana.

Dużo nowych szczegółów do panowania Mieszka I i początków jego następcy zawdzięczamy mozolnej pracy Prochaski: „Święty Wojciech", znanej dobrze czytelnikom *Przeglądu Powszechnego*. Mamy następnie sporą wiązankę przeróżnych drobiazgów, która razem jednak wzięte składają się na ostateczne wyjaśnienie sławnego zjazdu gnieźnieńskiego z r. 1000-go; dokonał tego dyrektor krakowskiego Muzeum Narodowego, wielce już nauce zasłużony Feliks Kopera w pracy p. t. „Tak zwana korona Bolesława Chrobrego i pierwsze insygnia koronne Polski".

Otto III miał po matce tradycyę bizantyńskiego ceremoniału, który lubiał i przywiązywał do niego znaczenie; rzekoma „koronacya" gnieźnieńska była też ceremonią obmyślaną dokładnie i opartą na szeregu dworskich zwyczajów, znanych już dobrze zachodniej Europie. Nie używali jeszcze ówcześni monarchowie bereł. Oznaką władzy najwyższej — *imperium* — była od czasów cesarskich rzymskich wojenna włócznia, którą stawiano zawsze przy tronie. Włócznia Ottonów była starożytnego pochodzenia, prawdopodobnie z Bizancyum, przypisywana św. Maurycemu. Podobizny jej dawał cesarz panom chrześcijańskim. Przed rokiem 1000 nadał właśnie Otto III Stefanowi węgierskiemu *licentiam ferre lanceam sacram ubique, sicut ipsi imperatoris mos est*, a w Gnieźnie podarował przywiezioną z sobą podobiznę jej polskiemu władcy. Znaczyło to zupełnie to samo, co według późniejszych pojęć wręczenie berła.

Równocześnie nadał cesarz Bolesławowi godność patrycyusza. Powstała ona około r. 315 po Chr. na dworze cesarza Konstantyna. Cesarz Anastazy mianował patrycyuszem Klodwiga; mieli ten tytuł królowie francuscy od Popiela Małego, używał go Karol Wielki i następnie Ottonowie, Henryk II i Henryk III.

Nadaniu godności towarzyszył długi ceremoniał. Nowy patrycyusz ma pocałować cesarza w nogi, potem w kolana, wkońcu w twarz, potem zaś podobnież wszystkich obecnych *Romanos;* zdaje się, że potem ceremoniał ten uproszczono. Pozostało jednak włożenie na głowę złotej przepaski, bez wierzchniego nakrycia półkolistego. Taką przepaskę dostał był Gejza i taką nasz Bolesław. Ottonowi III towarzyszył do Gniezna patrycyusz „Zazzo“ w źródłach pisany, którego cesarz wysłał następnego roku na stłumienie buntu w Rzymie; otrzymywały więc tę godność także osoby nie należące do panujących rodów.

Taką więc była w rzeczywistości owa „koronacya“ gnieźnieńska. Głównym wypadkiem zjazdu było to, że Otto III zrzekł się na rzecz Bolesława swych praw wobec Kościoła polskiego, a papież Sylwester II to zrzeczenie zatwierdził.

Koronę sporządzono następnie na koronacyę 1024 roku, a potem drugą, niewieścią, dla Ryksy przy koronacyi Mieszka II. Obie wywiozła Ryksa do Niemiec i tam już zostały. Żeńską włożono Ryksie do trumny i znaleziono ją przy otwarciu jej grobowca w Kolonii w roku 1633; potem jednak zaginęła bez śladu. Męska została w skarbcu cesarskim i użytą została do cesarskich koronacyi. Przeszła następnie w dom Habsburski i znajduje się dziś w Wiedniu! Jednakowoż sprawa cała wymaga jeszcze rozstrzygnięcia niektórych wątpliwości i tylko z tem zastrzeżeniem można ją podać do powszechnej wiadomości. Nie ulega jednak wątpliwości, że korona z r. 1024 nie dochowała się wcale, jeżeli się nie dochowała w Wiedniu, a innego jej śladu historycznego nikt wykazać nie zdoła. Bolesław Śmiały sprawił nową koronę, którą potem złożono wraz z królewską włócznią, ową „włócznią św. Maurycego“ na grobie św. Stanisława. Przywieziono koronę do Gniezna na koronacyę Przemysława, ale król ten użył już przy koronacyi miecza zamiast włóczni, bo zmieniły się tymczasem zwyczaje dworskiego ceremoniału i włócznia w Krakowie pozostała. Zdaniem p. Kopery, był jeszcze w XIII w. oryginalny Szczerbiec Bolesława Wielkiego, ale przywieziony do Gniezna, zginął. Łokietek użył tedy zdobycznego krzyżackiego miecza „Żórawia“, będącego w po-

siadaniu kujawskiej linii, o czem przed sześciu laty obszerniej tu rzecz była. Nie miał też Łokietek korony Bolesława Śmiałego, bo tę zabrał Wacław Czeski. Sporządzono więc w roku 1320 trzecią z kolei koronę „najpiękniejszą, jaką znamy“: ma 9 płyt szczerozłotych w regularnej obręczy i 297 drogich kamieni, rubinów, szmaragdów, szafirów, tudzież 90 pereł. Kształt jej, linie i rodzaje ozdób, tudzież okoliczność ta, że niektóre kamienie są szlifowane, wskazują, że korona Łokietka nie była starożytną, lecz współczesną. I ta korona uległa zaborowi! Rejentka Elżbieta Łokietkówna wywiozła ją do Węgier, gdy syn jej, Ludwik węgierski, zasiadał na polskim tronie i gdy w r. 1386 koronowano Jagiełłę, trzeba było umyślnie nową sporządzać. Dopiero r. 1412, gdy poprawiły się stosunki z Zygmuntem Luksemburczykiem, odwiózł koronę Łokietkową Andrzej z Rożena i odtąd używano jej stale przy koronacyach. Za czasów wojen szwedzkich przechowywano ją kilka lat w Lubowli na Spiżu, potem gdzieś na Śląsku. Koronowali się nią wszyscy z rzędu królowie, koronował się też August II, Sas. W r. 1705 obwołano królem Leszczyńskiego pod szwedzką protekcyą; koronę miał Sas w swym skarbcu; zrobiono więc naprędce nową (piątą) koronę, która jednak bardzo krótki miała żywot, bo zaraz po koronacyi przetopiono ją na nowo na czerwieńce, na koszta wojenne. Wypadek ów z koroną z roku 1705 stanowi bardzo przykry epizod historyi polskiej, świadczący w drastyczny sposób o wielkiem lekceważeniu całego narodu i państwa przez Szweda. Łokietkową koronę wywieziono w roku 1733 do Częstochowy, gdzie ją przechowywano przez trzy lata. August III musiał sobie sprawić nową (szóstą z rzędu), zrobioną przez wrocławskich złotników w r. 1734; ofiarował ją następnie do Częstochowy, gdy Łokietkowa korona wróciła do królewskiego skarbca. Ta była w r. 1792 wystawiona w Krakowie na widok publiczny, wtenczas ostatni raz oglądano ją publicznie. Potem, podczas chwilowej pruskiej okupacyi zniknęła; ale zniknęła, zanim Prusacy mogli się dorwać do skarbca. Podpisany pisał już o tej sprawie w *Przeglądzie Powszechnym* i według najlepszej swej wiedzy, przy całej ścisłości i całym skeptycyzmie metody

historycznej musi wyznać, że niema żadnego argumentu, którymby można obalić rozpowszechnione mniemanie, że korona polska (Łokietkowa) jest dobrze schowana. A cóż przyjemniejszego może być dla historyka, jak stwierdzić, że tej „legendzie“ nie można nic zarzucić ze stanowiska ścisłości dziejopisarskiej! Ileżto razy tradycya bywa prawdziwą, a więc, skoro nie można udowodnić, że jest mylną, wolno nawet najostrożniejszemu wierzyć w jej prawdziwość.

Co do „Szczerbca“ i „Żórawia“, niema nic do nadmienienia poza tem, co przed sześciu laty na tem miejscu napisałem. Podnoszono wprawdzie wątpliwości, ale zdanie Sadowskiego nie straciło bądź co bądź na powadze i znaczeniu. Niechajby tylko jeszcze sprawdziło się domniemanie, że w wiedeńskim skarbcu Habsburskiej dynastyi znajduje się korona Bolesława Wielkiego!

Krótko trwało olbrzymie państwo Chrobrego. Do dziejów nagłego upadku piastowskiej potęgi zyskaliśmy ważne odkrycia w pracy Stanisława Kętrzyńskiego: „Kazimierz Odnowiciel“. Autor jest synem Wojciecha, tego tak zasłużonego i czczonego dyrektora Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich, tego „najtwardszego“ z Polaków, który wychowany jako „Winkler“, pierwociny swych badań historycznych sam do siebie obrócił i wyszperawszy, że przodkowie jego Kętrzyńskimi byli, sercem całem do polszczyzny się zwrócił, a życiem całem polskość wzmacniał. Obecnie drugie pokolenie tego odzyskanego nazwiska pracuje na niwie ojczystych dziejów, a syn okazał się godnym ojca, bo zaraz pierwsza jego praca daje rezultaty konkretne i poważne:

Po śmierci Mieszka II nastąpiła rewolucya niewolników i najazd Brzetysława czeskiego. Wydarzenia te, pomieszane w kronikarskiem opowiadaniu, nie miały przyczynowego związku, a co więcej, należy je chronologicznie nieco od siebie oddzielić. T. zw. „reakcya pogańska“ nie istniała właściwie zgoła, gdyż owymi poganami byli tylko jeńcy połabscy, osiedleni w zachodnich ziemiach piastowskiego państwa; dalej na wschód nie było zupełnie rewolucyi. Klasztory benedyktyńskie na Łysej Górze w Sandomierskiem, w Tyńcu pod Krakowem i samo bi-

skupstwo krakowskie pozostały nienaruszone; podobnież panował zupełny spokój pod Masławem na Mazowszu.

Do dziejów Bolesława Śmiałego mamy dwie nowe prace. Obszerna rozprawa dra Krotoskiego stanowi rewizyę historycznej konstrukcyi owych czasów; znaną ona jest częściowo naszym czytelnikom, inne jej ustępy mają wyjść niebawem, poczem dopiero będzie można zoryentować się należycie co do jej stosunku do dotychczasowych sądów i hypotez i określić konkretnie naukowy jej dorobek. Jestto bądź co bądź jedna z najważniejszych publikacyi do naszych spraw średniowiecznych.

Drugim przyczynkiem do czasów Bolesława Śmiałego jest odkrycie dokonane przez prof. Abrahama w muzeum w Cividale. Jest tam rękopis z miniaturami, darowany niegdyś tamtejszej katedrze przez św. Elżbietę turyngską. Cztery miniatury opatrzone ruskimi napisami, odnoszą się do wypadków 1075 roku, przedstawiają ks. Jaropełka, syna W. ks. kijowskiego Izasława, i jego żonę, odbierających koronę z rąk Chrystusa, a korzących się przed św. Piotrem. Izasław, wypędzony z Kijowa, szukał pomocy za granicą, był w tym roku na sejmie Rzeszy w Moguncyi, syn zaś udał się do Grzegorza VII i uzyskał dla ojca koronę u Stolicy apostolskiej. Mamy więc do czynienia z nowym epizodem z historyi unii na Rusi. Wiadomem było, że Bolesław Śmiały wprowadził Izasława na tron kijowski w roku 1069, ale powtórnie wygnanemu w r. 1073 odmówił pomocy. Zdaje się, że podał mu za warunek porzucenie schyzmy i otrzymanie uznania w Rzymie. Panujący w Kijowie Wszesław gotów był zawrzeć sojusz z Polską, byle książę polski nie dawał pomocy Izasławowi; podczas wojny z Wratysławem czeskim przywiedli rzeczywiście synowie Wszesława posiłki ruskie. Tegoż roku, kiedy Izasław uznany został w Rzymie królem, wyprawił Grzegorz VII do Polski legata, który zorganizował na nowo Kościół polski, przeprowadzał reformy kluniackie i przywrócił metropolię gnieźnieńską; zdaje się, że legat ten przywiózł zarazem najlepsze polecenia na korzyść Izasława. W r. 1076 koronuje się Bolesław a następnego roku zdobywa Kijów powtórnie dla Izasława.

Ale panowanie tego katolickiego króla Rusi trwało zaledwie rok, gdyż poległ w nowej wojnie domowej.

Najbliższa chronologicznie co do treści praca „O rzekomej wyprawie Włodzisława Hermana na Szczecin w r. 1091“ jest również pióra Stanisława Kętrzyńskiego. Udało się w niej autorowi oznaczyć dokładnie mapę wojenną; są to szczegóły, nie mogące zaciekawić nie-specyalistów; rezultaty dadzą się zastosować także w historyi polskiego handlu. Wielkiej wyprawy na Szczecin nie było wcale za Władysława Hermana.

Z czasów od Władysława Hermana aż do Władysława Łokietka nie ukazała się w tych czasach żadna monograficzna praca; sama jednak „Genealogia Piastów“ Balzera, dzieło, o którem nigdy nie można mówić za wiele, starczy, żeby cały ten okres przerobić gruntownie i postawić go w nowem zupełnie oświetleniu. Przed sześciu laty nie było zaś do Łokietkowych właśnie czasów żadnej „nowiny“; obecnie jest ich do tego panowania stosunkowo dużo.

Dnia 1 września 1306 zjechali się w Krakowie przedstawiciele ziemiaństwa z ziem krakowskiej, sandomierskiej, z Kujaw, Sieradza i Łęczycy, nawet z dalekiej ziemi dobrzyńskiej i z gdańskiego Pomorza, ażeby dokonać wspólnej elekcyi Władysława, tak, że każda ziemia zapraszała go z osobna do siebie na tron; taki był tytuł prawny panowania Łokietka. Brakło wtenczas przedstawicieli Wielkopolski, dzielnicy, na której najbardziej zależało, która też miała w ówczesnej Polsce stanowczą przewagę. Trzy rody możnowładcze były na północy niechętne nowemu panu: Zarębowie i Łodziowie w Wielkopolsce, i Święcowie na Pomorzu; trzeba więc było postępować bardzo oględnie, żeby nie wywołać wysunięcia jakiego kontrkandydata. Wszak sam Władysław Łokietek ustąpił był niegdyś Poznania Henrykowi głogowskiemu! Książę Henryk sam marzył o polskiej koronie, a po śmierci Wacława czeskiego przysłał do Poznania na swego starostę Bogusza z Wisemburga; cieszył się też poparciem biskupa poznańskiego Andrzeja. Niemieckie mieszczaństwo poznańskie nie życzyło sobie też wcale Władysława. Zanim zdążył przybyć do Wielkopolski, już tam rozparło się

panowanie wrogie narodowej polskiej polityce, a tem niebezpieczniejsze, że powoływano się na dawny układ, zawarty wśród zupełnie innych okoliczności, którego jednak Łokietek wyprzeć się nie mógł. W roku 1306 pośpieszył Władysław na północ, ale wcale nie przeciw Henrykowi głogowskiemu, lecz na Pomorze, żeby je zająć co prędzej, póki Święcowie nie sprowadzą Brandeburczyków. Nawet po śmierci Henryka Głogowczyka w r. 1309 panowali w Poznaniu jeszcze przez dwa lata jego synowie i dopiero przy końcu r. 1312 udało się wyprzeć ich. Nie obeszło się jednak bez walki. Wójt poznański, Przemek, uległ wojewodzie Dobrogostowi, stronnikowi narodowego kandydata, miasto zdobyto, a Łokietek zniósł w Poznaniu urząd wójta, wznowiony potem dopiero w r. 1358[1].

W roku 1314 wybrał się z polecenia Władysława do Avignonu nowo wybrany arcybiskup gnieźnieński Borysław, żeby wybadać, jakby na dworze papieskim uważano koronacyę na króla Polski. Wszak używał już tego tytułu Jan Luksemburczyk, a nawet synowie Głogowczyka, chociaż między sobą byli niezgodni. Pobyt Borysława w Awinionie przedłużał się, nastąpiła tymczasem zmiana papieskiego tronu, a potem choroba i śmierć Borysława na obczyźnie. Według przepisów prawa kanonicznego mianował papież sam następcę po biskupie zmarłym *in curia*. Prowizyę papieską otrzymał archidyakon gnieźnieński Janisław, który przebywał też długo w Awinionie i wrócił dopiero w r. 1318 ale z pomyślnemi wieściami. Jan XXII zezwolił na koronacyę. W czerwcu 1318 zwołał Łokietek wiec dostojników całego państwa do starego opactwa Cystersów w Sulejowie, żeby tam Janisław zdał publicznie sprawę z poselstwa. Papież miał pewne życzenia co do stosunków polskich. Pragnął, żeby załagodzić ostatecznie dawny długo wlokący się spór z biskupem krakowskim, Muskatą, największym wrogiem Łokietka i narodowego stronnictwa. Muskata, złamany już wiekiem i prześladowaniem silniejszego już teraz i tryumfującego księcia, a do tego po złamaniu oporu niemieckiego mieszczaństwa, niebezpie-

---

[1] Potkański: „Walka o Poznań 1306—1312“.

cznym już być nie mógł, a spór z biskupem stanowił bądź co bądź publiczne zgorszenie. Książę sam od siebie nie chciał opuszczać raz zajętego stanowiska, ale poddał się życzeniu papieża, Muskacie przebaczył; biskup wrócił do Krakowa, ale nie długo już żył, bo z początkiem roku 1320 umarł. Drugie życzenie papieskie tyczyło się inkwizycyi przeciw Beginom, trzecie zaś zmiany w pobieraniu świętopietrza, a mianowicie, żeby, zamiast po trzy denary od rodziny, wybierać po denarze od głowy. Wiec Sulejowski przystał na wszystkie żądania Stolicy apostolskiej i wystosowano teraz jawną, urzędową prośbę o koronacyę. Wielkopolanie odbyli jeszcze jeden osobny wiec w Pyzdrach i podali osobno prośbę od siebie, żeby nikt nie mógł zarzucić, że Łokietek może być tylko krakowskim królem, a nie „polskim", t. j. wielkopolskim zarazem. Gotowały się bowiem takie zarzuty ze strony luksemburskiej. Namówiony przez Krzyżaków król czeski, Jan wyprawił w styczniu 1319 r. posła do Awinionu z protestem, wywodząc, że tylko on ma prawo do korony polskiej, dziedziczne po Wacławach. Wpłynęło to na stylizacyę papieskiego aktu. W *breve* wydanem w sierpniu 1319 r. wyraził się Jan XXII, że Polska może korzystać ze swych praw, byle nie naruszać praw niczyich innych. Równocześnie jednak nadeszły do Polski dwa poufne pisma papieskie: jedno do biskupów, drugie do samego Władysława, zawierające wyraźne pozwolenie na koronacyę, która też doszła szczęśliwie do skutku dnia 20 stycznia 1320 r.[1].

Mając ciągle do czynienia z Krzyżakami, obawiał się Łokietek także nieprzyjaźni margrabiów brandeburskich. Kiedy Krzyżacy w roku 1329 zajęli z pomocą króla czeskiego ziemię dobrzyńską, wyprawił Łokietek z końcem roku do margrabiego wojewodę poznańskiego i wielkopolskiego wielkorządcę, Wincentego z Szamotuł i zawarł za jego pośrednictwem pokój z Brandeburgią na trzy lata. Ubezpieczony przynajmniej z tej strony, zwrócił się śmielej przeciw Krzyżakom i w sierpniu 1330 r. wkroczył do ziemi chełmińskiej. Krzyżacy nie przyjęli

[1] Prof. Władysław Abraham: „Starania Łokietka o koronę".

wcale żadnej bitwy; pozamykali się w grodach, w których byli zupełnie bezpieczni, bo Polacy nawet nie umieli ich zdobywać, ani też nie mieli potrzebnych do tego środków i urządzeń wojennych. W lipcu 1331 roku nastąpił natomiast wielki najazd krzyżacki na Polskę, najazd nie ustępujący doprawdy w niczem tatarskiemu. Palili wszystkie wsie po drodze, rabowali kościoły, zabierali nawet dzwony i obrazy, rozbijali skarbonki kościelne. Zdobyli Nakło, zrabowali Gniezno, podpalili Pyzdry, oblęgali Kalisz, poczem zwrócili się do ziemi sieradzkiej, łęczyckiej, i przez Kujawy wracali do domu z bogatym łupem. Król zbierał rycerstwo w Małopolsce i czekał na posiłki węgierskie, nadchodzące od Sącza, a tymczasem Wincenty z Szamotuł prowadził podjazdową wojnę w Wielkopolsce. Stawiono się najeźdźcom pod Pyzdrami, ale bezskutecznie. Łokietek niezadowolony z niedołężnej obrony, odjął Wincentemu z Szamotuł wielkorządztwo. Król ścigał ciągle Krzyżaków, upatrując chwili sposobnej do rozprawy. Wkrótce wojsko ich rozdzieliło się, bo część poszła oblęgać Brześć Kujawski. Skorzystał Łokietek z tej chwili i na drugą część Krzyżaków natarł wstępnym bojem pod kujawską wioską Płowcami, i zwyciężył. O żadnej zdradzie Wincentego z Szamotuł nic nie wiadomo; potem dopiero powstała ta opowieść, biorąca assumpt chyba z tego, że król zagniewany był na wielkorządcę o niedostateczną poprzednio, przed swem przybyciem, obronę Wielkopolski. Po bitwie pod Płowcami otrzymał Wincenty przebaczenie królewskie i odparł z pod Poznania czeskie posiłki, przysłane Krzyżakom przez króla Jana. Następnego roku, 1332, ruszyli Krzyżacy ponownie zaraz wczesną wiosną i podeszli pod Brześć Kujawski ze znacznie większem wojskiem, niż poprzedniego roku. Wincenty z Szamotuł zebrał oddział rycerstwa i wybrał się z odsieczą, lecz przybył za późno. W sierpniu przybył sam król z małopolskimi hufcami, ale też nic nie wskórał. Kujawy były stracone, panowanie krzyżackie sięgnęło aż po Kruświcę! Wincenty z Szamotuł miał znowu to nieszczęście, że wrogowi nie podołał, ale tym razem spotkało to samo samego Łokietka. Niema ani teraz żadnej podstawy do

oskarżenia o zdradę i współcześni wcale też zarzutem tym przeciw wojewodzie nie miotali [1].

Do polityki Kazimierza Wielkiego znalazł się jeden znamienny przyczynek, a mianowicie prof. Abraham podaje w swem „Sprawozdaniu z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich w latach 1896/7 i 1897/8“, że w r. 1364 starał się król w Awinionie o zwolnienie od przysiąg złożonych postronnym chrześcijańskim i pogańskim książętom na traktaty, którymi poodstępował im ziemie. Ciekawa wskazówka, że jednak nie uważał pokoju kaliskiego za układ wieczysty.

Utarło się i jest „powszechnie wiadomem“, że Kazimierz Wielki nadał Żydom obszerne przywileje, że za jegoto rządów napłynęło mnóstwo hebrejczyków do Polski i t. d. W szczególniejszy sposób pomięszała tradycya dwóch Kazimierzów: znaczniejsza bowiem imigracya Żydów nastąpiła dopiero za Kazimierza Jagiellończyka, który dał im wielki przywilej zaraz w pierwszym roku swych rządów, 1447, strofowany o to nieraz przez dwóch wybitnych „antysemitów“ swego czasu, św. Jana Kapistrana i kardynała Oleśnickiego. Kazimierz Wielki miał z Żydami wogóle niewiele do czynienia, oni zaś nie trudnili się za jego czasów ani rzemiosłem ani handlem, wyparci nawet z wędrownego handlu przez niemieckich mieszczan. Zajmowali się tylko pożyczkami, na których jedni się bogacili, a drudzy tracili; po większej jednak części żyli w wielkiej biedzie. Nie posiadali nawet na tyle dobrobytu, żeby sobie trzymać porządnych rabinów; sprowadzić ich z Niemiec nie mieli za co, a sami nie zajmowali się zgoła badaniami talmudycznemi i nie wydali wówczas z pośród siebie ani jednego „uczonego“. W Krakowie zajmowali dzisiejszą ulicę św. Anny [2].

Sławny kongres krakowski z ową historyczną ucztą Wierzynka odbył się wcale nie z powodu zaślubin królewskiej wnuczki, Elżbiety pomorskiej, z cesarzem Karolem IV, gdyż odbył się o rok później, dopiero z końcem września 1364 roku. Dr. St.

[1] Potkański: „Zdrada Wincentego z Szamotuł“.
[2] Schorr: „Organizacya Żydów“.

Kutrzeba znalazł na to dowód niewątpliwy w *itinerarium* owego Piotra Lusignana, króla Cypru, który też zawitał na ten kongres do Krakowa. Jaki cel kongresu? Pozwolę sobie podać własną interpretacyę. Tego samego właśnie roku prosił król w Awinionie o ową charakterystyczną a niemożliwą dyspenzę. Skład kongresu wskazuje, że chodziło o sprawy północne, a jedynem państwem północnem, na kongres nie zaproszonem, był Zakon Krzyżacki. Król polski pragnął przekonać się w osobistem zetknięciu się ze wszystkimi monarchami, czy mógłby przedsięwziąć coś przeciw Zakonowi? Chciał się przekonać o politycznem usposobieniu tych wszystkich, od których udziału, pomocy, nieprzyjaźni lub neutralności zależałby wynik wojny z Zakonem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, kongres ten przekonał tylko króla jeszcze mocniej, że czas orężnej rozprawy z Krzyżakami jeszcze nie nadszedł. Jesienią 1366 pojechał też osobiście do Malborga, utwierdzić dobre stosunki; wyglądało to na wizytę z przeprosinami.

Zawiłą sprawę małżeństw Kazimierza Wielkiego rozpatrzył jeszcze raz dyrektor Semkowicz w rozprawce: „Adelajda, Krystyna i Jadwiga, żony Kazimierza Wielkiego". Do zebranego przez Balzera w „Genealogii Piastów" materyału dodano tu nowe szczegóły, z których wynika taki przebieg tych dziwnych zawikłań: Król chciał się rozwieść z Adelajdą heską i otrzymał rzeczywiście dokument z dyspenzą na zawarcie nowego małżeństwa, wydany — jak się potem okazało — bez wiedzy papieża. Ażeby sobie pozyskać jego łaskę, dopuszczono się fałszerstwa. W r. 1357 wziął też ślub z Krystyną Rokiczańską, formalny ślub kościelny, udzielony przez opata tynieckiego, Jana. Koronowaną Krystyna nie była. Ludwik węgierski oświadczył, że gdyby z tego małżeństwa był syn, nie będzie go uważał za dziedzica polskiego tronu, lecz obstawać będzie przy swych prawach do następstwa. Niedługo porzuca też król Krystynę i dnia 25 lutego 1363 r. żeni się z księżniczką śląską, Jadwigą żegańską. Ślubu udzielił we Wschowie biskup poznański; na jakiej zasadzie, niewiadowo. Jadwiga była koronowaną, i Ludwik węgierski zrzekł się swych praw na wypadek, gdyby król miał

męskiego potomka z tego małżeństwa. Ale żyjąca jeszcze Adelajda heska poczęła teraz dochodzić swej krzywdy i gdy zajęła się sprawdzaniem wszystkich okoliczności, okazało się, że papież dyspenzy nie dawał! Rozpoczęto w tej sprawie w r. 1365 formalne śledztwo, które po trzech latach skończyło się, ale pomyślnie dla Jadwigi. Dnia 26 maja 1368 ogłasza Urban V, że król polski rzeczywiście dyspenzę otrzymał i zaprzeczył pogłoskom, jakoby poprzednia była podrobiona! Zaszło więc widocznie jakieś nieporozumienie i szczególniejszy, a nam dziś nieznany zbieg okoliczności; znamy tylko nagie fakty.

„Sprawa następstwa na tron po Kazimierzu Wielkim“ była roztrząsana szczegółowo przez prof. Balzera w rozprawie pod powyższym tytułem. Uczony badacz zajął się przedewszystkiem pytaniem, jak to wytłumaczyć, że Piastowie znieśli bez szemrania wydziedziczenie? Doszedł do przekonania, że według ówczesnych pojęć prawnych następstwo Ludwika nie uchodziło już za wydziedziczenie piastowskich stryjców, gdyż w braku własnego męskiego potomstwa uważano powinowatych za dziedziców na równi z krewnymi, potomstwo siostry na równi z potomstwem braci, a tem bardziej stryjecznych. Postanowienie Kazimierza W. nie sprzeciwiało się więc prawu dziedzicznemu piastowskiego domu; bywały też już przytem przykłady takiego dziedziczenia w okresie dzielnicowym. Przełom zapatrywań na dziedziczenie po kądzieli zaczyna się już od XIII wieku.

Wielkie znaczenie ma praca prof. Potkańskiego: „Daty zjazdów koszyckich“. Prócz powszechnie znanego z roku 1374 były jeszcze dwa zjazdy koszyckie, w roku 1473 i w r. 1379. Ludwik rozpoczął bowiem swe zabiegi od mieszczaństwa; Poznań złożył hołd królewnom w r. 1373. Następnego roku uznali możnowładcy najstarszą królewnę, Katarzynę; po jej śmierci złożyli hołd w r. 1379 młodszym królewnom. Autor ogranicza się do tej sprawy, ale rozmaite szczegóły, przytoczone w jego pracy, rzucają wiele nowego światła na całe panowanie Ludwika. Poglądy Szujskiego nie dadzą się już utrzymać, a zagadkowe zachowanie się Władysława Opolczyka wytłumaczyć się da w ten

tylko sposób, iż przypuścimy, że książę działał w porozumieniu z królem, i tylko udawał opozycyę. Cały tok tego panowania da się doskonale wyjaśnić sprawą czerwonoruską, która stanowiła oś wszystkich spraw i rozstrzygała za każdym razem o ugrupowaniu się stronnictw. Tylko ze względu na Ruś powstało stronnictwo, broniące tronu dla Ludwika, złożone z Małopolan, podczas gdy Wielkopolanie dbali bardziej o połączenie z Brandeburgią. Król używał naprzemian jednego z tych stronnictw przeciw drugiemu.

W dalszym ciągu rozglądniemy się w „nowinach" do dziejów spraw społecznych w piastowskim okresie.

(C. d. n.).

Dr. Feliks Koneczny.

NIETZSCHE

JAKO PRZEDSTAWICIEL ANTYCHRZEŚCIJAŃSKIEGO HUMANITARYZMU.

(Dokończenie).

III.

Niedługo trwały piękne nadzieje oparte na wierze w wyzwalający wpływ filozofii Schopenhauera i w odradzającą moc sztuki Wagnera. Nietzsche stracił niebawem zaufanie do obu tych mistrzów swej młodości.

Pesymizm schopenhauerowski nie dał się pogodzić z wyznawaną przezeń potęgą żywiołową jestestwa ludzkiego, a jeszcze mniej harmonizowała z tem jego przekonaniem głoszona przez Schopenhauera zasada litości nad bezmiarem cierpień wszechświatowych, jako podstawa moralnego rozwoju człowieczeństwa. Nietzsche głosił zwycięstwo potężnej, wolnej i bezwzględnej w swych dążeniach jednostki ludzkiej nad nędzą świata. Pesymizm był zaprzeczeniem możliwości tego zwycięstwa; litość, skłaniająca do podtrzymywania nędznych i słabych, uczyniłaby je faktycznie niemożliwem. Stwierdziwszy to zasadnicze przeciwieństwo pomiędzy swemi przekonaniami a doktryną filozofa pesymizmu, wyparł się jej Nietzsche stanowczo i odtąd na polu myśli abstrakcyjnej własną, zupełnie samodzielną szedł drogą.

Bardziej bezwzględne i stanowcze było zerwanie jego z Wagnerem. Dla Schopenhauera zachował zawsze wiele czci

i uznania; — przyjaźń, jaką żywił dla Wagnera, zamieniła się w otwartą niechęć, a uwielbienie dla jego sztuki ustąpiło miejsca niezmiernie ostrej krytyce, odmawiającej jej wszelkiego wyższego znaczenia. Niepodobna tu zastanawiać się nad licznymi powodami tego nagłego zwrotu. Głównym z nich było pojawienie się ostatniego i najpiękniejszego pono arcydzieła Wagnera — „Parsifala“. Utwór ten, przeniknięty na wskroś duchem chrześcijańskim, wydał się Nietzschemu zaprzeczeniem całej poprzedniej twórczości mistrza (a osobliwie w „Zygfrydzie“) upatrywał dążność do artystycznego wyrażenia tejże samej wrogiej chrześcijaństwu idei żywiołowego człowieczeństwa, która w abstrakcyjnej swej postaci własne jego dzieła przenikała.

Zerwawszy wszelką wspólność duchową i przyjaźń osobistą z Wagnerem, uczuł się Nietzsche okropnie osamotnionym, tem bardziej, że równocześnie uświadomił sobie jasno zasadnicze przeciwieństwo, zachodzące pomiędzy jego ideami a przekonaniami nie tylko ogółu ludzi współczesnych, lecz także najbliższych i najserdeczniejszych jego przyjaciół. Do odosobnienia go od świata przyczyniła się też niemało i ciężka choroba, która wtedy poczęła go trapić i objawiała się głównie straszliwymi bólami głowy i oczu. Zniewolony przez nią porzucił stanowisko profesora i odtąd pędził żywot zupełnie prawie samotny (głównie w Szwajcaryi i we Włoszech) oddany rozmyślaniom, które spisywał zazwyczaj w formie aforyzmów w miarę, o ile stan zdrowia na to pozwalał. Stan ten poprawiał się widocznie w czasie od 1879 do 1888 r. W latach 1887 i 1888 polepszenie było tak znaczne, że chory odzyskał zupełnie dawne swe siły i mógł rozwinąć ogromnie natężoną, zadziwiająco płodną pracę umysłową. Ale na schyłku roku 1888 nastąpił gwałtowny atak choroby mózgowej, zakończony zupełnem pomieszaniem zmysłów, które trwało bez przerwy aż do zaszłej w roku zaprzeszłym śmierci nieszczęśliwego myśliciela.

Osamotnienie, w jakiem pozostawał Nietzsche w tym ostatnim okresie swego życia, spowodowało go do tem bezwzględniejszego podążania za samodzielnym i odrębnym kierunkiem swych myśli, oraz do wyciągania z nich najbardziej krańcowych

wniosków, przeciwstawiających się wszelkim ustalonym pojęciom o złem i dobrem, o prawdzie i fałszu, o tem, co słuszne i niesłuszne, godziwe i niegodziwe w życiu tak jednostek jako też całej ludzkości. Cierpienia fizyczne i wynikający z nich upadek sił ciała i ducha, przeciw któremu walczył z najwyższem natężeniem woli, stały się przyczyną wynoszenia żywotnej energii i siły żywiołowej jestestwa ludzkiego jako najwyższej wartości bytu, jedynego celu, ku któremu cały jego rozwój zwracać się powinien. I przedtem, jak wiemy, pojęcie to wziął Nietzsche za podstawę całej swej doktryny życiowej — teraz, w swem osamotnieniu i w walce rozpacznej z ogarniającą go niemocą, z tem większą egzaltacyą chwycił się wiary w żywiołową potęgę indywidualnego człowieczeństwa, wyzwolonego z wszelkich więzów prawa i obowiązku, nie uznającego nad sobą żadnej władzy ani przyrodzonej, ani nadprzyrodzonej, żadnej powagi w zasadach religijnych i moralnych ugruntowanej.

Dążył on teraz, jak sam się wyrażał, do „przewartościowania wszystkich wartości“ *(Umwerthung aller Werthe)*, do ustanowienia nowej, we własnej swej samowiedzy humanitarnej ugruntowanej skali, wedle której wszelkie zjawiska i sprawy życia winny być oceniane. Te idee głosił w kilku z aforyzmów złożonych pismach, nad któremi dla braku miejsca nie mogę się tu zastanawiać, a najzupełniej i w najdoskonalszej formie wyraził je w głównem swem arcydziele, któremu nadał osobliwy tytuł: „Tak rzekł Zaratustra“.

Jest to poemat filozoficzny, bardzo oryginalny w swym stylu sentencyonalnym i w swem obrazowaniu symbolicznem, o treści względnie obfitej, często niejasnej i zagadkowej, a zawsze przybierającej fizyognomię paradoksalną i postawę wyzywającą wobec wszelkich uznanych powszechnie zasad, wierzeń i wyobrażeń. Zrywając zupełnie z tradycyami filozofii i wiedzy nowożytnej, odrzucił też Nietzsche wszystkie właściwe im sposoby badania, dowodzenia, rozumowania, wszystkie ich metody logiczne i dyalektyczne i przemawiał w sentencyach, aforyzmach i przypowieściach, wzorowanych (lecz w sposób bardzo samodzielny) na stylu starożytnych mędrców wschodnich. I postać

Zaratustry, wyobrażająca idealnie samego autora, wzięta jest ze wschodniej tradycyi, ale prócz imienia nic niema wspólnego ze słynnym prorokiem perskim, założycielem mazdeizmu. Jest to podmiotowo pojęty ideał myśliciela i mędrca, który, w przeciwieństwie do uczonych filozofów współczesnych, nic z badań przedmiotowych, ani z rozumowań oderwanych, ale z osobiście przebytych wrażeń, uczuć i doświadczeń, z całej treści swego bytu i swego rozwoju wewnętrznego wysnuwa swą wiedzę o życiu i swój ideał życiowy.

Treścią tej wiedzy jest nauka o przezwyciężeniu dotychczasowego ułomnego człowieczeństwa w idealnym typie nadczłowieka, to jest istoty życiowo doskonałej i wszechpotężnej, wznoszącej się na drodze przyrodzonego rozwoju ponad ludzkość, podobnie jak ona wzniosła się ponad świat zwierzęcy. To wzniesienie się niema być wynikiem wyższego uduchowienia (Nietzsche odrzuca wogóle wszelkie pojęcie duchowości), lecz ma być objawem pełnego rozwinięcia żywiołowej siły bytu, która zarodkowo i potencyalnie zawiera się w obecnem człowieczeństwie, a objawiała się dotąd w wyjątkowo potężnych, genialnych jednostkach, będących ozdobą i chwałą ludzkości. Istotnem zadaniem przyszłego jej rozwoju jest wytworzenie jak największej liczby takich jednostek, które ze swej strony mają prawo, a nawet obowiązek dla siebie wyłącznie zużywać, wyzyskiwać, pochłaniać wszystkie siły i zasoby pospolitego ogółu ludzkiego, choćby to miało być połączone z jak najdotkliwszym jego uciskiem i cierpieniem.

Bezpośrednim wynikiem takiej teoryi jest bezwzględne zaprzeczenie wszelkich uświęconych dotąd praw i zasad moralnych, wszelkich ideałów braterstwa, wolności i równości, a przedewszystkiem ideału wszechmiłości chrześcijańskiej, ogarniającej całą ludzkość, podnoszącej wszystkich w niej cierpiących, nieszczęśliwych i upośledzonych. To też Nietzsche nieubłaganym jest wrogiem chrześcijaństwa, w późniejszych swych dziełach (a szczególnie w „Antychryscie“) napada na nie z nadzwyczajną zajadłością i wbrew jego boskiej nauce głosi zagładę wszystkiemu, co słabe i upośledzone w życiu, aby natomiast mogła

wznieść się w pełni swego rozwoju siła i potęga, aby z wybranych jednostek ludzkości mógł powstać nadczłowiek, pan i władca ziemi, chłonący w sobie wszystkie zasoby i środki rozwijającego się na niej bytu.

Jaki ma być cel i przeznaczenie nadczłowieka? — o tem nic nam nie mówi jego żarliwy apostoł. Należy więc przypuścić, że jestto w jego pojęciu jakiś absolut życiowy, jakaś istota bezwzględna i doskonała, posiadająca przymioty i atrybuty bóstwa. W późniejszym czasie powstała w umyśle Nietzschego zaznaczona już w „Zaratustrze“ teorya „wiekuistego powrotu“ form i zjawisk bytu, czyli nieustannego odradzania się jestestw w ciągłem krążeniu składających je pierwiastków. Teorya ta, która pozostała tylko w nierozwiniętym fragmentarycznym zarysie, stanowić miała zapewne uzupełnienie światopoglądu Nietzschego i ostatni wyraz jego zaprzeczenia wszelkich nadprzyrodzonych zadań bytu.

IV.

Nie potrzeba pono bardzo rozległej wiedzy ani szczególnej bystrości krytycznej, aby wykazać kruchość i bezpodstawność naukową teoryi Nietzschego, że pominę tu już dla każdego widoczną moralną ich potworność. Wzięte z punktu widzenia naukowego, są to po prostu samowolne i nader fantastyczne hypotezy, o których nie można nawet powiedzieć, aby były płodem jakiejś niezwykle oryginalnej pomysłowości. Pojęcie nadczłowieka daje się dość łatwo wyprowadzić ze słynnej darwinowskiej teoryi rozwoju i przemiany gatunków.

Jeśli człowiek jest wynikiem tego rozwoju, to dlaczego ma być jego kresem? — dlaczego ten ostatni gatunek zwierzęcy w dalszej ewolucyi nie ma się przemienić na inny wyższy od niego i doskonalszy, podobnie jak sam z niższych gatunków się wytworzył? — Oto są wnioski i przypuszczenia, mogące się nastręczyć niejednemu, nawet dość pospolitemu umysłowi, któryby się żywo przejął darwinowską teoryą. Będą one miały taką samą zupełnie wartość, co przypuszczenie znakomitego przyrodoznawcy, który, ulegając pokusie efektownych uogólnień,

na podstawie swych sumiennych badań zbudował bardzo niesumienną hypotezę na podziw i uciechę gawiedzi naukowej całego świata. Wieleż z niej wyciągnięto płytkich, czasem zgoła niedorzecznych wniosków i zastosowań! Wszystkie one po krótkim okresie popularności przebrzmiały bez echa, podobnie zresztą jak i sama hypoteza Darwina, dzisiaj już od dawna do archiwów wiedzy nowożytnej złożona!

Dlaczegoż na niej również oparta niczejowska teorya nadczłowieka zachowała dotąd swą żywotność, i wpływ szeroki jeszcze wywiera, czasami nawet na niepospolite umysły współczesne? Sądzę, że zawdzięcza to nie treści swej, lecz formie artystycznej, w którą została przyodziana. Wogóle, wniknąwszy głębiej w samą istotę pism Nietzschego, dojść musimy do przekonania, że w autorze ich napotykamy nie myśliciela, odkrywcę nowych prawd wiedzy, lecz raczej poetę i artystę, wybitny, granic genialności sięgający talent twórczy, u którego myśl, bardzo zresztą bogata i głęboka, poddana jest zupełnie władzom uczucia i wyobraźni, dostarczając im materyału na kształtowane przez nie kreacye, zasobne w treść, oryginalne, wyraziste i w formie swej zewnętrznej bardzo niekiedy artystyczne.

Począwszy od najdawniejszych pism Nietzschego, co krok w działalności jego pisarskiej stwierdzić można przewagę wyobraźni twórczej nad myślą badawczą. Weźmy oto pierwszą głośniejszą jego pracę „o narodzinach tragedyi“. Nie trzeba być uczonym filologiem, lecz tylko zdrowo myślącym i do badań naukowych nieco zaprawionym człowiekiem, aby dopatrzeć bezpodstawności rozwiniętego tu poglądu rzekomo naukowego; ale dość posiadać trochę uczucia artystycznego, aby być pociągniętym przez żywość, plastyczność i stylowe wykończenie obrazu, jaki tu autor roztacza, uprzytomniając w nim pod postacią sztuki greckiej swój ideał sztuki wszechludzkiej. I później w „rozstrząsaniach nie na czasie“ wyobraźnia jakże przeważną odegrywa rolę! Czyż nie jej zawdzięcza swą dosadność zarysowana w osobie Dawida Straussa wyborna figura „filistra kulturalnego“? A sam Nietzsche następnie przyznał i nawet silnie to uwydatniał, że przedstawione w dwóch innych „rozstrząsa-

niach" postaci Schopenhauera i Wagnera nie są to portrety duchowe odpowiednich osobistości, lecz idealne upostaciowanie czysto osobistych jego wyobrażeń o zadaniach filozofii sztuki. Co to jest, jeśli nie twórczość poetycka takie podnoszenie realnych postaci życiowych do znaczenia idealnych typów, nie mających w życiu swych pierwowzorów?

Następnie, skoro ujrzał się zupełnie osamotnionym wśród ludzi, bez przyjaciół i zwolenników, stwarzał sobie ich w wyobraźni, przemawiał w liczbie mnogiej w ich i w swojem imieniu, i jako „duchom wolnym" poświęcał im późniejsze swe dzieła. Wreszcie wymarzył sobie postać Zaratustry, swego sobowtóra myślowego, zwiastuna „nadczłowieka", ideał absolutnej wolności duchowej. Utwór zawierający obraz życia duchowego i naukę tego idealnego mędrca i proroka nazwałem wyżej poematem filozoficznym. Jako taki może on się podobać lub nie podobać, może się wydać zagadkowym w swej treści, a dziwacznym w formie, ale poezyi i artyzmu odmówić mu niepodobna. Natchnienie poetyckie widnieje w jego żywem obrazowaniu idei, rozwijającem się na tle głębokich i z wielką siłą oddanych nastrojów uczuciowych; przenikający go zmysł artystyczny uwydatnia się w jego oryginalnym wielce, wyrazistym i doskonale utrzymanym charakterze stylowym. Oczywiście nie szukać w nim plastyczności zarysowanych postaki i obrazów życia zewnętrznego; nie o to bowiem w nim chodzi. Zadaniem jego przedstawić obraz życia wewnętrznego, obraz duszy ludzkiej w jej dążeniu ku jakimś niedościgłym szczytom myśli, wzniesionym ponad najwznioślejsze wyżyny współczesnej świadomości umysłowej, ukazując oczom mędrca widnokręgi przyszłego rozwoju ludzkości, jakich nie oglądało dotąd oko duchowe żadnego człowieka. Pod względem poetyckim i artystycznym zadanie to spełnione zostało w sposób prawdziwie genialny i dzięki temu powstał wspaniały, potężny poemat, w którym z najwyższą mocą natchnienia twórczego unaocznione nam zostało najpotworniejsze zboczenie, jakiemu dotąd uległa myśl ludzka, żeglująca po bezmiernym oceanie swych dążeń nadziemskich bez busoli objawionej jej przed wiekami prawdy chrześcijańskiej. Jakże często

uniesiona lekkomyślnością lub odurzona pychą, odrzucała ona tę busolę! Jakże często miotały nią wichry namiętności, lub porywały prądy fałszywych doktryn!

W „Zaratustrze“ Nietzschego nie znajdujemy nowych, racyonalnie uzasadnionych i logicznie rozwiniętych jej zboczeń i błądzeń, lecz widzimy przejmujący grozą obraz jej szalonego rozpędu na drodze, na którą wstąpiła w dwóch ostatnich stuleciach swego antychrześcijańskiego rozwoju. Jestto droga wypierającego się Boga człowieczeństwa, droga bezbożnego humanitaryzmu, w sobie samym uznającego swój kres ostateczny, swój cel najwyższy. Czyż nie taki humanitaryzm wyraził się w ogłoszonej przez rewolucyę francuską deklaracyi praw człowieka, w wynalezionej przez pozytywizm religii ludzkości, w absolutnym rozumie heglowskim, w woli schopenhauerowskiej i w innych niezliczonych doktrynach i systematach filozoficznych, różnemi czasy panujących nad umysłami ludzi ubiegłego wieku? Ostatecznym wynikiem tego obłędnego zapędu myśli ludzkiej jest pojawiający się w niej pod rozmaitemi postaciami i nazwami materyalizm teoretyczny, który, odrzuciwszy tkwiące jeszcze w innych systematach i doktrynach pozostałości pierwiastku nadprzyrodzonego (jak np. różne „absoluty“ metafizyki lub „niepoznawalne“ pozytywizmu) przyrodę materyalną i jej przejawy w człowieku i we wszechświecie uznał za początek i kres wszelkich zjawisk bytu. Materyalistycznych skłonności i popędów nie brakło nigdy w praktyce życia ludzkiego, ale były one ograniczone w swych objawach i zastosowaniach przez panujące zasady religijne i moralne, — dzisiaj otrzymują sankcyę w zasadach wprost przeciwnych tamtym, w brutalnem zaprzeczeniu wszelkich idealnych i nadprzyrodzonych pierwiastków życia. To też obok materyalizmu teoretycznego materyalizm praktyczny stanowi główną podstawę całej naszej kultury współczesnej i on panuje wszechwładnie w rzeczywistości wszelkich antychrześcijańskich jej dążeń.

Ale i dzisiaj nie występuje on we wszystkich swych logicznych wynikach i skutkach. Zgodnie ze swem przeznaczeniem, stosowany jest w takiej mierze, jakiej wymaga bieżąca

praktyka życia, ograniczany tam, gdzie mógłby wywołać przynoszące jej szkodę wstrząśnienia i przewroty. Na gruncie tego przez praktykę regulowanego materyalizmu powstał typ filistra nowożytnego, charakterystyczny wytwór naszej porewolucyjnej, demokratyczno - mieszczańskiej kultury, wyzyskujący na swą korzyść i chwałę wszystkie stosunki życiowe, wytworzone przez potężny przewrót społeczny, oraz idący w ślad za nim postęp u cywilizacyi materyalnej z jej wiedzą, sztuką, przemysłem, handlem i polityką utylitarną. Filister ów, dzięki swej trzeźwej rozwadze i swemu instynktowi samozachowawczemu, zdołał wyjść obronną ręką z burz rewolucyi, w których zginęło lub uległo zwyrodnieniu tyle szlachetnych żywiołów społecznych, a odrzuciwszy z głoszonego przez rewolucyę absolutnego humanitaryzmu, wszystko co uznał za zbyteczne lub szkodliwe dla siebie, przyjął samą jego zasadę jako podstawę swych praw i z pocieszną pychą samo zadowolonej miernoty w sobie uznał najwyższy objaw i koronę prawdziwego człowieczeństwa, do którego wszystko winno się odnosić i ponad którym nic wyższego istnieć nie powinno i nie może.

Wiadomo, jak wiele w ciągu ubiegłego wieku odezwało się głosów protestu przeciw takiemu poniżeniu wielkiej idei humanitarnej. Zabrzmiały one głównie w tej dziedzinie, która z natury swej najbardziej obca jest duchowi filisterskiemu — w dziedzinie prawdziwej poezyi. Od Byrona aż do ostatnich romantyków i modernistów dzisiejszych poeci zwalczali filisteryę pod różnymi jej postaciami i w różnych jej objawach, aż nareszcie w osobie Nietzschego wystąpił bojownik, który wypowiedział jej walkę na tem polu, które ona poczytywała słusznie za przyrodzoną swą sferę: na polu nowożytnej wiedzy antychrześcijańskiej i materyalistycznej. Jakoż istotnie pokazało się wnet, że w tej sferze ani podstawy, ani oręża do takiej walki znaleźć nie można; to też unoszony jej rozpędem śmiały bojownik musiał sobie stworzyć w swej wyobraźni nową jakąś dziedzinę wiedzy, zupełnie różną od tej, na której zrazu wystąpił.

Cóżto było, jeśli nie prawdziwa twórczość poetycka, która

„nie z rozumowych badań ani z rozwiązania zadań“, ale z intuicyi uczucia i wyobraźni czerpała swe natchnienie? Nietzsche-Zaratustra odczuł i uprzytomnił sobie w widzeniu twórczem istotną naturę i istotne konsekwencye nowożytnej wiedzy i kultury, konsekwencye iście potworne, jako takie pomijane przez naszych filistrów kulturalnych, teoretyków i praktyków, ale niemniej przeto wynikające nieodzownie z wyznawanych przez nich zasad, a osobliwie z zasady bezbożnego humanitaryzmu, przeciwstawiającego się humanitaryzmowi chrześcijańskiemu, który w Bogu znajduje ostateczny cel swój, a w wierze i w miłości nadprzyrodzonej najwyższą swą sankcyę. Praktyczni działacze współczesnej antychrześcijańskiej kultury, zajęci jakąś wyłączną jej sferą, nie widzą owych głoszonych przez Nietzschego jej wyników, lub dobrowolnie zamykają na nie oczy — teoretyczni jej rzecznicy bądź również nie troszczą się o te wyniki, bądź też przeciwstawiają im swoje doktryny, mające ludziom zastąpić wiekuistą prawdę chrześcijaństwa, a unoszone ciągle i zmiatane z powierzchni życia i wiedzy przez wichry krytyki i powody negacyi.

Nietzsche, nie troszcząc się o żadne względy praktyczne ani teoretyczne wywody, nie z abstrakcyi rozumowej ani z formułek życiowych, ale z całej treści swego przesiąkniętego na wskróś duchem nowożytnej kultury jestestwa wysnuwa wnioski, będące prostą jej konsekwencyą i przedstawione we wspaniałem obrazowaniu symbolicznych wizyi Zaratustry jako całokształt logiczny i artystyczny, doskonale wystylizowany, pełen treści i charakteru. Głównym charakterystycznym jego żywiołem jest ów absolutny humanitaryzm nowoczesny, gotów zagarniać i pochłaniać wszystko, co na swej drodze napotyka, a nic zgoła ponad sobą nie uznający. U Nietzschego występuje on szczerze i otwarcie, bez żadnych obsłonek filantropijnych i idealnych upiększeń, jako czysto materyalna, żywiołowa potęga, sama w sobie cel swój mająca, wolna od wszelkich praw moralnych i nadprzyrodzonych, podległa jedynie przyrodzonym prawom ziemskiego życia i rozwoju. Oczywistem jest wszakże, że genialny odkrywca i pogromca „filistra kulturalnego“ nie mógł

uznać go za prawdziwego przedstawiciela tej tak wysoko przezeń wyniesionej i tak bezwzględnie pojętej idei człowieczeństwa; owszem musiał zwalczać jak najstanowczej wszelkie aroganckie jego w tym względzie uroszczenia, co też istotnie czynił w całej swej działalności pisarskiej. A ponieważ jednocześnie widział jasno jak przeważną rolę ów znienawidzony filister odgrywał w życiu kulturalnem nowożytnej ludzkości europejskiej, więc w logicznym rozwoju swej myśli musiał dojść do zaprzeczenia nietylko jej sfilistrzałej kultury ale nawet jej samej, jako będącej przeciwieństwem wszelkiej samorodnej żywiołowości jestestwa ludzkiego.

Oto, jak sądzę, istotna geneza w umyśle Nietzschego idei n a d c z ł o w i e k a, geneza czysto poetycka i artystyczna, wynikła z dążeń genialnej indywidualności twórczej do plastycznego uprzytomnienia sobie i ukształtowania odpowiedniego ideału podmiotowego, nie znajdującego pierwowzoru w realnym świecie zjawisk. Że urzeczywistnienie tego ideału zupełną jest niemożliwością w praktyce a zakrawa na prostą niedorzeczność w teoryi, że nie daje się on uzasadnić ani w doświadczeniu życia i dziejów ludzkości, ani w ściśle naukowem rozumowaniu — o to nie troszczy się wcale marzyciel-poeta, który idzie za popędem samorodnej swej twórczości i w niej znajduje jedyną rękojmię prawdy dla wybujałych, niekiedy zgoła szalonych swych pomysłów. Jakoż istotnie jeśli wzięte przedmiotowo muszą być one uznane za fałszywe i bezpodstawne, to niepodobna im zaprzeczyć pewnej podmiotowej prawdziwości, tkwiącej w każdem bezwzględnie szczerem wypowiedzeniu się duszy ludzkiej, przejętej głęboko dążeniami swego czasu i zdolnej dać im żywy i plastyczny wyraz.

Zapewne, n a d c z ł o w i e k Nietzschego jest pomysłem filozoficznie niedorzecznym, a moralnie potwornym, ale czy ta niedorzeczność i ta potworność nie są wynikiem owych dążeń czasu, które podobny pomysł natchnęły, których on pono logiczną jest konsekwencyą? Czy nie na tem polega zaznaczona poprzednio prawda podmiotowa idei Nietzschego? Ogół nowożytnych myślicieli liberalnych potępia, oburza się na nie i gniewa

gniewem wielkim, ale może to jest tylko typowy objaw filisterstwa kulturalnego, dbałego przedewszystkiem o swój spokój i odtrącającego każdą ideę, mogącą go zakłócić, a może mamy tu po prostu objaw zdrowego, praktycznego rozumu, który odrzuca nie dające się urzeczywistnić, a przytem niepotrzebne mu i szkodliwe wyniki, chociaż uznał dogodne mu w praktyce lub w teoryi logiczne ich przestanki. Widziana z tego punktu nieczejowska doktryna nadczłowieka jest jakby dyalektycznem doprowadzeniem do absurdu w idealnym świecie wyobrażeń pewnych zasad, które wydają się bardzo prawdziwemi, o ile nie przekraczają świata praktycznych możliwości lub też świata abstrakcyi rozumowych.

Tutaj nasuwa się nam jedno pytanie, o które powyżej raz już potrąciliśmy. Czy paradoksalność idei Nietzschego nie wynikła czasem z paradoksalnego nastroju duszy, która chrześcijańską w gruncie dążność do nieskończonych, nadziemskich zadań bytu usiłowała zaspokoić w skończonym, ziemskim zakresie? — Sądzę, że po tem wszystkiem, co wyżej rzeczono z pewnem prawdopodobieństwem twierdząco możemy odpowiedzieć na to pytanie. Utraciwszy wiarę w ideał chrześcijański, instynktownie poszukiwał Nietzsche jakiegoś bezmiernie rozległego jego równoważnika, ale poszukiwał go wyłącznie w obrębie panującego wszechwładnie nad kulturą i wiedzą współczesną bezbożnego, materyalistycznego humanitaryzmu. W tej dziedzinie wszakże niepodobna było go znaleźć. Obie jej sfery: praktyczno-życiowa i teoretyczno-naukowa zawiodły zbyt wymagającego od nich poszukiwacza. Umysł jego pragnął czegoś, czego ani ziemska rzeczywistość, ani rozum ziemski dać mu nie mogły aż wreszcie to nieokreślone coś ukązało mu się wcielone w kształcie niezrównanie potężnym i wspaniałym, który on poczytywał za widzenie jakiejś przyszłej realnej możliwości, a który w istocie rzeczy był tylko idealnem widzeniem jego twórczej wyobraźni.

V.

To przeciwieństwo zamierzonego i spełnionego zadania odbiło się w życiu i w dziełach Nietzschego rysem głęboko

tragicznym, który tem bardziej rzuca się nam w oczy, im wyraźniej uprzytomnimy sobie szlachetną w swej istocie naturę zuchwałego myśliciela - poety, pragnącego w zaślepieniu swej pychy stać się wieszczem i prorokiem ludzkości. Wiem, że współczesna opinia publiczna daleka jest od uznania szlachetności i czystości jego dążeń; widzi w nich tylko wyuzdanie dzikich instynktów i waryacko zbójeckich zapędów, jak się wyraził jeden z polskich krytyków autora „Zaratustry“. Ale opinia publiczna tak powierzchowna bywa w swych sądach! Dość zagłębić się nieco w dziełach Nietzschego, aby poznać całą płytkość i niesłuszność rzucanych nań nieraz wyroków potępienia, jako na apostoła zdziczałego w swej żądzy używania egoizmu. Prawda, stawiał on ponad wszystko prawa egoizmu jednostkowego, a właściwie znosił samo jego pojęcie ujemne, nie uznając żadnych zgoła obowiązków jednostki względem ogółu, ale z drugiej strony nie przyznawał on wcale jednostce prawa bezgranicznego używania, przyznawał jej tylko prawo nieograniczonej władzy i panowania nad tłumem pospolitym, ale o tyle tylko o ile sama w sobie posiada odpowiednie po temu siły, najpierwszą zaś ich rękojmią jest opanowanie własnej swej natury, jej instynktów i popędów, pragnień i pożądań. Pod tym względem stawiał Nietzsche niesłychanie wygórowane wymagania wybranym jednostkom, które, wedle jego doktryny, miały panować ponad tłumem ludzkim. Wprawdzie też jej strony nie rozwinął on w zupełności, gdyż wogóle pozostawił nam tylko jej część negatywną, zwalczającą istniejące stosunki; część jej pozytywna, wskazująca zadania przyszłego nadczłowieka, miała wypełniać dalsze zamierzone dzieła, na olbrzymią zakreślone skalę, ale nie wykonane wskutek nagłego wybuchu choroby. Niemniej przeto idea surowego, nieomal ascetycznego panowania nad sobą uwydatniona jest bardzo silnie w pozostałych pracach Nietzschego i znajdowała zastosowanie w jego życiu, pełnem prawdziwie heroicznych wysiłków pracy i działalności wpośród okropnych cierpień fizycznych i niemniej silnych zapewne z osamotnienia głównie i niechęci powszechnej wynikłych cierpień moralnych.

Dodać trzeba, że ten rzecznik egoistycznej siły, odrzucający wszelkie ustalone rozróżnienia między złem i dobrem, był człowiekiem w gruncie łagodnym i dobrotliwym, pełnym życzliwości i miłości dla ludzi, jak o tem liczne i niewątpliwe fakty z jego życia wymownie świadczą.

Czy jego doktryny nie wyrobiły się pod bezpośrednim wpływem tak przemożnie panującego ponad całem współczesnem życiem niemieckiem ducha pruskiego, bismarkowskiego hasła siły przed prawem? Mniemanie to wygłaszane nieraz przez krytyków i komentatorów Nietzschego, daje się też uzasadnić ze stanowiska rozwiniętego w niniejszej pracy poglądu. Czemże jest bowiem ów duch pruski jeśli nie najbardziej typowym objawem antychrześcijańskiego rozwoju kultury współczesnej z jej bezgranicznie egoistycznym, wszystko dokoła siebie pochłaniającym i nic nad sobą nie uznającym humanitaryzmem? A czemże jest w naszym wykładzie nadczłowiek Nietzschego jeśli nie artystycznie upostaciowany ideał tak pojętego człowieczeństwa? Ale jak widzieliśmy, wyznawca tego ideału, wysnuwając go ze współczesnych dążeń życiowych, wzniósł go na wyżyny nic zgoła nie mające wspólnego z ich poziomem filisterstwem i małostkowem samolubstwem, które z jak największą zawsze zwalczał zaciekłością, W takim samym stosunku pozostawał on też do owego bezpośrednio może nań oddziaływającego ducha prusko-niemieckiego, w którym wyuzdane bezgranicznie w swem samolubstwie filisterstwo mieszczańskie łączy się z brutalnym, mechanicznym militaryzmem nowożytnym i z drapieżnem, aroganckiem junkierstwem. Nietzsche nigdy nie wyraził ani cienia sympatyi do powstałej z tego związku potęgi państwa pruskiego i nowego cesarstwa niemieckiego. Owszem okazywał jej zawsze największą pogardę i uznał w niej istotną przyczynę kulturalnego upadku i zdziczenia całych Niemiec współczesnych.

Napotykamy tu nową illustracyę jego dążeń, mających wprawdzie wspólne źródło z dążeniami spogańszczałego humanitaryzmu naszej epoki, ale w dalszym swym rozwoju stających się jego zaprzeczeniem zarówno w wybujałej potworności wysnutych zeń konsekwencyi jako też w towarzyszącej im tak

dziwnie szlachetnej pogardzie dla wszelkich rzeczy nizkich, podłych i nikczemnych, które tak potężnie i tak przeważnie panują nad całem życiem społecznem obecnej Europy.

W dziełach Nietzschego liczne i wspaniałe takiej pogardy znaleźć można przykłady. Niepodobna ich tu przytaczać; wspomnę tylko najwymowniejszy z nich w jednem z przemówień Zaratustry, w którem ten apostoł nadczłowieka, zwiastując jego przyjście, określa poprzedzający go bezpośrednio typ „człowieka ostatniego“, czyli typ ostatecznego zwyrodnienia i znikczemnienia nowożytnej sfilistrzałej ludzkości. Jest to wyborna satyra uwydatniająca pospolitość i małość ludzi dzisiejszych, niezdolnych wznieść się ponad ciasną sferę swego drobnego, powszedniego egoizmu, zawziętych wrogów wszystkiego, co wielkie i podniosłe, a miłośników wszystkiego, co im zapewnić może wygodę i spokojne używanie, obdarzonych najwyższą miarą zmysłu zachowawczego samolubów, którzy jeśli kochają się jeszcze między sobą to tylko dlatego, aby im ciepło było, gdy się do siebie nawzajem przytulą.

Ten typ ostatniego człowieka uderzająco przypomina nakreślony przez znakomitego katolickiego pisarza Ernesta Hello satyryczny również typ pod nazwą człowieka miernego, *l'homme mudivere.* Obaj pisarze, stojący na przeciwległych krańcach nowożytnej samowiedzy duchowej, zeszli się jednak w swej pogardzie dla rozpościerającej się dziś tak szeroko na świecie a silnej swą liczbą pospolitości ludzkiej i wystawili ją w tak dosadnem satyrycznem oświetleniu dzięki przejęciu się wprost jej przeciwnym ideałem pełnego szlachetnej godności człowieczeństwa. Hello widzi ten ideał w blaskach prawdy chrześcijańskiej — Nietzsche w promieniach wrogiego jej spoganiałego humanitaryzmu, który, doprowadzony przezeń w fantastycznej wizyi do najdalszych, nadludzkich już swych konsekwencyi, stał się istnem bożyszczem, mającem pochłonąć w sobie całą istotę człowieczeństwa. Uwierzywszy w tę marę własnej wyobraźni, twórcą jej uznał sam siebie za wieszcza i proroka współczesnej ludzkości podczas gdy w istocie rzeczy był genialnym jej satyrykiem, który z nadzwyczajną prawdą i siłą uwydatnił w swej

znamienitej kreacyi nadczłowieka, całą potworność nowożytnego antychrześcijańskiego jej zwyrodnienia i sam wkońcu stał się jego ofiarą.

Czy obłęd umysłowy, któremu pod koniec życia uległ nieszczęsny zwiastun nadczłowieka, był nieuniknioną konsekwencyą całego jego rozwoju umysłowego, jak chcą jego przeciwnicy, czy też (zgodnie z opinią wielbicieli Nietzschego) był on przypadłością czysto fizyologiczną, dającą się wytłumaczyć przez nadmiar pracy i przebyte dawniej ciężkie choroby? Jest to pytanie, nad którem niepodobna się tu zastanawiać — jakiekolwiek jednak przypiszemy znaczenie tej katastrofie tragicznej w życiu, oszalałego już przedtem pychą rozumu myśliciela, trudno powstrzymać się od uznania w niej jakiegoś zrządzenia opatrznego, które druzgoce gromem najokropniejszej ułomności ludzkiej umysł, głoszący bezgraniczną potęgę jestestwa ludzkiego w ideale nadczłowieka ujawnić się mającą.

Gdy oszalały wielkiem pragnieniem serca i wielką pychą ducha Konrad Mickiewiczowski wznosi się do sfer nadludzkich „między proroki“, ukazuje mu się tam ponad bezmiernym widnokręgiem życia, zasłaniający go czarnemi swemi skrzydłami kruk olbrzymi, którego spojrzenie mąci i miesza rozum wieszcza. Ten kruk — to mroczna, świat cały zaciemniająca potęga zła. Któż ze słabem światełkiem własnego tylko rozumu zdoła bezkarnie zajrzeć w mroczne jej otchłanie? Autor „Zaratustry“ zapuścił w nie, pozbawiony wszelkiego światła nadprzyrodzonego, wzrok swego rozumu i zupełnemu przez nie uległ omroczeniu, a nie miał, jak Konrad, świątobliwego księdza Piotra, któryby potęgą nadludzkiej miłości i pokory chrześcijańskiej zdolny byl rozproszyć ogarniające duszę ludzką mroki zła.

Te z nich, co ogarnęły duszę i umysł zwiastuna nadczłowieka, wyniknęły z najgłębszej istoty nowożytnego antychrześcijańskiego humanitaryzmu. Nietzsche odczuł trafnie i potężnie rozpościerający się w nim potworny, żarłoczny egoizm natury ludzkiej, a uznawszy w nim najwyższą potęgę uwolnionego z pod władzy Bożej świata, party pragnieniem jakiejś mocy nadludzkiej nieskończenie wielkiej i wzniosłej, wcielił go w fan-

tastycznej kreacyi nadczłowieka, jako dążący do urzeczywistnienia się ideał przyszłości.

W tem tkwi szaleństwo, a zarazem prawda jego pomysłu. Prawdziwie okazana w nim została istotna, choć ukrywana zazwyczaj głęboko dążność naszej zmateryalizowanej cywilizacyi, która, oddalając ludzkość coraz bardziej od duchowych ideałów chrześcijaństwa, wiedzie ją do jakiegoś ideału, opływającego w dobrobyt, ale zezwierzęconego wewnętrznie i moralnie zdziczałego człowieczeństwa. Trzeba było jednak być szaleńcem, aby uwierzyć w realną możliwość tego zaprzeczającego samemu sobie ideału, a trzeba było być nie rachującym się z niczem artystą, aby tak śmiało go ujawnić w całej jego treści wewnętrznej i przyodziać go w kształt zewnętrzny takiej wyrazistej kreacyi z własnej fantazyi wysnutej.

Sądzę, że tylko z tego stanowiska, jako dzieło bezwiednej twórczości artystycznej, można ocenić należycie niczejowską teoryę „nadczłowieka“, a tylko widząc w niej mimowolną satyrę na cały współczesny rozwój kulturalny można uznać wewnętrzną jej prawdziwość.

Walery Gostomski.

RZYM WOBEC „KSIĄG PIELGRZYMSTWA".

Dość rozpowszechnionem jest u nas mniemanie, że Kościół katolicki potępił „Księgi Pielgrzymstwa", i zakazał wiernym ich czytania. Spotykamy się z niem w niejednej poważnej nawet i źródłowej pracy[1]. Nie od rzeczy więc będzie zbadać, czy sąd ten jest prawdziwy?

Na samym wstępie zająć się musimy dłużej osobą Lamennais'go.

Nietylko bowiem, jak twierdzą i udowadniają historycy literatury, Mickiewicz (może bezwiednie) pozostawał przy pisaniu „Ksiąg" pod wpływem tego niezwykłego człowieka[2], ale nadto dzieje „Ksiąg" w tak ścisłym pozostają związku z przełomową epoką życia Lamennais'go, że tu przedewszystkiem szukać należy przyczyny niekorzystnego sądu pisarzy i Rzymu o dziele Mickiewicza.

Z Lamennais'm zapoznał i zaprzyjaźnił się Adam podczas pierwszego swego pobytu w Paryżu (w lecie 1831). Wkrótce Mickiewicz podążył do Księstwa Poznańskiego, skąd miał na-

---

[1] Wystarczy wskazać na krytyczne dzieło Dr. Józefa Kallenbacha: „Adam Mickiewicz". W tomie drugim na str. 112 utrzymuje autor, że „Mickiewicz poddał się wyrokowi Stolicy Piotrowej, która przemowę Montalemberta i ‚Księgi Pielgrzymstwa' potępiła".

[2] Jak wiadomo, prócz Lamennais'go wpłynęło na „Księgi Pielgrzymstwa" także pismo Brodzińskiego: „O Narodowości Polaków". Porów. Tarnowski: „Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XIX. Rozprawy i sprawozdania", t. I, str. 105; a także Kallenbach l. c. str. 98—99.

dzieję przedostać się za kordon do powstańców, — Lamennais zaś udał się z Lacordaire'm i Montalembertem do Rzymu, aby złożyć hołd nowemu Papieżowi Grzegorzowi XVI, a zarazem bronić sprawy ganionego przez francuskich biskupów, a zaczepianego przez skarżące się przed kuryą rzymską rządy Francyi, Austryi, Rosyi, Prus, wydawnictwa *l'Avenir*.

Lamennais[1], pochodzący z małej, bretońskiej mieściny (Saint-Malo), był wprawdzie katolikiem z przekonania, — jednakże okazywał często upór nieznoszący żadnej opozycyi, nie uznający żadnej powagi. Nieugięta pycha była główną cechą jego charakteru. Nie pochodziło to tak z przeświadczenia o swej sile lub wyższości, jak raczej z pewnego rozjątrzenia duszy, z goryczy spowodowanej wnętrznymi bólami serca, niezrozumieniem jego nawet przez najbliższe otoczenie, niezgodą z samym sobą i ze światem. To chorobliwo-melancholiczne usposobienie pogarszała jeszcze nieokiełznana i dzika jak stepowy rumak wyobraźnia, gwałtowne namiętności, które z trudnością usiłowała opanować żelazna siła woli. Byłto „zachmurzony duch w słabowitem ciele“, silny i potężny, twórczy i przedsiębiorczy ale nieposkromiony, wzbudzający podziw i uwielbienie wśród jednych, a grozę u drugich.

Co właściwie zbliżyło Mickiewicza do tej wielkiej a hardej duszy, trudno wykazać. Dr. Kallenbach, kreśląc stosunek Mickiewicza do Lamennais'go, zestawia przy tej sposobności podobieństwa i różnice, jakie istniały pomiędzy nimi dwoma[2]. Jednak ani dar improwizacyi, który pozwalał Lamennais'mu wypowiadać myśli w porywającej szacie wymowy, ani gorąca miłość, jaką żywił Bretończyk do własnego kraju, ani zgodna myśl

[1] Lamennais doczekał się wielu biografów i krytyków. Przytaczam tu kilku najnowszych, na których opiera się ta krótka charakterystyka: Lacordaire: *Considerations sur le système philosophique de M. de Lamennais;* — Roussel: *Lamennais d'apres de documents inédits* (Rennes 1892); — E. Spuller: *Lamennais, Etude d'histoire politique et religieuse* (Paris 1892); — V. Mercier: *Lamennais d'apres sa correspondence* (Paris 1895); — O. Pfülf S. J.: *Lamennais' Höhe und Sturz (Stimmen aus Maria Laach* 1898, t. 54).

[2] L. c. str. 112 i nast.

o założeniu zgromadzeń zakonnych [1] dla potrzeb swych rodaków, nie są całkowicie dostatecznym powodem uzasadnienia jedności przyjacielskich serc. Podobieństwa te wobec różnic charakterów obu przyjaciół tracą na swej sile i znaczeniu. Mickiewicz i Lamennais różnili się w zasadach i w zamiarach. Stąd też punkt styczny Lamennais'go a Mickiewicza jest mało uchwytny. Może wielkie współczucie i zainteresowanie, jakie okazywał redaktor *L'Avenir'u* dla nieszczęść Polski i niedoli jej synów, zbliżyło ich do siebie [2].

Obecnie wystarczy nam stwierdzić czyn dokonany, a jeśli podajemy niżej różnicę obu wielkich ludzi, czynimy to dla uzupełnienia i wycieniowania całości przedmiotu, a nadto aby wskazać, czemu Rzym Lamennais'm szczególniej zająć się musiał, a ubocznie także swe zdanie o „Księgach“ wypowiedział.

Mały, wychudły, słabowity, bez żadnego wyrazu lub siły w oczach, nie miał Lamennais w sobie nic świadczącego o wyższości ponad ludzi zwykłej miary, nic nakazującego posłuch, bojaźń lub uszanowanie. Był przytem nieśmiały jak dziecię, unikał publicznych występów, okazywał niepokój, jeśli kto nań zwrócił uwagę, lub badawczo nań spoglądał; pochwała wprawiała go w tak wielkie zamieszanie, że tracił równowagę i zamykał usta nawet w chwili zapędu i uniesienia. Cała jego siła, jednająca mu otoczenie, spoczywała jedynie w nadzwyczajności poglądów, w nieporównanej mocy przeświadczenia, w potoku niezwykłych myśli, nieraz głęboko pojętych, a szeroko zatoczonych.

Lamennais, jak świadczą jego biografowie, był samoukiem, który od młodości pochłaniał bez wyboru wszystkie książki, jakie mu wpadły do ręki, lecz pochłaniał je z uwagą, porządkował jedną z drugą i łączył w jednolitą całość. To też pierwsze

[1] Lamennais założył Kongregacyę św. Piotra, z dość oryginalnym celem i wymaganiami, która atoli w r. 1833 się rozwiązała. (Por. Pfülf l. c. str. 54, 383); — Mickiewicz zaś podał myśl i bardzo popierał Zgromadzenie W. W. X. X. Zmartwychwstańców.

[2] Zdają się za tem przemawiać słowa Adama, iż Lamennais „szczerze płakał nad nami“, iż „to były jedyne łzy, jakie widział w Paryżu“ dla sprawy polskiej. Por. P. Chmielowski: „Adam Mickiewicz“ 1886 t. II str. 106.

jego dzieła zwróciły nań powszechną uwagę. *Essai sur l'indifférence en matière de religion* (1817—1820), zalecające się wielką ścisłością rozumowania i porywającą wymową, zyskały mu sławę i poklask w całej Europie [1], ale zarazem i niechęć w niektórych kołach Francuzów, bo wybitnie katolickie jego zapatrywania miażdżyły gallikanizm i kartezyanizm, *Essai*... było zadziwiająco pięknem echem tych starych a wiecznie trwałych dowodów rozumu, które człowiekowi przedstawiają potrzebę religijnej pracy, dowodów, które jedynie dlatego uchodziły wówczas za nowe, ponieważ były bardzo zastosowane do rozlicznych błędnych poglądów czasu... W jednym dniu Lamennais ujrzał się władzcą nad duchami, jakby drugi Bossuet" [2]. Gdy zjawił się w Rzymie (r. 1824), Leon XII przyjął go trzykrotnie bardzo łaskawie, pragnął zatrzymać przy sobie i ofiarował stanowisko, które ścieliło drogę do kardynalskiego kapelusza [3].

Ale gorąca dusza Lamennais'go rwała się do pracy społecznej na ojczystej niwie. Opuścił Rzym i wrócił do Francyi, gdzie zrazu pracował jeszcze jako regalista, ale po kilku latach wystąpił w roli demokraty, niekiedy dość skrajnego. Najśmielsze i najszersze poglądy wchodziły w zakres jego planów. Wyrazem pragnień i dążeń Lamennais'go było czasopismo *L'Avenir*, w którem żądał nieograniczonej wolności dla Kościoła, niezależności jego organów i całego życia kościelnego od więzów władzy państwowej, popierania nauk we wszystkich kierunkach przez Kościół i pod jego przewodem, wprowadzenia w życie pojęć katolickich przez zakony i kongregacye, przez prowincyonalne i dyecezalne synody, przez misye ludowe i ćwiczenia duchowne, przez wspólne pożycie *(vita communis)* kleru świeckiego i t. p. Żądał, aby Kościół stanął na czele całej kwestyi socyalnej, którą przewidywał najdokładniej. Walczył o zapewnienie ludowi le-

---

[1] Przetłumaczono to dzieło na wszystkie języki europejskie. W samej Francyi w krótkim czasie rozeszło się przeszło 40.000 egzemplarzy.

[2] Lacordaire, l. c. str. 35.

[3] Wisemann w dziele: *Errinnerungen an die letzten vier Päpste* (1864, str. 224) upewnia nawet, że Lamennais należał do 11 kardynałów mianowanych *in petto* 2 paźdz. 1826 r. Atoli inne źródła, oparte na dokumentach, zaprzeczają temu twierdzeniu.

pszej doli i zwracał uwagę na niebezpieczeństwo, zagrażające społeczeństwu ze strony krzywdzonych sfer roboczych. Dlatego domagał się zmiany ustroju społecznego.

Obok tych słusznych żądań stawiał jeszcze i inne dalej idące, nieraz bałamutne, czasem wprost rewolucyjne. Żądał np. zniesienia wszelkiej władzy królewskiej, nieograniczonej wolności dla wszystkich i we wszystkiem (dla zebrań, stowarzyszeń, prasy, szkoły i t. d.) stanowczego rozdziału państwa od Kościoła. Co gorsza, tych poglądów i żądań nie stawiał jako swe własne lub jako zapatrywanie pewnego tylko stronnictwa, ale jako poglądy i dążności katolicyzmu, jako żądania Rzymu.

Tak skrajnych poglądów Kościół nie chciał i nie mógł podzielać, ani nie mógł pozwolić, aby w imieniu Rzymu przedkładano je jako modłę działania [1].

W przeciwieństwie do wierzącego tylko własnej logice i skrajnego demokraty Lamennais'go Mickiewicz miał charakter więcej dogmatyczny i „humory szlacheckie“, jak mawiał Zaleski [2], a choć sprzyjał postępowi wszystkich ludów, to przedewszystkiem gorąco miłował swą ukochaną Polskę i jej głównie szukał dobra, gdy łączył się z republikańskiemi stronnictwami Francyi. Odrodzenia Polski pragnął jedynie na gruncie katolickim. Oto co pisał do Lelewela: „...naszym dążeniom należałoby nadawać charakter religijno-moralny, różny od finansowego liberalizmu Francuzów, — na katolicyzmie trzeba grunt poło-

[1] Wobec tego co najmniej dziwnem jest twierdzenie niektórych pisarzy, że całem nieszczęściem Lamennais'go a zarazem przyczyną jego odstępstwa od Kościoła była, obok dumy, ta okoliczność, że trafił na czasy Grzegorza XVI a powinien był żyć za Leona XIII. Jeżeli kto przez to zdanie chce wyrazić myśl, że Leon XIII swą bystrością i szerokością poglądów, swem zrozumieniem potrzeb i chorób wieku, byłby swą osobą większy wpływ wywarł na Lamennais'go i więcej przypadł mu do smaku, niż Grzegorz XVI — ten nie mija się z prawdą; ale myliłby się, ktoby mniemał, że Leon XIII pochwaliłby wywrotowe zamysły Lamennais'go, i że w ten sposób nie przyszłoby do jego odstępstwa. Żaden Namiestnik Chrystusowy nawet tak wyrozumiały, jak Leon XIII, nie może żadną miarą pozwolić na to, co jest w sobie złem i niegodziwem.

[2] Por. ks. Paweł Smolikowski w rozprawie: „Początki odrodzenia religijnego na wychodźtwie“ (*Przegląd Polski*, czerwiec 1891, str. 534), gdzie zamieszcza list Zaleskiego do Kajsiewicza.

żyć“... Do czego zaś drugich zachęcał, to sam w czyn wprowadzał. W owym czasie co niedzielę bywał na Mszy św., często się modlił, a przykładnem swem życiem pociągał nawet wielu do katolicyzmu np. Jańskiego, Kajsiewicza i innych.

Mimo tych różnic Lamennais i Mickiewicz do siebie przylgnęli a dusze ich poczęły na siebie działać. Lamennais'go: *Essai sur l'Indifférence,* a nadto artykuły zamieszczane w czasopiśmie *L'Avenir* zmieniły wiele zapatrywań społecznych Adama i na odwrót poglądy Mickiewicza nie pozostały bez znaczenia na autora „Słów wierzącego“.

Po powrocie do Paryża (1 sierpnia 1832) nawiązał Adam na nowo stosunki z Lamennais'm i całą redakcyą *L'Avenir.* Niepoślednią rolę tak w redakcyi, jak wogóle w ówczesnem życiu społecznem odgrywał młody (bo 22-letni) Karol hr. Montalembert, serce gorące i prawe, które szczerze ukochało Kościół i Polskę i pozostało obydwom wierne aż do zgonu. Miłość do Polski sprawiła, że Karol chciał iść na Moskala w 1831 roku, a gdy go od tego kroku sami Polacy powstrzymali, nauczył się języka polskiego i bronił sprawy polskiej wszędzie i gorliwie.

Gdy Grzegorz XVI, zniewolony okolicznościami [1], potępił

---

[1] Dnia 23 kwietnia 1832 r. odebrał Rzym zbiorowe zażalenie 13 biskupów francuskich (do którego przyłączyło się wkrótce 50 innych) na niejasne postępowanie Lamennais'go i jego politycznych przyjaciół. Do zażalenia dołączono usilną prośbę, aby Rzym zechciał potwierdzić zbiorowe biskupie potępienie 56 zdań, wyjętych z pism Lamennais'go. Gdy nadto sam Lamennais gwałtownie a uporczywie domagał się wydania wyroku w swej sprawie, a roztropne (i litościwe dlań) milczenie Rzymu wyzyskiwał na swą korzyść, Grzegorz XVI encykliką: *Mira vos* z 15 sierp. 1832 r. (*Bull. Rom.* 19.126) potępił kościelno-polityczne poglądy Lamennais'go i jego przyjaciół, wyrażane w czasopiśmie *L'Avenir.* Z delikatności mając wzgląd na autorów, papież nie wymienił wcale ich nazwiska ani nawet imienia czasopisma, ale przez kardynała Paccę oświadczył im swe niezadowolenie. List kard. Pacca do Lamennais'go z dnia 16 sierpnia 1832 r., jako też encyklikę *Mira vos* podaje w całej rozciągłości Lamennais w zbiorowem wydaniu swych pism: *Oeuvres complètes* (Bruxelles 1839) t. II, str. 551—553, 603—614. Por. także *Censure 56 propositions extraites de divers écrits de M. de La Mennais et des ses disciples par plusieurs évêques de France* (Toulouse 1835); nadto *Affaires de Rome.* Nouv. edit o. a. p. 71; Le P. Lacordaire, 1862, str. 49; *Études religieuses*, 1867, 13, 206.

(15 sierpnia 1832) szereg zdań wyjętych z czasopisma *L'Avenir*, cała jego redakcya poddała się wyrokowi papieża (10 września 1832) i rozwiązała swe pismo. Atoli poddanie to u Lamennais'go nie musiało być całkiem szczere, kiedy już 1 listopada (1832) wyrażał się w poufnych listach [1] bardzo ujemnie o Rzymie, a w liście drukowanym w *Journal de La Hay* (22 lutego 1833) oświadczył, że pomimo encykliki swych zasad wcale nie zmienił.

W grudniu 1832 r. ukazały się „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“ po polsku, a wkrótce potem po francusku, w przekładzie dokonanym przez Montalemberta przy pomocy Bohdana Jańskiego. Montalembert ze swej strony dodał długą przedmowę, w której w gwałtowny sposób i w ostrych wyrazach piętnował brutalność i okrucieństwo rządów wobec Polski, a Lammennais dołączył hymn do Polski [2]. Praca ta, przyjęta w większej części Francyi z niebywałem uniesieniem, zyskała pochwały pierwszych sił literackich, jak np. Micheleta, Wiktora Hugo, Ballanche'a a nawet Sainte-Beuve'a, który jednak obok uznania pierwszy zwrócił uwagę na zasadniczą wadę „Ksiąg“, t. j. na przecenianie zasług i stanowiska narodu polskiego. Nie potrzeba chyba dodawać, że Lamennais, moralny jeżeli nie materyalny współwydawca „Ksiąg“, był niemi zachwycony. Przebija to z jego listów a przedewszystkiem z *Paroles d'un croyant*, w które wcielił żywcem wiele myśli a nawet ustępów, zaczerpniętych z utworu Mickiewicza.

Zimno i z niechęcią przyjęły „Księgi Pielgrzymstwa“ stronnictwa konserwatywne we Francyi, a już do żywego obraziła rządy Europy przedmowa Montalemberta. Stąd nowe skargi poszły do Rzymu. Grzegorz XVI w brewe do arcybiskupa Tuluzy (8 maja 1833 r.), odpowiadając na zeszłoroczne jeszcze zbiorowe pismo biskupów francuskich (z 22 kwietnia 1832 r.), donosi o poddaniu się redakcyi *L'Avenir*, a mając nowe dowody nieszczerości La-

---

[1] Por. Lamennais: *Correspondence; Oeuvres posthumes*, publiées par E. D. Forgues. Paris 1863, t. II (251—252).

[2] Dzieło wyszło 15 maja 1833 r. w 16-ce pod tytułem: *Le livre des pèlerins Polonais, traduit du polonais par le Comte Ch. de Montalembert, suivi d'un hymn à la Pologne par F. de La Mennais.*

mennais'go w ręku, żali się z lekka na połowiczność jego postępowania: „atoli zasmucają nas ostatnie wieści“ *(at dolorem adhuc iniiciunt, quae etiam nunc perferuntur in vulgus)* [1]. Dowiedziawszy się o tem Lamennais przesyła przez biskupa z Rennes list do papieża (4 sierpnia 1833 r.), w którym nie bez goryczy wymawia mu jego nieufność ku sobie, jeszcze raz zapewnia o swej uległości, a zarazem pragnie wiedzieć, czemu papież z niego niezadowolony [2]. Wyzwany tego rodzaju nietaktem, nie mógł już milczeć Grzegorz XVI i w brewe [3] do biskupa z Rennes

[1] Brewe do arcybiskupa Tuluzy: „*Litteras quas una*“ niema w *Bullarium Romanum;* podaje je w całości Lamennais w dodatkach swych *Oeuvres complètes* t. II, p. 615, 616. Wyjmujemy odnośny ustęp: „... dedit voci nostrae vocem virtutis Pater luminum, in quem spem omnem conjeceramus, easque alacriter, religiose, studioseque ubique receptas fuisse, gratulabundi testati sunt et sacrorum antistites et viri ex universis ordinibus commendatiores. *Immo autores* ipsi fautoresque consiliorum, de quibus praecipue qûerebamur, ad quos mittendas eas litteras curavimus, publice denuntiarunt, se ab incoeptis illico cessasse, ne voluntati nostrae obsisterent. Quae quidem declaratio eam illico nobis spem indidit, sincere ipsos, plene, absolute, omnique depulsa ambiguitate judicio nostro paruisse, idque luculentioribus quoque monumentis fore in posterum testaturos ea fide, qua se erga Christi Vicarium incensos, toties disertissime professi sunt. Haec sane periucunda spes, animum nostrum in summa temporum difficultate pro rei sacrae incolumitate sollicitum erexerat. *At dolorem adhuc iniiciunt, quae etiam nunc perferuntur in vulgus.* Humilibus proinde precibus oculos manusque ad... Iesum attolimus“ etc.

[2] List ten cytuje Lamennais w *Affaires de Rome* l. c. p. 554.

[3] Brewe tego p. t. „*Litteras accepimus*“ niema w *Bullarium Romanum;* podaje go l. c. Lamennais t. II, p. 617—619. Ponieważ brewe to jest ważnym dokumentem w naszym przedmiocie, a do tego mało znanym, dlatego podajemy je niżej w całej osnowie:

„Venerabili Fratri C. L. Episcopo Rhedonensi
Gregorius Papa XVI.

Venerabilis Frater, salutem et apostolicam benedictionem!

„*Litteras accepimus*, tuae in nos singularis observantiae testes, quibus epistolam misisti datam ad nos a dilectio filio F. Lamennaeio. Hanc legimus animo sane percupido, iucunda spe illecti, illa ibidem nocturos nos esse luculentiora monumenta, quae ab ipso de sincera fide opperiebamur, qua nostro iudicio plene absoluteque paruerit. Id quidem ipse satis iam se probasse autumabat primo illo actu, quo illico post acceptas encyclicas nostras litteras, ab sua Ephemeride edenda atque a Catholica quam nuncupabant Procuratione cessatum prorsus fuisse, publice denuntiavit. Hinc

(5 października 1833 r.) otwarcie wypowiada, co go boli. Przyczyną boleści i smutku papieża to najpierw publikacya listu w *Journal de La Hay*, w którym Lamennais bez ogródki oświadczył, że swych zasad i poglądów mimo encykliki nie zmienił, a następnie smuci papieża wydanie „Ksiąg Pielgrzymstwa, broszury pełnej lekkomyślności i złośliwości“,

---

gravate admodum se ex nostra ad venerabilem Fratrem, archiepiscopum Tolosanum epistula accepisse scribit, metu adhuc nos affici, ob ea, quae perferuntur in vulgus, quasi pristinis molitionibus instet ipse cum suis, animoque adversus nostra iudicia obfirmato, amaritudinem nobis amarissimam inferre connitatur.

„Miramur profecto, haec ipsum protulisse. Recte quippe ac merito commovebamur, deceptam conspicientes exspectationem, quam primus ille actus concitarat, quem praenuntium ducebamus declarationum, quibus catholico orbi manifestum fieret, ipsum firme ac graviter tenere ac profiteri sanam illam doctrinam, quam nostris ad universos Ecclesiae antistites litteris proposuimus. Dum enim haec properabamus votis, evulgatae per ephemerides advenerunt (*Journal de La Haye*, 22 février 1833, num. 16) eiusdem Lamennei litterae, quae cum ipsum eadem plane ac antea principia (quae improbaturum illum esse confidebamus) fovere adhuc ac tueri commonstrant, susceptum moerorem nostrum necessario cumalarunt.

„Id porro lamentantibus nobis *altera subito accessit ratio doloris, commentariolum de polonico Peregrinatore (le Pèlerin polonais) plenum temeritatis ac malitiae, in quo haud ipsum latet quidnam longo ac vehementi sermone praefatus fuerit alter ex praecipuis eius alumnis, quem anno superiore una cum eodem ipso benigne fueramus adlocuti.* Taedet vero alia id genus plura percensere, quae ubique circumferuntur, nosque admonent colloborari etiam nunc ad priora consilia, institutaque confirmanda quin aliquid a Lamenneio ipso scriptum editumque typis sit, quae certe evincatur, falso prorsus ac per calumniam tot tantaque de eodem propalam obtrudi.

„Ceterum id insuper grave admodum exstitit nobis, quod cum idem Lamenneius agnoverit, nostrum esse de iis pronunciare, quae catholicae rei expediant, se deinceps *extraneum* fore, iisdem ad nos litteris asseruerit, ubi de Ecclessia, deque religionis causa quaestio sit. Quo enim haec tendunt, venerabilis Frater, nisi ut se quidem supremam nostram auctoritatem revereri, iudicio autem, hac in re nostro, doctrinisque per nos traditis nondum obsecutum fuisse patefaciat?

„Quae quidem omnia, ut alia multa praetereamus, molestas nobis universam, ad haec usque tempora, tristissimi huius negotii rationem perpendentibus suspiciones iniecere causasque ingeminarunt, quibus illa nos cura vehementer sollicitat.

„Verum fatemur cum gaudio: animos nunc addunt nobis, nutantesque in bonam spem erigunt, quae Lamenneius iisdem litteris promittit et spondet,

do której, jak Lamennais'mu dobrze wiadomo, dodał długą a gwałtowną przedmowę jego główny wychowanek, z którym go papież w roku ubiegłym łaskawie u siebie przyjął". Żąda więc papież, aby Lamennais ponownie oświadczył, iż naukę wyrażoną w encyklice: „*Mira vos*" uznaje za prawdziwą

---

se scilicet paratum esse omnia illa libenter sancteque profiteri, quibus se de filiali sua oboedientia certissime convincamur. Flagitat idcirco, ut de verbis edoceatur, quibus propositum hoc suum possit apprime declarare. Cui quidem postulationi id unum rescribimus, ut scilicet doctrinam nostris encyclicis litteris traditam, quibus certe non nova praecepta imperantur (dicimus cum Innocentio I sanctissimo praedecessore nostro), sed ea quae apostolica et Patrum traditione sunt constituta, se unice et absolute sequi confirmet, nihilque ab illa alienum se aut scripturum esse aut probaturum.

„Haec si testetur ipse, praestetque factis, plenum certe erit gaudium nostrum. Ita enim fore confidimus, ut ademptum tandem videamus e domo Israël lapidem offensionis, omnesque sapere unanimes secundum scientiam, quae ex Deo est, aliquando laetemur.

„Tuam igitur religionem, pietatem, fidem, compellames, venerabilis Frater, ut qua vales prudentia, doctrina, gratia, auctoritate, in tantum finem contendas, quo studia votaque haec nostra exitus nanciscantur secundissimos. Nostrae erga dilectum illum filium voluntatis interpretem te adscicimus; affectu illum paterno complexuri hanc ab ipso consolationem omnium gratissimam praestolamur, ut, Patris amantissimi vocem alacriter sequutus, sit ipse ceteris etiam auctor ad ea dumtaxat magno animo et forti credenda, quibus catholica fides, sanctitas morum, et publici ordinis incolumitas serventur, augeanturque in dies felicius.

„Summe gloriosum sibi futurum meminerit viros imitari tum sanctitate, tum doctrina, tum dignitate praestantes, qui si quidpiam a vero rectoque absonum se protulisse agnoverunt, Petri Damiani monitum secuti, ad Petri magisterium libenter corrigendi accesserunt, probe gnari teste S. Leone Magno, romanos Pontifices, gratiam sibi paternae charitatis impensuros, dilectionemque non negare, ut manifestationem catholicae veritatis exspectent.

„Humili interim assiduaque prece a Patre luminum postulamus, patrocinio Virginis sanctissimae implorato, quae omnium mater est, domina, dux et magistra, ut voce tua virtutem assecuta ex alto, tantum et nobis et Ecclesiae illatum fuisse gaudium gratulemur. Quae ut e sententia prospere ac feliciter eveniant, coelestis praesidii auspicem apostolicam benedictionem tibi venerabilis Frater, peramanter impertimur.

„Datum Romae apud S. Mariam Maiorem die 5 octobris 1833, pontificatus Nostri anno III.

Gregorius P. P. XVI."

i aby zobowiązał się, że nie będzie nic pisał ani pochwalał, coby się sprzeciwiało zasadom wymienionym w tejże encyklice [1].

Oto treść słynnego brewe, które w swoim czasie tyle narobiło hałasu, i które boleśnie wprawdzie dotknęło Montalemberta i Mickiewicza, ale nie zachwiało ich wierności i uległości

---

[1] Lamennais podpisał (11 grudnia 1832 r.) formułę swej pozornej uległości, ale już w kwietniu 1834 r. (mimo obietnicy danej Mickiewiczowi) oddał rękopis *Paroles d'un croyant* („Słowa wierzącego“) Sainte-Beuve'mu z prośbą, aby go co prędzej wydał. Sainte-Beuve wykreślił zeń kilka zdań bardzo obraźliwych dla Rzymu (Por. *Nouveaux lundis* 1870, 1. 39). Dziełkiem tem Lamennais zerwał otwarcie i całkowicie z Rzymem. Krótka jego treść jest następująca: Wszystkie koronowane głowy to łotry i zbrodniarze, którzy swemi sztuczkami i bezwstydną polityką zdołali otumanić papieża i uczynić go wraz z całą hierarchią niewolnikiem swego despotyzmu. Pod jarzmem tych tyranów jęczy i wzdycha uciśniony lud. W silnem przeciwieństwie do tego stanu występuje religia Jezusa Chrystusa, z istoty swej religia demokracyi, oparta na wolności i niedającem się powstrzymać wzlocie ku postępowi. — Dodajmy do tego rodzaju podburzającej treści prześliczną formę, miejscami ozdobioną w sceny nocnych straszydeł, mieszaninę zdań z Pisma św. z tonem powstańczo-deklamatorskim i satyrą, modlitwę złączoną z bluźnierstwami, a pojmiemy łatwo, że słusznie „Słowa wierzącego“ musiał potępić papież, że słusznie nazwano *Paroles d'un croyant* „apokalipsą szatana“ lub „ukoronowaniem krzyża jakobińską czapką“. Dziś, nawet anarchiści odwracają się od tego nędznego płodu z politowaniem lub szyderczym śmiechem.

Paroles d'un croyant były w swoim czasie tak słynne i tak chciwie czytywane, że w samym roku 1834 doczekały się 8 wydań, a wkrótce przełożono je na języki: angielski, hiszpański i niemiecki. W wielu państwach rządy zabroniły tego dziełka. Ponieważ prócz ostrych wycieczek przeciw rządom, despotyzmowi i t. d., zawierało ono wiele poglądów niekatolickich, anarchistycznych, radykalnych i podniecało do rozruchów, powstań i buntów, dlatego Grzegorz XVI encykliką: *Singulari Nos*, skierowaną do biskupów Francyi 25 czerwca 1834 (*Bull. Rom.* t. XIX, 379), za radą kardynałów „potępia“ powagą apostolską ten *libellus mole quidem exiguus, gravitate tamen ingens*, zakazuje go czytać i t. d.

Z późniejszych prac Lamennais'go dostały się na Indeks: *Affaires de Rome*, mémoires adressés au pape de maux de l'eglise et de la société et des moyens d'y remédier (Dekr. 14 lutego 1837); — *Le livre du peuple* (Dekr. 13 lutego 1838); — *Discusion critiques* et pensées diverses sur la religion et la philosophie (Dekr. 30 marca 1841); — *Esquisse d'une philosophie* (Dekr. 30 marca 1841); — *Amschaspands et Darvands* (Dekr. 17 sierp. 1843); — *Les évangiles*, traduction nouvelle avec des notes et des réflexions à la fin de cheque chapitre (Dekr. 17 sierpnia 1846). — Zob. nowy *Index libr. prohibit.* Romae 1900, str. 177.

dla Kościoła. Mickiewicz „idąc w ślady Fénelona — jak pisze ks. Kajsiewicz [1] — poddał się z prostotą i pokorą syna Kościoła i, o ile było w jego mocy, przeszkadzał przedrukowaniu tego dziełka [2]. Radził księdzu de Lamennais, aby nie ogłaszał, na wzór ‚Ksiąg Piegrzymstwa' napisanych, swoich ‚Słów wierzącego' i wymógł to był na nim, a kiedy po roku niecierpliwy kapłan wydał je drukiem, ‚mocno mu to po przyjacielsku przyganił', a Zaleskiemu [3] wprost oświadczył, że o wiele więcej nie godziło się, aby Lamennais wydał *Paroles*, niż on swoje „Księgi".

(Dok. nast.).

Wł. S.

---

[1] W liście z r. 1844; cytuje go ks. Smolikowski, l. c. str. 528.

[2] Pomagał mu w tem dzielnie Montalembert, który nadto się postarał, że już nie wyszło drugie wydanie francuskiego przekładu. — O usposobieniu Mickiewicza szczerze katolickiem w owym czasie, świadczą między innemi słowa pisane 16 grudnia 1833 r. do Kajsiewicza: „... Nie wierzcie ślepo żadnemu z ludzi, i moje każde słowo sądźcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz, dziś dobrze robić, jutro źle" (Por. *Przegląd Polski*, czerwiec 1891, str. 529).

[3] Por. Zaleski w liście do Kajsiewicza z r. 1834.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Marya Konopnicka. Szkic literacki. *Antoni Potocki.* Lwów. 1902.

Dyskusya, rozmowa o rzeczach, które nas żywo interesują, z ludźmi, którzy również tą rzeczą są zajęci, a ludźmi bardzo inteligentnymi i do tego bardzo pięknie mówiącymi, jest rzeczą nie powiem pożyteczną, bo to prawda zbyt już znana, ale przedewszystkiem nadzwyczajnie przyjemną. Taką dyskusyą, taką rozmową; jest — w braku osobistego zetknięcia się z autorem — czytanie i sądzenie książki, napisanej w sposób, odpowiadający powyższym wymaganiom. Z prawdziwą też przyjemnością czyta się i ocenia szkic Potockiego o Konopnickiej. Przed kilku miesiącami omawialiśmy książkę o Wyspiańskim; nie zamykając oczu przed brakami, staraliśmy się zaznaczyć wysoką wartość książki i świetność pisarza. To samo czeka nas obecnie. Rozpiszemy się tylko trochę szerzej. Naprzód bowiem książka istotnie warta omówienia dokładnego; powtóre: jeszcze mamy w oczach i uszach echa jubileuszu Konopnickiej, wbiły się nam świeżo w pamięć świeże sądy o jej poezyi, warto więc pomówić nie tylko o samej książce, ale i o tem, o czem ona mówi. O ile część pierwsza spotka się przeważnie z pochwałą i zgodą, o tyle w drugiej znajdziemy łatwo sposobność do kontrowersyi, do wyrażenia innego zdania i innego poglądu na twórczość Konopnickiej, aniżeli są one u Potockiego.

Książka napisana nadzwyczaj i przejrzyście i jasno; jeden rozdział wypływa logicznie z drugiego i stanowi jego ciąg dalszy, nieprzerwalny. Pierwsze rozdziały malują tło i warunki, wśród których

rozwijała się twórczość poetki; poczem (rozdz. VI) autor daje ogólną charakterystykę typu poetyckiego, którego jednym z przedstawicieli jest Konopnicka; wreszcie kreśli osobistość, fizyognomię indywidualną poetki, na podstawie jej poezyi.

Rekapitulacyę pięciu pierwszych rozdziałów, malujących tło i warunki, wśród których rozwijała się twórczość Konopnickiej, podał sam autor na początku rozdziału szóstego; zamiast samemu streszczać, wolę owo streszczenie autora powtórzyć.

„Starałem się określić ogólny charakter doby narodowej, w której Konopnicka uformowała się i wystąpiła, jako siła poetycka.

„Powtóre — ogólny nastrój poezyi samej w tejże dobie.

„Po trzecie — typ psychiczny kobiety-Polki, jako punkt wyjścia naturalny dla ustroju samej poetki.

„Po czwarte wreszcie — jej ‚ściślejsze ukochanie‘, jej środowisko adoptowane z powinowactw — ściślejszą ojczyznę jej geniuszu poetyckiego.

„Pierwsze, t. j. charakter doby narodowej w kilka lat po 63-im roku najogólniej możemy wyrazić, jako okres programów i pracy programowej dla naprawy i wzmożenia społeczeństwa.

„Drugie, t. j. nastrój poezyi tego okresu wyraża się przedewszystkiem w epigonizmie romantyzmu, co się tyczy ogólnych ideałów poetyckich, i w pracy około formy, co się tyczy szczegółowego dorobku chwili.

„Trzecia, t. j. typ psychiczny, stanowiący tło samejże indywidualności poetki, — odnajdujemy w rysach kobiety-Polki poromantycznej takiej, jaką ją losy narodu i nastrój wielkiej poezyi ukształtowały.

„Czwarte wreszcie, t. j. ściślejsze ukochanie poetki z wyboru i powinowactwa — to Warszawa, ognisko życia na schyłku XIX wieku“ (str. 27—28).

Charakteryzując typ poetycki, do którego należy Konopnicka, nazywa go autor geniuszem podobieństw. Widzi bowiem między poetami trzy typy. Pierwszy odznacza się „przewagą podobieństw ze swoją epoką nad różnicami“: geniusz podobieństw; wyraża on i odbija (w stopniach różnych, jak różne są stopnie geniuszów) główne, najcharakterystyczniejsze cechy swej rasy, środowiska, momentu dziejowego. To w najwyższej skali Mickiewicz, w mniejszych Konopnicka, Sienkiewicz, Pol. Typ drugi przedstawia cechy wprost przeciwne: geniusz przeciwieństw. Typ trzeci, najmniej liczny, to samotnicy, — oni dopiero odsłaniają „całą potęgę różnic, jakie mogą zachodzić po-

między danym ogółem a wybitną jednostką"; to Shelley, Verlaine, Słowacki.

Otóż Konopnicka jest jednym z najwyborniejszych przedstawicieli typu podobieństw; nawet wyróżniająca ją — zdaniem autora — od innych poetów pewna „warszawskość" jest wynikiem nie tyle jej indywidualności ile wpływu środowiska.

Teraz portret indywidualny poetki.

Lata 1880—1890 są najpłodniejsze w plon poetycki Konopnickiej, i jakościowo najważniejszę. W tych latach wypełniła ona swą rolę w naszej poezyi i w życiu. Reszta to doskonalenie się wirtuoza, poety, samego w sobie, — praca ważna dla niego samego, ale „często nie dorzucająca już nic do roli jego wobec społeczności". Te lata są epoką, w której objawiły się wszystkie charakterystyczne odmiany jej liryzmu, — późniejsze są doskonaleniem formy i treści.

Taki jest ogólny sąd autora o poetce. Teraz już wiemy, jakie on wobec niej zajmie stanowisko, już z góry możemy wskazać, co uważać będzie za najważniejsze i największe w jej twórczości.

W pierwszej seryi wśród wierszy mdłych, retorycznych, wśród tonów ckliwych a fałszywych odzywa się „pierwszy, pewny a szczery i zupełnie własny ton poezyi Konopnickiej": to „Obrazki", „motywy z kaźni wielkomiejskiego życia", wiersze, w których idea socyalna łączy się z doskonałą formą, „gromadka prostych, prawie spokojnych, choć w krzyk krzyczących niemym bólem „Obrazków". To jest w tej pierwszej seryi najważniejsze, to jest pierwszy krok w rozwoju prawdziwego poety.

Drugim tonem, który odróżnimy w poezyi Konopnickiej, jest — począwszy od drugiej seryi — ton poezyi ludowej. Ton ów pierwszy, socyalny, powtórzy się już bez udoskonaleń. Za to wpływ poezyi ludowej będzie nadzwyczajnie silny i nadzwyczajnie błogi w swej działalności; orzeźwi formę, odświeży dyalektykę poetki, formie da przepiękną muzykalność, dyalektyce szczerość i prostotę; odrodzi wreszcie, co najważniejsza, treść.

Te dwa główne, oddzielne tony w poezyi Konopnickiej autor wyróżnia. „Dwie moce, jak dwa skrzydła, nad poziom serc zwyczajnych ją wynosiły. Jedna — to moc własna poetki — moc ukochania nędznej doli ludu, a w nim — proroctwa odrodzenia. Druga — to moc własna ludu — moc, która cud odrodzenia sprawiła, jak to wiemy, przedewszystkiem w formie i treści samej poetki".

Na tem autor właściwie już kończy nie powiem rozbiór dzieł,

ale rozumową analizę poetyckiej indywidualności Konopnickiej. Bieg myśli książki, dotąd mimo wdzięku formy, nadzwyczaj ścisły i jasny, tu się załamuje. Odrębność i waga zjawiska poetyckiego, któremu imię Konopnicka, dla autora krystalizuje się i kończy właściwie na drugiej seryi. Na końcu książki dopiero Potocki wraca do czwartej seryi i do „Italii", aby pokazać, że jednak w poetce zaszła zmiana, że z dawnego chorążego wielkich haseł powstał wirtuoz słowa, rozmiłowany w pięknie i we własnym smutku. Tutaj zaś, wykazawszy owe dwa główne pierwiastki twórczości Konopnickiej, daje jej syntezę (wyrozumowaną, w przeciwieństwie do owej pierwszej, w początkach dzieła, rzuconej *a priori*). Zwraca jeszcze raz uwagę na jej tak ścisły związek z życiem, z wydarzeniami jego i hasłami; przedewszystkiem na to, że „w jej poetyckiej syntezie najsilniej, najoryginalniej wybiły się składniki takie, jak obrona sprawy wydziedziczonych i doszukiwanie się w charakterze ludu sił twórczych narodowych". Zaś w syntezie poetyckiej ogólnonarodowego ideału, Konopnicka jest spadkobierczynią epoki romantyzmu.

Książka napisana nadzwyczaj żywo, barwnie, porusza wiele kwestyi ogólniejszych, związanych z głównym tematem. Do streszczenia niezbyt łatwa: powyżej podaliśmy najważniejsze punkta, na które autor rzucił światło najsilniejsze; ale oczywiście wiele rzeczy trzeba było pominąć.

A teraz, skoro mniej więcej wiemy, z kim mamy do czynienia, zstąpmy z hymnu do zwykłej powieści, powiedzmy autorowi należne pochwały, po których nastąpi nieuchronne „ale", nastąpi dyskusya.

Wskazaliśmy powyżej, że książka napisana jest nadzwyczaj przejrzyście i jasno. Jasność ta zaś bardzo jest daleka od oschłości, od pedantyzmu. Owszem czyta się książkę jak powieść, a idee naczelne, główne, wrażają się od razu w pamięć i składają się od razu na trwały obraz. Pochodzi to stąd, że dzieło jest poważnie obmyślane przez autora Ponieważ zaś nie można powiedzieć, aby ta ogromna zaleta grasowała znowu tak bardzo w naszej krytyce dzisiejszej, więc szczegół ten należy podkreślić i zapisać autorowi jako *plus*.

Znana to rzecz z książki o Wyspiańskim i z mniejszych rozpraw, jak przepysznym językiem Potocki pisze swoje rzeczy, jaki ma świetny, zgrabny, ozdobny, błyskotliwy styl, jakie kreśli czasem bajeczne obrazy. Przypomnę tu choćby ustęp o Asnyku i jego roli wobec postępowców (str. 3), albo o odgłosach i hasłach epoki po-pozytywistycznej

(str. 6, koniec rozdz. 1), albo charakterystykę „Obrazków“ z pierwszej seryi (str. 49), albo ustęp o mocy pierwiastku ludowego (koniec str. 63)— przytaczam kilka zupełnie na chybił trafił, na wyrywki, przytaczam te, które mi najsilniej utkwiły w pamięci, — ale im podobnych rozsianych jest po książce pełno. Potocki jest w swych studyach literackich daleko większym artystą, aniżeli w swej belletrystyce. Czasem wysunie się żądło ironii, raz więcej, drugi raz mniej subtelnej i głębokiej (dwa przycięcia dostały się Chmielowskiemu). Prawda, że jeszcze w tym stylu, w tem obrazowaniu, potkniemy się niekiedy o jakąś przesadę, sztuczność, o gonitwę za zbyt wyszukanem, zbyt oryginalnem określeniem, jeszcze czasem brak tego najwyższego artyzmu: prostoty, ale takich rzeczy jest bądź co bądź mało, i wrażenia całości nie psują. Co więcej: w szkicu o Konopnickiej jest ich bezwzględnie mniej, niż w studyum o Wyspiańskim.

Dosyć często, częściej zapewne, niż w poprzedniej książce, spotykamy tutaj uwagi powiedziałbym metodyczne, ogólne spostrzeżenia krytyczne, literackie. Czy te uwagi są wyłączną własnością duchową autora, czy wysnute z zasad krytyki francuskiej (bo jej wpływ jest widoczny), nie śmiem rozstrzygać; tak np. traktat o tem, co to jest geniusz podobieństw, nawet gdy jest oryginalny, ma za punkt wyjścia naukę Taine'a, to znać. Ale mniejsza o to: dość, że te uwagi, spostrzeżenia, są doskonałe. Znowu na wyrywki przytoczę: spostrzeżenia, jak trzeba badać poetę-liryka (str. 28—29), wspomniane już określenie geniuszu podobieństw a przeciwieństw, w niem zaś zwłaszcza głębokie (a przytem wesołe!) wytłumaczenie wielkiej zawsze popularności geniusza podobieństw (str. 31—32), — ustęp o rytmice i melodyjności pieśni ludowej (str. 57—58). ciekawe uwagi o ujemnym wpływie cenzury na literaturę (str. 73—77). Te właśnie uwagi i spostrzeżenia, w związku oczywiście i na tle ogólnej metody badania i przedstawienia rzeczy, stanowią o wartości naukowej, krytycznej, dzieła, — więcej, niż piękne obrazy, świetny styl. I one razem wznoszą szkic o Konopnickiej wysoko ponad poziom fejletonowy, zbyt niestety, dzięki dziennikarstwu, rozpowszechniony w naszej nowszej krytyce.

Tem też książka omawiana przewyższa studyum o Wyspiańskim, które wprawdzie architektonikę ma pyszną, ale zresztą do nazwy naukowej książki ma prawa mniej. Jeszcze jeden charakterystyczny szczegół te dwa pisma różni. Wskazywaliśmy w poprzednim sprawozdaniu, że Potocki wobec zjawiska literackiego staje w roli widza, który rzecz obserwuje i stara się ją wytłumaczyć, nic więcej; zaznaczyliśmy też,

że takie stanowisko jest błędne i jednostronne, bo wobec zjawisk literackich czy chcemy czy nie chcemy musimy także być sędziami. Otóż w szkicu o Konopnickiej Potocki schodzi cokolwiek z dawnego stanowiska. Jeszcze bardzo niepewnie, nieśmiało, stara się to, co zgani, usprawiedliwić, ale zawsze już schodzi. Już przyznaje, że ani jedna z górskich pieśni (z cyklu „W górach") nie przemówiła mu głębiej do serca (str. 42): już nazywa „Klaudyę" i „Tarczę Scypiona" pseudopoemacikami, słyszy w nich tony mdłe i niezdecydowane (str. 44); wogóle w pierwszej seryi razi go to, że „w wielu z tych idylli, elegii, płynięć we trójkę z obłoczkiem i listkiem róży Konopnickiej — wiąże się jakiś ton, trochę przecklony, trochę fałszywy — ton dziwnie łatwo znajdujący oddźwięk u estradowych deklamatorów, u inteligentnych pięknych pań rautowo uprawiających postęp" (str. 49); dusza poetki zdaje się mu być przyblakłą nieco w abstrakcyach (str. 65); przyznaje, że poezya Konopnickiej zbyt jest retoryczna (str. 77), usprawiedliwia tylko ten fakt plagą wspólną. Z tego zwrotu u Potockiego-krytyka należy się szczerze cieszyć, bo jest to wzbogacenie, powiększenie jego metody. Nie potrzebuję się z tego zdania tłumaczyć, bo rzecz jest jasna. Nie o to idzie, aby jeden pisarz drugiemu mówił grubijaństwa a galerya ryczała z uciechy. Pokaż istotę poety, wykaż jego zalety, ale nie pomijaj i tych rzeczy, które są gorsze, bo to także jego rzeczy, bo to także część jego twórczości, i wyrzucać ich nie masz prawa. To jest jedyne stanowisko, na którem stać powinien krytyk, poważnie pojmujący swoje zadanie.

Polemika nasza z autorem dotyczy tylko szczegółów. Albowiem za zupełnie trafne należy uznać i określenie doby, warunków społecznych, wśród których rozwijała się twórczość Konopnickiej, i charakterystykę typu, który ona przedstawia, i charakterystykę jej indywidualną. Na to wszystko zgoda, — nie masz zgody w kilku szczegółach.

Są dwa rozdziały w książce Potockiego, tłumaczące bardzo pięknie, dlaczego zjawił się taki poetycki talent kobiecy, co usprawiewiedliwia „wtrącenie się geniuszu żeńskiego w kolisko naszych przemian duchowych, o których rozstrzygał dotąd miecz bohaterów i proroctwo wieszczów". Otóż w jednym z nich pojawia się określenie, ktoremu niepodobna przyznać nie już trafności, ale wogóle realnego rozumowego powodu. Konopnicka jest dla autora w każdym calu Polką, „po prostu nawet Laszką ze wszystkimi powabami i wadami, które nam typ Laszki-Polki jawi". Jak się ta Laszka tu pojawiła, tak

została już do końca książki. Co to jest ta Laszka? kto ją i gdzie kiedy widział? czemże się ta Laszka-Polka różni od innych Polek? Ta Laszka brzmi tak jakoś dziwnie, jakby echo pogrzebanych już dawno i dobrze pseudo-naukowych rozpraw z przed pięćdziesięciu lat. Wogóle nie rozumiem, co autor chciał przez to wyrazić. Podejrzywam (przepraszam za podejrzenie, jeżeli niesłuszne), że z tego nazwania sam autor dobrze sobie sprawy nie zdawał, bo zostawił je bez jakiegokolwiek wyjaśnienia, podczas gdy wszystko inne objaśnia i tłumaczy. A jednakże tak mu się ono spodobało, że używa go stale, a co więcej, przenosi na miasto: Warszawa to wielka, piękna, zalotna Laszka miast polskich!

Z tą laszkowatością Warszawy przechodzimy do drugiego punktu spornego. Punktu dosyć trudnego do rozwikłania. Doba i środowisko tłumaczą — między innemi naturalnie — poetę. Środowiskiem, w którem żyła Konopnicka, była Warszawa; życie epoki, która się odbija w jej poezyach, koncentrowało się w Warszawie. Stąd wniosek: Warszawa jest ściślejszem ukochaniem poetki, ściślejszą ojczyzną jej geniuszu, jej powinowactwem z wyboru i t. d.; trzy pierwsze serye jej poezyi to „razem świetna charakterystyka miasta i poetki“. Niemal całą wcześniejszą epokę twórczości autor odnosi do Warszawy. Jest cykl „W górach“: to wpływ Warszawy, bo to doba, w której Chałubiński „odkrywa“ Tatry. Nowy ton, w który poetka uderzy w pierwszej seryi, to „ton wojującej Warszawy“: „Obrazki“ noszą wyraźne piętno warszawskich stosunków. Chronologię wzruszeń miasta możnaby ułożyć, czytając dzieła Konopnickiej. Zwrot ku poezyi ludowej poetka zawdzięcza Warszawie, bo tam się ten kierunek zrodził i rozpoczął. Warszawie też — i jej sztuce pisania cenzuralnie o rzeczach niecenzuralnych — zawdzięcza swą retoryczność.

Otóż w tych wszystkich, powtarzających się często wywodach o „warszawskości“ Konopnickiej dwa punkty rozróżniamy; korzyść rzeczywistą: to jest wskazanie przez autora związku poezyi z życiem Warszawy i geneza bardzo wielu utworów, — a obok tego myśli, na które się niepodobna zgodzić. Owa „warszawskość“ poetki jest najwyłączniej zewnętrzna, czysto przypadkowa. Trzeba dopiero znać Warszawę i jej losy z przed lat kilkunastu, trzebaby samemu brać udział w jej życiu, aby się dopatrzyć wpływu miasta na poetkę. Charakteru jakoby warszawskiego poezye jej nie mają, są zbyt ogólne, czasem ogólnikowe. Autor sam nagromadził dowody przeciw swemu zdaniu. „Obrazki“ dadzą się odnieść do każdego innego miasta i każdego

innego kraju, niema w nich nic specyficznie polskiego, nic specyficznie warszawskiego. A inne wiersze? Więc np. „Do granicy“ albo „Chodziły tu Niemce“. Cóż tu jest warszawskiego? Oto, jak autor tłumaczy, do Warszawy przyszły wieści z zaboru pruskiego o nowych gwałtach i walce o ziemię. Przychodzi znowu wędrówka chłopska za morze, Warszawa się nią żywo zajmuje, i oto powstaje „Pan Balcer w Brazylii“. I inne tym podobne fakta. Bez żartów, tak autor rzecz tę przedstawia. To jest przecież rzecz najzupełniej zewnętrzna, przypadkowa. Gdyby Konopnicka była w tej epoce żyła w Krakowie, to tam tak samo te wieści przyszły, tak samo się niemi zajmowano, i takie same wiersze byłyby powstały i tak samo nie mielibyśmy żadnego prawa mówić o krakowskim charakterze jej poezyi.

Wszystkie ustępy i wzmianki, poświęcone tej „warszawskości“ są trochę niejasne i trudne do wytłumaczenia. Na ich dnie leży własne przywiązanie autora do Warszawy, bardzo widoczne. Ale na ich dnie leży też rzecz inna, którą silnie należy wytknąć. Jest tam nigdzie niewypowiedziane wyraźnie, ale zato wyraźnie dające się odczuć identyfikowanie Warszawy i Królestwa z Polską, pominięcie innych dzielnic; to co się dzieje w Warszawie i w Królestwie, to się dzieje w Polsce, tam jest centrum wszystkiego, tamto tylko zasługuje na uwagę. Partykularyzm, który gdyby się rozszerzał, grozi wielkiem niebezpieczeństwem. Już niestety w życiu inaczej wygląda Polak z Galicyi a z Królestwa a z Księstwa; — nie dopuszczajmyż tego partykularyzmu do literatury, do nauki, bo wtedy jeszcze się bardziej rozszerzy, zamiast zmniejszać. Potocki w ten błąd popadł. I to się zemściło już na nim samym: bo oto czytając jego książkę, zbyt często pytamy: więc jakże? więc Konopnicka to poetka Warszawy i Królestwa, a nie polska? Oczywiście tej myśli autor wywołać nie miał zamiaru, a ona jednak wraca.

Jeden jest tylko rys w twórczości poetki, który odnieślibyśmy do tej „warszawskości“. Jest nim zależność od haseł i zasady pozytywizmu, którego piastunem była u nas Warszawa. Przyćmienie katolickich przekonań, osłabienie wiary, które zaprowadziło poetkę nieraz do pesymizmu, czasem nawet do wyzywania Boga, tłumaczy się dobrze wpływem tego najbliższego środowiska. Na szczęście pozytywizm, o ile przeczył objawieniu, już dziś się przeżył, i poetka z tej strony nie ma już dzisiaj żadnej przeszkody do daleko idącej ewolucyi.

Tą uwagą, także i w stronę poetki zwróconą, a z głębokiej życzliwości płynącą, kończymy nasze sprawozdanie.

Dr. St. Dobrzycki.

Bohdan Zaleski. Napisał *Stanisław Zdziarski.* Lwów. 1902. Towarzystwo wydawnicze. (Str. XV, 420).

Autor w przedmowie swojej powiada, że mamy cały szereg wybitnych poetów naszych XIX wieku, którzy dotąd nie doczekali się biografa; do rzędu takich należy Bohdan Zaleski. Miał on wprawdzie, tak twierdzi p. Zdziarski, do dzisiaj kilka biografii, mniej lub więcej obszernych, ale żadna z nich nie jest ani wyczerpująca, ani też traktowana ściśle naukowo; tymczasem, z biegiem lat, uzbierało się sporo materyałów do skreślenia dokładnego wizerunku duchownego i biografii Zaleskiego. Brak więc z jednej strony sumiennej, opracowanej naukowo biografii i konieczna jej potrzeba z drugiej, a obfitość materyału źródłowego, skłoniły autora do podjęcia badań nad życiem i dziełami ukraińskiego słowika. Mimo tego przeświadczenia, tak dalej mówi pan Zdziarski, że studyum niniejsze nie zdołało wyczerpać wszystkich wiadomości o życiu Zaleskiego, a w niejednem myśl poety musiało pominąć z powodu nieprzezwyciężonych trudności; mimo tego jednakże postanowił p. Zdziarski wydać je w setną urodzin poety rocznicę, boć przecież już czas, aby nauka oddała poecie to, co się mu od dawna należy, na co życiem i dziełami sobie dobrze zasłużył. Niechaj praca ta, nakoniec zaznacza autor, stanie się fundamentem, na którym ktoś wyrzeźbi w przyszłości i lepsze i wszechstronniej pojęte i więcej do rzeczywistego podobne oblicze duchowne poety.

Nie ulega kwestyi, że praca niniejsza pana Zdziarskiego jest cennym przyczynkiem do charakterystyki życia i działalności Bohdana Zaleskiego i że nagromadzono tu najwięcej, do obecnej chwili, ciekawych a poruszających wiadomości z życia naszego znakomitego poety ukraińskiego. Ale także nie można zaprzeczyć, że niektóre kwestye w przyszłości muszą być lepiej, dokładniej zbadane i przy pomocy odnośnych materyałów inne o nich otrzymamy wyobrażenie; pewne z życia poety chwile, zapewne, potrzeba będzie do innych trochę odnieść czasów. Tak np. nie wiedziano na pewno, w którym roku wstąpił Zaleski do szkół w Humaniu; autor mniema (str. 15), że zupełnie tę sprawę rozstrzygnął; nam się jednakże zdaje, że dopóki nie będziemy mieli owoczesnych spisów uczniów humańskich, dopóty pewności w tym względzie nie zdobędziemy. Mieliśmy pod ręką „Materye z nauk w szkole powiatowey Umańskiey“ i t. d. z r. 1815 i tam w drugiej klasie znajdujemy (w spisie uczniów) naszego poetę podanego — „Zalewski Józef“; późniejszy przyjaciel jego Jan Krechowiecki, był wtedy w III klasie pierwszoletniej (autor twierdzi, że piąta była dwuletnią;

w tych „Materyach“ wyraźnie powiedziano, że dwuletnią była trzecia klasa); w roku następnym Krechowiecki był pomiędzy celującymi uczniami klasy III drugoletniej, jak się to przekonać można z wizyty szkolnej w Humaniu od 1 do 9 lipca 1816 r. odbytej przez Jana Rudominę (oryginał jej był w zbiorach Giejsztora, a teraz podobno jest to w bibliotece Przeździeckich). Czy Zaleski był w I klasie w Humaniu, czy od razu wstąpił do II, na to podobno, także niema pewnych świadectw. Kiedy się spotkał Zaleski w Humaniu z takim np. Michałem Grabowskim, tego równie nie wiemy z pewnością. Najwięcej biograficznych szczegółów podaje o Grabowskim Jan Krechowiecki („Wiadomość o życiu M. Grabowskiego“, Kraków 1868 r.) z których jednakże wypływa fakt, że Grabowski był u Bazylianów w V i VI klasie, ale kiedy to było, dat brakuje, a skądinąd wiemy, że M. Grabowski w 1817 r. był w liczbie celujących uczniów klasy III szkół jezuickich w Romanowie (cf. „Kalendarzyk połocki“ na r. 1818), więc można się tylko domyślać, że Grabowski jeszcze rok był w Romanowie i dopiero do V klasy podążył do Humania. Dosyć znajduje się szczegółów o stosunkach koleżeńskich Zaleskiego z Goszczyńskim w pięknej pracy p. Z. Wasilewskiego p. t. „Narodziny poety-romantyka“ (*Ateneum* 1895), ale i tam niekiedy chronologiczne wskazówki nie są dostatecznie wyraźne; nie mógł ich zawsze zaczerpnąć autor w cytowanym pamiętniku, nie drukowanym jeszcze, Goszczyńskiego. Że Zaleski na chrzcie nie otrzymał imienia Bohdana, jak utrzymuje autor (str. 4), świadczą pomiędzy innemi niedawno wydane listy S. Witwickiego (cf. str. 120), czytamy tam bowiem: „Mój drogi Józefie, który się Bóg wie na co i po co przezwałeś imieniem hajdamaki, i któremu pierwszy podobno publicznie dopomogłem“ (t. j. w tem) i t. d.

Na str. 137 autor twierdzi: „Ponieważ zaś ks. Adam Czartoryski dokładał wszelkich starań, aby tylko rozbić jedność emigracyi, przeto czynności jego oburzyły niesłychanie ogół stronnictw w Paryżu i na prowincyi. Sprawa ta uzyskała wyjątkowo jednomyślność wszystkich, i cała emigracya postanowiła zaprotestować przeciwko takiemu postępowaniu. Wnet posypało się w czasopiśmie p. n. *Nowa Polska* parę tysięcy podpisów. Nie ociągał się i nasz poeta od akcyi w tym kierunku, — owszem, jeden z najpierwszych pośpieszył z protestem, skoro tylko dowiedział się o zaszłem wydarzeniu, — 25 września położył swój podpis wraz z gronem przyjaciół. Pan Zdziarski, opracowując żywot Bohdana Zaleskiego, mógł naturalnie nie znać dzieła o emigracyi polskiej Gadona, które wyszło jednocześnie, przedstawia-

jąc gruntownie i wyczerpująco tę gorszącą i bardzo smutną dla nas sprawę owego adresu, wymierzonego przeciw Czartoryskiemu, któremu właśnie rząd rosyjski wszystkie olbrzymie skonfiskował dobra, na śmierć go skazując; ale p. Zdziarski, wertując *Nową Polskę,* mógłby — powinienby nawet — do *Kroniki emigracyjnej polskiej,* współcześnie wychodzącej, zaglądnąć, a przekonałby się z niej, że tacy mężowie, jak Niemcewicz, Kniaziewicz, Dembiński, Barzykowski i ogromne mnóstwo emigrantów, zaprzeczyli uroczyście owym potwarzom na Czartoryskiego rzucanym; odezwa takich głośnych i zasłużonych ludzi musiałaby, tak sądzimy, wpłynąć na p. Zdziarskiego i nie wygłosiłby tak apodyktycznie zdania swego, zupełnie nieuzasadnionego, o księciu Czartoryskim.

Ukazanie się Towiańskiego na emigracyi i powstająca tam towiańszczyzna, która jednakże Bohdana Zaleskiego nie. mogła w swoje złowić sieci, nie jest wyczerpująco przedstawiona. I w żaden sposób nie możemy się zgodzić ze zdaniem autora na str. 324 wygłoszonem, że towiańszczyzna była potężnym prądem religijnym, którego skutki dla życia narodu były wprost nieocenione, a dla literatury objawiły się w potężnych strofach „Króla Ducha“, co długo będzie jeszcze pochodnią dla młodych pokoleń! Towiańszczyzna właśnie zwichnęła religijność narodu, a na manowce sprowadziła ogromny talent, geniusz powiemy nawet, nieśmiertelnej sławy poetyckiej Słowackiego; Goszczyński, ów drugi Humańszczanin, przytłoczony został przez Towiańskiego. .

Nie wchodząc w szczegóły estetycznej analizy, zgadzamy się zupełnie z autorem, co się tyczy ostatecznego ocenienia talentu Bohdana Zaleskiego. Słusznie p. Zdziarski powiada (str. 419), że Zaleski został w drugim poetów naszych rzędzie, lecz ma swoje wielkie znaczenie w dziejach rozwoju poezyi polskiej; on to, jeden z najpierwszych, zaczął wprowadzać do poezyi kunsztownej motywy z ust ludu wzięte; nie naśladował nikogo, starając się usilnie o oryginalność, o wypiętnowanie na swoich utworach indywidualnych cech, które go odróżniały od innych poetów; nuta ukraińska, jaka tętni w jego poezyi, jest zupełnie oryginalna i odróżnia go od mnóstwa t. zw. poetów szkoły ukraińskiej, której Zaleski jest mistrzem i najwybitniejszym przedstawicielem; za zasługę należy mu poczytywać to także, że wykształcił rytm, rym i całą formę wiersza niesłychanie zręcznie, że nadał strofom poezyi swojej niezwyczajną, niebywałą prawie dotąd melodyjność; nadto był Zaleski i został dotąd najlepszym lirykiem doby romantyzmu polskiego.

Całe to swoje opracowanie autor zamknął w jedenastu rozdziałach: wiek młodociany od r. 1802—1819, w Warszawie i Królestwie 1820—1831, pierwszy okres twórczości 1818—1831, pierwsze lata na emigracyi 1831—1836, drugi okres twórczości 1831—1836, na „czumactwie" 1837—1841, trzeci okres twórczości 1837—1840, w ognisku rodzinnem, 1841—1864, upadek natchnienia poetyckiego, 1841—1864, schyłek życia i twórczości 1865—1886, zakończenie, w którem wiele trafnych uwag.

Wołyniak.

Z wygnania (4-ka, str. 31). **Spotkanym w drodze wrażeniom i ludziom** (16-ka, str. 56). **Pejzaże** (16-ką, str. 78). Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*. Kraków. 1901.

Może niecierpliwie czekali czytelnicy, czy *Przegląd Powszechny* przyłączy głos zgodny do ogólnego sądu, który brzmiał bardzo przychylnie dla utworów, wymienionych w nagłówku. Istotnie: tyle tam nasion najlepszej poezyi zeszło, że wypadałoby szerzej opisać i to, co już doszło do zupełnego rozkwitu, i to, co na autorkę nakłada dalszy obowiązek pracy nad rozwojem sił wybitnych, a wyzyskanych czasem w tych zbiorkach za mało. Ale na zamierzoną pierwotnie dłuższą ocenę ciągle jeszcze nie pozwalają ramy *Przeglądu*. Aby zwłoka nie przekroczyła możliwego kresu, trzeba tu obrać drogę, która pozwoli urobić pojęcie o rodzaju nowej siły twórczej i treści jej pracy: urywki wybrane z wymowniejszych ustępów przesnują przed okiem czytelnika przewodnią myśl utworów.

Wygnanka z raju w ziemskiej tęsknocie słyszy, jak nuta taneczna „Na włosie złotym rozbujanej struny W iskrach brylantów i w obłaskach łuny Wirowym skrętem waży się i zwija..." Słyszy to samotna i widzi, że swobodnie, lekko, ochoczo „Na radość i na gody Świat woła młody... Leją się wonne miody... Wiosna — Weselnica Oblicza rozświéca, Stroi brzegi kruż W wieńce wonnych róż, Między miłych gości Chleb łamie miłości". Wygnanka na ten widok czuje dokoła święto ziemskie, ale niezaspokojona jego weselem, nie biegnie za drugiemi na jego obchód.

Mimowolnie przecie wyznaje, że czułaby chęć, żeby pójść tam, gdzie „Między ludzkością fala się toczy... Uśmiechem lśni się a płynie łzami, W pieśni powstaje, w westchnieniu kona, Jak sen urocza, kona ze snami... I dalej idzie, i drży, i płonie... Ja stoję cicho, patrzę stęskniona, Widzę jak fala porzuca ludzi... A jednak pragnę, pragnę

ogromnie, Niechaj ta fala we mnie się wzbudzi! Ja stoję cicho, patrzę stęskniona...“ Wszak nie przyzywa do siebie chwil, co poją snami; ...„Miłości chwila? i cóż mi z chwili?“ Daremnie na tę uwagę słyszy odpowiedź pokusy: „O, nie myśl, nie myśl! bo myśl zabija“. Trwa zamyślona nad uwagą: „A jutro?“ i rzuca wesoły pochód; woli uciec „do domu smutnego, Do cienia i chłodu, Żrącego głodu, Żrącej tęsknoty... do siebie!“

I tu jej źle, u siebie; i tu na każdą jej nadzieję czeka „śmierć każdej godziny“; i tu weselsza „chwila ledwo zrodzona, Już kona“. Gorzko czuje poetka, że przestwór świata i wszelka doba szczęścia na ziemi nie wystarcza myślom; nie w świecie nas czeka spokój ojczysty, bo „Nad cieśnią czasu i cieśnią przestrzeni My zawieszeni“. Myśl za bezmiar wieków i nad bezmiar przepaści mknie ku Potędze i Prawdzie i Pełni piękna bez zasłon; więc do niej wydziera ze siebie prośbę: „O, przyjdź, ty wieczna, Niezmienna, konieczna! Tak tęskno, ciemno! O, stań przedemną!... Widzę twarz twoją: Bosko uśmiechniona Błogosławiące podnosisz ramiona I kochające obracasz źrenice Na ukojone w mrok okolice... Wyjdź z wód topieli! Wyjdź z śpiewu głębi! Wyjdź z niebios dali! Wyjdź z mgieł opali!... Odrzuć od siebie to, co nas dzieli, Co cię zakrywa i co mię ziębi, Odrzuć od siebie kształt, dźwięk, zrzuć szaty, Roztop swem tchnieniem doczesne światy!... Jakąś jest w sobie, w swej pierwotności, Zjaw się piękności!... Dusza, jak wielka, otwarta rana Woła na Ciebie! Przyjdź, przeczuwana! Przyjdź, ukochana!“ Ale cień ziemi ciągle zasłania Pełnię niezmiennych czarów, ledwo jej słabym odblaskiem drażni i niewyraźną myśl wznieca... „Niedoszłe bytu embryony myśli!... Cień się ich kréśli Mglisty i chwiany Przez mgieł tumany... Zjawa zanika, ledwo zaczęta, Myśl coś przeczuwa, czy coś pamięta... Wizya zmrokowa... Kształty niknące przy tknięciu słowa“. Przebojem tylko, nie gładkim torem wzrok sobie drogę kuje przez mgły: dojść chce do Pełni wdzięków niezwiędłych, a tylko w pracy, z trudem usilnym chwyta przelotny jej promień z za mgieł: „jaka światłość stamtąd niestworzona Przeczuciom naszym idzie na spotkanie, Jak patrzy miłośnie na nie Ta ukochana: Ona“. Dusza pracuje, przeczuwa piękno i czuje więzy drogi do niego, drogi słupami obowiązku wytkniętej; na oślep nie może tak lecieć bezpiecznie, jak „Potężne, wolne piękności sługi, Niosące w sobie swą drogę, Syny wszechmocy: Żywioły!... Czemuż nie mogę Na wolę wichrów rzuciwszy wodze, Gnać po bezwiednych porywów drodze, Wierząc, że szlak mnie nie wzywa drugi, Że piękność — droga moja i byt?... Czemuż przez

uczuć własnych popioły Drogi swej szukam w samotnej trwodze? Czemu krok każdy — wysiłek długi? Czemu krok każdy — zgrzyt?“ Wolałaby łagodnym prądem niesiona dążyć do kresu: „łabędziem być mi wśród wodnych przestworzy, Który skrzydła poblaskom różowym rozłoży, I tak płynąć, jak płyną bez wioślarzy łodzie“. W podróży przez pustynie rzuca swoje piosnki, ale dla kogo? Wzdycha: „Jestem jak dzwon Rzucony w toń ogromną W słoneczne letnie rano!... Tylko że nie wiem, dlaczego? komu? Na co mię rozbujano?“ Ale ta tęsknota zbyt ciężko dolega duszy, żeby mogła tylko pełzać po jękach bezwładnej rozpaczy; szarpie przed sobą zapory do światła; przemaga więzy; wnet na pomoc duszy przyjdą „Zorze zachodu wielkie, złote i różowe, I przyjdą po nią mroki lilijowych cieni, I przyjdzie oddech po nią od polnego zioła, I przyjdzie, patrząc na nią, światło księżycowe, I przyjdzie gwiazda drżąca i słodka z daleka, I przyprowadzą Tobie, Boże, Twoje dzieci!“

Już dusza przedarła mrok, już w świetle śpiewa: „Runęła ściana — Ciemności prysły... Duch mój umilkły poznał swego Pana, I przed nim w świetle wieczystem zawisły Czas — istnieć przestał, w wieczność się zamienia. Czuję bez słów, bez myśli, duszą obnażoną Bezpośrednio, jak gdyby otwarli mi łono, Jakby nie oddzielona życiową zasłoną, Czuję Pana i wieczność, nie czuję istnienia... Tam, gdzieś na świecie, toczy się tłum, Mętem życiowych wód Gasi wieczysty głód. Łamie się życia szum O świątyń Twoich próg. Tutaj tylko Ty — Bóg... Tam za progiem czeka ciało me — wieczysty mój trud, i znój, i ból. Z wieczności Twojej, Panie, nieprzejrzanych pól Powróci duch mój w ciasność i nędzę człowieka. Daj niech pod jarzmo schyli się miłośnie“... Już prosi ufnie; już po chwili wyzna, że przed jej okiem ustała zamieć... „I dziki wicher stanął nad śniegów podścielą Ponad pustkowiem stepu“, gdzie z krzyża błękitny cień pada, zabiera łzy z oczu, z ducha odmęty... Już widzi przed sobą prawdę jasną: dostrzegła ją w społeczeństwie, któremu z mocy świeżej, jaką posiadła, chce cząsteczki udzielić, zgorzkniałemu chce przyłożyć do ust czarę ducha; kończy jeden z utworów zachętą: „Czy wy myślicie, że przez wasze skargi, Przez wasz jęk wielki chociaż jedno słowo, I jeden obraz, i jedną myśl nową Wyście przynieśli na ziemię?... Ach, i przed wami jęczały już wargi! Ach, i przed wami biło o mur głową Grzebane żywcem pod płytę grobową Nieszczęsne ludzkie plemię!... Wyzwólcie ducha!... To ostatnia chwila... O, rzućcie poza siebie jęk, i płacz, i łkanie, Niech ziemi zostanie! Ach, bierzcie czary lśniące, Ach, wiedźci

te tysiące... Rzesza taka zmęczona, głodna i pragnąca: Kto jej da słońca?... Ach, czas już, czas! Tłum głodny, tłumowi potrzeba Powszedniego chleba! Kto ducha swego w chleb braciom położy Przebóstwionego, aby chleb był Boży?... Ach, czas już, czas! niech prorok z was wstanie, W słoneczne pójdzie zaranie, Ku słońcu pójdzie i przyniesie wina W czaszy swojego ducha, I tłum napoi jako matka syna! Ach, czas już, czas!... Lecz, któż nas usłyszy i któż nas wysłucha?“

Ścięte lodem serca potrzebują słyszeć te słowa poetki i przy ich ogniu cucić skrzepłe tętno do czynu.

O dodatnich albo ujemnych stronach tych utworów czytelnik z powyższych wyroków sam sobie sąd może urobić. Poetce zaś, która tak zaczęła, stanąć po pierwszych krokach nie wolno.

Ks. K. C.

Rosya w przededniu XX stulecia. Z czwartego wydania oryginału rosyjskiego przełożył * * *. Spółka Wydawnicza Polska. W Krakowie. 1902.

Jestto krótki zarys rozwoju politycznego Rosyi w XIX wieku. Autor przedstawia w historycznym porządku dążenie do wolności z jednej, a tendencye autokratyczne z drugiej strony. Analiza ta jednakże nie jest wszechstronną. Czy kto stoi na materyalistycznem stanowisku pojmowania dziejów czy też nie, nikt nie zdoła zaprzeczyć doniosłego wpływu zjawisk gospodarczych na życie polityczne. Sporną jest bowiem tylko miara tych wpływów, nie zaś samo ich istnienie. Autor wprawdzie wspomina niekiedy o nędzy i głodzie, ale nigdy nie rozważa tych momentów w ich ścisłym związku przyczynowym. Jaki przygnębiający i wstrząsający obraz dekadencyi Rosyi odkryli przed czytelnikiem np. Lehmann i Parvus lub Rohrbach w znamiennym artykule, drukowanym niedawno temu w *Preussische Jahrbücher.* To są cyfry i fakta, a cyfry i fakta w epoce dzisiejszej, dążącej do trzeźwych przedewszystkiem rozumowań przemawiają o wiele silniej, niż traktaty polityczne. Swobody konstytucyjne i ustrój parlamentarny mają bowiem zażartych przeciwników nawet na Zachodzie, tembardziej zaś w autokratycznej Rosyi. Autor nie jest wprawdzie zwolennikiem systemu parlamentarnego we właściwem znaczeniu tego wyrazu, bo do tego systemu potrzeba, zdaniem autora, politycznego wykształcenia doświadczonych stronnictw, jakiego społeczeństwo rosyjskie nie posiada jeszcze. Daleko prostszem jest inne rozwiązanie, jak sądzi autor. Należy mianowicie ograniczyć władzę absolutną i oswobodzić monarchę od

poniżających wpływów biurokracyi. Wystarczy ku temu powołanie do życia, czyli utworzenie ciała złożonego z wysłanników ziemstw gubernialnych i nadanie mu mocy orzekania o prawodawstwie i budżetach. Ponad nimi stanąłby senat, oczyszczony z obecnych elementów, zasiadających w nim podług rangi, nie podług zdolności. Ale dlaczego tak ma być? Autor przytacza jako odpowiedź hasła wolności i swobody. Ale daleko silniej przemówiłby do przekonania nawet autokratycznie usposobionego czytelnika argument o konieczności współdziałania ludności już choćby ze względu na lepsze zrozumienie z jej strony, a pośrednio ze strony zarządu państwowego potrzeb gospodarczych, ze względu wreszcie na konieczność ukrócenia samowoli biurokracyi zapomocą kontroli parlamentarnej.

Sympatycznie wydaje się na pierwszy rzut oka inna konkluzya autora, wypowiedziana pod niewątpliwym wpływem Cziczerina, że „przedewszystkiem należy wyciągnąć rękę do uciemiężonych przez Rosyę słowiańskich braci i podnieść ich z poniżenia, w jakiem są pogrążeni". Ale ostudza cokolwiek to uznanie dla autora (które wypowiada zresztą także polski wydawca) zaraz na wstępie zdanie: „Inaczej nie stanie Rosya na czele Słowiańszczyzny, a to tylko może jej dać niezmierną siłę".

Katarzyna II także wyciągnęła rękę do braci dyssydentów, ciemiężonych przez upadającą Rzeczpospolitą polską.

Dr. Z. Gargas

Z piśmiennictw obcych.

Sonnenschein. *Peter Rosegger.* Leipzig. Verlag von L. Staackmann. 1902.

Jakże ten wyraz przetłumaczyć, którym Rosegger określił nastrój ostatniego zbioru swych nowell? *Sonnenschein:* Ani to światło, ani promień, ale sam blask słońca przeświecający przez cały dzień; nawet przez szare chmury i rozpłakaną mgłę deszczu jesiennego...

Zapominają ludzie, że ten *Sonnenschein*, ten blask słońca jest tą światłością, która dzień czyni pożądanym dla każdego kto w ciemności nocy patrzał w widma wyobraźni przemęczonej smutnem przeczuciem lub też umęczony cierpieniem słuchał taktu zegara znaczącego tak wolno bezsenne godziny.

W szarości dzisiejszej doby straciliśmy poczucie tej pogody, tej światłości słońca, która istnieje mimo smutków i zawodów i trosk. I właśnie talent Roseggera wysnuwa z codzienności zwykłej cały szereg ślicznych obrazków, które mówią, że prawda życia jest dość poważną, ale doskonale zgadza się z słonecznym blaskiem poezyi, która wzmacnia serca i napełnia ufnością. „Dużo jest podłości na świecie, są i dnie smutku i próby, ale głowy zwieszać nie trzeba smutnie, tylko myśleć, że chmurki na niebie podnoszą urok krajobrazu każdego. Dnie bez cienia nie są ani dobre ani piękne. Zawsze lubiłem patrzeć na białe obłoki płynące po słonecznem niebie, które jeszcze światło słońca potęguje a wiernym są obrazem naszego usposobienia: zadaniem tych kart jest powiększyć zadowolenie nasze do świata i ludzi, i po wstrząsających przejściach przerażony umysł rozweselić i z światem pogodzić“.

Rosegger lubuje się w przyrodzie alpejskiej i w dzielnej, zdrowej naturze mieszkańców tych górskich kraików. Stwierdzonem jest, że ludy z północnego klimatu najwięcej wykazują energii w walce z życiem. I ci Tyrolczycy mają roztropną, pewną swej siły stanowczość, która nadaje ich czynom jasny, zdecydowany charakter. Obserwacya tyle razy stwierdzona, że gdy jesteśmy zdrowi, wtedy mamy daleko większą odporność nawet względem moralnych doświadczeń, da się wybornie przystosować do ludzi, których Rosegger maluje. Nie sąto wyrafinowane, o wysokiej kulturze duchowej jednostki, ale organizmy silne, zdrowe, umiejące się brać za bary z każdą biedą i znajdujące na każde zawikłanie odpowiedź prędką i prostą; a nawet gdy bieda nie da się usunąć i zwyciężyć, wtedy zamiast się poddawać zniechęceniu i smutnym medytacyom, lepiej, wedle Roseggera, wielkie jakieś głupstwo popełnić. Jest w takiem postawieniu kwestyi coś z tego zbyt swobodnego animuszu Roseggera, o którym pisał *Przegląd* w jednym z poprzednich zeszytów, omawiając antykatolicką książkę tegoż autora. Na szczęście poza tym rysem nie jest autor takim w tych nowellach, jakim był w swej teoretycznej książce.

Miłe są obrazy zimy w górach: oto najpierw pysznie oddany nastrój jazdy koleją w wagonie niby ciepłym, gdzie przy każdej ramie drzwi i okien perli się drobniutki śnieżek a szyby zmienione fantastyczną dekoracyą lodu w jakieś obrazy bajecznych ogrodów, przepuszczają światło mętne i słabe.

Jakże inaczej na wolnem powietrzu przedstawia się zima królowa człowiekowi, który choć w mieście mieszka, jednak jest synem tych

gór. „Śnieg leży biały, błyszczący, ani jednego pyłku ni śladu na iskrzącej powierzchni, chyba jakiś pazur ptaka narysował się na śniegu. Ciemne oko, oko stawu patrzy spokojnie obramione krą lodową, strumyk ani się widzieć ani słyszeć daje pod sklepieniem śniegu. Nieraz stawał wędrowiec, oglądał się i w tę nieskończoną ciszę się wsłuchiwał... To bezdźwięczne dzwonienie końca nie mające. Jakież osobliwe użycie dla słuchu w tej ciszy po huku, brzęku i ruchu miasta. Niebo było szare, nad górami unosiła się delikatna mgła. Las świerkowy. Wszystkie gałęzie i szczyty obramione puszystym śniegiem. Dopiero na grupach świerków widniały masy ciężkiego śniegu, przeginającego gałęzie. Gdzie się pomiędzy nie spojrzało, tam się wykrzywiały jakieś fantastyczne twory, głowy kocie, czaszki końskie koboldy. Jakieś dziwne zastygłe w spokój wieczności; a między nimi jedyna samotna dusza ludzka, nie wiedząca dobrze, czy się znajdywała wśród wielkiej przyrody, czy się wśród niej gubiła, czy też gubiła się sama w sobie?“

Ludzie Roseggera jednakże są zawsze siebie świadomi i opanowani; jeśli taki nastrój marzący ich nawiedza, to tylko wśród ostrej zimy, której podmuch rumieni im twarze i tętno krwi przyśpiesza. I lato ma swe czasy i wdzięk górskich polan kwiecistych działa na te natury jednolite. Ale nigdy nie pozbawia obcowanie z naturą równowagi tych dzielnych Styryjczyków, którzy są chciwi na każdą chwilę, chlubiąc się, że są ludźmi o sześciu rękach.

Wśród weselszych treścią nowellek doskonałą historyą jest opowiadanie o pielgrzymce do Ziemi Świętej tyrolskiego młynarza z energiczną połowicą i synem. Pyszne jest zdziwienie i zgorszenie tych ludzi, że Ziemia Święta zupełnie inna niż na obrazkach, a tak mało w nich budzą zaufanie obce im świątynie, że w samem Nazaret czynią ślub pielgrzymki do Maria Zell za powrót szczęśliwy, tak im się ich własne miejsce cudowne daleko pewniejsze i bliższe prawdzie i świetniejsze wydaje, niż te obce i dziwne miasta święte w Palestynie.

M. Harsdorf.

Die Hochzeit der Esther Franzenius. Roman. *Toni Schwabe.* München. Albert Langen. 1902.

Powieść z nowszego obozu niemieckiej literatury.

Ma ta powieść być psychologicznem studyum, którego zadaniem przedstawienie walki, jaką przechodzi główna bohaterka powieści. Estera Franzenius, w pościgu o serce mężczyzny, Estera Franzenius ma siostrę Maryę, która prócz piękności nie posiada żadnej innej zalety. Widząc,

że Lotar, młodzieniec podobny do niej we wszystkich odcieniach charakteru, idealista, zdolny kochać szerokiem a gorącem sercem, zaręcza się z Maryą, nie chce mącić szczęścia narzeczonych swoją obecnością, lecz uchodzi z domu do Danii, gdzie mieszkają jej krewni. Tu zapoznaje się wnet z młodą dziewczyną, Elżbietą Rude, i na jej zaproszenie udaje się na wieś, należącą do jej ojca Adama, wdowca. Tu zakochuje się w niej syn Adama, Arne, płytki, ale wiele o sobie myślący literat. Estera myśli zrazu, że w nim znalazła swój ideał; zaręczają się więc, ale nie był to mąż dla niej. Arne goni za wielbicielami i uznaniem swych prac literackich. Estera skąpi mu tego, więc gdy przypadkiem inna jakaś dziewczyna obsypała go hojnie wyrazami uwielbienia, czyni Esterze wyrzuty, że tamta lepiej go rozumie i ocenia. Estera życzy mu krótko, aby z tą swoją wielbicielką szukał szczęścia, sama zaś uchodzi z gościny. Przy pożegnaniu daje jej wdowiec Adam list z poleceniem, aby go dopiero w drodze otworzyła. W liście oświadcza jej, że ją kocha miłością, która niczego nie pragnie, jak tylko modlić się do Boga o szczęście dla niej. Estera przybywa do Berlina, gdzie oddaje się kształceniu talentu malarskiego. W Berlinie dowiaduje się też, że Arne zaręczył się z jakąś inną dziewczyną i powoli staje się tak apatyczną i obojętną na wszystko, że ją nawet malarstwo nie zajmuje i uprawia je tylko mechanicznie dla zabicia czasu. Z tej apatyi budzą ją słowa jakiejś damy, która z uniesieniem rozprawia przed nią o sile woli pokonywującej nieprzyjazne losy i zdobywającej sobie szczęście nawet jeśli potrzeba ceną nieszczęścia bliźnich. Pod wrażeniem tych słów powraca Estera znów do domu, aby pozbawić swą siostrę Maryę szczęśliwego pożycia z Lotarem. Zdało jej się bowiem teraz już rzeczą pewną, że z Lotarem wiąże ją taka duchowa równość i łączność, iż przed nią wszystkie inne względy ustąpić muszą. W domu tymczasem nie ma odwagi wyjawić siostrze, po co właściwie przybyła, ani Lotarowi zwierzyć się z swej miłości. Przekonywa się też wkrótce, że Lotar ma odmienne usposobienie, niż sądziła i że tak jest szczerze przywiązany do siostry, iż o odwróceniu jego serca od niej nawet mowy być nie może. Widzi wreszcie, że dla niej samej stał on się obcym. Wtem przychodzi z Danii list od Adama. Prosi ją, aby przybyła pielęgnować jego chorą córkę. Przybyła za późno, bo po śmierci Elżbiety. Adam tymczasem opuścił dom i przepadł bez śladu. Po kilku dniach otrzymuje posłany za nią z Niemiec drugi list Adama z wiadomością o śmierci córki. Nadto pisze, że odtąd nie zmusza go żadna powinność do dalszego życia więc nie chcąc dłużej

znosić nieszczęsnej miłości ku Esterze, zamierza rzucić się do morza. Esterze przychodzi teraz tylko jedna myśl, że „należy do tego, który jej te słowa po śmierci posyła“. Dzieli tedy z nim los; morze przyjmuje jeszcze jedną ofiarę w swe objęcia.

Oto osnowa powieści.

„Dekadentyzm — tak mówi autorka, (str. 125) — przyrównywam do bladego, różowego światła nocnej lampy. Lecz czy to przyćmione światełko nie oszołomia więcej zmysłów, niż proste a zbyt rażące światło słońca“. W tych słowach mamy obraz ducha panującego w całej tej powieści i zarazem najlepszą illustracyę słabych jej stron i niedostatków. Całe dzieło jest poezyą nastroju i to najgorszej kategoryi. W wyobraźni czytelnika przesuwa się w wyraźnych rysach obraz autorki piszącej przy bladem, różowem świetle nocnej lampki. Nie dziw, że i bohaterka powieści ukazuje się w tem bladem, sentymentalnem świetle. Estera jest umysłem chorobliwym, upatrującym w naturze odbicie własnej swej duszy, umysłem, który z swojego otoczenia wydobywać lubi własne, czysto subjektywne zapatrywania i uczucia i to nawet tam, gdzie się zdrowemu rozumowi o tem ani nie śni. Postać to sentymentalna, z ciągłem ach! i biada! na ustach, nie dostrzegająca wkoło siebie nic, prócz smutku i goryczy; jej łzawnica wciąż pełna i gotowa wylewać łzy strumieniami przy lada okazyi. Jest to jakby zahypnotyzowana marzycielka, której myśli płyną więcej w myślnikach, niż słowach, która myśli swoich cało nie wypowiada lecz w urywkach, jakby we śnie je szeptem wymawia Postać jakby z pajęczyny utkana, niezrozumiała dla innych a w części i dla samej siebie, słowem bez hartu i siły i dlatego chyba tylko politowania godna. Tak słaba istota nie może oczywiście odegrać żadnej ważniejszej roli w walce życiowej.

Zarzucić trzeba dalej tej powieści, że jej przewodnia myśl, t. j. walka o duszę kochanka, połączenie obojga dusz i dążenie do tego połączenia przez dobrowolnie obraną śmierć została zupełnie rozwianą i spełzła na niczem i przeprowadzoną jest w pojęciu spaczonem i chorobliwem. Ogólne zatem wrażenie pozostaje niejasne. Powtóre jest ta myśl przewodnia przeprowadzona zupełnie słabo, bez plastyki, bez siły, więcej narzucona jak wyrażona, zostawiona domysłom czytelnika nie zaś widoczna i pochwytna. Co gorsza, brak tej walce znamion jakiejkolwiek tragiczności lub rysów wywierających na czytelnika jakieś głębsze, poważniejsze wrażenie.

Jeszcze jedna uwaga. Toni Schwabe, jako literatka modernistyczna nie mogła przejść mimo postaci Nietzschego, aby nie zaznaczyć

powinowactwa myśli, jakie ją łączy z tym apostołem nadczłowieczeństwa. Nietzschemu więc oddaje głęboki pokłon, jego Herrenmoral służyła autorce za model i wzór tej powieści. Widać to jasno ze słów panny Treller do Estery: „Sądzę — tak poucza ją ta dama — że dla każdego człowieka, nawet i dla tego, który nawykł postępować według według zasad moralności, przyjdzie chwila, w której stanie poza moralnością *(Jenseits der Moral)*. Będzie to dlań chwilą wyjątkową — przyznaniem się do postulatów brutalnego życia" (str. 153). „Ten, któremu wypadnie odstąpić od tego, co uważał za dobre, będzie musiał srogą walkę stoczyć z samym sobą - i prowadzić ją będzie, byle nie dać się zniszczyć". Gdy na to Estera robi uwagę, że może jest obowiązkiem człowieka dać się w ten sposób zniszczyć, by nie stać się przyczyną cudzego nieszczęścia, słyszę kategoryczną odpowiedź: „Przenigdy!" Te to zasady Nietzschego pasują Esterę na rycerkę życia. Jakież uczucie, jeśli nie obrzydzenia i wstrętu, budzi się w czytelniku na widok kobiety w roli „nadczłowieka", wedle recepty Nietzschego.

Książka taka, to pokarm dla chorych żołądków, podobać może się tylko tym, których bawią sentymenta starych panien i chorobliwe uczucia.

Ks. M. Kohlsdorfer.

La vitalite chrétienne. *Léon Ollé-Laprune.* Librairie Académique Perrin. Paris. 1902.

Nazwisko autora tej ciekawej dziwnie wiele dającej do myślenia książki bardzo mało jest znane. Najlepiej określił charakter tego wybitnego uczonego i zacnego człowieka p. Goyau w przedmowie swej, nazywając go filozofem chrześcijańskim. Pan Ollé-Laprune zajął osobne stanowisko wśród świata zupełnie odrębnego uniwersytetu; jako profesor konferencyi w szkole wyższej normalnej w Paryżu godnie snuł tradycye wielkich umysłów, które w tej szkole pracowały lub z tej szkoły wyszły. Zachowując trwały spokój i równowagę, umiał ten uczony katolicki wytrwać przez lat dwadzieścia z górą na stanowisku bardzo trudnem. W ostatnich latach życia swego miał do zwalczenia coraz więcej z tym prądem wrogim katolickiej prawdzie; umierał w r. 1898 w przededniu właśnie tych ostatnich walk, które całą siłą się zwróciły w samo jądro narodu; wychowanie przyszłych pokoleń to zadatek przyszłości ich wierzeń i haseł życia.

Pan Ollé-Laprune zdawał sobie bardzo jasno sprawę z poważnej odpowiedzialności i z trudności swego powołania. Ale w głębi sumienia

tego uczonego przemawiał wyraźnie nakaz wytrwania na stanowisku. Wszystkie katolickie instytuty otwarłyby na oścież podwoje; ale Ollè-Laprune chciał być łącznikiem między światem uniwersyteckim a Kościołem. Przykład skutecznej pracy Ozanam'a świecił przed nim; uważał, że obowiązek każe mu wytrwać na katedrze profesora i że, zrzekając się jej, zmarnowałby siłę, którą mu Bóg włożył w rękę, to jest wpływu na młodzież. Widzieli też w nim niebezpiecznego przeciwnika przywódcy masońscy i w r. 1895 jeden z profesorów, późniejszy senator Delpech, denuncyował Ollé-Laprune'a przed wielkim konwentem masoneryi. Za to, że podpis swój położył na proteście przeciw wygnaniu jednego z zakonów, jakobini wymogli na ministrze oświaty zawieszenie go w urzędzie na 2 lata. Ollé-Laprune przetrwał te próby, a jakby dla utrwalenia swych stosunków z szkołą normalną, zrzekł się swej pensyi na dochód stowarzyszenia dawnych uczniów. Podziękowania publiczne przypomniały jego nazwisko, adres jego słuchaczy (między nimi jest nazwisko socyalisty Jaurès'a), wyraziście potępiał zarzut o rzekomej nietolerancyi i stronniczości swego profesora

Ollé-Laprune powrócił po tej pauzie do swych zajęć profesorskich, pojmując zadanie katolickiego uczonego jako przykład, że można razem pracować z ludźmi innych pojęć, ale z wyraźną ideą służenia przedewszystkiem prawdzie.

Praca nad młodzieżą z jednej strony, praca uczonego z drugiej, oto co wypełniało życie Laprune'a. Jego dzieło *La Certitude morale* nazywają niektórzy jednem z najpiękniejszych dzieł swego wieku; wskazywał bez umęczenia źródła siły, spokoju, równowagi i zarazem konieczność pracy woli dla odrodzenia moralnego tak jednostki jak całego społeczeństwa. Przytem umiał w swe dowodzenia wnieść tę jasność pewności, która zawsze jest daleką od fałszywego i zgubnego liberalizmu, jak i od zbytecznej, skrajnej i odstraszającej surowości.

Prace na polu filozofii i rozprawy o Arystotelesie wyrobiły Laprune'owi stanowisko wybitne w świecie uczonym. Starano się w obozie przeciwników zabić milczeniem prace katolickie. Nie udało się to, nawet sfery urzędowe musiały oddać sprawiedliwość Laprune'owi, udzielając mu orderu Legii Honorowej. W r. 1897 Akademia nauk moralnych mianowała go swym członkiem. Ale tego zaszczytu Ollé-Laprune nie przypisywał sobie. W papierach jego pośmiertnych znaleziono zapiski: „Bogu niech będzie chwała; niechaj to służy do uświęcenia imienia jego, przyśpieszenia królestwa Bożego, do spełnienia i rozszerzenia woli jego świętej“.

Wśród licznych dzieł Laprune'a znajduje się wiele takich, które powinny znaleźć się w rękach współczesnych katolików; tom, który dziś mamy przed sobą, zachęci do poznania filozofa chrześcijańskiego. *Vitalité Chrétienne* składa się z różnych rozpraw i konferencyi filozoficznych, a jednak ściśle do czasów dzisiejszych się odnoszących. Wystarczą nagłówki niektórych. Oto pierwsza rozprawa zajmuje się życiem intellektualnem katolicyzmu we Francyi w w. XIX, dalej przychodzą roztrząsania zadań naszych *la tâche intellectuelle, la tâche morale, les devoirs du moment.* Wszędzie uderza myśl jasna, logiczna, bardzo szlachetna. Podstawa pewna zasad katolickich daje mu śmiałość, a wielka miłość bliźniego ochrania od tego ciasnego formalizmu, który zniechęca. Ollé-Laprune był zawsze *l'homme d'une cause,* ale nigdy *un homme de parti.* To subtelne określenie użyte przez jednego z kolegów Laprune'a, nadzwyczajnie się da zastosować właśnie do niego.

W jednem z przemówień Laprune'a do młodzieży znajdujemy charakterystyczne określenie tej prawdy, że nigdy pokój prawdziwy długotrwały nie może być opartym na wahaniu, ustępstwach i niejasności. Wzywając do przyjaznego i życzliwego traktowania ludzi dobrej woli, ale nieumocnionych w prawdzie, wkłada jednak jako obowiązek wierność, szczerość i przywiązanie do przekonań prawdziwych. Pokój musi być śmiałym i jasnym przez afirmacyę zasad. Pokój przez zatarcie idei przewodnich lub przez neutralność i usunięcie się, przez zapomnienie dzielących kwestyi, nie jest prawdziwym pokojem. Tylko przez dotarcie do dna zagadnień w stosunku z drugimi i z sobą samym, tylko na podstawie szczerości i prawdy można uzyskać pokój prawdziwy: wtedy jako ludzie pokój czyniący posiędziecie ziemię!

Le collège est la préface de la vie — to zapatrywanie Laprune'a czyniło słowa jego przemówień do młodzieży tak bardzo aktualnemi. A często wzywano go jako dobrego mówcę. który budzić umiał entuzyazm u słuchaczy. Niektóre konferencye Ollé-Laprune'a były przedmiotem niekończących się owacyi. Jedna z tych głośnych konferencyi o dojrzałości umysłowej dała uczonemu sławę, którą jednak nigdy nie był upojonym. Owszem, zapiski poufne tego dzielnego katolika świadczą, jak ciągle i zawsze odnosił do Mistrza swego tak powodzenia, jak próby życia.

Chcąc dać poznać Laprune'a, chciałoby się każdy prawie rozdział rozbierać i zgłębiać w tej ciekawej książce. Tyle tam rzeczy odnoszących się do żywotnych dzisiaj kwestyi, takie wezwanie męskie i jasne do walki z błędem. „Siłą każdego błędu jest ta część prawdy, która

w nim tkwi". Tę myśl stosuje Ollé-Laprune przedewszystkiem do herezyi czasów dzisiejszych, to jest do socyalizmu. Uważa, że w czasach naszych trzy kwestye stają się wyznaniem wiary każdego z ludzi młodych i czynu spragnionych: nauka, sprawiedliwość społeczna, wolność demokratyczna.

Te trzy hasła stają się bardzo często i powszechnie hasłem nienawiści względem zasad wiecznej prawdy. W ich to imię potępia się wiarę, jednocząc ją z ciemną, ciasną polityką egoizmów. Złammy tę formułkę! — woła Ollé-Laprune, żądając, aby katolicy, czerpiąc ze źródeł wiedzy wykazywali jasno, że wiara szanuje prawa rozumu, że nie pozwala, aby jedynie uczucie wpływało na wytworzenie zasad. Ten rodzaj wiary chwiejnej, niejasnej, wątłej, nazywa Laprune fideizmem, który jest marzycielską, dyletancką próbą duszy niezadowolonej. „Prawdziwa dojrzałość umysłowa nie panuje tam, gdzie wszystko tylko na instynkcie się opiera; dojrzałość umysłu i dojrzałość serca zaczyna się z tą chwilą, gdy się walczy z chwiejnością wrażeń i okoliczności o wolność dla idei serca. Wzrasta w miarę jak wysiłek staje się coraz pilniejszy i coraz skuteczniejszy. Kończy się z chwilą, gdy wola przez walkę i przez wysiłki zdobyła dla duszy królowanie prawdy i sprawiedliwości".

Ten męski, pełen siły nastrój przenika wszystkie konferencye i rozprawy filozofa. Bardzo jasny i wykwintny sposób pisania czyni dowodzenia ścisłe przystępnemi. Nie na darmo Ollé-Laprune zagłębiał się w Arystotelesie i pisał tak dużo o nim; wszystkie strony dodatnie tej ścisłej dyalektyki wielkiego Greka wpłynęły na uczonego naszego, filozoficzny umysł Laprune'a żądał udowodnienia, zgłębienia każdej kwestyi; pracując bardzo wiele nad wykończeniem każdej rozprawy czy konferencyi, Ollé-Laprune opierał o szczegółowy szemat swą pracę. Bardzo sumiennie i dokładnie spisany tok logiczny dowodzeń, później dzięki wielkiemu talentowi słowa stawał się bujnem i świetnem dziełem wymowy. Czytelnik, ulegając czarowi dowodzeń Laprune'a, równocześnie czuje pod nimi bardzo pewną podstawę.

Jeśli inne dzieła filozoficzne Ollé-Laprune'a o Arystotelesie, Malebranche, Jouffroy lub też książka *La Certitude morale* i *Les Sources de la Paix intellectuelle* są pisane dla pewnej wybranej garstki umysłów przygotowanych do zrozumienia filozofii tego uczonego — to książka *La vitalité chrétienne* może być czytaną z powszechnem zrozumieniem i korzyścią. Głębokie są tam myśli, forma pełna wdzięku i duch jakiś pełen siły i prawdy uderza z kart tego dzieła. *M. Harsdorf.*

Das Evangelium unseres Herrn Jesus Christus nach Lucas monographisch erklärt von *Dr. Roman Riezler*, Prof. in Brixen. Brixen. Verlag der Buchhandlung des kathol.-polit. Pressvereins. 1900 (VIII, S. 640).

Wiek XIX tak obfity w postęp i wynalazki na każdem polu naukowem, pozostawił i w piśmiennictwie biblijnem niezatarte ślady. W każdym kierunku badań naukowych nad Pismem św. wytężono siły. Protestantyzm wykazuje niezliczoną ilość prac bardzo rozbiegających się i przeważnie zawsze nawzajem się wykluczających. W obozie katolickim ruch ten początkowo nieznaczny wzmagać się począł dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku, a z jego końcem poważne przybrał rozmiary. Korzystną widzimy zmianę co do metody i sposobu prac nad Pismem św. i coraz to większe poczucie konieczności, by czerpać naukę Chrystusa Pana z pierwszorzędnego źródła. Jednak z dniem prawie każdym podnoszą racyonaliści zarzuty przeciw jej dokładnemu i jasnemu zrozumieniu. Muszą też i obrońcy Pisma św. spotęgować swe siły i rozszerzyć horyzont prac swoich. Dziś więc gruntowna praca jednego człowieka obejmująca całe Pismo św. jest już niemożliwa. Obecnie całości mogą dokonać tylko wspólne siły. Widzimy więc OO. T. J. Cornely'ego, Knabenhauera, Hummelauera i innych, wydających od lat poważne dzieło: *Cursus Scripturae Sacrae*. To znów *Leo-Gesellschaft* w Wiedniu przy współudziale najwybitniejszych profesorów z Austryi i Niemiec, ukończywszy prace nad Starym Testamentem zabiera się do opracowań Nowego Testamentu i pierwsze prace zamierza wydać w 1905 roku Protestanci podobnych towarzystw dla badań biblijnych mają znacznie więcej.

Dla jednostek, oddzielnie stojących, pozostają już dzisiaj tylko monografie. Jedną z takich mamy przed sobą. Autor zastrzega się, że pisze dla słuchaczy i dla kleru parafialnego. Główną wagę kładzie na dokładne i jasne zrozumienie Ewangelii św.; tak więc formą prostą, jak doborem materyi dąży do wytkniętego celu. Pomija zwyczaj nowoczesnych komentatorów zaopatrywania swych prac rozległemi wiadomościami przedwstępnemi, z któremi załatwia się w treściwej krótkości. Natomiast podaje obszerny obraz stosunków politycznych i religijnych za czasów Chrystusa i Apostołów. Naturalnie ułatwia tem bardzo zrozumienie Ewangelii. Tu jednak oczekiwaliśmy od autora szerszych uwzględnień pism świeckich pisarzy współczesnych, natomiast znajdujemy zbyt częste cytaty z Ewangelii, którymi wyjaśnia autor czasy mesyańskie. W rzeczywistości jednak na podane ustępy winno się

rzucić światło z innej strony, by oświetlić widnokrąg, na którym Chrystus pracował, by wykazać dlaczego tak łagodnie występuje wśród ludu, jak go malują synoptycy, a tak groźnie wśród klas rządzących, jak go przedstawia Jan św.

Sam wykład Ewangelii jest jasny nadzwyczaj przystępnie podany, ożywiony nadto gorącą pobożnością szczególniej do Najświętszej Maryi Panny, która np. w wyjaśnieniu *Magnificat* (str. 75—81) tkliwie się przedstawia. Piękne i porywające są również jego objaśnienia czynów czy słów kreślących miłość Pana Jezusa do ludzi. Wzruszająco tłumaczy historyę męki Zbawiciela, a przedewszystkiem Jego ukrzyżowanie i śmierć (str. 595—609).

Przy tych pięknych zaletach daje się jednak odczuć u autora brak dostosowania się do obecnego poziomu studyum biblijnego, by wyzyskać wszelkie wyniki pomocniczych badań naukowych, nimi wyjaśnić lub w danym razie dostroić je do Pisma św. W obecnych czasach, przesiąkniętych racyonalizmem, komentarz, szczególniej w Niemczech, choćby nawet pisany dla kleru parafialnego, musi się liczyć z atakami przeciwnego obozu i te odbijać bronią naukową. Tę stronę autor prawie zupełnie pomija. Nie możemy również zgodzić się z autorem na jego obronę Ewangelii przeciw podnoszonym zarzutom (str. 93 nast.), że „census u św. Łukasza (II, 1) jest niehistoryczny, bo żaden z dziejopisarzy o nim nie wspomina". Prof. Riezler odbija ten zarzut, powołując się na wzmiankę u Tacyta, że cesarz August miał *Breviarium imperii,* podające ilość obywateli, żołnierzy, siłę floty, ilość państw, prowincyi, podatków i danin (*Annal.* I, 11). Drugim dowodem dla zdania autora jest świadectwo Cassiodora († 570). Po bliższem jednak rozpatrzeniu się, musimy przyznać, że właściwego „census" w czasie Narodzenia Chrystusa Pana nie było. Takie tłumaczenie jest nawet wbrew brzmieniu słów Ewangelii, która mówi: ον ἀπογραφή, ἐξῆλθεν δόγμα παρὰ καίσαρος Αὐγούστου ἀπογράφεσθαι πᾶσαν τὴν οἰκουμένην, a więc św. Łukasz mówi nie o „census" tylko o spisie statystycznym, o takim także mówi historya [1]. Zresztą „census" był niemożliwym w Judei w tym czasie, bo żył jeszcze Heród *rex socius,* w sprawach podatkowych niezawisły od Rzymu.

Można być jeszcze innego przekonania, niż autor w niektórych kwestyach, jednak pracę jego musi się uznać, jako treściwą, podno-

---

[1] Cfr. *Aeticus Ister* z IV w. *Cosmographia* ed. Gronov, p. 26. — *Sueton Aug.* 28, 101. — *Dio Cassius* 53, 30; 56, 33.

szącą i zapalającą ducha. i podającą początkującym proste i łatwe zrozumienie Ewangelii. Zaletą również tego dzieła jest podanie w krótkich słowach oceny komentarzy do Pisma św. katolickich autorów, przez co początkującym oddaje wielką usługę. Praca ta, którą się z przyjemnością czyta, może być pożyteczną tym, którzy nie wchodząc w głębsze badania naukowe, zadawalniają się prostem wyjaśnieniem przedmiotu.

Ks. dr. Stanisław Trzeciak.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Monografie w zakresie dziejów nowożytnych pod redakcyą Szymona Askenazego: „Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem" przez *Józefa Bojasińskiego.* Warszawa. 1902 (Str. XV, 269).

Pan Szymon Askenazy zamierzył pod swoją redakcyą, na wzór „Sbornika towarz. historycznego w Petersburgu" i „Publicationen archiwów stanu w Berlinie", naturalnie w mniejszym zakresie, przystąpić do wydawnictwa monografii mających ogarnąć samodzielnie roztrząsane przedmioty dziejów nowożytnych, nie cofając się wstecz poza wiek XVII, ze szczególnem uwzględnieniem spraw, rzeczy i ludzi polskich w XVIII i XIX stuleciu. Te monografie obejmą już to odrębne epizody i główne postacie zewnętrznych dziejów politycznych, dyplomatycznych, wojennych i wogóle państwowych, jużto odrębne gałęzie albo pojedyncze zjawiska wewnętrznych dziejów ustawodawczych, gospodarskich, tyczących się oświaty i wogóle społecznych. Każda taka monografia składać się będzie w połowie z opracowania, w połowie z dokumentów. Opracowanie zwięzłe i konkretne, wyłuszczy zawartość dostępnego materyału źródłowego o danym przedmiocie, zaczerpniętego z archiwów; dokumenta ogłaszane będą w brzmieniu oryginałów, bądź w całości, bądź w dosłownych wyciągach. Będą tu prace autorów młodych, przeważnie początkujących jeszcze; za ich absolutną przedmiotowość i ścisłość naukową ręczy redaktor, bo wszelkie badania, przeznaczone do monografii, dokonywać się będą pod jego bezpośrednim kierunkiem i co do wyboru tematu, gromadzenia źródeł, sposobu ich zużytkowania i ostatecznej redakcyi tekstu i edycyi dokumentów.

Otóż pierwszy tom takich monografii już wyszedł, opracowany przez Józefa Bojasińskiego; zawiera on dzieje tymczasowe w Królestwie Kongresowem od maja do grudnia w 1815 r.; rzecz zupełnie nowa, nie znana na dokumentach z pierwszej ręki oparta.

Po raz pierwszy na podstawie dokumentów wykazano tu opłakany stan ekonomiczno-finansowy przyszłej Kongresówki, uderzającą chwiejność w ustanawianiu administracyi krajowej, dwojakie dążenia: jedne zmierzające do zjednoczenia i wcie-

lenia tych ziem do cesarstwa Rosyjskiego, a drugie dążące do utworzenia odrębnego królestwa. W ustawodawczem urządzeniu Kongresówki ścierały się cztery prądy: podejrzliwa niechęć statystów rosyjskich, liberalne myśli Aleksandra I, zachowawcze poglądy litewskie i t. z. postępowe pojęcia napoleońsko-warszawskie; każdy z tych prądów sprowadza doniosłe konsekwencye dziejowo-polityczne.

Źródła czerpane były przez autora wyłącznie z archiwów warszawskich bądź rządowych, bądź też celniejszych prywatnych; do Petersburga, Berlina i Krakowa nie udało się mu dotrzeć.

Otóż w tym pierwszym tomie „Monografii“ mamy niemało nowych, ciekawych rzeczy. Do tych zaliczyć należy w pierwszym rzędzie skreśloną tu działalność Lanskoja, generał-gubernatora warszawskiego i W. Księcia Konstantego, którzy już w r. 1814 zmierzali ku zjednoczeniu, w tym sensie, jak o tem zaczęto rozprawiać w r. 1864, różnic w zapatrywaniu się na kwestye prawodawcze i autonomiczne Adama Czartoryskiego i Stanisława Potockiego, prezesa ministrów Księstwa Warszawskiego. Twierdzenia swe opiera autor na wierzytelnych, często nieznanych dokumentach, stąd praca ta na zupełne zasługuje uznanie. *W.*

Julian Apostata. *Kazimierz Morawski.* Kraków. 1901.

Postać Juliana kreśli autor na tle epoki końca IV wieku, kładąc nacisk na stosunki religijne, które wówczas wysunęły się na pierwszy plan. Ze Wschodu szły dwie różne religie na podbój umysłów olbrzymiego imperyum: kult Mitry, bóstwa staroperskiego, i chrystyanizm. Zetrzeć się obie musiały i ścierały się. Ostatni a gwałtowny wysiłek mitracyzmu w tej walce przypada właśnie na panowanie Juliana; ostatnim potężnym wodzem w walce pogaństwa pod postacią mitracyzmu z chrześcijaństwem jest ten sam Julian. Posiadłszy tron, dąży Julian już otwarcie do swego celu nie drogą krwawych prześladowań lub praw wyjątkowych, ale drogą administracyjnego bezprawia. Dla obrony i ustalenia wschodnich kresów cesarstwa, ale także dla okazania potęgi bogów i otoczenia blaskiem zwycięstw ich kultu, przedsiębierze wyprawę na Persów, lecz w niej ginie, zanim starł się z całą potęgą wrogów.

Krótko panował Julian, lecz mimo to, jak zauważa prof. Morawski, należy do tych postaci, które za życia dzielą współczesnych a po śmierci pisarzy i badaczy na dwa zwalczające się obozy. Autor stara się przedstawić Juliana takim, jakim był i czyni to z wielką znajomością przedmiotu, stylem obrazowym i treściwym, przetykając swą pracę głębokimi poglądami historyozoficznymi.

M. B.

Notatki o dziejach wiary rzymsko-katolickiej w Rydze od r. 1201 do 1901. Skreślił *Gustaw Manteuffel.* Warsz. 1902 (Str. 91. Dochód przeznaczony na budowę kościoła św. Alberta w Rydze).

Autor podzielił swoją pracę na cztery rozdziały. W pierwszym omawia czasy najdawniejsze, sięgające roku 1159. Opisuje działalności błogosławionego Mejnarda, apostoła krajów inflanckich, założyciela pierwszego kościoła w Ikskulu, niedaleko od Rygi (dlatego zwanego *episcopus de Ikeskola)*, następnie apostolskie prace biskupa, Bertolda i Alberta,

założyciela Rygi i związkowego państwa inflanckiego, Alberta II, już arcybiskupa rygskiego i jego sufraganów; mówi też o zlaniu się kawalerów mieczowych z Zakonem Krzyżackim. Drugi rozdział poświęcony jest opisowi zepsucia i rozluźnienia rządu w państwie Inflanckiem, i zawitanie tam t. zw. reformacyi, która położyła koniec hierarchii katolickiej, a zarazem i niezależności tego kraju. W trzecim rozdziale skreślone są dzieje katolicyzmu w Rydze za czasów Batorego i Zygmunta III, smutne jego losy pod panowaniem Szwedów. Po wypędzeniu Szwedów z Inflant, Kościołowi katolickiemu przyznawano coraz to więcej praw i swobód. Ostatni rozdział omawia nowsze już czasy. Na miejscu wygnanych w r. 1820 Jezuitów pracują Dominikanie z prowincyi litewskiej, od r. 1822—1868. Parafia rygska ustawicznie wzrasta; pod trzeci już kościół katolicki założono tam kamień węgielny w ubiegłym roku. Ryga liczy obecnie kilkanaście tysięcy katolików różnych narodowości, a oratorya w Pernawie, Walku, Arensburgu (na wyspie Ozylii), a podczas sezonu letniego w Majorenhofie i Kemmernie odpowiedzieć mogą potrzebom wiernych.

Piękne to wydawnictwo zdobi kilkadziesiąt udatnych rycin, przedstawiających dawne i teraźniejsze świątynie, wizerunki dawnej Rygi zabytki dawnych czasów, portrety niektórych duszpasterzy. *W.*

Z dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandyi. Przez *Gustawa Manteuffla.* („Kwartalnik Historyczny" III, 401—428, 1902).

Na początku swojej pracy utrzymuje autor, że wszystko co w końcu XVI i na początku XVII stulecia zdziałano w Inflantach i Kurlandyi w sprawie powrotu mieszkańców na łono Kościoła powszechnego, przypisać należy niemal wyłącznie staraniom i pracy Jezuitów, stąd nic dziwnego, że w historyi inflanckiej opracowywanej przeważnie przez uczonych protestanckich, wyrazy katolicyzm i Jezuici stopniowo stały się prawie równoznacznymi.

Twierdzenia swoje popiera autor faktami. Kreśli dzieje i działalność siedzib jezuickich w ziemiach niegdyś kawalerów mieczowych — Krzyżaków. Mówi o klasztorach jezuickich w Rydze, w Dorpacie, w Dynaburgu, w kurlandzkiej Iłukszcie, w Mitawie, uwzględniając przytem szczególnie najwybitniejszą misyę Jezuitów w Alschwangen, zależną od Mitawy, a pominiętą w *Catalogus domorum Soc. Jesu* z roku 1899.

U schyłku wieku XVII pracują tu także OO. Dominikanie w Posiniu. W połowie XVIII stulecia zjawiają się OO. Bernardyni w miasteczku Wielonach; do Krasławia i Iłukszty przybywają Misyonarze; o Misyonarzach iłuksztańskich niewiele u pana Manteuffla szczegółów, a, jak wiadomo, mieli oni tu dość długo szkoły powiatowe, a nawet również pracy OO. Bazylianów w Inflantach autor nie wspomina wcale. Znajdujemy tu niejedną cenną bibliograficzną wiadomość, jak o *Liber privilegiorum Collegii Societatis Jesu Rigensis de anno 1585* (znajdujący się w ryskiej bibliotece miejskiej oryginał), *Annalen des Rigaschen Jesuiten Collegiums 1604 bis 1618* (własność biblioteki rycerstwa inflanckiego w Rydze), o niektórych dziełach Jezuitów z XVII w. w języku łotewskim. Praca ta przedstawia się bardzo dodatnio; czyta się ją z zajęciem.

W.

Krasław. Przez *Gustawa Manteuffla.* Warszawa. 1901 (Str. 31 z illustr. Dochód przeznaczony na wykończenie kościoła parafial. w Rzeżycy w Inflantach).

Jestto bardzo udatny i dość wyczerpujący opis miasteczka Krasławia, położonego nad Dźwiną w gubernii witebskiej. Opis rozpoczyna się od chwili, gdy mistrz krzyżacko-inflancki, Wilhelm Fürstenberg w roku 1558 osadził tu na jakiś czas Engelberta Plümera. Autor wymienia ważniejsze starodawne i nowe budowle, przemysł mieszkańców, skreśla dzieje misyi jezuickiej w tem mieście. Ciekawa jest tu wzmianka (nieznana O. Wacławowi w dziele o cudownych obrazach M. B.) o cudownym obrazie Najśw. M. P. z Dorpatu, przeniesionym przez Jezuitów do Krasławia a następnie do Indrycy. Szkoda wielka, że szanowny autor stosunkowo tak mało podaje nam szczegółów o Misyonarzach krasławskich! Gdyby zaglądnął do Pamiętnika religijno-moralnego (serya 2, tom II, r. 1858, p. 481—510), to znalazłby tam dość dużo ciekawych rzeczy o Kościele i kronice Kościoła. Nie wiemy także (z tego opisu Krasławia), gdzie tam mieszkali od roku 1811—1814 Jezuici? Jednocześnie byli i OO. Misyonarze

Również niema u p. Manteuffla żadnych wieści o szkole powiatowej krasławskiej, dość głośnej w swoim czasie.

Szkołę tą otworzono 1 września 1814 r. (cf. „Wizyta Jana Rudominy w 1815 r.“; oryginał jej był w zbiorze Giejsztora, potem, podobno, dostał się do biblioteki Przeździeckich), w roku następnym liczyła już w czterech klasach 58 uczniów. Szkoła ta przetrwała pod zarządem OO. Misyonarzy do r. 1837 (cf. Sapunow: „75-lecie witebskiego gimnazyum“, p. 153), a o jej dziejach — istniała prawie przez ćwierć wieku — możnaby coś więcej powiedzieć..

W.

W Jego ślady. „Jakby Chrystus postąpił“. *K. M. Sheldon*, Z angielskiego oryginału przełożył *W. Szukiewicz.* Kraków. 1901. Gebethner i Spółka.

Henryk Maxwel, pastor w Raymondzie w Stanach Zjednoczonych, zaproponował w jednem kazaniu swoim słuchaczom, by na rok zrobili ślub, że żadnej czynności nie rozpoczną bez poprzedniego zapytania samych siebie, jakby Chrystus w tym razie postąpił, i że następnie usłuchają głosu sumienia. Znaleźli się ochotnicy z różnych stanów i zawodów, którzy z czasem w znaczną wzrośli liczbę. Ich odmienny tryb życia zwrócił uwagę nie tylko mieszkańców Raymondu, ale i innych miast, gdzie miał wkrótce znaleźć naśladowców.

Oto w ogólnym zarysie treść powieści. Nie trudno spostrzedz, że autor przedstawia w powieści typ od dawna znany w literaturze, choćby samej angielskiej, i od tych pokrewnych powieści różni się tylko właściwą sobie tendencyą. Autor podaje swój sposób rozwiązania obecnych kwestyi społecznych, które krytykuje dosadnie; sądzi, że otrzeźwić i uzdrowić bezmyślne, upadłe nowoczesne społeczeństwo można tylko prawdziwym (w swem rozumieniu) duchem Chrystusowym. W jaki zaś sposób można i należy to przeprowadzić, to illustruje na postaciach swej powieści. Występują w niej wspomniany pastor, redaktor dziennika, prezes kolegium nauczycielskiego, majętny kupiec, wysoki urzędnik, bogaty arystokrata, artysta i inni. Wiernie za-

stosowują do swego życia hasło: „Jakby Chrystus postąpił“, chociaż takie życie naraża ich na ogromne straty materyalne i bolesne moralne przejścia. Przeistoczeni w nowych ludzi nie tylko pracują sumiennie w swoich zawodach, ale biorą żywy udział w życiu publicznem, zajmują się klasą roboczą i wogóle ubóstwem, pomagając swym bliźnim dźwignąć się z nędzy materyalnej i moralnej. Złączeni jednem hasłem, żyją jedną myślą i pragnieniem: robić poświęcenie ze swojej osoby, zaprzeć samego siebie

Ale co było przyczyną, że ci ludzie, nie wyjąwszy Maxwella, żyjący dotąd zbytkownie, goniący za bogactwem i sławą, obojętni lub przejęci pogardą dla klas niższych i walk stronnictw, — z tem życiem nagle zrywają? Co ich natchnęło tą odwagą i dało taką moc, że zmogli, przeistoczyli samych siebie? Oto odpowiedź autora.

Kiedy Maxwell skończył raz jedno ze swych kazań, retorycznych i obliczonych na efekt, przystąpił do pultu kaznodziei ubogi człowiek i wobec całego kościoła przedstawił swój nędzny los (od dziesięciu miesięcy prosił nadaremnie o pracę, w tym czasie umarła mu śmiercią głodową żona, śmierć taka grozi jemu i jego córeczce), a potem zapytał, jak kaznodzieja, jego słuchacze i wogóle chrześcijanie pojmują naśladowanie Chrystusa, o którem było właśnie kazanie, bo takich, jak on nędzarzy są tysiące. Wyczerpany ostatecznie tą przemową zemdlał i w kilka dni umarł. Silne wrażenie zrobiły na Maxwellu słowa nędzarza, rzuciły ferment na dotychczasowe jego pojęcia religijne. Owocem tej pracy wewnętrznej było następne kazanie z zachętą do wspomnianego ślubu. Ale to samo nie tłumaczy tej gotowości do całego szeregu czynów prawdziwie heroicznych, z całą świadomością podjętych i spełnionych przez ludzi, którzy byli do takich ofiar nie bardzo zdolni, a których uczyniony ślub wiązał tylko przez jeden rok. Dlatego autor wprowadza inny czynnik, który nazywa łaską Ducha, chrztem duchownym,— i nim tłumaczy i usuwa wszelkie trudności. Oczywiście, w ten sposób ułatwił sobie pozornie tylko zadanie, ale nie usuwa trudności; wprowadzenie bowiem ogólnikowego pojęcia chrztu duchownego i łaski, zaciera właściwe motywa autora, bynajmniej nie wykazując, czem jest ta łaska i jakie jej działanie. Motywa te poznać dopiero możemy w związku z inną pracą tegoż autora, już ściśle tylko filozoficzną p. t. „Ruch etyczny“. W świetle tego dzieła powieść przedstawia się daleko gorzej. Sheldon jest jednym ze zwolenników i szerzycieli etyki niezależnej, jemu obojętną jest rzeczą, jakiej kto religii, nie pyta, jakie u kogo pojęcia o Bogu, Chrystusie, duszy, życiu pozagrobowem, ale niezależnie od przekonań religijnych, od dogmatu, a więc na lodzie buduje etyce idealne zamki. W tem znaczeniu należy brać niedopowiedziane myśli autora w powieści „W Jego ślady“ o Chrystusie, Kościele, religii i t. p.

Co się tyczy tłumaczenia, to jest ono ciężkie i pełne błędów językowych. *M. B.*

Dzienniczek Hanusi Tynieckiej. Powieść dla dorastającej młodzieży. *Marya Raczyńska.* Warszawa. 1903. Nakładem Gebethnera i Wolffa (Str. 156).

Anna Tyniecka, wychowana starannie i pobożnie w domu swych rodziców w Zarnowcach udaje się

na dalsze wykształcenie do Krakowa. Przełożona pensyi prowadzi dalej w tym samym kierunku dzieło wychowania Anny, w czem dzielnie dopomaga jej jedna z nauczycielek, p. Jadwiga. Już Hania kończyła siódmą klasę, kiedy zachęcona przez p. Jadwigę, zaczęła pisać pamiętnik, nie przeczuwając, że nie długo to potrwa, bo rok nie upłynie, a śmierć matki przerwie jej nauki, każe wyrzec się osobistego szczęścia i podjąć ciężkie obowiązki w zastępstwie matki.

Osnową pamiętników są zajęcia szkolne, pożycie z koleżankami, stosunek do przełożonych a zwłaszcza do p. Jadwigi, wreszcie wakacye, których Hania z niecierpliwością wyczekuje, bo towarzystwa rodziców i młodszego rodzeństwa, i uroku wsi nic jej nie może zastąpić. Wszystko to zwyczajne, bez zawiłych konfliktów, ale opowiedziane z taką prostotą i szczerością, z takiem ciepłem i polotem duszy niewinnej, wrażliwej na to, co piękne i szlachetne, że każdy odczyta ten dzienniczek z niemałem zajęciem i zadowoleniem. Styl pamiętników wogóle płynny, swobodny i poprawny, więc tem bardziej rażą niektóre fałszywe zwroty, jak: „po powrocie z Żarnowca zastała siostrę gorzej“ (str. 64), i „siostra p. Jadwigi coraz gorzej“ (str. 77).

„Dzienniczka Hanusi“ nie można dosyć polecić młodzieży, życząc, żeby zrozumiała i wprowadziła w życie zasadę, która jest treścią pamiętnika: „że nie szczęście osobiste powinno być celem w życiu, ale sumienne wypełnianie obowiązków, które życie na nas wkłada“ (str. 156). *M. B.*

Obecne sądownictwo w Królestwie Polskiem. 1901.

Krótki szkic powyższy ma za zadanie obznajomić galicyjskie społeczeństwo ze stosunkami i organizacyą wymiaru sprawiedliwości w Królestwie Polskiem. Trafnie wytyka wady sądownictwa, zwłaszcza sądów najniższych, zakresem działalności odpowiadających naszym powiatowym, i sądów ogólnych dla spraw karnych. Za jedynie stojące na wysokości swego zadania uważa autor sądy ogólne cywilne, choć i tu wykazuje usterki, spowodowane odmiennym duchem ustawodawstwa materyalnego cywilnego, t. j, kodeksu francuskiego a nowej procedury cywilnej rosyjskiej.

Całość przedstawia się jako praca przedmiotowa, *sine ira et studio.*

A. B.

Z młodzieńczych snów. *Kazimierz Woyczyński.* Kraków. 1902. Gebethner i Spółka.

Dziełko p. Woyczyńskiego jest zbiorem drobnych utworów poetycznych. Przeważna ich część opiewa poezyę i powołanie poety; ten motyw występuje ciągle, przybierając różne kształty, zapewne stosownie do zmian, jakim podlegały zapatrywania i dążności autora. Z początku poeta, ożywiany wielką czcią dla poezyi i silną wiarą w jej potęgę, ma nadzieję, prawie pewność, że poezya odrodzi i przyniesie szczęście ludzkości, on sam chce to szczęście na ziemię sprowadzić i wyśpiewać pieśń potężną, którąby chmury rozpędzała i uciszała burze („Pieśń przepotężną. .“). Ale po tych chwilach zapału i gorącej wiary ogarnia go zwątpienie i smutek, a choć się wstydzi swej małoduszności i stara się wierzyć, nie jestto już ta dawna szczera, pełna ufności wiara, ale wiara owiana sceptycyzmem.

To główny temat poezyi p. Woyczyńskiego, który nadto podaje nam

obrazki z natury, opowieści, a nawet dotyka (nieszczęśliwie) kwestyi zła w świecie. Autor uważa się za poetę urodzonego, powołanego do wielkich zadań — czy tak jednak jest? Przyznajemy mu pewną biegłość w formie, ale jego myśli, czucie, wrażliwość na piękno, zdolność oddania tego w słowach — to wszystko słabe, mierne. Brak pięknej, oryginalnej myśli przy zbytku słów niepotrzebnych (chyba dla rymu i mnożenia zwrotek), zastępowanie polotu i głębszego uczucia frazesami, cechuje wszystkie prawie wiersze autora, zwłaszcza utwory o poezyi. Kilka zaledwie wierszy, np. „O gdybym umarł“ i obrazków z przyrody, wyjątkowo zaliczyć można do udatniejszych.

M. B.

Wieści z nikąd czyli epoka spoczynku. Kilka rozdziałów utopijnego romansu. *William Morris.* Z angielskiego oryginału przełożył *Wojciech Szukiewicz.* Lwów. 1902.

Więc mamy utopię poprawną wydania czy „Rzeczypospolitej“ Platona czy „Utopii“ Morusa, obraz, jak będzie lub może wyglądać idealne państwo, a raczej społeczeństwo angielskie w r. 1930. Formą tego państwa zupełny brak jakiegokolwiek rządu, praw, bo prawem będzie poczucie etyczne obywateli. Wspólność zupełna wszelkich dóbr bez przymusu do pracy, którą podejmować będą obywatele li tylko dla przyjemności, dla sportu.

Wogóle obraz zbyt fantastyczny, aby się z nim liczyć poważnie ze stanowiska ekonomicznego czy politycznego; samo zresztą założenie, tytuł i wstęp wskazują, że to sen, marzenie, utopia. Zresztą z tego rodzaju pojęciami i programami ustroju społecznego, choć przybranymi w formę poważniejszą, już się prawie ostatecznie rozprawiono, kwestya to już załatwiona.

A. B.

Lehrer und Unterrichtswesen. *Emil Reicke.* **Der Gelehrte.** *Tenże.* **Kinderleben.** *Hans Boesch (Monographien zur deutschen Kulturgeschichte.* Eugen Diederichs. Leipzig).

Wzorem licznych już w Niemczech zbiorów monografii z pewnego ściśle określonego zakresu (np. historyi sztuki, historyi powszechnej, etnografii, dziejów poezyi i teatru), firma E. Diederichsa w Lipsku wydaje „Monografie do dziejów niemieckiej kultury“, które wobec tego, że przedstawiają historyę pewnego zawodu lub gałęzi życia cywilizacyjnego wszędzie istniejących, mają niekiedy szersze znaczenie. Na dziś wybieramy trzy tomy, poniekąd treścią związane. Obie prace norymberskiego archiwisty Emila Reicke, pisane z dużą fachową wiedzą a przejrzyście, mówią o rozwoju szkolnictwa i życia naukowego od zamierzchłych wieków średnich aż do końca XVIII wieku. Szczególnie jasnym jest zarys dziejów oświaty w czasach poprzedzających t. zw. reformacyę i po niej następujących. Autor, sam protestant, niejednokrotnie jednak podkreśla silnie dodatnie strony katolickiego szkolnictwa, a o szkołach jezuickich wyraża się z rozmyślnie często powtarzanem uznaniem. Bogaty materyał obrazkowy, ściśle autentyczny, bo przeważnie ze starych sztychów wzięty, dodaje książkom wartości, ale tu i ówdzie może także w błąd wprowadzić: illustracye bowiem, wzięte niemal zawsze z saty-

rycznych lub polemicznych broszur i dzieł, niewątpliwie są w części karykaturami. Daleko niżej od tych dwóch tomów stoi monografia p. H. Boescha, urzędnika Germańskiego Muzeum w Norymberdze. O ile tamte zachowują chronologiczne następstwo historycznych okresów, o tyle ta łączy dziewięć wieków w całość i, posługując się wyłącznie norymberskimi, pisemnymi lub obrazkowymi dokumentami, dowodzi przez nikogo nie atakowanej prawdy, że w Norymberdze w wieku XVI jak i w XIX dzieci się rodziły, uczyły chodzić, bawiły i t. d. Do tego jeszcze autor, zmuszony wypełnić przepisaną dla Monografii liczbę arkuszy druku, zbyt obficie cytuje obojętne zapiski. Ciekawszem jest tylko to, co mówi o rozmaitych grach i zabawach dla dzieci.

Dr. J. F.



SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

POSTĘP RUCHU PRZECIW POJEDYNKOWI W AUSTRYI.

Wspomniana w *Przeglądzie*[1] sprawa związku przeciw pojedynkowi bierze w Wiedniu obrót znacznie pomyślniejszy, niż mogli przypuszczać katolicy z innych krajów, przywykli swoich współwierców austryackich uważać za nieskorych do czynu. Przed paru latami wszczęty ruch doprowadził już do skutków blizkich do pożądanej zmiany w ustawodawstwie i do chrześcijańskiego sądu w sprawach, rozstrzyganych przez pojedynek.

Obecne ustawodawstwo w Cislitawii ponosi o tyle winę w pojedynkach, że obrazę na czci bądź ustną, bądź czynną, bądź pisemną, okłada pozornie karami, ale takiemi, że na nie np. Anglik spogląda jako na *absurdly shocking*, a obywatel rakuski ani nie dba o taką zaporę przed czynem obraźliwym, ani obrażony nie widzi wynagrodzonej krzywdy. Zatem członkowie związku przeciw pojedynkom uchwalili naprzód oprzeć swoją pracę na wniosku do rządu ze strony izby poselskiej, w którym zażądają skuteczniejszej opieki nad czcią obywatelską przez

---

[1] Tom LXX, str. 297.

ostrzejsze kary za paszkwile, potwarze, obelgę, napaść. Na prośbę związkowców wybitny prawnik ów wniosek przygotował, mianowicie Dr. Henryk Lammasch, profesor prawa karnego i międzynarodowego na wszechnicy w Wiedniu. O dostatecznej liczbie podpisów na tym wniosku nie wątpi związek, który już liczy pół tysiąca członków z wysokich rodów, urzędników, posłów, prawników i pisarzy.

Za drugi swój obowiązek Związek poczytał wprowadzenie odrębnych sądów, urzędowo zajętych sprawami o obrazę czci i tak prawomocnych w swoich wyrokach, jak inne działy dotychczasowego sądownictwa. Sekretarz w ministerstwie sprawiedliwości, Dr. Franciszek Klein opracowuje zasady, na których ma polegać nowy dział pracy sądowniczej w owych „Pałacach czci“.

Ostatni krok w pracy przygotowawczej zostaje jeszcze związkowcom, krok najtrudniejszy, a bez którego nie przeprowadzą dzieła pomyślnie. Muszą złamać system, mocą którego oficer idzie w odstawkę, jeżeli wezwany, nie przyjmie pojedynku, albo obrażony, nie wyzwie. Krok ten wymaga namysłu i bardzo ostrożnych, poufnych narad w różnych warstwach z ludźmi wszelkich stanowisk: dlatego lepiej nic więcej nie mówić o przedwstępnych zabiegach w tej mierze.

Na podstawie prac prof. Lammascha i Dra Kleina, Związek postanowił ułożyć swoje ustawy i zyskać dla nich zatwierdzenie ministeryalne. Tę część pracy wziął na siebie baron Chlumecky i obrobił bardzo treściwe ustawy. Członkowie Związku przyjęli jego dzieło bez zmiany i oczekują uchwały ministra.

KŁOPOTY WOLNYCH MULARZY W HISZPANII

Jak Austrya, urzędownie zwana katolicką, tak i drugie mocarstwo dotychczas tą nazwą zaszczycane, Hiszpania, widzi przecie swoich katolików obudzonych do ruchu w sposób dość skuteczny. Wolne mularstwo napotkało w tym kraju nieoczekiwaną zaporę, aby mogło rozwijać ducha przeciwkościelnego, zwłaszcza wywołało przeciw sobie niechęć przez walkę, wytoczoną zakonom.

Dziełem, nad którem bracia mularze rzeczywiście skutecznie pracowali, był rozwój stronnictw, spragnionych rzeczypospolitej zamiast rządów królewskich. Za wygodne siedliska dla wolnomularstwa służą miasta przemysłowe z Barceloną na czele, gdzie mieszkańcy częściej wchodzą w stosunki z cudzoziemcami, mniej wyłącznie z własnym zetknięci narodem, mniej żyją w jego odrębnym nastroju ducha. Nastrój ten nosi na sobie do dziś dnia niestarte ślady chrześcijaństwa, które ocaliło półwysep iberyjski od jarzma Maurów. Podobny nastrój przeziera z czci dla Częstochowy w duszy Polaka: wieki nie wydzierają z polskiego umysłu Obrazu, którego obrona złamała potęgę zaborców w chwili największego jej wzrostu. Jedna Matka Boska Częstochowska stanowi dla polskiej duszy, nawet wolnomyślniejszej, skarb, po który niebezpiecznie bezwyznaniowcom sięgać, bo na jego straży znajdują dwie najczulsze struny ludzkiego serca: cześć dla potęgi nadprzyrodzonej i miłość ojczyzny. Nie jedną taką twierdzę wiary i narodowej chwały, jak Polak Jasną Górę, gorąco czci Hiszpan na swojej ziemi; na ich dziesiątki i ledwo nie na setki spogląda okiem zwycięzcy, który nie może oderwać serca od skarbów, okupionych krwią serdeczną, a który tym skarbom zawdzięcza swoją chwałę na ziemi: niepodległy byt w kraju wolnym.

Ten nastrój ducha hiszpańskiego upada w ogniskach przemysłu, dostępniejszych dla roboty wolnych braci: tam ich wpływ doprowadza raz po raz do objawów ducha bezrządu i wybuchów przeciwkościelnych. Nie wtajemniczeni odrazu w najgłębszą myśl duszy hiszpańskiej, bracia sądzili, że ją opanowali już do dna, kiedy w niej widzieli porywy swojego ducha. Ale ich robota zawsze uchodzi w oczach Hiszpana za wytwór cudzoziemski, nie długo na coś przydatny dla narodu, który po kościołach zwycięsko odpierał najeźdźców. Więc kiedy godło kielni i młotka zaczęło obwieszać Hiszpanię swobodnie, jakby ściany własnego domu, Hiszpan przypomniał sobie, że kiedyś Maurów przepędził za morze, więc i teraz powinien pokazać przybyszom fartuszkowym, jak niechętnie w swoim domu widzi gospodarza obcego.

HISZPAŃSKIE STOSUNKI I ŻEŃSKIE ZAKONY.

Wielki Wschód nie mile widzi rozwiewane swoje nadzieje, a tak liczył na zanik wiary w Hiszpanii, rozkochanej w zewnętrznych głównie obrzędach[1], na swoich zwolenników w łonie duchowieństwa[2], na swoje wpływy u rządu, gotowego wejść w ślady prześladowców Kościoła, zwłaszcza zakonów! Zachowawczy zmysł prostego ludu po ogniskach przemysłowych tem podejrzliwiej zaczął spoglądać na cudzoziemskie godła mularskie, im jaśniej widział pożytek dla siebie w obozie chrześcijańskich demokratów pod wodzą księdza Antoniego Vicent T. J.[3] Wielki Wschód tracił zwolenników wśród warstw coraz szerszych; aby tedy ukuć żelazo nim całkiem ostygnie, naparł na rząd o rychlejsze ustawy przeciw zakonom. Rząd przecież spostrzegł zawczasu, że takie ustawy wywołają niechęć powszechną, a w żadnym kraju nie tak niebezpieczną, jak w Hiszpanii. Tam najprzód żywiej niż gdzieindziej odczuwana potrzeba duchowna broni zakonów, a nadto sam nawet układ stosunków społecznych wymaga zakonów przynajmniej żeńskich koniecznie. W innych krajach, zwłaszcza w Anglii, społeczeństwo znajduje u siebie mnóstwo stanowisk, odpowiednich tak dobrze dla niezamężnych panien, jak dla mężatek. Hiszpania żyje dotąd zwyczajami owych czasów, które mężatkom dopiero pozwalały na ulicę samym wychodzić: zatem dziewczyna nie ma przed sobą żadnej drogi do stanowiska uczciwego na niezależnej posadzie. Wobec tego braku miejsca dla starych panien, każda Hiszpanka z zasady idzie za mąż, jeżeli do zakonu nie wstąpi. Stąd pochodzi u Hiszpanów objaw nie spotykany w żadnym narodzie: liczą wszystkich klasztorów ponad trzy tysiące z pięćdziesięcioma jednym tysiącami członków, a na tę liczbę z górą półtrzecia tysiąca klasztorów żeńskich i ponad 40 000 zakonnic; słowem, na dziesięć tysięcy panien wogóle, dwadzieścia kilka Hiszpanek wstępuje do zakonu, a np. Polek ledwo nieledwo jedna. Gdyby nam w Polsce nagle kto miał pozamykać klasztory i porozsyłać do rodzin choćby tylko wszystkie zakonnice: rozumiemy, jakie skargi powstałyby po tysiącach domów.

---

[1] *Przegląd Powsz.* LXIV 277, LXXII 432.

[2] *Przegląd Powsz.* LXXIII, 299. [3] *Przegląd Powsz.* LXXII, 435

W Hiszpanii dwadzieścia kilka razy więcej hałaśliwych głosów powstało przeciw rządowi w obronie zakonów; a od słowa do czynu bliżej pod niebem hiszpańskiem, niż u nas na cmentarzysku woli jałowej, zachcianek, obietnic i zapałów słomianych, porywów czczych i pogróżek bez myśli. Więc rząd hiszpański widział, że między dwoma prądami — wolnomularskim a narodowym — niełatwo przepłynie bez jakiejś podpory z zewnątrz. Nie miał nikogo pod ręką: chwycił jak za deskę ostatnią w topieli za układy z Watykanem.

HISZPAŃSKI RZĄD I PAPIEŻ. W jakiej myśli rząd hiszpański wciągnął papieża w swoje układy z wolnymi mularzami? — tego nie odgadniemy. Mógł szukać przewłoki z odpowiedzią dla napastnika, mógł szukać wymówki, że bez uchwały papieskiej nie zdoła dla swoich ustaw znaleźć posłuchu i posłuszeństwa w narodzie, mógł nakoniec wezwać Watykan o pomoc i jakąś nitkę Aryadny w labiryncie, w który wszedł za przewodnictwem Wielkiego Wschodu. Tę nić istotnie dostał z Rzymu. W zamęcie przeróżnych walk trudno było rządowi zdać sobie właściwie sprawę, czego chcą wolni mularze od duchowieństwa, zwłaszcza zakonnego, w czem upatrują jego winę, poco rząd ma chwytać za bicz środków prześladowczych. Rzym, oddalony od zamętu przygód hiszpańskich, mógł spokojnie użyczyć wskazówek, jak rząd ma wyjść z labiryntu. Pod wpływem dobrych rad, rząd przecie zapytał się, czy nacisk na wyjątkowe ustawy dla zakonów płynie z pobudek religijnych, czy z politycznych? jeżeli z religijnych, tedy nie Wielki Wschód ma w tej sprawie głos, tylko Rzym, a jeżeli z politycznych, tedy niechże już raz Wielki Wschód wyłoży ostateczne powody, dla których polityka wymaga, żeby państwo przeszkadzało zakonom żyć i pracować spokojnie?

Przez chwilę zaskoczeni tem pytaniem bracia fartuszkowi nie znajdowali zgodnej odpowiedzi: jedni szukali dla siebie światła w religii, drudzy w polityce. Nakoniec wpadli na tor, jak mniemali, najwygodniejszy: przedstawili, że finanse państwa wymagają, żeby Hiszpania utrzymywała mniej duchowieństwa,

że trzebaby poobcinać dochody księżom świeckim, a zakonników przynajmniej w części rozpędzić po świecie.

Rząd tedy zaczął śledzić, o ile trzeba poobcinać dochody duchowieństwu świeckiemu, i znalazł, że przeciętnie proboszcze dostają po 600 złr. austryackich, kilkuset kanoników i dziekanów pobiera po tysiąc kilkaset reńskich, kilkudziesięciu biskupów otrzymuje po kilka aż do trzynastu tysięcy, nakoniec dziesięciu arcybiskupów żyje z kilkunastu do dwudziestu tysięcy reńskich. Dochody te nie przedstawiają nic zbytniego; choćby rząd poobcinał księżom po kilkadziesiąt reńskich a biskupom po kilka setek, jeszcze nie poprawiłby stanu swoich finansów, a rozgoryczyłby miliony obywateli. Na to Wielki Wschód oświadczył, że trzeba poznosić zbyt liczne dyecezye: wybrał na to dziesięć biskupich stolic ze stoma kanoniami. I w tę radę wglądnął rząd: otóż obliczył, że zyskałby pół miliona reńskich w dochodach z poznoszonych dyecezyi, a musiałby wszystko z ogromnym jeszcze naddatkiem oddać na potrzeby kościołów i ubogich, gdyby im zabrał biskupów z ich miłosierdziem i prowadzonemi przez nich dobroczynnemi dziełami.

Co dotyczy zakonów z ich majątkami, to liczby nierównie wymowniejsze okazały, że minister skarbu chybaby chciał narazić kraj na bankructwo, gdyby zamierzał z dochodów państwa podołać ciężarom, dźwiganym przez zakony na polu wychowawczem, w naukowych wydawnictwach, przy zakładach dla ubogich i chorych. Sam zakres pracy wychowawczej nadwerężyłby równowagę skarbów nie takich, jak hiszpański, gdyby rząd zamierzył zastąpić zakonnice swojemi siłami. Od niepamiętnych czasów, Hiszpan, choćby tylko z biedą wiązał końce szczupłych dochodów, choćby nawet zawzięty w Boga nie wierzył sam dla siebie, przecie nie uważa za możebne wychowywać swoje córki gdzieindziej, jak nie u zakonnic. Stąd każda Hiszpanka dobrze wychowana wyznaje wiarę szczerze i otwarcie, a nikt, ani niedowiarek skrajny, nie chciałby jej widzieć obojętną dla Kościoła. Ani odwagi nie starczyłoby rządowi, aby wstrząsnąć całem społeczeństwem przez zmianę w niem ustroju wychowaw-

czego, ani, choćby odwaga dopisała, nie starczyłoby na to środków pieniężnych.

KATOLICKI RUCH W ARGENTYNIE. Wspomniane w *Przeglądzie*[1] objawy ducha ruchliwszego wśród katolików w Chili, podziałały skutecznie na ich sąsiadów w Argentynie. Tam porażka przy wyborach ocknęła ospałych, tu obudził katolików Senor Olivera, członek izby posłów, który wystąpił z wnioskiem wolnomyślnym w sprawie rozwodu. Tym czynem przypomniał katolikom w Argentynie, że obrona Kościoła i jego praw wymaga od jego synów nakładu sił znacznie większego, niż dotychczasowy. Nauka ta zjednoczyła wielu gorętszych katolików pod przewodnictwem D-ra Santiago O'Farell. Powstała między nimi myśl o potrzebie pracy świadomej dróg i zamiarów. Powstały stąd poważne narady, odbywane nieraz przy wielkim udziale chętnych słuchaczy, a między nimi zasiadali także członkowie różnych innych wyznań chrześcijańskich, oburzeni wnioskiem o rozwodzie. Ducha im dodał śmiały występ wszystkich ośmiu biskupów kraju, którzy wystosowali do Izby poselskiej zbiorowy list z pasterską przestrogą przed bezprawiem uchwały, przychylnej rozwodowi. Za biskupami poszli księża i wierni całego kraju w licznych zjazdach, na których gromadnie podpisywali wyznanie katolickiej nauki o nierozerwalnym węźle małżeńskim i wymagali, żeby Izba odrzuciła wniosek wolnomyślny. Robotnicy katoliccy wzięli również udział w tym ruchu i w Buenos Aires stanęli w liczbie trzydziestu tysięcy na Avenida de Mago, głównej ulicy, przez którą przeszli w uroczystym pochodzie do pałacu prezydenta rzeczypospolitej i temu wręczyli swoje podpisy przeciw rozwodowi.

ZASŁUGI PANA COMBES WZGLĘDEM KOŚCIOŁÓW ZAMORSKICH. Tygodnie jedne po drugich przynoszą nam coraz wymowniejsze szczegóły o stratach, ponoszonych w nieustannym ciągu przez Francyę, dzięki stanowisku jej rządu względem Kościoła. Jedne po drugich osady katolickie na wyspach zamorskich spostrzegają, że dłużej liczyć

[1] Tom LXXX, nr. 132.

nie mogą na opiekę wolnych mularzy z Combesem na czele, ale źle na tem nie wychodzą, bo albo już same postanawiają wystarczyć sobie i obmyślają do tego środki, albo znajdują dostateczne środki i pomoc u innych narodów katolickich.

Na Cejlonie dojrzała między katolikami myśl, że ich arcybiskup i biskupi mogliby już nie wyglądać od obcych opieki, gdyby znaleźli między wiernymi silny zastęp obrońców domowych, gotowych w każdej przygodzie stać przy swoich zwierzchnikach kościelnych i popierać ich pracę. Tą myślą natchnęły ich kraje europejskie przez opisy stronnictw katolickich z Windhorstami i de Munami na czele. Co w Polsce dotąd nie umie wzbudzić bitnego zastępu naśladowców, to na Cejlonie zwołało licznych i rozważnie przygotowanych ochotników pod chorągiew katolickiego związku. Nie słomiany zapał wezwał ich z pośpiechem do dzieła. Przez długi czas trwały między nimi rozprawy poufne, nim wyczerpały każdą myśl po wielostronnych obradach, nim roztrząsnęły każdy wniosek; uczestnicy liczyli zamiary według sił, świadomi, że między obywatelami kraju wystąpią, jako mniejsza liczebnie część wobec innowierców i pogan. Czekały ich urągowiska i ostatecznie bojkot w stosunkach towarzyskich: wzgląd na niebezpieczeństwa zamiast ich ostudzić, przejął gorętszym zapałem. Pomyślnie dla sprawy zakończone narady poufne wydały ten skutek, że zgromadziły uroczyście społeczeństwo katolickie na wiecu, który przyjął zasady nowego związku i powziął uchwałę, żeby przedstawić gotowe wyniki arcybiskupowi i biskupom z prośbą o sąd i w razie potrzeby, o stosowne poprawki. Wybrany przez wiec wydział zaczął już spełniać urząd i najprzód zasiadł do pracy wywiadowczej o podobnych związkach katolików w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Francyi, Niemczech i Belgii. Takie początki ruchu katolickiego na Cejlonie budzą tam lepsze nadzieje dlatego, iż ożywiły wszystkich dziwnie jednomyślnym zapałem nie do pracy samowolnej, tylko do pomocy zwierzchnikom kościelnym w każdej potrzebie.

Ks. K. Czaykowski.

Kronika ekonomiczna.

Strejki rolne u nas. — Syndykat w Czortkowie. — Uprzemysłowienie Galicyi. — Pessymizm w ocenie stosunków gospodarczych galicyjskich. — Nasze spółki dla oszczędności i pożyczek.

O strejkach rolnych pisano dużo, zastanawiano się nad nimi z najrozmaitszych punktów widzenia, podnoszono trudności polityczne i narodowe, których są zarzewiem. W ostatnim numerze *Przeglądu Powszechnego* w dwóch znaczących artykułach omówiono ich stronę społeczną i etyczną. Zdaje mi się jednak, że nie wyczerpano tematu ani w *Przeglądzie Powszechnym* ani w innych czasopismach, i ściśle rolniczo-ekonomiczny punkt widzenia wymaga jeszcze bardziej szczegółowego wyjaśnienia. Chcę rozwinąć myśl, którą zaznaczył w ostatnim numerze *Przeglądu Powszechnego* ks. Arcybiskup Teodorowicz słowami: „system naszej gospodarki trzeba uczynić bardziej przemysłowym".

Agitacya zarówno skrajna pod względem narodowym jak społecznym, która wywołała ruch strejkowy, zawdzięcza zwycięstwo przychylnym warunkom, wśród których wypadło jej działać. Do tych okoliczności, sprzyjających agitacyi strejkowej zaliczam przedewszystkiem niedostateczne zwracanie uwagi na stosunki robotnicze, zakorzenione od dawna w wielu gospodarstwach wschodnio-galicyjskich. Znaczny procent obywatelstwa, które gospodaruje na ojczystym zagonie, niestety, nie zna się gruntownie na rolnictwie. W naszych szkołach rolniczych przeważa młodzież z Królestwa, szlachcic zajmuje się radą powiatową, sejmem, a zapomina o własnych interesach, nie umie uprawiać ani pszenicy ani żyta, nie zna się na hodowli bydła. Zaniedbanym jest także zarząd gospodarstwa; nie tylko strona techniczna, ale i administracyjna pozostawia wiele do życzenia. Rolnictwo nasze miało niejedne ułatwienia, których nie umiano wyzyskać: stosunkowo tani kredyt, o ile chodzi o wielką własność, podaż siły roboczej daleko znaczniejszą, jak na Zachodzie. Niestety ta wielka podaż siły roboczej zamiast stać się dźwignią gospodarstwa, dała pochop, jak to zaraz zobaczymy, do niedostatecznego zwracania uwagi na stosunki robotnicze

Oceniając wysokość zarobku podnoszono nieraz, że praca chłopa ruskiego jest bardzo droga, tylko pozornie nizka, ponieważ jej wydatność nie dorównuje intenzywności pracy robotnika rolnego w innych państwach; obliczenie to jest niezawodnie słuszne, zapomniano tylko

dodać jedno, a mianowicie to, że rzeczą pracodawcy było wymagać pracy staranniejszej. Rusin jest „z natury leniwy“, odpowie mi niejeden. Rozumowanie zupełnie mylne, tak, jak żadna rasa krów nie była „z natury mleczną“, ale dopiero stała się nią po upływie wieków, dzięki racyonalnej hodowli, tak samo żaden naród nie umiał od razu pracować systematycznie i intenzywnie, umiejętność pracowania jest wynikiem kultury, która przecież nie idzie z dołu, lecz odwrotnie, źródła jej szukać należy wśród szczytów społeczeństwa, stamtąd spływa na niższe warstwy [1].

Kto czytał raporta konsularne i sprawozdania z postępów kolonizacyi w Kanadzie, wie, że władze angielskie uważają Rusinów za dobry materyał na kolonistów, nasi mazurscy robotnicy w Niemczech pracują daleko lepiej, jak tu na miejscu w zachodniej Galicyi. Może być, że Mazur jest, na ogół rzecz biorąc, podatniejszym materyałem, niż Rusin, to jednak nie zmienia faktu, że postęp na tem polu także i w odniesieniu do Rusinów bynajmniej nie jest wykluczonym, oczywiście jeżeli nauczyciel chce i umie uczyć. Właściciele obszarów dworskich we wschodniej części kraju przyzwyczajeni do nieomal nieograniczonej podaży sił roboczych, zamiast wyzyskać ten pomyślny stan rzeczy dla podniesienia gospodarstwa, zaniedbali starań o poprawę stosunków robotniczych, zupełnie nie licząc się z tem, że ten stan rzeczy uledz może zmianie, że ta nieograniczona podaż nie jest objawem trwałym, stosunki z drugiej strony Sanu powinny były być dla nich ostrzeżeniem.

Dziś, gdy prasa, zwłaszcza wiedeńska i zagraniczna wyrzuca obywatelstwu zbyt nizkie płace, podnoszą w swej obronie małą wydatność pracy Rusina. Fakt ten jednak powinni byli w swoim własnym interesie uświadomić sobie już od dawna, nie dopiero dziś. To trafne obliczenie zrobiono za późno. Jeśli opornie szło nakłonienie chłopa ru-

[1] Już po napisaniu tych słów pojawiła się broszura p. Stanisława Żeleńskiego: „Jeszcze o bezrobociu rolnem“, w której autor podaje charakterystyczny przykład, potwierdzający w zupełności nasze wywody: W kołomyjskiej fabryce dachówek praca tamtejszych robotników Rusinów była mało wydatną, sprowadzono zatem partyę Mazurów z niepołomickiej fabryki dachówek, wynikiem była zamiana pracy dziennej na akordową, na którą poprzednio Rusini nie chcieli się zgodzić. Zwiększona intenzywność pracy pozwoliła podwyższyć zarobki, a mimo tego koszta produkcyi zmalały. Dobry przykład tak podziałał na miejscowych robotników, że po pewnym czasie można było odesłać robotników niepołomickich.

skiego do intenzywnej roboty, trzeba było zawczasu pomyśleć o szerszem zastosowaniu maszyn. Przygotowania do strejku nie były tajemnicą, wiedziały o nich władze, wiedziały i sfery ziemiańskie, mimo tego żniwiarki sprowadzono dopiero po wybuchu strejku, a przecie równe łany Podola nadają się wybornie do puszczenia w ruch maszyn, zresztą szersze zastosowanie maszyn byłoby zmusiło także i robotników do staranniejszej roboty pod groźbą utraty zarobku celem zapobieżenia dalszemu ich wprowadzaniu.

Racyonalne zastosowanie maszyn ma jeszcze jedną ważną zaletę. Oto ułatwia możliwie równomierny rozkład zajęć na różne pory roku. Podobny skutek, nawiasem mówiąc, wywiera drenowanie, niestety tak powoli stosowane, ponieważ przedłuża czasokres, który można użyć na obrobienie ziemi. Jak wiadomo jedna z najgłówniejszych trudności w organizacyi stosunków robotnich polega na tem, że w gospodarstwie rolnem zapotrzebowanie robocizny podlega znacznym wahaniom, jest raz bardzo znaczne (np. podczas żniw), innym razem znowu słabe (np. w zimie), albo nie można dostarczyć dostatecznej liczby robotnika albo nie można im dostarczyć pracy. Jest rzeczą umiejętnego zarządu gospodarskiego starać się o możliwie najrównomierniejszy rozkład zajęć, pod tym względem grzeszy się aż nadto wiele na Podolu, licząc na ową wspomnianą już niemal nieograniczoną podaż siły roboczej.

Równomierny rozkład zajęć gospodarskich pozwala na zatrudnienie w znaczniejszej mierze czeladzi i robotników stałych, zapotrzebowanie chwilowe większej liczby robotnika wprowadza w cały tok gospodarstwa pewien element niepewności, niepodobna oczywiście wszystkich robót gospodarskich załatwiać zapomocą czeladzi, ale można stosownemi zarządzeniami ograniczyć pracę wykonywaną robotnikami niestałymi i zastąpić ją albo służbą folwarczną, albo robotnikiem stałym, umówionym na dłuższy przeciąg czasu — ten ostatni typ robotniczy jest niemal zupełnie na Podolu nieznany, natomiast w Niemczech szeroko rozpowszechniony, naszego mazurskiego robotnika, który emigruje czasowo do Prus ciągnie nietyle wysokość zarobku ile fakt, że znajduje pracę stale na przeciąg siedmiu do ośmiu miesięcy. Jest kwestyą zastanowienia godną, czy na Podolu przez odpowiednie powiększenie intenzywności gospodarstwa nie możnaby wytworzyć tego typu robotniczego?

Inny sposób zapewnienia sobie robotnika polega na tem, że wydzierżawia się bezrolnym lub małorolnym włościanom chałupę z małym

kawałkiem pola za czynszem nader niskim, zobowiązuje się jednak równocześnie komornika — jestto nazwa przyjęta w Poznańskiem na określenie robotnika tego typu — do dostarczania dworowi robocizny za umówioną cenę. Na Rusi są folwarki często zbyt wielkie, co przeszkadza intenzywnej kulturze, zwłaszcza części bardziej oddalone od zabudowań gospodarskich nieraz trudno należycie obrobić i nawieść. Zysk byłby zatem podwójny, miałoby się robotnika i sposób dobrego zużycia gruntów, stanowiących w gospodarstwie raczej zawadę, jak pomoc. Oczywiście i dla chłopa byłby ten stan rzeczy nader dogodnym, ponieważ wobec szybkiego wzrostu ludności coraz to trudniej pomieścić mu się na zagonie ojczystym.

Obok tego w organizacyi stosunków robotniczych odegrywa ważną rolę sposób zapłaty, akordowa praca znalazła zastosowanie przeważnie tylko przy żniwach, jej rozszerzenie byłoby pożądanem, pozwala bowiem podwyższyć zarobek robotnika bez wydatku ze strony pracodawcy, dla którego w tym wypadku wyrównaniem podwyższonej płacy jest zwiększona intenzywność roboty, obok tego dawanie premii byłoby rzeczą zastanowienia godną. Dla przykładu przypomnę, że w Danii dziewki do dojenia otrzymują oprócz utrzymania i stałej miesięcznej, z góry umówionej zapłaty wynagrodzenie, którego wysokość zależy od ilości wydojonego mleka i od ilości tłuszczu zawartego w mleku; system ten wpłynął nadzwyczaj dodatnio na zwiększenie mleczności.

Równomierniejszy rozkład zajęć gospodarskich przyczyniłby się zapewne do zmniejszenia wielkiej różnicy, zachodzącej obecnie między stosunkowo dość wysoką, ale nader krótkotrwałą zapłatą podczas żniw, a nizkimi zarobkami w innych porach roku.

Najpewniejszym sposobem zapewnienia sobie robotnika jest podwyższanie płac. Zastosowanie tego środka zależy oczywiście od finansowej możności poszczególnych jednostek. Celem zapewnienia sobie dochodów na ten cel wystarczających, dążyć usilnie należy do zwiększenia intenzywności w naszych podolskich gospodarstwach, do postawienia ich na nowożytnej stopie, odpowiadającej wymogom dzisiejszej nauki, czego o nich obecnie powiedzieć nie można. Najlepszym dowodem nader nizkie zbiory przeciętne z hektara, daleko niższe jak w państwach zachodnio-europejskich i w innych krajach koronnych.

Tego rodzaju pojmowanie rzeczy zdobywa sobie coraz to większe uznanie. W pierwszej chwili dopatrywano się jedynie źródła strejków w radykalnej agitacyi, a jedynego środka zaradczego w interwencyi

rządu Osądzono całą sprawę tak, jak osądzono swego czasu wychodźtwo, którego jedynej przyczyny dopatrywano się w ajentach emigracyjnych, a za jedyny środek zaradczy uważano powstrzymanie wychodźtwa przez żandarmeryę. Zjawiska socyalne są objawami w wysokim stopniu złożonymi, tłumaczenie ich jedną przyczyną jest niemal zawsze mylnem.

W krótkiej kronice niepodobna oczywiście wyczerpać całego tematu, jest jednak rzeczą naszych towarzystw rolniczych, a to zarówno wschodnio- jak zachodnio-galicyjskich zwrócić najbaczniejszą uwagę na organizacyę i naprawę stosunków robotniczych i wyczerpująco rozważyć wszystkie sposoby zaradzenia złemu. Gotowe wzory mamy w literaturze zagranicznej i w działalności tamtejszych towarzystw, chodzi tylko o przystosowanie ich do naszych stosunków.

* * *

Pytanie, co mogło być przyczyną strejku, względnie dociekanie okoliczności, które uwarunkowały ich wybuch nie ma wyłącznie historycznego znaczenia, przeciwnie jestto kwestya nader aktualną, gdyż od niej zależy sąd o środkach zaradczych. Kto za jedyne źródło strejku uważa agitacyę radykalną, zadowolni się nawoływaniem rządu do stłumienia agitacyi, przekraczającej granice dozwolone ustawą i do ochrony robotników okazujących ochotę do pracy. Z przyjemnością stwierdzić należy, że obecnie poważna część ziemian wschodnio-galicyjskich zerwała z poglądem szukającym całej winy złego w agitatorach.

Pomyślnym objawem budzącej się samopomocy jest zawiązanie syndykatu rolnego w Czortkowie dla powiatów podolskich, którego członkowie płacą tytułem rolniczej składki 20 koron. Statut nowego towarzystwa jest nader dogodnym, pozwala bowiem nowozawiązanemu towarzystwu rozpocząć akcyę na wszystkich polach, wchodzących w zakres assocyacyi rolniczej, nawet prowadzenie statystyki jest przewidziane.

Które z tych rozlicznych zadań syndykat podejmie i jak je przeprowadzi, to dopiero przyszłość okaże. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego zawiązano osobne towarzystwo, a nie zadowolniono się już istniejącą organizacyą, mam tu na myśli c. k. Gal. Tow. Gospodarskie we Lwowie i jego rozliczne oddziały, rozsiane po prowincyi; organizacya ta, o ile zachodzą pomyślne dla jej rozwoju warunki, zakupuje sztuczne nawozy, nasiona, paszę, maszyny i inne płody w gospodarstwie potrzebne na wspólny rachunek członków, podejmuje się dostaw

wojskowych, urządza wystawy rolnicze i t. d., a zatem załatwia, w każdym razie, ma prawo załatwiać to wszystko, co wchodzi w zakres działania syndykatu. Wobec tego stanu rzeczy niewiadomo, czy było wskazanem wyłamywać się z organizacyi oddawna istniejącej, a przedstawiającej ogół ludności rolniczej. Objaw ten tłumaczy się niezadowoleniem z bezczynności Gal. Tow. Gospodarskiego podczas strejków. Że Gal. Tow. Gospodarskie w tej groźnej chwili nie zupełnie stanęło na wysokości zadania nie da się zaprzeczyć, złożyły się na to różne okoliczności, a przedewszystkiem wadliwa organizacya instytucyi.

Tak, jak nasi rolnicy nie umieli należycie zarządzać swojemi gospodarstwami, tak samo nie potrafili dostosować organizacyi towarzystw rolniczych do nowożytnych wymagań. Towarzystwa rolnicze, jeżeli mają należycie działać, muszą rozporządzać odpowiednimi organami, t. j. w pierwszym rzędzie muszą mieć fachowo wykształconych urzędników i to w ilości odpowiadającej ich zakresowi działania. Otóż pod tym względem towarzystwo lwowskie od szeregu lat nie robiło nic celem wytworzenia etatu fachowych urzędników. Wyjątek stanowi oddział hodowlany, który też jest stosunkowo najlepiej zorganizowany. Te długoletnie zaniedbywania wyszły obecnie na jaw w sposób widoczny dla wszystkich, jasną jest jednak rzeczą, że nie można o nie winić obecnego zarządu.

* * *

Obok strejków rolnych nie brakło w ostatnich czasach także i innych niepomyślnych objawów w naszem życiu gospodarczem, mam na myśli liczne upadłości przedsiębiorstw przemysłowych we Lwowie: fabryki maszyn „Perkun“, fabryki syropów „Union“, wielkiego młyna parowego „Marya Helena“ i kilku pomniejszych. Jeżeli nadto przypomnimy sobie, że zeszłego roku Bank Krajowy musiał odpisać ze swych aktywów udziały w lwowskim Związku handlowym Kółek rolniczych i w rzeszowskiej akcyjnej garbarni z powodu upadku tych przedsiębiorstw, że znaczny wzrost produkcyi ropy w ostatnich czasach obniżył jej cenę i wywołał przesilenie w przemyśle naftowym, że konwencya brukselska naraziła na straty krajowe cukrownictwo, że stagnacya w Niemczech oddziałała niekorzystnie na nasz wywóz drzewa, dojść musimy do niekorzystnej oceny warunków rozwoju przemysłu w kraju [1].

---

[1] Chcąc przyjść z pomocą tak ważnej sprawie, jak omawiana w tym ustępie, otwieramy łamy pisma dla swobodnej dyskusyi rzeczoznawców.
Redakcya.

Fakta te nasuwają wniosek, że obecna sytuacya gospodarcza w Galicyi nie jest pomyślną dla większej akcyi ekonomicznej, że zwłaszcza ryzykowanie publicznych funduszów na ten cel jest nader niebezpieczne. Fakta te są zresztą tylko wiernem odbiciem międzynarodowego położenia gospodarczego. Jest rzeczą powszechnie znaną, że lata 1894—1900 były latami silnego rozwoju ekonomicznego, znacznego wzrostu produkcyi i handlu niemal na całym świecie, obecnie nastąpiła konieczna reakcya, która zaznaczyła się najsilniej tam, gdzie postęp gospodarczy był najszybszym w tym czasokresie, t. j. w sąsiednich Niemczech. Dziś zjawiska ekonomiczne nie są wynikiem miejscowych przyczyn i warunków, nic dziwnego więc, że zachodzi ścisły związek między międzynarodowem niekorzystnem położeniem gospodarczem a stosunkami u nas w kraju — związek właśnie w tym wypadku bardzo ścisły, ponieważ Austryę łączą z Niemcami stosunki ekonomiczne zarówno pod względem przywozu, jak niemniej wywozu daleko bardziej ożywione, jak z jakiemkolwiek innem państwem. Toteż depresya w Niemczech dała się Austryi silnie we znaki.

Mówiąc o strejkach, miałem sposobność stwierdzić, jako jeden z ważnych warunków, umożliwiających ich wybuch, brak zawodowej znajomości rzeczy wśród ludności rolniczej, ten sam brak fachowości tkwi na dnie rozpraw i pism, poświęconych „uprzemysłowieniu kraju“. Hasło to stało się dziś bardziej popularnem jak kiedykolwiek, mimo niesprzyjających stosunków ekonomicznych, które, jak się zdaje, nie są dostatecznie znane obrońcom tej idei, nawet dzienniki bardzo umiarkowane, które w wielu wypadkach dały dowody odwagi cywilnej, które śmiało płynęły przeciw prądowi opinii publicznej, dały się skusić pięknemu celowi i zapomniały zbadać, czy wszystkie środki, proponowane dla osiągnięcia tego celu są zarówno zalecenia godne, jak sam cel.

Wiemy dobrze, że nigdzie przemysł się nie rozwinął bez opieki i pomocy ze strony władz publicznych i państwa, ale zapomina się, że nie rozporządzamy tą bronią, którą w pierwszym rzędzie posługiwano się celem poparcia przemysłu. Nie możemy zapewnić zbytu w Galicyi wytworom naszych fabryk przez nałożenie cła ochronnego na towary czeskie, morawskie, dolno-austryackie lub węgierskie, nie możemy przez podrożenie przewozu kolejowego wstrzymać ich przywóz lub przez obniżenie frachtów ułatwić wywóz naszych towarów, na politykę celną i taryfową monarchii mamy wpływ nieznaczny. Nie można więc mieszać zakresu działania państwa z atrybucyami kraju — *quod licet Jovi, non licet bovi.*. Tylko p. Studnicki w swej pracy „Wy-

odrębnienie Galicyi“ uwzględnił ten stan rzeczy, podnosząc z naciskiem jako argument w obronie wyodrębnienia Galicyi okoliczność, że dopiero po przeprowadzeniu tego postulatu kraj będzie mógł rozwinąć energiczną akcyę zmierzającą do uprzemysłowienia.

O ile zwolennicy tej akcyi domagają się daleko idących ulg podatkowych dla nowopowstających przedsiębiorstw przemysłowych lub uwzględnienia przy dostawach dla władz państwowych i krajowych w pierwszym rzędzie wytworów krajowych, to na te żądania w zasadzie zapewne wszyscy się zgodzą, aczkolwiek mogą być wątpliwości co do sposobu wprowadzenia w życie tych zasad. Sprzeciwić się jednak należy stanowczo podnoszonym z kilku stron żądaniom bezpośredniej znacznej finansowej pomocy ze skarbu krajowego na cele uprzemysłowienia Galicyi.

Do niedawna żądania tego rodzaju pojawiały się w broszurach, w artykułach dziennikarskich, na zjazdach, miały zatem charakter prywatny. Pan Bogucki w broszurze: „Pomoc własna w ekonomicznem odrodzeniu kraju“ (Lwów 1902) domagał się utworzenia „banku przemysłowego“ z kapitałem dziesięciu milionów koron w czteroprocentowych obligacyach, których oprocentowanie i umorzenie zagwarantowałby kraj. Pan Leopold Lityński: „Ekonomiczne odrodzenie Galicyi“ nie zadowalnia się takim półśrodkiem, domaga się nie mniej nie więcej, jak tylko zaciągnięcia przez kraj pożyczki dwustu milionów koron, gwarantowanej przez państwo. Rok temu zjazd przemysłowy w Krakowie na podstawie referatu p. Feldsteina uchwalił rezolucyę domagającą się utworzenia banku przemysłowego, którego kapitał zakładowy miał dać kraj. W najnowszych czasach, niestety, także i krajowa komisya przemysłowa weszła na tę drogę, zaleciła bowiem do przyjęcia wniosek, wedle którego kraj miałby zakupić za milion koron akcyi banku przemysłowego i zrzec się na lat sześć pobierania od nich procentu.

Plany te wszystkie nie stoją w należytym stosunku z zasobami finansowymi kraju, a przytem nie dają dostatecznej gwarancyi powodzenia całej akcyi. Autorom ich widocznie zdaje się, że do uprzemysłowienia Galicyi wystarczy po prostu otworzenie dogodnych źródeł kredytu. W tem tkwi zasadniczy błąd ekonomiczny i zbytnie przecenienie znaczenia kredytu. Gdyby w Galicyi były warunki wytworzenia przemysłu, kapitały zagraniczne z pewnością nie omieszkałyby wyzyskać już od dawna tej sposobności, kapitał jest międzynarodowym, czyż nie dosyć kapitałów belgijskich ulokowano w Rosyi, angielskich w Ameryce południowej? po cóż zresztą szukać tak dalekich przykładów,

przecież galicyjski przemysł naftowy przesycony jest kapitałem obcym. Do wytworzenia przemysłu nie wystarcza dobra organizacya kredytowa, trzeba fachowo wykształconych przedsiębiorców i robotników, trzeba organizacyi handlowej, któraby umiała towar sprzedać.

Galicya ma wprawdzie dużo rąk do pracy, zaopatruje w nie sąsiednie kraje, ale gdy chodzi o pracę choćby w najmniejszym stopniu kwalifikowaną, wymagającą choćby tylko małego zasobu zawodowej znajomości rzeczy, okazuje się, że nas na robotników nie stać, aczkolwiek Galicya jest krajem rolniczym. Objaw ten, także i w tym dziale produkcyi łatwo stwierdzić można Każdy, kto choć trochę obznajomiony jest ze stanem robót melioracyjnych w kraju, wie, że drenowanie natrafia na poważne trudności z powodu braku robotników. Na pierwszy rzut oka objaw zupełnie niezrozumiały, przecież wywóz ludzi jest jednym z najgłówniejszych artykułów wywozowych galicyjskich. Zrozumiemy zagadkę, gdy uwzględni się, że wywóz obejmuje robotników zupełnie nieukwalifikowanych; jeżeli zatem nawet rolnictwu brak robotnika zawodowo uzdolnionego, cóż dopiero mówić o przemyśle.

Nie tylko brak nam robotnika, ale brak nam także osobników technicznie i handlowo wykształconych, któreby mogły pokierować przedsiębiorstwem przemysłowem. W tym kraju rolniczym niema rolników, a tem mniej przemysłowców. Wiadomo przecie, jak trudno o dzierżawców chrześcijańskich. W Galicyi wschodniej bardzo dużo majątków znajduje się w rękach żydowskich dzierżawców — te właśnie w pierwszym rzędzie były dotknięte strejkiem. Znam szereg gospodarstw, w których ekonomami i rządcami są Niemcy, nie można bowiem było znaleźć Polaków.

To też akcya przemysłowa kraju powinna przedewszystkiem polegać na dążeniu do wykształcenia i wychowania ludzi, którzyby byli w stanie wytworzyć przemysł.

Kraj może w całej tej sprawie odegrać tylko rolę pomocniczą, ale nie może i nie powinien brać bezpośrednio na siebie ryzyka, związanego z każdem przedsiębiorstwem przemysłowem. Ma się tu do czynienia z momentem spekulacyjnym, stanowiącym zupełnie nieodpowiednie pole działania dla kraju. Rzeczą władz publicznych jest wytworzenie warunków pomyślnego rozwoju gospodarczego, ale właściwa akcya jest zadaniem jednostek potemu odpowiednio uzdolnionych.

Ogólny poklask znalazło mniemanie, że dotychczasowa działalność krajowej komisyi przemysłowej była zasadniczo błędną, ponieważ popierano przeważnie przemysł domowy i rękodzielniczy, oraz łożono na

wykształcenie zawodowe. Obecnie należy zwrócić główną uwagę na przemysł wielki. Tę zasadę czyta się w dziennikach i w broszurach; znalazła ona swój wyraz w uchwałach komisyi. Tendencye to bardzo niebezpieczne, objawia się w nich iście polski brak wytrwałości. Zrażono się pierwszemi niepowodzeniami, wywołanemi niejednokrotnie niedość umiejętnie obmyślanym sposobem popierania przemysłu domowego i rękodzielniczego, lub brakiem natychmiastowych rezultatów, których z natury rzeczy nie można się tak prędko spodziewać. Zamiast na podstawie zyskanych doświadczeń zreformować działalność komisyi, istnieje zamiar porzucenia dotychczasowej drogi i przerzucenia punktu ciężkości na inne pole. Jakimiżto sposobami krajowa komisya przemysłowa chce dźwignąć, a raczej stworzyć wielki przemysł?

Jeden z tych planów już omówiliśmy, drugi polega na znacznem powiększeniu krajowego funduszu przemysłowego (100 tysięcy koron rocznie przez lat 50), z którego udziela się nisko oprocentowanych pożyczek (3 %). W uchwale, zalecającej Sejmowi powiększenie funduszu przemysłowego komisya powołuje się na analogiczną uchwałę, przeznaczającą znaczne stosunkowo kwoty (20 tysięcy koron rocznie przez lat 50) na spółki dla oszczędności i pożyczek. Analogia jest tylko pozorna, albowiem zabezpieczenie pożyczki jest zupełnie odmienne w każdym z tych dwóch wypadków, spółki dla oszczędności i pożyczek są spółkami z nieograniczoną poręką; one zatem za swe zobowiązania odpowiadają całym majątkiem wspólników. Pożyczki udzielane z krajowego funduszu przemysłowego nie mają tak pewnego zabezpieczenia, co się zresztą dowodnie okazało w praktyce. Krajowy fundusz przemysłowy poniósł już niejednokrotnie straty z powodu upadku przedsiębiorstw, korzystających z tego źródła kredytu. Oczywiście, jeżli będzie się popierało wielki przemysł wielkimi funduszami, wzrasta znacznie możność strat. krajowa komisya przemysłowa chce temu zapobiedz przez ustanowienie fachowego urzędnika w swojem biurze, należałoby jednak ustanowić tylu urzędników fachowych, ile różnych gałęzi przemysłu się popiera. Nadzór nad fabryką wagonów, mający na celu stwierdzenie racyonalnego zużycia pożyczki, wymaga przecie innego uzdolnienia, jak analogiczny nadzór nad garbarnią.

* * *

Jeżeli już mowa o uprzemysłowieniu kraju i dotyczącej literaturze, to należy mojem zdaniem z całym naciskiem podnieść zasadniczy błąd w motywowaniu całej akcyi. Wiemy wszyscy dobrze, że Galicya

jest krajem biednym, krajem, w którym liczba jednostek zamożniejszych, mogących sobie pozwolić na bezinteresowną pracę w zakresie sztuki, polityki lub literatury jest nader szczupłą. Znaczny wzrost ludności wywołuje konieczność pomyślenia o produkcyi przemysłowej, w której tkwi daleko większa możność szybkiego pomnożenia wytwórczości, jak w produkcyi rolniczej, bardziej zależnej od warunków naturalnych, ulegających zmianom pod wpływem pracy ludzkiej tylko w stopniu ograniczonym i to w stosunkowo długich odstępach czasu. Błędem jednak jest twierdzenie, najsilniej zaznaczone w broszurze p. Lityńskiego, jakoby Galicya znajdowała się w epoce upadku ekonomicznego.

Być może, że Galicya pod względem gospodarczym rozwija się zbyt powoli, wolniej jak inne kraje, ale nie można stwierdzić obniżenia się poziomu ogólnego dobrobytu. Nie da się zaprzeczyć niekorzystnemu położeniu pewnych warstw naszego społeczeństwa; rzemieślników byt jest niejednokrotnie zachwiany, to samo stosuje się do szlachty jednowioskowej, ta średnia własność ziemska maleje z dniem każdym, część ludności żydowskiej nie może znaleźć sposobu uniknięcia upadku gospodarczego, ale chłopi, warstwa najliczniejsza, zdołali poprawić swoje ekonomiczne położenie; w stosunku do czasów pańszczyźnianych postęp jest niezaprzeczalny, aczkolwiek mógłby być większy. Wprawdzie i tu są wyjątki; siedliskiem tego postępu włościańskiego jest przedewszystkiem Galicya zachodnia, im dalej ku wschodowi, tem coraz trudniej przychodzi nam stwierdzić poprawianie się stosunków, na Huculszczyźnie porównanie z przeszłością prawdopodobnie nie wypadłoby na korzyść teraźniejszości. To jednak nie zmienia całości obrazu.

Powolnie wzrastający dobrobyt włościański znajduje swój wyraz w całym szeregu faktów. I tak gospodarstwo rolne chłopskie w Galicyi zachodniej wykazuje zwrot ku lepszemu, podnosi się hodowla bydła, zwiększa się zużycie sztucznych nawozów, chłop wypiera szlachcica z obszaru dworskiego, coraz częściej rozparcelowywanego między włościan, a Żyda ze sklepiku wiejskiego przez Kółka rolnicze. Chłopi zawiązują stowarzyszenia kredytowe, spółki dla oszczędności i pożyczek, a w niektórych z nich suma oszczędności przewyższa łączną wysokość pożyczek. Poezyą uświęcone, ale niepraktyczne strzechy włościańskie zastępuje coraz to częściej ogniotrwała dachówka, podnosi się cena ziemi i t. d. Powoli wytwarza się nawet ruch przemysłowy; dość przypomnieć kopalnie i rafinerye nafty na Podkarpaciu, powstawanie fabryk w najbardziej na zachód wysuniętych powiatach (np. Podgórze).

Najbardziej przekonywującym dowodem powolnego wprawdzie, ale niewątpliwego polepszenia się stosunków gospodarczych jest okoliczność, że mimo wysokiej śmiertelności, nader silnego wychodźtwa (30 tysięcy rocznie w ostatniem dziesięcioleciu XIX w.), ludność wzrasta szybko. Jeżeli zatem niektórzy autorowie próbują wmówić w czytelnika, że się cofamy pod względem ekonomicznym, to zdanie tego rodzaju nie dość rachuje się z istniejącymi stosunkami. Złym byłby optymizm w tej sprawie, ale i zbytni pesymizm nie jest dobry.

* * *

Po koniec roku 1901 należało do patronatu Wydziału krajowego 138 zarejestrowanych spółek oszczędności i pożyczek, z których 133 rządziło się zasadą nieograniczonej poręki członków zobowiązania spółki, natomiast reszta przyjęła porękę ograniczoną; liczba nowozawiązanych spółek w r. 1901 wyniosła 52. W sprawozdaniu Wydziału krajowego, przedłożonem Sejmowi, znajdują się zamknięcia rachunkowe 116 spółek za rok 1901. Tych 116 spółek miało 16 883 członków; na jednę spółkę przypadało w r. 1901 przeciętnie 195 członków, a zatem o 23 więcej, jak w roku poprzednim, stan udziałów wpłaconych wynosił 99 522·27 koron, przeciętnie na jednego członka wypadało 4·83 K udziału wpłaconego, podczas gdy w r. 1900 wynosiła kwota ta 4·83 K. Wkładki oszczędności wzrosły w r. 1901 z 641 756 na 1 485 212 K, przeciętny stan wkładek w jednej spółce patronackiej wynosił w roku 1900 — 10 186, a w 1901 — 12 803 K, najwięcej wkładek ma zawiązana przed 11-tu laty spółka w Gaciu (powiat Przeworsk), a mianowicie 152 093 K. Suma pożyczek, zaciągniętych przez spółki, wzrosła w tymże samym czasokresie z 202 159 na 462 757 K. Wierzytelności spółek z powodu udzielanych członkom pożyczek wynosiły w kapitale pożyczkowym z końcem r. 1900 ogółem 853 296 K, a w rok później 2 006 562 K. Sprawozdanie Wydziału krajowego zawiera ważną lukę, nie podaje bowiem, ile spółki płacą procentu od wkładek oszczędności, a ile biorą od pożyczek

Wydział krajowy udzielił im kredytu do końca r. 1901 w kwocie 441 581 K po odtrąceniu spłat, oprócz tego Gal. Kasa Oszczędności we Lwowie pożyczyła 11-tu spółkom łączną kwotę 172 000 K. Kasy pożyczkowe gminne lokują swe kapitały w spółkach w formie pożyczek lub zwykle, jako wkładkę oszczędności. „Wydział krajowy nie wywiera w tym kierunku żadnego nacisku“ — czytamy w sprawozdaniu. — Zwłaszcza w okolicach, gdzie kasy źle są zarządzane, przyspie-

szenie całej tej akcyi byłoby pożądanem, to też porzucenie tego biernego stanowiska Wydziału krajowego, wydaje mi się koniecznem. Niektóre Rady powiatowe likwidują kasy pożyczkowe gminne, i fundusze w ten sposób pozyskane przelewają do powiatowych funduszów pożyczkowych, co nie wydaje mi się właściwem, ponieważ zarząd powiatowego funduszu pożyczkowego nie zawsze będzie rozporządzał dostateczną znajomością stosunków lokalnych, potrzebną do osądzenia, czy udzielenie pożyczki jest wskazanem.

Dla ułatwienia manipulacyi kasowej zaprowadził Wydział krajowy „zbiorcwy rachunek bieżący spółek oszczędności i pożyczek z Wydziałem krajowym", ponieważ w niektórych spółkach objawia się chwilowo przynajmniej nadmiar gotówki, której spółka ulokować nie może, a która nie przynosı procentu, z drugiej zaś strony niektóre spółki potrzebują chwilowo pieniędzy, przeto Wydział krajowy postanowił złemu zaradzić przez rachunek zbiorowy. Spółki lokują zbędne kapitały w Banku krajowym wyjątkowo na $4^1/_2\%$, który je wypożycza innym spółkom w rachunku bieżącym.

Spółki należące do patronatu obejmują swoimi okręgami działalności 578 gmin z ludnością 535 825, co stanowi 9·26% ilości gmin, a 8·18% ilości mieszkańców w kraju. Przeciętnie przypadają na jednę spółkę 4 gminy z 3 883 mieszkańcami.

Szczególnie pocieszającym jest objaw, że obok spółek kredytowych powstają powoli także i inne spółki rolnicze, a mianowicie zawiązały się dwie spółki dla uprawy torfowisk w Wolicy Baryłowej i w Podliskach małych oraz spółka owocarska w Porąbce uszewskiej.

Wydział krajowy prowadzi rokowania z rządem co do ułożenia planu akcyi, zmierzającej do poparcia stowarzyszeń rolniczych, pracuje również Wydział krajowy nad ułożeniem podręcznika dla spółek rolnych. Podręcznik taki jest potrzebny zwłaszcza dla spółek drenarskich i dla spółek mleczarskich, które mają u nas w kraju wielką przyszłość.

Niestety, udział rządu w całej tej akcyi jest nader mały. Rząd popiera usiłowania podobnego rodzaju w innych krajach koronnych zasiłkami daleko znaczniejszymi, jak te, które przeznacza dla Galicyi.

Powodzenie spółek zależy przedewszystkiem od ludzi, którzy się zajmują ich powołaniem do życia i prowadzeniem. Doświadczenie uczy, że do powodzenia całej tej akcyi przyczynia się wielce udział w niej duchowieństwa parafialnego, proboszczów i wikarych. Byłoby pożądanem, by podobnie, jak się to dzieje za granicą, klerycy opuszczając seminaryum wynosili z niego pewien zasób wiadomości ekonomicznych,

odnoszących się zwłaszcza do assocyacyi, ponieważ na tem polu przyjdzie im w życiu niejednokrotnie działać z korzyścią dla parafian, powierzonych ich pieczy, oczywiście tem większą, im z większą zawodową znajomością rzeczy zabiorą się do pracy społecznej.

Dr. A. M.

Z życia i prasy.

Dzień świąteczny a Żydzi i Koło Polskie. — Apologia Zoli. — Domorosły filozof ateizmu. — Tandeta w piśmiennictwie pobożnem.

Dzień świąteczny a Żydzi i Koło Polskie. Niektóre dzienniki przynoszą nowinę bardzo przykrą dla katolickiego społeczeństwa. Koło Polskie, które liczy w swojem gronie tylu katolików dzielnych, nie zdołało zdobyć sobie urzędowo stanowiska właściwego dla przedstawicieli Polski katolickiej. Wobec jego postawy najwyżej położone warstwy nie wiedzą, co o nas mniemać. Ktoś z tych warstw wyznał raz otwarcie: „nie pojmuję tych Polaków; pełni gorącej wiary, kiedy mówią, nie popierają nigdy pracy katolickiej, kiedy przez swoją pomoc mogą przechylić zwycięstwo na stronę sprawy podjętej przez innych katolików w państwie!“

Ta już nadwerężona sława naszego zastępu ustawodawców ucierpieć może znowu dotkliwie, jeżeli donośnym czynem nie zaprzeczy pogłosce, jakoby Koło ustąpiło w obec Żydów i pod naciskiem ich gróźb zajęło stanowisko zupełnie przeciwne chrześcijańskiemu prawu o przerwie pracy w dzień świąteczny!

Katolicy podali do parlamentu wniosek, żeby żadnych sklepów nie wolno byłc kupcom otwierać w niedzielę i święto przez cały dzień. Czyż prawda, że tego wniosku nie poprze Koło Polskie z obawy przed Żydami? w takim razie nie z powodu polityki, — bo ta do *Przeglądu Powszechnego* nie należy, — ale z powodu odstępstwa od katolickiego obowiązku, z powodu względów łaskawych na pożytek innowierców, a niedbalstwa na potrzebę społeczeństwa katolickiego: z tego powodu wolnomyślni członkowie Koła Polskiego przymnożą tylko wstydu nam wszystkim wobec świata, który podziwia nasz katolicyzm bez czynów, przymnożą sami sobie nieprzyjaciół w narodzie, który wolał nie wi-

dzieć dyademu carskiego na głowie swojego królewicza, niż nadać całej księdze dziejów swoich obrót po ludzku świetny, ale niegodny synów Kościoła.

Ks. K. C.

Apologia Zoli. Pani Zapolska ma szczególną skłonność i zdolność do stawiania pomników tym, którym nikt u nas pomników stawiać nie myśli. Tak w swoim czasie uwieczniła pamięć „Legend" Niemojewskiego. Odczuła wtedy w „Legendach" dziewiczy szum gołębich skrzydeł i taką głębię pobożności, iż zdaniem jej każde dziecko z tej książki modlić się powinno.

Teraz przyszła kolej na Zolę. Po śmierci Zoli nikt u nas, prócz przedstawicieli socyalizmu, nie odczuwał potrzeby, by szerzej nad twórczością Zoli się rozpisywać, raz dlatego, że autor ten nie cieszył się u nas zbytnią sympatyą, powtóre dlatego, że po kilku wybitnych o tym pisarzu pracach, zwłaszcza po studyum Sienkiewicza, sąd o nim był ustalony.

Sąd ten nie podobał się p. Zapolskiej; postanowiła przedstawić Zolę w jaśniejszem świetle. Nie o rodzaj i stopień talentu jej idzie; kobiecym dowcipem i sprytem odkryła zupełnie nową, nieznaną dotąd stronę tego pisarza, tę mianowicie, że Zola był pisarzem moralnym, i to tendencyjnie moralnym.

Twierdzenie takie nasuwa dwa przypuszczenia: albo p. Zapolska Zoli wcale nie zna, albo, jeżeli choćby kilka jego dzieł czytała, to ma zupełnie inne pojęcie o moralności, jak inni ludzie. Rozwodzić się dłużej nad sprawą tak oczywistą niema potrzeby.

Jedno tylko można zaznaczyć. Oto p. Zapolska chcąc pisać o tendencyjności Zoli, powinna była rozprawić się wprzódy z samym Zolą, który w literackim swoim programie tendencyjność wykluczał; inna rzecz, czy zawsze był temu programowi wierny. Chciał tylko przedstawić rzeczywistość, a że ta rzeczywistość miała zdaniem jego więcej stron ciemnych, niż jasnych, że życie ludzkie mieściło w sobie więcej podłości i brudów, niż dobrych przymiotów, że człowiek, jak mu się zdawało, jest tylko zwierzęciem ludzkiem, więc też malował zwierzęta ludzkie, ludzkie brudy i podłości. Choćby więc nie było u Zoli żadnej tendencyjności złej i niemoralnej, co wogóle nie jest prawdą, już ta sama tendencya, ażeby przedstawiać głównie tylko rzeczywistość złą i niemoralną, z całą przesadą Zoli właściwą, z użyciem ku temu

celowi wszystkich właściwych mu środków pisarskich — już to jest niemoralnością.

Sumienność literacka, jeżeli już nie inna, nie powinnaby pozwolić na taką lekkomyślność w sądach.

Ks. P.

Domorosły filozof ateizmu. W jednem ze socyalistycznych wydawnictw, dla szerokich mas robotniczych, ogłosił niejaki pan Czaki szereg spopularyzowanych dumań filozoficznych, ujętych wspólnym tytułem „Z zagadnień filozofii“. Zagadnienia stawia sobie p. Czaki niełatwe: „Podmiot i przedmiot“, „Filozofia i jej podział“, „Metafizyka“, „Teologiczne kierunki w metafizyce“, „Teorya poznania“, „Filozofia przyrody“. Ogólną ich cechą niedbałość o ścisłość wyrażeń i o prawdziwość twierdzeń z jednej strony, a dążność do zachwiania wiary w istnienie Boga i do przedstawienia człowieka jako zwierzęcia z drugiej. Pierwszej wykazywać nie potrzeba; wciąż niemal spotykamy się z fałszywemi lub niczem nieuzasadnionemi twierdzeniami. Druga objawia się głównie w „Teologicznych kierunkach w metafizyce“.

Przedewszystkiem zbija autor argument ontologiczny, dowodzący istnienia Boga z możliwego pojęcia najdoskonalszej istoty, zawierającego też oczywiście konieczność istnienia swego w rzeczywistym porządku rzeczy.

„Z takiego pojęcia nie można bezwarunkowo wysnuwać wniosków o rzeczywistości lub istnieniu przedmiotu, którego to pojęcie się tyczy“ powtarza p. Czaki za Kantem, tylko że nie Kant pierwszy wykrył błąd argumentu jak się zdaje domorosłemu filozofowi.

Dowód ontologiczny wprowadził św. Anzelm z Canterbury, jako jedną z dróg, wiodących do poznania istnienia Boga. Jednakże zaraz zwalczał ten sposób rozumowania zakonnik Gaunil — potem św. Tomasz wraz ze Scholastykami — odrzucał go i Leibnitz. Słowem ilekroć dowód ten w rozwoju filozofii na nowo się pojawiał, znajdował zaraz silny opór przeciwników.

W zamieszaniu pojęć teologiczno-filozoficznych pewnej szkoły niemieckiej dostał on się przez podręcznik Martina i do dawnej szkolnej dogmatyki Jachimowskiego.

Żaden wszakże teolog ani filozof obecnie tego dowodu nie uznaje za przekonywujący.

Inaczej się ma z dowodem kosmologicznym. — Klasyczny ten argument należy do tych, które już w starożytności swą oczywistością

rozum podbijały. Wobec tego argumentu, jak pisze Mędrzec, „wszyscy ludzie są nikczemni, w których niemasz znajomości Bożej“ [1].

Gdyby był zaglądnął do wydania Reklama „Krytyki czystego rozumu“ [2], nie byłby z pewnością napisał, że dla tego z istnienia świata wnioskuje się na jego ostateczną przyczynę, że inaczej przyjąćby trzeba wieczność materyi i ruchu. Czaki twierdzi, że jedno i drugie nie jest sprzeczne z wiedzą. Jak pogodzi w tym razie we fizyce prawo entropii to rzecz jego? Czemu, skoro natura dąży, by w niej wszelka energia zamieniła się w ciepło i zeń powstałe undulacye eteru — a to ciepło w ekwilibrium rozłożyło się po świecie, czemu w wiecznym procesie ciepło, wiecznie wzrastając, dzisiaj nie jest nieskończone? — czemu jeszcze nie nastąpiła zamiana wszelkiej energii na ciepło — czemu jeszcze świat nie zamarł?

Odpowiedź na te zagadki byłaby bardzo ciekawa, gdyby ją dał Czaki. My nadmieniamy tylko, że św. Tomasz prawdę doczesnego stworzenia przyjmował jako prawdę wiary, uczył, że z rozumu jej dowieść na pewno się nie da. A jednak bronił argumentu kosmologicznego. A więc widocznie nie z obawy przed przyjęciem wieczności materyi wnioskuje się z istnienia świata na jego najwyższą przyczynę.

Siła dowodu kosmologicznego polega na czem innem niż utrzymuje Czaki. Jeżeli istnieją wokoło nas rzeczy przemijające, przez to samo, że są przemijające, racyi bytu w sobie nie mają, a więc prócz nich musi być jakaś istota, mająca sama w sobie tę racyę niezależna w bycie od żadnej innej — konieczna a udzielająca racyi bytu tymże przemijającym istotom. Jeżeli nas otaczają rzeczy lub istoty zawdzięczające swój początek innym, to musi być prócz nich jestestwo przez nikogo nie uczynione — nie mające żadnej zewnętrznej przyczyny. — Wynika to z prawa przyczynowości, lub, ogólniej rzecz biorąc, z prawa racyi wystarczającej, które nie zamyka się, jak chce błędnie Hume i Kant, w zakresie doświadczenia, ale jest powszechne. Czy się potem przyjmie wieczność owych jestestw znikomych i ich działania, czy niezliczony lub bardzo ograniczony szereg przyczyn, dowód sam na tem nic nie ucierpi.

Brak bowiem racyi istnienia w samych tych jestestwach nie jest przypadkowy tylko jako cząstkom wielkiej masy materyi, ale istotnie wypływa z ich natury. To też tak samo znajduje się w szeregu nie-

---

[1] Sap. 13. Czaki zbija i ten dowód, powołując się znowu na Kanta.
[2] Krit. d. r. V. Rec. 479.

skończonym jak ograniczonym tych jestestw. Szereg taki nieskończony nie ma też w sobie racyi bytu i wymaga poza sobą istoty, istniejącej własną koniecznością; jeśli się zaś przyjmie od wieków istniejącą materyę, uznać się musi także, że od wieków do bytu powołaną została przez istotę konieczną. Wobec tego co najmniej nierozsądną jest uwaga Czakiego, że „trzymając się dowodu kosmologicznego możnaby zapytać, jaką jest przyczyna owej ostatecznej przyczyny świata“ (str. 63).

Dowód kosmologiczny jest osią, koło której obraca się cały szereg t. z. argumentów metafizycznych, a zarazem jest ich podstawą. Na mocy ich dochodzimy z całą pewnością do pojęcia istnienia istoty nieuczynionej, w bycie swym niezależnej (koniecznej) i t. p.

Równoległy do niego — równie poważny i równie starą cieszący się tradycyą, jest dowód t. z. teleologiczny. Sam Kant, stojąc jeszcze pod wpływem Wolffa opracowywał go w osobnem dziełku p. t. *„Der einzig mögliche Beweggrund zu einer Demonstration des Daseins Gottes“*. W pracy tej, łączy argument teleologiczny z henologicznym.

Później nawet w „Krytyce czystego rozumu“ tak się o tym dowodzie wyraża:

„Dowód ten[1] zasługuje po wszystkie czasy na poważanie. Jest najstarszy, najjaśniejszy, najbardziej odpowiada prostemu rozumowi i jak sam czerpie siłę ze studyum przyrody, tak je nawzajem ożywia... Byłoby więc rzeczą próżną chcieć coś ująć z jego znaczenia. Albowiem rozum oparty na tak silnych i pod ręką niemal rosnących, choć tylko empirycznych dowodach, nie może do tego stopnia się uwikłać w subtelne i dalekie spekulacye, aby rzuciwszy wzrokiem na cuda natury i majestat świata nie wzniósł się znowu niby ze snu, z niepewności do sprawcy rzeczy stworzonych“.

Kant zarzuca tylko, że w ten sposób nie da się udowodnić istnienie istoty nieskończonej, wszechmocnej i t. d.

Mimo zarzutu, jakoby dowód ten nie wykazywał nieskończoności Bożej, pozostaje faktem, iż, podług Kanta wykazuje istnienie Boga — o co w tej sprawie chodzi. Wystarcza, że rozum przekona się o istnieniu istoty koniecznej — nieuczynionej, jako ostatniej przyczyny rzeczy — pana najwyższego i prawodawcy lub t. p., wystarcza, że go choćby w jednym z tych przymiotów pozna.

Wierny uczeń Kanta, Czaki „po niszczącej (?!) Krytyce“ trzech dowodów doszedł z mistrzem do przekonania, że „na drodze

[1] Kr. d. r. V. Rec. 489.

teoretycznej nie da się udowodnić istnienie" (to trochę żydowska konstrukcya) „istoty najwyższej".

Ale tu figla mu spłatał Kant, przyjmując istnienie Boga, jako postulat rozumu praktycznego. Więc Czaki opuszcza mistrza!

„Przekonywujących dowodów — pisze — na istnienie Boga nie dostarczył deizm tak samo jak teizm"... Nawet „formy, w których panteizm się objawia, znamionuje pewna dowolność i nastrój poetycki". Pozostał jeszcze ateizm. Czaki go wymienia.

Nie zbija, ani słowami nie pochwala. Aleć to ostatnie było zbyteczne, bo przecież jeśli się z czterech wymienionych systemów, trzy odrzuca a w czwartym, w ateizmie, żadnej nie znajduje wady, i nie stawia się też nowego dowodu — wniosek jasny.

Z usunięciem Boga słowo jego biblia będzie też „legendą" i „światło nie powstało jak powiada legenda biblijna z chwilą stworzenia słońca, lecz dopiero, gdy powstały istoty, posiadające zmysł wzroku" (str. 60). Istotnie trudno pojąć, że Czaki nie wie, jak światło dla wegetacyi potrzebne? Może i w roślinach odkrył zmysł wzroku?! Przecież jeżeli parę wierszy przedtem pisze, że fizyka uczy(?!), że światło jest ruchem eteru, ciepło ruchem cząsteczek, głos ruchem powietrza, to chyba nie myśli, żeby dopiero jego wzrok powodował te ruchy? Jakaż więc trudność? czemu te ruchy eteru (światło według Czakiego) nie mogły być przed istotami zmysłem wzroku obdarzonemi? A ile światło działa w powinowactwie chemicznem, jak w ewolucyi materyi, przy tworzeniu się skorupy świata byłoby poważnym czynnikiem, dowiedzieć się może od ucznia z szkół wydziałowych.

Filozofia przyrody jest w rozprawie Czakiego nowem polem ataków. Po Bogu przyszła kolej na człowieka i jego otoczenie.

„Między człowiekiem a resztą świata organicznego niema zasadniczej różnicy" (str. 65), uzasadniła to teorya ewolucyjna, pisze Czaki; teorya zaś heliocentryczna Kopernika wykazując, że „ziemia nie jest środkiem wszechświata lecz tylko znikomym punktem w nieskończonej przestrzeni"; sprawiła, że i „człowiek przestał być królem stworzenia lecz musiał się zadowolić rolą o wiele skromniejszą.

Ustęp tak patetyczny mógłby służyć do niejednego niby bardzo uczonego a w gruncie rzeczy obliczonego na efekt odczytu, lub zastąpić brak rzetelnej wiedzy w niejednej rozprawce, jednakże kto go wygłasza, wiedzieć powinien, że jeżeli starożytność, wieki średnie, a *par excellence* chrześcijaństwo od początku po dziś dzień uważa człowieka za króla stworzenia, to bynajmniej nie dla tego utrzymuje ten system

antropo-centryczny, że ziemię uważa za środek wszechświata. Święty Tomasz, tłumacząc na czem polega królestwo człowieka, mówi [1], że całe stworzenie jest dla człowieka w tem znaczeniu, że mu pomaga w rozwinięciu w sobie podobieństwa Bożego, a więc jest mu w tym kierunku pożyteczne; — człowiek jest królem, ponieważ w świecie naturalnym stoi na najwyższym stopniu jestestw.

Człowiek wierzący, niezależnie od wszelkich teoryi helio- czy geo-centrycznych, uzna ten antropo-centryzm — dla materyalisty Czakiego on i przed Kopernikiem istniećby nie mógł, — jeżeliby przypadkiem nie twierdził, że jak słońce koło ziemi tak ziemia się obracała koło człowieka.

„Drugim doniosłym nabytkiem nowych wieków było przekonanie, że wszystkie ciała podlegają nieubłaganej prawidłowości, co nie tylko przyczyniło się do wyrugowania wszelkiej cudowności — ale nawet Watykan wyrwało ze starych przesądów — bo i on u siebie zaprowadził piorunochrony". Szkoda, że z równą logiką Czaki nie zauważył, jak Watykan miał dawno i szyby w oknach, żeby się od zmian powietrza uchronić, i nie oczekując cudów, pobudował schody, by się na piętra módz dostać, — bo przy takiej bystrości mógłby łatwo dowieść, że już dawno Watykan wyprzedził nowoczesną kulturę; tymczasem ani cuda nie sprzeciwiają się prawom natury, ani korzystanie z wynalazków i ulepszeń cywilizacyjnych nie jest praktycznem zwątpieniem w cuda.

Człowiek zwierzę nie różny od materyi — bo jak on nie różni się zasadniczo od świata organicznego, tak między światem żywym a przyrodą martwą też niema jakościowej różnicy — oto drugi wynik rozumowań Czakiego.

Reszta tylko ku temu zmierza, by pozorem naukowym i całą masą wyników, mniejsza o to czy prawdziwych, oszołomić umysł prostego czytelnika i tem prędzej go skłonić do zawahania się w uznawaniu prawd, które dotąd przyjmował i dowodów, którymi te prawdy popierał.

Więc najpierw przyroda organiczna według Czakiego jest tem samem, co żywa — choć chemia tworzy dziś jestestwo organiczne a *principium* życia jest dla tych samych uczonych zagadką; materya jest niezniszczalną i nie można jej ani stworzyć z niczego, ani obrócić w nicość, zapomniał tylko Czaki dodać, że nauka nie wdaje się w nie-

[1] 2 D. I. q. 2. a 3.

możliwość absolutną, ale tylko o ile ona odnosi się do sił przyrodzonych, co każdy uznaje bezsprzecznie; również dowiedział się skądś p. Czaki, że prawo jedności materyi w niedługim czasie (?!) zostanie doświadczalnie stwierdzone, a jednak parę wierszy przedtem mówi, że pierwiastkami są ciała, których w żaden sposób nie można rozłożyć na prostsze. Plecie o przyciąganiu się atomów wzajemnem, jak o rzeczy pewnej, podczas gdy ono granic przypuszczenia nie przeszło. A już największą biedę to mu sprawia nieskończoność czasu, przestrzeni i przedewszystkiem materyi. Nauka wypowiada w tych kwestyach jedno: „niewiem", a przecież one Czakiemu potrzebne — więc nie wie nieborak, czy uznać materyę jako istotnie nieskończoną, czy też skończoną, choć o bardzo wielkich rozmiarach.

Tych wątpliwości Czakiego roztrząsać ani fałszywych twierdzeń przyrodniczych zbijać nie będziemy. Z człowiekiem, który niczego do nauki nie wnosi prócz chaosu pojęć, nikt nie polemizuje. Zaznaczyć jednak musimy, że pozory naukowości, wysuwane naprzód i ustawicznie powtarzane słowa: „wiedza, nauka" potrafią zwieść, nietylko niewykształconego robotnika, ale nawet niejednego przedstawiciela niższej naszej inteligencyi mniej rozumującej, a chciwiej za to goniącej za pozorami naukowemi. Kto nie ma choćby ogólnych zasad naukowych, nie będzie może w stanie odpowiedzieć sobie na wątpliwości, cisnące się pod wpływem sofizmatów Czakiego. Z tego zwłaszcza względu nie można było pominąć milczeniem działalności pisarskiej tego nowego „uczonego".

Piszemy nadto o Czakim, bo to pierwszy raz socyaliści nie półsłówkami, ale wprost zaczepili już nie jakiś dogmat szczególny, ale prawdę fundamentalną całego chrześcijaństwa. Piszemy obszerniej, by wykazać, że artykuł Czakiego nie jest napisany w innych celach jak tylko, aby niedomawiając wyraźnie ostatecznej konkluzyi „Boga niema", próbować równoznacznie rozszerzać niewiarę.

Ks. W. R.

Tandeta w piśmiennictwie pobożnem. W „Notatkach bibliograficznych" zeszytu lipcowego „Biblioteki dzieł chrześcijańskich" ks. A. Szlagowski podaje rozprawkę p. t. „Tandeta w piemiennictwie pobożnem", której treść następująca. Autor występuje przeciw mnożącemu się u nas wydawnictwu „naiwnych, ckliwych, płytkich broszur" i książek, „istnej plagi piśmiennictwa religijnego", bo choć tendencya dobra w nich góruje, objawiający się jednak brak gruntowności, wadliwość języka i stylu obniża poziom literatury kościelnej, podkopuje

powagę Kościoła w oczach wrogów, odstręcza wiernych od czytania sumiennie opracowanych a poważnych dzieł religijnych. Ubóstwo treści, nieudolność formy, styl przeważnie „suchy, nudny, bezbarwny, niewyrobiony a pretensyonalny, monotonny i rozwlekły, oto główne wady tych nowych książek, czy przeróbek. Nieudolna forma ujawnia się najbardziej w nowych pieśniach pobożnych. Wybitniejsi poeci częścią wstydzą się zajmować ich układem, lub „nie umieją dostroić się do wysokiej nuty kościelnego ducha“, — częścią nie mają wiary w sercu, lub goniąc za wyszukaną formą przytłumiają treść utworu. Ich miejsce w poezyi religijnej zajmują niepowołani, nieudolni pisarze, autorzy pieśni bez rytmu, budowy, z wysłowieniem często niegramatycznem. Wobec tego lepiej poprzestać na starych, wyborowych pieśniach, niż nowemi a nędznemi zapełniać śpiewniki kościelne. Kierunek i przedmiot pobożny nie dodaje im wartości, nie osłania przed krytyką.

Obok tego dziwactwa formy zaznacza się w niektórych modlitwach i litaniach także i nieznajomość prawd wiary. Kompilacye „zlepione w dowolną całość“ zaopatruje się nowym tytułem i niegramatycznym spisem rzeczy, i już powstaje „nowe wydanie“. Książki do nabożeństwa układane gdzieindziej przez uczonych, obznajomionych z praktyką teologów, u nas piszą niekompetentni, nieobeznani z przedmiotem.

Stosunkowo najliczniejsze i najszkodliwsze są niektóre czytania duchowne. Dość często, autor nic od siebie nie daje oprócz wstępu, wymownie świadczącego o literackiej nieznajomości pisarza, dowolnie zapożycza sobie treść wielu innych dzieł, opuszczając przystępny i gruntowny wykład, przytaczając tylko krytycznie niesprawdzone podania, senzacyjne opowieści. Skutkiem tego niewykształcony czytelnik „zakosztowawszy raz tej niezdrowej lektury, nuży się czytaniem poważnej książki, słuchaniem nauki w kościele; uwiedziony zgubnym wpływem tych nadmiernych cudowności uważa „marzenia, przewidzenia“ własne „za cudowne znaki z nieba mu dane“, goniąc za objawieniami przestaje pracować nad sobą, starać się o życie chrześcijańskie.—Kończy ks. Szlagowski życzeniem, aby i u nas za przykładem belgijskich biskupów powstrzymano ten zgubny kierunek obostrzeniem cenzury i surową krytyką w pismach. Wydawać natomiast należy dzieła dawnych uczonych Kościoła, powierzyć układanie nowych kapłanom światłym, łączącym sumienną pracę z gruntownem wykształceniem i wprawą literacką.

Z uwag ks. Szlagowskiego zaznaczyć musimy jedną myśl, która może być fałszywie zrozumianą. Autor zaleca umieszczać opisy spra-

wdzonych przez Kościół cudów, „jako zakończenie po gruntownem wyłożeniu prawdy katolickiej dla ożywienia i zainteresowania czytelnika“. Nasunąć to mogłoby myśl, jak gdyby nawet historycznie stwierdzone, prawdziwe cuda nie miały siły ściśle dowodowej.

Streszczenie uwag ks. Szlagowskiego podaje miesięcznik *Książka* w zeszycie wrześniowym. Zarzuca ze swej strony te same wady niektórym kazaniom „odstręczającym... wybredniejsze umysły od ambony“. Autor notatki w *Książce* przypisuje wydawnictwo tandety „przeważnie przedstawicielom Kościoła“, „co świadczyłoby o kwalifikacyach umysłowych ludzi powołanych do kierownictwa dusz“. Zdaniem *Książki*, tandeta pobożna „zraża do Kościoła nietylko jego wrogów, bo przecież i pomiędzy jego przyjaciółmi muszą być ludzie rozsądni i smakiem literackim obdarzeni“.

Streszczamy te uwagi, ponieważ dokładna znajomość przekonań, znajdujących oddźwięk w społeczeństwie, nie jest bez korzyści.

Ks. K. K.



Druk ukończono 1 grudnia 1902 r.



Z OSTATNICH DOŚWIADCZEŃ [1].

Ostatnie zajścia strejkowe poruszyły do głębi nasze społeczeństwo i opinię; tysiące ze wszech stron posypuje się refleksyi, z których każda ma dać odpowiedź na pytanie, jak zmora tłoczące nasz biedny kraj:

Co dalej począć?

Jeżeli te przeróżne rozważania mają się stać podkładem leczniczej pracy i odrodzenia po tym groźnym objawie choroby, to nie wolno im się rozstrzelić i rozbić na przeróżne, choć najlepsze, ale oderwane myśli, lecz i nie wolno także ślizgać się po wierzchu tylko sprawy.

Następstwem bowiem pierwszej metody będą idee rozpierzchłe czyli w żaden nie związane program — a następstwem drugiej jednostronność poglądu a więc i jednostronność programu.

Myśli o strejkach muszą odpowiadać tym wszystkim sprężynom i przyczynom, które strejki wywołały; osią zaś krystaliczną tych przyczyn to ani sama polityka, ani sama kwestya narodowościowa; jak zawsze bowiem korzeniem tak narodowościowych, jak i politycznych prądów jest kwestya społeczna.

Rozwiązać kwestyę strejkową u nas, to równa się rozwiązaniu problemu socyalnego, by zaś odpowiedzieć na strejki skuteczną robotą — to nie można plastru zewnętrznego przykładać na wewnętrzną ranę; nie można także brać tej kwestyi tylko

[1] Najczcigodniejszy autor raczył przechylić się do naszej prośby i podał nam w krótszem opracowaniu rozprawę, którą w tych dniach obszerniej wyda osobno. *Redakcya.*

negatywnie, uważając ją za obronę jednej klasy społecznej, przez strejki zagrożonej, ale potrzeba obok paliatyw podyktowanych potrzebami chwili, sięgnąć do rdzenia samego i postawić konkretny i pozytywny program kwestyi socyalnej.

Choćby najnieudolniejsza próbka takiego programu byle wyciągnięta ściśle i bez żadnych ubocznych i partyjnych myśli z tych nauk, jakie dają strejki, będzie już miała prawo do odpowiedzi:

Co dalej począć?

I.

Zanim dotknę praktyki, skryję się przedewszystkiem na chwilę w dziedzinę teoryi; nie wezmą mi tego, sądzę, za złe i najpraktyczniejsi politycy i najrealniejsi „działacze"; boć w tak rozlicznych dzisiaj taktykach oddziaływania na lud, w tak przeróżnych sposobach praktycznych tylko wtedy myśl się nie zbłąka, a co za tem idzie, działalność się nie rozstrzeli, albo gdzieś w zaułku się nie zgubi, jeżeli przed czynem i programem praktycznym wprzód jako przesłańca wyślemy metafizykę tego czynu, przewodnią ideę, która jest jego duszą.

Przeróżne taktyki i programy dają się zredukować do dwu przewodnich i zasadniczych, wręcz od siebie odmiennych, które znowu mają swoje źródło w dwu odmiennych poglądach na sprawę ludową.

Pierwszy wypływa z idei oddziaływania w duchu patryarchalnym na lud.

Zasada patryarchalna każe zajmować się ludem, pracować dla ludu i „iść w lud"; ale sposób tego działania opiera się na zasadzie pedagogicznej, która robi wszystko dla swego wychowanka, ale i z a niego: nie bierze tedy w rachubę jego powolnego rozwoju, nie liczy się z jego samodzielnością, nie dzieli się tedy z nim w pracy nad nim. Wyrazem tedy tej pracy zewnętrzej, znamieniem takiego działania przewodniem jest z jednej strony świadczenie łask ludowi, czyli miłosierdzia, które

zawsze i wszystko za darmo daje, z drugiej zaś strony żąda od ludu niczego innego, jak wdzięczności.

Druga zasada, która spłynęła z ewolucyą — jaka się dokonała w ludzie naszym przez szkoły i nadanie mu praw politycznych, jest wręcz odmienną; jej przewodnim i wytycznym programem nie tyle jest miłosierdzie, ile raczej pomoc ludowi nie tyle liczenie na jego wdzięczność, ile raczej na jego współdziałanie; nie tyle oddziaływanie wyłączne na serce, ile na jego interes.

Gdy pierwsza zasada wyklucza działanie samodzielne ludu, motywując to tem, iż lud do tego nie dorósł, druga, opierając się na tem, iż lud, który dziś nie dojrzał, jutro dojrzeć może — wspiera się przedewszystkiem na samodzielności tego ludu.

Gdy pierwsza konfiskuje wszelką inicyatywę, druga stara się ją obudzić, — sama tylko tyle pomagając, ile tego chwilowa niedojrzałość ludu koniecznie się domaga; gdy pierwsza bierze na siebie rolę wiekuistych opiekunów wobec małoletnich, spełnia tę rolę pod hasłem: dla ludu; druga uważa się w roli opiekuna, jako dzierżawcy — który, z chwilą pełnoletności wychowanka, hasło: dla ludu — w znaczeniu czynienia dla niego, ale bez niego — zamienia na hasło: wraz z ludem.

Oczywiście te kontury, zamykające obie zasady, szkicuję dla jędrniejszego obrazu, ostro i bezwzględnie, jakkolwiek w praktyce one łagodnieją, a w niejednem schodzą i stapiają się razem — i tak zasada druga, opierając się na współdziałaniu z ludem, nie wyklucza zupełnie miłosierdzia, uważa je nietylko za potrzebny, ale wprost niezbędny czynnik społeczny, a i zasada pierwsza nie wyklucza bezwzględnie współdziałania ludu; główne znamiona tkwią jednak zawsze w tem, co powyżej napisałem.

Jeżeli zapytamy o związek tych dwu przewodnich myśli, to znajdziemy odpowiedź, iż w obu tych metodach, źródłem ich ożywczem, natchnieniem i geniuszem jest miłość, wspólny tedy mają korzeń, wspólne pochodzenie, wspólną moc i siłę, która z tej miłości się rodzi i nią się w czyny rozmnaża.

Różnica obu tych metod tkwi w odmiennej taktyce i odmiennej psychologicznej zasadzie.

Jeżeli pytamy o kwestyę inną — mianowicie o równouprawnienie tych zasad, to odpowiedzieć sobie musimy, że jeżeli ideę patryarchalną uprawnia tradycya, wspierająca się na niemowlęctwie ludu, to ta druga znajduje swe uzasadnienie w mocy legalnej, udzielonej ruchowi ludowemu przez nadanie praw politycznych, a nadto i w samej psychologii serca ludzkiego, dla którego i najmniejsza samodzielność więcej znaczy, niż najlepsza kuratela.

Ale jeszcze z jednem musimy się rozprawić pytaniem, dla nas zasadniczem: czy dla naszych stosunków zbliżył się istotnie czas dla królowania tej ewolucyjnej idei nad dotychczasową patryarchalną?

Na to pytanie, najżywotniejsze dla nas, dają odpowiedź już nie teorye, ale eksperymenty i fakta. Strejki ostatnie wykazały dowodnie, że lud kierowany dotąd w imię wszechwładnej patryarchalnej taktyki, na całej linii wyrwał się z łączności z tymi, którzy go w imię tej idei przy sobie trzymali i to oderwał się na pierwsze hasło — na pierwszy podszept z zewnątrz pochodzący.

Organizacya zaś nieprzyjaznej agitacyi, zwycięską jest nietylko dziś, ale tak dobrze będzie zwycięską jutro wobec luźnej, na uczuciu więcej polegającej, organizacyi patryarchalnej. Fakt ten wychwycenia się ludu z rąk naszych jest zarówno dowodem siły nieprzyjaciela, jak i przegraniem dotychczasowej taktyki.

Ale jeżeli zasada patryarchalna pokazuje się nie dość silną, to czy stąd wynika, że na tej drugiej oprzeć się potrzeba?

Na to także odpowiedź da nam eksperyment. On wykazuje dowodnie, iż nieprzyjaciel wyzyskał te właśnie strony duszy ludu, które przez ewolucyę, w nim dokonaną, zostały dotknięte i poruszone, przez dotychczasową zaś taktykę patryarchalną systematycznie były przeoczane. — Wyzyskał je wprawdzie po swojemu i wyzyskał dla swoich celów, ale dla nas pozostawił naukę, że jeżeli będziem nadal zasłaniać oczy na wymowę

faktów, to te przypruszone struny serca ludu, a wrażliwe już na dotknięcia wyrwie nam z ręki kto inny i rozdźwięczy melodyę, ale straszliwą, bo nienawiści i zupełnego rozbratu.

Nie chcę do tezy naciągać faktów, owszem w dalszym praktycznym wywodzie myślę jakby zapomnieć o tym teoretycznym wstępie, bo chciałbym, by wymowa i nauka faktu i eksperymentu, układanie się jego i grupowanie płynęło swobodnie i samo ze siebie, wnioski zaś niechaj już będą przez samego czytelnika wyciągnięte.

Lecz zanim już raz przejdę do wywodu praktycznego, jeszcze tu wsunę zarzut jeden, który niezbity, mógłby zamknąć wrota do konkluzyi, choćby najbardziej realnych i najsilniej przekonywujących.

* * *

Powiedzieć bowiem mogą niektórzy i najlepszemi nieraz intencyami dla sprawy ludu ożywieni: „choćby nas przekonano o tem, iż metoda opierająca się o samodzielność ludu jest konieczną i dla czasów i dla stosunków naszych i jako jedyne antidotum wobec trucizny, zadawanej przez nieprzyjazne agitacye, to uznana nawet skuteczność jej na polu socyalnem, kto wie, czy będzie zrównoważona przez szkody z nich wynikłe na polu politycznem. Taki bowiem kierunek społeczny musi się odbić w polityce corazto rosnącym wpływem ludu na rząd i politykę, do czego on uzdolnienia nie posiada, a więc tem samem szkodę wyrządzić może“.

Kwestya to o polityce, ale tak samo zasadniczo-społeczna, a nie polityczna, jak cała niniejsza rozprawa.

Odpowiem na to: przedewszystkiem traktowanie ludu, jako wiecznego niemowlęcia w kierunku politycznym i nie uwzględnianie systematyczne jego rozwoju i uświadomienia na tem polu, nie przeszkodzi wcale, a raczej tylko tem pewniej spowoduje narzucenie się temu ludowi na przewodników i opiekunów jego wykształcenia politycznego, najmniej do tego powołanych ludzi, którzy korzystając z monopolu, otworzonego dla nich przez re-

zygnacyę i abstynencyę klas zachowawczych — poprowadzą lud na niebezpieczne pola polityki antagonizmów klasowych, wysuwając politykę ludową przeciw polityce narodowej, wziąć go mogą nawet na lep najbardziej przewrotnych programów.

Więc choćby nawet wpływ wzmożony ludu na rząd był istotnie szkodliwy, to tego przy systemie pierwszym i tak się wcale nie uniknie, lecz raczej jeszcze tem pewniej sprowadzi.

Czy jednak istotnie należy się tak lękać ludu, jako czynnika politycznego; czy istotnie polityka ludowa musi być przeciwieństwem do polityki narodowej?

By na to odpowiedzieć, musimy sobie zdać sprawę, że w polityce rozróżnić należy dwie rzeczy: przewodnie zasady polityczne i taktykę, która te zasady w sposób najodpowiedniejszy w danej chwili do praktyki przystosowuje. Otóż polityka jako taktyka wymaga niewątpliwie osobnego wyszkolenia, do którego większe czy mniejsze dary umysłowe, wiedza, znajomość przeszłości więcej lub mniej uzdalniają.

W tej mierze wykształcenie mniejsze, bez względu, czy ono jest wykształceniem ludu, czy inteligencyi, niezdolnym go czyni do prowadzenia taktyki politycznej, podobnie jak nieznajomość praw malowania uniemożliwia malowanie obrazu, lub nieznajomość praw gramatyki płynne mówienie językiem. Każdy jednak rozumie, że taktyka, to przymiot, który ze wzrostem oświaty łatwo nabyć można.

O ile jednak polityka się wspiera na zasadach przewodnich etyki i wiary, o tyle znajduje oddźwięk w prostej i niezepsutej duszy ludu, która w sobie mieści delikatny zmysł duchowy, bez którego każda polityka wypaczy się, lub będzie egoistyczną, a w którym każda znowu znajdzie podstawę swą i siłę; toteż w dzisiejszej Francyi polityki narodowej nikt szukać nie będzie w wyrafinowanych gabinetach Waldeck'a i Combes'a, a znajdzie ją raczej w tych chłopach bretońskich, co zasłaniają więzione zakonnice okrzykiem: „Niech żyje wolność!"

A nietylko w idealnych, ale i materyalnych względach lud przynosi do polityki ten akcent i nacisk właściwy na to, co mu

w ekonomicznych względach dolega i zrównoważy dlatego kombinacye polityczne, układane nieraz przez zawodowych polityków, ale nie odczuwających doświadczeniem ekonomicznych potrzeb i dlatego zbyt łatwo nieraz gotowych do poświęcenia ich dla jakiejkolwiek kombinacyi. Im w bliższem tedy zetknięciu będą warstwy te z ludem, im żywiej będą one strzegły czystości serca ludu, tem silniejszy i potężniejszy znajdą w tem sercu pierwiastek do zasilania polityki.

A więc nietylko nie należy się niczego z tej strony obawiać, ale owszem, oparcie się o lud rękojmią jest ocalenia i ratunku społeczeństwa.

Teraz omówmy stronę praktyczną działania.

II.

Tę część pracy podzielę na trzy działy:

W pierwszym zastanowię się nad terenem walki, jaki agitacya zwykle obierała, obiera, czy też w przyszłości sobie obierze. Zobaczymy, że terenem tym nie jest miłosierdzie, ale sprawiedliwość.

W drugiej części, rozważając taktykę nieprzyjaciela, musimy dojść do przekonania, iż tę moc, jaką mu daje nieprzebieranie w środkach, potrzeba zrównoważyć inną mocą, która od nas zależy i w naszych rękach jest.

W końcu zastanowimy się nad środkami oddziaływania agitacyi na lud, które o ile nie ręką złą użyte, same w sobie okazują swą skuteczność, więc i z naszej strony, z taktycznych choćby względów użytymi być muszą.

Zaczynam od rozważania terenu walki.

* * *

1. Terenem, na który agitacya najcięższe wyprowadza działa, nie jest wcale miłosierdzie, ale sprawiedliwość. Ona nie mówi ludowi: tyś biedny, ale woła do niego wciąż: tyś pokrzywdzony.

Dotychczasowa tymczasem działalność nasza dla ludu,

obracająca się w sferze świadczenia mu dobrodziejstw, odpowiadająca zresztą i tradycyom i skłonnościom naszego serca, obracała się tak dalece w innej sferze i w innem polu, iż tam, gdzie nieprzyjaciel najcięższe wyprowadzał działa, myśmy strategicznie rzecz biorąc, nie już byli słabi, ale po prostu wcale nie obecni.

Jeżeli tedy chcemy stawić czoło nieprzyjacielowi, musimy koniecznie wejść na teren, na którem on walczy, musimy obwarować zasadę sprawiedliwości.

Do tego nie wystarczy przeciętna chęć rządzenia się sprawiedliwością w stosunku do ludu, która nieraz pomija wniknięcie w drobiazgi, poprzestając tylko na najogólniejszem zaspokojeniu sumienia, że się przecież ludowi nie chce niesprawiedliwości czynić.

Jak w trudniejszych kombinacyach umysłowych nie wystarczy przeciętny gospodarski rozum, ale potrzeba jest umysłowi ludzkiemu osobnego wyszkolenia, dzięki któremu myśl, wygimnastykowana w prawidłach myślenia staje się czułą na każdy sofizmat, jak muzyk na każdy ton fałszywy — podobnie i przeciętny gospodarski zmysł sprawiedliwości jest nieocenionym klejnotem i wystarcza na spokojne i przeciętne czasy, w chwili jednak tak skomplikowanej i poważnej, jak obecna, zmysł ów ogólny i zdrowy potrzeba wydoskonalić i wyszkolić przez formalną kazuistykę wzajemnego stosunku między dworem a chatą, pracującym a chlebodawcą, między ludem a resztą społeczeństwa.

Potrzeba prócz tego i w ludzie samym zmysł prawny wyrobić, który go nauczy rozróżniać między fałszem a prawdą, między urojoną a prawdziwą krzywdą i w ten sposób uczyni go odpornym na sofizmat, złą podany intencyą; wkońcu konieczną jest rzeczą wspólne i zbiorowe działanie dla ludu w obronie należącej się mu sprawiedliwości, czyto w ustawodawstwie, czy też w obchodzeniu się z nim.

Oto byłby prosty, a tak obszerny w przystosowaniu, a tak nową całkiem, dotąd nie uprawioną jeszcze sferę, wypełniający

program, podyktowany zarówno przez chrześcijańską zasadę i chrześcijańską miłość, jak i przez oportunizm, który dzisiaj po zajściach strejkowych głośno nawołuje, że jeżeli się wszystkiego nie uczyni, by z ludu wyrugować poczucie, iż jest skrzywdzonym, to wtedy nieprzyjaciel, korzystając z tego ogołoconego i nieobwarowanego strategicznie miejsca, po tem poczuciu niesprawiedliwości, sztucznie wydymanym, wejdzie jak po pomoście do duszy tego ludu, zamykając ją równocześnie dla nas.

Podnieść tu należy jednak praktyczne także szczegóły: do nich liczę: *a*) sprawiedliwa ocena pracy, dla której punktem wyjścia nie jest jedynie większy, czy mniejszy interes, większe czy mniejsze zapotrzebywanie, ale obok tego i w tem miarodajną jest zawsze sprawiedliwość, która mimo wszystkie trudności ekonomiczne mimo całą skalę wartości indywidualnej robotnika nie przejdzie jednak nigdy poza pewne minimum, które już do wyżywienia robotnika absolutnie nie wystarczy, za nizka bowiem zapłata, jakto obszerniej omówione w encyklice *Rerum novarum* jest nawet wtedy krzywdą, jeżeli robotnik nawet się na nią godzi, koniecznością przymuszony.

Jakkolwiek miłosierdzie jest zawsze niezbędne, to jednak nie zastąpi sprawiedliwości i jak trafnie powiedział znakomity socyolog Dewas: „Ten, który oszukuje swoich pracowników, zmniejszając ich dzienną zapłatę o szelinga, nie okupuje niesprawiedliwości i nie czyni zadość obowiązkowi zwrotu, wkładając co niedziela 6 szylingów do ich skarbonki".

Nie od rzeczy tu będzie przy tej sposobności nadmienić, iż smutny stan naszej gospodarki utrudnia wymiar sprawiedliwości, i system naszej gospodarki potrzeba bardziej przemysłowym uczynić, by tym sposobem zrównoważyć szkopuły, o jakie ścisły wymiar sprawiedliwości zawadza.

b) Nie dosyć jest samemu bezpośrednio sprawiedliwość wyrządzić; potrzeba jeszcze nadto przestrzegać tego, by ci, którzy pośredniczą między ludem a chlebodawcami, jak ekonomowie, rządcy, faktorzy itd. nie krzywdzili i nie wyzyskiwali tego ludu, moralnie czy materyalnie. Jeżeli ten, od którego taki

pośrednik zależy na tego rodzaju postępowanie milczy, staje się winnym niesprawiedliwości, wedle nauki już katechizmowej o grzechach cudzych.

I cóżby z tego przyszło ludowi, gdyby dwór nie wiem jak się wysilał w działaniu miłosiernem dla niego, skoro z jednej strony dając z łaski, co się ściśle nie należy, z drugiej atoli strony, nie sam wprawdzie, ale przez pośredników swoich, niekontrolowanych, czy dla ich sprytu i wygody ich cierpianych, ten lud we wszelaki sposób codziennie wyzyskuje a nawet demoralizuje.

c) Należy sprawiedliwie oceniać czas ludu. Ileż to razy czy w urzędach, czy w kancelaryach, czy w dworach, nie z intencyi złej, ale poprostu bezmyślnie każe się godzinami czekać ze sprawą chłopom — którą można zaraz załatwić. Jest to niesprawiedliwe traktowanie ich czasu, które nadomiar jest złą szkołą dla ludu, który, nie dziw, że sam wartości swego czasu nie szanuje. A sprawiedliwa ocena osobista ludu? Ileż to razy przeciw niej się wykracza, stawiając za zasadę oportunizm, dla którego chłop jest nieoszacowany przed wyborami n. p. — a znowu nieraz, również nie ze złej intencyi, ale skutkiem lekceważenia w słowach i zachowania się względem niego, poniżej swej wartości traktowany. Zapewne powie ktoś, to są drobiazgi, ale drobiazgi, mające nieoszacowaną wartość społeczną, bo o nie się zaczepia lub też o nie się rozbija ten niezbędny kit i cement społeczny, jakim jest zaufanie ludu.

d) Tu wliczę także sprawiedliwy wymiar zasłużonej kary. Jeżeli złą jest bezkarność i lekceważenie wymiaru kary, tam gdzie ona jest na miejscu, to niesprawiedliwym jest znowu taki wymiar kary, który nie pozostaje w żadnym stosunku z przestępstwem, a który dyktuje kaprys czy interes. Tolerowanie winy wyradza w ludzie brak jej poczucia, albo w następstwie za sobą pociąga wypływanie na wierzch lichych ludzi; ale znowu karanie bardzo surowe za jakiś drobiazg, wyradza u ludu poczucie krzywdy, niechęć, żal a nawet nienawiść. Nie tłumaczmy się tem, że to są drobiazgi, bo mierzyć je należy nie tą war-

tością, jaką one dla nas przedstawiają, lecz tą, jaką mają w oczach ludu, dla którego zapędzenie np. jednej krówki z łanu, choćby najsłuszniejsze, już ma wartość zdarzenia epokowego, które trzeba traktować z całą ostrożnością i całą bezstronnością ze względu i na interes ludu, który się z tem wiąże.

Nie wyliczam tu już szczegółów więcej, ale sądzę, iż te, które przytoczyłem już mają swe znaczenie, a opieram się w tej mierze nie tylko na teoryi, lecz i na praktyce także. Parę razy zetknąwszy się z ludem, przeraziłem się formalnie, widząc, ile uczuć niechęci w jego duszy się nagromadziło, których przyczyny szukać przyszło w jakichś faktach drobnych, nieuświadomionych nawet, czy to z zaniedbania wymiaru sprawiedliwości czy też wykroczenia przeciwko niej:

2. Ale jeżeli w całej pełni praca na polu sprawiedliwości ma odpowiedzieć zasadzie miłości chrześcijańskiej a zarazem zrównoważyć działanie agitacyi, to musi ona pójść jeszcze dalej. Lud nie tylko nie chce być krzywdzonym, ale także chce i potrzebuje być obronionym.

Obronie sztucznej, za broń mającej nienawiść, obronie żyjącej z ran otwartych ludu i usiłującej je jak najdłużej utrzymać w jątrzeniu, potrzeba przeciwstawić obronę spokojną, ale konsekwentną, leżącą w granicach sprawiedliwości.

Już też bieda ludu, już też jego nieświadomość prawna, już też wkońcu wyzysk z niejednej idący nań strony, jest przyczyną, że w jego świadomości wszystko przeciwko niemu się uzbraja.

Gdybyśmy mogli włożyć się w umysł chłopa, tobyśmy widzieli, iż ma on nieraz poczucie, że z nikąd nie jest broniony, a za to zewsząd atakowany.

Dybie na niego i ten arendarz, zagraża mu egzekutor, grozi mu pokątny adwokat, co skargi pisze, by żyć miał skąd, nieprzyjazną znajduje atmosferę nawet czasami w urzędzie, gdzie nie dość ma urzędnik cierpliwości wysłuchać go i wsłuchać się w jego sprawy, a przedewszystkiem i nadewszystko niszczy go wysysająca jego pokój i mienie lichwa.

Choćby ten właściciel ziemski względem niego i najskrupulatniejszą rządził się sprawiedliwością, to jeszcze lud ten będzie dopiero zaspokojony z jednej tylko strony, zapewne bardzo ważnej dla niego, ale zawsze jednej. Potrzeba więc temu ludowi koniecznie nadto jeszcze poczucia, że ktoś za nim stoi, kto go zasłonić może i obronić.

Sienkiewicz w jednej ze swych nowelek ukazuje wstrząsającą historyę, niestety jednę z wielu, jak rodzina cała okrutny znajduje koniec dlatego tylko jedynie, że w dworze zamieszkanym przez najlepszych zresztą ludzi, nie chciano się zająć drobniutką zupełnie rzeczą, poradą prawną, której wieśniaczka potrzebowała, a nie znalazłszy jej, zostaje wyzyskaną.

Ileto razy miłosierdzie zapobiegliwe, tak usprawiedliwione i tak potrzebne, przychodzi z lekami pod wiejską strzechę, dotyka bólów ciała, ale odchodzi, nie dotknąwszy bólu i rany duszy tego ludu, spowodowanego niesprawiedliwością, wyzyskiem, czy też nieumiejętnością bronienia się prawnego. Tragedyę stanowi nieraz nie to, co nam się wielką przyczyną wydaje, ale raczej to, co wielkiem jest i ważnem w oczach tych, którzy w tej tragedyi są współdziałaczami.

Jeżeli po wsiach znajdują się już u nas stowarzyszenia miłosierdzia, dlaczegoby nie mogły mieć miejsca stowarzyszenia pomocy prawnej?

Na to przecie nie potrzeba wiele. Jeżeli pan domu nie ma czasu się tem zająć, może to uczynić pani czy córka, kapłan albo nauczyciel, można wciągnąć do tego jednę, dwie osoby ze wsi. Wśród ludu zaś znajduje się mężów zaufania, którzy o potrzebie pomocy prawnej donoszą, sprawę patrzebujących przedstawiają, po rozpatrzeniu zaś albo tę sprawę załatwią sami, jeżeli drobna, albo z kwitkiem odeszlą do adwokata, już na ten cel upatrzonego.

Prawie ta sama tu procedura, co w stowarzyszeniach św. Wincentego a Paulo, taki sam aparat, tylko inny zakres.

Lecz nie dosyć jest poprzestać na takich lokalnych urządzeniach po wsiach biur porady lokalnej, potrzeba jeszcze stworzyć biura powiatowe.

Zwłaszcza po strejkach ostatnich daje się uczuwać żywa potrzeba organizacyi ziemian, którzyby sami wśród siebie przestrzegali, ażeby wszędzie w danym powiecie wymiar zapłaty był sprawiedliwy. W razie zaś, gdyby gdziekolwiek było inaczej i gdyby napomnienia nie skutkowały, napiętnowałoby takie stowarzyszenie publicznie postępek niesprawiedliwy, tem samem zadośćby się czyniło wymogom miłości chrześcijańskiej, a nadto odcinaliby się ziemianie w opinii od tych jednostek, których winy wyciągane przez agitatorów na zgromadzeniach a przez interesowanych posłów w sejmie i w radzie państwa, przerzucane są wstecznie na całą klasę i na całą warstwę ziemian. Opuszczam już dla oszczędności miejsca inne projekty. Niektóre, jak akcya w sprawie podatkowej były u nas nawet rozpoczęte, i, o ile miały na celu nieść pomoc ludowi w jego nieznajomości prawa, doskonałe owoce przynosić poczęły, łącząc i tu ogólnym interesem chatę z resztą społeczeństwa.

* * *

2. Wpływ agitacyi porównałbym strategicznie do lekkiej kawaleryi, która idzie na zastępy jak burza i nawałnica, i w tym impecie jednej chwili ma całą tajemnicę swej siły czy słabości, dzieje przyszłe wygranej czy przegranej.

Oczywiście że z agitacyą uderzającą na złe namiętności konkurencyi niema. Można jednak i potrzeba przeciwstawić jej systematyczną pracę organiczną, która jak ciężka piechota w kwadraty ustawiona, wytrzyma i przetrzyma atak nawałnicy.

Ludowi, któremu agitacya obiecuje, potrzeba przeciwstawić już istniejący trwały interes, który go łączy z dworem a któryby był tak silnym, by lud od razu poznał, że nie wolno mu w imię jego własnego interesu zaryzykować i na kartę postawić tego, co ze strony dworu ma, a co utracił przez odwrócenie się od sfer zachowawczych, nie wolno mówię mu zamienić na wątpliwe a niepewne obietnice. Węzły te silne łącznie dadzą się zadzierzgnąć przez te wszystkie instytucye, które podpomagają ludowi materyalnie przez wspólną pracę z nim i dla niego.

Nie będę tu wchodził w szczegóły. Takich instytucyi i organizacyi istnieje cały legion. Przedewszystkiem zasługują jednak na wzmiankę kasy Raiffeisena, które dobrze poprowadzone zdolne lud wyzwolić od lichwy; biura pośrednictwa pracy; stowarzyszenia konsumcyjne, ułatwiające zbyt zboża i zakupno nasion bez pośrednictwa faktorów; wreszcie syndykaty rolnicze, w których więksi właściciele ziemscy obok ludu tworzą węzeł powiązany jedynie wspólnym interesem.

Znowu powiem, nie czyńmy wiele takich stowarzyszeń, ale zorganizujmy te, które założymy, dobrze i uczyńmy je żywotniejszemi.

Przedewszystkiem też pamiętajmy, że nie dosyć je jest założyć, ale wszystko na tem zależy, by je z ludem wspólnie poprowadzić. Wtedy bowiem i tylko wtedy sprzęga się lud ciągłym żywym interesem z temi warstwami, które mu przez pomoc, inicyatywę, znajomość prowadzenia interesu, stają się wciąż na nowo niezbędnemi.

Inaczej w przeciwnym razie, instytucye założone, ale przez założycieli porzucone, nie tylko odosobnią się od nich, ale nadto mogą się stać narzędziami wymierzonemi przeciw nim.

*
* *

3. Nieuwzględnianie tej powolnej przemiany, jaka się w umyśle ludu dokonywała przez szkołę, a co za tem idzie, przez umiejętność czytania, żądzę wiadomości, wiarę w drukowane słowa, spowodowała zupełną nieznajomość ludu ze strony ziemian, we wschodniej zwłaszcza Galicyi. Co gorsza, nieznajomość zdawała się być nieuleczalną dlatego, iż im mniej znane były prądy, które choć powolnie, urabiały jednak myśl ludu, tym skorszym się było do wypowiadania pewników „Ja chłopa naszego dobrze znam“.

Ta znajomość rzekomo ludu opierała się u wielu o parę najczęściej negatywnych i powierzchownych spostrzeżeń, wziętych z praktycznej psychologii ludu, przeoczało się zaś zupełnie, iż jeżeli we wsi była bodaj jedna szkoła, i ta wychowała bodaj

jednego włościanina, który lubiał czytać, i jeżeli w jego ręce dostała się tutaj jedna ludowa gazetka, to już wówczas cały aparat dotychczasowy, mający rzekomo odbijać duszę chłopa, stawał się przestarzałym i niedostatecznym, bo nie chwytał tych nowych, idących na lud prądów.

Strejki wywołane jedną ulotną broszurką agitacyjną Dra Franki przed paru laty w tysiącach egzemplarzy rozrzuconą, a w najnowszych czasach dwoma broszurkami praktycznemi, uczącemi techniki strejkowej, stanowią dowód niezbity olbrzymiej ignorancyi z strony sfer zachowawczych naszego ludu.

Przed naszemi oczyma dokonywa się ferment i proces w ludzie przez ulotne pisma i broszury, a nikomu się prawie o tem ani śniło. I tutaj znowu agitacya wyzyskała to zupełne zaniedbanie terenu intellektualnego ludu, któremu dano wprawdzie szkoły, ale zaniedbano troszczyć się o jego umysł z chwilą, gdy tę szkołę skończył. Wyzyskała zaś z całą zręcznością, z całym sprytem, z całą zapobiegliwością, a powiedzmy z całą swobodą; nie lękała się bowiem bynajmniej o jakąkolwiek kontrolę, o jakiekolwiek paraliżowanie swojego słowa, którego wpływ na lud tak dalece był ignorowany, że nawet nikomu się nie śniło choćby czytać lub przeglądać gazetki, broszury, będące codzienną tego ludu strawą.

Oczywiście nie potrzebuję dodawać, że jeżeli stronie nieprzyjacielskiej nie dotrzyma się kroku w rozszerzaniu zdrowych broszur i pism ludowych, w organizacyi kolportażu i agitatorów, w organizacyi wieców ludowych, to w takim razie, ten olbrzymi czynnik społeczny, jakim jest suggestya i wpływ jej na lud przez słowo żywe czy pisane nie tylko nie będzie w naszej mocy, ale wprost obróci się przeciw nam.

Dla krótkich ram, jakie mi stawia streszczenie, odsyłam po bliższe uwagi i szczegóły w tej mierze ciekawych czytelnikow do mej broszury. Tu tylko tyle dodam, że jeżeli wydawnictwa ludowe mają mieć powodzenie, to muszą stać na straży interesów ludowych, to muszą się zajmować tem, co ten lud interesuje, albo to go boli. Jeszcze dotąd niestety pokutuje u nas

uprzedzenie, że mówić ludowi o jego słusznych prawach znaczy tyle, co ten lud podburzać, i to uprzedzenie sprawia, że do właściwego tonu, w jakim do ludu przemawiać należy, nam dziś jeszcze daleko. Znowu tutaj po bliższe rozprowadzenie i uwagi praktyczne odsyłam do broszury.

* * *

Jakby pieczęcią tych wszystkich powyższych uwag będzie ta myśl praktyczna, iż do wprowadzenia w czyn programu pracy społecznej, podyktowanego nieubłaganym eksperymentem, potrzeba związku ludzi jedną przewodnią myślą ożywionych, innemi słowy, potrzeba organizacyi.

Kiedyż dla niej lepsza, sposobniejsza jest chwila, jeżeli nie dzisiaj?

Ostatnie zaburzenia rozruszały i rozbudziły śpiące umysły; taktyka nieprzyjacielska podyktowała samochcąc program i sposób obrony; w kraju zaś daje się czuć jakby pewne przesilenie walki stronnictw, które tracąc powoli na swej animozyi, a nawet na antagonizmach zasad, corazto bardziej są skłonne i zdolne do pracy społecznej przy spólnym warsztacie.

Teraz jeszcze czas, jedynie sposobny czas, ale bodaj czy i nie ostatni czas.

Arcybiskup Teodorowicz.

FILOZOFICZNA MYŚL „ETAPU“.

W jaki sposób sprowadzić nowoczesne społeczeństwo z tej pochyłej drogi, po jakiej niezaprzeczenie idzie? Czy całe sto ostatnich lat historyi, epokę, zrodzoną z zasad i rewolucyi 1789 roku, wszystkie jej urządzenia społeczne, polityczne, wszystkie jej przewodnie idee, czy wszystko to trzeba jednym zamachem przekreślić, uznać za nieszczęsne zbłąkanie się i wracać do zasad epoki przedrewolucyjnej, właściwie przed okres reformacyi, nawet przed humanizm — bo w humanizmie już początek i źródło dzisiejszego indywidualizmu.

Że przy zakładaniu węgłów nowoczesnej budowy społecznej popełniono jakiś fatalny błąd, że konsekwencye tego błędu doszły dzisiaj pod niejednym względem do ostateczności, że zatem jakiś odwrót, jakaś poprawa panujących stosunków jest niezbędną, żadnemu myślącemu człowiekowi nie jest tajno. Od szeregu lat, a w ostatnich latach coraz częściej, pojawiają się w tym duchu liczne próby i projekty. Już nie setki zjawiły się, ale tysiące rozpraw, pochodzących z różnych obozów, a i beletrystyka, myślą społecznej reformy przejęta, wykazuje już liczny poczet przedstawicieli, począwszy od Tołstoja, a skończywszy ostatnio na Bourget'cie. Nawet taki Zola, zaczął pisać swoje cztery ewangelie.

Cała trudność w tem tylko, w czem tkwi istota błędu. Czy cały ustrój dzisiejszy nim zarażony, a jeżeli tak, to o ile; co za tem idzie, czy odwrót na całej linii jest konieczny, czy częściowy wystarczy?

Oto zagadnienie, jakie nasuwa ostatnia powieść Bourget'a:

„Etap“. Zagadnienie jedno z najważniejszych, jakie dzisiaj postawić można. I z tego społeczno-filozoficznego względu doniosłość tego utworu ma dzisiaj pierwszorzędne znaczenie.

Pod względem artystycznym powieść ta także nie jest codziennem zjawiskiem. W ostatnich kilku latach zdawało się, że słońce Bourget'a przechyliło się już poza swój zenit, że siła talentu wyczerpała się i osłabła, że dowcipny podział świata na dwie klasy, wyższą, która czyta Bourget'a i barbarzyńską, która go nie zna, już stracił swoje znaczenie. Można było rzeczywiście sądzić, że Bourget nie ma już nic, przynajmniej nic ważniejszego, do powiedzenia — daleko idąca myśl, szeroki widnokrąg, jaki widziało się w „Ziemi obiecanej“, w „Uczniu“ i w „Kosmopolis“, zacieśniły się w ostatnich latach do drobnych obserwacyi i pasteli. Nagle, zjawia się widnokrąg myśli tak szeroki, poziom tak podniosły, jak nigdy dotychczas u Bourgeta. Ten sam kunszt wykwintny słowa, jak zawsze, ta sama przenikliwość psychologicznej analizy, tylko cenniejszej jak zwykle — bo dotykającej stanów duszy, między innemi także takich, jakich pióro powieściopisarskie w ogóle rzadko kiedy dotykało, stanów duszy, uczuć i przekonań najdonioślejszych, odnoszących się do najwyższego przeznaczenia ludzkiego.

Osnowa utworu niezwykle prosta, ta sama zupełnie, jak ją klasycznie ujął w swoim dramacie „Romeo i Julia“ Szekspir. Stają przed nami dwie rodziny, poważnione ze sobą; mimo tych waśni, między synem jednej rodziny a córką drugiej nawiązują się stosunki, które kończą się szczęśliwie, a nie tragicznie, jak u Szekspira. Osób wogóle nie wiele, akcya nie rozległa. Widzimy głównie dwa domy, dwa ogniska rodzinne, ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami, od firanek, talerzy, tapetów począwszy, a skończywszy na niezwykle wyrazistej charakterystyce osób [1]. Zrazu na pierwszym planie sprawa jednostkowa, sprawa serca, ale powoli ponad osoby powieści przewijać się zaczyna nie akcya, ale kwestya społeczno-religijna. Osoby za-

---

[1] Niektóre z osób powieści wzięte są z dzisiejszego francuskiego świata. Czytaliśmy obronę osobistą księdza Denis, który poznaje siebie w księdzu Chanut.

mieniają się częścią w przedstawicieli, częścią w ofiary teoryj; wszystkie służą do przeprowadzenia i uzasadnienia poglądu autora. Powieść więc z tendencyą, w głównym swoim charakterze nie tyle powieść, ile raczej studyum społeczno-filozoficzne. Poza tym głównym charakterem jest to powieść psychologiczna, głęboko w dusze wnikająca; w niektórych tylko częściach wyradza się w jaskrawy melodramat. Czasem jeszcze żyłka dawnego Bourgeta, epikurejczyka, odżyje, i stąd parę ustępów, nie licujących z podniosłym tonem całości.

Ale od tej literackiej strony dzieła śpieszno nam do rozbioru jego idei; stąd też na ogólnej tej charakterystyce poprzestajemy. Tem łatwiej na tem poprzestać, że już w tem piśmie podało szczegółową treść dzieła inne, i to wytworne pióro [1].

*
* *

Jaka jest myśl filozoficzna „Etapu“. W krótkości ta: zasady 1789 roku były złe i złe także są płynące z nich doktryny, ustrój polityczny i społeczny. Hasło wielkiej rewolucyi: „wolność, równość i braterstwo“ należy odrzucić i zastąpić je hasłem: karność, hierarchia, miłość bliźniego. Następstwo haseł rewolucyjnych pod względem religijno-obyczajowym, a więc odwrócenie się od katolicyzmu i etyka liberalno-pozytywistyczna, budująca naukę życia na wartościach czysto przyrodzonych, odrzucająca religię, a każąca działać w imię godności ludzkiej, następstwo to okazuje się, przy najbliższem zetknięciu z życiem, zupełnie bezsilną igraszką słów, igraszką tragiczną, bo prowadzącą do najsmutniejszych następstw. Nie ma innego wyjścia, jak tylko powrót do katolicyzmu i jego etyki. Następstwo rewolucyi pod względem politycznym, polityczny ustrój demokratyczny, oddający rządy państwa w ręce niewykształconych po temu mas, prowadzi do zupełnego zdziczenia i barbarzyństwa. Dowodzą tego nietylko smutne następstwa, historya ubiegłych stu lat, ale także wiedza. Między wiedzą a demokracyą istnieje całkowita sprzeczność, bo wiedza wykazuje, iż rządzącemi życiem całego świata prawami są ciągłość i dobór, po-

[1] Zeszyt 9 i 10 b. r.

rewolucyjna zaś demokracya przerywa ciągłość historyi, wprowadza odrazu, bez należytego przygotowania nową formę i rząd ten bez jakiegokolwiek doboru w ręce wszystkich oddaje. Z tych przesłanek wypływa również u Bourget'a wniosek, że także między demokracyą a katolicyzmem nie ma łączności. Wreszcie pod względem społecznym, podstawowa jednostka społeczeństwa, rodzina, padła również ofiarą zasad 1789 roku. Przez ogłoszoną zasadę równości nadwerężono podział społeczeństwa na klasy, zrównano bowiem wszystkim punkt wyjścia. Faktycznie, kierującą warstwą w dzisiejszem społeczeństwie, a zarazem jego istotą, jest tak zwana inteligencya, a do niej dostęp jest każdemu możliwy. Przejście jednak takie z klasy niższej, z warstwy ludowej, do klasy inteligencyi, przejście nagłe, bez poprzedniego przygotowania, bez etapu, nie może obejść się, zdaniem Bourget'a. bez zmian i zamąceń głębokich całej istoty zmieniającego klasę człowieka, — w dalszem następstwie, całej rodziny, jaką w nowej klasie zakłada, — ostatecznie, ponieważ społeczeństwo składa się z rodzin, zamęt ten obejmuje całe społeczeństwo. Rodzina potrzebuje trwałości, ciągłości z dotychczasowemi swemi tradycyami, do warunków wyższego bytu dojrzewać musi powoli, stopniowo, aż wreszcie nadejdzie dzień, gdzie to przejście będzie naturalnym krokiem, a nie przeskokiem ryzykownym. Wskutek takiego przeskoku traci się wszelki związek z dawną tradycyą,dawną wiarą; w nowej klasie nie ma się naturalnego punktu oparcia, wskutek tego nieswojsko i ciasno; wytwarza się konieczność gorączkowej pracy i ustawicznego wysiłku, by na raz osiągniętem stanowisku się utrzymać; na widok innych, którzy, przeszedłszy spokojnie wszystkie stopnie rozwoju, czują się w swoim żywiole, przychodzi gorycz, na nieznany dotychczas widok mnóstwa wygód i przyjemności, przychodzi chęć łatwego życia i używania, i inne tego rodzaju następstwa. Słowem, rodzina taka to garstka rozbitków, rzuconych na brzeg nieznanego świata, — bez żadnej pomocy, jaką daje tradycya i własne doświadczenie, — a narażonych na ciężki trud, na zbłąkanie, na rozliczne niebezpieczeństwa. A niebyłoby tego, gdyby był etap. Ta ostatnia idea jest najobszerniej przeprowadzonym problemem w tym utworze, od niej też tytuł książki.

Około tej książki tworzy się dziś cała literatura, polemika zwłaszcza przybrała szerokie rozmiary. Nic dziwnego. Obok idei tak żywotnych, nastręczających tyle punktów widzenia, a poddanych z tą siłą przekonania, jakie daje doświadczenie długich lat życia, z tym zapałem, jaki jest właściwy tylko ludziom, głęboko swoje społeczeństwo miłującym, niepodobna przejść w milczeniu.

Wglądnijmy w ich wartość. A najpierw myśli polityczno-społeczne.

I.

Ciekawą jest scena Etapu, gdy w jakiejś przedmiejskiej restauracyi toczy się dysputa filozoficzno-teologiczna między księdzem, żydem i przechylającym się do katolicyzmu bezwyznaniowcem. Ksiądz, kapłan gorliwy, tylko ryzykujący za wiele, rzuca w rozmowie aforyzm o zgodzie katolicyzmu z rewolucyą: „W każdym razie — mówi do żyda — czy pan uznajesz, czy nie, autentyczność czwartej Ewangelii, musisz pan przyznać, iż jej duch, równie jak i poprzednich, doprowadza do trzech wspaniałych określeń, tworzących hasło rzeczypospolitej: wolność, równość, braterstwo.

„Śmiem być innego zdania — przerwał trzeci towarzysz, Jan. — Nie jestem teologiem, ale czytałem pilnie Ewangelię, i naukę jej streściłbym w trzech wyrazach, wręcz przeciwnych hasłu, które się tak księdzu podoba, a mnie wydaje się wprost nierozsądnem. Moje trzy wyrazy to: karność, hierarchia, miłość bliźniego.

— Niema sprzeczności między obu programami — rzekł ksiądz.

— Dla księdza nie — odparł Jan — bo uznajesz Kościół, a z nim rzymski ustrój, przeniesiony w sferę duchową, ale dla tych, którzy go nie uznają, pierwsze z tych dwóch haseł przedstawia *anarchię z jej okropnymi skutkami*...“

Oto zasadniczy pogląd Bourgeta, z którego, jako ze zasady, płyną wszystkie dalsze wnioski.

W żadnej może innej dziedzinie dobre rozwiązanie zaga-

dnienia nie zależy tyle od punktu wyjścia, jak w dziedzinie społeczno-moralnej. Przyczyna oczywista, bo w tej dziedzinie pierwiastek osobisty nadzwyczaj wielką gra rolę. Nadto, niezależnie nawet od pierwiastka osobistego, bywają stanowiska, z których odpowiedź dana na zagadnienie, jest zupełnie słuszna, ale li dlatego, że odnosi się tylko do części zagadnienia. Rozciągnąć ją do całego zagadnienia, a okaże się niewystarczającą. W tem też tkwi istotny błąd wielu pisarzy społeczno-moralnych, że wyszedłszy z jakiegoś częściowego stanowiska, i stosownie do takiego stanowiska postawiwszy tezę słuszną, tezę tę uogólniają do całej sprawy i rozciągają do wszystkich wniosków.

Stanowisko Bourgeta w ocenie rewolucyi i jej skutków, o ile na razie nie zwracamy uwagi na pewne jego wnioski, jest wogóle słuszne.

Po czasy Taine'a można się było spotkać często w historyi z apologią, jeśli już nie z apoteozą 89-go roku, — od dzieła Taine'a, w tej mierze zupełnie niepodejrzanego o stronniczość, zaczęto bardzo krytycznie patrzeć na tę przełomową chwilę. Sąd ten poparty jest codziennem doświadczeniem aż po dzień dzisiejszy. Czy które z tych wielkich haseł: wolność, równość, braterstwo, jest dziś urzeczywistnione? Równość i braterstwo oczywiście zostały mrzonkami, a wolność? Czy wyjątkowe prawa Bismarcka, a w dzisiejszej Francyi przeciw zakonom, nie dowodzą obrania systemu, który w wykonaniu niczem istotnem od absolutyzmu się nie różni? Czy w dzisiejszym świecie, który cały z wielkiej rewolucyi, z ziemi krwią ludzką przesiąkniętej, wyrósł, zwiększyła się suma szczęścia i dobrobytu? Czy nowoczesna ta budowa nie rysuje się co chwilę i nie grozi katastrofą, — niektóre stanowiska, te zwłaszcza, na których niebezpieczeństwo natychmiast się odczuwa, bo idzie o chleb i życie, jak stanowisko liberalizmu ekonomicznego, czyż nie porzucane są dziś gromadnie? I w ogóle czyż nie stwierdzono już tysiące razy, że cały liberalizm, system, który powstał z kompromisu państwa z rewolucyą w ten sposób, że państwo zachowało swoją zewnętrzną maszyneryę państwową, a rewolucya ożywiła ją swym duchem wolnościowym, że system ten, który był duszą minionego wieku, obecnie już mocno pochylił się ku upadkowi — i to nie z zewnętrznych przyczyn,

ale z samej istoty swojej. Uznać w całej rozciągłości wolność człowieka, po odrzuceniu wszelkiego wyższego nad wolnością ludzką prawa, znaczyłoby to przecież uznać anarchię, — to też w sferze umysłowej, najmniej ulegającej skrępowaniu, ostatniem słowem tego systemu było zdanie Nietzschego: „nic nie jest prawdą, wszystko jest dozwolone“. Jeżeli się zaś nie chciało dopuścić do zupełnego bezrządu, trzeba było wbrew głoszonej wolności tę wolność ciągle krępować, innemi słowy, trzeba było ciągle chromać na połowiczność, która do żadnego pozytywnego nie doprowadza wyniku. Anarchię ominięto, ale i bezowocność systemu jest każdego systemu grabarzem. Taki wynik, a jaka przyszłość?

Oto, że dziś po stu latach, które miały poprawić dolę świata, wszystkie rany zagoić i niezdrowe soki oddzielić, zbiera się na wrzód dużo gorszy, na rewolucyę o wiele większą, niż wielka rewolucya, jaką dziś przygotowuje socyalizm. Na wrzód wielkiej rewolucyi składały się nieregularności i niezdrowe soki kilku wieków, na wrzód dzisiejszy jeden wiek wystarczył, i to ten wiek, który miał być zdrowiem samem.

Tak w ogóle. Ale jeżeli schodzimy do szczegółowszych wniosków Bourgeta, sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak w jego poglądzie. Nie można najpierw zapominać o tem wielkiem psychologicznem prawie, że błąd i kłamstwo wprost otwarte, w którem ani źdźbła prawdy niema, nigdy nie mogą cieszyć się dłuższem powodzeniem, tem mniej nie mogą dokonać tak przełomowego wypadku, jak wielka rewolucya. Siłą każdego błędu — jak zauważył Ollé-Laprune — jest cząstka prawdy, która w nim się kryje. Nadto, nie wszystkie objawy tak rozgałęzionego zjawiska, jak rewolucya i jej następstwa, dadzą się podciągnąć pod jedną kategoryę sądu; zwłaszcza, że mogą być pewne objawy, które choć są z rewolucyą splecione, z istotnym jej błędem nie mają nic wspólnego. Nasuwa się tu uwaga ogólniejszego znaczenia, tłumacząca nam to, co nieraz widzimy w historyi, że nawet ze złego początku powstające ruchy w dalszym biegu posłużyły do szczęśliwego rozwoju ludzkości. Nie mówimy o wypadkach, w których ruchy te były przez następnych wybitnych działaczy przeinaczone i do dobrego skierowane celu, ani o tym

wypadku, kiedy ruchy takie budziły stronę przeciwną ze snu i wywoływały temsamem ruch dodatni, — chodzi nam o dodatnie następstwa, płynące z samego ruchu ujemnego. Otóż wobec oczywistej zasady, że ze zła tylko zło wyróść może, jak z błędnej przesłanki logicznie tylko błędny wniosek wypływa, — dodatnie te następstwa przypisać można tylko tej cząstce prawdy, co kryje się w błędzie, i tym objawom, co tylko przygodnie, a nie z natury rzeczy, z błędem się połączyły. Praktyczny wniosek z tych uwag płynący, jest dla naszej sprawy nadzwyczajnie doniosły. Jeżeli w wielkiej rewolucyi mieści się taka cząstka prawdy i pewne, ubocznie tylko z nią złączone, dodatnie, a w każdym razie nie ujemne, objawy, to już niema potrzeby odwracać się od całego dzisiejszego ustroju, jak to robi Bourget, — co choćby z tego względu jest niepraktyczne, że niepodobieństwem jest przekreślić w życiu historyę wieku całego, — wystarczy odwrócić się tylko od tego, w czem błąd i zło spoczywa.

Otóż między „prawami człowieka“, stanowiącemi kodeks rewolucyi, jest jedno, w zasadzie zupełnie słuszne, to mianowicie: „Utrzymanie praw człowieka i obywatela wymaga publicznej władzy; stąd władza ta zaprowadzoną jest dla dobra wszystkich, a nie dla osobistej korzyści tych, którym jest powierzoną“. Pominąwszy zbyt ciasne pojęcie władzy państwowej, jakoby jej zadaniem było tylko utrzymanie i obrona istniejących praw, reszcie zdania nic zarzucić nie można. Zdanie zaś to, okazuje nam dobrze tę cząstkę prawdy, która tkwiła w rewolucyi.

Nie jest zadaniem tego szkicu wyliczać wszystkie przyczyny i okoliczności rewolucyi, między którymi tak wybitne zajmuje miejsce, nieprzebierająca w środkach walka racyonalizmu i encyklopedystów, już nietylko z Kościołem, ale z podstawowemi pojęciami rozumnej filozofii. Wystarczy nam krótko zaznaczyć, bo rzeczy to zbyt dobrze znane, że rewolucya tłumów miała być zniesieniem nadużyć, jakie wkradły się do systemu monarchicznego. Jeden szczegół tylko chcemy tu podnieść, który jasne światło na całą tę sprawę rzuca, — że początku tych nadużyć nie w panowaniu Ludwika XIV, jak chcieliby niektórzy, ale o wiele wcześniej, przed jego panowaniem, szukać trzeba. Kiedy Ludwik XIV mówił: „państwo to ja“, to skrzywione to pojęcie władzy doszło

już do pełnego swego rozkwitu, który z natury rzeczy musiała poprzedzić doba rozwijania się. Stąd, o wiele słuszniejszem wydaje nam się zdanie tych historyków, którzy początek ten przenoszą w okres Bonifacego VIII i Filipa IV. Od tego okresu zaczęła się coraz bardziej pogłębiać przepaść między Kościołem a państwem, co za tem szło, także między etyką chrześciańską a państwem. Polityka zaś wbrew etyce, wbrew przyrodzonemu prawu, musiała zaprowadzić do skrajnego absolutyzmu i do innych nadużyć.

Jest tedy oczywistem, — iż wrócimy na chwilę do Bourgeta, — że jak niebardzo jest uzasadnioną jego tęsknota do czasów przedrewolucyjnych, bo wielkie pytanie, czy reforma w duchu zasad przezeń wyznawanych dałaby się w tamtych warunkach tak łatwo przeprowadzić, — tak też nieuzasadnionem jest to jego stanowisko, które żadnej cząstki słuszności i prawdy w rewolucyi dostrzedz nie umie. Nie mówimy naturalnie o samym sposobie wprowadzenia rewolucyi, nie mówimy jeszcze, — o czem zaraz, — o tym istotnym błędzie, który tę cząstkę prawdy w samym zarodku spaczył, wskazujemy tylko, że jakaś poprawa była konieczną. W tych warunkach hasło „wolność“ nie oznacza jeszcze „anarchii“. Byle tylko ta „wolność“ przypuszczała jakieś granice, a więc nie sprzeciwiała się karności, — byle „równość“ godziła się z prawami natury i uznawała władzę i hierarchię, a „braterstwo“ nie różniło się od miłości bliźniego, nic hasłu temu zarzucićby nie można. Mówimy mniej więcej tosamo, co niezręcznie powiedział naiwny ksiądz Chanut, a o co strofuje go Bourget. I prawda ta nietylko jest oczywistą dla tego, kto uznaje „ustrój rzymski, przeniesiony w sferę duchową“, będzie też ona oczywistą dla każdego, kto choć nie zna ustroju rzymskiego, nie powoduje się w swoich rozumowaniach uprzedzeniami.

Ale cząstka ta prawdy, w rewolucyi tkwiąca, — której umiejętne wyzyskanie może mieć dzisiaj doniosłe znaczenie, gdy system porewolucyjny już się rozsypuje, a rozumiejący to jego zwolennicy radziby choć cząstkę z niego ocalić, — rozpłynęła się wkrótce i utonęła we fatalnym błędzie. W jakim? Zasadniczo w tymsamym, który rewolucya chciała w monarchiźmie poprawić. Ludwik XIV mówił: „państwo to ja“, co rewolucya orzekła, wyjdzie na to: „wola ludu to państwo“. Nie o słowa nam cho-

dzi, tylko o rzecz, która się pod niemi kryje. W jednej i drugiej teoryi, tak w teoryi skrajnego absolutyzmu, jak i w kontrakcie społecznym Rousseau'a, na którym oparła się rewolucya, człowiek dzierżący władzę, jest sobie samemu najwyższym panem, nie zna żadnego nad sobą prawa, sam dowolnie prawa sobie tworzy i zmienia, — czy tym rządzącym jest jeden, jak w monarchii, czy wszyscy współobywatele, jak w ustroju demokratycznym, to rzecz w tej sprawie obojętna. Tylko, gdy błędne pojęcie władzy w ustroju monarchicznym wiązało się zawsze z jednym człowiekiem, piastującym władzę, a u któregoś z jego następców mogło odpaść i ustąpić miejsca rozumnemu pojęciu, tu taka zmiana, z wielką trudnością może się dokonać. Nadto w systemie monarchicznym pozostały, drogą spuścizny po przeszłych wiekach, jakieś resztki słusznych zasad; tu wszystko doszczętnie uprzątnięto. „*La loi est athée*“ państwo, z natury swojej staje się bezwyznaniowem, nie zna zupełnie Boga i jego praw, z rąk ludu, niezależnie od Boga, władzę swoję bierze. Nie chciano rozumieć, że dla urzeczywistnienia słusznego żądania rewolucyi, by władza była dla dobra wszystkich, potrzeba, aby nad niestałą i egoistyczną wolą ludzką, było jakieś wyższe prawo, prawo, które właśnie dobro wszystkich ma na oku, i to w tym wypadku nawet nie objawione, ale przyrodzone prawo, które, jak sprawia, że człowiek z natury swojej dąży do uspołecznienia, że w tem uspołecznieniu rozumie potrzebę władzy, tak też nakazuje, by w sprawowaniu tej władzy człowiek nie postępował dowolnie, ale co do jej objętości jak i sposobu jej wykonywania, we wszystkich stosunkach, tak w stosunku do Boga, jak i społeczeństwa, podlegał bezwzględnym prawom, wypływającym z natury tej władzy. Jakie następstwa były z zapoznania tej prawdy, napomknęliśmy poprzednio.

Ale od tego istotnego błędu, na którego następstwa Bourget niejednokrotnie bardzo trafnie wskazuje, trzeba oddzielić w rewolucyi inny objaw, który znowu niesłusznie potępia. Chodzi nam o ustrój demokratyczny, który w sobie wzięty, z tym zasadniczym błędem rewolucyi niema żadnego związku. Z przyrodzonego prawa płynie granica władzy, ale bynajmniej nie wypływa z niego jakaś określona jej forma. Czy dla tego lub dla innego państwa lepszy jest ustrój monarchiczny czy demo-

kratyczny czy inny, rzecz to od różnych warunków zależna; „władza — jak pisze Leon XIII — jakikolwiek ustrój obrać sobie może, byle rzeczywiście służył pospolitemu dobru“. Stąd też obojętnem jest także, jak wskazaliśmy tu poprzednio, czy ofiarą błędnego pojęcia władzy padł ustrój monarchiczny czy demokratyczny — potępić należy błędne pojęcia, samego ustroju potępić nie można. Taka byłaby zasadnicza odpowiedź na zdanie Bourget'a, przeciwne demokracyi, i to nietylko demokracyi francuskiej. Uogólnienia jego w tej mierze sięgają poza granicę własnego kraju [1].

Inne uzasadnienia, jakiemi poprzeć usiłuje autor to zdanie, nie wytrzymują silniejszej krytyki. Twierdzenie, że demokracya sprzeciwia się wiedzy, bo wedle wiedzy prawami rządzącemi życiem są ciągłość i dobór, a praw tych nie zachowuje się w dzisiejszym ustroju demokratycznym, twierdzenie to nie jest oparte na słusznej podstawie. Najpierw, prawo ciągłości i doboru, postawione w świecie nauk przyrodniczych, bynajmniej nie jest widoczne w historyi, gdzie wkracza wolna wola. A przecież, jeżeli idzie o wiedzę, mówiącą o prawach życia ludzkiego, historyi nie można pominąć. Cóż zaś powiedzieć, jeżeli już mowa o ciągłości, o takich epokach przełomowych, które przyczyniły się do rozwoju? czy, np., zjawienie się chrześcijaństwa w świecie pogańskim było dalszym ciągiem tego świata? Następnie, choćby nawet uznało się słuszność tego prawa, to zarzut na niem oparty, odnosiłby się tylko do pierwszego pokolenia, które nowy ustrój wprowadziło, w dalszych pokoleniach już jakaś ciągłość istnieje, która z biegiem czasu wejść może w zupełnie normalne koryto. Dobór zaś w tym systemie, w którym lud nie rządzi sam, tylko pośrednio przez swych wybrańców, może być o wiele większy w demokratycznym ustroju, już z tego prostego względu, że jest większa obfitość wyboru.

Prawda, i w tem Bourget ma zupełną słuszność, że masy

[1] W wydaniu książkowem wtrącił autor kilka słów, których nie było w powieści, gdy ukazywała się w dwutygodniku. O ileby tym dodatkiem chciał autor zaznaczyć jakąś zasadniczą różnicę między demokracyą francuską, jako demokracyą, a wszystkiemi zagranicznemi, dodatek ten nie zgadzałby się z rzeczywistością.

warstw niższych, przypuszczone do praw obywatelskich, do rządzenia państwem, jeszcze do wysokości swego zadania nie dorosły. Ale doróść mogą — i w tem właśnie dodatni objaw nowoczesnego systemu, że dobrodziejstwa cywilizacyi, byleby zawsze zdrowej, są dziś dla wszystkich przystępne. To też wobec dokonanego faktu, którego nawet żadną miarą odmienić nie można, jedynie rozumna droga, jaka pozostaje, jest ta, by warstwy oświeceńsze pracowały usilnie nad podniesieniem warstw niższych. Potępiwszy sposób, w jaki została wprowadzona demokracya dzisiejsza, nie można demokracyi, jako takiej potępić. W tem właśnie jest słaba strona tej książki, iż użyjemy jaskrawszego porównania, że autor oceniwszy chorobę pacyenta nie myśli o lekarstwie, ale raczej przemyśliwa nad uśmierceniem go.

Ta demokracya dzisiejsza jest sprzeczna z katolicyzmem, jak twierdzi Bourget, ale nie dlatego, że jest demokracyą, tylko, że jest demokracyą, opartą na zasadach 1789 roku. I tu niema innej drogi, jak droga usilnej pracy leczniczej. W tem też spoczywa wiekopomna zasługa obecnego papieża, że jak w walce z socyalizmem oddzielił od błędów to, co było słusznem w jego dążeniach, i tę cząstkę prawdy katolikom za program działania naznaczył, tak i przeciw potomkowi rewolucyi, liberalizmowi, nie wytyczył im walki z wolnością, ani z jakąkolwiek formą państwa, tylko z błędami wypaczającymi wolność i państwo. Nie wystąpił przeciw demokracyi, ale owszem uznał ją, i przeciw demokracyi socyalnej i liberalnej postawił demokracyę chrześcijańską. Tu na Bourget'cie, walczącym z demokracyą, i to także w imię katolicyzmu, spełnia się dosłownie, że chce być bardziej katolickim, jak papież.

Przechodzimy do ostatniej idei społecznej „Etapu“, od której tytuł książki. Czy rzeczywiście słusznem jest twierdzenie, że przeskok gwałtowny z klasy najniższej do klasy inteligentnej, wypacza jednostki i rodziny, przynajmniej w pierwszem pokoleniu? Ideę podobną znajdujemy już u Micheleta.

Otóż najpierw jest oczywistem, że twierdzenia tego, mimo usilnej chęci, nie udowadnia Bourget w swojej powieści. Nie rozumiemy najpierw, dlaczego ma być pychą, jak chce Bourget,

kiedy wieśniak wysyła swego syna do szkół. Czy nie może to pochodzić z konieczności jakiejś, albo z rozumnej miłości ojcowskiej. Potem kiedy ten syn zakłada w klasie inteligencyi rodzinę, widzimy wprawdzie członków tej rodziny, schodzących na najgorsze bezdroża, ale to samo pokazuje nam także autor na członku arystokratycznego rodu. Ojciec tej samej rodziny i jeden syn, zwłaszcza syn, mają wiele stron bardzo dodatnich. Autor to tłumaczy dobrym temperamentem, ale tem samem nasuwa wątpliwość, czy nie trzebaby błędów i zboczeń innych członków rodziny, złożyć na karb złego temperamentu i na inne głębsze przyczyny, jak przeskok społeczny. W rzeczywistości, jak osoby te przedstawiają się w powieści, cała wina spoczywa w braku religii i moralnego wychowania. Brak ten mógłby być następstwem pewnego przeskoku z wierzącej wsi w świat niewierzącej inteligencyi. Rozumiemy dobrze, że wierzący chłop bretoński, czy jakikolwiek człowiek, choćby nawet nie wieśniak, z prowincyi, przerzucony nagle w zepsuty świat paryski, łatwo stracić może cały dobytek moralny, jaki z pod strzechy rodzinnej wyniósł. Temat ten omawia świeżo inny powieściopisarz francuski, Barrès. Ale w takiem rozwiązaniu kwestyi wchodzi na pierwszy plan, jak każdy widzi, inna od przeskoku społecznego sprawa, sprawa religii i moralności. Gdyby to jednak nie był niewierzący wiek dziewiętnasty, czy dwudziesty, ale wiek wojen krzyżowych, czy i wtedy to przejście z warstwy wierzącej do wyższej warstwy wierzącej byłoby koniecznie z takiemi następstwami złączone? Pytanie zupełnie uzasadnione, bo chodzi jedynie o następstwa, jakie płyną z przejścia społecznego, jako takiego. Otóż ten moment kwestyi nie przedstawia się bardzo jasno.

Myślimy, że wogóle przyznać można, iż przejście takie połączone jest z wielkiemi trudnościami. I oddalenie się od poparcia, jakie daje ciągłość wiejskiej tradycyi, czuwająca miłość rodzicielska i związki rodzinne, i krwawa walka o byt na nowej placówce, obcość nowego świata i łatwo budząca się aspiracya do życia nad stan, i inne tego rodzaju następstwa sprawiają, że taki *homo novus* znajduje się na stanowisku nadzwyczaj trudnem i nie wolnem od niebezpieczeństw. Myślimy także, że przyznać

można, iż słabsze charaktery łatwo w tak trudnych okolicznościach się spaczą. Natomiast jest oczywistem, że wiele silnych charakterów w próbie takiej nie tylko nie ulegnie, ale wyjdą hartowniejsze. Historya i doświadczenie pokazują nam tego rodzaju przykłady. I wogóle nie widzimy żadnej przekonywującej racyi, żeby taki etap, taki stopień hierarchiczny był ogólną koniecznością, *conditio sine qua non.* — To samo, w odpowiedniej mierze, odnosi się i do rodziny.

II.

Trzeba było ujemne strony odgraniczyć, ażeby nie wchodziły w drogę dodatnim. Wielka szkoda, że książka taka utrudnia sobie zadanie, przez przymieszkę idei społeczno-politycznych, zapożyczonych z francuskiego rojalizmu.

Zostają jeszcze do omówienia idee etyczno-religijne. Zasada, że odwrócenie się od katolicyzmu i jego etyki było największym błędem rewolucyi i porewolucyjnego okresu, że niema innej drogi wyjścia z nieszczęść obecnych, niema innego powrotu do zdrowia i równowagi, jak powrót do tej opuszczonej placówki, przeprowadzona jest w Etapie z wielką siłą rozumowania. A przytem to rozumowanie rozpościera się nie w abstrakcyi, ale na namacalnych wypadkach życia, życia tak pojętego rzeczywiście, tak odtworzonego wiernie w najmniejszych szczegółach, we wszystkich przejściach psychologicznych, że już nie tylko rozumie się prawdę, ale się ją widzi. Jest to nowy rodzaj apologetyki, tem skuteczniejszy od innych, im bardzie unaocznia prawdę.

Widzi się też odrazu, jak wiele dowodów autora, które do poparcia społecznych jego przekonań użyte, nie były na swojem miejscu, ze stanowiska etyczno-religijnego rozważane, nabierają mocy przekonywującej. Weźmy np. pod uwagę tę nieszczęśliwą rodzinę, która nie stanęła na etapie. Ojciec tej rodziny, człowiek w głębi duszy zacny, idealista, utracił w młodości wiarę, a miejsce jej zastąpił wiarą w dobroć i godność natury ludzkiej i w rewolucyjne hasła; starczyły mu do działania takie pobudki jak rozum, sprawiedliwość. Tę wiarę w dobroć

i godność natury ludzkiej zastosował najpierw do własnych dzieci w ten sposób, że nie wpajał w nie żadnych religijnych przekonań, nie dał ich nawet ochrzcić. Chciał przez to uszanować wolność sumienia, by kiedyś w wieku dojrzalszym same sobie obrały dowolną religię. Przychodzi wiek dojrzalszy, wiek żywszych namiętności, syn staje się oszustem i rozpustnikiem, córka uwiedzioną kobietą. Trzeba widzieć w tem miejscu, jak z mistrzostwem Bourgetowi właściwem, oddaną jest psychologia tych dusz, jak jedno kółko sofizmatu — u takich ludzi w takich chwilach grającego główną rolę — zaczepia się zręcznie o drugie. Jedno z tych rozumowań toczy się naokoło takich pobudek, jak godność ludzka, rozum, sprawiedliwość, — pobudek, co mają ludziom niewierzącym zastąpić etykę chrześcijańską i religię — ale przy ostatniem kółku wynik rozumowania, dla rozumującego jasny i uzasadniony — w oczach człowieka rozumnego, patrzącego na to z boku, urąga wszelkiemu rozumowi, godności i sprawiedliwości. Nikły rozum ludzki, sobie samemu zostawiony, zrazu staje niepewny na jakimś dwuznaczniku logicznym, powoli przechyla się pod wpływem namiętności, na stronę, która namiętności odpowiada, już dalej logicznie brnie w błędzie, chwilę jeszcze próbuje się cofnąć, ale nie wie dokąd, aż wreszcie ogarnia go całkowite zwątpienie, potem zaprzeczenie wszystkich prawd odnoszących się do dobra, zła, obowiązku i występku. I trzeba widzieć tego nieszczęśliwego idealistę, ojca, jak musi słuchać z ust najlepszego swego syna,— którego na szczęście ktoś inny na dobrą skierował drogę, — tego cierpkiego zarzutu, że pobudki czynu przez ojca głoszone, jak rozum, sprawiedliwość i t. d. to abstrakcye, które bratu i siostrze nic pomódz nie mogły, że im potrzeba było — Boga.

Wskazuje też Bourget drogę do poznania Boga, drogę rozumową, idącą z rzeczy stworzonych do Stwórcy. Na tej drodze przebiega pokrótce zasadnicze prawdy, że Bóg ten objawił się w chrystyanizmie, że z różnych postaci chrystyanizmu jeden katolicyzm nosi na sobie znamiona prawdziwej, objawionej religii.

Co chwilę też zwraca uwagę na dobrodziejstwa społeczne chrystyanizmu. T ylko chrystyanizm ma moc szerzącą miłość i ukojenie; każde dzieło społeczne, poza chrystyanizmem po-

częte, mniema siać miłość, a zbiera bunt, siać ukojenie, a zbiera nienawiść. Chrystyanizm utrzymywał społeczeństwo ludzkie przez poprzednie wieki w stanie żywotnym; a ile razy z ludzkiej winy słabnął, tyle razy w społeczeństwie słabła moralna spójnia i obniżał się poziom ludzkości. Najświetniejsze doby Francyi, wiek XIII i wiek XVII były też czasem, gdzie pod św. Ludwikiem i Ludwikiem XIII była najgłębiej i najszczerzej katolicką.

Nie tylko te zewnętrzne objawy wpadają autorowi w oko. I głębsze zrozumienie prawd dogmatycznych i głębokie poczucie prawd moralnych znaczą się na tych kartach wyraziście, począwszy od złotej uwagi o katechizmie, a skończywszy na myślach o korzyści cierpienia, o wielkości modlitwy i bezkrwawej Ofiary. Czasem zajdzie jakaś niedokładność, niepoprawność pojęć, jak warunkowa wzmianka o autosuggestyi, kiedy opisuje znaczenie modlitwy, lub niedokładność przy rozbiorze aktu wiary, ale takie przygodne pomyłki wobec całości nikną. Jest to zupełnie wyjątkowy, a stąd tem bardziej wybitny objaw w dzisiejszem piśmiennictwie, gdy pisarz tej miary, z taką głębią zrozumienia rzeczy, z taką imponującą siłą przekonania, mówi o tych świętościach, co w wielkości swojej dla dzisiejszych ludzi zostały zakryte.

U nas taka stanowczość przekonań katolickich jeszcze rzadka. Na szczęście w tym wypadku, że idziemy za Zachodem, a Zachód dzisiejszy wszedł już w epokę, gdzie tylko stanowczość zostaje na widowni. Epokę taką odtwarza Bourget w kilku scenach tej powieści, w czem tylko przedstawia rzeczywistość. Widnieją w tych scenach tylko dwa obozy: nowoczesny jakobinizm i katolicyzm. Drugiego tego obozu, ze wskazanemi naturalnie zastrzeżeniami, książka niniejsza jest wybitnym objawem.

Ks. J. Pawelski.

